

„WSZYSTKO CZEGO SZUKAM W FANTASY”.
—GEORGE R.R. MARTIN

SMOCZA DROGA



DANIEL
ABRAHAM

Daniel Abraham

SMOCZA DROGA

The Dragon's Path

Tłumaczenie: Andrzej Jakubiec

DLA SCARLET

Prolog Apostata

Apostata przypadł do ziemi w cieniu skały, modląc się do dowolnego z bóstw, by istoty, jadące na mułach przez przełęcz poniżej, nie spojrzały w górę. Bolały go dłonie, a mięśnie nóg i grzbietu drżały z wycieńczenia. Cienki materiał ceremonialnej togi łopotał na zimnym wietrze niosącym ze sobą zapach ziemi. Zaryzykował jedno spojrzenie w kierunku szlaku.

Pięć mułów przystanęło, ale kapłani pozostali w siodłach. Ich szaty były grubsze, cieplejsze. Starożytne miecze przewieszane przez ich plecy pochwyliły promienie porannego słońca i załśniły jadowitą zielenią. Smocze ostrza. Niosły śmierć każdemu, kogo raniły. Z czasem trucizna miała zabić nawet tych, którzy je nosili. To kolejny powód, przemknęło przez myśl apostaty, dla którego jego bracia chcieli zgotować mu szybki koniec i wrócić do domu. Nikt nie chciał nosić tych mieczy zbyt długo. Używano ich jedynie w wyjątkowych sytuacjach lub w śmiertelnym gniewie.

Cóż, schlebiało mu, że przynajmniej brali go na poważnie.

Kapłan jadący na czele pościgu uniósł się w strzemionach, mrużąc oczy w silnym świetle. Apostata rozpoznał jego głos.

– Pokaż się, mój synu – krzyknął arcykapłan. – Nie ma dla ciebie ucieczki.

W piersi apostaty zamarło serce. Przeniósł ciężar ciała, zamierzając zejść na dół. Powstrzymał się.

Prawdopodobnie, powtarzał sobie. Prawdopodobnie nie ma dla mnie ucieczki. Może jednak jest.

Na szlaku postaci odziane w ciemne szaty zwróciły się ku sobie i zaczęły rozmawiać. Nie słyszał słów. Mógł tylko czekać, czując jak jego ciało sztywnieje i marznie. Niczym zwłoki, które nie miały dość rozsądku, by umrzeć. Wydawało mu się, że narada zabrała łowcom większą część dnia, choć słońce prawie nie zmieniło swojej pozycji na jasnoniebieskim niebie. Zaledwie dwa tchnienia później muły ponownie ruszyły przed siebie.

Nie ważył się ruszyć w obawie, że strąci jakiś kamień w dół stromego zbocza. Próbował skryć uśmiech. Bardzo powoli, istoty, które kiedyś były ludźmi, dotarły na swoich mułach na skraj doliny, po czym skręciły na południe. Gdy ostatnia z nich zniknęła mu z oczu, mężczyzna wstał,

wspierając ręce na biodrach. Nie mógł się temu nadziwić. Wciąż żył. Czyli jednak wcale nie wiedzieli, gdzie go szukać.

Wbrew wszystkiemu, czego go nauczono, wszystkiemu w co jeszcze niedawno wierzył, dary pajęczej bogini nie ujawniały prawdy. Owszem, obdarzały czymś swoje sługi, ale na pewno nie była to *prawda*.

Żywił coraz silniejsze przekonanie, że udało mu się wyplątać z misternej sieci wiarygodnie brzmiących kłamstw. Powinien czuć się zagubiony. Załamany. Zamiast tego miał wrażenie, jakby wyszedł z dusznego lochu na świeże powietrze. Jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

Wspinaczka na resztę zachodniego stoku przysporzyła mu nowych siniaków. Jego sandały ślizgały się. Z trudem znajdował punkty oparcia dla palców i stóp. Lecz gdy słońce stanęło w zenicie, dotarł wreszcie na grzbiet wzniesienia. Na zachodzie ciągnęło się pasmo gór, nad którymi wisiały skłębione chmury. Szalejące burze tworzyły półprzezroczysty całun szarości. Przez najdalsze przełęczę dostrzegł, że dalej teren staje się bardziej płaski. Odległość sprawiała, że równinę spowijała szaroniebieska mgła. Wiatr na szczycie góry kąsał jego ciało niczym szpony. Niebo na horyzoncie przecięła błyskawica. Odgłosowi gromu odpowiedział krzyk jastrzębia.

Samotnie i pieszko, podróż ta zajęłaby mu całe tygodnie. Nie miał przy sobie żywności i, co gorsza, nie miał też wody. W ciągu ostatnich pięciu dni sypiał w jaskiniach i pod krzewami. Jego byli bracia i przyjaciele – ludzie, których znał i kochał całe swoje życie – przepatrywali szlaki oraz wioski, pałając żądzą mordy. W górach z kolei grasowały górskie lwy i wilki.

Przeczesał palcami gęste, szorstkie włosy, westchnął i zaczął schodzić w dół zbocza. Prawdopodobnie przyjdzie mu umrzeć nim dotrze do Keshet i miasta na tyle dużego, by w nim zniknąć.

Ale tylko *prawdopodobnie*.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, znalazł skalny nawis w pobliżu wąskiego, błotnistej strumienia. Poświęciwszy rzemień z prawego sandała, wykonał prymitywny łuk do rozpalania ognia i, gdy z nieba zstąpiło okrutne zimno, kucnął już wewnątrz pierścienia wysokich głazów, które skrywały jego niewielkie ognisko. Suche krzewy płonęły jasno i dawały niewiele dymu, ale paliły się za szybko. Wpadł w rytm dorzucania do ognia kolejnych witek, nie pozwalając, by płomień stał się na tyle duży, by wyjawić jego kryjówkę nocnym łowcom, ale uniemożliwiał mu też zgaśnięcie. Ciepło wydawało się docierać jedynie do łokci.

Gdzieś z oddali dobiegł go zwierzęcy skowyt. Próbował go zignorować. Jego ciało znajdowało się na skraju wyczerpania, ale umysł, uwolniony od nieustannych utrapień podróży, nabrał niebezpiecznej bystrości. Ciemność wyostrzyła pamięć mężczyzny. Wrażenie wolności i ogromnych możliwości zastąpiło poczucie zagubienia i osamotnienia. Zaczął podejrzewać, że prędzej zabije go właśnie to, niż grasujący dziki kot.

Urodził się na wzgórzach podobnych do tych. Całe dzieciństwo spędził bawiąc się mieczem z patyka i biczem z plecionej kory. Czy naprawdę miał ambicje wstąpić w szeregi mnichów z ogromnej, ukrytej świątyni? Musiało tak być, choć w lodowatym chłdzie kamiennego schronienia trudno było mu to sobie wyobrazić. Pamiętał, jak z zachwytem spoglądał na wysokie, kamienne mury. Na wykutych w skale strażników z trzynastu ludzkich ras, smaganych wiatrem i deszczem dopóki wszyscy – Cinnejczycy i Tralgurowie, Południowcy i Pierworodni, Timzinejczycy, Yemmurowie i Utopieni – nie posiadli tych samych, pustych wyrazów twarzy i bezkształtnych dłoni. Stali się nie do odróżnienia. Jedynie skrzydła i ostre jak noże zęby smoka wygiętego w łuk ponad ich głowami były wciąż dobrze widoczne. A także wyryte w żelaznej bramie czarne litery, ułożone w słowa w języku, którego nie znał nikt w wiosce.

Gdy został nowicjuszem, dowiedział się, że głosiły one: NAGIĘTE NIE JEST ZŁAMANE. Uwierzył w nie, gdy tylko zrozumiał, co oznaczały.

Wiatr zmienił kierunek, rozdmuchując rozżarzone węgle niczym świetliki. Drobiną popiołu wpadła mu do oka, które potarł wierzchem dłoni. Krew szybciej popłynęła mu w żyłach, a jego ciało odpowiedziało na wezwanie czegoś obcego. *Bogini*, pomyślał. Razem z innymi chłopcami z wioski udał się pod wielką bramę. Oddał im wszystko – swoje życie i ciało – a w zamian...

W zamian wyjawiono mu tajemnice. Początkowo była to jedynie wiedza: znajomość liter, pozwalająca odczytać święte księgi i cyfr do prowadzenia świątynnych rejestrów. Czytał opowieści o Smoczym Cesarstwie i jego upadku. O pajęczej bogini, która miała przynieść światu sprawiedliwość.

Powtarzano mu, że nie można było jej oszukać.

Sprawdził to, rzecz jasna. Wierzył im, ale mimo wszystko chciał się upewnić. Okłamywał kapłanów tylko po to, by sprawdzić, czy to możliwe. Wybierał rzeczy, o których tylko on mógł wiedzieć: klanowe imię ojca, ulubione potrawy siostry, własne sny. Kapłani karali go chłostą, gdy mówił

nieprawdę i oszczędzali, kiedy był prawdomówny, ale nigdy, *nigdy* się nie mylili. Nabierał coraz większej pewności. I wiary. Gdy arcykapłan awansował go na nowicjusza, był przekonany, że czekają go wielkie rzeczy, ponieważ tak twierdzili inni kapłani.

Gdy koszmar inicjacji dobiegł końca, czuł moc pajęczej bogini krążącą w jego krwi. Kiedy po raz pierwszy poczuł, że ktoś kłamie, miał wrażenie, że posiadał nowy zmysł. Za pierwszym razem, gdy rozmawiał z głosem bogini, wydawało mu się, iż jego słowa niosą tak silny ładunek wiary, że niemal goreją żywym ogniem.

Teraz jednak wypadł z łask, a wszystko, czego się dowiedział mogło okazać się kłamstwem. Miejsce o nazwie Keshet mogło w ogóle nie istnieć. Wierzył w nie na tyle, by ryzykując życiem podjąć próbę ucieczki, ale nigdy wcześniej tam nie był, a mapy mogły kłamać. Jeśli o to chodziło, mogło nie być też żadnych smoków, żadnego cesarstwa ani żadnej wielkiej wojny. Nigdy nie widział oceanu – on też mógł być kłamstwem. Wiedział jedynie to, co sam zobaczył, usłyszał lub poczuł.

Nie wiedział *nic*.

Wiedziony impulsem wgrzył się głęboko w skórę dłoni. Kilka kropli krwi wezbrało i skapnęło na drugą rękę. W słabym świetle ogniska wydawały się niemal czarne. Czarne z małymi, ciemniejszymi węzełkami. Jeden z nich wyciągnął swoje maleńkie odnóża. Pająk przez chwilę chodził bezmyślnie po jego dłoni. Chwilę później dołączył do niego inny. Mężczyzna obserwował je: wysłanników bogini, w którą przestał wierzyć. Ostrożnie, powoli przechylił dłoń nad niewielkim płomieniem. Jeden z pajaków wpadł do ognia, a jego cienkie niczym włosy odnóża natychmiast spopieliły się.

– Cóż – powiedział. – Możecie umrzeć. *To* wiem.

Góry wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Każdy szczyt stanowił nowe wyzwanie, każda dolina najeżona była niebezpieczeństwami. Unikał małych wiosek, zbliżając się do nich jedynie na tyle, by móc ukraść trochę wody z kamiennych zbiorników. Żywił się jaszczurkami i maleńkimi orzechami w cielistym kolorze rosnącymi na skarłatych sosnach. Omijał miejsca, gdzie szerokie, pazurzaste łapy zostawiły ślady w ziemi. Pewnej nocy natrafił na krąg kolumn tworzących niewielką komnatę, która oferowała schronienie i miejsce, gdzie mógłby odzyskać siły, lecz podczas krótkiego odpoczynku dręczyły go koszmary tak brutalne i obce, że zamiast tego postanowił wyruszyć w dalszą drogę.

Schudł tak bardzo, że pleciony, skórzany pasek zawisł mu nisko na biodrach. Podeszwy sandałów stały się cienkie, a łuk do rozpalania ogniska szybko niszczał.

Czas przestał mieć znaczenie. Mijał dzień za dniem. Każdego ranka myślał: *To prawdopodobnie ostatni dzień mojego życia. Ale tylko prawdopodobnie.*

Owo *prawdopodobnie* zawsze wystarczało. W końcu, pewnego późnego ranka, wdrapał się na szczyt skalistego pagórka i zobaczył, że za nim nie było już następnego. Przed nim rozciągały się szerokie, zachodnie równiny, na których połyskiwała rzeka w otoczeniu zielonych traw i drzew. Widok był zwodniczy. Zgadywał, że dotarcie tam zajmie mu jeszcze przynajmniej dwa dni marszu. Mimo to usiadł na dużym, szorstkim kamieniu, spoglądając z góry na świat i pozwolił, aby łzy płynęły mu po policzkach niemal do południa.

Znalazłszy się bliżej rzeki, poczuł w trzewiach nowy niepokój. Tamtego dnia, kilka tygodni temu, gdy przesadził mury świątyni i uciekł, idea dotarcia do miasta stanowiła jedynie odległe zmartwienie. Teraz zobaczył dym unoszący się z setek palenisk pomiędzy drzewami. Rzadziej napotykał ślady dzikich zwierząt. Dwukrotnie widział w oddali mężczyzn jadących na ogromnych koniach. Brudne szaty, zniszczone sandały i smród niemytego ciała przypomniały mu, że to, co zamierzał uczynić było równie trudne i niebezpieczne, jak wszystko, czego dotychczas doświadczył. Jak mężczyźni i kobiety z Keshet mieli zareagować na widok dzikiego człowieka z gór? Może z miejsca będą chcieli go zabić?

Okrążył miasto, idąc wzdłuż rzeki, nie mogąc nadziwić się wielkości tego miejsca. Nigdy wcześniej nie widział czegoś tak ogromnego. Długie, drewniane budynki pokryte strzechą były w stanie pomieścić tysiące ludzi. Drogi wybrukowano kamieniami. Mężczyzna trzymał się buszu niczym złodziej, obserwując.

Odwagi dodał mu widok yemurskiej kobiety. To i ssący głód w żołądku. Na skraju miasta, tam gdzie domy wzniesiono między traktem a rzeką, kobieta pracowała w swoim ogrodzie. Była o połowę wyższa od niego i szeroka w barach jak byk. Kły sterczały jej z dolnej szczęki tak, że wydawały się grozić przebicciem policzków, gdyby zaczęła się śmiać. Jej piersi wisiały wysoko ponad chłopskim pasem, bardzo podobnym do tych, które nosiły jego matka i siostra, tyle że wykonanym z trzykrotnie większej

ilości tkaniny i skóry.

Była pierwszą osobą nie pochodzącą od Pierworodnych, którą w życiu zobaczył. Pierwszym namacalnym dowodem na to, że trzynaście ludzkich ras naprawdę istniało. Kryjąc się w krzakach i obserwując jak kobieta nachyla się nad miękką glebę, wyrywając chwasty olbrzymimi palcami, poczuł coś w rodzaju zachwyty.

Wyszedł na otwartą przestrzeń nim na nowo zdążył ogarnąć go strach. Kobieta poderwała szeroką głowę, a jej nozdrza rozděły się. Apostata uniósł dłoń w przeproszającym geście.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Jestem... mam kłopoty. I miałem nadzieję, że mi pomożesz.

Kobieta zmrużyła oczy w wąskie szparki. Przyjęła niską postawę niczym polujący kot w gotowości do walki.

Zrozumiał, że rozsądniej byłoby sprawdzić, czy kobieta mówi tym samym językiem co on, zanim zaczął z nią rozmawiać.

– Przyszedłem z gór – powiedział, słysząc nutę desperacji we własnym głosie. I coś jeszcze. Niemal niesłyszalny szum krwi w żyłach. Dar pajęczej bogini nakazał kobiecie mu uwierzyć.

– Nie handlujemy z Pierworodnymi – warknęła Yemmurka. – A przynajmniej nie z tymi z po dwakroć zasranych gór. Odejdź stąd i zabierz swoich ludzi.

– Nikogo ze mną nie ma – odparł. Stworzenia w jego krwi ożywiły się, podekscytowane, że potrzebuje ich pomocy. Kobieta przechyliła głowę, gdy zadziałała na nią skradziona magia. – Jestem sam. Nie mam broni. Podróżuję od... tygodni. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc. Za odrobinę jedzenia i ciepłe miejsce do spania. Tylko na tę jedną noc.

– Sam i nieuzbrojony. Przez góry?

– Tak.

Kobieta prychnęła. Miał wrażenie, że go ocenia. Osądza.

– Jesteś głupcem – powiedziała.

– Tak – przyznał. – Jestem. Ale przyjaźnie nastawionym. I bezbronnym.

Minęła bardzo długa chwila zanim kobieta parsknęła śmiechem.

Kazała mu nosić wodę z rzeki do zbiornika, podczas gdy sama wróciła do pracy w ogrodzie. Wiadro zostało wykonane dla yemmurskich dłoni. Był w stanie napełnić je jedynie do połowy, zanim stawało się zbyt ciężkie, by mógł je unieść. Jednak mężnie dźwigał je od małego domku na prosty, drewniany

pomost i z powrotem. Uważał, aby nie zedrzeć sobie skóry, a przynajmniej nie do krwi. Jego gościna stała pod znakiem zapytania i bez konieczności wyjaśniania, skąd brały się pająki.

O zachodzie słońca przygotowała mu miejsce przy swoim stole. Ogień w palenisku wydał mu się trochę zbyt jasny i musiał przypominać sobie, że istot, które kiedyś nazywał braćmi, nie było w pobliżu. Kobieta napełniła miskę gulaszem z kotła wiszącego nad ogniem. Potrawa miała bogaty, głęboki i złożony smak charakterystyczny dla długotrwałego gotowania; kociołka nigdy nie zdejmowano z ognia, co jakiś czas dorzucając do niego nowe kawałki mięsa i warzyw, które akurat były pod ręką. Niektóre kawałki ciemnego mięsiwa pływające w tłustej polewce mogły dusić się od czasu, gdy uciekł ze świątyni. Był to najwspanialszy posiłek, jakiego kiedykolwiek skosztował.

– Mój mężczyzna jest w karawanseraju – powiedziała. – Podobno miał tam zjechać jeden z książąt i prawdopodobnie będą głodni, dlatego zabrał wszystkie świnie. Przy odrobinie szczęścia je sprzeda. Zarobi dość srebra, byśmy mogli przetrwać czas burz.

Słuchał jej głosu i szumu własnej krwi. Ostatnia część była kłamstwem. Kobieta nie wierzyła, że wystarczy im srebra. Zastanawiało go, czy ją to martwi i czy istniał sposób, by ulżyć jej w potrzebie. Mógł przynajmniej spróbować. Zanim odejdzie.

– A co z tobą, biedny durniu? – spytała głosem spokojnym i miłym. – Czyją owcę wychędożyłeś, że błagasz teraz o pracę u mnie?

Apostata zachichotał. Ciepła strawa w brzuchu, ogień w palenisku i myśl o tym, że na zewnątrz czekał na niego siennik okryty cienkim, wełnianym kocem wystarczyły, aby się odprężył. Yemmurka nie spuszczała z niego spojrzenia złotych oczu. Wzruszył ramionami.

– Odkryłem, że wiara w coś nie sprawia, że staje się to prawdą – odparł ostrożnie. – Istniały rzeczy, które zaakceptowałem, w które wierzyłem całym sercem, ale... myliłem się.

– Oszukano cię? – spytała.

– Oszukano – przytaknął, po czym zamilkł. – A może nie. Przynajmniej nie celowo. Niezależnie od tego, jak bardzo się mylisz, nigdy nie będzie kłamstwem to, w co naprawdę wierzysz.

Kobieta gwizdnęła przeciągle – był to niezwykle wyczyn, biorąc pod uwagę jej kły – i zamachała rękami w udawanym podziwieniu.

– Cóż za filozof z tego nosiwody – powiedziała. – Jeszcze trochę i zaczniesz prawić kazania, a potem zażądasz dziesięciny.

– Nie ja – odparł ze śmiechem.

Yemmurka wysiorbała część polewki ze swojej miski. Ogień trzaskał na palenisku. Coś – szczury być może, lub owady – szeleściły w strzesze nad głową.

– Pokłóciłeś się z babą, prawda? – spytała.

– Z boginią – poprawił ją.

– Racja. Zawsze to samo, co? – mruknęła, spoglądając w ogień. – Pojawia się jakaś nowa miłość, zupełnie jakby różniła się czymś od innych. Jakby sam Bóg przemawiał jej ustami. A potem...

Znów prychnęła, na wpół z rozbawienia, na wpół z goryczy.

– A co jest nie tak z tą twoją boginią?

Apostata uniósł do ust coś, co kiedyś mogło być ziemniakiem. Przeżuł miękki miąższ i twardą skórę, z trudem układając w myślach słowa, których nigdy nie powinien był wypowiadać. Drżącym głosem rzekł tylko:

– Zamierza pożreć świat.

Kapitan Marcus Wester

Marcus potarł podbródek zgrubiałą dłonią.

– Yarden?

– Sir? – zamruczał Tralgur u jego boku.

– Ten dzień, w którym wrzucisz mnie do rowu i przejmiesz dowodzenie nad kompanią...

– Tak, sir?

– To jeszcze nie dzisiaj, prawda?

Tralgur skrzyżował na piersi masywne ramiona i zastrzygł pobrękującym uchem.

– Nie, sir – odparł w końcu. – Jeszcze nie dzisiaj.

– Szkoda.

Publiczne więzienie w Vanai służyło kiedyś jako menażeria. W zamierzchłych czasach same smoki kąpały się w wielkiej fontannie umiejscowionej na środku olbrzymiego placu. Na jego skraju ziała głęboka jama, za którą wznosiły się trzy piętra ogromnych klatek. Fasadom ze smoczego jadeitu nadano kształty stworzeń, dawno temu zajmujących przestrzeń za żelaznymi kratami: lwów, gryfów, długich, sześciogłowych węży, wilków, niedźwiedzi i okazałych ptaków o kobiecych piersiach.

Pomiędzy nimi ustawiono kolumny ukształtowane na podobieństwo trzynastu ludzkich ras: spiczastouchych Tralгурów, chitynowych Timzinejczyków, obdarzonych kłami Yemmurów i tak dalej. Posąg Dartinejczyka posiadał nawet niewielkie, ukryte w oczodołach koksowniki, które naśladowały blask oczu charakterystyczny dla jego pobratymców, choć obecnie nikt ich już nie zapalał. Rzeźby nie nosiły żadnych śladów upływu czasu, a ich powierzchnię szpeciły jedynie czarne, wilgotne smugi w miejscach, gdzie kraty przeżarła rdza – erozja nie miała się smoczego jadeitu. Mało co było w stanie go naruszyć. Zniknęły jedynie same zwierzęta. Ich miejsce zajęli ludzie.

Ponurzy, źli lub znudzeni goście vanajskiego wymiaru sprawiedliwości wystawiani byli na widok publiczny, stając się obiektem kpin, na czas oczekiwania na wyrok wymierzany przez wskazanego sędziego. Prawi obywatele mogli paradować po placu, gdzie kilka miedziaków wystarczało do nabycia na straganie odpadków, zazwyczaj owiniętych w szmaty. Młodzi

chłopcy robili widowisko, rzucając odchodami, martwymi szczurami i zgniłymi warzywami w więźniów. Kilka zapłakanych żon i mężów przynosiło zazwyczaj ser i masło, które mieli zamiar przerzucić przez otchłań, ale nawet, gdy podarki docierały do właściwych rąk, w więzieniu było niespokojnie. Z wysokości niskiego murku umiejscowionego na krawędzi wykrotu, Marcus dostrzegł jednego takiego szczęśliwca – Kurtadama z postukującymi koralikami wplecionymi w gęstą sierść, przypominającą gładkością futro wydry – którego pobito za bochen białego chleba, podczas gdy grupa pierworodnych chłopców śmiała się, wytykając go palcami i wyrzaskując w kółko: *stukacz, stukacz, owiec-ruchacz* oraz inne wyzwiska o równie rasistowskim wydźwięku.

W najniższym rzędzie cel siedziało siedmiu mężczyzn. Większość z nich posiadała budowę ciała i blizny charakterystyczne dla żołnierzy. Tylko jeden trzymał się na uboczu, chude nogi zwieszając pomiędzy kratami i machając stopami nad przepaścią. Sześciu wojskowych pochodziło z oddziału Marcusa. Ostatni służył w kompanii jako wiedzący. Teraz wszyscy należeli do księcia.

– Jesteśmy obserwowani – rzekł Tralgur.

– Wiem.

Wiedzący uniósł rękę w smutnym geście. Marcus odpowiedział fałszywym uśmiechem i odrobinę mniej uprzejmym ruchem dłoni. Jego były podkomendny odwrócił wzrok.

– Nie o nim mówię, sir. Tam.

Marcus odwrócił spojrzenie od klatek. Za ledwie ułamek sekundy zajęło mu wypatrzenie mężczyzny, o którym mówił Yardem. Niedaleko od miejsca, gdzie ulica przechodziła w szeroki plac, stał rozluźniony młodzieniec w połacanej zbroi książęcej gwardii. Chwilę zajęło Marcusowi przypomnienie sobie jego imienia.

– No proszę, cóż za zrządzenie losu – rzucił kwaśno.

Gwardzista, widząc, że został zauważony, zasalutował sztywno, po czym ruszył w ich stronę. Miał okrągłą twarz i wąskie barki. Bił od niego zapach cedrowego olejku do kąpieli, zupełnie jakby cały się w nim wymoczył. Marcus wzruszył ramionami, tak jak miał w zwyczaju przed każdą bitwą.

– Kapitan Wester – rzekł gwardzista, robiąc krótki ukłon. – I Yardem Hane. Jak widzę wciąż wszędzie podążasz za kapitanem?

– Sierzant Dossen, mam rację? – rzekł Marcus.

– Teraz już tercjusz Dossen. Książę woli trzymać się starych tytułów. To twoi ludzie?

– Którzy? – spytał kapitan z udawaną niewinnością. – Pracowałem z wieloma ludźmi, tego czy owego dnia. Nie byłbym zdziwiony, gdybym znał bywalców każdego więzienia we wszystkich Wolnych Miastach.

– Wiesz o kim mówię. Zgarnęliśmy ich zeszłej nocy za pijaństwo i wszczynanie burd.

– To się zdarza.

– Więc nie wie pan nic na ten temat?

– Wołałbym nie mówić nic, co mogłoby dotrzeć do uszu sędziego – rzekł Marcus. – Mógłby opacznie zrozumieć moje słowa.

Dossen splunął w przepaść.

– Szanuję, że stara się pan uchronić ich od kłopotów, kapitanie. To jednak nie ma znaczenia. Nadciąga wojna, a książę potrzebuje ludzi. Ci zostali już przeszkoleni. Mają doświadczenie. Zostaną wcieleni do armii. Może nawet dostaną oficerskie szlify.

Marcus poczuł narastający gniew, ciepło w piersi i w żołądku, uczucie, że właśnie stał się o cal wyższy. Podobnie jak wszystkim przyjemnym uczuciom, temu również nie ufał.

– Wygląda pan, jakby miał coś do powiedzenia.

Dossen uśmiechnął się niczym wąż rzeczny.

– Wciąż cieszy się pan nie lada reputacją. Kapitan Wester, bohater spod Gradis i Wodford. Książę potrafiłby to docenić. Mógłby pan pobierać ładny żołd.

– Książęta, baronowie, diukowie. Wszyscy są jak mali królowie – rzekł Marcus, odrobinę ostrzej niż zamierzał. – A ja nie pracuję dla królów.

– Dla tego króla będziesz musiał – skwitował Dossen.

Yardem podrapał się po brzuchu i ziewnął. Był to sygnał dla Marcusa, by ten powściągnął trochę gniew. Kapitan zdjął rękę z rękojeści swego ostrza.

– Dossen, stary druhu, dobra połowa obrońców tego miasta to najemnicy – rzekł w odpowiedzi. – Widziałem Karola Danniana i jego chłopców. Merrisana Koke’a. Twój książę straci ich, jeśli wyda się, że wciela do armii zawodowych żołnierzy, którzy już podpisali z kimś kontrakt...

Gwardzista otworzył szeroko usta z niedowierzania.

– Nie macie podpisanego kontraktu – powiedział.

– Wprost przeciwnie – odparł Marcus. – Mamy chronić karawanę jadącą

do Carse na Północnym Wybrzeżu. Opłacone z góry.

Tercjusz spojrział ponad rozpadliną na uwięzionych mężczyzn, przygnębionego wiedzącego i spływający rdzą jadeit. Gołąb przysiadł na rzeźbionej stopie gryfa, nastroszył perłowo-szare pióra na ogonie, po czym nasrał wiedzącemu na kolano. Jakiś starzec za ich plecami ryknął śmiechem.

– Nie masz dość ludzi – powiedział Dossen. – Twoi strażnicy karawany siedzą za kratkami. Ty i ten twój kundel nie zdołacie chronić całej kolumny we dwóch. Dokumenty mówiły o ośmiu piechurach z łukami i wiedzącym z kompanii.

– A więc jednak czytałeś nasz kontrakt – rzekł Yarem. – I nie nazywaj mnie kundlem.

Dossen zacisnął usta i zmrużył oczy z poirytowaniem. Jego zbroja brzęknęła, gdy wzruszył ramionami, ale dźwięk był zbyt słaby, by świadczyć o czymś innym, niż to, że cały ten metal był jedynie na pokaz.

– Tak, czytałem.

– Jestem jednak przekonany, że nie ma to nic wspólnego z aresztowaniem tych konkretnych ludzi – powiedział Marcus.

– Lepiej będzie, jeśli pójdzie pan ze mną, kapitanie. Miasto Vanai pana potrzebuje.

– Karawana wyrusza za trzy dni – odparł mężczyzna. – A ja wraz z nią. Z kontraktem w kieszeni.

Dossen nawet nie drgnął, ale jego twarz napłynęła krwią. Marcus podejrzewał, że członek książęcej gwardii nie przywykł do tego, że ktoś mu odmawia.

– Myślisz, że jesteś ponad ludźmi takimi jak ja? – spytał Dossen. – Myślisz, że możesz dyktować warunki, a świat cię posłucha? Obudź się, Wester. Jesteś bardzo daleko od pól Ellis.

Yarem charknął, jakby ktoś go czymś zdzielił i pokręcił masywną głową.

– Na twoim miejscu nie wspominałbym Ellis – warknął niskim głosem.

Dossen obrzucił Tralgura pełnym pogardy spojrzeniem, potem przeniósł je na Marcusa, aż w końcu nerwowo odwrócił głowę.

– Nie chciałem okazywać braku szacunku pana rodzinie, kapitanie – powiedział.

– Odejdź stąd – warknął Marcus. – W tej chwili.

Dossen postąpił kilka kroków w tył. Znalazłszy się tuż poza zasięgiem

pchnięcia ostrzem, zatrzymał się.

– Macie trzy dni zanim karawana wyruszy – powiedział.

Reszta była jasna. *Znajdźcie sposób, by nie wypełnić warunków kontraktu i stawcie się u księcia. Czy to się wam podoba czy nie.* Marcus nie odezwał się ani słowem. Tercjusz odwrócił się i ruszył w stronę placu.

– To może być problem – rzekł Yarem.

– W rzeczy samej.

– Potrzebujemy ludzi.

– Istotnie.

– Ma pan jakiś pomysł, skąd ich weźmiemy?

– Nie.

Marcus rzucił ostatnie rozpaczliwe spojrzenie w stronę ludzi, którymi jeszcze niedawno dowodził, pokręcił głową, po czym zostawił menażerię za plecami.

Vanai stanowiło kiedyś port morski u ujścia rzeki Taneish, ale wieki osadzania się mułu sprawiły, że rzeka wpadała teraz do morza w odległości kilku godzin drogi na południe. Miasto oplatała sieć kanałów i dróg wodnych. Płaskodenne łodzie wciąż przyplływały i odpływały do mniejszego, młodszego miasta Newport, przewożąc zboże, wełnę, srebro i drewno z północnych krain.

Podobnie jak wszystkie Wolne Miasta, Vanai miało za sobą historię konfliktów. Było już republiką, której przewodziła rada wyłoniona w drodze losowania, prywatną własnością monarchy, a także sprzymierzeńcem lub wrogiem Birancour albo Rozdartego Tronu, w zależności od tego, z której strony wiał wiatr. Stanowiło zarówno centrum kultu religijnego, jak i zarzewie buntu przeciw niemu. Każde z tych wcieleń zostawiło po sobie jakiś ślad w białym drewnie budynków, obskurnych kanałach, wąskich uliczkach i otwartych placach.

Tu wciąż stała na straży starożytna brama, gotowa bronić dostępu do sal Wspólnej Rady, choć ostatni z jej przedstawicieli nie żyli już od kilku pokoleń. Tam znów wznosił się szlachetny posąg z brązu przedstawiający mądrą i pełną powagi postać biskupa w szatach liturgicznych i mitrze, pokryty patyną i ptasimi odchodami. Na budynkach wisiały drewniane i kamienne tabliczki, które umieszczono tam na przestrzeni tysiąca lat historii, sprawiając, że jedna uliczka mogła nosić tuzin nazw. Żelazne bramy znaczyły granice dwudziestu maleńkich dzielnic politycznych, pozwalając księciu na

zmianę dróg podług własnego uznania, ale i na obronę przed zamieszkami i spiskami.

Jednak o wiele bardziej niż na architekturze, historia Vanai odcisnęła swoje piętno na charakterze jego mieszkańców.

Timzinejczycy i Pierworodni stanowili tu najczęstszy widok, ale płomiennoocy, pozbawieni owłosienia Dartinejczycy, patykówaci i bladzi Cinnejczycy, a także pokryci brązowymi łuskami Jasurowie również posiadali własne dzielnice za szerokimi, białymi murami miasta. Czas i doświadczenia nadały im wszystkim wyrafinowanego cynicznego szlif. Idąc wąskimi uliczkami wzdłuż kanałów o barwie intensywnej zieleni, Marcus dostrzegał całe mnóstwo świadczących o tym, drobnych sygnałów. Pierworodni kupcy, lojalni księciu, oferowali żołnierzom zniżki na towary, których cena została celowo zawyżona. Pijalnie piwa i cyrulicy, garbarze i szewcy, i wszyscy inni rzemieślnicy przygotowywali nowe szyldy w języku Cesarskiej Antei, by interes mógł kręcić się nieprzerwanie nawet po przegranej wojnie. Starzy Timzinejczycy, których ciemne łuski zszarzały i spękały, siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przy stolikach na nabrzeżu, rozmawiając o poprzedniej rewolucji, kiedy to ojciec księcia obalił republikańskie rządy. Ich wnuczki spacerowały grupkami, ubrane w cienkie białe sukienki o niemal imperialnym kroju, a czarne, pokryte łuskami nogi dziewczynek poruszały się pod tkaniną na podobieństwo cieni.

Tak, zginie kilku żołnierzy. Tak, spłonie kilka budynków. Kilka kobiet zostanie zgwałconych. Ktoś straci całą fortunę. Miasto było w stanie przetrwać to wszystko, podobnie jak wcześniej. Nikt nie spodziewał się, że nieszczęście dotknie go osobiście. Ducha tego miejsca można by podsumować wzruszeniem ramion.

Na zielonych błoniach trupa teatralna rozstawiała podniszczony wóz. Opuszczono jeden z jego boków, tworząc niską scenę obwieszoną brudnymi, żółtymi wstążkami. Stojący przed nią niewielki tłumek gapiów sprawiał wrażenie równie zaciekawionego, co sceptycznego. Gdy Marcus przechodził obok, zza zasłony ze wstążek wyszedł starzec. Miał nastroszone włosy, a jego broda sterczała na wszystkie strony.

– Stójcie! – zawołał mężczyzna głębokim, rezonującym głosem. – Przerwijcie swe zajęcia i zbliżcie się! Wysłuchajcie opowieści o Alerenie Zabójcy i Mieczu Smoków! Lecz jeśli jesteście słabego serca, idźcie dalej. Jest to bowiem opowieść o niezwykłej przygodzie. Miłość, wojna, zdrada i

zemsta zagoszczą teraz na tych wysłużonych deskach, ale ostrzegam was...

Aktor wydawał się teraz zaledwie szeptać, choć jego głos niósł się wyraźnie, jakby wciąż krzyczał.

– ...nie wszyscy dobrzy bohaterowie dobrze kończą. Nie każde zło spotyka zasłużona kara. Podejdźcie bliżej, przyjaciele, ale pamiętajcie, że w naszej opowieści, podobnie jak w życiu, *wszystko* może się zdarzyć.

Marcus nie zdawał sobie sprawy z tego, że przystanął, dopóki nie odezwał się Yardem.

– Dobry jest.

– Prawda?

– Ma pan ochotę obejrzeć kawałek, sir?

Marcus nie odpowiedział, ale wraz z resztą tłumu zbliżył się do sceny. Sztuka opowiadała w miarę standardową historię. Starożytne proroctwo, zło z samych czeluści piekieł i artefakt ze Smoczego Cesarstwa przeznaczony bohaterowi. Kobieta odgrywająca postać pięknej dziewicy była może trochę za stara, natomiast mężczyzna grający rolę bohatera nieco zbyt miękki, ale kolejne partie tekstu recytowano z przekonaniem, zaś cała trupa sprawiała wrażenie profesjonalnie przygotowanej. Marcus wypatrzył w tłumie długowłosą kobietę oraz chudego jak szczapa młodzieńca, którzy śmiali się we właściwych momentach i uciszali krzykaczy – para ta była zapewne podstawionymi aktorami. Jednak za każdym razem, gdy na scenę wychodził mężczyzna zapowiadający przedstawienie, Marcus zupełnie gubił bieg myśli.

Staruszek wcielał się w rolę Orcusa, Króla Demonów, ale robił to w sposób tak promieniujący złem i patosem, że łatwo było zapomnieć, iż to jedynie przedstawienie. Gdy Aleren Zabójca ciął Mieczem Smoków, a z piersi Króla Demonów trysnęła jucha, Marcus musiał powstrzymać się przed sięgnięciem po własne ostrze.

Ostatecznie, mimo ostrzeżeń narratora, dobro zatriumfowało, zło zostało pokonane, natomiast aktorzy wyszli na scenę, by ukłonić się widowni. Marcusa zaskoczył aplauz; tłum urósł dwukrotnie, a on nawet tego nie zauważył. Nawet Yardem klaskał w dłonie ogromne jak talerze i szeroko się uśmiechał. Marcus wyłowił srebrnika z sakiewki ukrytej pod koszulą, po czym rzucił go na scenę. Moneta wylądowała na deskach z głośnym stuknięciem, a już w chwilę później Król Demonów Orcus machał i kłaniał się publiczności w małym deszczu pieniędzy. Mężczyzna podziękował wszystkim za ich hojność i uprzejmość w taki sposób, że nawet odchodząc,

Marcus wciąż miał wrażenie, że wszyscy ludzie rzeczywiście są hojni i uprzejmi.

Wczesnojesienne słońce opadało ku horyzontowi. Białe miasto zaśniło na złoto. Widownia zaczęła znikać spod sceny, zbijając się w dwu, trzyosobowe grupki przemierzające trawiaste błonia. Marcus usiadł na kamiennej ławie pod żółknącym dębem, obserwując aktorów składających swój dobytek. Sfora roześmianych pierwotnych dzieci opadła trupę i została przegnana z uśmiechami na twarzach. Kapitan oparł się plecami o pień, kontemplując ciemniejące niebo pomiędzy konarami drzewa.

– Ma pan plan – powiedział Yarem.

– Mam?

– Tak, sir.

To była niezła sztuka. Z niewielką obsadą. Aleren Zabójca i jego towarzysz. Piękna dziewczyna. Król Demonów Orcus. I jeszcze jeden mężczyzna odgrywający pomniejszych role wieśniaka, demona albo szlachcica, w zależności od noszonego akurat nakrycia głowy. Pięcioro aktorów obsadzających całą sztukę. A do tego dwójka klakierów w tłumie...

Siedem osób.

– Ach – mruknął Marcus. – W rzeczy samej.

Siedem osób siedziało przy szerokim, okrągłym stole, popijając piwo i zajadając się serem oraz kiełbasą, za które Marcus wysupłał zapłatę z malejącego w oczach trzosa. Dwójką z tłumu okazali się być chudy Mikel i długowłosa Cary. Młodzieniec grający bohatera miał na imię Sandr, podstarzałą dziewczyną była Opal, towarzyszem bohatera Hornet, natomiast aktorem od wszystkiego – Smit. Yarem siedział wraz z nimi, z szerokim, łagodnym uśmiechem na twarzy, przypominając troskliwą sukę w otoczeniu szczeniaków.

Marcus usiadł przy oddzielnym stoliku z Orcusem, Królem Demonów.

– A mnie – rzekł staruszek – nazywają Kitap rol Keshmet, między innymi. Najczęściej jednak mawia się o mnie mistrz Kit.

– Raczej nie spamiętam wszystkich tych imion – odparł najemnik.

– Będziemy ci przypominać. Wątpię, by ktoś brał to do siebie – powiedział mistrz Kit – szczególnie, jeśli dalej zamierzasz stawiać napitki.

– Słuszna uwaga.

– Co prowadzi nas do kolejnego pytania, nieprawdaż, kapitanie? Śmiem twierdzić, że nie sprowadził nas pan tutaj przez wzgląd na swoją

niepohamowaną miłość do sztuki?

– Nie.

Mistrz Kit uniósł brwi w niemym pytaniu. Poza sceną i bez charakteryzacji wyglądał na interesującego mężczyznę. Miał pociągłą twarz i stalowo-szare włosy. Ciemnooliwkowy ton jego skóry przypominał Marcusowi pierworodnych mężczyzn zamieszkujących pustynię po drugiej stronie Wewnętrznego Morza, natomiast jego oczy były tak ciemne, że Wester podejrzewał wpływ południowej krwi w niedalekiej przeszłości.

– Książę chce siłą wcielić mnie do swojej armii – rzekł kapitan.

– Rozumiem – odparł starzec. – Sami straciliśmy w ten sposób dwóch naszych. Standr to dubler. Wstaje jeszcze przed świtem, by przeciwzić kwestie.

– Wolałbym nie pracować dla księcia. A dopóki jestem związany prawomocnym kontraktem, problem ten nie będzie mnie dotyczyć.

– Problem?

– Unikając branki, skończę na polu bitwy albo na cmentarzu. A nie zamierzam walczyć dla Vanai.

Mistrz Kit zmarszczył krzaczaste brwi, które wygięły się niczym gąsienice.

– Proszę mi wybaczyć, kapitanie. Czy właśnie usłyszałem z pańskich ust, że ta sprawa jest dla pana kwestią życia lub śmierci?

– Tak.

– Wydaje się pan nieporuszony tym faktem.

– To nie pierwsza taka sytuacja.

Aktor opadł plecami na oparcie krzesła, splatając palce na płaskim brzuchu. Wyglądał na pogrążonego w myślach i spokojnego, ale jednocześnie zaciekawionego. Marcus pociągnął łyk piwa. Smakowało drożdżami i melasą.

– Nie sądzę, by udało się ukryć was obu – rzekł starzec. – Pana, być może. Mamy sposoby na to, by człowiek przestał przypominać samego siebie, ale Tralgur tak daleko na zachodzie? Jeśli książę będzie wiedział kogo szukać, to obawiam się, że podróżowanie z pańskim przyjacielem będzie przypominać wywieszanie flagi. Schwytają nas.

– Nie chcę dołączać do waszej trupy – powiedział Marcus.

– Nie? – zdziwił się mistrz Kit. – Więc o czym mówimy?

Przy drugim stoliku długowłosa kobieta wdrapała się na krzesło, przyjęła

szlachetną pozę i zaczęła deklamować „Obrządek Św. Anciana”, komicznie przy tym sepleniąc. Pozostali śmiali się, za wyjątkiem Yardema, który jedynie rozciągnął usta w rozbawieniu, strzygąc przy tym uszami. Cary. Miała na imię Cary.

– Chcę, by wasza trupa do mnie dołączyła. Wkrótce wyrusza stąd karawana do Carse.

– Istotnie, nazywamy siebie zespołem wędrownym – przyznał mistrz Kit. – Myślę też, że Carse to dobre miejsce na występy. Poza tym nie byliśmy tam od lat. Ale wciąż nie rozumiem, w jaki sposób przyłączenie nas do karawany miałoby wam pomóc.

– Książę odebrał mi ludzi. Chcę, byście ich zastąpili. Odegracie role strażników.

– Mówi pan poważnie.

– Tak.

Mistrz Kit parsknął śmiechem, kręcąc głową.

– Nie jesteśmy wojownikami – powiedział. – Na scenie to tylko taniec i odrobina aktorstwa. Wątpię, byśmy poradzili sobie w starciu z prawdziwymi żołnierzami.

– Nie potrzebuję, byście *stali się* strażnikami – rzekł Marcus. – Proszę jedynie, byście *odegrali* ich role. Bandyci nie są głupi. W pierwszej kolejności oceniają swoje szanse, podobnie jak wszyscy. Karawany padają ich łupem, ponieważ nie dysponują odpowiednią liczbą uzbrojonych ludzi lub przewożą coś wartego ryzyka. Jeśli ubierzemy twoich ludzi w skórzane zbroje i damy im łuki, nikt nie będzie zastanawiał się, czy umieją się nimi posługiwać. Ładunek z kolei nie jest wart takiego zachodu.

– Nie?

– To jedynie cyna i żelazo. Niefarbowana wełna. Trochę wyrobów skórzanych – wyjaśnił Wester. – Mężczyzna ze Starej Dzielnicy zwany mistrzem Willem założył towarzystwo kupieckie gotowe wysłać swoje towary tak blisko frontu, jak to możliwe, mając nadzieję, że walki dobiegną końca, zanim otrzymają zapłatę. To niewielkie przedsięwzięcie o niskim ryzyku. Na miejscu bandytów nawet bym się nie zastanawiał.

– Dobrze płacą?

– Bardzo dobrze – odparł Marcus.

Mistrz Kit skrzyżował ręce na piersi, marszcząc brwi.

– Cóż, przyzwolicie – poprawił się najemnik. – Jak na taką robotę. Poza

tym dzięki temu twoi ludzie znajdą się z dala od kłopotów. Nawet podczas niewielkich, dżentelmeńskich wojenek takich jak ta, dochodzi do rozlewu krwi, a w waszej trupie są kobiety.

– Myślę, że Cary i Opal umieją o siebie zadbać – rzekł starszy mężczyzna.

– To nie wystarczy, jeśli miasto zostanie splądrowane. Książęta i cesarstwa nie dbają o to, czy kilka aktorek zostanie zgwałconych i zabitych. Ludzie waszego pokroju nic dla nich nie znaczą i szeregowi żołnierze dobrze o tym wiedzą.

Aktor spojrział w kierunku większego stołu. Wyglądało na to, że równocześnie toczy się przy nim kilka dyskusji. Część uczestników zdawała się brać udział we wszystkich naraz. Spojrzenie mistrza Kita złągodniało.

– Wierzę panu, kapitanie.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, przerywanej trzaskaniem ognia w palenisku, głosami pozostałych, którzy prowadzili ożywione rozmowy albo postukiwaniem drzwi i okiennic szarpanych chłodnym, wieczornym wiatrem. Komin miał słaby ciąg, przez co od czasu do czasu do pomieszczenia wpadał ciemniejszy kłęb dymu. Aktor pokręcił głową.

– Mogę o coś spytać? – rzekł w końcu.

– Słucham.

– Znam pańską reputację. Odnoszę też wrażenie, że jest pan człowiekiem po wielu przejściach, któremu życie nie szczędziło razów. Praca strażnika małej karawany z Wolnych Miast wydaje mi się dość dziwnym zajęciem, dla kogoś takiego jak pan.

– To nie jest pytanie – rzekł Marcus.

– Dlaczego pan to robi?

Wester wzruszył ramionami.

– Jestem zbyt uparty, by umrzeć – odparł, starając się, by zabrzmiało to jak dowcip.

Uśmiech mistrza Kita można byłoby uznać za litościwy, gdyby nie kryło się za nim jakieś cierpienie.

– W to również jestem skłonny uwierzyć, kapitanie. Cóż, potrzebuje pan dziewięciu żołnierzy do ochrony ostatniej karawany z wolnego Vanai?

– Ośmiu – powiedział Marcus. – Ośmiu żołnierzy i wiedzącego.

Mistrz Kit wbił spojrzenie w pokryty sadzą sufit.

– Zawsze chciałem zagrać wiedzącego – skwitował.

Sir Geder Palliako Spadkobierca tytułu wicehrabiego Rivenhalm

Gdyby Geder Palliako nie rozmyślał nad swoim przekładem, zapewne by się uratował. Książka, o której mowa, stanowiła spekulatywny esej na temat Utopionych napisany przez na wpół zdyskredytowanego filozofa z księstwa C'Annaldé. Geder znalazł ją w skrytorium w Camnipol i, przygotowując się do długiego marszu na południe do Wolnych Miast, postanowił zostawić zapasową parę butów, by zrobić dla niej miejsce. Język w jakim ją napisano był archaiczny i niejasny. Skórzana obwoluta nie pochodziła z oryginału, karty księgi przybrały niemal brązową barwę ze starości, a tusz wyblakł.

Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Woskowana tkanina, z której wykonano jego namiot, była tańsza niż jej skórzane odpowiedniki, ale powstrzymywała najgorszy chłód. Nogi i plecy bolały go po długiej jeździe. Wnętrza ud miał poobcierane. Na dodatek musiał rozchełstać dół kamizeli, by zrobić brzuchowi nieco miejsca. Odziedziczył sylwetkę po ojcu. Zwykł powtarzać, że to wynik rodzinnej klątwy. Miał w najlepszym wypadku godzinę, zanim będzie zmuszony ułożyć się do snu. Cały ten czas spędził na składanym zydlu, pochylony nisko nad książką, odcyfrowując kolejne słowa i całe wyrazy.

„W przeciwieństwie do dzikich zwierząt, ludzkość nie musi odnosić się do abstrakcyjnego, mitycznego Boga, by zrozumieć powód swego istnienia. Za wyjątkiem niezmiennych, zwierzęcych Pierworodnych, każda ludzka rasa jest wyrazem dążenia do jakiegoś celu. Wschodnie rasy – Yemmurowie, Tralgurowie i Jasurowie – zostały ewidentnie stworzone jako narzędzia wojny; Raushadamowie to trefnisie i artyści; Timzinejczycy – najmłodsza z ras – to lud parający się pszczelarstwem i innymi lekkimi pracami; Cinnejczycy, w tym ja, stanowią natomiast świadome skupisko mądrości i filozofii, i tak dalej.

Lecz co z Utopionymi? Jako jedyna ludzka rasa, Utopieni wydają się posiadać formę bez celu. Popularna teoria stawia to nasze młodsze rodzeństwo na równi z roślinami i powolnymi istotami z zachodnich kontynentów. Ich sporadyczne zgromadzenia w basenach pływowych wskazują raczej na działanie prądów morskich aniżeli przejaw ludzkiej woli. Niektórzy romantycy sugerują, że Utopieni realizują jakiś głęboki plan

zainicjowany przez smoki, który wcielany jest w życie nawet po śmierci jego autorów. To na wskroś romantyczna myśl, którą można sobie darować.

Mnie natomiast wydaje się jasne, że Utopieni stanowią najczystszy przejaw człowieczeństwa jako środka wyrazu artystycznego i jako taki...”

A może *intencja estetyczna* byłaby trafniejszym określeniem niż wyraz *artystyczny*? Geder potarł oczy. Było późno. Za późno. Jutro czekał go cały dzień jazdy na południe, a potem jeszcze jeden. Jeśli Bóg będzie im sprzyjał, w ciągu tygodnia dotrą do granicy, gdzie poświęcą dzień, a w najgorszym wypadku dwa, na wybór dogodnego pola bitwy, kolejny na zmiżdżenie miejscowych sił i w końcu będzie mógł położyć się do prawdziwego łóżka, zjeść prawdziwą strawę i napić wina, które nie smakuje skórzanym bukłakiem. Jeśli tylko uda mu się dotrzeć tak daleko.

Geder odłożył książkę na bok. Przeczesał palcami włosy, zadowolony z braku wszy. Obmył twarz i ręce, po czym na nowo zasnuł kamizelę przed krótką wyprawą do wychodka będącego ostatnim przystankiem na drodze do łóżka. Tuż przed namiotem jego giermek – kolejny dar od ojca – spał zwinięty w kłębek na dartinejską modłę. Oczy pod powiekami lśniły mu bladoczerwonym blaskiem. Za nim rozciągało się wojskowe obozowisko przypominające ruchome miasto.

Okoliczne pagórki znaczyły ogniska, wypełniając powietrze zapachem gotowanej soczewicy. Wszystkie wozy ustawiono na środku obozowiska, natomiast muły, konie i niewolników umieszczono w przylegających zagrodach. Z północy wiał zimny wiatr. Był to dobry znak. Oznaczał brak deszczu. Księżyc wisiał nisko na niebie, a jego wąski sierp oferował niewiele światła, dlatego Geder posuwał się naprzód bardzo ostrożnie.

Wciąż obracał w głowie słowa eseju. Żałował, że nie podróżuje z nim ktoś, z kim mógłby przedyskutować jego treść, jednak tego typu rzeczy nie uważano za dostatecznie męskie. Poezja. Jazda konna. Łucznictwo. Fechtunek. Nawet historia, jeśli opisywało się ją odpowiednimi słowami. Jednak czytanie spekulatywnych esejów było czymś w rodzaju grzesznej przyjemności, którą lepiej skrywać przed współtowarzyszami. Wystarczyło, że naśmiewali się z rozmiarów jego brzucha. Nie było sensu dawać im do rąk kolejnych argumentów. Lecz jeśli nie *intencja estetyczna...* to czy cinnejski autor *naprawdę* twierdził, że Utopieni zostali stworzeni wyłącznie jako ozdoba dla wybrzeża?

Wychodek – niewielki, materiałowy namiot z dwiema prostymi deskami

przerzuconymi nad dołem kloacznym – był pusty. Geder ściągnął rajtuzy, wciąż rozmyślając nad subtelnościami przeczytanego tekstu. Poczłł słodkawy zapach przebijający się przez smród odchodów, ale nie przypisał temu żadnego znaczenia. Usiadł gołym tyłkiem na deskach, westchnął i o sekundę za późno zaczął zastanawiać się, dlaczego wychodek pachniał trocinami.

Deski załamały się pod jego ciężarem. Geder krzyknął, lecąc w tył, prosto w cuchnące bagnisko łajna i szczyn. Jedna z desek odbiła się od ścianki dołu kloaczego, uderzając go w ramię. Upadek sprawił, że na chwilę stracił oddech. Leżał w śmierdzącej ciemności, podczas gdy jego kurta i rajtuzy nasiąkały ściekową wilgocią i chłodem.

Z góry doszły go śmiechy. A potem rozbłysło światło.

Ściągnięto osłony z czterech latarni, które teraz zawisły nad jego głową. Światło skrywało twarze trzymających je mężczyzn, ale jemu wystarczyły głosy. Jego tak zwanych przyjaciół i towarzyszy broni. Jorey'a Kalliamy, syna barona Wzgórz Osterling. Sir Gospey'a Allintota. Sodaia Carvenallina, sekretarza Arcymarszałka. I, co najgorsze, sir Alana Klina, kapitana kompanii, jego bezpośredniego przełożonego i człowieka, któremu powinien raportować nieprzyzwoite zachowania swoich kompanów. Geder wstał. Jego głowa i ramiona ledwie wystawały ponad dół, tymczasem pozostali mężczyźni głośno wyrażali swoje rozbawienie.

– Bardzo śmieszne – rzekł Geder, wyciągając w górę poplamione gównem dłonie. – A teraz pomóżcie mi stąd wyjść.

Jorey chwycił go za ramię i wyciągnął na górę. Trzeba mu było oddać, że nie cofnął się, pomimo syfu, w który go wpakowali. Rajtuzy Gedera wisiały na wysokości jego kolan, przemoczone i cuchnące. Chłopak stał przez chwilę w świetle latarni, zastanawiając się, czy założyć je z powrotem czy też wyjść z namiotu obnażonym od pasa w dół. Z westchnieniem naciągnął je wreszcie z powrotem na tyłek.

– Byłeś naszą ostatnią nadzieją – powiedział Klin, klepiąc Gedera po ramieniu. Po policzkach ciekły mu łzy rozbawienia. – Wszyscy inni zauważyli, że coś jest nie tak. Cóż, może poza Sodaitem, ale on jest za chudy, żeby połamać deski.

– Doprawdy, wspaniały dowcip – odparł kwaśno Geder. – A teraz pozwolicie, że znajdę coś czystego do...

– Ach, nie – rzekł Sodaia ze swoim nosowym, wielkopańskim akcentem. –

Proszę, przyjacielu. Nie psuj tej nocy. To jedynie żart! I tak to potraktuj.

– To prawda – zawtórował mu Klin, obejmując Gедера ramieniem. – Musisz pozwolić nam ci zadośćuczynić. Chodźcie, przyjaciele! Do namiotów!

Czterej mężczyźni wytoczyli się na zewnątrz, ciągnąc Gедера za sobą. Z całej czwórki jedynie Jorey wydawał się okazywać mu jakiegokolwiek zrozumienie, a i to jedynie dlatego, że milczał.

Przez całe dzieciństwo Geder zastanawiał się, jak będzie wyglądać jego służba dla króla, gdy wyruszy na wojnę, by dowieść swej przebiegłości oraz siły ramienia. Czytał o dumnych wojownikach z dawnych czasów i słyszał zakrapiane winem anegdoty swego ojca o przyjaźniach i towarzyszach broni.

Rzeczywistość go rozczarowała.

Namiot kapitana wykonany został z ciężkich skór rozpiętych na metalowym stelażu. Wnętrze urządzono z większym przepychem niż dom rodzinny Gедера. Z sufitu zwisały jedwabie. W palenisku płonął wielki ogień, a cały dym uciekał przez komin z pocerniałej skóry zawieszony na pięknie kutym łańcuchu. Bijący od niego żar przywodził na myśl najgorętsze dni lata, ale za to tuż obok przygotowano balię z wodą, dzięki czemu Geder nie zmarzł, gdy ściągał z siebie cuchnące ubrania. Pozostali zdjęli rękawice i kurty, zabrudzone pod wpływem kontaktu z Gederem, po czym wszystko zostało zabrane przez timzinejskiego niewolnika.

– My, moi przyjaciele, jesteśmy chlubą i nadzieją Antei – powiedział Klin, napełniając głęboki dzban winem.

– Za króla Simeona! – krzyknął Gospey.

Kapitan wcisnął naczynie w dłoń Gедера, a sam został z bukłakiem.

– Za królestwo i cesarstwo – rzekł. – I mór na tych parweniuszy z Vanai!

Wszyscy poderwali się na równe nogi. Geder stał w balii, ociekając wodą. Pozostanie w pozycji siedzącej w takiej sytuacji oznaczałoby pomniejszą zdradę stanu. Był to pierwszy toast z wielu. Wiele można byłoby zarzucić sir Alanowi Klinowi, lecz nie to, że skąpił wina. A jeśli Geder miał wrażenie, że w jego dzbanie jest przez cały czas nieco więcej trunku niż w naczyniach pozostałych, to bez wątplenia był to znak skruchy kapitana, forma przeprosin za wcześniejszy żart.

Sodai zaczął recytować swój ostatni sonet, sprośny hołd dla jednej z bardziej popularnych dziwek, które ciągnęły za taborem. Klin dopełnił jego występ, wymyślając na poczekaniu przemowę na temat męskich cnot w

postaci siły ramienia, wyrobionego smaku i jurności w alkwie. Jorey i Gospey zagrali wesołą piosenkę na bębenku i fujarce z trzciny. Ich głosy pięknie się zgrywały. Gdy przyszła kolej Gедера, mężczyzna wstał ze stygnącej kąpieli, wyrecytował niedwuznaczny wierszyk i wykonał króciutki taniec, który się z nim łączył. Było to coś, czego nauczył go ojciec, gdy pewnego razu zajrzeli głębiej do kielicha. Geder nigdy nie podzielił się tym z nikim spoza rodziny. Dopiero, gdy skończył i zobaczył, że jego kamraci pokładają się ze śmiechu, zaczął zastanawiać się, jak bardzo pijany musiał być, żeby powtórzyć to tutaj. Uśmiechnął się, by ukryć nagłe zażenowanie. Czyżby właśnie stał się współwinnym własnemu poniżeniu? Jego uśmiech wywołał u pozostałych nowy napad śmiechu, dopóki Klin, z trudem chwytając powietrze, nie poklepał dłonią podłogi, pokazując Gederowi, że może już usiąść.

Był ser, kiełbasy i więcej wina. Podpłomyki, korniszony i jeszcze więcej wina. Rozmawiali o rzeczach, za którymi Gederowi trudno było momentami nadażyć, nie mówiąc nawet o ich spamiętaniu. W pewnym momencie złapał się na prowadzeniu mętnego wyводу na temat Utopionych jako środka wyrazu artystycznego lub intencji estetycznej.

Obudził się w swoim namiocie z woskowanej tkaniny. Był zmarznięty, obolały i nie mógł przypomnieć sobie drogi powrotnej. Do środka próbowały wdrzeć się słabe, ale nieustępliwe promyki światła świadczące o nadciągającym poranku. Na zewnątrz gwizdał wiatr. Geder naciągnął koc na głowę niczym przekupka chustę i zmusił się do przymknięcia powiek jeszcze na kilka minut. Macki powracającego snu dosięgły już jego umysłu, kiedy odgłos sygnału na zbiórkę uciął wszelkie nadzieje na dalszy wypoczynek. Geder podniósł się z trudem, założył świeży mundur i ściągnął włosy z tyłu głowy. Jego trzewia głośno protestowały. W głowie toczyła się wewnętrzna walka pomiędzy bólem a nudnościami. Gdyby zwymiotował wewnątrz namiotu, nikt by tego nie zauważył, ale jego giermek musiałby posprzątać bałagan, zanim wyruszyliby w dalszą drogę. Gdyby natomiast postanowił wyjść na zewnątrz, ktoś na pewno by go dostrzegł. Zaczął zastanawiać się, ile wypił poprzedniej nocy. Rozległ się drugi sygnał. Nie było na to czasu. Zaciśnął zęby i ruszył w kierunku namiotu kapitana.

Kompania stała w karnych szeregach, Kalliam, Allintot i dwa tuziny innych rycerzy, spośród których wielu zdążyło już przywdziać paradne zbroje. Za nimi tłoczyli się sierżanci oraz pięć rzędów zbrojnych. Geder

Palliako starał się stać na baczność, wiedząc, że ludzie za jego plecami będą oceniać szanse na zwycięstwo i przeżycie na podstawie jego kompetencji. Dokładnie tak samo, jak on polegał na kapitanie i wyżej od niego postawionym lordzie Terniganie, arcy marszałku dowodzącym całą armią.

Sir Alan Klin wyszedł przed swój namiot. W chłodnym świetle poranka wyglądał niczym ucieleśnienie idealnego wojownika. Białe włosy ściągnął z tyłu. Jego mundur miał barwę tak głębokiej czerni, że wydawał się być skrojony z ciemności. Barczyste ramiona i sterzący podbródek przywodziły na myśl ożywiony posąg. Dwaj obozowi niewolnicy przynieśli podium, które ustawili u stóp mężczyzny. Kapitan wszedł na podwyższenie.

– Żołnierze – powiedział. – Wczoraj otrzymaliśmy od lorda Ternigana nowe rozkazy. Vanai zawiązało sojusz z Maccią. Nasi zwiadowcy donoszą, że sześciuset piechurów jest już w drodze, by wzmocnić garnizon Vanai.

Kapitan zrobił pauzę, pozwalając, by nowa wiadomość dotarła do wszystkich. Geder zmarszczył brwi. Maccia nie była naturalnym sojusznikiem Vanai. Oba miasta od dawna skakały sobie do gardeł, walcząc o kontrolę nad rynkami przypraw i tytoniu. Czytał, że Vanai wzniesiono z drewna, *głównie* dlatego, że Maccia kontrolowała kamieniołomy, podczas gdy drewno spływało rzeką z północy. Z drugiej strony być może gra toczyła się o stawkę, o której on nie miał bladego pojęcia.

– Te posiłki nie uratują Vanai – rzekł Alan. – Przede wszystkim dlatego, że gdy dotrą na miejsce, zastaną tam nas.

Geder jeszcze mocniej zmarszczył brwi, czując, że w żołądku narasta mu nieprzyjemne uczucie. Podróż z Maccii do Vanai drogą wodną zajmowała około pięciu dni. Oni natomiast znajdowali się o przynajmniej tydzień drogi od granicy. By dotrzeć do Vanai przed posiłkami musieli...

– Dziś zaczynamy forsowny marsz – powiedział Alan. – Będziemy spać w siodłach. Będziemy jeść w drodze. A za cztery dni, uderzymy na Vanai z zaskoczenia i pokażemy im, co znaczy potęga Rozdartego Tronu! Za króla!

– Za króla! – krzyknął Geder w chórze z innymi, unosząc dłoń do salut, choć w rzeczywistości miał ochotę się rozpłakać.

Wiedzieli. Wiedzieli już zeszłej nocy. Geder czuł ból wzbierający w kręgosłupie i udach. Łupanie w skroniach podwoiło siłę. Gdy wszyscy powoli zaczęli się rozchodzić, Jorey Kalliam posłał mu krótkie spojrzenie, po czym odwrócił wzrok.

To na tym polegał żart. Wrzucenie go do dołu kloaczego stanowiło

jedynie początek. Potem wystarczyło zmusić durnia, żeby przyjął przeprosiny. Zafundować mu ciepłą kąpiel. Napełnić jego brzuch winem. Zachęcić do tańca. Wspomnienie tego, jak recytował sprośny wierszyk swojego ojca i tańczył w balii pełnej wody wróciło do niego niczym cios nożem w plecy. A wszystko po to, by mogli wydać rozkaz o forsownym marszu, podczas gdy gruby idiota Palliako będzie próbował nie zrzygać się, stojąc w szeregu. Odebrali mu ostatnią noc snu i przez kilka kolejnych dni będą mogli patrzeć, jak cierpi.

Towarzysze broni. Bractwo wojenne. Ciepłe, nic nieznaczące słowa. Tutaj było tak samo jak w domu. Silni naigrywali się ze słabych. Piękni gardzili brzydkimi. Zawsze i wszędzie to ci, którzy posiadali władzę, decydowali o tym, kto dostąpi łask, a kogo można traktować z góry. Geder sztywnym krokiem wrócił z powrotem do namiotu. Jego giermek przygotował już grupę niewolników gotowych do złożenia całego dobytku. Mężczyzna zignorował ich i skrył się we wnętrzu konstrukcji, chcąc zaznać ostatnich chwil prywatności przed bitwą, wciąż oddaloną o kilka dni. Sięgnął po książkę.

Nie znalazł jej tam, gdzie ją zostawił.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu lodowaty dreszcz, który nie miał nic wspólnego z jesienną pogodą.

Był pijany, gdy wrócił. Mógł ją przełożyć. Mógł próbować ją czytać przed snem. Geder przeszukał swój barłóg, potem sprawdził pod łóżkiem. Przejrzał wszystkie mundury, a potem drewniane i skórzane skrzynie, w których trzymał inne rzeczy. Książki nigdzie nie było. Czuł swój przyspieszony oddech. Policzki zaczęły go palić, choć nie był w stanie powiedzieć, czy powodem był wstyd czy gniew. Wyszedł z namiotu. Niewolnicy natychmiast zerwali się na równe nogi. Resztę obozowiska pakowano już na muły i wozy. Nie było czasu. Geder skinął dartinejskiemu giermkowi. Na ten znak niewolnicy zabrali się za sprzątanie. Następnie ruszył przez obóz, choć strach paraliżował mu nogi. Musiał jednak odzyskać swoją książkę.

Namiot kapitana został już zwinięty. Skórę zdjęto z rusztowania, zaś całą konstrukcję rozmontowano i ułożono na wozie. Pusta przestrzeń w miejscu, gdzie zeszłej nocy Geder wywijał hołubce, jawiła mu się niczym wyjęta z baśni dla dzieci, magiczny zamek, który zniknął wraz z nadejściem poranka. Z tą różnicą, że sir Alan Klin wciąż tam był, okryty ciężką, skórzaną peleryną

jeździecką i z mieczem przy boku, świadczącym o sprawowanym urzędzie. Mistrz furazerów, zwalisty pół krwi Yemmur, odbierał od kapitana rozkazy. Z technicznego punktu widzenia ranga Gедера pozwalała mu przerwać tę rozmowę, ale nie uczynił tego. Czekał.

– Palliako – rzekł w końcu Klin. Serdeczny ton z zeszłej nocy zniknął bezpowrotnie.

– Mój panie – powiedział Geder. – Wybacz, że cię niepokoję, ale gdy obudziłem się dzisiejszego ranka... po wczorajszej nocy...

– Wykrztuś to z siebie, człowieku.

– Miałem w posiadaniu pewną książkę, sir.

Sir Alan Klin zamknął swoje szlachetne oczy okolone długimi rzęsami.

– Myślałem, że już z tym skończyliśmy.

– Skończyliśmy, sir? Wie pan o książce? Pokazałem ją panu?

Kapitan rozwarł powieki i powiódł wzrokiem po uporządkowanym chaosie składanego obozu. Geder czuł się jak uczeń zawracający głowę swojemu nauczycielowi.

– Spekulatywny esej – rzekł Klin. – Palliako, doprawdy. Spekulatywny esej?

– Tak w zasadzie to potrzebny był mi on do ćwiczeń nad przekładami – skłamał Geder, czując nagłe ukłucie wstydu za swoje prawdziwe zainteresowania.

– Postąpiłeś naprawdę... dzielnie, przyznając się do tej słabości – ciągnął Klin. – Myślę też, że podjąłeś słuszną decyzję, niszcząc tę książkę.

Serce Gедера załomotało o żebra.

– Niszcząc ją, sir?

Alan spojrział na niego ze zdziwieniem. Bardzo możliwe, że udawanym.

– Spaliliśmy ją zeszłej nocy – powiedział kapitan. – Spaliliśmy ją we dwóch, wkrótce po tym jak odprowadziłem cię do twojego namiotu. Nie pamiętasz?

Geder nie miał pojęcia, czy jego przełożony kłamie. Zeszła noc przypominała wielką, rozmazaną plamę. Niewiele z niej pamiętał. Czy było możliwe, że zatraciwszy się w pijaństwie, wyparł się swej wyrafinowanej strony i pozwolił na spalenie książki? A może sir Alan Klin, jego kapitan i dowódca, kłamał mu prosto w twarz? Żadna z tych opcji nie wydawała się prawdopodobna, ale któraś z nich musiała być prawdziwa. Z drugiej strony ujawnienie, że niczego nie pamiętał byłoby równoznaczne z przyznaniem się

do słabej głowy. Tym samym znów dowiódłby, że jest pośmiewiskiem dla całej kompanii.

– Przepraszam, sir – odparł Geder. – Musiało mi się coś pomieszać. Teraz już wszystko rozumiem.

– Na przyszłość lepiej uważaj.

– To się więcej nie powtórzy.

Geder zasalutował, po czym, nie czekając na odpowiedź kapitana, ruszył sztywno w stronę swojego wierzchowca. Był nim siwy wałach, najlepszy na jakiego stać było jego rodzinę. Wdrapał się na siodło i szarpnął za wodze. Koń obrócił się gwałtownie, zaskoczony jego brutalnością. Pomimo palącego gniewu, Geder poczuł ukłucie żalu. To nie była przecież wina zwierzęcia. Obiecał sobie, że da koniowi źdźbło trzciny cukrowej, gdy się zatrzymają. Jeśli się zatrzymają. O ile ta po dwakroć przeklęta kampania nie będzie się ciągnąć aż po kres dni, kiedy to powrócą smoki.

Wkroczyli na trakt. Armia poruszała się w miarowym tempie ludzi, którzy wiedzieli, że ich marszruta nieprędko dobiegnie końca. Rozpoczęli forsowny marsz. Kolejne szeregi żołnierzy posuwały się naprzód gościńcem ze smoczego jadeitu. Geder siedział wysoko w siodle, trzymając prosty kręgosłup samą siłą woli, podsycaną gniewem. Poniżano go już w przeszłości. Podejrzewał też, że to nie ostatni raz. Jednak sir Alan Klin spalił jego książkę. Poranne słońce pięło się coraz wyżej. Ciepło jego promieni zmusiło żołnierzy do zrzucenia opończy z ramion. Obserwując piękne, jesienne liście, które złociły się wszędzie wokół, Geder zdał sobie sprawę, że właśnie poprzysiągł komuś zemstę. I uczynił to, stojąc przed swoim nowym, śmiertelnym wrogiem.

To się więcej nie powtórzy, powiedział.

I zamierzał dotrzymać słowa.

Cithrin bel Sarcour

Podopieczna Banku Medejskiego

Jedynym wspomnieniem Cithrin o rodzicach była świadomość ich śmierci. Wcześniej stanowili jedynie smugi, bo nawet nie cienie, samych ludzi. Jej ojciec był ciepłym uściskiem w deszczowy dzień i zapachem tytoniu. Jej matka była smakiem miodu na świeżym chlebie i wąską, pełną gracji dłonią cinnejskiej kobiety głaszczącą nogę małej córeczki. Nie znała ich twarzy ani dźwięku głosów, ale pamiętała jak ich straciła.

Miała wtedy cztery lata. Jej pokój dziecinny pomalowany był na biało-śliwkowy kolor. Siedziała przy oknie, pijąc herbatę z wypchanym Tralgurem wykonanym z brązowej juty wypełnionej suszoną fasolą. Prostowała mu właśnie uszy, gdy przyszła Nanné, jeszcze bledsza niż zazwyczaj, i oznajmiła, że zaraza zabrała pana i panią, a Cithrin miała przygotować się do wyjazdu. Od teraz miała mieszkać gdzie indziej.

Nie rozumiała tego. W tamtym okresie śmierć była dla niej czymś negocjowalnym, jak to, którą wstążkę ma wpiąć we włosy danego dnia albo ile słodkiej owsianki będzie mogła zjeść z rana. Cithrin nie tyle płakała po rodzicach, co czuła poirytowanie nagłą zmianą planów.

Dopiero później, w jej nowych, ciemniejszych pokojach mieszczących się nad pomieszczeniami banku, zdała sobie sprawę, że nie miało znaczenia jak głośno będzie krzyczeć ani jak gwałtownie zacznie płakać. Jej rodzice nie przyjdą do niej nigdy więcej, bo po śmierci nic już ich nie obchodziło.

– Za bardzo się martwisz – powiedział Besel.

Młodzieniec rozsiadł się na wytartych drewnianych schodach, zupełnie jakby było mu wygodnie. Jemu wszędzie było wygodnie. Dwadzieścia jeden wiosen na karku czyniło go o cztery lata starszym od Cithrin. Miał ciemne, kręcone włosy i szeroką twarz, wprost stworzoną do uśmiechu. Szerokie barki upodabniały go do robotnika, choć jego dłonie były miękkie. Jego koszulę, podobnie jak jej sukienkę, ufarbowano na kolory banku – czerwony i brązowy. Na nim wyglądały lepiej. Cithrin wiedziała, że chłopak miał przynajmniej pół tuzina kochanek. Potajemnie była zazdrosna o każdą z nich.

Siedzieli na drewnianej ławce ponad Łukowatym Placem, spoglądając w dół na krzątanicę towarzyszącą cotygodniowym jarmarkom, podczas których setki ciasno upchanych straganów z jaskrawych tkanin i cienkich desek

wyrastały z budynków na skraju rynku niczym odrosty na starym drzewie. Główny kanał Vanai chlupotał przy nabrzeżu po ich prawej stronie. W zielonkawej wodzie roiło się od wąskich łodzi i płaskodennych barek. Targowisko co chwila rozbrzmiewało głosami handlarzy ryb, rzeźników, rolników i zielarzy, chcących sprzedać późnoletnie plony.

Większość z nich stanowili Pierworodni i pokryci czarną chityną Timzinejczycy, ale tu i tam Cithrin dostrzegła bladą, smukłą postać pełnej krwi Cinnejczyka, szeroką głowę i ruchome, podobne do psich uszy Tralgura albo Yemmura, kroczącego ciężkim, kaczym chodem. Dorastając w Vanai, Cithrin zobaczyła w życiu przynajmniej jednego przedstawiciela każdej rasy ludzkiej. Kiedyś widziała nawet Utopionego w kanale, spoglądającego na nią swoimi smutnymi, czarnymi oczami.

– Nie rozumiem, dlaczego bank miałby stawać po stronie Cesarskiej Antei – powiedziała.

– Nie stajemy po ich stronie – odparł Besel.

– Nie stajemy też po stronie księcia. To *wojna*.

Besel zaśmiał się. Miał miły dla ucha śmiech. Cithrin poczuła przyplływ gniewu, ale natychmiast wybaczyła chłopakowi, gdy tylko ten dotknął jej dłoni.

– To zwykłe przedstawienie – powiedział. – Grupka mężczyzn spotka się na błoniach pod miastem, pomachają na siebie kijkami i mieczami, poprzepychają się trochę, by zaspokoić swój honor, a potem otworzymy bramy przed antejską armią i pozwolimy im tu rządzić przez następnych kilka lat.

– Ale książę...

– Zostanie wygnany. Albo wtrącony do lochu, ale raczej wygnany. Tego typu rzeczy dzieją się nieustannie. Baronowa z Gilei wychodzi za księcia z Asterilhold i król Simeon stwierdza, że Antea potrzebuje przeciwwagi w Wolnych Miastach. Znajduje więc powód, by wypowiedzieć wojnę Vanai.

Cithrin zmarszczyła brwi. Besela wydawało się to bawić. Zupełnie się nie przejmował. W jego mniemaniu, jej obawy były naiwne. Głupie. Dziewczyna zaparła się piętami o posadzkę.

– Czytałam o wojnach. Nauczyciel historii przedstawiał je w nieco innym świetle.

– Być może prawdziwe wojny wyglądają inaczej – odparł Besel ze wzruszeniem ramion. – Jeśli Antea ruszy kiedykolwiek na Birancour albo na

Keshet, nie będę szedł o zakład. Ale to? To znaczy mniej niż wiosenna burza, ptaszyno.

Jakiś kobiecy głos zawołał Besela po imieniu. Córka kupca w ciemnobrązowym gorscie i szerokiej spódnicy z niefarbowanego lnu. Młodzieniec stanął u boku Cithrin.

– Praca wzywa – powiedział z błyskiem w oku. – Powinnaś wrócić do domu, zanim stara Cam zacznie się niepokoić. A tak na poważnie, powinnaś zaufać magistrowi Imanielowi. Zajmuje się tym dłużej niż my i wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Cithrin pokiwała głową, a następnie odprowadziła wzrokiem Besela, który zeskakiwał po dwa schodki, pędząc do ciemnowłosej dziewczyny. Ukłonił się przed nią dwornie, a ona dygnęła w odpowiedzi, jednak Cithrin wydało się to dość wymuszone. Kurtuazja będąca formą gry wstępnej. Besel zapewne myślał, że Cithrin nie wie, czym jest gra wstępna. Patrzyła z ponurą miną, jak chłopak bierze swoją przyjaciółkę pod rękę, a potem prowadzi ją w stronę białych ulic i mostów miasta. Cithrin skubnęła rękaw sukni, żałując – nie pierwszy raz zresztą – że Bank Medejski nie przyjął barw, które bardziej by jej pasowały. Zieleni na przykład.

Gdyby oboje jej rodziców wywodziło się od Pierworodnych lub Cinnejczyków, być może przygarnęłyby ją jakaś dalsza rodzina. A tak, tytuły i zaszczyty jej ojca z Birancour zostały odebrane mu przez królową i nadane komuś innemu. Z kolei klan jej matki z księstwa C'Annaldé grzecznie odmówił przyjęcia do siebie dziecka półkrwi.

Gdyby nie bank, byłaby skazana na tułaczkę po ulicach i ciemnych alejkach Vanai. Jednak jej ojciec zostawił część swego złota magistrowi Imanielowi. Dlatego właśnie Cithrin, jako dziedziczka pieniędzy, została podopieczną banku do czasu aż dorośnie na tyle, by móc składać pod umowami krwawą pieczęć w postaci odbicia własnego kciuka. Zostały jej jeszcze dwa lata. Miała zamiar doczekać swoich dziewiętnastych urodzin, zyskać niezależność majątkową i, jak mniemała, wyprowadzić się z ciasnych pokoi przy Wielkim Placu, gdzie swoją siedzibę miał vanajski oddział Banku Medejskiego.

Zakładając, rzecz jasna, że po przemarszu armii najeźdźców miasto wciąż będzie stało.

Przemierzając alejki bazaru, nie dostrzegła choćby cienia strachu na twarzach innych ludzi. Być może Besel miał rację. Na Boga, chłopak

wydawał się pewny swego. Z drugiej strony, zawsze taki był.

Pozwoliła sobie na chwilę zadumy nad tym, czy Besel spojrzy na nią inaczej, gdy przestanie być małą podopieczną banku. Zatrzymała się przy straganie pierworodnej kobiety sprzedającej perfumy, olejki i barwione ubrania z włosów. Na nieheblowanym, drewnianym słupku wisiało lustro, zachęcając kupujących, by choć przez chwilę się w nim przejrzieli. Cithrin spojrzała na swe odbicie, unosząc podbródek w sposób, w jaki mogłyby robić to kobiety posiadające prawdziwą rodzinę.

– Och, biedactwo – powiedziała kobieta. – Chorowałaś, prawda? Potrzebujesz czegoś na usta?

Cithrin pokręciła głową, robiąc krok do tyłu. Handlarka chwyciła ją za rękaw.

– Nie uciekaj. Nie boję się. Połowa moich klientów odwiedza mnie, bo jest coś z nimi nie tak. Raz, dwa możemy pozbyć się tej bladej, kochanie.

– Nie chorowałam – odparła Cithrin, odzyskując mowę.

– Nie? – zdziwiła się kobieta, prowadząc ją w kierunku zydła ustawionego w rogu kramu. Woń róż i świeżej ziemi sprawiała, że powietrze było niemal zbyt gęste, by nim oddychać.

– Nie jestem chora – powiedziała. – Moja matka była Cinnejką. To... to normalne.

Kobieta posłała jej pełne współczucia spojrzenie. Miała rację. Cithrin nie posiadała ani delikatnej, zwiewnej urody charakterystycznej dla ludu jej matki, ani ostrych, serdecznych i nieco bardziej przyziemnych rysów twarzy typowych dla pierworodnej dziewczyny. Odziedziczyła po trosze od obydwu stron, przez co inne dzieci nazywały ją białym mułem. W rzeczywistości nie przynależała w pełni do żadnej z obu ras.

– Cóż, tym bardziej – rzekła kobieta pocieszająco. – Po prostu usiądź tu, a zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Ostatecznie, Cithrin kupiła słoiczek różu do ust, tylko po to, by móc opuścić stragan.

– Musisz dać mu cokolwiek – powiedziała Cam. – W końcu to książę. W razie czego będzie wiadomo, gdzie go szukać.

Magister Imaniel uniósł głowę znad talerza. Z jego uśmiechniętej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. W jego oczach migotało odbite światło świec. Był małym człowieczkiem o szorstkiej skórze, który jeśli tylko chciał, potrafił stać się przymilny jak kociak albo zimny i bezwzględny niczym

demon. Przez te wszystkie lata, Cithrin nie udało się dojść, które z tych wcieleń było jedynie maską. W tej chwili jego głos był równie spokojny, co oczy.

– Cithrin? – zwrócił się do niej. – Dlaczego nie mam zamiaru pożyczać pieniędzy księciu?

– Ponieważ jeśli postanowi ich nie oddawać, nie będzie można go do tego zmusić.

Magister Imaniel wzruszył ramionami, kierując gest w stronę Cam.

– Widzisz? Dziewczyna to rozumie. W interesie banku nie leży pożyczanie pieniędzy ludziom, którzy uważają spłatę zaciągniętego długu za coś poniżej ich godności. Poza tym, kto powiedział, że dysponujemy odpowiednimi funduszami?

Cam pokręciła głową w udawanej rozpacz i sięgnęła ponad stołem po solniczkę. Magister Imaniel wziął do ust kolejny kęs jagnięciny.

– Dlaczego nie uda się do swoich baronów i diuków, i nie pożyczyc od nich? – spytał magister.

– Nie może – odparła Cithrin.

– Dlaczego?

– Och, choć raz zostaw tę biedną dziewczynę w spokoju – zrugła go Cam. – Czy nie możemy przeprowadzić jednej rozmowy tak, by nie zamieniała się ona w sprawdzian?

– Mamy całe ich złoto – powiedziała Cithrin. – Wszystko jest tutaj.

– Ojej – mruknął magister Imaniel z udawanym niedowierzaniem, robiąc przy tym wielkie oczy. – Naprawdę?

– Przychodzą do nas od miesięcy. Wystawiliśmy weksle połowie wysoko postawionych rodzin w mieście. Najpierw na złoto, potem na klejnoty, jedwabie, tytoń... Wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. – Jesteś tego pewna?

Cithrin przewróciła oczami.

– Wszyscy są tego pewni – odparła. – Ostatnimi czasy ludzie mówią tylko o tym. Szlachta ucieka z miasta jak szczury z płonącej barki, a banki wykorzystują to, żeby ją ogołocić. Jeśli postanowią spieniężyć weksle w Carse, Kiarii albo Stollbourne, nie dostaną nawet połowy z tego, ile za nie zapłacili.

– Nie da się ukryć, że jest to rynek kupującego – rzekł magister Imaniel z wyraźnym zadowoleniem. – Problemem jednak zaczynają być same towary.

Po kolacji Cithrin udała się do swojego pokoju i otworzyła okno, by obserwować mgłę unoszącą się znad kanałów. Jesienne powietrze śmierdziało olejem z siemienia lnianego, którym impregnowano drewniane budynki oraz mosty dla ochrony przed nadciągającymi deszczami i śniegami. Niżej soczyście zieleniły się kwitnące w kanale glony. Czasami wyobrażała sobie, że wszystkie wielkie domy są statkami płynącymi po ogromnej rzece, a kanały wodne łączą się ze sobą tak głęboko, że nie była w stanie sięgnąć tam wzrokiem.

Na końcu ulicy jedna z żelaznych bram obluzowała się w zawiasach i skrzypiała teraz, szarpana wiatrem w tę i z powrotem. Cithrin przeszedł dreszcz. Zatrzasnęła okiennice, przebrała się do snu, po czym zdmuchnęła świecę.

Obudziły ją krzyki. A także odgłos uderzającej o drzwi okutej łożem pałki.

Otworzyła okiennice i wychyliła się na zewnątrz. Mgła opadła na tyle, że cała ulica stała się dobrze widoczna. Tuzin mężczyzn w barwach księcia, z których pięciu trzymało w dłoniach smołowe pochodnie, tłoczył się przed drzwiami. Podniesione, szorstkie głosy sugerowały, że całe towarzystwo jest nieco podchmielone. Jeden z nich spojrzał w górę, a jego ciemne oczy napotkały jej spojrzenie. Usta żołnierza rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Nie wiedząc, co się dzieje, Cithrin odpowiedziała mu podobnym, choć niepewnym grymasem, po czym cofnęła głowę do środka. Krew zastygła jej w żyłach jeszcze zanim usłyszała głosy – nieufną odpowiedź magistra Imaniela, śmiech kapitana straży, aż w końcu rozpaczliwy krzyk Cam.

Cithrin zbiegła schodami na dół. Słaby blask odległej lampy zmieniał ciemność korytarza w blady półmrok. Jakaś część dziewczyny wiedziała, że kierowanie się w stronę drzwi było czystym szaleństwem i że powinna raczej biec w przeciwnym kierunku. Jednak usłyszawszy głos Cam, po prostu musiała dowiedzieć się, co się stało.

Nim dopadła do drzwi, strażnicy zdążyli już odejść. Magister Imanuel stał w całkowitym bezruchu, ściskając w palcach latarnię z cyny i szkła. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Cam klęczała obok niego, przyciskając do ust zaciśniętą pięść. A Besel – cudowny Besel, piękny Besel – leżał na kamiennej posadzce, zakrwawiony, choć już nie broczący krwią. Cithrin poczuła krzyk wzbierający w krtani, ale nie była w stanie wydobyć z siebie

żadnego dźwięku.

– Sprowadź wiedzącego – rzekł magister Imaniel.

– Już za późno – odparła Cam głosem zduszonym przez łyżę.

– Nie pytałem o twoje zdanie. Sprowadź wiedzącego. Cithrin, chodź tutaj. Pomóż mi go podnieść.

Nie było już nadziei, ale zrobiły jak im kazał. Cam narzuciła na siebie wełnianą pelerynę i w pośpiechu zniknęła za drzwiami. Cithrin chwyciła Besela za pięty, a magister Imaniel wziął go pod ramiona. Wspólnie zanieśli ciało do jadalni, gdzie położyli je na szerokim, drewnianym stole. Twarz oraz dłonie chłopaka pokrywały nacięcia. Głęboka szrama biegła od nadgarstka aż do łokcia, w miejscu, gdzie ostrze rozdarło rękaw. Besel nie oddychał. Nie krwawił. Wyglądał jak człowiek pogrążony w spokojnym śnie.

Wiedzący przybył, wtarł proszek w puste oczy Besela, przycisnął dłonie do jego nieruchomej piersi, po czym wezwał na pomoc siły duchów i aniołów. Besel wziął jeden długi, chrapliwy wdech, ale magia nie wystarczyła. Magister Imaniel zapłacił mężczyźnie trzy grube srebrniki i odesłał go. Cam rozpałała ogień w kominku. Płomienie przydały zwłokom Besela upiornej iluzji ruchu.

Magister Imaniel stał u szczytu stołu, spoglądając w dół. Cithrin postąpiła krok naprzód i ujęła w dłoń zimne, sztywniejące ramię Besela. Bardzo chciała się rozpłakać, ale nie mogła. Strach, ból i niedowierzanie walczyły w niej, nie znajdując żadnego ujścia. Gdy uniosła głowę, zobaczyła, że magister Imaniel patrzy wprost na nią.

Odezwała się Cam.

– Powinniśmy byli je oddać. Niech książę dostanie to, czego chce. To tylko pieniądze.

– Przynieś mi jego ubrania – rzekł mężczyzna. – Czystą koszulę. I tę czerwoną kurtkę, której nie lubił.

Jego oczy poruszały się, jakby wodził spojrzeniem za literami napisanymi w powietrzu. Cam i Cithrin wymieniły spojrzenia. Pierwszą myślą, jaka wpadła Cithrin do głowy, było to, że magister chciał obmyć i odziać zwłoki przed pochówkiem.

– Cam? – ponaglił kobietę. – Słyszalas mnie? Ruszaj!

Staruszka wstała od paleniska i pomknęła w głąb domostwa. Magister Imaniel zwrócił spojrzenie na Cithrin. Jego policzki płonęły czerwienią, ale dziewczyna nie była w stanie stwierdzić czy była to złość, czy coś innego.

- Umiesz powozić? – spytał. – Kierować małym zaprzęgiem? Dwa muły.
- Nie wiem – odparła Cithrin. – Być może.
- Rozbierz się – nakazał mężczyzna.

Dziewczyna zamrugła.

– Rozbierz się – powtórzył. – Twoja koszula nocna. Zdejmij ją. Muszę zobaczyć, z czym pracujemy.

Cithrin niepewnie uniosła dłonie do ramiączek, rozwiązała supły i pozwoliła, aby tkanina opadła na posadzkę. Chłodne powietrze sprawiło, że dostała gęsiej skórki. Magister Imaniel wydawał z siebie gardłowe pomruki, chodząc wokół niej i oceniając ją, choć nie miała pojęcia pod jakim kątem. Besel nawet nie drgnął. Dziewczyna poczuła ukłucie wstydu. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie widział jej nago.

Wszedłszy z powrotem do pomieszczenia, Cam zrobiła wielkie oczy, widząc rozgrywającą się tam scenę, a jej usta ułożyły się w kształt zaskoczonych „O”. W chwilę później jednak jej rysy stężały.

– Nie – powiedziała.

– Daj mi jego koszulę – rzekł magister Imaniel.

Cam nie ruszyła się z miejsca. Mężczyzna podszedł do niej i wyjął jej z rąk ubrania Besela. Kobieta nie zrobiła niczego, by go powstrzymać. Bez słowa, magister wciągnął koszulę przez głowę Cithrin. Tkanina była miękka, ciepła i przesiąknięta zapachem skóry martwego przyjaciela. Jej poły opadły na tyle nisko, by przywrócić dziewczynie odrobinę godności. Magister Imaniel cofnął się o krok, a w kącikach jego oczu błysnęły iskry ponurego zadowolenia. Po chwili rzucił Cithrin kurtkę, nakazując gestem, by ją założyła.

– Potrzebne będą pewne przeróbki – powiedział – ale powinno się udać.

– Nie może pan tego zrobić, sir – wtrąciła Cam. – To jeszcze dziecko.

Mężczyzna zignorował ją, podchodząc bliżej, by odgarnąć włosy Cithrin z jej twarzy. Pstryknął palcami, jakby próbował sobie coś przypomnieć, po czym nachylił się nad paleniskiem i przesunął kciukiem po sadzy. Następnie wysmarował nią policzki i podbródek Cithrin. Teraz śmierdziała starym dymem.

– Będziemy potrzebować czegoś lepszego, ale... – powiedział, najwyraźniej sam do siebie. – A teraz... jak masz na imię?

– Cithrin? – odparła dziewczyna.

Magister Imaniel parsknął śmiechem.

– A cóż to za imię dla tak postawnego chłopaka jak ty? Tag. Masz na imię Tag. Powtórz.

– Mam na imię Tag – powiedziała posłusznie Cithrin.

Mężczyzna obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

– Brzmisz jak dziewczyna, Tag.

– Mam na imię Tag. – Tym razem jej głos zabrzmiał ostrzej i trochę mniej wyraźnie.

– Może być – skwitował magister Imaniel. – Tylko może być. Popracujemy nad tym jeszcze.

– Nie może pan tego zrobić – nalegała Cam.

Mężczyzna uśmiechnął się. Jednak w jego oczach nie było widać wesołości.

– Książę posunął się za daleko – oznajmił. – Polityka banku jest jasna. Niczego od nas nie dostanie.

– To *pan* decyduje o polityce banku – powiedziała Cam.

– I wyraziłem się *jasno*. Tag, mój chłopcze? Za tydzień udasz się do mistrza Willa, do Starej Dzielnicy. On zatrudni cię do powożenia wozem z karawany zmierzającej na Północne Wybrzeże. Chce wywieźć zapasy wełnianych, niefarbowanych tkanin, żeby nie stracić ich podczas wojennej zawieruchy.

Cithrin nie pokiwała ani nie pokręciła głową. Świat wokół niej wirował z lekka i dziewczyna miała wrażenie, że stała się częścią koszmarnego snu.

– Gdy dotrzesz do Carse – ciągnął magister Imaniel – udasz się wraz z wozem do siedziby holdingu. Dostaniesz mapę i wskazówki oraz list wyjaśniający wszystko.

– To może oznaczać całe tygodnie spędzone w podróży! – krzyknęła Cam. – Miesiące, jeśli na przełęczu spadł śnieg.

Magister Imaniel obrócił się. W jego oczach płonął gniew. Przemówił niskim, lodowatym głosem.

– A co twoim zdaniem powinienem uczynić? Trzymać ją tutaj? W naszych łózkach nie będzie wcale bezpieczniejsza niż na szlaku, udając woźnicę z karawany. A ja *nie zamierzam* tak po prostu pogodzić się z porażką.

– Nie rozumiem – odezwała się Cithrin. Jej własny głos brzmiał dziwnie w jej uszach, zupełnie jakby próbowała przekrzyczeć ryk fal.

– Ludzie księcia nas obserwują – wyjaśnił magister Imaniel. – Muszę zakładać, że mają na oku wszystkich pracowników banku. Podejrzewam więc, że półkrwi Cinnejkę Cithrin, podopieczną banku, również. Woźnica Tag natomiast...

– Woźnica? – spytała Cithrin, w zasadzie bardziej powtarzając jego słowa niż wyrażając własne myśli.

– Karawana to jedynie przykrywka – rzekła Cam rozpaczliwym tonem. – Besel miał do niej dołączyć. Przemycić tyle pieniędzy, ile tylko możliwe.

– Złoto? – powiedziała Cithrin. – Chcecie, bym to *ja* wywozła złoto do Carse?

– Jakąś jego część, tak – potwierdził magister Imaniel. – Tyle że złoto jest ciężkie. Lepiej będzie odesłać klejnoty i biżuterię. Są warte o wiele więcej. Przyprawy. Tytoń. Jedwab. Rzeczy na tyle lekkie, by można je było ciasno upakować bez ryzyka złamania ośki. A do tego księgi rachunkowe. Te prawdziwe. A co do monet i sztabek... cóż, jeszcze coś wymyślę.

Na chwilę przywdział uśmiechniętą maskę. W migotliwym świetle płomienia wydawało się, że Besel poruszył ramionami. Zimny powiew powietrza musnął nagie uda Cithrin. Supeł w żołądku zacisnął się jeszcze mocniej, aż poczuła w gardle smak wymiocin.

– Uda ci się, moja droga – zapewnił ją magister Imaniel. – Wierzę w ciebie.

– Dziękuję – odparła dziewczyna, przełykając ślinę.

Cithrin szła ulicami Vanai, czując ucisk w dołku. Fałszywe wąsy przypominały miękkie, rachityczny meszek, z którego mógłby być dumny jedynie dojrzewający podrostek. Jej ubrania stanowiły mieszankę koszul i kurtek Besela, pozszywanych w zaciszu bankowego zaplecza ze wszystkimi tanimi, połatanymi szmatami, jakie udało im się znaleźć. Nie śmieli kupować niczego nowego. Włosy ufarbowano jej herbatą na blady brąz i zaczesano do przodu, żeby zakryć twarz. Chodziła teraz, szerzej stawiając nogi, tak jak nauczył ją magister Imaniel. Niewygodny kawałek zwiniętej tkaniny między nogami miał jej stale przypominać, że powinna posiadać kutasa.

Czuła się gorzej niż głupio. Miała wrażenie, że wygląda jak mim w masce klauna i wielkich butach. Jej zdaniem była najoczywistszym oszustem w mieście, a może nawet na świecie. Na dodatek za każdym razem, gdy zamykała oczy, czekały już tam na nią zwłoki Besela. Na każdy dźwięk czyjegoś głosu, serce zaczynało jej bić jak oszalałe. Nieustannie spodziewała

się oberwać nożem, strzałą lub okutą żelazem pałką. Ulice Vanai traktowały ją jednak z ponurą obojętnością.

Wszędzie czyniono ostatnie przygotowania do wojny. Kupcy zabijali okna deskami. Ulice blokowały wozy rodzin, które postanowiły nie uciekać na wieś, ale zmieniły zdanie i zapragnęły jednak opuścić miasto oraz tych, które początkowo chciały wyjechać, ale ostatecznie zdecydowały się zawrócić. Heroldzi na usługach księcia rozgłaszali wieści o nieprawdopodobnej liczbie tysięcy żołnierzy wysłanych przez nowych sojuszników. Starzy Timzinejczycy z nabrzeża jedynie wyśmiewali te rewelacje, twierdząc, że wszyscy lepiej wyszliby na rządach Antei, niż na mariażu z Maccią. Ludzie pierzchali przed oddziałami przeprowadzającymi brankę niczym drób uciekający przed wilkami. Jednak w Starej Dzielnicy wysokie, ciemne, bogato rzeźbione drzwi prowadzące do kantorku mistrza Willa stały otworem. Ulicę wypełniały wozy, dwukółki, muły, konie i woły. Na placu formowała się karawana. Cithrin przepchnęła się przez tłum ludzi w stronę szerokiej, okrytej skórzanym płaszczem postaci mistrza Willa.

– Panie – powiedziała cicho niskim głosem. Mężczyzna nie zareagował, więc niepewnie pociągnęła go za rękaw.

– O co chodzi? – rzekł kupiec.

– Mam na imię Tag, panie. Mam powozić wozem magistra Imaniela.

Mistrz Will zrobił wielkie oczy, po czym rozejrzał się, czy nikt poza nim tego nie słyszał. Cithrin zakłęta pod nosem. Nie wozem magistra Imaniela. Oficjalnie bank nie brał udziału w karawanie. Miała kierować wozem z wełną. To był jej pierwszy błąd. Mistrz Will odchrząknął i pociągnął ją za łokieć.

– Spóźniłeś się, chłopcze. Myślałem już, że nie przyjdiesz.

– Wybacz, panie.

– Na Boga, dziecko, postaraj się nie odzywać.

Szybko przeprowadził ją przez ścisk do długiego, ale wąskiego wozu. Wyschnięte, drewniane deski wyglądały na dość wytrzymałe, natomiast plandeka z grubego płótna miała chronić przed deszczem bele ciasno zwiniętej, szarej tkaniny. Ośki wykonano z żelaza, koła zaś okuto stałą. Zdaniem Cithrin widać było wyraźnie, że taki wóz nie może służyć jedynie do transportu sukna. Wydawało się wręcz, że dwa zaprzęgnięte doń muły nie będą w stanie uciągnąć czegoś tak dużego. Nie miała *żadnych* wątpliwości, że wszyscy przejrzą to oszustwo na wylot. Gwardziści księcia nie będą

musieli się nawet dobrze przyglądać, by zrozumieć, że coś jest na rzeczy. Węzeł w żołądku zacisnął się jeszcze mocniej. Dziewczyna dziękowała aniołom, że rankiem nie była w stanie niczego przełknąć. Nie miała pojęcia, czy jej sztuczne wąsiki przetrwałyby proces rzygania. Mistrz Will nachylił się nad nią, niemal muskając ustami jej ucho.

– Pierwsze dwie warstwy to wełna – powiedział. – Wszystko pozostałe zostało ukryte pod spodem w zamkniętych skrzyniach i szkatułach. Jeśli płótno zawiedzie i wszystko namoknie, niczego nie ruszaj.

– Ale księgi... – mruknęła.

– Księgi owinięto taką ilością woskowanej owczej skóry, że można byłoby je wieźć przez morze. Nie przejmuj się nimi. Najlepiej nie myśl o ładunku, który wiesz. I niech pod żadnym pozorem nie przyjdzie ci do głowy, żeby do niego zaglądać.

Cithrin poczuła nagłą irytację. Miał ją za głupią?

– Możesz spać na wierzchu – ciągnął mistrz Will. – Nikt nie powinien się temu dziwić. Rób co każe przewodnik karawany, pamiętaj, żeby muły były zdrowe i odżywione, i staraj się trzymać na uboczu, jeśli tylko zdołasz.

– Dobrze, panie – przytaknęła.

– No dobrze – rzekł mężczyzna, prostując się i klepiąc ją po ramieniu. Jego uśmiech był wymuszony i pozbawiony humoru. – Powodzenia.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do kantorka. Cithrin miała ogromną ochotę krzyknąć za nim. To nie mogło być wszystko. Z pewnością miał jej do przekazania coś jeszcze, coś o dodatkowych przygotowaniach albo jakąś poradę. Przełknęła ślinę, zgarbiła plecy i obeszała wóz dokoła. Muły obrzuciły ją obojętnymi spojrzeniami. Przynajmniej one się nie bały.

– Jestem Tag – powiedziała im do długich, miękkich uszu. A szeptem dodała: – A tak naprawdę to Cithrin. – Żałowała, że nie może poznać ich imion.

Żołnierzy nie zauważyła do momentu, gdy wdrapała się na kozła. Mężczyźni i kobiety w utwardzanych skórach, z mieczami przy pasach. Sami Pierworodni, za wyjątkiem jednego Tralgura z ogromnym łukiem przerzuconym przez ramię, podzwaniającego kolczykami w uszach. Kapitan oddziału, Tralgur oraz starszy mężczyzna o powłóczystych szatach i ciasno upiętych włosach prowadzili ożywioną rozmowę z timzinejskim przewodnikiem karawany. Cithrin chwyciła wodze, tak mocno, że rozboleły ją zbielełe knykcie. Kapitan wskazał ją ruchem głowy, na co Timzinejczyk

jedynie wzruszył ramionami. Z przerażeniem ujrzała, że trójka żołnierzy ruszyła w jej stronę. Musiała uciekać. Zaraz mieli ją zabić.

– Chłopcze! – krzyknął dowódca, nie spuszczać z niej spojrzenia bladych oczu. Był mężczyzną o surowym obliczu, młodszym niż magister Imanuel, ale starszym niż Besel. Rudawo-złote włosy miał krótsze niż nakazywała antejska moda i jednocześnie dłuższe od tych, jakie noszono w Wolnych Miastach. Pochylił się, unosząc brwi. – Chłopcze? Słyszysz mnie?

Cithrin skinęła głową.

– Chyba nie jesteś głupi, co? Nie pisałem się na pilnowanie chłopców, którzy sami będą pakować się w kłopoty.

– Nie – wychrypiała Cithrin. Odkaszlnęła, pamiętając, by jej głos brzmiał krzepko. – Nie, panie.

– W porządku – rzekł kapitan. – Ty będziesz powozić?

Znów potaknęła.

– Cóż, dobrze. Pojawiłeś się ostatni, więc przegapiłeś wcześniejszą prezentację. Będę się streszczać. Jestem kapitan Wester. To jest Yarden. Mój zastępca. A to nasz wiedzący, mistrz Kit. Będziemy chronić tę karawanę, dlatego byłbym zobowiązany, gdybyś robił wszystko, co powiemy, kiedy to powiemy. Dzięki temu wszyscy dotrzemy bezpiecznie do Carse.

Jeszcze jedno skinięcie głową. Dowódca żołnierzy uczynił to samo, najwyraźniej wciąż przekonany, że ma do czynienia z półgłówkiem.

– Dobrze – powiedział, obracając się na pięcie. – Możemy wyruszać.

– Cokolwiek pan rozkaże, sir – odezwał się Tralgur swoim głębokim, chropawym głosem.

Kapitan wraz z przybocznym oddalili się w kierunku przewodnika karawany, a ich głosy szybko utonęły w kakofonii innych dźwięków ulicy. Wiedzący, mistrz Kit, podszedł bliżej. Był wyraźnie starszy. W jego czarnych niegdyś włosach obecnie dominowała siwizna. Twarz miał pociągłą, o oliwkowej karnacji. W jego uśmiechu kryło się niespodziewane ciepło.

– Wszystko w porządku, synu? – spytał.

– To nerwy – odparła Cithrin.

– Pierwszy raz podróżujesz z karawaną?

Dziewczyna pokiwała głową. Czowała się jak idiotka, nieustannie przytakując jak jakaś niemowa. Uśmiech wiedzącego był uspokajający i łagodny niczym u kapłana.

– Podejrzewam, że najgorsza okaże się nuda. Po trzech dniach

wpatrywania się wyłącznie w wóz przed tobą, widok może stać się dość monotony.

Cithrin uśmiechnęła się. Prawie szczerze.

– Jak masz na imię? – spytał wiedzący.

– Tag – odparła.

Mężczyzna zamrugnął powiekami, a dziewczynie wydało się, że jego uśmiech jakby stracił odrobinę ciepła. Pochyliła głowę, pozwalając, by włosy niemal zupełnie przesłoniły jej oczy. Serce waliło jej w piersi. Mistrz Kit jedynie kichnął i potrząsnął głową. Gdy ponownie przemówił, jego głos wciąż był aksamitnie miękki i łagodny.

– Witaj w karawanie, Tag.

Po raz ostatni skinęła głową i wiedzący odszedł. Jej serce zwolniło do bardziej ludzkiego tempa. Przełknęła ślinę, zamknęła oczy i zmusiła mięśnie ramion oraz szyi do rozluźnienia. Nikt jej nie przejrzał. Będzie dobrze.

Niecałą godzinę później wozy ruszyły. Na czele kolumny toczył się ogromny wóz z prowiantem. Tuż za nim kryta fura pobrzękująca tak głośno, że Cithrin słyszała ją ze swojego kozła, trzy zaprzęgi dalej. Timzinejski przewodnik karawany jeździł w tę i z powrotem na swojej wielkiej, białej klaczy, poklepując wozy, woźniców i zwierzęta długą, giętką różgą, będącą w połowie kijkiem, a w połowie pejczem. Gdy podjechał do niej, dziewczyna potrząsnęła lejcami i krzyknęła na muły tak, jak nauczył ją Besel, gdy jeszcze żył, uśmiechał się i flirtował z biedną podopieczną banku. Zwierzęta ruszyły z miejsca, za co natychmiast zrugnął ją przewodnik karawany.

– Nie tak szybko, chłopcze! To nie jest cholerny wyścig!

– Przepraszam – powiedziała Cithrin, ściągając wodze. Jeden z mułów parsknął i obejrzał się na nią. Trudno jej było nie zauważyć poirytowania w ułożeniu jego uszu. Po chwili raz jeszcze zmusiła zwierzęta do ruchu, tym razem ostrożniej. Przewodnik karawany pokręcił głową i pogalopował do następnego wozu. Cithrin z całej siły zaciskała dłonie na lejcach, choć w rzeczywistości nie musiała nic robić. Muły znały swoją pracę i podążały za wozem z przodu. Bardzo powoli, przy wtórze krzyków i przekleństw, karawana uformowała kolumnę. Wyjechali z szerokich ulic Starej Dzielnicy, wzdłuż kanałów prowadzących w stronę rzeki, na Most Protektora, nad którym górował książęcy pałac.

Vanai, miasto, w którym się wychowała, przesuwało się po obu jej stronach. Tam wypatrzyła drogę prowadzącą na targowisko, gdzie Cam

kupiła jej chleb miodowy na któreś urodziny. Tu z kolei stragan, przy którym uczeń szewca skradł jej kiedyś pocałunek, za co został oćwiczony przez magistra Imaniela. Zapomniała o tym aż do teraz. Minęli dom guwenera, gdzie uczyła się posługiwać cyframi i literami, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Gdzieś w mieście znajdowały się groby jej matki i ojca. Nigdy ich nie odwiedziła i teraz tego żałowała.

Powtarzała sobie, że uczyni to, gdy wróci. Gdy skończy się wojna i świat znów będzie bezpieczny, wróci i dowie się, gdzie pochowano jej rodzinę.

W jej mniemaniu mury miasta wyrosły przed nimi za szybko, blade kamienie ułożone na wysokość dwóch mężczyzn. Bramy były otwarte, ale spowalniał ich duży ruch na drodze. Muły zdawały się tego spodziewać i stały cierpliwie, podczas gdy przewodnik karawany udał się na czoło kolumny, by zrobić przejazd, smagając batem każdego, kto stał na drodze. Wysoko na wieży bramnej stał mężczyzna w jasnej zbroi książęcej gwardii. Przez jedną chwilę Cithrin wydawało się, że był to ten sam człowiek, który uśmiechał się do niej z ulicy, tej nocy, gdy zginął Besel. Gdy gwardzista krzyknął, jego słowa skierowane były do kapitana.

– Jesteś tchórzem, Wester!

Cithrin wstrzymała oddech, zgorszona tak otwartą zniewagą.

– Oby cię zaraza dopadła, Dossen – odciął się dowódca żołnierzy z uśmiechem. Może więc tych dwóch się przyjaźniło. Myśl ta sprawiła, że zmalą jej sympatia względem kapitana Westera. Przynajmniej mężczyzna z książęcej gwardii ich nie zatrzymał. Wozy toczyły się, podskakiwały i skrzypiały, wyjeżdżając z miasta na trakt, który przechodził z kocich łbów w jasną zieleń smoczego jadeitu. Carse leżało daleko na północnym zachodzie, ale tutejszy trakt prowadził na południe, naśladując odległą linię brzegową. Minęło ich kilka innych wozów zmierzających do miasta. Okoliczne pagórki porastały drzewa dumnie okryte jesiennymi liśćmi – czerwonymi, żółtymi i złotawymi. Gdy promienie słońca padły na nie pod odpowiednim kątem, wydawały się płonąć. Cithrin skuliła się na koźle, czując, że marzną jej nogi, a ramiona grabieją.

Niespiesznie przemierzali długie mile. Jej niepokój zmalą, uspiiony przez terkotanie i kołysanie wozu. Niemal zapomniała kim jest, co zostawiła za sobą i co wiezie na furze. Dopóki świat ograniczał się do niej, mułów, wozu przed nią i drzew po bokach, dopóty wydawało jej się, że jest całkiem sama. Słońce opadło na niebie, świecąc jej prosto w oczy, aż w końcu nie widziała

już nic.

Timzinejski przewodnik ponownie przejechał wzdłuż kolumny wozów, podobnie jak w Vanai, wskazując każdemu miejsce na nisko położonym, otwartym polu. Rozbijali obóz. Na szczęście miejsce Cithrin było przy trakcie, gdzie nie musiała robić niczego nadzwyczajnego. Zawróciła muły, doprowadziła wóz w miejsce, które jej wskazano, po czym zeskoczyła na ziemię. Wyprzęgła zwierzęta i poprowadziła je do strumienia, gdzie te włożyły pyski do wody i piły tak długo, że zaczęła się niepokoić. Czy muły mogły wypić za dużo i się pochorować? Powinna była je powstrzymać? Inne zwierzęta robiły jednak dokładnie to samo, Cithrin obserwowała więc innych woźniców i próbowała się nie wyróżniać.

Szybko nadeszła chłodna noc. Zanim nakarmiła, wyczyściła i umieściła zwierzęta w prowizorycznej zagrodzie, uniosła się mgła. Przewodnik karawany kazał rozpaścić ogień. Zapach dymu i pieczonej ryby sprawił, że żołądek Cithrin niespodziewanie boleśnie o sobie przypomniął. Dziewczyna dołączyła do furmanów żartujących i rozmawiających w kolejce po jedzenie. Cały czas pochylała głowę, wbijając spojrzenie w ziemię. Kiedy ktoś próbował ją zagadnąć, mamrotała coś pod nosem albo odpowiadała monosylabami. Kucharką karawany była niska, timzinejska kobieta tak gruba, że chitynowe łuski na jej tłustych ramionach wydawały się gotowe w każdej chwili popękać. Dotarłszy do początku kolejki, Cithrin otrzymała od kucharki cynowy talerz, na którym spoczywał cienki pasek mięsa z pstrąga, sterta gotowanej fasoli i piętka brązowego chleba. Cithrin skinęła głową w niemym podziękowaniu, a następnie poszła usiąść przy ogniu. Wilgoć przemoczyła jej rajtuzy i kurtkę, ale dziewczyna nie ośmieliła się zbliżyć za bardzo do źródła ciepła. Lepiej było trzymać się z tyłu.

Gdy wszyscy jedli, przewodnik karawany zdjął niski zydel z wozu i stanął na nim, czytając ustępy ze świętej księgi w blasku płomieni. Cithrin słuchała tylko jednym uchem. Magister Imaniel również był religijny albo przynajmniej na tyle rozsądny, by za takiego uchodzić. Cithrin wielokrotnie słyszała już słowa ze świętej księgi, ale idea Boga i aniołów niespecjalnie do niej przemawiała.

Bezgłośnie odłożyła talerz i nóż, po czym udała się nad strumień. Ciągle dręczyło ją, jak ma udać się do wychodka, nie zdradzając swojej prawdziwej tożsamości. Lekceważące odpowiedzi magistra Imaniela w stylu: „Wszyscy mężczyźni kucają, żeby się wysrać”, zupełnie jej nie przekonywały. Sama,

we mgle i w ciemności, z rajtuzami opuszczonymi do kostek i mieszkciem w dłoni, poczuła ulgę nie tylko dzięki opróżnieniu pęcherza. Udało się. Ten jeden raz uszło jej to na sucho. Teraz musiała jedynie ciągnąć tę farsę przez kilka najbliższych tygodni w drodze do Carse.

Wracając do ogniska, zobaczyła mężczyznę siedzącego obok jej talerza. Był to jeden ze strażników, ale na szczęście nie kapitan ani jego przyboczny. Cithrin zajęła znów swoje miejsce. Strażnik skinął do niej głową z uśmiechem. Dziewczyna miała nadzieję, że nie będzie chciał rozmawiać.

– Niezły mówca z naszego przewodnika karawany – odezwał się mężczyzna. – Robi dobre wrażenie. Byłby z niego niezły aktor, tyle że nie ma zbyt wielu dobrych ról dla Timzinejczyków. Orman z Kręgu Ognia, ale to by było na tyle.

Cithrin pokiwała głową i wzięła kęs zimnej fasoli.

– Sandr – powiedział strażnik. – To ja. Mam na imię Sandr.

– Tag – odparła dziewczyna, mając nadzieję, że mówiąc niewyraźnie i z pełnymi ustami będzie brzmiała jak mężczyzna.

– Miło cię poznać, Tag – rzekł Sandr. Poruszył się w ciemności, wyciągając skórzany bukłak. – Napijesz się?

Cithrin wzruszyła ramionami w sposób, jaki wydawał się jej odpowiedni dla woźnicy, na co Sandr uśmiechnął się i odkorkował pojemnik. Cithrin pijała już wino w świątyni albo podczas świątecznych biesiad, lecz zawsze nieco rozwodnione i nigdy za dużo. Płyn, który wlał się do jej ust był zupełnie inny. Szczypał w najmniejsze partie warg oraz języka, po czym spływał do gardła, zostawiając po sobie uczucie oczyszczenia. Ciepło rozlewające się po jej klatce piersiowej przypominało rumieniec.

– Dobre, prawda? – spytał Sandr. – Pożyczyłem je od mistrza Kita. Nie obrazi się.

Dziewczyna pociągnęła jeszcze jeden łyk, a następnie niechętnie oddała bukłak. Podczas gdy Sandr pił, przewodnik karawany dotarł do końca ustępu, a pół tuzina głosów dołączyło do niego, by odmówić modlitwę końcową. Księżyc wydawał się niewyraźny. Mgła rozpraszała jego blask. Ku zaskoczeniu Cithrin, wino odrobinę rozluźniło węzeł w żołądku. Niewiele, ale wystarczająco, by to poczuła. Ciepło z klatki piersiowej spłynęło do brzucha. Dziewczyna zaczęła zastanawiać się, jak dużą część bukłaka musiałaby osuszyć, żeby uczucie rozlało się również na ramiona i szyję.

Z drugiej strony nie powinna pozwalać sobie na takie wygłupy. Nie

mogła się upijać. Ktoś zawołał Sandra po imieniu, na co strażnik zerwał się na równe nogi, zapominając o winie.

– Tutaj, sir – odpowiedział Sandr, ruszając w stronę ognia. Wester i jego Tralgur zbierali wszystkich żołnierzy. Cithrin rozejrzała się po szarym, migotliwym półmroku, potem spojrzała w kierunku ogniska, by w końcu ostrożnie, jak gdyby nigdy nic porwać bukłak, chowając go pod połą kurtki.

Wróciła do swojego wozu, unikając po drodze innych. Ktoś śpiewał. Po chwili dołączył do niego inny głos. Odezwał się nocny ptak. Cithrin wdrapała się na furę. Rosa zaczęła osiadać na wełnianej tkaninie. Małe kropelki odbijały światło księżyca. Dziewczyna zastanawiała się, czy nie opuścić plandeki, ale było ciemno i niespecjalnie miała na to ochotę. Zamiast tego wcisnęła się pomiędzy bele materiału, wyjęła bukłak spod kurtki i pozwoliła sobie na jeszcze jeden łyk. Nieduży i tylko jeden.

Musiała uważać.

Dawson Kalliam Baron Osterling Fells

Kąt uderzenia miecza zmienił się w ostatniej chwili. Stalowe ostrze pomknęło w stronę jego twarzy. Gdyby Dawson był równie młody jak jego przeciwnik, manewr ten wywołałby pożądany efekt: mężczyzna cofnąłby się i odwrócił, zostawiając lukę w obronie. Jednak pojedynkował się już od zbyt wielu lat. Zmienił pozycję własnej broni o cal i odparował niespodziewane pchnięcie tak, że wrogie ostrze o włos minęło zamierzony cel.

Feldin Maas, baron Ebbinbaugh, a także rywal Dawsona zarówno w tej potyczce, jak i w życiu codziennym, splunął na ziemię i uśmiechnął się.

Poszło o rzecz błahą. Mimo że Dawson posiadał większą połąć ziemi, Maas zażądał trzy dni wcześniej, by przyjęto go na królewskim dworze w pierwszej kolejności, przez wzgląd na tytuł Strażnika Południowych Rubieży. Dawson postanowił wyjaśnić konkurentowi jego błąd, na co Maas odpowiedział zniewagą na temat jego ustępstwa. Obaj mężczyźni niemal pobili się w wielkiej sali. Dlatego właśnie sprawa miała zostać wyjaśniona tutaj, w starym stylu.

Plac pojedynkowy stanowił suchy, pylisty kawałek ziemi, dostatecznie długi, by pozwolić na konne starcie, a przy tym na tyle wąski, aby mogło odbyć się tu tego typu spotkanie: w pojedynkowych skórach i na krótkie ostrza. Po jednej stronie wznosiły się mury i wieżyce Kingspire, wyższe od drzew. Po drugiej zaś ziała dzieląca miasto Szczelina o głębokości tysiąca stóp, od której Rozdarty Tron wziął swoją nazwę.

Przerwali zwanie i na nowo zaczęli krążyć wokół siebie w pełnym napięcia oczekiwaniu. Prawe ramię Dawsona było tak zmęczone, że czuł w nim palący ból, ale sztych jego broni nawet nie drgnął. Chlubił się tym, że po trzydziestu latach na polu chwały, wciąż był równie silny jak pierwszego dnia. Ostrze jego młodszego oponenta było nieco mniej pewne, a jego postawa dość niechlujna. Był to zwykły wybieg i Dawson nie zamierzał się nań nabrać.

Skórzane podeszwy ich butów szurały po ziemi. Feldin wyprowadził pchnięcie. Dawson odparował cios, odpowiedział kontrnatarciem i teraz to Feldin musiał się cofnąć. Jego uśmiech wydawał się topnieć, ale Dawson nie mógł pozwolić sobie choćby na chwilę rozprężenia. Przynajmniej dopóki ten

bękart nie zostanie naznaczony blizną Kalliamów. Feldin Maas uderzył nisko i mocno, wyprowadzając cios z nadgarstka. Dawson sparował jego ostrze, zamarkował cięcie z prawej strony i zaatakował z lewej. Wykonanie było perfekcyjne, ale jego przeciwnik zdążył już odskoczyć. Obaj posiadali zbyt wiele doświadczenia na polu walki, by stare triki mogły przynieść jakikolwiek rezultat.

Należało sięgnąć po nadzwyczajne środki.

W prawdziwej bitwie, pchnięcie Dawsona byłoby samobójstwem. Został bez osłony, tracąc równowagę, wyciągnięty jak struna. Jego manewr był jednak tak nieudolny, że przyniósł oczekiwany efekt. Feldin odskoczył, ale za wolno. Dawson poczuł na ostrzu opór metalu rozcinającego skórę.

– Krew! – zawołał.

W ciągu zaledwie jednego uderzenia serca, wyraz twarzy Feldina zmienił się z niedowierzania we wściekłość, z wściekłości w wyrachowanie, a z wyrachowania w chłodną, ironiczną maskę. Przez chwilę wciąż szykował kontrę. Dawson nie miałby jak jej sparować. Zdał sobie sprawę, że młodego Feldina bardzo kusila ta perspektywa. Nie zważając na honor, świadków i prawa rządzące pojedynkami, Feldin Maas miał ochotę go zabić. Dzięki temu zwycięstwo smakowało jeszcze lepiej. Młodzieniec zrobił krok w tył, przyłożył dłoń do żeber, po czym uniósł zakrwawione palce. Natychmiast podbiegli do niego medycy, by ocenić rozległość obrażeń. Dawson schował miecz.

– Całkiem nieźle, staruszkule – rzekł Feldin, gdy ściągano z niego koszulę.

– Chowasz się za moim honorem jak za tarczą? Prawie mi to schlebia. Złożyłeś na szali swoje życie przeciwko mojej łagodnej naturze.

– Raczej przeciw twoim obawom o naruszenie formy.

W oku młodszego mężczyzny pojawił się niebezpieczny błysk.

– Błagam, właśnie zakończyliśmy jeden pojedynek – wtrącił naczelny medyk. – Nie prowokujmy kolejnego.

Dawson dobył sztyletu w geście pozdrowienia. Feldin odepchnął na bok sługi i uczynił to samo. Krew ciekąca mu po boku stanowiła dobry znak. Nowa blizna miała być głęboka. Dawson schował sztylet, obrócił się na pięcie i zostawił plac pojedynkowy za sobą. Jego honor pozostał nietknięty.

Cannipol. Podzielone miasto. Stolica Rozdartego Tronu.

Już w czasach smoków stanowiło siedzibę pierwotnych potęg tego świata. W ponurych, naznaczonych pożogą wiekach, które nastąpiły po tym,

jak wielka wojna doprowadziła do upadku poprzednich możnowładców i wyzwoliła zniewolone rasy, Camnipol stał się latarnią wśród morza ciemności. Skąpany w barwach czerni i złota, wznoszący się dumnie na wzgórzu, dał nowy dom rozproszonym Pierworodnym. Przez stulecia szczęście bywało zmienne, lecz miasto trwało wiecznie, podzielone przez Szczelinę, ale zjednoczone przez potęgę Kingspire, stanowiące obecnie siedzibę króla Simeona oraz młodego księcia Astera.

Srebrny Most przerzucony nad Szczeliną łączył Kingspire z dzielnicą szlachecką, położoną najwyżej na zachodnim zboczu. Starożytny kamień spoczywał na przęsłach ze smoczego jadeitu o szerokości zaledwie jednej dłoni, równie niewzruszony jak słońce czy morze.

Dawson jechał w konnej karocy, wystrzegając się nowej mody zaprzęgnięcia do powozu niewolników. Koła terkotały, a stada gołębi kłębiły się w powietrzu poniżej. Mężczyzna wyjrzał przez okno, obrzucając wzrokiem warstwy ruin i kamieni, tworzących ściany Szczeliny. Słyszał kiedyś, że najniżej położone budynki, tuż przy zaśmieconym dnie ogromnego kanionu, były starsze od samych smoków. Camnipol, wieczne miasto. Jego miasto, serce jego kraju i całej jego rasy. Nie licząc rodziny, Dawson nie darzył tak silną miłością żadnej innej rzeczy.

Gdy minęli już przepastną przestrzeń pustego powietrza, woźnica skręcił na wąski, prywatny plac należący do Dawsona. Siedziba barona pięła się w górę, a jej proste, zgrabne linie były wolne od jarmarcznych, filigranowych ornamentów, którymi przyozdabiali swoje domostwa parweniusze pokroju Feldina Maasa, Alana Klina i Curtina Issandriana. Rezydencja miała klasyczny i elegancki wygląd, a jej okna wychodziły na otchłań u stóp Kingspire oraz rozległą równinę za nim. Był to najszlachetniejszy dom w mieście, wyjąwszy być może posiadłość lorda Banniena z Estinford.

Jego służby przynieśli schodki. Dawson zbył machnięciem ręki ich wyciągnięte dłonie, jak zwykł zawsze czynić. Ich obowiązkiem było zaoferować mu pomoc, zaś jego godność nakazywała mu ją odrzucić. Istotny był tu pewien rytuał. Odźwierny niewolnik, stary Tralgur o skórze w kolorze jasnego brązu i przyprószonych siwizną czubkach uszu, stał przy wejściu.

Srebrny łańcuch przykuwał go do kolumny z czarnego marmuru.

– Witaj w domu, mój panie – rzekł niewolnik. – Przyszedł list od twojego syna.

– Którego syna?

– Jorey’a, mój panie.

Dawson poczuł ucisk w żołądku. Gdyby była to korespondencja od kogoś z jego pozostałych dzieci, przeczytałby ją z czystą przyjemnością, ale list od Jorey’a oznaczał wieści z przekłętej kampanii vanajskiej. Z niepokojem wyciągnął dłoń. Niewolnik obrócił głowę w stronę drzwi.

– Ma go pańska żona.

Wnętrze rezydencji przyozdobiono ciemnymi arrasami i jasnymi kryształami. Po schodach, skomląc z podekscytowania, zbiegły psy barona – pięć wilczarzy o błyszczącej, szarej sierści i kłach niczym z kości słoniowej. Dawson podrapał je za uszami, poklepał ich boki, po czym skierował swe kroki do oranżerii, gdzie przebywała jego małżonka.

Szklane pomieszczenie było pociechą, którą sprezentował swojej Clarze. Psuło wygląd północnej ściany budynku, lecz dzięki niemu kobieta mogła sadzić bratki i fiołki rosnące na wzgórzach Osterling. To wspomnienie domu sprawiało, że czuła się dobrze w Camnipolu przez wszystkie pory roku, a zimą pozwalało jej wypełnić cały dom zapachem wonnych fiołków. Siedziała teraz w głębokim fotelu, z niewielkim biurkiem u boku, otoczona stołami z rzędami ciemnych kwiatów przypominającymi żołnierzy na paradzie. Kobieta uniosła głowę na dźwięk kroków i uśmiechnęła się.

Clara zawsze była idealna. Pomimo że lata odebrały jej nieco rumieńców z twarzy, a czarne włosy przetykały białe pasma, wciąż widział w niej dziewczynę, którą kiedyś była. Gdy ojciec Dawsona wybierał łono mające wydać na świat jego wnuki, o jego względy zabiegało wiele piękniejszych i bystrzejszych dam. Lecz zamiast nich wybrał Clarę, a Dawson szybko docenił słusność tego wyboru. Kobieta miała gołębie serce. Mogła być wcieleniem cnót pod każdym innym względem, ale bez dobroci, wszystkie pozostałe zalety znaczyłyby tyle, co nic. Baron pochylił się, całując jej usta tak, jak czynił to zawsze. Była to część rytuału, podobnie jak odmawianie pomocy oferowanej przez lokaja i drapanie psów za uszami. Coś, co nadawało życiu sens.

– Otrzymaliśmy list od Jorey’a? – spytał.

– Tak – odparła Clara. – Nic mu nie jest. Świetnie się bawi na tej wyprawie. Jego kapitanem jest chłopiec Adrii Klin, Alan. Pisze, że dobrze się ze sobą dogadują.

Dawson oparł się o stół z kwiatami, krzyżując ręce na piersi. Ucisk w żołądku przybrał na sile. Klin. Kolejny członek kliku Feldina Maasa. Trudno

mu było przełknąć fakt, że król umieścił Jorey'a pod komendą tego człowieka. Na samą myśl o tym wciąż czuł wzbierający w ustach posmak gniewu.

– Ach, pisał też, że służy z Gederem Palliako, ale to chyba nie może być prawda? Czy to nie ten pękaty mężczyzna, zakochany w mapach i komicznych rymowankach?

– Masz na myśli Lerera Palliako. Geder to jego syn.

– Och – mruknęła Clara, robiąc ruch dłonią. – To ma o wiele więcej sensu, bo jakoś nie mogłam wyobrazić go sobie, wyruszającego w jego wieku na wyprawę. Myślę, że wszyscy jesteśmy już na to za starzy. Na końcu Jorey dopisał długi fragment o koniach i śliwkach, będący najwyraźniej jakąś zakodowaną wiadomością do ciebie, której nie mogłam odczytać.

Po chwili poszukiwań w fałdach sukni, podała mu poskładany papier.

– Wygrałeś tę swoją potyczkę? – spytała.

– Tak.

– A czy ten okropny mężczyzna przeprosił?

– Nawet lepiej, moja droga. Przegrał.

Pismo Jorey'a pstrzyło kolejne strony niczym równo poukładane odciski ptasich nówek, staranne i trochę niechlujne jednocześnie. Dawson przebiegł wzrokiem pierwsze akapity. Kilka obcesowych komentarzy na temat trudnych warunków marszu, protekcyjna uwaga o Alanie Klinie, którą Clara przeoczyła albo postanowiła opacznie zrozumieć i jeszcze krótki ustęp o chłopaku Palliaków, który najwyraźniej stał się obiektem kpin całej kompanii. A potem najważniejsza część. Przeczytał ją uważnie, analizując każde zdanie i wyszukując słowa wybrane przez niego wraz z synem, reprezentujące pewnych kluczowych graczy i wydarzenia. *W tym roku nie ma żadnych śliwek ze spadów.* Czyli sir Klin nie współpracował z lordem Terniganem. Klin przyjmował od Ternigana rozkazy, ponieważ ten piastował urząd marszałka armii, a nie w związku z żadnymi politycznymi układami. To była bardzo przydatna informacja. *Mojemu koniowi coraz bardziej grozi okulawienie w prawej stronie.* Koń, a nie wierzchowiec. Okulawienie, a nie kalectwo. W prawej stronie, nie w lewej. A więc kompania Klina miała pozostać w podbitym Vanai, a sam Klin zapewne miał otrzymać tytuł tymczasowego namiestnika. Ternigan nie zamierzał zagarniać władzy dla siebie. Wobec tego tym ważniejsze było, by armia grała na zwłokę.

Rzecz jasna tylko *grała na zwłokę.* A nie *przegrała.* Do tego nie można

było dopuścić. Wszystko zgrałoby się w czasie, gdyby tylko siły Ternigana mogły wstrzymać się ze zwycięstwem do wiosny. Ta różnica pomiędzy opóźnieniem triumfu a porażką sprawiała, że jego prywatne pertraktacje z Maccią nie przekraczały cienkiej linii oznaczającej zdradę. Gdyby tylko udało się odwlec podbój Vanai do wiosny, znalazłby się czas na odwołanie Klina z powrotem na dwór i zastąpienie go Jorey'em. Uzyskanie pozycji namiestnika Vanai byłoby pierwszym krokiem jego syna do umocnienia pozycji na dworze, a jednocześnie ujęłoby trochę prestiżu Maasowi, Klinowi i im podobnym.

Dawson działał poprzez najrzadziej wykorzystywane kanały, jakie tylko mógł znaleźć. Wysyłał listy do agentów w Stollbourne, a ci z kolei wysyłali listy do kupców w Birancour, których łączyły interesy z Maccią. Dyskrecja miała tu absolutnie kluczowe znaczenie, ale udało mu się. Sześciuset żołnierzy miało wzmocnić garnizon wolnego miasta Vanai, na dogodny dla niego okres czasu. Na wiosnę wycofają się, Vanai padnie i jeszcze nim nastanie lato, Dawson będzie pił z królem Simeonem, śmiejąc się z własnej przebiegłości.

– Mój panie?

Sługa stał w drzwiach oranżerii, gnąc się w przeproszającym ukłonie. Dawson złożył list, po czym oddał go Clarze.

– O co chodzi?

– Ma pan gościa, sir. To baron Maas wraz żoną.

Dawson prychnął, ale jego żona wstała i poprawiła rękawy. Jej twarz przybrała wyraz niemal niczym niezmaconego spokoju. Posłała mężowi uśmiech.

– Daj spokój, kochany – powiedziała. – Miałeś już okazję pobawić się w wojnę. Teraz pobawimy się w pokój.

Kolejne słowa sprzeciwu zaczęły przychodzić mu głowy z szybkością ogara goniącego za lisem – w pojedynkach nie chodziło o zabawę, lecz o honor, a Maas zasłużył sobie na bliznę oraz uszczerbek na honorze, który się z nią łączył. Podejmowanie go teraz było jedynie wyrazem pustej etykiety i tak dalej. Clara uniosła brew i przechyliła głowę na bok. Natychmiast przeszła mu cała złość. Wybuchnął śmiechem.

– Ukochana – rzekł – tylko ty potrafisz mnie ucywilizować.

– Gdzież tam – odparła. – A teraz chodź i powiedz coś miłego.

Pokój gościnny tonął w gobelinach – odzwierciedlonych na tkaninie

obrazach Ostatniej Bitwy ze skrzydłami smoków, haftowanymi srebrną nicią i postacią Drakisa Stormcrowa, obszytą na złoto. Promienie słoneczne wpadały do środka przez duży witraż z barwionego szkła przedstawiający gryfa i topór, herb Kalliamów. Ustawione tu meble były najładniejsze w całej rezydencji. Feldin Maas stał przy drzwiach na baczność. Jego ciemnowłosa żona o ostrych rysach twarzy wysunęła się naprzód, gdy Dawson i Clara weszli do pomieszczenia.

– Kuzynko! – powiedziała, ujmując dłonie drugiej kobiety. – Miło mi cię widzieć.

– Tak, Phelio – odparła Clara. – Przykro mi, że wydajemy się widywać jedynie wtedy, gdy nasi chłopcy coś przeszkobią.

– Osterling – rzekł Feldin Maas, używając bardziej formalnego tytułu swojego gospodarza.

– Ebbinbaugh – odwzajemnił uprzejmość Dawson, kłaniając się. Feldin również zgiął się w ukłonie, ale uczynił to ze sztywnością, świadczącą o tym, że ból związany z nową raną wciąż mu doskwierał.

– Och, przestańcie – powiedziały obie kobiety jednocześnie. – Usiądźcie i napijcie się wina.

Mężowie zrobili, jak im kazano. Po kilku minutach rozmowy, Feldin nachylił się, mówiąc cicho.

– Nie słyszałem, czy zamierzasz przystąpić do królewskiego turnieju.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałbym tego nie robić?

– Myślałem, że pozwolisz swoim synom okryć się chwałą, stary przyjacielu – wyjaśnił Feldin. – To wszystko. Nie chciałem cię urazić. Nie sądzę, bym był w stanie znów stanąć z tobą do walki. Przynajmniej do czasu aż wyleczę rany.

– Może następnym razem powinniśmy pojedynkować się na słowa. Obrażliwe dwuwiersze na dziesięć kroków.

– Hmm, ostrza wystarczą. Twoje dwuwiersze potrafią wyrządzić trwalsze szkody. Dzięki tobie ludzie wciąż nazywają sir Laurena Króliczym Rycerzem.

– Mnie? Nie. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy, gdyby nie jego zęby i ten nedorzeczny hełm. Wiem, że to miały być skrzydła, ale na Boga, mnie przypominały jedynie uszy – odparł Dawson, biorąc łyk trunku. – Dobrze się dziś sprawiłeś, mój chłopcze. Nie tak dobrze jak ja, ale bez wątplenia masz duszę wojownika.

Clara nagrodziła go uśmiechem. Miała rację, bycie wspaniałomyślnym nie było takie trudne. Nawet niosło ze sobą odrobinę ciepła. Wino miało bogaty bukiet. Słudzy przynieśli deskę suszonych serów i piklowanej kiełbasy. Clara i jej kuzynka plotkowały, dotykając swoich ramion i dłoni przy każdej możliwej okazji, niczym flirtujące dzieci. Dawson doszedł do wniosku, że obie te rzeczy były do siebie bardzo podobne. Najpierw obelga, potem przemoc, ale na końcu czekała zawsze kojąca otucha. To właśnie takie kobiety powstrzymywały królestwo przed rozpadem w wojnie napędzanej przez ego i przerost męskości.

– Jesteśmy szczęśliwcami – powiedział Dawson – mając za żony takie kobiety.

Feldin Maas zrobił zaskoczoną minę, przyjrzał się dwóm damom pogrążonym w rozmowie na temat trudności związanych z prowadzeniem zarówno domostw w Camnipolu, jak i ich rodzinnych posiadłości jednocześnie, po czym posłał rozmówcy cierpki półuśmiech.

– Chyba masz rację – rzekł. – Jak długo zamierzasz zostać w Camnipolu?

– Do turnieju, a potem może jeszcze tydzień lub dwa. Chcę wrócić do domu przed pierwszymi śniegami.

– Tak. Nie ma to jak Kingspire w zimie, gdzie dociera każdy oddech wiatru z równin. Zupełnie, jakby za architekta służył mu żaglomistrz. Słyszałem, że król myśli nawet o wycieczce po pograniczu, żeby tylko spędzić trochę czasu w cieplejszym klimacie.

– Chodzi o polowania – powiedział Dawson. – Odkąd byliśmy chłopcami, uwielbiał zimowe wyprawy łowieckie na pogranicze.

– Mimo wszystko, robi się na to trochę za stary, nie sądzisz?

– Nie.

– Chylę czoła przed twoją opinią – rzekł Feldin, ale jego uśmiech był słaby i pełny samozadowolenia. Dawson poczuł ukłucie gniewu i Clara musiała to zauważyć. Wyglądało na to, że częścią utrzymywania pokoju była umiejętność przerwania zabawy w przyjaciół nim czar pryśnie. Kobieta wezwała sługi, wręczyła kuzynce podarek w postaci bukietu fiołków, po czym odprowadziła krewniaczkę do przedsionka, by się pożegnać. Tuż przed wyjściem Feldin Maas zmarszczył brwi i uniósł palec.

– Zapomniałbym, mój panie. Macie jakąś rodzinę w Wolnych Miastach?

– Nie – odparł Dawson. – Z drugiej strony, wydaje mi się, że Clara posiada jakichś dalekich krewnych w Gilei.

– Przez małżeństwo – wyjaśniła Clara. – Nie krew.

– Czyli żadnych krewnych w Maccii. To dobrze – odetchnął Maas.

Dawson zeszywniał.

– W Maccii? Nie – zaprzeczył. – Dlaczego pytasz? Coś stało się w Maccii?

– Najwyraźniej Wielki Doża postanowił sprzymierzyć się z Vanai przeciwko jego królewskiej mości. „Jedność w obliczu agresji” lub coś takiego.

Feldin wiedział o posiłkach z Vanai. A skoro tak, to wiedział o nich również sir Alan Klin. Jednak czy wiedzieli czyje wpływy zaskarbiły Vanai nowych sojuszników, czy może jedynie to podejrzewali? Musieli przypuszczać, że maczał w tym palce, w przeciwnym wypadku Feldin nawet by o tym nie wspomniał. Dawson uśmiechnął się tak, jak zwykł to czynić, gdy była mowa o mało znaczących kwestiach. A przynajmniej taką miał nadzieję.

– Jedność wśród Wolnych Miast? Wydaje się to dość nieprawdopodobne – powiedział. – To zapewne tylko plotki.

– Tak – mruknął Feldin Maas. – Tak, jestem pewien, że masz rację.

Obrzydliwy, pokurczowaty, kłamliwy bękart szczura i dziwki ukłonił się, po czym wyszedł z domu za żoną. Gdy Dawson ani drgnął, Clara ujęła jego dłoń.

– Wszystko w porządku, mój drogi? Wyglądasz blado.

– Wybacz – odparł jedynie.

Znalazłszy się w swojej bibliotece, zamknął za sobą drzwi, zapalił świece i zdjął mapy z półek. Oznaczył wszystkie drogi z Maccii do Vanai oraz trasy, którymi bez wątpienia miała podążać armia. Pomierzył odległości i dokonał kalkulacji. Wściekłość narastała w nim niczym fale smagane sztormem. Został zdradzony. Gdzieś w łańcuchu komunikacyjnym, ktoś powiedział coś, co zniweczyło jego plany. Przeliczył się z siłami i znalazł na niebezpiecznej pozycji. Został przechytrzony. Przez Feldina Maasa. Jeden z psów skomlał, drapiąc w drzwi, dopóki Dawson nie otworzył ich i nie wpuścił zwierzęcia do środka.

Pies wskoczył na kanapę, zwijając się w kłębek i spojrzał na Dawsona niespokojnym wzrokiem. Baron Wzgórz Osterling opadł na siedzisko obok zwierzęcia i zaczął drapać je za uchem. Wilczarz zaskomlał raz jeszcze, wciskając łeb w dłoń mężczyzny. Chwilę później w drzwiach pojawiła się

Clara, z ramionami założonymi na piersi i spojrzeniem równie niespokojnym jak pies.

– Coś poszło nie tak?

– Odrobinę, tak.

– Czy Jorey'owi coś grozi? – spytała.

– Nie wiem.

– A czy nam coś grozi?

Dawson nie odpowiedział, ponieważ odpowiedź na to pytanie brzmiała „tak”, a nie był w stanie zmusić się do kłamstwa.

Geder

Dolinę spowiła mgła, bieląc ją w porannym słońcu. Proporce antejskich rodów zwisały smętnie, przemoknięte, pociemniałe i poszarzałe od gęstego powietrza. Świat pachniał rozdeptanym błotem i chłodem. Koń Gedera potrząsnął głową, parskając. Mężczyzna wyciągnął dłoń w rękawicy i poklepał zwierzę po boku.

Zbroja, którą nosił należała kiedyś do jego ojca. Jasna stała płyt pociemniała nieco w miejscach, gdzie płatnerz wyklepał ją, by lepiej przylegała do pleców Gedera. Rzemienie piły nawet przez przesywanicę. Marsz stanowił długi, męczący przedsmak piekła. Tempo nie było szybkie, ale miarowe. Od pamiętnego skacowanego poranka, Geder jechał lub szedł nieprzerwanie od czterech dni, jednorazowo robiąc postoje na odpoczynek nie dłuższe niż dwie godziny. Nocami owijał kocem ramiona i drżał z zimna. Za dnia zalewał go pot. Armia podróżowała szeroką, zieloną smoczą drogą. Łomot żołnierskich butów na jadeicie z początku go denerwował, potem zaczął jawić mu się niczym muzyka, następnie stanowił dziwną odmianę ciszy, aż w końcu znów zaczął go irytować. Dysponując zaledwie jednym koniem, dużą część każdego dnia spędzał maszerując. Bogatszy człowiek wziąłby na wyprawę dwa lub trzy, a może nawet cztery wierzchowce. Poza tym wziąłby zbroję płytową, która nie była w użyciu przez kilka dekad przed jego narodzinami. I namiot, który chroniłby przed chłodem. A do tego, być może, odrobinę godności i szacunku dla samego siebie.

Inni tytułowani szlachcice jechali w grupkach lub w otoczeniu świty. Geder dzielił z nimi miejsce na czele kolumny, choć zostawał nieco z tyłu. Tuż za nim terkotały wozy z zaopatrzeniem, a dalej piechota i markietanki, choć tych ostatnich przez kilka dni znacząco ubyło. Fakt, że nawet dziwkom szkoda było czasu na forsowny marsz, był wielce znaczący.

Rozkaz do postoju przyszedł zeszłego wieczora godzinę przed zachodem słońca. Giermek Gedera postawił jego mały namiot, przyniósł cynowy talerz z soczewicą i serem, po czym zwinął się w mały, dartinejski kłębek tuż przed wejściem. Geder wpełzł na siennik, zamknął oczy i modlił się o sen. Przez całą noc śnił o maszerowaniu. O brzasku rozbrzmiał nowy rozkaz: szykować się.

Przez całe dzieciństwo wyobrażał sobie ten dzień. Swoją pierwszą

prawdziwą bitwę. Wyobrażał sobie podmuch wiatru przy szarzy, ciepło i szybkość wierzchowca pod nim, straszliwe, bojowe okrzyki w gardle. Nie pomyślał jednak o otepiających godzinach siedzenia w siodle, ziębnącej zbroi na plecach, podczas gdy piechota formowała szyki, zmieniała swoją pozycję, po czym ponownie się formowała. Szereg szlachetnych rycerzy, trzymających miecze i kopie na podorędziu, stanowił zbieraninę roześmianych mężczyzn, wymieniających między sobą sprośne dowcipy lub narzekających na to, że raczej żywnościowe były głodowe albo zepsute. Bardziej niż pole bitwy przypominało to dziewiąty dzień ośmiodniowego polowania. Kręgosłup Gedera stał się jednym skupiskiem palącego bólu, od pośladków aż do podstawy czaszki. Uda miał otwarte do mięsa, szczęka przeskakiwała mu za każdym razem, gdy ziewał, a w ustach ciągle czuł posmak skwaśniałego sera. Giermek stał u jego boku, z rycerską tarczą przerzuconą przez plecy, ściskając w palcach kopię Gedera i przywołując wojowniczy wyraz na pozbawioną owłosienia twarz.

– Palliako!

Geder obrócił się. Sir Alan Klin dosiadał wielkiego, czarnego rumaka, którego zbroję pokryto czerwoną emalią. Pancierz mężczyzny połyskiwał od rosy oraz srebra uformowanego w kształt smoczych skrzydeł. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł ze starożytnego eposu.

– Mój panie? – rzekł Geder.

– Będziesz walczył na zachodnim skrzydle. Zwiadowcy donoszą, że są tam głównie siły najemne Vanai, więc tam walka powinna być najłatwiejsza.

Geder zmarszczył brwi. Coś mu nie grało, ale zmęczenie utrudniało jasne myślenie. Najemnicy byli profesjonalnymi zabójcami i weteranami w porównaniu ze zwykłymi ludźmi. I to tam walka miała być *najłatwiejsza*? Klin odczytał jego wyraz twarzy, pochylił się w siodle i splunął.

– Oni nie chronią swoich domów i kobiet – powiedział Klin. – Po prostu podążaj za Kalliamem i postaraj się nie najechać na nikogo koniem. Łatwo pogruchotać komuś kolana.

– Wiem o tym.

Blade brwi Klina uniosły się w górę.

– To jest... Chciałem powiedzieć, że będę uważał, mój panie.

Klin cmoknął na swojego pięknego rumaka, który potrząsnął głową i obrócił się. Giermek Gedera uniosł głowę. Jeśli w płonących oczach Dartinejczyka kryło się jakieś rozbawienie, to chłopak dobrze je ukrywał.

– Chodź – powiedział Geder. – Zajmijmy swoją pozycję.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Klin mógł mieć rację. Niewykluczone, że posyłał Gедера oraz najmłodszego sir Kalliamą w najłatwiejszy bój na całym polu bitwy. Szarża, kilka uderzeń mieczem z jednej, potem z drugiej strony i siły najemne poddadzą się zanim komukolwiek stanie się krzywda. Świadectwem przebiegłości Klina byłoby, gdyby wszyscy jego rycerze przeżyli bitwę. Jednocześnie mężczyzna zwiększyłby własny prestiż, zachowując najznamienitszych wojowników przy sobie. Wszystko, by zaimponować lordowi Terniganowi i wyróżnić się spośród wszystkich kapitanów pod wodzą marszałka. A może Klin chciał, by Palliako poległ w walce. Geder stwierdził, że jest gotowy zginąć, jeśli tylko miałyby to oznaczać koniec jazdy wierzchem.

Jorey Kalliam siedział wyprostowany w siodle, rozmawiając ze swoich chorążym. Jego wykuta ze stali zbroja była prosta i elegancka. Otaczało go sześciu innych rycerzy oraz ich giermkowie, wszyscy w pełnej gotowości. Kalliam pozdrowił Gедера skinieniem głowy. Ten odpowiedział tym samym.

– Podejdźcie bliżej! – zawołał Jorey. – Wszyscy. Do mnie.

Rycerze podprowadzili swoje wierzchowce. Sir Makiyos z Ainsbaugh. Sozlu Veren i jego brat bliźniak, Sesil. Darius Sokak, hrabia Hiren. Fallon Broot, baron Wzgórz Suderling, a także jego syn Daved. Koniec końców, dość smutna gromadka. Geder wyczytał z ich wyrazów twarzy, że doszli do tego samego wniosku, widząc jego przybycie.

– Dolina zwęża się o pół ligi stąd – oznajmił Kalliam. – Tam też okopali się Vanajczycy. Zwiadowcy donoszą, że chorągwie na zachodnim skraju należą do najemnej kompanii pod dowództwem kapitana Karola Danniana.

– Ilu ma ludzi?

– Dwie setki, ale głównie piechotę z łukami – powiedział Kalliam.

– Wybornie – rzekł Fallon Broot, głaszcząc wąsy opadające poniżej małego podbródka. – Wystarczy dla każdego.

Geder nie miał pojęcia, czy to był żart.

– Nasze zadanie polega na trzymaniu się skraju doliny – wyjaśnił Kalliam. – Główne natarcie pójdzie wschodnim skrzydłem, gdzie siły Vanai są największe. Lord Ternigan będzie dowodził wszystkimi swoimi rycerzami oraz połową naszych. My musimy jedynie upewnić się, że nikt ich nie oflankuje. Sir Klin oddał nam pod komendę trzy tuziny łuczników i dwa razy tyle zbrojnych. Łuczników wysłałem przodem. Na sygnał rozpoczną atak i

spróbują wywabić wrogą jazdę. Gdy pójdzie kontrnatarcie, włączymy się do walki, a za nami piechota.

– Dlaczego tutaj? – spytał Geder. – To znaczy, na ich miejscu zaszyłbym się za murami miasta. Zmusiłbym przeciwników do oblężenia.

– Nie zatrudnisz najemników do obrony w oblężeniu – odparł jeden z ludzi sir Verena. Pogarda dla pytania sączyła się z każdego jego słowa. – Przyjmują kontrakt na jeden sezon, a Vanai nie stać, by zatrzymać ich dłużej.

– Miasto znajduje się nie dalej jak godzinę jazdy stąd – powiedział Kalliam – a po drodze nie ma lepszej pozycji obronnej. Jeśli chcą nas utrzymać z dala od Vanai, to pierwsze i ostatnie miejsce, gdzie mogą to zrobić.

W oddali zagrał róg. Dwa dźwięki wysokie i jeden niski. Serce Gedera zabiło szybciej. Kalliam uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały obojętne.

– Moi panowie – rzekł. – Mniemam, że to pierwszy sygnał. Jeśli macie jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, to jest już na nie za późno.

Mgła nie zniknęła zupełnie, ale przerzedziła się na tyle, że krajobraz przed nimi stał się wyraźnie widoczny. Dla niewprawnego oka Gedera, dolina wyglądała tak samo jak wszystkie pozostałe, które mijali w drodze przez niskie pagórki na północ od Wolnych Miast. Ze szczytu wzniesienia przeciwnicy przypominali ciemną, wzburzoną linię podobną do kłębiących się mrówek. Giermkowie innych rycerzy rozpoczęli ostatnie przygotowania, przypinając im tarcze do przedramion i podając kopie zakończone stalowymi grotami. Geder podzielił ich los. Gdy Dartinejczyk wykonał swoje zadanie, skinął głową swemu panu i przygotował własny oręż do bitwy – lekki, skórzany kaftan oraz długi, paskudny nóż. Zaledwie pół ligi dalej, po drugiej stronie barykady, jakiś inny giermek albo nisko urodzony żołnierz czyścił swoją mizerykordię, równie niegodziwie wyglądającą, którą miał zamiar wbić Gederowi w gardło przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ponownie zagrzmiął róg. Nie był to jeszcze sygnał do szarży, ale już ją poprzedzający.

– Powodzenia, mój panie – powiedział jego giermek. Geder niezdarnie skinął głową w hełmie, zawrócił wierzchowca, by podążyć za pozostałymi i ruszył w kierunku pola bitwy. Jego mały wałach parskał niespokojnie. Mrówki rosły w oczach. Wrogie sztandary stały się rozpoznawalne. Zobaczył, że łucznicy Kalliamy znaleźli się na pozycjach, skryci za osłonami z drewna i skóry. Jorey uniósł tarczę, na który to znak rycerze zatrzymali się. Geder próbował obrócić się w siodle, by sprawdzić, czy piechota podąża za

nimi, ale uniemożliwiła mu to zbroja. Mocno zacisnął powieki. Miało być dokładnie jak na turnieju. Najpierw szarża z kopią w ręku, a potem krótka potyczka wręcz. Nawet bogata kompania najemnicza nie mogła dysponować ciężką kawalerią. Wszystko będzie dobrze. Tyle że musiał się odlać.

Rogi zagrały wojskową, podwójną nutę do szarży. Kalliam i inni wznieśli bojowe okrzyki, po czym spięli konie. Geder uczynił to samo. Zmęczony, stary wałach, który nosił go na grzbiecie od wielu dni, stał się bestią zrodzoną z wiatru. Geder słyszał, że krzyczy, ale cały świat utonął w jednym wielkim wrzasku. Osłony łuczników mignęły obok niego i zniknęły, zastąpione przez wrogie szeregi – nie rycerzy ani ciężkiej kawalerii, ale pikinierów, którzy nadstawiali swoje długie włócznie. Sir Makiyos wpadł między przeciwników, roztrącając ich. Geder zmienił kąt natarcia, chcąc wykorzystać zamieszanie.

Koń rżał. Kopia Gedera ugodziła pikiniera, a impet uderzenia szarpnął jego ramieniem. Chwilę później znalazł się za pierwszą linią wroga, w samym sercu walki. Odrzucił kopię, dobył miecza i zaczął rąbać każdego, kto podszedł za blisko. Po jego prawej stronie tuzin żołnierzy próbował ściągnąć z konia jednego z bliźniaków Verenów. Geder skierował wierzchowca w stronę upadającego rycerza, ale w tej samej chwili do walki dołączyli jego zbrojni, wlewając się przez przerwana linię wroga. Mężczyzna dostrzegł swojego giermka, trzymającego głowę nisko i nóż w pogotowiu, ale w okolicy nie było żadnych ludzi w zbrojach płytowych, których Geder mógłby powalić, pozostawiając dalszy ciąg Dartinejczykowi. Kłębowisko walczących coraz bardziej przesuwało się na południe. Geder ponownie zawrócił konia, gotowy do walki, ale najemnicy wydawali się niechętni do ataku.

Nawet nie zauważył, skąd nadleciał bełt. W jednej chwili omiatał wzrokiem pole bitwy, szukając kolejnego celu, a już w następnej niewielkie drzewo zapuściło swoje korzenie w jego nodze. Grube, czarne drzewce przebiły płytę pancerza, przeszywając mu udo. Geder upuścił miecz i wrzasnął, w agonii zaciskając palce na bełcie. Coś uderzyło w jego tarczę dostatecznie mocno, by zmusić go do cofnięcia się. Z południa doszedł ich odgłos bębnow, niski i głęboki jak pomruk burzy. Wałach poruszył się niespodziewanie i Geder poczuł, że zaczyna zsuwać się z siodła. Ręka, która go podtrzymała należała do Jorey'a Kalliamy.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytał Geder.

Kalliam nie odpowiedział. Choć nie wyglądał na rannego, jego twarz i

tarczę zboczyła krew. Młodzieniec nie spuszczał oczu z pola bitwy. Lub czegoś za nim. Jego twarz sprawiała wrażenie maski wykutej z lodu. Próbując zapomnieć o bólu, Geder powiódł wzrokiem za spojrzeniem młodzieńca. Tam, tańczące ponad bitewnym zgiełkiem, powiewały nowe sztandary. Pięć niebieskich obręczy Maccii.

– Zapomnij o wcześniejszym pytaniu – jęknął Geder. – Skąd oni się tu wzięli?

– Możesz jechać?

Geder spojrzał w dół. Błady bok wałacha plamiła czerwień krwi, a jej struga wypływająca z rany po bełcie wydawała się szeroka jak rzeka. Nagły atak mdłości sprawił, że musiał ucześcić się siodła. Ludzie umierali od tego typu ran. Był pewien, że słyszał o mężczyznach, którzy wyzionęli ducha, otrzymawszy ranę w nogę. Czy to oznaczało, że on również miał umrzeć?

– Palliako!

Podniósł wzrok. Świat lekko falował. Jorey Kalliam przeniósł spojrzenie z szeregu walczących, który teraz znów zbliżał się w ich kierunku, na twarz Gedera.

– Jestem ranny – powiedział Geder.

– Jesteś też cesarskim rycerzem – skarcił go Kalliam, choć to nie gniew nadawał moc jego słowom. – Możesz jechać, sir?

Geder poczuł, że część siły jego dowódcy spłynęła na niego. Świat odzyskał równowagę, a Geder wraz z nim.

– Mogę... Chyba mogę.

– Więc jedź. Znajdź lorda Ternigana. Powiedz mu, że macciańskie sztandary pojawiły się na zachodnim krańcu pola bitwy. Przekaż, że potrzebujemy pomocy.

– Tak też uczynię – powiedział, ujmując wodze.

Wierzchowiec Kalliam ruszył w stronę walczących, parskając, ale młody rycerz go wstrzymał.

– Palliako! Udaj się bezpośrednio do lorda Ternigana. *Bezpośrednio.*

– Sir?

– Nie do Klina.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Pojawiła się nić zrozumienia. Kalliam nie ufał ich kapitanowi tak samo jak on. Geder poczuł w sercu ulgę i wdzięczność, a chwilę później zdziwienie, że ogarnęły go takie uczucia.

– Rozumiem – przytaknął. – Sprowadzę pomoc.

Kalliam skinął głową, odwrócił się i zaszarżował na wrogów. Geder spiął konia, jadąc na wschód. Przez chwilę siłował się z tarczą. Grube rękawice i kołyszący krok wierzchowca sprawiały, że skórzane rzemienie oraz sprzączki stały się bardzo nieporęczne. W końcu udało mu się uwolnić przedramię. Pochylił się w siodle, popędzając zwierzę. Jeszcze godzinę temu dolinę porastała trawa i polne kwiaty. Teraz wypełniała ją jedynie zryta ziemia oraz wrzaski walczących.

Geder zmrużył oczy. Mgła zniknęła, ale mokre, pociemniałe chorągwie wciąż przywierały do swoich drzewc. Musiał odszukać złoto i szkarłat Domu Terniganów. I musiał zrobić to szybko. Wszędzie wokół leżeli w błocie ludzie, martwi lub ranni. Wrzaski żołnierzy i rzenie koni rozdzierały powietrze. Chorągwi królewskiego marszałka nigdzie nie było.

Geder zaklął na głos, gorączkowo się rozglądając.

Ranna noga coraz bardziej mu ciążyła. Przeszywanica nasiąkała krwią równie szybko jak siły opuszczały jego członki. Szansa na to, że Kalliam i jego towarzysze przeżyją topniała z każdą minutą. W polu widzenia zatańczyły mu złote plamy, a krawędź obrazu skryła ciemność. Próbował stanąć w strzemionach, lecz ranna noga nie była w stanie utrzymać jego ciężaru. Zmusił konia do dalszej jazdy. Widział chorągwie domu Flor i Rivercourt, Masonhalm oraz Klin...

Klin. Tam, nie dalej jak pięćdziesiąt jardów od jego obecnej pozycji, sztandar sir Alana Klina powiewał niemrawo, ciężki i wilgotny, ponad grupą walczących mężczyzn. A pośród nich ogromny, czarny rumak w czerwonej zbroi. Geder poczuł się wewnętrznie rozdarty. Jeśli był to błąd, a Klin *nie miał* zamiaru wysłać ich na rzeź, to pomoc była tutaj, tuż obok. Na wyciągnięcie ręki. Jednak jeśli takie były jego intencje, a Geder udałby się do niego, to dla Kalliana i pozostałych oznaczałoby to pewną śmierć. Ruszył dalej. Noga mu zdrętwiała. W ustach zaschło. Tam, chorągwie Estinford, Corenhall, Dannick.

Ternigan.

Dał koniowi ostrogę i wałach skoczył naprzód, gnając w stronę grupy żołnierzy zebranych wokół sztandaru. Geder przeklął Ternigana za to, że postanowił poprowadzić szarżę osobiście, zamiast dowodzić wojskiem z bezpiecznej odległości. Przeklął sir Alana Klina za wysłanie go i Kalliana prosto w pułapkę wroga.

A na końcu przeklął sam siebie za to, że odpiął tarczę, dał się zranić i nie

odnalazł marszałka szybciej. Wrogi miecznik wyskoczył na niego z błota. Geder stratował go końskimi kopytami. Wyczuwał sosnowy dym. Coś, gdzieś się paliło. Wałach drżał pod nim, wycieńczony. Bezgłośnie poprosił zwierzę o wybaczenie i ponownie zmusił je do szybszej jazdy.

Wpadł pomiędzy walczących niczym kamień wrzucony przez okno. Piechota rozstała się przed nim, tak cesarska, jak i vanajska. Niecałe dziesięć metrów od chorążego, wyprostowany w siodle siedział lord Ternigan. W jego dłoni połyskiwał miecz. Pięć szeregów żołnierzy broniło go przed wrogimi ostrzami.

– Lordzie Terniganie! – ryknął Geder. – Terniganie!

Jego słowa utonęły w bitewnym zgiełku. Marszałek ruszył naprzód, w stronę miejsca, gdzie walki były najcięższe. Głęboki szkarłat gniewu przesłonił Gederowi pole widzenia. Kalliam i inni walczyli, ginęli za tego człowieka. Cholerny bękart mógłby przynajmniej baczej zwracać uwagę na otoczenie. Zmusił słabnącego wierzchowca do jazdy, samą siłą woli przeciskając się pomiędzy gwardzistami marszałka. Pole bitwy zawężyło się do jednego lorda na koniu. Skraj obszaru widzenia Gедера pociemniał, jakby jechał długim tunelem wychodzącym na świat. Znalazłszy się w odległości trzech jardów, krzyknął ponownie.

– Maccia, mój lordzie Terniganie! Maccia uderzyła od zachodniego krańca! Mordują nas!

Tym razem marszałek usłyszał. Odwrócił głowę w stronę Gедера, a wysokie, szlachetne czoło pokryły zmarszczki. Geder zamachał rękami, wskazując na zachód. *Nie patrz na mnie. Patrz na Maccię.*

– Kim jesteś, sir? – spytał Ternigan. Miał głos głęboki niczym dudnienie bębna, który na dodatek odrobinę rezonował. Świat wokół niego wydawał się odrobinę cichszy, niż było w rzeczywistości.

– Sir Geder Palliako. Przysłała mnie Jorey Kalliam. Na zachodnim skrzydle są nie tylko najemnicy, mój lordzie. Są tam też oddziały z Maccii. Nie damy im rady. Kalliam... Kalliam mnie przysłał. Musisz im pomóc, panie.

Ternigan krzyknął coś przez ramię. Ponownie zagrzmiały rogi, blisko i z siłą, która przypominała cios w szczękę. Geder otworzył oczy, zaskoczony, że w ogóle je zamknął. Wokół poruszali się ludzie. Mijali go inni rycerze, kierując się na zachód. A przynajmniej wydawało mu się, że na zachód. Lord Ternigan znalazł się tuż przy nim, mocno podtrzymując go za łokieć.

– Możesz walczyć, sir? – spytał go marszałek Królestwa Antei, jakby z oddali.

– Mogę – odparł Geder, zmieniając pozycję w siodle. Śliska od krwi stopa wysunęła się ze strzemienia. Zryte kopytami błoto ruszyło mu na spotkanie, ale czerń pochłonęła wszystko jeszcze zanim runął na ziemię.

Marcus

Na popołudniowy posiłek karawana zatrzymała się na polanie nad szerokim, wolno płynącym strumieniem. Chudy chłopak, którego imię brzmiało Mikel, siedział na powalonym pniu obok Yardema. Podobnie jak Tralgur, nosił skóry rozchełstane pod szyją. Obaj pochylali się nad talerzami pełnymi fasoli i kielbasy. Ramiona chłopaka ułożone były w sposób sugerujący muskulaturę, której tak naprawdę nie posiadał, a w powolnych ruchach kryła się obietnica siły, nieposiadająca odzwierciedlenia w jego wątlej posturze. Yardem odrobinę pochylił głowę, by spojrzeć na Mikela. Chłopak, zachowując taką samą powagę, uniósł głowę do góry.

– Kapitanie – powiedział Tralgur, tuląc uszy. – Niech pan każe mu przestać.

Marcus, siedzący na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, z trudem powstrzymywał uśmiech.

– Co ma przestać?

– Robi tak już od wielu dni, sir.

– Masz na myśli, że naśladuje żołnierza?

– Naśladuje *mnie* – odparł Yardem.

Mikel wydał z siebie niski, gardłowy pomruk. Marcus musiał odkaszlnąć, by ukryć rozbawienie.

– Zatrudniliśmy tych ludzi, żeby odgrywali role strażników – zauważył kapitan. – I tak właśnie robią. To naturalne, że próbują nas naśladować.

Yardem chrząknął z niezadowoleniem i obrócił głowę w stronę chłopaka. Gdy Mikel napotkał jego wzrok, Tralgur celowo zastrzygł uchem.

Las wokół nich tworzyły dęby i jesiony. Niektóre drzewa osiągały wysokość dziesięciu mężczyzn. W ciągu ostatnich kilku lat wybuchło tu kilka niewielkich pożarów, które osmały korę i spopielily podszycie, ale nie dosięgły szerokich koron. Marcus wyobrażał sobie kłęby dymu buchające pomiędzy zielonymi, letnimi liśćmi. Teraz przydrożna ściółka podmokła. Opadłe liście poczerniały od pleśni. Wkrótce miały użyźnić glebę dla przyszłorocznych chwastów. Jedynie liście na drodze pozostały suche. Na wschodnim krańcu polany kamienny posąg króla Południowców w pełnym rynsztunku i w sześcioramiennej koronie w połowie stopił się z dębem. Stwardniała kora pochłonęła już połowę jego dostojnej twarzy, natomiast

korzenie w znacznym stopniu przechyliły szeroki cokół. Pnącza okryły kamienne ramiona. Marcus nie miał pojęcia, co właściwie miał upamiętniać ten posąg.

Niemal przez tydzień karawana szybko posuwała się naprzód. Droga była dobra, a miejscowi rolnicy w większości utrzymywali ją w czystości. Tylko czasami dywan ze świeżo opadłych liści ciągnął się całymi ligami. Stukot końskich kopyt i terkotanie kół wozów były na tyle głośne, że zagłuszały większość rozmów. Przewodnik karawany nie był zły jak na tak religijnego człowieka. Przez większość czasu Marcus ignorował ustępy ze świętej księgi czytane każdego wieczora. Gdy Timzinejczyk wybierał fragment, którego szczególnie trudno było mu słuchać – kazania na temat rodziny lub dzieci, zapewnienia, że Bóg jest sprawiedliwy albo cokolwiek przypominającego mu o tym, co stało się z jego żoną i córką – Marcus szybko kończył kolację i udawał się na długi, samotny spacer wzdłuż drogi. Nazywał to rekonesansem, dzięki czemu przewodnik nie miał mu tego za złe. Inni podróżni dołączali do karawany, by po jakimś czasie znów się od niej odłączyć. Jedno spojrzenie Yardema albo Marcusa wystarczyło, aby nikt nie myślał o wszczynaniu kłopotów. Poza faktem, że nie znajdowali się jeszcze nawet w jednej czwartej drogi do przełęczy znaczącej granicę Birancour, wszystko szło lepiej niż zakładał.

Marcus przeżuwał powoli ostatni kęs kiełbasy. Tuzin wozów wypełnił połowę łąki. Koniom i mułom pozakładano na głowy worki z obrokiem albo prowadzono je do strumienia, by mogły ugasić pragnienie. Większość woźniców wiedziała co robić. Stary mężczyzna powożący furą z rudą cyny był trochę przygłuchy, natomiast chłopak z wysokiego wozu z wełną musiał być nowy w tym fachu albo głupi, ewentualnie jedno i drugie, w każdym razie ta parka była stanowczo najgorsza. Z kolei trupa aktorów spisywała się znakomicie. Gdy obserwował drzewa, w ogóle nie zwracając uwagi na ludzi, potrafiłby kątem oka wyłowić z grupy strażników tylko po samym ich sposobie bycia.

Przy drodze długowłosa kobieta, Cary, stała ze skrzyżowanymi na piersi rękami i ogromnym łukiem z rogu i zwierzęcych ścięgien, przerzuconym przez ramię. Prawdopodobnie nie byłaby w stanie nawet napiąć cholernej cięciwy, ale broń nosiła tak, jakby ta służyła jej od lat. Sandr, młody odtwórca głównej roli, chodził między wozami, głowę trzymając wysoko i marszcząc brwi. Woźnicom opowiadał historię o tym jak złamał nogę

podczas jednego z cesarskich turniejów rycerskich i tak bardzo przywiązał się do tej anegdoty, że nawet zaczął ledwie widocznie utykać. A tam, siedzący z grubą żoną przewodnika karawany, był ich wiedzący, mistrz Kit, bez którego Yardem bezskutecznie broniłby teraz Vanai przed najeźdźcami. Bez którego Marcus siedziałby teraz w więzieniu albo leżał w grobie.

Gwizd przewodnika karawany wyrwał kapitana z zadumy. Mrużąc oczy, mężczyzna spojrzał na wąski pas wielkich, białych chmur, widoczny pomiędzy koronami drzew nad ich głowami. W cieniu lasu trudniej było ocenić upływ czasu, ale zgadywał, że ich popas się przeciągnął. Cóż, kontrakt zobowiązywał go do bezpiecznego doprowadzenia wszystkich do Carse. Nie dotyczył go natomiast żaden harmonogram. Marcus wyczyścił talerz resztką chleba i podźwignął się na nogi.

– Tyły czy czoło? – spytał Yardem.

– Wezmę czoło – odparł Marcus.

Tralgur skinął głową i powlókł się w stronę wozu handlarza żelazem, który zamykał kolumnę karawany. Miał odjechać jako ostatni. Marcus sprawdził swoje ostrze i zbroję z taką samą troską jak przed bitwą – zwykł tak czynić od zawsze – po czym udał się w kierunku wysokiego, szerokiego wozu z prowiantem należącego do przewodnika karawany. Wdrapał się na kozioł i usiadł obok żony Timzinejczyka, szykując się do popołudniowej podróży. Kobieta skinęła mu głową, po czym mrugnęła półprzeźroczystą migotką.

– To był bardzo smaczny posiłek, psze pani – powiedział Marcus.

– Mimo mi to słyszeć, kapitanie.

Skończywszy rozmowę, kobieta krzyknęła na konie, lekko strzelając batem nad zadami i głowami zwierząt, by skierować je we właściwą stronę. Wóz wtoczył się na drogę, po czym skręcił na zachód. Gdy ponownie znaleźli się w głębokim cieniu, Marcus zaczął zastanawiać się, czy Vanai już padło, a jeśli nie, to ile dni zostało jeszcze wolnemu miastu. Zapewne niewiele. Ale to nie był już jego problem.

Stosowali prosty system rotacyjny. Czoło i tyły zawsze obstawiał Yardem lub Marcus. Mistrz Kit jechał w środku kolumny, prowadząc swój wóz teatralny, którego jarmarczną kolorystykę miały przesłonić okrywające go tkaniny. Pozostali jechali trójkami po obu stronach karawany, obserwując linię drzew. Gdyby ktoś zobaczył coś podejrzanego, miał zawołać, a Yardem lub Marcus podjechałoby, żeby to sprawdzić. W ciągu całego tygodnia,

jedyną osobą, która podniosła alarm był Smit, aktor wszystkich ról, który wystraszył się historii o grasujących bandach dzikich, dartinejskich skrytobójców. Marcus pozwolił sobie na przymknięcie oczu i opadł plecami na twarde, drewniane oparcie. Świat pachniał butwiejącymi liśćmi i zmianą pogody, choć mężczyzna nie był jeszcze w stanie stwierdzić, czy zanosilo się na deszcz, czy na śnieg.

U podnóża gęsto zalesionego pagórka droga ostro zakręcała. Na samym jej środku leżało drzewo, wciąż jeszcze bieląc się w miejscu, gdzie porąbały je ostrza toporów. Marcus poczuł, że jego ciało sztywnieje, jeszcze zanim zrozumiał dlaczego.

– Zatrzymajcie karawanę – powiedział.

Jeszcze zanim timzinejska kobieta spytała po co, Smit, Sandr i Opal zaczęli krzyczeć jednocześnie. Marcus obrócił się, wdrapując na dach wozu. Bandyci nie powinni byli ich napadać. Nie wieźli absolutnie niczego cennego. Biała klacz przewodnika karawany mijala kolejne wozy, galopując w stronę czoła kolumny. Mężczyzna dostrzegł cztery postacie w skórach i lekkich kolczugach, które wyłoniły się zza drzew z łukami przygotowanymi do strzału. Wszyscy przesłonili głowy głębokimi kapturami, ale z ich budowy, Marcus wywnioskował, że mają do czynienia z Jasurami albo Kurtadamami. Czterech zbójów na widoku mogło oznaczać, że bandyci jedynie blefowali. Albo że wśród drzew krył się ich jeszcze tuzin.

Przynajmniej nie oznajmili o swojej obecności strzałą z łuku.

– Stać! – zawołał chrapliwy głos gdzieś przed nimi. – Kto przemawia w waszym imieniu?

Przed powalonym pniem pojawiło się czterech mężczyzn. Trzech wyglądało na słabo odżywionych Cinnejczyków albo wychudzonych Pierworodnych na straszliwych chabetach, ale ich przywódca dosiadał szarego rumaka o mocnych bokach i silnych nogach. Dodatkowo miał na sobie kirys oraz pełną kolczugę. Jego łuk wykonano z rogu, zaś miecz był wygięty na południową modłę. Szeroka, grubokoścista szczeka i brązowe łuski zdradzały cechy charakterystyczne dla Jasurów.

Timzinejski przewodnik karawany zatrzymał swoją klacz przed zaprzęgiem ciągnącym wóz z prowiantem.

– Ja przemawiam w imieniu karawany – odkrzyknął. – Co to wszystko ma znaczyć?

Marcus wzruszył ramionami, by nieco je rozluźnić. Ośmiu na widoku.

Połowa w siodłach. On sam miał ośmiu ludzi, w tym sześciu konnych. To oznaczało cholernie małą przewagę, a gdyby doszło do wymiany ciosów, nie przetrwaliby razem nawet pięciu długich oddechów. Miał nadzieję, że Timzinejczyk nie zamierzał naciskać na bandytów zbyt mocno.

– Jestem lord rycerz Tirentois – powiedział dowódca bandytów dostatecznie głośno, by wszyscy usłyszeli. – A wy podróżujecie moją drogą, dlatego przybywam zebrać należne mi myto.

Marcus ponownie opadł na kozioł. Chęć przewrócenia oczami walczyła w nim z coraz ciaśniejszym węzłem w żołądku. Jeździec może i był oszustem, a do tego chwali się, ale przemawiały za nim miecze i łuki.

– To smocze drogi – odkrzyknął przewodnik. – A ty jesteś półgłówkiem i zwykłym złodziejem w kradzionej zbroi. W Birancour nie ma żadnych jasurskich rycerzy.

Cóż, to nie była dyplomatyczna odpowiedź, której oczekiwał Marcus. Śmiech kapitana bandytów brzmiał serdecznie i wymuszenie. Marcus położył dłoń na rękojeści miecza i próbował znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, z potencjalnie jak najmniejszą liczbą trupów. Gdyby aktorzy zaszarżowali na łuczników po bokach karawany, mogliby ich wystraszyć. Co oznaczało jedynie czterech przeciwników w siodłach przeciw niemu. U jego boku wyrósł Yarden, bezgłośny niczym cień. Łuk Tralgura spoczywał pewnie w jego dłoniach. Więc tylko dwóch jeźdźców. O ile kolejni nie kryli się pośród drzew.

– Dzień, w którym buntujesz się i przejmujesz dowodzenie nad kompanią? – mruknął Marcus.

– Nie dziś, sir.

Przewodnik karawany zaczął krzyczeć, w odpowiedzi na co twarz fałszywego rycerza przybrała kolor zielonkawego brązu, co u Jasurów oznaczało wściekłość. Marcus zeskoczył z wozu i postąpił kilka kroków naprzód. Mężczyźni na koniach wydawali się go nie zauważać, dopóki nie zrównał się z kłaczą przewodnika karawany.

– Ile chcesz? – spytał.

Zarówno Timzinejczyk, jak i Jasur zwrócili na niego spojrzenie gorejących gniewem oczu.

– Wybaczcie, że przerywam waszą ożywioną dyskusję, ale chciałbym wiedzieć, ile chcesz?

– Okaż mi trochę szacunku, chłopcze – rzucił Jasur.

– Chciałbym wiedzieć, ile chcesz, *mój panie* – poprawił się Marcus. – Ponieważ, jeśli dobrze przyjrzy się karawanie, dostrzeżesz, że nie wieziemy niczego cennego. Jeśli więc wasza lordowska mość albo towarzysze waszej lordowskiej mości nie zechcą przyjąć darowizny w postaci rudy cyny albo żelaza, to nie będziemy mieli zbyt wiele do zaoferowania.

– Nie mów w moim imieniu – syknął Timzinejczyk.

– A ty ich nie prowokuj – odparował Marcus równie cicho.

– A kim ty jesteś, Pierworodny? – spytał Jasur.

– Marcus Wester. Jestem kapitanem straży tej karawany.

Tym razem śmiech było nieco mniej wymuszony, a rycerzowi zawtórowali w nim pozostali jeźdźcy. Mężczyzna pokręcił szeroką głową, uśmiechając się. Jego język był czarny, a zęby przypominały małe igły.

– Ty jesteś Marcus Wester?

– We własnej osobie.

– Ach. Zakładam więc, że ten z tyłu to lord Harton, powstały z martwych.

W takim układzie jam jest Drakis Stormcrow.

– To równie prawdopodobne jak to, że jesteś lordem rycerzem Jakimstam – skomentował przewodnik karawany.

Marcus zignorował go.

– A więc słyszałeś o mnie.

– Byłem pod Wodford i mam już szczerze dość tych obelg – oznajmił Jasur. – Całe wasze złoto. Całe zapasy pożywienia. Połowę kobiet. Reszta może wracać do Vanai.

– Chędoż się – powiedział przewodnik.

Gdy Jasur sięgnął po miecz, za ich plecami zagrzmiął nowy głos.

– Zamierzamy. Tędy. Przejechać.

Mistrz Kit stał na szczycie wozu z prowiantem. Czarno-fioletowe szaty Orcusa, Króla Demonów, okrywały go niczym zmaterializowane cienie. W dłoni ścisnął kostur zwieńczony czaszką. Gdy aktor ponownie przemówił, jego głos niósł się jak po wodzie.

– Ci ludzie są pod moją ochroną. Nie skrzywdzicie ich.

– Na słodkie piekło, a cóż to ma znaczyć? – warknął Jasur, choć w jego tonie zaczęła pobrzmiwać nuta niepewności.

– Nie jesteście w stanie nas skrzywdzić – powiedział mistrz Kit. – Wasze strzały chybią celu. Wasze ostrza nie zranią nas. Nie macie tu żadnej władzy.

Marcus spojrział z powrotem na Jasura. Twarz bandyty wykrzywiły konsternacja oraz niepokój.

– To jakieś żarty – skomentował jeden z trzech pozostałych jeźdźców, ale w jego głosie brakowało przekonania.

– Kto to? – spytał Jasur.

– Mój wiedzący – odpowiedział Marcus.

– *Wysłuchajcie mnie!* – zagrział mistrz Kit. Nawet las jakby przycichł. – Drzewa są naszymi sprzymierzeńcami. Chroni nas cień wielkiego dębu. Nie jesteście w stanie nas skrzywdzić, chłopcze. I *zamierzamy* przejść dalej.

Marcusowi przebiegł po plecach zimny dreszcz. Zauważył jednak, że Król Demonów Orcus miał dokładnie taki sam wpływ na bandytów. Poczł przypływ słabej nadziei. Jasur odpiął łuk od siodła i założył na cięciwę paskudnie wyglądającą strzałę.

– Powtórz to, bękarcie! – wrzasnął przywódca zbirów.

Nawet mimo półmroku, Marcus dostrzegł uśmiech na twarzy mistrza Kita. Gdy aktor uniósł dłonie, ciemne fałdy materiału zdawały się poruszać z własnej woli, podobnie jak podczas przedstawienia w Vanai. Miało to jakiś związek z nierównymi szwami, ale w połączeniu z grobowym głosem mężczyzny i jego arogancką postawą, efekt był piorunujący. Aktor odezwał się ponownie powoli, wyraźnie i z niezachwianą pewnością.

– Nie skrzywdzisz mnie. Twoja strzała chybi.

Jasur zrobił gniewną minę, po czym naciągnął cięciwę. Rogowy łuk zatrzeszczał.

Cóż, pomyślał Marcus, warto było spróbować. A sekundę później: Na bogów. Naprawdę chybi.

Strzała syknęła w półmroku. Mistrz Kit nawet nie drgnął, gdy drzewce przemknęły tuż obok jego ucha. Jasur zwilżył usta szerokim, czarnym językiem. Co chwilę przenosił wzrok z Marcusa na mistrza Kita i z powrotem. W jego oczach zagościł prawdziwy strach.

– A jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie, Marcus Wester to naprawdę *ja*.

Na cztery długie oddechy zapadła cisza. Dopiero wtedy Jasur postanowił zawrócić wierzchowca i uniósł dłoń.

– Nic tu po nas, chłopcy – krzyknął bandyta. – Szkoda naszego czasu na tych kmiotów.

Jeźdźcy rozplynęli się w lesie. Marcus stał na środku drogi, wsłuchując się cichnący tętent kopyt. Naraz zdał sobie sprawę, że być może jednak

dożyje następnego dnia. Splótł dłonie za plecami, by opanować ich drzenie, po czym spojrział na przewodnika karawany. Timzinejczyk również wyglądał na roztrzęsionego. Przynajmniej Marcus nie był jedyny. Kapitan podszedł na skraj drogi, wyciągając szyję, żeby sprawdzić, czy łucznicy przy linii drzew też zniknęli.

Podszedł do niego Yarem.

– To było dziwne.

– Było – przytaknął Marcus. – Myślisz, że mamy tu jakiś dźwig? Musimy przesunąć to drzewo.

Tej nocy, żona przewodnika karawany przyrządziła mięso. Nie kiełbasę ani soloną wieprzowinę, ale świeżo zabite jagnię, które Timzinejczyk kupił w gospodarstwie pod lasem. Mięso było ciemne i sycące, doprawione rodzynkami i ostrym, żółtym sosem. Furmani oraz woźnice, a także większość straży Marcusa, zasiedli wspólnie wokół huczącego ogniska na skraju drogi. Wszyscy za wyjątkiem chłopaka z wozu z wełną, Taga, który wydawał się zawsze jadać sam. Przy innym ogniu, z dala od pozostałych, Marcus posilał się w towarzystwie mistrza Kita.

– Zarabiałem tak na życie jeszcze zanim... cóż, raczej nie zanim ty się urodziłeś – powiedział aktor. – Stawałem przed ludźmi, zazwyczaj na wozie i przekonywałem ich do różnych rzeczy. Twierdziłem, że jestem obalonym królem albo rozbitkiem na nieznanym łądzie. Zakładam, że wiedzieli, iż nie mówię prawdy, ale moja praca polega na tym, by uwierzyli w to, nawet jeśli rozum podpowiada im co innego.

– Więc co w zasadzie tam uczyniłeś? – spytał Marcus. – Namówiłeś tego bękarta z łukiem do tego, by chybił? To nie była magia?

– Myślę, że przekonanie kogoś do własnej porażki bardzo przypomina magię. Nie sądzisz?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Cóż, wygląda na to, że nasze zdania w tym względzie się różnią. Jeszcze wina?

Marcus przyjął oferowany bukłak i wlał sobie trochę orzeźwiającego trunku do ust. W świetle dwóch ognisk – mniejszego u ich stóp oraz większego, oddalonego o piętnaście jardów – cienie zaległy w zagłębieniach policzków i w oczodołach starego aktora.

– Kapitanie, jeśli przyniesie panu to jakąś pociechę, mogę przysiąc jedno. Potrafię być bardzo przekonujący i jestem w stanie stwierdzić, kiedy ktoś

próbuję przekonać mnie. To jedyna magia, którą władam.

– Dasz sobie za to kciuki uciąć? – spytał Marcus. Starszy mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Wolałbym nie. Jeśli krew zabrudzi kostiumy, trudno będzie ją wywabić. Ale co z panem, kapitanie? Co *pan* zamierzał, stawiając się takiemu człowiekowi?

Marcus wzruszył ramionami.

– Niczego nie zamierzałem. Przynajmniej niczego konkretnego – odparł. – Odniosłem jedynie wrażenie, że przewodnik podszedł do sprawy od niewłaściwej strony.

– Walczyłby pan? Gdyby doszło do wymiany ciosów i strzał?

– Oczywiście – zapewnił Marcus. – Zapewne niezbyt długo, biorąc pod uwagę nasze szanse, ale walczyłbym. Yarem też. I mam nadzieję, że twoi ludzie również. Za to nam płacą.

– Mimo że byliśmy z góry skazani na porażkę?

– Tak.

Mistrz Kit pokiwał głową. Marcusowi zdawało się, że w kącikach ust aktora zatańczył uśmiech, ale nie miał co do tego pewności, ze względu na migotliwe światło. Równie dobrze mogło to być coś innego.

– Chcę zacząć szkolić twoich ludzi – powiedział Wester. – Godzinę o poranku, zanim wyruszymy w drogę i godzinę wieczorem. Wiele się nie nauczą, ale powinni wiedzieć coś więcej na temat miecza, oprócz tego, za który koniec trzymać.

– Myślę, że to rozsądna propozycja – zgodził się aktor.

Marcus spojrzał w niebo. Gwiazdy migotały zimnym blaskiem płatków śniegu, a księżyc, wiszący jeszcze nisko nad horyzontem, rzucał długie, blade cienie na czarną ziemię. Las znajdował się tuż za ich plecami, ale powietrze wciąż pachniało pogodą. Deszcz, stwierdził ostatecznie Marcus. Najprawdopodobniej zbiera się na deszcz. Mistrz Kit przeżuwał swoją jagnięcinę z pustym wyrazem twarzy, wbijając spojrzenie w małe ognisko.

– Nie ma się czym martwić. Nic gorszego niż dzisiaj już się nam nie przytrafi – odezwał się Marcus. – Największe emocje za nami.

Mistrz Kit nawet na niego nie spojrzał. Zamiast tego posłał uprzejmy uśmiech w stronę płomieni. Przez chwilę Marcusowi wydawało się, że staruszek nie zamierza nic mówić, ale wreszcie odezwał się cichym i pogrążonym w zadumie głosem.

– Zapewne.

Geder

Geder wyobrażał sobie, że Vanai bardziej będzie przypominać Camnipol albo Estinport: wielkie miasto z kamienia i jadeitu. Przylegające do siebie, drewniane budynki i szerokie kanały były zarówno mniejsze, jak i większe niż się spodziewał. Nawet Wielki Plac podbitego miasta wydawał się mały w porównaniu z rozległymi błoniami Camnipolu, zaś najbogatsze dzielnice Vanai były równie gęsto zaludnione, co slumsy w stolicy cesarstwa. Camnipol był miastem. Vanai natomiast przypominało dziecięcy domek na drzewie, który za bardzo się rozrósł. Jednak na swój sposób było piękne, dziwne, obce i niezwykle. Wciąż nie mógł się zdecydować, czy mu się tutaj podoba.

Kuśtykał mokrymi od deszczu ulicami okupowanego Vanai, przy każdym kroku opierając część ciężaru ciała na lasce wykonanej z palisandru i srebra. Wkrótce miało rozpocząć się przemówienie lorda Ternigana i chociaż rana w pełni usprawiedliwiłaby jego nieobecność, to Geder przegapił już zbyt wiele. Sama myśl o tym, że będzie musiał wrócić do domu, by opowiedzieć o tym, jak padł w bitwie i spędził pod opieką wiedzącego dwa dni, podczas których plądrowano miasto, nie dawała mu spokoju.

Kanał na południowym krańcu niezbyt okazałego Wielkiego Placu przytkwały opadłe liście. Złotawe, czerwone i żółte płaty znaczyły powierzchnię ciemnej wody. Na oczach Gедера z akwenu wynurzył się żółw, wystawiając czarną głowę ponad bajoro. Do skorupy przylgnął mu pojedynczy, jaskrawoczerwony liść. Zwierzę majestatycznie przepłynęło obok czegoś, co z początku przypominało kłodę, ale w istocie stanowiło zwłoki ubrane w pociemniałe od wody barwy byłego księcia: żołnierz z Vanai, którego truchło przywieziono z pola bitwy i wrzucono do kanału w ramach ostrzeżenia dla miejscowych. Inne truchła powieszono na drzewach w parkach albo wzdłuż kolumnad. Leżały przy schodach, pałacach, targowiskach i na placu przy publicznym więzieniu, gdzie w obecnej chwili były książę jadał, srał i drzał przed swoimi poddanymi. Jedyne niskim temperaturom należało zawdzięczać brak towarzyszącego rozkładowi odoru.

Gdy książę uda się na wygnanie, wszystkie zwłoki zostaną zebrane i spalone. W końcu niegdyś byli to ludzie. Tymczasowo jednak stanowili rzeźby o wydzwiku politycznym.

– Palliako!

Geder podniósł głowę. Mniej więcej w połowie drogi przez Wielki Plac, z marsową miną na twarzy, stał Jorey Kalliam i przywoływał go do siebie gestem dłoni. Geder obrócił się plecami do żółwia i zwłok, po czym mężnie pokuśtykał dalej. Szlachetnie urodzeni Antejczycy stali w karnych szeregach, czekając jedynie na spóźnialskich, jak on. Przed nimi, na gołej ziemi, siedzieli najwyżsi oficjele miasta, których oszczędzono po jego zdobyciu. timzinejscy kupcy i członkowie gildii, pierworodni artyści oraz kilku szlachciców. Wciąż mieli na sobie własne ubrania – w większości cesarskiego kroju – i zachowywali się raczej jak pokorni słudzy kultów religijnych, aniżeli ludzie poniżeni i pobici. Sodai Carvenallin, osobisty sekretarz lorda Ternigana, stał w pojedynkę na kamiennym podwyższeniu i obserwował ich z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Geder nie miał okazji porozmawiać z nim od pamiętnej nocy, kiedy to razem się upili. Tej samej nocy, której Klin spalił jego książkę. Geder odegnał od siebie to wspomnienie i zajął swoje miejsce.

Próbował nie zwracać uwagi na nowe, wspaniałe błyskotki, jakie mieli na sobie ludzie wokół niego, ale było to niemożliwe. Pelerynę sir Gospey’a Allintota spinała brosza z kutego srebra, w którą wprawiono przepiękny rubin. Sozlu Veren nosił teraz miecz w pochwie ze smoczego jadeitu i kości słoniowej, która mogła zostać wykonana nawet tysiąc lat temu. Szyję Jorey’a Kalliamy okalał złoty łańcuch. Na pierwszy rzut oka był wart tyle, że można byłoby opłacić nim czynsz wszystkich budynków w Rivenhalm za cały miesiąc z góry. Ich ubrania zostały świeżo wyprane, a buty błyszcząły nawet pomimo zachmurzonego nieba. Wojowniczy arystokraci z Antei dumnie obnosili się ze swoim zwycięstwem. Geder spojrzał na swoją laskę. Jej najbliższej byłoby do łupu wojennego, dlatego starał się być z niej dumny.

– Co za dzień – powiedział, ruchem głowy wskazując poszarzałe chmury.
– Rano nawet padał śnieg. Dobrze, że nie musimy maszerować w takich warunkach. Choć podejrzewam, że wkrótce przyjdzie pora i na to, hmm? Ktoś musi zawieźć królowi daninę.

Jorey Kalliam wydał z siebie niski, twierdzący pomruk, ale nawet nie spojrzał na Gedera.

– Z moją nogą już lepiej. Rana toczy jedynie surowicę – ciągnął Geder. – Ale słyszałeś o hrabim Hirenie? W ranę na rękę wdało się zakażenie. Zmarł zeszłej nocy, przy próbie amputacji. Cholerna szkoda. Dobry był z niego

człowiek.

– To prawda – przytaknął Jorey.

Geder próbował podążyć za wzrokiem młodzieńca, ale ten nie wydawał się skupiony na niczym konkretnym. Lub odwrotnie. Jego oczy poruszały się nieustannie, próbując coś dostrzec. Geder uczynił to samo, nie do końca wiedząc, czego szuka.

– Coś nie tak? – spytał, ścisząc głos.

– Brakuje Klina.

Geder przesunął spojrzeniem po tłumie, nieco bardziej skupiając uwagę. W formacji powstały puste miejsca po ludziach, którzy zginęli, zostali ranni albo wysłano ich gdzieś na rozkaz lorda marszałka. Kalliam miał rację. Sir Alan Klin powinien stać na czele grupy, a za nim ludzie pod jego dowództwem. Jednak w obecnej chwili jego miejsce zajmował sir Gospey Allintot, wysoko zadzierając podbródek.

– Może zachorował? – zasugerował Geder. Jorey zachichotał, jakby to był żart.

Werble oznajmiły przybycie lorda marszałka. Zebrani szlachcice z Antei unieśli dłonie w pozdrowieniu. Lord Ternigan pozwolił im trwać tak przez chwilę, zanim odpowiedział tym samym. Między nimi, potężni niegdyś włodarze Vanai przyjęli swoje rytualne poniżenie w pokornym milczeniu. Jorey chrząknął i zrobił kwaśną minę. Już nie musiał szukać. Geder podążył za jego spojrzeniem i zobaczył Klina, stojącego na tyłach platformy, obok osobistego sekretarza lorda marszałka. Mężczyzna miał na sobie jedwabną koszulę, ciemnoczerwone rajtuzy oraz czarną pelerynę z wełny. Ubiór ten budził skojarzenia z urzędem, a nie orężem i bitwami.

Geder poczuł, że żołądek podszedł mu do gardła.

– Zostajemy tutaj? – spytał cicho. Jorey Kalliam nie odpowiedział.

– Lordowie Antei – zaczął Ternigan. Jego głos nie rozbrzmiewał na placu nawet w połowie tak głośno jak mógłby. Wyglądało na to, że lord marszałek nabawił się przeziębienia. – Dziękuję wam wszystkim w imieniu króla Simeona. Dzięki waszemu męstwu, cesarstwo znów jest bezpieczne. Moją decyzją wrócimy teraz do Camnipolu z daniną, którą Vanai winne jest koronie. Pora roku jest późna, a droga długa, dlatego wolałbym, żebyśmy nie spędzili całego tygodnia na zakładaniu butów. Poprosiłem sir Alana Klina, by objął stanowisko protektora Vanai, dopóki król Simeon nie wyznaczy na to miejsce innego zarządcy. Wszyscy, którzy służyli pod nim w czasie bitwy,

zostaną, aby służyć mu również i teraz.

Wydawszy rozkazy, Ternigan skinął głową i przeniósł swą uwagę na mężczyzn siedzących na chodniku. Podczas gdy opowiadał historię antejskich roszczeń względem miasta i usprawiedliwiał okupację, powołując się na akty wojenne oraz umowy zawarte przed sześciuset laty pomiędzy ówczesnie panującymi rodami a niezależnym parlamentem, który rozwiązano już dawno temu, Geder próbował ogarnąć umysłem to, co właśnie zaszło.

Nie było dla niego powrotu do Camnipolu, przynajmniej nie o tej porze roku. Możliwe nawet, że nie przez najbliższych kilka lat. Powiódł wzrokiem dookoła, po drewnianych budynkach z ich stromymi dachami, tłoczących się wokół wąskich uliczek, po wielkim kanale, którym barki i łodzie przepływały przez miasto w drodze do rzeki, po stalowoszarym niebie. Właśnie przestała to być egzotyczna przygoda. Miał tutaj zamieszkać. Tysiące połowicznie nakreślonych planów powrotu do Camnipolu, do Rivenhalm, do ojczystego domu w jednej chwili wzięło w łeb.

Ternigan zszedł z podwyższenia, odebrał zapieczętowany list od swojego sekretarza, po czym wręczył go Alanowi Klinowi, protektorowi Vanai. Klin wystąpił naprzód, otworzył pismo, a następnie odczytał na głos swoje obowiązki i prawa udzielone mu przez lorda marszałka. Geder pokręcił głową. Poczucie rozpaczy rosło w nim wraz z każdym kolejnym słowem, obrazując jedynie, jak bardzo czekał na zakończenie tej kampanii i uwolnienie się od Alana Klina.

Ból w nodze Gedera dał o sobie znać, gdy Klin zaczął zapewniać mieszkańców Vanai, że wszystkie rasy będą traktowane z równością oraz, że lojalność względem Antei będzie nagradzana, zdrada zaś spotka się z szybką i srogą karą. Samo oddawanie czci królowi Simeonowi i Antei zabrało ogólnie większą część godziny. Pod koniec nawet niektórzy ludzie z otoczenia Gedera zdradzali oznaki zniecierpliwienia. Potem Klin podziękował lordowi marszałkowi za jego pracę i formalnie przyjął na siebie nowe obowiązki. Jego salut spotkał się z wybuchem radości, choć większość zgromadzonych w równej mierze cieszyła się z faktu, że ceremonia dobiegła końca, co ze słów przyszłego protektora. Mieszkańcy Vanai wstali, rozcierając zdrętwiałe kończyny i zaczęli debatować pomiędzy sobą jak kupcy na targu warzywnym.

Geder zauważył, że wśród cesarskich panowały mieszane nastroje. Niektórzy zazdrościli Klinowi i jego podkomendnym nowej pozycji. Sir

Gospey Allintot uśmiechał się tak szeroko, że zdawał się jaśnieć wewnętrznym blaskiem. Z kolei Jorey Kalliam opuścił plac z zamyśloną miną i Geder miał trudność, by za nim nadążyć.

– Zostaliśmy wygnani – powiedział Geder, gdy znaleźli się z dala od tłumu swoich towarzyszy. – Wygraliśmy bitwę, a w zamian wygnano nas tak samo jak cholernego księcia tego miasta.

Jorey obrzucił go spojrzeniem pełnym poirytowania i politowania.

– Klin planował to od samego początku – odparł. – Zawsze o tym marzył.

– Dlaczego? – spytał Geder.

– Będąc głosem króla, zyskujesz władzę – wyjaśnił Jorey. – Nawet w takim miejscu jak Vanai. Jeśli Klin się sprawdzi i przyjdzie moment, by ponownie oddać miasto w czyjeś ręce, zapewni sobie pozycję i za tym stołem. Wybacz. Muszę napisać list do ojca.

– Racja – przytaknął Geder. – Też powinienem powiadomić rodzinę. Nie wiem, co im powiedzieć.

Śmiech Jorey'a brzmiał słabo i gorzko.

– Napisz, że mimo wszystko załapałeś się na grabienie miasta.

Jeżeli istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, którego ze swoich podwładnych faworyzował Alan Klin, to zostały one rozwiane, gdy tylko lord Ternigan przekroczył bramy miasta. Nowy sekretarz Klina, syn jakiegoś ważnego timzinejskiego kupca, wyciągnął Gedera z jego łóżka w infirmerii i zabrał go do nowego domu: trzech małych pokoi w niewielkim pałacyku, który służył niegdyś jako magazyn i wciąż cuchnął szczurzymi szczynami. Mimo to, w kącie znalazło się małe palenisko, a wiatr nie przenikał ścian w takim stopniu jak w jego namiocie.

Każdego dnia Geder otrzymywał nowy rozkaz od lorda Klina. Jednego dnia należało zamknąć i zabezpieczyć bramę kanałową, innym razem chodziło o ściągnięcie opłaty z kupców w zamian za cesarskie pozwolenie na dalszy handel albo o lojalnego względem byłego księcia człowieka, którego należało przykładowo wtrącić do celi. I chociaż to zwykli żołnierze informowali zainteresowanych o poszczególnych postanowieniach i zajmowali się ich egzekucją, to obecność szlachetnie urodzonego była nieodzowna. Potrzeba było osoby świadczącej o tym, że antejska arystokracja jest obecna i angażuje się w codzienne sprawy nowego cesarskiego miasta. Wziąwszy pod uwagę przydzielane mu zadania, Geder podejrzewał, że stanie się najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Vanai jeszcze przed

nastaniem zimy.

Zamknięcie popularnego burdelu? Oddziałem dowodził Geder. Wypędzenie wdowy oraz dzieci jakiegoś lojalisty z ich własnego domu? Geder. Aresztowanie wpływowego członka miejscowej kasty kupieckiej?

– Czy mogę spytać, o co zostałem oskarżony? – spytał magister Imaniel z medejskiego banku w Vanai.

– Przepraszam – powiedział Geder. – Mam rozkaz, by doprowadzić cię przed oblicze lorda protektora, dobrowolnie lub nie.

– Rozkaz – powtórzył kwaśno niski mężczyzna. – A przeczołganie mnie w łańcuchach ulicami miasta?

– Tak mnie poinstruowano. Przykro mi.

Siedziba medejskiego banku w Vanai mieściła się przy bocznej uliczce i była odrobinę większa niż dom zamożnej rodziny. A mimo tego wydawała się pusta. Zajmował ją tylko mały, ogorzały od słońca magister oraz samotna, dobrze odżywna kobieta, która stała teraz w drzwiach, załamując ręce. Magister Imaniel wstał od stołu, przyjrzał się żołnierzom stojącym za plecami Gедера i poprawił tunikę.

– Zakładam, że nie wiesz, kiedy będę mógł wrócić do pracy – oznajmił.

– Nie udzielono mi takich informacji – powiedział Geder.

– Nie możecie tego zrobić – powtarzała kobieta. – Nie uczyniliśmy wam nic złego.

– Cam – uciał ostro bankier. – Proszę. Jestem pewien, że chodzi o interesy. Każdemu, kto zapyta, powiedz, że zaszło nieporozumienie i udałem się z wizytą do szlachetnego lorda protektora, by wyjaśnić tę sprawę.

Kobieta – Cam – przygryzła wargę i odwróciła spojrzenie. Magister Imaniel bezgłośnie stanął przed Gederem i uklonił się.

– Nie możemy chociaż darować sobie tych łańcuchów? – spytał. – Moja praca zależy od reputacji i...

– Bardzo mi przykro – uciał Geder – ale lord Klin dał wyraźny...

– Rozkaz – dokończył za niego bankier. – Rozumiem. W takim razie nie przeciągajmy tego dłużej.

Na ulicy zebrał się tłum. Wieść o przybyciu Gедера najwyraźniej rozeszła się lotem błyskawicy. Geder szedł pomiędzy swoimi gwardzistami. W ślad za nim kroczył więzień, podzwaniając łańcuchami. Gdy się obrócił, aby na niego spojrzeć, pomarszczona twarz mężczyzny wyrażała jedynie rozbawienie i pobłażliwość. Geder nie potrafił powiedzieć, czy naprawdę był

tak odważny, czy była to jedynie poza. Przez całą drogę wzdłuż kanałów i kolejnymi ulicami, ludzie odwracali głowy, by spojrzeć na zakutego w kajdany bankiera. Geder szedł, zdecydowanie uderzając swoją laską o podłogę. Starał się, by jego mina nie wyrażała zupełnie niczego, chcąc ukryć fakt, że nie miał pojęcia, dlaczego robi to, co robi. Nie miał wątpliwości, że o świcie następnego dnia, całe miasto będzie wiedziało, że aresztował tego człowieka. W ogóle nie czuł się dobrze z myślą, że Klinowi najpewniej właśnie na tym zależało.

Sir Alan Klin przyjął ich w przestronnej komnacie, która kiedyś stanowiła książęcą salę audiencyjną. Wszystkie ślady po poprzednim władcy zniknęły albo zostały zakryte cesarskimi sztandarami króla Simeona i rodu Klinów. W powietrzu unosił się zapach dymu, deszczu i mokrych psów. Sir Alan wstał zza stolika, uśmiechając się.

– Magister Imaniel z banku medejskiego?

– We własnej osobie, lordzie protektorze – odparł bankier z uśmiechem i ukłonem. Ton jego głosu był bardzo życzliwy. Geder niemal pożałował, że Klin postanowił upokorzyć tego człowieka przed całym miastem. – Wygląda na to, że mogłem w jakiś sposób urazić waszą lordowską mość. Za co muszę, rzecz jasna, przeprosić. Gdybym jedynie mógł poznać naturę mej przewiny, to spróbuję, oczywiście, wystrzegać się podobnych sytuacji w przyszłości.

Klin lekceważąco machnął dłonią.

– Bynajmniej, dobry panie – powiedział. – Miałem jedynie okazję porozmawiać z byłym księciem, zanim został wygnany. Twierdził, że odmówiłeś mu pożyczki na rzecz jego kampanii.

– Istniało ryzyko, że nie będzie w stanie spłacić długu – wyjaśnił magister Imaniel.

– Rozumiem.

Geder wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Ton tej rozmowy był tak spokojny, niemal przyjacielski, że nic z tego nie rozumiał. Mimo to w oczach Klina czaiła się hardość, która – wspólnie z kajdanami, wciąż skuwającymi ręce i nogi bankiera – sprawiała, że wszystko co mówił brzmiało jak groźba. Klin powolnym krokiem wrócił do stołu, na którym wciąż spoczywały resztki popołudniowego posiłku na srebrnej tacy.

– Przeglądałem raporty z grabieży – powiedział Klin. – Dopatrzyłem się, że danina dla króla Simeona, którą zabrano z twojej placówki była... Cóż, zaskakująco mała.

– Mój były książę mógł srodze przecenić moje możliwości – odparł magister Imaniel.

Klin jedynie posłał mu uśmiech.

– Zakopałeś wszystko, czy wywiozłeś z miasta?

– Nie wiem, co masz na myśli, mój lordzie.

– Więc nie będziesz miał mi za złe, jeśli przejrzymy twoje księgi?

– Oczywiście, że nie. Cieszymy się, że Antea przejęła władzę, która w pełni jej się należała i z optymizmem spoglądamy w przyszłość, kiedy to będziemy mogli robić interesy w bardziej przyjaznym i uporządkowanym mieście.

– A dostęp do twojego domu?

– Oczywiście.

Klin pokiwał głową.

– Rozumiesz, że będę musiał przetrzymać cię do chwili, gdy poznam prawdę? Wszystkie pieniądze, którymi dysponuje twój bank, staną się niniejszym przedmiotem cesarskiej kontroli.

– Spodziewałem się tego – przyznał magister Imaniel – ale mam nadzieję, że nie będziesz żywić urazy, panie, gdy powiem, że miałem nadzieję na lepsze traktowanie.

– To parszywy świat. Robimy co musimy – powiedział Klin, po czym zwrócił się do kapitana gwardii, stojącego po lewej stronie Geder. – Zabierzcie go do publicznego więzienia. Umieśćcie go na niższym poziomie, by wszyscy mogli go ujrzeć. Jeśli ktoś zechce z nim rozmawiać, podsłuchajcie, co ma do powiedzenia, a następnie go aresztujcie.

Geder odprowadził wzrokiem malutkiego mężczyznę. Nie był pewien, czy miał iść za nimi, czy nie. Jednak Klin nie piorunował go spojrzeniem, więc mimo wszystko chyba miał zostać.

– Słyszałeś to, Palliako? – spytał Klin, gdy bankier w otoczeniu strażników zniknął im z oczu.

– Że bank ma mniej pieniędzy niż się spodziewaliśmy? – odpowiedział pytaniem Geder.

Lord protektor wybuchnął śmiechem w taki sposób, że Geder przez chwilę zastanawiał się, czy to nie on jest powodem tej wesołości.

– Och, ależ mają je – rzekł. – Gdzieś. Z tego, co mówił książę, trochę tego było. Dostatecznie dużo, by opłacić armię najemników zdolną przetrwać oblężenie. Dość, by dwa razy wykupić całe siły Maccii. A może nawet

więcej.

– Ale odmówił księciu pożyczki.

– Nie przez lojalność względem nas – skwitował Klin. – Bankierzy nie odpowiadają przed królami. Lecz jeśli utopili pieniądze, ktoś musiał pomóc im przenieść je do kanału. Jeśli je zakopali, ktoś trzymał łopatę. Jeśli wszystko wywieźli, ktoś to zaaranżował. A kiedy ta osoba zobaczy głowę banku w więzieniu, być może spanikuje i postanowi wykupić swoją wolność.

– Ach – mruknął Geder.

– Twoja osoba zostanie powiązana z tym aresztowaniem, więc przez następnych kilka dni musisz być łatwo dostępny – powiedział Klin. – A jeśli cokolwiek usłyszysz, natychmiast przyjdź z tym do mnie.

– Oczywiście, sir.

– Doskonale. – Dopiero, gdy następująca po tym chwila milczenia zaczęła się przeciągać, Geder zdał sobie sprawę, że został odprawiony.

Udał się na plac, znalazł kamienną ławkę pod drzewem o czarnej korze, niemal całkowicie pozbawionym liści, i usiadł. Czuł ból w nodze, ale w miejscu na udzie, z którego często sączyła się świeża krew i surowica, nie czuł żadnego chłodnego mrowienia. Z drugiej strony ulicy, grupka młodych – przemieszanych Pierworodnych i Timzinejczyków, zupełnie jakby obie te rasy nigdy nie miały ze sobą zatargów – udawała, że na niego nie patrzy. Stado wron zaczęło krakać między sobą, przysiadłszy na gałęziach, po czym wszystkie wzbiły się w powietrze niczym kłęb skrzydlatego dymu. Geder postukał laską o płyty chodnika, czując pod palcami uspokajające drżenie drewna.

Przez kilka kolejnych dni będzie stanowił przynętę na haczyku. Rozumiał to. Istniała szansa, że bankowi spiskowcy zechcą wkupić się w dobre łaski Antei. Albo będą siedzieć cicho. Albo, co niewykluczone, postanowią zaaranżować wypadek dla człowieka łączonego z problemem. Klin postawił go w niebezpiecznym położeniu, nawet nie dając mu tego do zrozumienia.

Mimo to, zyskał przynajmniej kilka dni na włóczenie się po ulicach i targowiskach miasta, z przekonaniem, że robi to z rozkazu Klina. Nieco wcześniej jego giermek przyniósł mu wieści o pewnym sprzedawcy woluminów z południowej dzielnicy. W końcu miał okazję odwiedzić jego przybytek. I nawet jeśli miał się tam udać uzbrojony, w otoczeniu straży, to przynajmniej mógł je zobaczyć.

Przez dwa kolejne dni Geder krążył po ulicach, szynkach i piwiarniach

Vanai, zachowując ostrożność. W kościele, wsłuchując się w głosy chóru krążące po wielkiej przestrzeni nad jego głową, uważał, aby nikt nie siadł zbyt blisko niego w tej samej ławie. Na targowisku przeglądał na wpół zbutwiałe księgi rozłożone na straganie księgarza, mając za plecami żołnierza. Aż w końcu, trzeciego dnia, pewien furman imieniem Olfreed przybył do jego komnat z informacją o karawanie zorganizowanej przez powszechnie znanego sojusznika banku medejskiego, człowieka zwanego mistrzem Willem.

Po raz pierwszy z życia, Geder usłyszał nazwisko Marcusa Westera.

Cithrin

Pochłonięta trudnościami ze skrywaniem własnej tożsamości i myślami o bogactwach, które wiozła na wozie, Cithrin zupełnie się zapomniała.

– Co ty sobie *myślałaś*, chłopcze? – domagał się odpowiedzi przewodnik karawany. Dziewczyna wbiła spojrzenie w ziemię. Policzki zapłonęły jej ze wstydu, a w gardle powstała nieprzyjemna gęła. Czerwony pył dziedzińca karawanseraju oblepił ich buty, a podłóże zaścielały opadłe liście pokryte szronem.

– Przepraszam – powiedziała, wydychając parę.

– To tylko muły – ciągnął przewodnik. – Potrzebują opieki. Od jak dawna to trwa?

– Od kilku dni – wymamrotała, ledwie poruszając ustami.

– Głośniej, chłopcze! Od jak dawna?

– Od kilku dni – powtórzyła.

Chwila ciszy.

– W porządku. Wóz z prowiantem da sobie radę z trzema mułami w zaprzęgu. Przywiąż chore zwierzę do tamtego drzewa, a ja przyprowadzę ci to, które zajmie jego miejsce.

– Ale jeśli go tutaj zostawimy, umrze – zaprotestowała Cithrin.

– Taki właśnie jest plan.

– Ale to nie jego wina. Nie możemy po prostu zostawić go tutaj, żeby umarł sam.

– No dobrze. Przyniosę ci nóż. Możesz wykrawić go zanim ruszymy dalej.

Głębokie oburzenie Cithrin było dostatecznie wymowne i bez konieczności mówienia czegokolwiek. Przewodnik karawany zamknął półprzezroczyste migawki i otworzył je na nowo, nie odwracając od niej spojrzenia.

– Jeśli wolisz odłączyć się od karawany, twoja wola – oznajmił. – I tak posuwamy się za wolno. Nie mam zamiaru zatrzymywać się tylko dlatego, że nie potrafisz zadbać o swój zaprzęg. Daj mi znać, co postanowiłaś.

– Nie zostawię go – odparła, zaskoczona własnymi słowami. Przerazona, że naprawdę to miała na myśli. Nie mogła przecież porzucić karawany.

– To tylko *muł*.

– Nie zostawię go. – Tym razem te słowa brzmiały lepiej.

– Więc jesteś idiotą.

Przewodnik karawany obrócił się na pięcie, splunął i odszedł. Cithrin odprowadziła go wzrokiem do kamiennych ścian i cienkiej strzechy schronienia. Gdy stało się jasne, że nie wróci, udała się z powrotem do stajni. Większy z jej mułów stał w swoim boksie, z głową przy ziemi. Jego oddech był ciężki i chrapliwy. Cithrin stanęła obok niego i zmierzwiła dłonią grubą, szorstką sierść. Zwierzę uniosło łeb, zastrzygło uchem, po czym znów spuściło chrapy.

Próbowała wyobrazić sobie jak przywiązuje je do drzewa i zostawia tam na pastwę choroby i mrozu. Potem starała się zobrazować sobie jak podrzyna mu ciepłe, włochate gardło. Jak teraz miała przewieźć pieniądze do Carse?

– Przepraszam – powiedziała. – Tak naprawdę nie jestem woźnicą. Nie wiedziałam.

Z początku myślała, że wolniejsze tempo wozu wynikało z jej winy – że luka powstająca popołudniami między jej wozem, a tym, który ją poprzedzał oznaczała, że w nieodpowiednich chwilach poganiała zaprzęg albo że w niewłaściwy sposób negocjowała swoje miejsce w kolumnie. Dopiero gdy większy z mułów kaszlnął – wydając z siebie mokry, charczący odgłos – zdała sobie sprawę, że zachorował. Magister Imaniel był religijną osobą, ale nie pochwaliby tego, że Cithrin zaczęła modlić się, aby zwierzę wyzdrowiało samo.

Tak się jednak nie stało.

Karawanseraj – ruinę z trudem utrzymującą się z podróźnych – wzniesiono na szerokim, pochyłym pagórku, będącym częścią pogórza wysokiego, ośnieżonego pasma górskiego, które znaczyło granicę Wolnych Miast i Birancour. Nawet teraz na horyzoncie majaczyły poszarzałe szczyty. Przełęcz pomiędzy nimi stanowiła najkrótszą drogę z Vanai do Carse.

Carse. Samo to słowo zyskało dla niej niemal religijny charakter. Carse, wielkie miasto z Północnego Wybrzeża, wzniesione nad brzegiem spokojnego morza. Dom białych wież górujących nad kredowymi klifami, Rady Szarej Godziny i Cmentarzyska Smoków. Siedziba medejskiego banku, a także koniec jej kariery jako szmuglera oraz uchodźcy. Nigdy tam nie była, ale tęskniła za nim równie mocno jak za domem.

Ostatecznie mogła dotrzeć tam sama. Będzie musiała. Tyle że nie знаła drogi. Nie wiedziała też, jak pomóc choremu zwierzęciu dojść do zdrowia.

Nie miała pojęcia, co pocnie, jeśli z lasu wychynie kolejna banda rzezimieszków. Muł wziął głęboki oddech, po czym odkaszlnął: głośno, mokro i chrapliwie. Cithrin nachyliła się nad nim i podrapała jego szerokie, miękkie uszy.

– Coś wymyślimy – powiedziała bardziej do siebie niż do zwierzęcia. – Wszystko będzie dobrze.

– Zapewne tak będzie – rzekł męski głos.

W drzwiach stajni pojawił się wiedzący, mistrz Kit, prowadząc za sobą kobietę, której na imię było Opal. Cithrin zrobiła pół kroku w stronę muła, obejmując ramieniem jego pochyloną szyję, żeby go chronić. A może, żeby to on ochronił ją. Nieprzyjemny dreszcz sprawił, że zaczęła szybciej oddychać.

– A więc to jest to biedactwo? – powiedziała Opal, przepychając się obok wiedzącego. – Wygląda na zmęczonego, prawda?

Cithrin pokiwała głową, nie podnosząc głowy, by uniknąć jej spojrzenia. Opal wśliznęła się do boksu, obeszła muła dokoła, zatrzymując się na chwilę, by przyłożyć ucho do jego boku. Następnie, śpiewając cichą pieśń w języku nieznanym Cithrin, uklękła przed zwierzęciem i delikatnie otworzyła mu pysk.

– Opal dogląda naszych zwierząt, gdy akurat jakieś mamy – oznajmił mistrz Kit. – Nauczyłem się ufać jej osądowi, jeśli chodzi o wszystkie kopytne kwestie.

Cithrin pokiwała głową, rozdarta pomiędzy ogarniającą ją falą wdzięczności a uczuciem niepokoju związanym z bliskością strażników. Opal wstała, po czym ostrożnie powąchała uszy zwierzęcia.

– Tag, zgadza się? – spytała, na co Cithrin jedynie kiwnęła głową. – Cóż, Tag, jesteś w stanie mi powiedzieć, czy ten staruszek pochyłał się na któryś bok podczas jazdy? Musiałeś pomagać mu wrócić na właściwy tor?

Cithrin próbowała to sobie przypomnieć, ale w końcu pokręciła głową na nie.

– To już coś – powiedziała kobieta, po czym rzuciła przez ramię do mistrza Kita: – Nie wydaje mi się, żeby choroba tkwiła w uszach, a to najważniejsze. Ciężko dyszy, ale nie ma wody w płucach. Zgaduję, że po dwóch dniach w cieple będzie zdrów jak ryba. Tylko trzeba mu więcej derek.

– Dwa dni – zamyślił się wiedzący. – Nie sądzę, by kapitan Wester na to przystał.

Przez chwilę ciszę mącił jedynie ciężki oddech zwierzęcia i szum porannego wiatru wśród drzew. Cithrin poczuła, że gula w żołądku rośnie, powodując mdłości.

– Jeden strażnik mniej nie zrobi wam żadnej cholernej różnicy – powiedziała Opal. – Zostanę z Tagiem i gdy tylko nasz staruszek wyzdrowieje, dogonimy was. Nie powinno zająć to dłużej niż dzień lub dwa. Samotny wóz z dobrym zaprzęgiem posuwa się szybciej niż cała karawana.

Mistrz Kit skrzyżował ręce na piersi w zamyśleniu. Cithrin poczuła przypływ nadziei.

– Poradzisz sobie? – spytał jej mistrz Kit. Jego spojrzenie było łagodne, a głos miękki niczym stara flanela.

– Tak, panie – odparła dziewczyna, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej męsko. Wiedzący pokiwał głową.

– Nikomu nie zaszkodzi, jeśli proponujemy takie rozwiązanie – rzekł. – Ale pozwolisz, że ja to załatwię, chłopcze, dobrze?

Cithrin pokiwała głową, co przywołało uśmiech na twarz starca. Mężczyzna obrócił się i wyszedł, zostawiając dziewczynę sam na sam z Opal i zwierzętami.

Uczucie ulgi przemogło strach. Koniec końców, to rozwiązanie nie było takie złe. Odziana w skóry Opal i przebrana za mężczyznę Cithrin raczej nie powinny wzbudzać podejrzeń. Na dodatek znalazłaby się z dala od reszty kompanii, więc musiałaby ukrywać się jedynie przed samą kobietą. Z kolei ich rzekomo różne płcie dawały jej wiarygodną wymówkę do odrobiny prywatności.

A mimo to strach nie opuścił jej zupełnie. Powtarzała sobie, że to dlatego, iż wie o wiele więcej niż ludzie z jej otoczenia. Niemal potrafiła sobie wyobrazić magistra Imaniela, siedzącego przy wieczornym posiłku wraz z Cam i Beselem, rozkładającego na czynniki pierwsze zachowanie kupca albo prałata, które odbiegało od jego oczekiwań, a także wyjaśniającego, co to oznaczało. Cithrin wiedziała, że woźnica Tag wiozł dostatecznie dużo złota, by kupić za nie małą armię, lecz nie był tego świadomy nikt poza nią. Tak więc ryzyko pozostania w tyle za resztą karawany nie było wcale większe niż gdyby naprawdę wiozła ładunek niefarbowanej wełny. W jej oczach jednak wyglądało to gorzej, ponieważ zdawała sobie sprawę, o jaką stawkę toczy się gra. Na razie nikt nie odkrył jej tożsamości. Nikt nie poszukiwał jej, ani tego co wiozła, muł miał wkrótce wyzdrowieć, a na dodatek nie była skazana na

samotną podróż do Carse. Wszystko będzie dobrze.

– To twój pierwszy raz? – spytała Opal.

Cithrin spojrzała na nią i pokiwała głową.

– Cóż, niech cię to nie martwi, kochanie – powiedziała strażniczka. – Zawsze dbamy o swoich.

Musiało minąć kilka godzin zanim Cithrin zaczęła zastanawiać się, dlaczego najemna strażniczka umieszcza niezbyt kompetentnego woźnicę w kategorii *swoich*, ale do tego czasu plan został wcielony w życie – karawana wraz z kapitanem Westerem i mistrzem Kitem wyruszyła w dalszą drogę w kierunku gór oraz samego Carse.

Cały dzień upłynął im na pielęgnowaniu chorego zwierzęcia: dogrzewaniu stajni, wycieraniu muła albo zmuszaniu go do wypicia dziwnego wywaru, który na równi śmierdział smołą i lukrecją. Nim zaczęło zmierzchać, zwierzę wyżej podniosło łeb, a jego kaszel nie brzmiał już tak niepokojąco. Tej nocy Cithrin i Opal postanowiły spać w stajni, przykryte cienkimi kocami. Starożytny, żelazny koksownik ustawiony między nimi z trudem dostarczał dostatecznie dużo ciepła, by do wnętrza nie wdarł się mróz. W ciemności na zewnątrz coś wydało z siebie krzyk, po czym umilkło. Cithrin zamknęła oczy, kładąc głowę na ramieniu i próbowała usnąć. Zazdrościła Opal równego, spokojnego oddechu. Jej własne ciało sztywniało albo dygotało, a umysł podsuwał jej kolejne przerażające myśli, tworząc niezliczone scenariusze możliwych katastrof. Bandyci, którzy wcześniej zaatakowali karawanę, mogli zjawić się tej nocy, zgwałcić i zamordować je obie, a potem uciec z pieniędzmi. Opal mogła odkryć jej sekret i w przypływie szalonej chciwości poderznąć jej gardło. Stan muła mógł ponownie się pogorszyć, a ona utknęłaby tutaj na jesiennym chłodzie.

Gdy w końcu nastał szary poranek, Cithrin nie zmrużyła oka. Bolała ją głowa, a plecy łupały, jakby ktoś obił je młotkiem. Opal, przyśpiewując sobie pod nosem, na nowo roznieciła ogień, zagotowała garnek wody, wrzucając do niej kilka liści, po czym sprawdziła stan pacjenta. Gdy dołączyła do niej Cithrin, boki zwierzęcia nie wydawały się już tak rozpalone, jego spojrzenie było jaśniejsze, a głowa nie wisiała już przy samej ziemi.

Stojący w sąsiednim boksie muł odchrząknął i zaburczał.

– Ona też zaczyna chorować? – spytała Cithrin. Chciało jej się płakać na samą tą myśl.

– Może, ale jeszcze nie teraz – odparła Opal. – Pewnie jest zazdrosna, że

staruszek znalazł się w centrum uwagi.

– Czy to znaczy, że możemy wyruszać? To znaczy, czy bezpiecznie będzie wrócić do karawany?

– Może popołudniu. Lepiej będzie, jeśli odzyska większość sił. Tym sposobem oszczędzimy mu pół dnia pracy.

– Ale...

– Podróżowaliśmy już wcześniej tą trasą. Dogonimy ich zanim wjadą na przełęcz. Zatrzymają się w Bellin, wyślą kogoś na zwiady.

Cithrin słyszała tę nazwę, ale to było w zasadzie wszystko. Opal obrzuciła ją wzrokiem.

– Bellin – powtórzyła. – Kupieckie miasteczko przy przełęczu. Ty naprawdę niewiele wiesz na temat karawan, co?

– Nie – powiedziała Cithrin, smutna i jednocześnie zakłopotana tym faktem.

– Bellin to mała miejscowość, ale życzliwie odnoszą się tam do podróżnych. Mistrz Kit zabrał nas tam kiedyś na cały miesiąc. Co kilka dni pojawiają się tam nowi ludzie. Nikt nie zagrzewa miejsca na dłużej. Zupełnie, jakbyśmy byli wędrowną kompanią, tyle że tkwiliśmy w miejscu.

Zimny podmuch wiatru rozwiął ściółkę. Węgielki z koksownika pojaśniały, a słaby płomień zatańczył. Zmęczenie utrudniało Cithrin zebranie myśli. Co kompania najemników mogła robić przez cały miesiąc w towarzystwie przejezdnych handlarzy, kupców i misjonarzy? Chronili ich za murami miasta, gdzie i tak było to zbyteczne?

– Muszę iść – powiedziała. – Sprawdzić... sprawdzić wóz.

– Upewnij się, że nigdzie nie odjechał – przytaknęła Opal, niejako na zgodę.

W praktyce, przebywanie tylko z Opal było lepsze niż podróżowanie z całą karawaną. Uważając tylko na jedną osobę, Cithrin potrafiła znaleźć chwile, by znów być sobą. Gdy nadszedł czas i zaprzęły muły, niewiele różniło się to od samotnej podróży. Przez większość czasu mówiła najemniczka, głównie o tym, jak prawidłowo dbać o zwierzęta. Cithrin wiedziała, że Tag powinien być znudzony wykładami, ale postanowiła uważnie słuchać. Wystarczyło pół dnia, by dowiedziała się, jak wiele rzeczy robiła źle. Gdy tego samego wieczora kładły się spać na rozległej łące obok drogi, Cithrin była lepszym woźnicą niż przez ostatnich kilka tygodni, od momentu opuszczenia Vanai.

Chciała podziękować strażniczce za wszystko, co dla niej uczyniła, ale obawiała się, że gdy zacznie, nie będzie mogła skończyć. Wdzięczność przerodzi się w przyjaźń, przyjaźń skłoni ją do zwierzeń i ani się obejrzy, a wyjawi wszystkie swoje tajemnice. Dlatego w zamian starała się, by Opal dostawała najlepsze kąski z zapasów i miększe miejsce do spania.

Leżały w mroku na miękkich belach wełny. Księżyc i gwiazdy zniknęły, skryte za chmurami, przez co spowiła je całkowita ciemność. Cithrin nie mogła zebrać myśli i tak już wątłych ze zmęczenia. Miała problemy z zaśnięciem. W środku nocy poczuła jak ciało Opal napiera na nią i obudziła się spanikowana, myśląc, że kobieta chce ją zabić, uwieść albo jedno i drugie, ale ta jedynie próbowała się ogrzać, pogrążona w półśnie. Cithrin spędziła resztę nocy otulona ciepłym ciałem towarzyszki, próbując nie poddawać się obawom przed ujawnieniem prawdziwej tożsamości.

W ciemności, tygodnie podróży, które dzieliły ją od Carse, jawiły się niczym cała wieczność. Wyobrażała sobie, że wyczuwa kufry i skrzynie ukryte pod belami materiału. Woluminy oraz księgi rachunkowe, jedwab, liście tytoniu i przyprawy. Klejnoty i biżuterię. Ciężar odpowiedzialności i strachu sprawiał, że czuła, jakby ktoś usiadł jej na klatce piersiowej. Gdy, tuż przed świtem, udało jej się zasnąć na tyle głęboko, by śnić, znalazła się na krawędzi urwiska, próbując powstrzymać setki pokracznych niemowląt przed upadkiem z krawędzi.

Obudziła się z krzykiem. Na zewnątrz padał śnieg.

Niebo roniło duże płatki, odrobinę szarawe na tle białych chmur. Dla kontrastu kora drzew wydawała się czarniejsza niż zwykle. Droga ze smoczego jadeitu znikła, a jej trasę znaczyła jedynie pusta przestrzeń między pniami. Horyzont zupełnie się zatarł. Opal zajęta była zakładaniem mułom uprzęży.

– Naprawdę możemy wyruszyć w takich warunkach? – spytała Cithrin, zapominając nadać swojemu głosowi bardziej męskie brzmienie.

– Mam nadzieję. Chyba że zamierzasz tu osiąść.

– A czy to bezpieczne?

– Bezpieczniejsze niż ta druga opcja – skwitowała Opal. – Pomóż mi z tą sprzączką. Mam na wpół zamarznięte dłonie.

Cithrin zeskoczyła na ziemię i zrobiła, co jej kazano. Niedługo później wóz toczył się już po drodze. Szerokie, okute żelazem koła oblepił mokry śnieg, a muły zaczęły parować. Bez słowa ostrzeżenia Opal odebrała Cithrin

wodze oraz bat. Dziewczyna jedynie żałośnie skuliła się na koźle. Najemniczka zmrużyła oczy przed padającym śniegiem i pokręciła głową.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie napotkamy żadnych bandytów.

– Doprawdy? A jaka jest zła? – rzuciła kwaśno Cithrin.

Opal spojrzała na nią, szeroko otwierając oczy ze zdumienia i rozbawienia. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że była to pierwsza możliwie żartobliwa rzecz, którą powiedziała od chwili, gdy karawana opuściła Vanai. Policzki jej spąsowiały. Siedząca obok niej kobieta wybuchnęła śmiechem.

W Bellin wzniesiono zaledwie pół tuzina budynków. Reszta miasta mieściła się we wnętrzu wielkiego klifu. Otwory drzwiowe i okna zostały wykute w szarym kamieniu przed tysiącami lat przez nieludzkie dłonie. Sadza brudziła ściany w miejscach, gdzie dym wydostawał się na zewnątrz. Śnieg oblepił ogromne runy wyryte w skale. Cithrin nigdy wcześniej nie widziała podobnych liter. Same wierzchołki gór były niewidoczne, za wyjątkiem dziwnego uczucia ciemności czyhającej pośród burzy. Znajome kształty wozów stanowiły jedynie czarne kropki na białym tle. Zarówno zwierzęta, jak i woźnice zdążyli już schronić się pośród skalnych ścian. Dziewczyna pomogła Opal odstawić wóz na miejsce, wyprząc muły, a potem zaprowadzić je bezpiecznie do stajni, gdzie czekały już pozostałe zwierzęta z karawany.

Zastali tam również strażników, siedzących wokół osłoniętego pieca kowalskiego, Mikela, Horneta, mistrza Kita oraz Smita. Gdy weszły, Sandr posłał im obu szeroki uśmiech, natomiast Tralgur, zastępca dowódcy, uniósł szeroką dłoń, nie przerywając rozmowy z długowłosą kobietą, Cary. Radość Opal na widok ich wszystkich niemalże udzieliła się również Cithrin.

– Musi istnieć coś takiego – rzekła Cary. Cithrin odniosła wrażenie, że nie powiedziała tego po raz pierwszy.

– Nie musi – wymruczał gardłowo Yarem. – Kobiety są mniejsze i słabsze. Nie istnieje broń, która uczyniłaby z tego zaletę.

– O czym mowa? – spytała Opal, siadając przy otwartym palenisku. Cithrin przycupnęła na ławie obok niej, dopiero po chwili zdając sobie sprawę z tego, że w identyczny sposób podróżowały wozem. Mistrz Kit zachichotał i pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że Cary wolałaby ćwiczyć walkę bronią, która pozwoliłaby jej lepiej wykorzystać jej wrodzone umiejętności – wyjaśnił starzec.

– Czyli to, że jest mała i słaba – dodał Sandr. Nie odwracając głowy, Cary rzuciła w niego grudką ziemi.

– Krótki łuk – zaproponowała Cary.

– Naciągnięcie cięciwy wymaga siły – oznajmił Yardem. Ton jego głosu wydawał się niemal przepraszający. – W przypadku procy ma to mniejsze znaczenie, ale ciągle ma. Włócznia posiada większy zasięg, ale wymaga muskulatury. Do władania ostrzem nie trzeba tyle siły, ale ważne są długie ramiona. Silna, duża kobieta będzie lepsza od małego, wątego mężczyzny, ale nie istnieje coś takiego jak kobieca broń. – Tralgur energicznie wzruszył ramionami.

– *Musi* istnieć coś takiego – nalegała Cary.

– Ale nie istnieje – odparł Yardem.

– Seks – zasugerował Sandr z uśmiechem. Kobieta rzuciła w niego kolejną grudką.

– Jak tam twoje muły, Tagu? – spytał mistrz Kit.

– Lepiej – powiedziała Cithrin. – O wiele lepiej. Dzięki Opal.

– To nic takiego – odrzekła kobieta.

– Cieszę się, że wszystko się ułożyło – powiedział mistrz Kit. – Zacząłem się obawiać, że będziemy zmuszeni was zostawić.

– I tak by do tego nie doszło – wtrącił ktoś zza ich pleców.

Cithrin obróciła się na siedzisku i serce zamarło jej w piersi. Do pomieszczenia wkroczył kapitan Wester. Śnieg oblepiał jego szeroką, skórzaną pelerynę i przyprószył włosy. Twarz miał tak bladą, że wyglądał, jakby spoliczkował go sam mróz. Mężczyzna zbliżył się do źródła ciepła, marszcząc brwi.

– Witamy z powrotem, sir – rzekł Tralgur. Kapitan ledwie zauważalnie skinął głową w odpowiedzi.

– Zakładam, że zwiady poszły nie po naszej myśli – oznajmił mistrz Kit.

– Nie gorzej niż się spodziewałem – odparł Marcus Wester. – Przewodnik karawany poszedł przekazać wieści pozostałym. Przełęcz jest nieprzejezdna. I pozostanie taka przez najbliższych kilka miesięcy.

– Co? – wyrwało się Cithrin. Jej głos zabrzmiał niespodziewanie ostro. Próbowała stłumić pytanie, zanim zdążyła wypowiedzieć je do końca, ale Wester nawet nie zwrócił na nią uwagi.

– Śnieg spadł wcześniej niż zwykle, podróż się przeciągnęła, a nam nie dopisało szczęście – wyjaśnił. – Znajdziemy tutaj przestrzeń magazynową dla

towarów i prycze dla wszystkich. Nie ma za wiele miejsca, więc będzie ciasno. Do Carse wyruszymy na wiosnę.

Wiosna. To słowo było dla Cithrin niczym cios w żołądek. Zapatrzyła się w płomień tańczący w palenisku, czując strużkę roztopionego śniegu spływającą jej wzdłuż kręgosłupa. Gdzieś w gardle uwiązał jej rozpaczliwy śmiech. Gdyby pozwoliła mu wydostać się na zewnątrz, zapewne przerodziłby się w trudny do stłumienia płacz. Miała spędzić całą zimę w przebraniu. Przenieść wszystko z wozu do magazynu i z powrotem, ryzykując ujawnienie. Podróżować do Carse kilka miesięcy, zamiast tygodni.

Nie dam rady, pomyślała.

Marcus

Szybko przyszedł zmrok. Opróżniono jedynie połowę wozów, a przewodnik karawany znajdował się już na skraju przegryzienia własnych nadgarstków. Marcus uznał jednak, że nie powinni mieć żadnych problemów. Burza szła od zachodu, zaś góry zatrzymywały najgorsze opady śniegu. W Birancour zapewne z trudem wygrzebywaliby się spod zasp, ale Bellin znajdowało się w cieniu opadowym. Nic im nie groziło. Przynajmniej ze strony śniegu.

Yardem zorganizował oddzielne baraki dla tak zwanych strażników. Dwa małe pomieszczenia ze wspólnym paleniskiem, ale za to we właściwej części miasteczka, wciśnięte w litą skałę. Wykute w ścianach zawijasy chwytaly promienie światła z ogniska, sprawiając wrażenie, jakby ściany oddychały i tańczyły. Marcus ściągnął przemoczone, skórzane buty i oparł się plecami o ścianę, ciężko wzdychając. Pozostali zaczęli rozsiadać się po wnętrzu, dyskutując albo przekomarzając się o najlepsze miejsca do spania. Łatwość z jaką aktorzy znosili ciasnotę nie odbiegała zbyt od tego, jak radzili sobie z tym żołnierze, poza tym, że krążące żarty były lepsze. Nawet Yardem wydawał się trochę bardziej rozluźniony, a to nie zdarzało się zbyt często.

Mimo to praca Marcusa nie dobiegła końca.

– Zebranie – oznajmił. – Zmieniają się nasze zadania. Lepiej, żebyśmy przedyskutowali je zawczasu, żeby potem nikt nie był zaskoczony.

Rozmowy ucichły. Mistrz Kit siedział przy ogniu. Jego sztywne, szare włosy przypominały zastygły w bezruchu dym.

– Nie wiem, jakim sposobem karawanę na to stać – powiedział aktor. – Nawet przy tak niewielkich kwaterach, utrzymanie nas i wyżywienie przez całą zimę będzie ich kosztować.

– Zapewne stracą na tym – oznajmił Marcus. – Ale to już problem przewodnika karawany, a nie nasz. Nie jesteśmy tutaj, żeby upewnić się, czy to przedsięwzięcie będzie dochodowe, tylko mamy zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Na drodze oznaczało to bandytów. Tutaj natomiast mamy nie dopuścić, by ktoś dostał świra albo zaczął sypiać z kimś, wywołując tym czyjąś zazdrość albo postanowił oszukiwać w kartach więcej niż zazwyczaj.

Smit, aktor wszystkich ról, zrobił skwaszoną minę.

– To w końcu odgrywamy strażników czy niańki?

– Zrobimy wszystko, żeby karawana bezpiecznie dotarła do Carse – powiedział Marcus. – Będziemy chronić ich przed nimi samymi, jeśli zajdzie potrzeba.

– Mmm. Dobry tekst – mruknęła chuda Cary. – *Chronić ich przed nimi samymi, jeśli zajdzie potrzeba.*

Wester zmrużył oczy, marszcząc brwi.

– Przygotowują nową sztukę – wyjaśnił mistrz Kit. – Komedie o trupie aktorskiej zatrudnionej w charakterze strażników karawany.

Yardem chrząknął i zastrzygł uchem. Być może był to wyraz irytacji, być może rozbawienia. Najpewniej obu tych rzeczy. Marcus postanowił to zignorować.

– Mamy tu półtora tuzina furmanów – powiedział. – A do tego przewodnika i jego żonę. Podróżujecie z tymi ludźmi od wielu tygodni. Obserwowaliście ich. Znacie ich. Jakie problemy będziemy z nimi mieć?

– Mężczyzna, który wiezie rudę cyny – odezwał się pierwszy Smit. – Od czasu spotkania z bandytami ręce świerzbią go do bitki. Nie przetrwa całej zimy bez wszczęcia burdy, chyba że ktoś zacznie dzielić z nim łożę albo go usadzi.

– Miałem podobne spostrzeżenia – powiedział Marcus, pozwalając sobie na chwilę rozprężenia. Aktorzy okazali się o wiele bardziej spostrzegawczy niż zwykli ludzie. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, działało to na ich korzyść. – Coś jeszcze?

– Ćwierć krwi Dartinejczyk – rzuciła Opal, starsza z kobiet. – Unikał kazań przewodnika niemal równie często jak pan, kapitanie. Stała dieta z ustępów ze świętej księgi, raczej mu nie podpasuje.

– I jeszcze ta dziewczka ze sztucznymi węsami – dodał Mikel, chudy chłopak. – Wygląda na bardzo wątłą.

– Ach, tak. *Ona* – mruknęła Cary.

– I Bóg jeden raczy wiedzieć, co ona tam wiezie – wtrąciła Opal, zgadzając się z pozostałymi. – Robi się nerwowa jak kot z pęcherzem za każdym razem, gdy ktoś zbliża się do wozu. Nie chce też o nim gadać.

Marcus uniósł dłoń, nakazując ciszę.

– *Kto?* – spytał.

– Dziewczynka ze sztucznymi węsami – wyjaśnił mistrz Kit. – Ta, która każe mówić na siebie Tag.

Wester spojrział na Yardema. Wyraz twarzy Tralgura stanowił odbicie

jego własnej skołowanej miny. Marcus uniósł brew. *Wiedziałaś o tym?* Jego zastępca pokręcił głową, podzwaniając kolczykami. *Nie.*

I Bóg jeden raczy wiedzieć, co ona tam wiezie.

– Yarem, chodź ze mną – rzucił Marcus, naciągając buty.

– Tak jest, sir – zagrział Tralgur.

Woźniców oraz przewodnika karawany umieszczono w innej plątaninie pokoi i tuneli. Marcus przeszedł przez zadymione korytarze i wspólne sale, a Yarem podążał za nim jak cień. Pozostali strażnicy lub aktorzy, czy czym tam jeszcze byli, ruszyli w ślad za nimi niczym w dziecięcej zabawie w ojca Wirgiliusza. Wraz z każdym kolejnym pokojem, w którym nie znajdowali Taga, włoski na karku Marcusa coraz mocniej stawały dęba. Mężczyzna próbował przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się na trasie, każdy raz, kiedy rozmawiał z chłopakiem oraz informacje, które na jego temat uzyskał od timzinejskiego przewodnika. Nie było tego wiele. Prawie nic. Przez większość czasu chłopak trzymał się – a raczej swój wóz – na uboczu.

Ostatnie z wynajętych pokoi wychodziły na ciemne, pokryte śniegiem wzgórza. Zza pleców doszły Marcusa podniesione i podekscytowane głowy pozostałych woźniców, chcących wiedzieć, co się stało. Chłodne, wilgotne powietrze pachniało na równi deszczem i śniegiem. Niebo na horyzoncie przepełniła błyskawica.

– Nie ma go tu, sir.

– Widzę.

– Nie mogła po prostu odejść – rzuciła stojąca za nimi Opal. – Dziewczyna nie wiedziała nawet, jak powozić zaprzęgiem, kiedy przed nią nie jechał inny wóz.

– Wóz – powtórzył za nią Marcus, wychodząc na zewnątrz.

Wozy, których nie rozładowano, ustawiono obok niskiego, kamiennego magazynu. Teraz przysypało je pół stopy śniegu, przez co wydawały się wyższe niż były w rzeczywistości. Marcus zaczął kluczyć pomiędzy nimi. Ktoś rozpałił pochodnie. Płomienie skwiercały na wciąż prószącym śniegu. Cień kapitana zadrgał i zatańczył na wozie z wełną. Śnieg na koźle miał nie więcej jak cal grubości. Mężczyzna włożył nogę w żelazną obręcz przy kole i wdrapał się na wóz. Znalazszy się na górze, odrzucił plandekę. Tag leżał zwinięty w kłębek niczym kot. Teraz, wiedząc już jak wygląda sytuacja, Marcus dostrzegł, że jego wąsy zostały doklejone, natomiast włosy

pofarbowano nierówno. Niedożywiony i przygłupi pierworodny chłopak okazał się być dziewczyną z domieszką cinnej krwi.

– C-co... – zaczęła dziewczyna, ale Marcus chwycił ją za ramię i uniósł do pionu. Jej usta zsiniały z zimna.

– Yardem?

– Tutaj, sir – rzekł Tralgur z boku wozu.

– Łap – rozkazał kapitan, popychając dziewczynę. Ta pisnęła, upadając i chwilę później znalazła się już w uchwycie Yardema. Tralgur stęknął, gdy trafił go jakiś przypadkowy cios, przy wtórze dzikich wrzasków pół krwi Cinnejki. Marcus zignorował przepychankę. Wełna zamokła i cuchnęła pleśnią. Mężczyzna wyciągał belę za belą, pozwalając, by upadały na ziemię. Dziewczyna krzyczała coraz głośniej, ale w końcu zamilkła. Marcus natrafił na coś twardego.

– Podajcie mi pochodnię – zawołał.

Zamiast tego, u jego boku zjawił się mistrz Kit. Wyraz twarzy starca nie wyrażał niczego. W blasku pochodni Wester wydobył z dna skrzynię z palisandru o grubych, skórzanych zawiasach, zamkniętą na żelazny zatrzask. Marcus dobył sztyletu, po czym zaczął przecinać skórę, aż zyskał dostatecznie dużo miejsca, by wcisnąć ostrze broni pod wieko.

– Uważaj – mruknął mistrz Kit, gdy Marcus napał na sztylet.

– Trochę na to za późno – odparł kapitan, gdy zamek puścił z głuchym trzaskiem. We wnętrzu skrzyni zaśniły tysiące kawałków ciętego szkła. Nie. Nie szkła. Klejnotów. Granatów i rubinów, szmaragdów, diamentów i pereł. Kufer został nimi wypełniony po same brzegi.

Marcus zajrzał w otwór powstały po wyrzuceniu materiału na śnieg. Było tam więcej takich skrzyń. Kilka tuzinów.

Mężczyzna wymienił spojrzenia z mistrzem Kitem. Staruszek zrobił wielkie oczy z wrażenia.

– No dobrze – rzekł krótko Marcus, zamykając wieko. – Chodźmy.

Pozostali strażnicy tłoczyli się na ziemi wokół Yardema i fałszywego woźnicy. Tralgur wciąż trzymał dziewczynę w szerokich ramionach, gotowy w każdej chwili poddusić ją aż straci przytomność. Po jej policzkach spływały łzy, jednak wysunięta szczeka sugerowała wojownicze nastawienie. Marcus zerwał jej część włosów z policzka, roztarł między palcami i pozwolił, aby upadły na ziemię. W porównaniu z Yardemem, wydawała się jeszcze dzieckiem. Gdy ich spojrzenia spotkały się, Marcus dostrzegł w jej oczach

błaganie. Poczul niebezpieczne szarpnięcie w klatce piersiowej. Nie był to gniew ani oburzenie. Nie był to nawet żal, lecz wspomnienie, tak jaskrawe i silne, że aż bolesne. Zmusił się do odwrócenia głowy.

– Proszę – jęknęła dziewczyna.

– Kit – powiedział kapitan – zabierz ją do środka. Do naszych kwater. Ma z nikim nie rozmawiać, nawet z przewodnikiem karawany.

– Na rozkaz, kapitanie – odparł wiedzący. Yardem rozluźnił chwyt i zrobił pół kroku w tył. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z dziewczyny, gotowy obezwładnić ją, gdyby zamierzała kogoś zaatakować. Mistrz Kit wyciągnął dłoń. – Chodź, kochanie. Jesteś wśród przyjaciół.

Dziewczyna zawahała się, wodząc spojrzeniem od Marcusa do Yardema, do mistrza Kita i z powrotem. W jej oczach stały łzy, ale nie szlochała. Wester znał kiedyś inne dziecko, które płakało w podobny sposób, ale postanowił odepchnąć od siebie tę myśl. Wiedzący odprowadził dziewczynę. Pozostali, niejako z przyzwyczajenia, ruszyli za starym aktorem, zostawiając żołnierzy samym sobie.

– Wóz – rzekł Marcus.

– Nikt się do niego nie zbliży, sir – zapewnił Yardem.

Marcus spojrzał w górę na padający śnieg, mrużąc powieki.

– Jak sądzisz, ile ma lat?

– Ma krew Cinnejczyków. Trudno powiedzieć – zawarczał Yardem. – Szesnaście wiosen. Siedemnaście.

– Tak też i mi się wydawało.

– Merian miałaby teraz tyle samo lat.

– Prawie.

Marcus zwrócił się w stronę klifu. Światło migotało w oknach wykutych w skale. Starożytny, wypełniony śniegiem ryt w ścianie urwiska jaśniał głębokim odcieniem szarości na tle czerni.

– Sir?

Wester obejrzał się przez ramię. Tralgur siedział już na koźle, owijając się wełną na modłę nomadów z Pût, by utrzymać temperaturę ciała, ale mieć przy tym stały dostęp do broni i wolne ramię.

– Nie może pan dopuścić, by wydarzenia z Ellis przesłoniły panu zdrowy osąd. To nie jest pańska córka.

Coś drgnęło niespokojnie w piersi Marcusa, niczym niemowlę śniące koszmary.

– Nikt nią nie jest – szepnął mężczyzna, odchodząc w mrok.

Kubek ciepłego cydru, pełne życzliwości nastawienie mistrza Kita i pół godziny wystarczyło, aby wyciągnąć z dziewczyny całą historię. Bank medejski, śmierć wcześniejszego woźnicy, desperacka ucieczka do Carse. Dziewczyna szlochała przez większość czasu. Opuściła jedyny dom, jaki знаła i musiała zostawić osoby, które stanowiły jej jedyną rodzinę. Marcus słuchał wszystkiego ze skrzyżowanymi ramionami i z grymasem niezadowolenia na twarzy. Zaczął zauważać drobne rzeczy – to, w jaki sposób jej głos nabierał pewności, gdy mówiła o wekslach bankowych albo problemach z transportem kapitału; jej zwyczaj odgarniania włosów z oczu, nawet gdy ich tam nie było; obronną postawę ramion oraz szyi. Woźnica Tag zupełnie umknął jego uwadze. Cithrin bel Sarcour, początkująca szmuglerka, stanowiła odmienny temat.

Gdy skończyła, Marcus zostawił ją z aktorami, a sam wziął mistrza Kita za łokieć i poprowadził go przez wąskie korytarze przecinające skały, w których wykuto Bellin. Ciemność rozpraszały ustawione na każdym rogu świece. Światła wystarczało do zobaczenia, dokąd się zmierzało, ale niewiele poza tym. Jednak powolne tempo marszu odpowiadało Marcusowi w tym momencie.

– Wiedziałeś o tym? – spytał Wester.

– Wiedziałem, że dziewczyna podróżuje w przebraniu.

– Nigdy o tym nie wspomniałeś.

– Nie wydało mi się to dziwne. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie przywdziewają i zdejmują maski dość często. Proszę pomyśleć o mojej roli w karawanie.

Marcus wziął długi, głęboki oddech.

– W porządku – powiedział. – Będę musiał udać się z tym do przewodnika. Nie możemy tu zostać.

– Z całym szacunkiem, kapitanie, ale dlaczego nie? Nie wydaje mi się, żeby zmieniły się cele karawany. Teraz, gdy znamy sytuację, możemy pomóc dziewczynie w utrzymaniu tej iluzji. Moglibyśmy ukryć ładunek do wiosny, a potem ruszyć dalej, jak gdyby nigdy nic.

– To tak nie działa.

– Co tak nie działa, kapitanie? – spytał mistrz Kit. Marcus zatrzymał się na zakręcie. Pojedyncza świeczka przydawała krzywiźnie ściany życia i świadomości. W słabym świetle płomienia twarz aktora stanowiła mieszankę

bladego złota i czerni.

– *Świat* tak nie działa – wyjaśnił mężczyzna. – Taka ilość złota zawsze okupiona jest czyjąś krwią. Koniec końców któreś z nas ogarnie chęć jego posiadania. A nawet jeśli się tak nie stanie, to ktoś zacznie szukać tego wozu.

– Lecz jak mają go znaleźć, jeśli nie będą wiedzieć, czego szukają? – spytał mistrz Kit. Marcus zauważył, że starzec nie zamierzał negować jego słów o niebezpieczeństwach wynikających z chciwości i zdrady.

– Mam zgadywać? Usłyszą pogłoski o karawanie strzeżonej przez bohatera spod Gradis i Wodford. A także o wiedzącym, który potrafi odbijać strzały i posiada na swoich usługach potęgę drzew.

Rozgoryczenie malujące się na twarzy aktora podpowiadało Marcusowi, że udało mu się dowieść swych racji.

– Nie do tego was zatrudniłem – powiedział – ale wciąż potrzebuję waszej pomocy.

Mistrz Kit wydał usta, okazując chwilowe niezdecydowanie, po czym obrócił się i ruszył dalej ciemnym korytarzem prowadzącym do kwater przewodnika karawany. Marcus podążył za nim. Przez niecałą minutę słychać było jedynie odgłosy ich kroków.

– Jaki jest pański plan? – spytał ostrożnie stary aktor. Marcus pokiwał do siebie głową. Przynajmniej nie mówił *nie*.

– Udamy się na południe – wyjaśnił kapitan. – Drogę na zachód przysypał śnieg, szlak na wschód zaprowadzi nas prosto w ręce potencjalnego pościgu. O tej porze roku na północy znajdziemy jedynie Suche Pustkowia. Rozpuścimy wieści, że zabieramy towary do Maccii albo Gilei i spróbujemy sprzedać je na tamtejszym rynku, zamiast czekać na możliwość kontynuowania podróży do Carse. Wyruszymy na wschód, a potem skęcimy na południe.

– Ale najbliższy trakt prowadzący na południe leży dopiero...

– Nie mówię o traktach. Będziemy zmuszeni porzucić smocze trakty i podążyć mniej uczęszczanymi trasami aż do Morza Wewnętrznego. Wzdłuż wybrzeża biegnie szlak, który prawie nigdy nie zamarza. Jeśli mróz się utrzyma, za cztery tygodnie będziemy w Birancour. Pięc, jeśli śnieg stopnieje na tyle, żeby zrobiło się błotniście. Tamtejsze władze niezbyt przychylnie spoglądają na uzbrojone bandy przekraczające granicę, więc niewykluczone, że potencjalny pościg zostanie zawrócony. Jeszcze tydzień i będziemy w Porte Oliva. To miasto na tyle duże, by przeczekać w nim zimę lub, jeśli

drogi dopiszą, będziemy mogli udać się w dalszą drogę do Północnego Wybrzeża i do Carse.

– Wygląda mi to na dość długi objazd – rzekł aktor. Przejście wychodziło na obszerniejszą komnatę, gdzie zbiegały się wszystkie korytarze. Pod sufitem wisiała lampa olejowa w wiekowej oprawie z żelaza. Mistrz Kit zatrzymał się w kręgu światła i obrócił, by stanąć twarzą w twarz z kapitanem. Minę miał wciąż łagodną i poważną. – Zastanawia mnie, czy w ogóle rozważał pan drugą opcję?

– Nie wiedziałem nawet, że takowa istnieje.

– Moglibyśmy wszyscy odwiedzić wóz, napełnić kieszenie i sakwy, a potem rozpląnąć się we mgle. Pozostałą część moglibyśmy zostawić w magazynie. Ktoś inny musiałby się tym martwić.

– Możliwe, że byłoby to najrozsądniejsze rozwiązanie – przyznał Marcus. – Ale nie za to nam płacą. Karawana ma dotrzeć bezpiecznie do miejsca swojego przeznaczenia.

Wester dostrzegł sceptycyzm na twarzy aktora, a także jego ponure rozbawienie. Wiedział, że ten moment zadecyduje o ich dalszych losach. Jeśli aktor mu odmówi, nie będzie miał wyjścia.

Mistrz Kit wzruszył ramionami.

– W takim razie chyba powinniśmy poinformować przewodnika karawany o zmianie planów.

Karawana wyruszyła przed południem pod stalowoszarym niebem. Marcus jechał na czele. Głowa bolała go od nocnych koszmarów, równie znajomych, co potwornych. Krew i ogień. Przedśmiertne krzyki kobiety i dziecka, które przed dwunastoma laty obróciły się w popiół. Smród palonych włosów. Minęło kilka lat, od kiedy po raz ostatni obudził się, wzywając imiona swojej żony i córki. Alys i Merian. Miał nadzieję, że straszliwe sny opuściły go na zawsze, ale najwyraźniej powróciły, przynajmniej chwilowo.

Żył z nimi już wcześniej. Teraz nie miało być inaczej.

Przewodnik karawany siedział u jego boku. Białe pióropusze ich oddechów w ogóle się nie zgrywały. Wrony spoglądały na nich z ośnieżonych gałęzi, co chwila wierząc się lekko niczym starsi ludzie. Śnieg był mokry, ale na drodze nie miał więcej jak stopę grubości. Sytuacja miała pogorszyć się dopiero, gdy zбочą ze smoczego traktu.

– Nie wierzę, że to robimy – rzekł przewodnik karawany po raz setny. – Nikt mi nawet o niczym *nie powiedział*.

– Widocznie nie mieli cię za przemytnika – skomentował Marcus.

– Mieli mnie za naiwniaka.

– To tak jak ze mną – powiedział Wester. A potem, zauważając wściekłe spojrzenie Timzinejczyka, dodał: – Nie, chodziło mi o to, że *mnie* również mieli za *naiwniaka*. Nie twierdzę, że *ty* nim jesteś.

Przewodnik karawany zamilkł z kwaśną miną. Klify Bellin niknęły za ich plecami. Czekąca ich paskudna zima. Gdy zatrzymali się na noc, rozstawiając namioty w szybko gasnących promieniach słońca, Marcus udał się na obchód obozowiska z Yardemem u boku. Rozmowy cichły, gdy podchodzili bliżej. Uśmiechy stawały się wymuszone i nieprzekonujące. Nastroje przesiąkły niezadowoleniem, tak jak knot nasiąka łatwopalnym olejem. Teraz musieli się upewnić, że nic w związku z tym nie wybuchnie. Nie było gorzej niż się spodziewał. Gdy wrócił do swojego namiotu, już tam na niego czekała.

Woźnica Tag zniknął, przepadł ze świata na zawsze, jakby nigdy nie istniał. Aktorzy pomogli dziewczynie zmyć większość farby z włosów, a bez rachitycznych wąsów jej twarz wyglądała aż nienaturalnie czysto. Młody wiek i cinnejska krew sprawiały, że wyglądała nieco niezdarnie, lecz najbliższe lata miały uczynić z niej kobietę.

– Kapitanie Wester – zaczęła, nerwowo przełykając ślinę – nie miałam okazji powiedzieć, jak bardzo jestem panu wdzięczna.

– Taką mam pracę – odparł Marcus.

– Mimo wszystko, to więcej niż mogłabym prosić i... dziękuję.

– Jeszcze nie jesteś bezpieczna – powiedział mężczyzna, nieco ostrzej niż miał zamiar. – Zachowaj swoją wdzięczność do tego czasu.

Dziewczyna oblała się rumieńcem. Jej policzki przypominały teraz płatki róż na śniegu. Skłoniła się lekko, odwróciła i odeszła, chrzęszcząc butami na śniegu. Marcus odprowadził ją wzrokiem, pokręcił głową i splunął. Yardem, wciąż stojący za jego plecami, odchrząknął.

– To nie jest moja córka – powiedział Marcus.

– Nie jest, sir.

– Nie zasługuje na moją ochronę bardziej niż żaden mężczyzna albo kobieta z tej karawany.

– To prawda, sir.

Marcus spojrział na chmury, mrużąc oczy.

– Mam kłopot.

– Rzeczywiście, sir – przytaknął Yardem. – Ma pan.

Dawson

Królewski Gon gnał przez gęsto padający śnieg. Zadymka tłumiła szczekanie ogarów, sprawiając, że brzmiało ono dość upiornie. Dawson Kalliam przypadł do parującej szyi swojego konia, czując jak potężne zwierzę wzbija się w powietrze. Lodowa rozpadlina mignęła mu pod stopami, po czym zniknęła. Impet lądowania niemal natychmiast ponownie ustąpił miejsca gnanej wiatrem gonitwie. Za jego plecami rozległ się tuzin głosów, ale żaden nie należał do króla. Dawson zignorował je. Po jego lewej stronie pojawił się siwy koń w łowieckim okryciu z czerwonej skóry. Feldin Maas. Inni jechali tuż za nim, przypominając jedynie cienie na śniegu. Dawson przylgnął do konia, mocniej ściskając go udami i zmuszając do szybszej jazdy.

Jeleń uciekał im już długo, dwukrotnie niemal gubiąc myśliwych oraz ich psy. Dawson jeździł jednak po wzgórzach Osterling w każdych warunkach, od kiedy był chłopcem i wiedział, jakie czyhają nań pułapki. Jeleń skręcił właśnie w ślepo zakończony kanion, z którego nie było ucieczki. Honory, rzecz jasna, miał czynić król Simeon. Jednak stawką w wyścigu było to, kto pierwszy dogoni ofiarę.

Najniższe gałęzie sosny odcinały się jaskrawą zielenią na wyblakłym tle, znacząc miejsce, któredy przebiegł jeleń. Dawson skręcił, czując, że Feldin Maas oraz pozostali tłoczą się tuż za nim. Ktoś krzyczał. Wycie i poszczekiwanie ogarów stało się głośniejsze. Mężczyzna zacisnął zęby, siłą woli zmuszając się do parcia naprzód.

Coś mignęło mu po prawej. Nie siwek. Biały koń bez okrycia. Jego jeździec nie nosił żadnego hełmu, ani nakrycia głowy, a długie miedzianozłote włosy oznajmiły o pojawieniu się Curtina Issandriana równie jasno jak rozwinięta chorągiew. Dawson trącił konia piętami, czując jak jego wierzchowiec wyrywa do przodu. Za szybko. Rytmiczny, dudniący tętent galopu został zaburzony i koń z trudem utrzymał się na nogach. Biały rumak zyskał nad nim przewagę, wyprzedzając go, a chwilę później zrównał się z nim siwek z Feldinem Maasem w siodle.

Gdyby jeleń przebył kolejne tysiąc jardów, Dawson mógłby próbować odzyskać zaszczytną pozycję, ale zgubiona zwierzyna została osaczona na pobliskiej polanie. Dwa psy leżały martwe u jej nóg, a psiarczycy

powstrzymywali resztę watahy ostro wydawanymi komendami i trzaśnięciami krótkich batów. Poroże jelenia było ułamane, a bok zwierzęcia znaczyła krwawa plama. Jego zadnia noga pokryta była juchą w miejscu, gdzie nadgorliwy ogar wbił, a następnie stracił swój wilczy pazur. Niejednolita, zimowa sierść przydawała mu wyglądu wędrowca u kresu swej podróży. Byk obrócił się w ich stronę, ciężko dysząc ze zmęczenia, gdy Curtin Issandrian wstrzymał wierzchowca, tuż za plecami mając Dawsona i Feldina Maasa.

– Dobra zagrywka, Issandrianie – rzekł kwaśno Dawson.

– Piękne zwierzę, nieprawdaż? – spytał zwycięzca wyścigu, ignorując jego słowa. Dawson musiał przyznać, że jeleni roztaczał wokół siebie aurę szlachetności. W spojrzeniu wycieńczonego, pokonanego i stojącego w obliczu śmierci zwierzęcia ani przez chwilę nie czaił się strach. Rezygnacja, być może. Nienawiść, bez wątpienia. Issandrian dobył miecza, a następnie zasalutował dumnemu bykowi, który pochylił głowę niejako w odpowiedzi. Druga grupa jeźdźców wpadła na polanę, w sumie sześciu, każdy w barwach swojego rodu. Ogary podskoczyły i zaczęły szczekać, na co psiarczycy zareagowali krzykami oraz przekleństwami.

A potem przybył król.

Król Simeon wjechał na polanę na ogromnym, karym ogierze, którego wodze z ciemnej skóry przeplatały szkarłatne i złote wstęgi. Książę Aster jechał na kucyku u boku ojca. Chłopiec siedział w siodle wyprostowany z dumy, choć jego zbroja wciąż wydawała się na niego odrobinę za duża. Jego osobisty mistrz łowiecki jechał niedaleko za nim, a jeszcze dalej – zwalisty Jasur w zielono-złotym pancerzu, który idealnie pasował do jego łusek. Król Simeon przyodziął się w ciemne skóry nabijane srebrem, a także czarny hełm skrywający coraz bardziej obwisłe policzki i krzywy nos.

Dawson polował z władcą jeszcze za czasów, gdy obaj byli chłopcami młodszymi od Maasa i Issandriana, dlatego w jego postawie dostrzegł zmęczenie, którego nie zauważał nikt inny. Za nimi ciągnęła cała reszta orszaku, niedzielni myśliwi, bardziej zainteresowani ploteczkami i całodzienną przejażdżką aniżeli samymi łowami. Obecne były chorągwie wszystkich najznamienitszych rodów. Wyglądało na to, że cały dwór zjechał z Cannipolu na polanę na wzgórzach Osterling.

Jasurski łowczy zdjął z pleców włócznię i podał ją królowi Simeonowi. W rękach władcy, broń wydawała się dłuższa. Jedno słowo z ust Jasura

wystarczyło, aby wszystkie psy skoczyły jeleniowi do gardła. Dla odwrócenia uwagi. Król Simeon opuścił włócznię, spiął wierzchowca i zaszarżował. W momencie uderzenia, zwierzę cofnęło się z włócznią tkwiącą głęboko w gardle. Gdy padło, Dawson odniósł instynktowne wrażenie, że bestia była bardziej zaskoczona niż konająca z bólu. Ramię króla było silne jak zawsze, a jego oko równie pewne. Jeleń zdechł szybko, bez konieczności skracania mu cierpień strzałą z łuku. Gdy psiarczycy odwołali ogary i unieśli pięści na znak, że zwierzę nie żyje, z ust zebranych szlachciców dobył się pełen uznania okrzyk. Dawson wiwatował wraz z pozostałymi.

– Więc komu należą się zaszczyty? – spytał król Simeon, gdy jego myśliwi zajęli się oporządzaniem zwierzyny. – Issandrianowi? A może tobie, Kalliamie?

– Pod koniec było tak blisko – rzekł Issandrian – że śmiem twierdzić, iż baron i ja wjechaliśmy na polanę jednocześnie.

Feldin Maas zeskoczył z konia z ironicznym uśmiechem, po czym podszedł do zabitych psów.

– To nieprawda – zaprotestował Dawson. – Issandrian dotarł na miejsce o dobrą długość wierzchowca przede mną. Jemu należy się cała chwała.

Nie mam zamiaru być ci dłużny, nawet za coś tak błahego, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

– Wobec tego to Issandrian otrzyma poroże – oznajmił król Simeon, po czym zawołał: – Issandrian!

Pozostali unieśli pięści oraz miecze, uśmiechając się pośród padającego śniegu i wiwatując na część zwycięzcy. Biesiada miała odbyć się następnego dnia, sarnina zostanie upieczona nad paleniskiem należącym do Dawsona, ale to Issandrian będzie zasiadał na honorowym miejscu. Ta myśl była trudna do przełknięcia.

– Wszystko w porządku? – spytał król, na tyle cicho, by jego słowa nie doszły niepowołanych uszu.

– Tak, Wasza Wysokość – odparł Kalliam. – Nic mi nie jest.

Godzinę później, gdy byli już w drodze powrotnej, podjechał do niego Feldin Maas. Od upadku Vanai i zwycięstwa cesarskich nad posiłkami z Maccii, Dawson udawał, że wieści z Wolnych Miast nic dla niego nie znaczą, ale męczyła go ta szarada.

– Lordzie Kalliamie – powiedział Maas. – Mam coś dla ciebie.

Mężczyzna rzucił Dawsonowi gałąź. Nie, nie gałąź.

Fragment ułamanego poroża, czerwonego od krwi ogara.

– Marna pociecha to lepiej niż żadna, prawda? – rzucił Maas z uśmiechem, po czym cmoknął na konia i wyminął go.

– Marna pociecha – mruknął kwaśno baron. Jego słowa zamieniły się w białą mgiełkę.

Z czasem, w miarę zbliżania się do posiadłości Dawsona, spadające płatki śniegu zmieniły się z ciężkich i mokrych w lekki puch. Nisko zawieszona chmury przerzedziły się, tworząc przejaśnienia, a na wschodzie znów pokazały się górskie szczyty. Powietrze przesycił zapach dymu, a przed nimi, na południu, wyrosły wieżycy Osterling Fells. Kamienie – granit i smoczy jadeit – zaśniły w promieniach słońca, zaś girlandy wiszące na flankach sprawiały wrażenie, jakby cała budowla wyszła na spotkanie tej chwilowej jasności.

Obowiązkiem gospodarza było dopilnowanie procesu przygotowywania sarniny. W rzeczywistości oznaczało to zaledwie półgodzinny pobyt w kuchni z uśmiechem przyklejonym do twarzy, ale mimo to dusza Dawsona się temu sprzeciwiała. Mężczyzna nie potrafił zmusić się do przebywania w panującym tam chaosie sług i psów. Podszedł więc do szerokich, kamiennych schodów obok pieców i stanął na podeście górującym ponad stołami kuchennymi. Wzdłuż ścian stygły placki oraz bochny chleba. Zaszuszone staruszka wbijała pawie pióra w pieczeń wieprzową, którą uformowano na podobieństwo ptaka, a następnie kandyzowano dopóki nie zaczęła błyszczeć jak szkło. Gorące powietrze wypełniał zapach pieczonych rodzyneków i kurczaka. Wkrótce myśliwi przynieśli tuszę i czterech młodych mężczyzn zajęło się przygotowywaniem mięsa – wcieraniem w nie soli, liści mięty oraz masła, a także wycinaniem gruczołów i żył, które zostały po oprawieniu. Dawson marszczył brwi i patrzył. To zwierzę było niegdyś tak szlachetne, a teraz...

– Mężu?

Stojąca za nim Clara miała pogodny wyraz twarzy oznaczający u niej wczesne stadium wycieńczenia. Jej oczy błyszczały, a zmarszczki okalające usta zdawały się być odrobinę głębsze niż zazwyczaj. Nikt, kto nie spędził z nią całego życia, nie miał prawa tego zauważyć. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by na chwilę znienawidził cały dwór.

– Żono – odparł.

– Pozwolisz? – spytała, robiąc pół kroku w kierunku bocznego korytarza.

Mężczyzna zacisnął usta z poirytowaniem. Nie był zły na nią, ale na przeczuwaną domową katastrofę, która wymagała jego uwagi. Oszczędnie skinął głową i ruszył za nią do półcienia oferującego względną prywatność. Jednak zanim zszedł z podwyższenia, zatrzymał go inny głos.

– Sir! Upuściłeś to, mój panie.

U podnóża schodów stał jeden z myśliwych. Młody człowiek o szerokiej szczęce i uczciwej twarzy, noszący barwy Kalliamów. Wyciągnął przed siebie fragment ułamanego, poczerniałego od krwi poroża. Sługa, przywołujący barona Kalliamia z powrotem niczym dziecko, które zgubiło świecidełko.

Dawson poczuł jak jego twarz pąsowieje i mimowolnie zacisnął dłonie.

– Jak masz na imię? – spytał. Młodzieniec poblądł na dźwięk jego głosu.

– Vincen, sir. Vincen Coe.

– Nie jesteś już jednym z moich ludzi, Vincenie Coe. Zabierz swoje rzeczy i opuść moje włości przed zachodem słońca.

– M-mój panie?

– Chcesz, żebym przy okazji kazał cię jeszcze wychłostać, chłopcze? – krzyknął Dawson. W kuchni zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy skierowali swoje spojrzenia na nich, po czym szybko wrócili do swoich zajęć.

– Nie, mój panie – powiedział myśliwy.

Dawson obrócił się i skrył w półmroku korytarza wraz z Clarą. Kobieta nie zganiała go. W cieniu schodów nachyliła się ku niemu i zaczęła mówić cicho, niemal wprost do jego ucha.

– Po przyjeździe Simeon zażądał ciepłej kąpieli, więc zamiast wyrzucać wszystkich z niebieskich komnat, kazałam majordomowi przygotować dom Andr. Ten we wschodnim skrzydle. To znacznie przyjemniejsze miejsce, poza tym są tam te zmyślne rurki, dzięki którym woda pozostaje gorąca.

– Słusznie uczyniłaś – rzekł Dawson.

– Kazałam nikogo tam nie wpuszczać, poza tobą, rzecz jasna. Wiedziałam, że będziesz chciał zamienić z nim słówko na osobności.

– Nie mogę przeszkadzać królowi w kąpieli.

– Oczywiście, że możesz, najdroższy. Wystarczy, że powiesz mu, iż zapomniałam cię ostrzec. Celowo wspomniałam, że lubisz zaszyć się tam po polowaniu, więc nie powinno to nikogo dziwić. O ile, oczywiście, nie spyta sług i nie powiedzą mu, że tak naprawdę korzystasz z niebieskich komnat.

Takie wścibstwo byłoby jednak niegrzeczne, a Simeon nigdy nie wydawał mi się taki, prawda?

Dawson poczuł, że z barków spada mu ciężar, z którego obecności do tej pory nie do końca zdawał sobie sprawę.

– Czym sobie zasłużyłem na tak idealną żonę jak ty?

– Miałaś szczęście – powiedziała, a przez jej uprzejmą maskę na chwilę przebił się słaby uśmiech. – A teraz idź już, zanim skończy kąpiel. Zajmę się tym biednym chłopcem, którego właśnie kopnąłeś. Doprawdy, powinni wiedzieć, by się do ciebie nie zbliżać, gdy nie jesteś w nastroju.

Dom Andr zbudowano wewnątrz murów rezydencji, wciskając go w przestrzeń obok kaplicy, ale poza tym z dala od reszty zabudowań. Cinnejska poetka, której imieniem go ochrzczono, mieszkała w nim, gdy Osterling Fells stanowiło siedzibę króla mającego słabość do sztuki niższych ras, zaś Antea była jedynie nazwą pomniejszego rodu szlacheckiego, którego włości znajdowały się o pół dnia drogi na północ. Żaden z poematów Andr nie przetrwał. Jediną spuścizną, którą kobieta zostawiła po sobie, był mały domek nazwany jej imieniem oraz napis nad kamiennymi drzwiami – DRACANI SANT DRACAS – którego znaczenie dawno zapomniano.

Król Simeon leżał w wannie z kutego brązu, uformowanej na kształt dartinejskiej dłoni. Z długich, ugiętych palców płynęły strumienie gorącej wody, wytryskując z kanalików tuż poniżej szponów. Kamienna misa z mydłem spoczywała na półce umieszczonej na kciuku. Światło wpadające przez okno witrażowe barwiło parujące powietrze na zielono i złoto. Służący stali pod przeciwległą ścianą z miękkimi tkaninami do wycierania króla oraz czarnymi mieczami, by w razie potrzeby móc go bronić. Władca uniósł głowę, gdy Dawson wkroczył do pokoju.

– Wybacz mi, panie – rzekł Dawson. – Nie wiedziałem, że tu jesteś.

– Nie przejmuj się, stary przyjacielu – powiedział Simeon, przywołując gestem służących. – Powiedziano mi, że to twoje ulubione miejsce. Usiądź. Ogrzej się, a ja wyniosę się stąd, gdy tylko odzyskam czucie w palcach.

– Dziękuję, mój panie. – Dawson usiadł, gdy służący przynieśli mu zydell. – Tak się składa, że miałem nadzieję omówić z tobą pewną sprawę na osobności. Chodzi o Vanai. Lepiej będzie, jeśli usłyszysz to z moich ust.

Król usiadł i przez chwilę nie było już lorda oraz jego wiernego poddanego, ale Simeon i Dawson. Dwaj chłopcy równi sobie urodzeniem i rangą, pełni dumy i godności. Niechęć barona Kalliamy do kampanii

vanajskiej, a także oburzenie wynikające z faktu, że jego syn zmuszony został do służenia pod dowództwem Alana Klina były wszystkim dobrze znane. Mimo to, Dawson rozpałił w sobie na nowo te uczucia, by gniew i przekonanie o własnej nieomyślności dały mu siłę do przetrwania całej spowiedzi. Simeon słuchał, zaś słudzy puszczały wszystko mimo uszu z równą sumiennością. Baron obserwował jak dobrze mu znana twarz przybiera kolejno wyraz ciekawości, zaskoczenia, rozczarowania, by ostatecznie dać upust rozbawionemu rozgoryczeniu.

– Musisz przestać pogrywać sobie z intrygantami Issandriana – powiedział król cesarskiej Antei, ponownie osuwając się do wody. – Mimo to, żałuję wielce, że to nie zadziałało. Oszczędziłoby mi to całego mnóstwa kłopotów. Słyszałeś o edykcji z Edford?

– O czym?

– O edykcji z Edford. To kawałek pergaminu z czasów króla Durrena Białego, który jakiś klecha wyciągnął z najgłębszych czeluści biblioteki w Sevenpolu, uprawomocniający istnienie rady chłopskiej. Na północy zawiązał się ruch na rzecz stworzenia nowej rady, na mocy tego dokumentu. Każdy właściciel ziemski, który wniósłby odpowiednią opłatę, miałby głos na dworze.

– Nie mówisz poważnie – zdumiał się Dawson. – Zamierzają pędzić muły przez pałac? Wypasać kozy w królewskim ogrodzie?

– Lepiej im tego nie sugerować – rzekł król, sięgając po misę z mydłem.

– To wybieg. Nigdy tego nie zrobią.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo podzielony jest dwór, stary przyjacielu. Issandrian jest kochany przez nisko urodzonych. Jeśli oni zdobędą władzę, on na tym zyska. A teraz, zyskawszy w Vanai skarbonkę w osobie Klina, nie pozostawił mi wielkiego wyboru.

– Chyba nie mówisz o...

– Nie, nie powstanie żadna rada chłopska. Musimy jednak zawrzeć rozejm. W dzień przesilenia letniego wyślę Astera na wychowanie do Issandriana.

Woda kapiała z wielkich, brązowych palców. Przelatujący obłok pary odrobinę przyćmił światło. Król Simeon siedział w milczeniu, namydlając ramiona. Wyraz jego twarzy pozostał niezmienny, nawet wtedy, gdy do Dawsona w końcu dotarło, co oznaczała wcześniejsza informacja.

– Zostanie regentem – rzekł Kalliam zduszonym głosem. – Jeśli umrzesz,

zanim Aster osiągnie dojrzałość, Issandrian zostanie regentem.

– Nie jest to pewna rzecz, ale bez wątpienia może próbować.

– Kaze cię zamordować. To zdrada stanu.

– To polityka – odparował Simeon. – Miałem nadzieję, że Ternigan zechce zagarnąć władzę w mieście dla siebie, ale ten stary sukinsyn jest zbyt niezależny. Dobrze wie, że koteria Issandriana rośnie w siłę. Właśnie wyświadczył im przysługę, w zasadzie nie opowiadając się po żadnej ze stron. Teraz będę musiał zabiegać o jego względy. Oni również. A on będzie siedział w Kavinpolu i pozwalał, aby całowano go w oba policzki.

– Curtin Issandrian cię *zabije*, Simeonie.

Król zanurzył się w wannie, pozwalając, by woda pochłonęła jego ramiona i zmoczyła włosy. Spienione mydliny zatańczyły na powierzchni.

– Nie zrobi tego. Dopóki będzie mieć mojego syna, dopóty będzie mógł pociągać za sznurki bez konieczności zasiadania na tronie.

– Więc zniszcz go – powiedział Dawson. – Pomogę ci. Stworzymy własną koterię. Istnieją ludzie, którzy pamiętają jak to jest. Wręcz są tego *głodni*. Zbierzemy ich pod jednym sztandarem.

– Możemy to uczynić, owszem, ale po co?

– Simeonie. Stary druhu. To odpowiedni moment. Antea potrzebuje teraz prawdziwego króla. Ty posiadasz ku temu potencjał. Nie posyłaj swojego chłopaka do Issandriana.

– To niewłaściwy moment. Issandrian rośnie w siłę, a sprzeciwianie się mu jedynie pogłębi wewnętrzne niesnaski. Lepiej poczekać na jego potknięcie. Moim zadaniem jest upewnić się, że przy okazji nie wkroczymy na smoczą drogę. Jeśli uda mi się przekazać władzę Asterowi bez wywoływania wojny domowej, będzie to wystarczająca spuścizna.

– Nawet jeśli nie odziedziczy prawdziwej Antei? – spytał Dawson, czując rosnący ucisk za oczami. – Jaki to zaszczyt rządzić królestwem, które zaprzepaściło własne dziedzictwo na rzecz swych pysznych, zadufanych dzieci?

– Gdybyś powiedział to zanim Ternigan oddał Vanai, zgodziłbym się z tobą. Ale powiedz mi, jaki jest zaszczyt w toczeniu bitew, których nie możesz wygrać?

Dawson spojrział na swoje dłonie. Knykcie puchły mu ze starości, a skóra spierzchła od zimna. Zapach mydła drażnił mu nozdrza. Jego przyjaciel z dzieciństwa, a teraz jego pan i władca, westchnął, po czym burknął coś,

wiercąc się w kąpielni jak stetryczały starzec. Gdzieś w Osterling Fells, Curtin Issandrian i Feldin Maas wznosili toasty winem, śmiejąc się do rozpuku. Dawsona rozboleły policzki, dlatego zmusił się do rozluźnienia szczęki.

Jaki jest zaszczyt w toczeniu bitew, których nie możesz wygrać? – zawisło w powietrzu między nimi. Gdy już udało mu się powstrzymać zawód w głosie, Dawson powiedział:

– Cóż innego nam zostało, mój panie?

Cithrin

Gdy zostawili smoczy trakt za sobą, świat przykrył śnieg i błocko. Wóz pod nią podskakiwał na dziurach i wybojach, a muły ślizgały się, dysząc z wysiłku. Koła skrzypiały, sunąc koleinami pozostawionymi przez wozy przed nią. Cithrin siedziała, ściskając wodze w zgrabiących palcach i chuchając parą. Niskie pagórki ustąpiły miejsca równinom oraz rzadkim lasom i ośnieżonym krzewom. Na wiosnę, tereny otaczające Wolne Miasta mogły być zielone i pełne życia, ale teraz wydawały się puste i martwe.

Minęli pole, na którym zalegały kopy przegniłej słomy, świadczące o tragicznym losie jakiegoś rolnika, a potem winnicę, gdzie szeregi kratownic podtrzymywały czarne, zasuszone winorośle. Od czasu do czasu na skraju pola widzenia pojawiał się śnieżny zajac. Albo jeleni, który podchodził za blisko, dopóki któryś z woźniców albo strażników nie postanowił posłać w jego kierunku strzały, w nadziei na świeżą sarninę. Z tego, co widziała, żaden z nich nie trafił.

Przez większość czasu było zimno, a dni stawały się coraz krótsze.

Kolejnego wieczora przewodnik karawany zarządził postój w opuszczonym młynie. Cithrin zatrzymała wóz obok skutego lodem stawu, wypięła z zaprzęgu ubłocone muły i wyczyściła je w czasie, gdy jadły. Krwawoczerwone słońce zawisło nisko nad horyzontem po zachodniej stronie. Opal pojawiła się, by sprawdzić, jak jej idzie. Spokojne oczy kobiety zdawały się wyrażać zadowolenie z tego, co zobaczyła.

– Jeszcze zrobimy z ciebie uczciwego woźnicę, kochanie – powiedziała.

Uśmiech sprawił Cithrin ból w okolicach spieczonych zimnem policzków.

– Woźnicę, być może – odparła. – Ale z uczciwością może być problem. Starsza kobieta uniosła brwi.

– Kolejny dowcip – mruknęła. – Świat się kończy. Idziesz na kolację?

– Chyba nie – powiedziała Cithrin, oglądając kopyta jednego z mułów. Niewielkie obtarcie, które zauważyła dzień wcześniej, wciąż tam było, ale przynajmniej się nie pogorszyło. – Nie lubię z nimi przebywać.

– Z nimi?

– Z innymi. Wydaje mi się, że mnie nie lubią. Gdyby nie ja, wszyscy siedzieliby teraz w Bellin przy palenisku. A kapitan...

– Wester? Ma w sobie coś z niedźwiedzia, prawda? Wciąż sama nie wiem, co o nim myśleć – rzuciła Opal oschle, po czym dodała przymilnym tonem: – Mimo to wątpię, by miał ugryźć, chyba że go o to poprosisz.

– Tak czy owak, zostanę przy wozie.

– W takim razie przyniosę ci talerz.

– Dziękuję – powiedziała Cithrin. – Opal?

– Tak?

– Dziękuję.

Strażniczka uśmiechnęła się i wykonała płytki, ironiczny ukłon. Cithrin odprowadziła ją wzrokiem do młyna. Ktoś rozpałił w środku ogień. Wąska smużka dymu wydobywała się z kamiennego komina. Śnieg wokół dziewczyny przybrał odcień złota, potem poczerwieniał, aż w końcu, niemal w jednej chwili, poszarzał. Cithrin okryła muły derkami, po czym rozpałiła własne ognisko. Opal wróciła z talerzem gotowanej zieleniny i kilkoma pszennymi plackami, a następnie ruszyła z powrotem w stronę głosów i dźwięków muzyki. Cithrin wstała, rozważając podążenie za nią, ale ponownie usiadła.

Gdy jadła, pojawiły się gwiazdy. Śnieg sprawiał, że bladoniebieskie światło rosnącego półksiężyca wydawało się jaśniejsze niż powinno być w rzeczywistości. Chłód kąsał coraz dotkliwiej, więc Cithrin przysunęła się do małego ogniska. Mróz nie dawał za wygraną, chwytając ją w swoje kleszcze. Później, gdy kapitan i Tralgur udadzą się na zwiady, a pozostali pójdą spać, miała zamiar zakraść się do młyna i znaleźć kąt dla siebie. Po śniadaniu, unikając ciekawskich spojrzeń innych woźniców, chciała wrócić do swoich mułów tak szybko jak to możliwe. Dni były krótkie i przewodnik karawany nie pozwalał na lenistwo. Długie, ponure i mroźne godziny, znaczące okres pomiędzy końcem pracy a snem, stanowiły najgorszą część dnia. Dla zabicia czasu, uciekała w głąb własnego umysłu.

Z początku śpiewała sobie piosenki albo przypominała sztuki i przedstawienia, na których bywała jako podopieczna banku. Jednak szybko zaczęła wracać myślami do magistra Imaniela i jego ciągłych sprawdzianów przy stole jadalnym. Do różnic pomiędzy darowizną a formalną pożyczką; do paradoksu dwóch stron, które działają zgodnie z własnym interesem, ale ostatecznie dochodzą do rozwiązania, które nie jest korzystne dla żadnej z nich; do strategii negocjowania jednorazowej umowy oraz umowy, która jest odnawiana cyklicznie. Łamigłówki były jej ulubioną rozrywką z dzieciństwa,

dlatego wracała do nich teraz, szukając pocieszenia i ukojenia.

Przyłapała się na tym, że zaczęła obliczać wartość całej karawany – ile mogliby otrzymać za dobra w Carse, a także jaką cenę, mniej więcej, musieliby zaoferować w Porte Oliva, żeby obie te wyprawy im się zwróciły. Wróciła myślami do Bellin, rozmyślając nad tym, czy opłaty za przejazdy i noclegi sprawiały, że tamtejsi mieszkańcy stawali się bogatsi. W którym momencie lepiej byłoby zwyczajnie porzucić wozy i jechać dalej bez nich? Czy decyzja magistra Imaniela o zainwestowaniu w browar i ubezpieczeniu go na wypadek pożaru była słuszna? Nie dysponując żadnymi wiarygodnymi informacjami, wszystko to stanowiło jedynie grę, ale za to taką, w której czuła się najlepiej.

W bankowości, twierdził magister Imanuel, nie chodziło o złoto i srebro. Chodziło o wiedzę na tematy, o których nie wiedział nikt inny, o umiejętność przewidywania komu można zaufać, a komu nie, a także o grę pozorów. Zadając sobie różne pytania, Cithrin była w stanie przywołać obrazy swego mistrza, Cam i Besela. Przypominała sobie ich twarze, słyszała ich śmiechy, niemalże przenosząc się do innego czasu i miejsca. Miejsca, gdzie była kochana. Cóż, może nie do końca. Ale przynajmniej czuła, że tam właśnie należy.

Mimo narastającego chłodu, ucisk w żołądku zelżał. Skulone ciało rozluźniło się i uspokoiło. Dziewczyna dorzuciła do ognia kilka większych szczap, patrząc jak płomień z początku przygasa pod ciężarem drewna, by ostatecznie rozbłysnąć z większą siłą. Bijące od niego ciepło ogrzało jej twarz i dłonie, a wełniany pled owinięty wokół ramion powstrzymywał najgorsze zimno.

Zastanowiło ją, co wydarzyłoby się, gdyby bank zaoferował większą pożyczkę komuś, kto spłacił poprzedni kredyt przed czasem? Pożyczkobiorcy zyskaliby dzięki temu większe aktywa, zaś bankowi przyniosłoby to korzyści w postaci wcześniejszych zysków. *A mimo to*, rozbrzmiał głos magistra Imaniela w jej głowie, *jeśli wszyscy zyskują, oznacza to, że coś przegapiłaś*. Istniały pewne konsekwencje takiego obrotu spraw, których nie była w stanie sobie...

– Cithrin.

Dziewczyna uniosła spojrzenie. Sandr, lekko przygarbiony, wyłonił się z cienia pomiędzy wozami. Jeden z mułów uniósł łeb, dmuchnął wielkim obłokiem białej pary, po czym wrócił do odpoczynku. Gdy mężczyzna usiadł,

Cithrin usłyszała dziwne pobrzękiwanie metalu i charakterystyczne chlupanie wina w bukłaku.

– Nie zrobiłeś tego – powiedziała, co Sandr skwitował uśmiechem.

– Mistrz Kit się nie obrazi. Uzupełnił zapasy, szykując się do zimy, gdy tylko dotarliśmy do Bellin. Tyle że teraz musi targać to wszystko na kraniec świata. Zrobimy mu przysługę, uszczuplając nieco ładunek.

– Wpakujesz się w niezłe kłopoty.

– Mało prawdopodobne.

Odkorkował bukłak dłonią w rękawicy i podał go dziewczynie. Woń oparów rozgrzała ją jeszcze zanim wino dotknęło jej warg. Bogaty, wyrazisty, a zarazem lekki płyn zawirował jej w ustach i na języku, po czym spłynął do gardła. Ciepło rozpałiło jej przełyk, jakby połknęła świeczkę. Nie było w nim słodczy, ale coś o wiele głębszego.

– *Boże* – szepnęła.

– Dobrze, prawda? – powiedział Sandr.

Uśmiechnęła się i pociągnęła jeszcze jeden długi łyk. A potem kolejny. Ciepło rozlało się po jej brzuchu i zaczęło ogarniać też ręce oraz nogi. Niechętnie zwróciła bukłak.

– To nie wszystko – rzekł mężczyzna. – Mam coś dla ciebie.

Mężczyzna wyciągnął spod płaszcza jutowy worek. Materiał cuchnął kurzem i stęchlizną. Coś w jego wnętrzu poruszyło się i szcęknięło, gdy położył go na śniegu. Oczy Sandra zaśniły w świetle księżyca.

– Znaleźliśmy je w składziku na tyłach. Razem z kilkoma innymi rzeczami. Cóż, w zasadzie to Smit je znalazł, ale pomyślałem o tobie i zamieniłem się z nim.

Sandr wyciągnął spękany, skórzany but przesznurowany skrawkiem szpagatu. Do jego podeszwy przytwierdzono kawałek zardzewiałego metalu, pociemniałego i zmatowiałego, za wyjątkiem ostrza biegnącego przez całą jej długość, które błyszczało, jakby ktoś je niedawno naostrzył.

– Jeździłaś kiedyś na łyżwach? – spytał Sandr.

Cithrin pokręciła głową. Mężczyzna wyciągnął z worka dwie pary butów. W słabym świetle starożytna skóra miała szary odcień. Dziewczyna pociągnęła z bukłaka długi łyk wina.

– Są za duże – oznajmił Sandr – ale nasypałem do środka piasku. Piasek jest dobry, bo dopasowuje się do kształtu twojej nogi. Materiał jedynie zbija się w ciasną kulkę. Proszę, przymierz je.

Nie chcę, pomyślała Cithrin, ale Sandr trzymał już jej nogę w dłoniach i zadowolony z siebie zaczął ściągać jej buta. Łyżwa była zimna, a spękana skóra piła w podbiciu, ale mężczyzna mocno zasznurował cholewkę i zajął się drugą stopą.

– Nauczyłem się jeździć w Asterilhold – powiedział. – Dwa... nie, Boże, trzy lata temu. Dopiero co dołączyłem do kompanii i mistrz Kit kazał nam przezimować w Kaltfel. Było tak zimno, że splunięcie zamarzało nim zdążyło upaść na ziemię, a noce wydawały się trwać w nieskończoność. Pośrodku miasta jest jezioro i przez cały czas naszego pobytu, można było bez problemu przejść z jednego brzegu na drugi. Każdego roku budowano na lodzie zimowe miasteczko. Domy, tawerny i inne budynki. Zupełnie jak w prawdziwym mieście.

– Naprawdę? – spytała zaciekawiona.

– Było niesamowite. W porządku. Powinno być dobrze. Pozwól, że założę swoje.

Wzięła jeszcze jeden łyk mocnego wina, który rozpląnęło się ciepłem wzdłuż palców rąk i stóp. Jakimś cudem zdążyli osuszyć już połowę bukłaka. Czuła palenie w policzkach. Opary sprawiły, że w głowie trochę jej szumiało. Sandr podźwignął się na nogi ze stęknieniem. Buty na ostrzach zaskrzypiały, a potem zaklekotały. Wydawało się niemożliwe, by coś tak niedorzecznego naprawdę działało, dopóki mężczyzna nie przeciągnął sznurówki przez ostatni otworek, nie wyszedł pokracznie na taflę stawu i nie wyjechał na lód. Pomiędzy jednym a drugim oddechem nagle stał się uosobieniem gracji. Jego nogi przemieszczały się nieustannie, krzyżując momentami, a ostrza zgrzytały w kontakcie ze zmrożoną powierzchnią. Jego ciało stałe zmieniałło pozycję, w miarę jak sunął po stawie w tę i z powrotem, pracując dłońmi z lekkością tancerza.

– Nie są takie złe – zawołał. – Chodź. Teraz ty spróbujesz!

Jeszcze jeden łyk wina, a potem następny na szczęście i Cithrin w końcu zebrała się na odwagę. Zimne powietrze wciąż kąsało jej skórę, ale już nieco przytępiionymi zębami. Nogi chygotały jej się w kostkach, gdy walczyła o odnalezienie na nowo poczucia równowagi. Spróbowała odepchnąć się, naśladując Sandra, i ciężko upadła na lód. Młody mężczyzna roześmiał się radośnie.

– Za pierwszym razem jest trudno – powiedział, zatrzymując się obok niej ze zgrzytem. – Podaj mi rękę. Pokażę ci.

Po kilku minutach, z ugiętymi kolanami i szeroko rozpostartymi ramionami, stąpała niepewnie po lodzie. Ale przynajmniej nie upadała.

– Nie próbuj chodzić – wyjaśnił Sandr. – Odepchnij się jedną nogą i pozwól sunąć drugiej.

– Łatwo ci mówić – odcięła się. – Ty przynajmniej wiesz, co robisz.

– Teraz już tak. Gdy zaczynałem, byłem gorszy od ciebie.

– Pochlebca.

– Może zasługujesz na kilka komplementów. Nie, o tak. Dobrze. *Dobrze!*

Ciało Cithrin załapało w czym rzecz i dziewczyna wkrótce sunęła po zamarznętej tafli. Nie z taką gracją i pewnością jak Sandr, ale było jej do niego coraz bliżej. Lód, mieniący się w świetle księżyca w odcieniach bieli, szarości i czerni, uciekał jej spod stóp. Noc miała smak mocnego wina i wirowała wokół niej niczym rzeka. Sandr wydał z siebie okrzyk radości, chwycił ją za rękę i razem przemierzili całą długość stawu przy młynie. Żłobienia po ostrzach łyżew przypominały w półmroku białe wzory.

Z brzegu jeden z mułów skomentował ich zabawę parsknięciem i poruszeniem mięśnia zadu. Pęd powietrza świszczął Cithrin w uszach. Czują, że uśmiecha się szeroko i wiruje. Ucisk w żołądku stał się złym wspomnieniem, snem, czymś, co przydarzyło się innej osobie. Upadła jeszcze dwa razy, ale teraz wydało jej się to zabawne. Lód stał się dla niej niebem i chmurami, a ona nauczyła się latać. Tafla trzeszczała pod jej ciężarem. Gdy wykonała skomplikowany, ale dość niezadany ukłon na środku stawu, Sandr zaczął bić jej brawo.

– Wyścig – krzyknął. – Tam i z powrotem!

Niczym strzała wystrzelona z łuku, młodzieniec pomknął w kierunku odległego brzegu. Cithrin podążyła za nim. Nogi ją bolały, a serce łomotało niczym głaz staczający się po zboczu pagórka. Odrętwiała twarz zamieniła się w maskę. Sandr dotarł na granicę lodowiska, odepchnął się od śniegu i przemknął obok niej, gnając w stronę wozu. Cithrin również zawróciła, próbując odpychać się szybciej i mocniej. Na środku stawu pociemniały lód zaskrzypiał pod jej łyżwami, ale już chwilę później minęła niebezpieczne miejsce, niemal doganiając Sandra, zrównując się z nim, wyprzedzając go. Prawie go wyprzedzając.

Jej łyżwa wpadła w śnieg i martwe, przemarznęte trzciny. Ciemna ziemia pomknęła jej na spotkanie i uderzyła w nią z taką siłą, że dziewczyna na chwilę straciła oddech. Sandr upadł obok niej. Oczy miał szeroko otwarte, a

policzki czerwone, jakby ktoś je wyszczypał. Wyraz zaskoczenia i troski wyglądał na jego twarzy tak komicznie, że gdy tylko mogła, Cithrin wybuchnęła śmiechem.

Sandr zawtórował jej tym samym, po czym wyrzucił w powietrze garść śniegu. Płatki zaczęły opadać wokół nich niczym nasiona dmuchawca. A potem przetoczył się na nią, opierając większość ciężaru ciała o jej bok. Jego usta znalazły jej usta.

Och, pomyślała. A potem, pół uderzenia serca później, zaczęła odwzajemniać pocałunki.

Nie było tak osobliwie jak obawiała się, że będzie. Jego dłonie wodziły po całym jej ciele. Całym swoim ciężarem przyparł ją do śniegu, który nie wydawał się już taki zimny. Jedną dłoń rozpięła kurtkę, a potem wsunęła się pod gruby, wełniany sweter. Opuszki palców musnęły skórę. Dziewczyna poczuła, że jej ciało wygina się w łuk, poddając się dotykowi, zupełnie jakby wiedziała wcześniej, jak się to robi. Słyszała, że jej oddech staje się bardziej nieregularny.

– Cithrin – szepnął Sandr. – Musisz... Musisz wiedzieć, że...

– Przestań – powiedziała.

Młodzieniec wycofał się, zabierając dłoń z jej piersi. Na jego twarzy pojawił się wyraz skruchy. Dziewczyna poczuła nagły przypływ zniecierpliwienia.

– Przestań *gadać*, to miałam na myśli – wyjaśniła.

Słyszała kilka ogólników na temat seksu. Cam zawsze opowiadała o nim w ostrych i ostrzegających tonach. Podczas wiosennych parad widywała mimów tańczących na oświetlonych pochodniami ulicach w samych maskach i niczym więcej. Nagość nie powinna więc być dla niej żadną tajemnicą. A mimo to, gdy rozpięła pasek i zsuwała szorstkie spodnie, zastanawiała się, czy właśnie to Besel robił z innymi dziewczętami. Wszystkimi dziewczętami, które nie były nią. Czy one czuły wtedy to samo? Słyszała, że pierwszy raz boli. Zastanawiała się, jakie to uczucie. Nagie boki Sandra były niemal równie blade jak śnieg. Mężczyzna z najwyższą koncentracją próbował ściągnąć z nóg łyżwy, nie wstając przy tym z ziemi.

Mam nadzieję, że nie szkodzi, że go nie Kocham, pomyślała.

Nagle znikąd doszedł ich ryk, głęboki, wściekły i niespodziewany. Sandr wyleciał w powietrze z okrągłymi ze zdziwienia oczami. Cały jego napór zniknął. Cithrin chwyciła za przepaskę biodrową. Jej pierwsza myśl była

taka, że ogromny ptak zleciał z nieba i porwał chłopaka w swoje szpony.

Kapitan Wester wyrzucił Sandra na lód, gdzie ten wylądował niezdarnie i przejechał jeszcze kawałek. Oficerski miecz z sykiem wysunął się z pochwy, a jego właściciel ruszył w stronę chłopaka, przeklinając w trzech językach. Cithrin uklękła, naciągając spodnie. Sandra zrobił krok w tył i potknął się. Jego wciąż nabrzmiały członek dyndał mu komicznie między nogami.

– Do niczego jej nie zmuszałem – pisnął. – Nie zmuszałem jej.

– Wyglądam, jakby mnie to obchodziło? – krzyknął Wester, wskazując sztychem miecza na zagrzebany w śniegu bukłak z winem. – Upijasz dziewczynę, żeby rozłożyła przed tobą nogi, a potem chcesz, żeby wręczono ci medal za zasługi?

– Nie jestem pijana – powiedziała Cithrin, naraz zdając sobie sprawę, że chyba było wprost odwrotnie. Wester nie zwrócił na nią uwagi.

– Tknij ją jeszcze raz, synku, a coś ci obetnę. Módl się, żeby był to tylko palec.

– Przestań! – wrzasnęła Cithrin. – Zostaw go w spokoju!

Kapitan odwrócił się w jej stronę, piorunując ją spojrzeniem. Na widok wyższego od siebie, dwa razy szerszego w barach mężczyzny z nagą stałą w dłoni, jakaś część umysłu Cithrin podpowiadała jej, żeby siedziała cicho. Wino, wstyd i wściekłość uderzyły jej do głowy.

– Kim jesteś, żeby mówić mu, co może a czego nie? – spytała. – Kim jesteś, żeby mówić to *mnie*?

– Jestem człowiekiem, który ratuje ci życie. I będziesz robić to, co mówię – krzyknął Wester, ale dziewczynie wydało się, że w jego spojrzeniu pojawiło się jakieś zmieszanie. – Nie pozwolę, żebyś zamieniła się w dziwkę.

To zabolalo. Cithrin zacisnęła dłonie, aż rozbolały ją knykcie. Krew zaróżowiła jej policzki i zaszumiała w uszach. Gdy się odezwała, niemal wrzeszczała.

– Nie zamierzałam brać od niego *pieniędzy*!

Wester spojrział na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Jego zakłopotanie rosło, marszcząc mu brew, a na ustach pojawił się wyraz rozbawienia. A po chwili – z niewytłumaczalnych powodów – także cierpienia.

– Kapitanie – zagrzmiął nowy głos. Tralgur wyłonił się z mroku.

– To nienajlepsza chwila, Yarden – rzekł Wester.

– Wywnioskowałem to po krzykach, sir. Widziałem żołnierzy.

Postawa kapitana zmieniała się w ułamku sekundy. Z jego twarzy zniknęły wcześniejsze emocje, a plecy wyprostowały się. Ich sprzeczka dobiegła końca. Cithrin poirytowała ta nagła zmiana. Wydało jej się niesprawiedliwe, że kapitan postanowił pozostawić ich kłótnię nierozstrzygniętą.

– Gdzie? – spytał Wester.

– Rozbili obóz za wzniesieniem na wschodzie – powiedział Tralgur. – Dwa tuziny. Cesarski sztandar, vanajskie namioty.

– Cóż za zrządzenie losu – mruknął Wester. – Czy to możliwe, że ich zwiadowcy nas przeoczyli?

– Nie.

– Wiedzieli cię?

– Nie.

Z Cithrin uszła cała złość, gdy rozmowa dotarła do niej przez opary alkoholu i resztki gniewu. Wester znalazł się już w połowie długości jej wozu. Mężczyzna spojrział na Sandra, który wciąż niepewnie stał na łyżwach, pokryty śniegiem bukłak, a potem na skutym lodem staw, poprzecinany białymi śladami po ostrzach.

– Sandr – powiedział – sprowadź mistrza Kita.

– Tak jest, sir – odparł Sandr i niezdarnie potruchtał w stronę młyna.

Wester schował miecz z roztargnioną miną. Powiódł spojrzeniem po otaczającym ich krajobrazie, czegoś szukając. Cithrin czekała, czując jak serce podchodzi jej do gardła. Nie było dokąd uciekać. A w walce z dwoma tuzinami żołnierzy nie mieli żadnych szans. Jeśli wcześniej mogła liczyć na życzliwość Westera, to teraz nie było już na to nadziei.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Wester wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– Będziemy potrzebować miotły – powiedział.

Geder

Dojmujący chłód porannej bryzy przeniknął przez ścianki namiotu Gedera, zmuszając płomień lampy olejnej do tańca. Mężczyzna pochylił się, zaklął cicho i podkręcił knot, który zapłonął mocniej, po czym zaczął dymić. Geder powoli cofnął rękę i dym znikł. W jaśniejszym blasku rzędy liter stały się – może nie wyraźne – ale przynajmniej czytelne. Mężczyzna wcisnął obie dłonie pod pachy dla ciepła i nachylił się nad książką.

„I stało się tak, że podczas owych ostatnich dni, trzy wielkie frakcje przystąpiły do wojny tak krwawej i bezlitosnej, że niebo przesłoniły niezmiernie, kamienne okręty o wielkich ostrzach, zdolne zabić smoka w locie, smocze kokony znalazły sposób na ukrycie się przed wrogiem i atakowanie, gdy ten był najbardziej odsłonięty, a miecze zatruwano tak, aby mogły zabić każdego. Potężny srebrnołuski Morade, najbardziej szalony i najpotężniejszy spośród wojujących braci z miotu, stworzył najzmyślniejsze narzędzie jakie widział świat. W wysokich górach na południe od Haakapel (które, jak domniemywał Geder, nazywano teraz Hallskar) i na wschód od Sammer (Geder był niemal pewien, że tą nazwą piąte polis określało Keshet), gdzie wykuł Prawego Sługę, któremu nikt nie mógł skłamać i któremu każdy dawał wiarę, a jego symbolem stała się róża wiatrów wskazująca osiem stron świata, tak by fałsz nie mógł skryć się w żadnym jego zakątku. Tak oto wielki Morade zdobył swą najsubtelniejszą moc.”

Mężczyzna potarł oczy. Grube, pożółkłe stronice książki śmierdziały kurzem, stęchlizną i starym, słodkim odorem kleju introligatorskiego, którego nikt nie używał od pięciuset lat. Gdy znalazł ją w najgłębszym kącie tandetnego sklepiku w Vanai, natychmiast go zauroczyła. Jednak w miarę tłumaczenia kolejnych stron, jego entuzjazm malał.

Autor twierdził, że skopiował i przełożył o wiele starszy zwój, zaginiony przed laty, pochodzący z czasów pierwszego pokolenia po upadku Smoczego Cesarstwa. W pierwszej części stanowiło to klamrę kompozycyjną eseju spekulatywnego tak sztampowego i przesadzonego, że rozczarowanie Gedera rosło wraz z każdą przeczytaną stroną. W przypadku części drugiej sugerowało to, że wszystkie inne elementy tekstu przedstawiano jako prawdziwe wydarzenia historyczne, co z kolei niezbyt go interesowało. Gwoździem do trumny okazał się fakt, że autor postanowił stosować długie

zdania o skomplikowanej strukturze gramatycznej, chcąc przydać swemu dziełu autentyczności, przez co każda stronica stanowiła prawdziwy test wytrzymałości. Zanim Geder dochodził do czasowników, musiał wracać, żeby przypomnieć sobie, do czego się one odnosiły.

Gdyby wciąż przebywał w Vanai, odłożyłby pracę na bok. Ale sir Alan Klin, protektor Vanai, dowiedział się o karawanie przemycającej w tajemnicy bogactwa poza miasto, a ich odzyskanie stało się kwestią priorytetową. Oznaczało to, że wysłał swoich ulubieńców smoczym traktem do Carse, zaś osoby cieszące się jego mniejszymi względami trafiały w rejony położone coraz dalej od potencjalnego terenu łowów. Wreszcie pozostali mu już tylko Jorey Kalliam, który otrzymał rozkaz przeczesania Suchych Pustkowi, Fallon Broot, który musiał udać się drogą morską do Ellassae oraz Geder Palliako, który został zmuszony do poprowadzenia dwóch tuzinów buntowniczych, timzinejskich żołnierzy przez zmrożone i błotniste tereny, położone najdalej na południe od Wolnych Miast.

Podczas tygodni tułaczki po bocznych drogach i szlakach łowieckich napotkali trzy karawany. Niewielkie, każda złożona z zaledwie trzech wozów, którymi transportowano zimowe dobra pomiędzy miejscowymi miasteczkami. Pomędzy tymi spotkaniami Gederowi dłużyły się błotniste dni i lodowate noce. I choć jego książka zawierająca esej próbujący zadać kłam informacjom na temat mocy smoków była kiepskim towarzyszem, to przyćmiewała pod tym względem żołnierzy. Pod koniec każdego dnia Geder zakopywał się w swoim łóżku, podczas gdy inni pili, śpiewali i przeklinali śnieg. Rankami wstawał o tej samej porze co kucharz i zabierał się za czytanie oraz tłumaczenie, wyobrażając sobie, że jest w innym miejscu.

Ktoś dyskretnie skrobnął w połę namiotu, a po chwili do środka wszedł jego giermek wraz z Timzinejczykiem, służącym mu jako zastępca. Giermek niósł tacę, na której stała kościana miska pełna owsianki z rodzynkami, a także ceramiczny dzbanek z ciemną, gorącą, nieco oleistą wodą, mającą uchodzić za kawę. Timzinejczyk zasalutował służbiście. Geder zamknął księgę, gdy giermek postawił przed nim jedzenie.

– Co donoszą zwiadowcy? – spytał Geder.

– Wozy wciąż stoją – odparł zastępca. – Nie dalej jak dwie godziny marszu stąd.

– Cóż, w takim razie nie ma pośpiechu – powiedział Geder z większą uciechą niż naprawdę czuł. – Przekaż ludziom, że obóz zwiniemy dopiero po

śniadaniu. Powinniśmy się uporać z tym jeszcze przed południem.

– A potem?

– Na południowy zachód – wymamrotał Geder z ustami pełnymi owsianki. – Podążymy drogą.

Zastępca pokiwał głową, ponownie zasalutował, obrócił się na pięcie i wyszedł. Geder odniósł wrażenie, że w jego ruchach dostrzegł pogardę, ale nie wykluczał też, że po prostu zauważył to, co spodziewał się zobaczyć. Jedząc, obserwował jak wewnątrz jego namiotu stawało się wyraźniej widoczne. Na zewnątrz rozbrzmiały głosy wołających do siebie ludzi, parskania koni, odgłos rąbanego drewna dochodzący od strony podwyższenia kuchennego. Niebo zmieniło barwę z granatowej na szarą, aż w końcu przeszło w bladobłękitny świt dający więcej światła niż ciepła. Do czasu, gdy słabe słońce przegoniło najgorszy chłód, Geder siedział już w siodle, a jego ludzie byli gotowi do wymarszu. Zwiadowcy donosili, że nowo wypatrzona karawana była sporych rozmiarów.

Mimo to Geder nie spodziewał się niczego poza kolejnym rozczarującym przeszukaniem i spotkaniem z ponurymi tubylcami. To jest, dopóki nie zobaczył Tralgura.

Mężczyzna siedział na najbardziej oddalonym wozie, nadstawiając uszu z zainteresowaniem, które nie znajdowało odbicia w wyrazie jego twarzy. Zastępcą Westera miał być właśnie Tralgur. Geder omiótł wzrokiem wozy stojące wokół starego młyna, licząc je po cichu. Informacje nie zawsze były dokładne, pamięć nie zawsze służyła, a zbite w ciasną grupę fury były trudne do policzenia, jednak to co zobaczył wystarczyło, aby serce zaczęło mu bić nieco szybciej.

Drogą szedł w ich stronę Timzinejczyk odziany w pelerynę z grubej wełny. Geder nakazał gestem, by sześciu łuczników zajęło pozycje za jego plecami. Tralgur pochylił się na siedzisku i zastrzygł uchem.

– Jesteś przewodnikiem tej karawany? – spytał Geder.

– Tak – odparł Timzinejczyk. – A tyś niby kto?

– Jestem lord Geder Palliako z Rivenhalm, wysłannik króla Simeona oraz Cesarskiej Antei. Skąd jedziecie?

– Z Maccii. Właśnie tam wracamy. Bellin zasypał śnieg.

Geder spojrzał głęboko w czarne oczy. Migotka mężczyzny zamknęła się i otworzyła na nowo, mrugając bez mrugania. Geder nie był pewien, czy Timzinejczyk kłamał. Oczywiście, nie należało wykluczać, że w Wolnych

Miastach istniała więcej niż jedna karawana z tralgurskim strażnikiem. To wciąż mógł być jedynie fałszywy alarm.

– Zatrzymaliście się tutaj?

– Ośka jednego z wozów się poluzowała. Dopiero co ją naprawiliśmy. O co tutaj chodzi?

– Gdzie wasz kapitan straży? – spytał Geder.

Przewodnik karawany obrócił się, splunął i wskazał palcem mężczyznę opartego o jeden z wozów. Pierworodny o przeciętnej, przyjaznej twarzy, roztaczający wokół siebie aurę tłumionej gwałtowności. Włosy w kolorze pszenicy z siwymi pasmami. Szeroki w barach. To mógł być Marcus Wester. Jednak mógł to być również jeden z tysiąca innych ludzi.

– Jak mu na imię?

– Tag – odparł przewodnik.

Jeden z żołnierzy za jego plecami powiedział coś, ale zbyt cicho, by Geder był w stanie rozróżnić słowa. Ktoś odpowiedział. Palliako poczuł, że szyja zaczyna mu czerwienieć. Mężczyzna kłamał mu albo nie, ale z każdą chwilą wahania, Geder czuł się jak coraz większy dureń.

– Każ wszystkim strażnikom wyjść na drogę – powiedział. – Furmanów zostaw przy wozach.

– A niby dlaczego miałbym to uczynić?

Ktoś zachichotał. Zakłopotanie Gedera przerodziło się w gniew.

– Bo jeśli tego nie zrobisz, każę was wszystkich zabić! – krzyknął. – A ponieważ miałeś czelność podważyć mój autorytet, całą broń i wszystkie broje macie złożyć na stosie, dziesięć kroków od strażników. A jeśli zobaczę, że przegapiliście choćby jeden nóż, każę zostawić wasze zwłoki na pastwę *wron*.

Migotka zamknęła się i otworzyła ponownie. Przewodnik karawany zrobił w tył zwrot i powłókł się w stronę wozów. Geder przywołał gestem swojego zastępcę.

– Wyślij ludzi na boki. Jeśli ktoś spróbuje ucieczki, sprowadźcie go żywego. Martwego, jeśli nie będzie innego wyjścia. Przeszukamy to miejsce najdokładniej jak się da.

– Młyn też? – spytał zastępca.

– Wszystko.

Timzinejczyk skinął głową i cofnął się, zwołując ludzi. Geder obserwował wozy, a gniew i zażenowanie ustąpiły miejsca niepokojowi.

Kapitan i przewodnik karawany wymienili kilka słów, po których dowódca straży podniósł wzrok. Obrzucił Gederą spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, wzruszył ramionami i odwrócił się. Jeśli miało dojść do jakiejś konfrontacji, to właśnie była ta chwila. Geder poruszył się w siodle. Dobrzejąca rana na nodze rozboleła go od pełnego napięcia oczekiwania. Wokół młyna i wokół każdego wozu zaczęła się krzątanina. Ilu mogli mieć żołnierzy? Jeśli na tych wozach jechały wszystkie bogactwa banku medejskiego, każdy furman mógł być szermierzem albo łuczniakiem. Geder zaczęła swędzieć głowa. Jeśli poukrywali na wozach strzelców, za chwilę zostanie naszpikowany strzałami. Strach zabełtał mu w żołądku niczym zjedzona nieświeża ryba. Palliako zawrócił konia i pokłusował na tyły formacji, starając się wyglądać swobodnie.

Sądząc po minach żołnierzy, nie oszukał absolutnie nikogo.

Pierwsza strażniczka wygramoliła się z wozu, trzymając naręcze mieczy jak drewno na opał. Upuściła je na ziemię w miejscu, które wskazał Geder. Potem pojawił się chudy chłopak, ledwie na tyle dorosły, by być żołnierzem, z dwoma łukami bez cięciw oraz pękiem kołczanów. Niezbyt okazała parada postaci zdawała się ciągnąć w nieskończoność, a smutny stos broni i zbrój rósł powoli, aż w końcu na drogę wyszło dziesięciu strażników oraz wiedzący o potarganych włosach, którzy odliczyli dziesięć kroków od sterty ekwipunku i stanęli w samych wełnianych lub bawełnianych strojach na środku drogi, tuląc ramiona przed chłodem.

– Do roboty – powiedział Geder.

Żołnierze ruszyli naprzód z wyciągniętą bronią. Furmani czekali przy swoich wozach, uśmiechając się, marszcząc brwi albo rozglądając się ze strachem. Geder bardzo powoli objechał małe obozowisko. Odgłosy przepatrywania zdawały się za nim podążać – głosy srogie i płaczliwe, trzask drewna, dzwonięcie metalu o metal. Obserwował jak jego ludzie wyciągają sztabki żelaza z wozów i wyrzucają je na śnieg. Jeden z nich zaczął nawet skrobać metal, by upewnić się, że jest tym, czym wydaje się być, po czym splunął i wrócił do pracy.

Południe przyszło i minęło. Zerwał się zimny wiatr, sprawiając, że śnieg zawirował im wokół kostek. Żołnierze rozładowali wszystkie wozy, obejrzeni je z każdej strony, przeprowadzili oględziny koni i mułów, a teraz zabierali się za przeszukiwanie młyna. Geder zsiadł z konia na krawędzi stawu i obrzucił spojrzeniem puste wozy, zmarzniętych furmanów oraz niedające

ciepła słońce na bladym niebie. Jedna z uczestniczek karawany – chorobliwie wyglądająca dziewczyna o jasnych włosach i karnacji – przykucnęła obok kilku bel wełny, udając, że na niego nie patrzy. Dobrze wiedział, co widziała. Grubego szlachcica, który zastraszył ją i jej przyjaciół. Chciał do niej podejść, wytłumaczyć, że to nie tak. Że *on* wcale taki nie był.

Zamiast tego po prostu się odwrócił. Drobiny śniegu przesuwają się po lodzie niczym zmarszczki na wodzie. Geder ruszył brzegiem stawu, próbując ignorować spojrzenia dziewczyny. Jakiś idiota jeździł tu na łyżwach. W miejscach, gdzie ostrza wyłobiły cienki lód, zostały białe ślady. Dureń miał szczęście, że zmrożona tafla nie zapadła się pod jego ciężarem. Kiedyś czytał esej opisujący, ile czasu zabierało utonięcie w lodowatej wodzie każdej z trzynastu ras. Cóż, w zasadzie to dwunastu. Utopieni nie...

Geder zatrzymał się, jeszcze zanim zrozumiał, dlaczego to zrobił. Na krawędzi zmrożonego bajora leżała długa, niska zaspą śniegu. Białe ślady znikają pod nią i wychodziły z drugiej strony, zupełnie jakby łyżwiarz przejechał przez sam jej środek. Lub też jeszcze do niedawna zaspą wcale tam nie było. Geder podszedł bliżej. Sam śnieg wyglądał dziwnie. Nie posiadał lodowej skorupy, której spodziewał się mężczyzna i wyglądał, jakby ktoś zamiótł go miotłą. Geder podniósł głowę. Wszyscy strażnicy znajdowali się po drugiej stronie karawany. Jego ludzie tłoczyli się przed wejściem do młyna. Powoli obszedł osobliwą zaspę.

Powierzchnię lodowej tafli znaczyły głębokie żłobienia i pęknięcia. Na wysokości kostek spod śniegu wystawało coś czarnego i kanciastego. Przykucnął, odgarniając biały puch. Skrzynia, na wpół zatopiona w niedawno wyciętej przerębli, a następnie przykryta. Inne tuż obok, wszystkie pokryte cienką warstwą lodu, ukryte pod starannie usypaną zaspą. Uniósł wzrok. Obserwująca go dziewczyna wstała, wyciągając szyję, by go lepiej widzieć, z rękoma skrzyżowanymi na wysokości brzucha. Geder wyjął nóż i podważył zamek. Topazy, jadeity, szmaragdy, perły, złote i srebrne filigranowe wyroby, delikatne niczym szron. Cofnął się, jakby uderzono go w twarz, a potem, gdy zdał sobie sprawę z tego, co widzi, poczuł w piersi ogromne ciepło. Ogarnęło go poczucie ulgi i zadowolenia, rozluźniając mięśnie, a potem przywołując na twarz promienny uśmiech.

Udało mu się. Odnalazł zaginioną karawanę i ukryty skarb Vanai. Nie będzie już Gедера Palliako, bezużytecznego idioty. Nie będzie przeproszania za to, że lubi czytać, ani żartów na temat pokaźnego brzucha. O nie. Jego

imię wróci do Camnipolu na dwór króla Simeona w złotej karocy ciągniętej przez konie w uzdach wysadzanych rubinami. Stanie się przedmiotem rozmów dworzan, a jego osobę będą chwalić, obsypywać zaszczytami i sławić w najwyższych kręgach szlachty.

Poza tym, rzecz jasna, że wcale tak się nie stanie. Imię, które będą sławić w Camnipolu brzmiało Alan Klin.

Alan Klin, który upokorzył go. Który spalił jego książkę.

Geder wziął długi, głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze z płuc i zamknął wieko. Chwilę później otworzył je ponownie, chwycił dwie garście klejnotów i wrzucił je sobie pod koszulę. Urocze, małe kamyki spadły mu na ściśnięty pasem brzuch. Zapiął kurtkę, by ukryć grudki pod ubraniem, opuścił pokrywę skrzyni, a potem na nowo przysypał ją śniegiem. Wstając, poczuł jak ogarnia go ogromna, ponura radość, która z łatwością przyćmiła wcześniejsze uczucie. Wracając do wozów, nie musiał przypominać sobie, by trzymać głowę wysoko. Dziewczyna obserwowała jego nadejście. Geder uśmiechnął się do niej, jakby witał starego przyjaciela albo kochankę. Lub współpracowniczkę. Na krótką chwilę uniósł palec do ust. *Nikommu nie mów.*

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Pół oddechu później skinęła głową, tylko raz. *Nie powiem.* Geder miał ochotę ją ucałować.

Gdy odnalazł swojego zastępcę, Timzinejczyk kończył przeszukiwać młyn wraz z pozostałymi żołnierzami. Geder zauważył, że wszystkie rozmowy ucichły, po tym jak wszedł do pomieszczenia, ale zupełnie go to nie obeszło. Wnętrze śmierdziało wilgocią i dymem. Na podłodze wciąż widniały ślady po nocy spędzonej przez karawanę pod dachem. O przeciwległą ścianę stała oparta miotła. Jej główka wciąż była mokra. Niewielka kałuża wody pod nią odznaczała się ciemną plamą na kamiennej posadzce. Geder ostentacyjnie ją zignorował.

– Co znaleźliście? – spytał.

– Nic, mój panie – odparł zastępca.

– Marnujemy tutaj czas – rzekł Geder. – Zbierz ludzi. Ruszajmy dalej.

Jego przyboczny powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych. Jeden z żołnierzy – młody Timzinejczyk o czarnych łuskach, które lśniły jak wypolerowane – wzruszył ramionami.

– Mój panie, nie przeszukaliśmy jeszcze piwnicy. Jeśli chcesz...

– Naprawdę sądzisz, że to konieczne? – powiedział Geder. Gdy jego zastępca nie udzielił odpowiedzi od razu, dodał: – Tylko szczerze.

– Szczerze, nie.

– Więc zbierzmy ludzi i ruszajmy dalej.

Siedzący na zydlu przewodnik karawany wydał gardłowy odgłos wyrażający zniecierpliwienie. Geder zwrócił się do niego.

– W imieniu cesarstwa i króla, przepraszam za ten kłopot – powiedział z ukłonem.

– Nie ma za co – odparł kwaśno mężczyzna.

Na zewnątrz żołnierze ustawili się w formacji, jak zwykli to czynić już wielokrotnie. Geder ostrożnie dosiadł wierzchowca. Pas nie puścił. Klejnoty wpiły się mu w skórę, kłując po bokach. Ale nic nie wypadło. Strażnicy karawany obserwowali z dobrze skrywaną obojętnością jak Geder dobywa miecza w geście pozdrowienia, zawraca konia i rusza stępą przed siebie. Z każdym kolejnym krokiem oddalającym go od karawany, czuł jak jego kręgosłup powoli się rozluźnia. Słońce, chylące się już ku linii horyzontu, oślepiło go, gdy wyciągnął szyję, by przeliczyć maszerujących za nim żołnierzy. Chciał upewnić się, że nikt nie postanowił wrócić albo nie został z tyłu. Nic takiego nie miało miejsca.

Na szczycie wzniesienia, Geder wstrzymał konia. Podszedł do niego jego zastępca.

– Możemy rozbić obóz w tym samym miejscu co zeszłej nocy, mój panie – powiedział. – O poranku wyruszymy na południowy zachód.

Geder pokręcił głową.

– Na wschód – powiedział.

– Panie?

– Udamy się na wschód – powtórzył szlachcic. – Gilea leży niedaleko stąd. Spędzimy kilka dni w cieple zanim wyruszymy w drogę powrotną do Vanai.

– Zawracamy? – spytał przyboczny, uważając, by jego głos brzmiał neutralnie.

– Równie dobrze możemy tak zrobić – powiedział Geder, powstrzymując uśmiech. – Niczego tutaj nie znajdziemy.

Dawson

Zimowe interesy.

Same te słowa cuchnęły desperacją. Na okres od zimowego przesilenia do pierwszych roztopów, szlachcice podążali za Królewskim Gonem albo wracali do swoich domostw, gdzie sprawdzali, na jakich ludzi wyrastają ich synowie, spędzali trochę czasu z żonami i kochankami albo przeglądali księgi rachunkowe swoich włości. Dla wysoko urodzonych zima oznaczała domowe obowiązki oraz pracę przy kominku. I choć Dawson bardzo kochał Camnipol, to w obecnej chwili przemierzał jego smagane wiatrem i przesycone zapachem dymu ulice w towarzystwie profesjonalnych dworzan, kupców oraz ludzi o niepewnym statusie społecznym. Jednak tego wymagała sprawa, dlatego z godnością znosił tę ujmę na honorze.

Poza tym, nie musiał cierpieć w samotności.

– Nie rozumiem, dlaczego nienawidzisz Issandriana z taką gorliwością – powiedział Canl Daskellin, baron Watermarch, protektor Północnego Portu i specjalny wysłannik Jego Królewskiej Mości na Północnym Wybrzeżu. – Jest nieco zbyt wymuskany i zadufany w sobie, to prawda, ale jeśli samozadowolenie i ambicja to grzech, to na dworze nie znajdziesz zbyt wielu świętych.

Dawson opadł na oparcie krzesła. Wokół nich Bractwo Wielkiego Niedźwiedzia świeciło pustkami. Siedziska i poduchy obite surowym jedwabiem albo adamaszkiem z Cabral stały puste. Czarne, żelazne koksowniki przycupnęły w pomieszczeniach, które skonstruowano tak, by pozostawały przyjemnie chłodne w środku lata. Dziewki służebne, mające z reguły bardzo niewiele czasu na obsłużenie poszczególnych członków bractwa, teraz stały na uboczu, czekając na znak, który oznaczałby, że ktoś może czegoś od nich chcieć. Latem w pomieszczeniu potrafiła przebywać nawet setka najlepiej urodzonych w całym imperium, którzy pili, palili i zajmowali się dworskimi sprawami w przestronnych, wygodnych komnatach. Teraz, gdy Dawson za bardzo podniósł głos, niósł się on echem.

– Nie chodzi o samego człowieka – powiedział Dawson. – Chodzi o jego zasady. Maas i Klin nie są wcale lepsi, ale to Issandrian trzyma ich smycze.

– Różnicą poglądów trudno jest wyjaśnić... Co właściwie? Spisek?

– Filozofia działania zawsze przeradza się w czyny. Issandrian i Maas są

gotowi wykorzystać najgorsze gnidy, by zdobyć władzę.

– Mówisz o radzie chłopskiej.

– Między innymi – rzekł Dawson. – Pomyśl jednak, jeśli są skłonni przewodzić hałastrze, to ile czasu minie zanim hałastrza postanowi przewodzić sama sobie? Już teraz wprowadzono restrykcje dotyczące niewolnictwa, nałożnic i armii. A wszystko to za naszego życia. I to przez ludzi takich jak Issandrian, którzy zabiegają o względy robotników, kupców i dziwek.

Canl Daskellin wydał z siebie niski pomruk. Ze względu na błady, zimowy blask, który otaczał jego sylwetkę oraz niemal lyonejską, ciemną karnację skóry, Dawson nie był w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy. Przynajmniej nie negował jego słów. A gdyby nie był pełen własnych obaw, zapewne nie przyszedłby na to spotkanie.

– Najwyższa pora, by prawdziwy duch Antei naprostował kilka rzeczy – powiedział Kalliam. – Ogary myślą, że mogą przewodzić na polowaniu. Trzeba je wytresować. Lecz jeśli wstrzymamy się z tym do chwili, gdy księżę Aster zamieszka pod dachem Issandriana...

Cisza, która zapadła na koniec wyrażała więcej niż mogłyby uczynić to jakiegokolwiek słowa. Daskellin pochylił się w krzesło i mruknął pod nosem coś nieprzyzwoitego.

– Jesteś pewien, że król zechce powziąć taki krok?

– Słyszałem to z jego własnych ust – powiedział Dawson. – Simeon to dobry człowiek. Mógłby być też dobrym królem, ale nie bez naszego wsparcia. Czekam na odpowiedni moment, by usadzić Issandriana. A ja zamierzam dać mu ku temu okazję.

Z pobliskiego korytarza doszły ich ciche głosy, które umilkły po chwili. Od strony ulicy słychać było stukot podkutych stałą kopyt. Canl wydobył z kieszeni małą, glinianą fajkę i uniósł dłoń. Dziewka służebna pośpieszyła do niego z knotem i uciekła wraz z pierwszym aromatycznym obłokiem siwego dymu. Dawson czekał.

– Jak? – spytał Daskellin. Jego głos nabrał stanowczości przesłuchującego. Kalliam uśmiechnął się. Pierwsze starcie należało do niego.

– Wytrącając Issandrianowi oręż z rąk – wyjaśnił. – Odwołując Alana Klina z Vanai. Poróżniając go z chłopami. Rozbijając jego klikę.

– Masz na myśli Maasa i Klina.

– Na początek, ale ma też innych zwolenników. To jednak nie wystarczy.

Zyskali wpływy, ponieważ ludzie, którzy rozumieją, czym jest błękitna krew, są podzieleni.

Daskellin zaciągnął się dymem z fajki. Żar w główce zajaśniał, po czym przygasł, gdy męczyzna wydmuchnął opar z płuc.

– Stąd twój spisek – powiedział.

– Lojalność względem króla to nie spisek – obruszył się Dawson. – To coś, co powinniśmy okazywać cały czas. Ale przysnęliśmy, a do kurnika zakradł się lis. Dobrze wiesz, o czym mówię, Canl.

Daskellin postukał glinianym cybuchem o zęby. Zmrużył oczy.

– O co chodzi? – powiedział Dawson. – Wykrztuś to z siebie.

– Lojalność względem króla Simeona to jedno. Stanie się jednak narzędziem w rękach rodu Kalliamów to coś zupełnie innego. Jestem... *zaniepokojony* zmianami sugerowanymi przez Issandriana i jego koterię. Ale zmiana jednego ambitnego człowieka na drugiego nie jest rozwiązaniem.

– Chcesz, bym udowodnił, że nie jestem Issandrianem?

– Owszem.

– Jakiego dowodu żądasz?

– Jeśli pomogę ci odwołać Klina z Vanai, nie będziesz czerpać z tego żadnych korzyści. Wszyscy wiedzą, że twój syn przebywa tam pod dowództwem Klina. Jorey Kalliam nie może zostać protektorem Vanai.

Dawson zamrugnął, otworzył usta, ale zamknął je ponownie.

– Canl – zaczął, ale Daskellin jedynie zmrużył oczy. Kalliam wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Gdy w końcu przemówił, jego ton był nieco ostrzejszy niż zamierzał. – Przysięgam przed Bogiem i tronem Antei, że mój syn Jorey nie obejmie stanowiska protektora Vanai, gdy Alan Klin zostanie odwołany. Co więcej, przysięgam, że nikt z mojego rodu nie będzie czerpać korzyści z tego wydarzenia. Czy teraz jesteś gotów przysiąc to samo, stary przyjacielu?

– Ja?

– Zdaje się, że mieszka tam twój kuzyn? Jestem pewien, że wolałbyś uniknąć osądzenia o to, że wspierasz tron z wyrachowania?

Daskellin odrzucił głowę, po czym wybuchnął śmiechem tak gromkim i ciepłym, że na chwilę odepchnął mroźne kły zimy.

– Na Boga, Kalliam. Zrobisz z nas wszystkich altruistów.

– Przysięgniesz? – spytał Dawson. – Przyłączysz się do wspólnej sprawy ludzi lojalnych królowi Simeonowi i postawisz przywrócenie tradycji ponad

własne zaszczyty?

– W prawdziwej służbie tronowi – rzekł Daskellin z uśmiechem.

– Tak – przytaknął Dawson. W jego głosie nie było żadnego rozbawienia. Był twardy jak skała, a jego intencje zostały odlane ze stali. – W prawdziwej służbie tronowi.

Canl otrzeźwiało.

– Ty *naprawdę* tak myślisz – powiedział.

– Owszem.

Spojrzenie ciemnych oczu zatrzymało się na twarzy Dawsona, jakby jego rozmówca próbował go przejrzeć. A potem, podobnie jak w przypadku pół tuzina innych mężczyzn – mężczyzn, których Kalliam wybrał, wiedząc, że są równie głodni tego jak on – na ciemnej twarzy wykwitł wyraz dumy. Dumy i determinacji, poczucia, że właśnie stało się częścią czegoś wielkiego i wspaniałego.

– W takim razie – rzekł cicho Daskellin – możesz na mnie liczyć.

Szczelina stanowiła najbardziej oczywisty podział w mieście, ale bynajmniej nie jedyny. Po obu stronach mostów szlachta trzymała się swoich rezydencji i placów, podczas gdy niżej urodzeni żyli o wiele skromniej i ciasniej. Domostwo na północ od Placu Kestrela oznaczało wysoką pozycję. Posiadanie stajni w pobliżu południowej bramy świadczyło o dobrym urodzeniu, ale roztrwonionej fortunie. Miasto było o wiele bardziej skomplikowane niż wydawało się jego mieszkańcom. Ulice nie stanowiły jedynego wymiaru, którym dało się zmierzyć klasy społeczne. Najbiedniejsi i najbardziej zdesperowani schodzili pod ziemię, by tchnąć nowe życie w ruiny, na których zbudowano miasto, żyjąc w ciemności i nędzy, ale przynajmniej z dala od trudnych warunków stawianych przez zimę.

Lód i śnieg pobielili ciemny bruk. Wozy posuwały się powoli, a ciągnące je muły stąpały ostrożnie. Konie stawiały niepewne kroki w obawie, że poślizną się, złamią nogę i zostaną dobite na miejscu. Zima w Camnipolu okradła Dawsona nawet z przywileju, jakim był czekający nań powóz, ale spotkanie z Daskellinem wprowadziło go w tak dobry nastrój, że niespecjalnie się tym przejął. Pozwolił dziewczce służebnej zapiąć pas na swoim płaszczu z ciemnej skóry, przesywanym srebrnymi nićmi i z heliotropowymi guzikami, wcisnął na głowę pasujący kapelusz o szerokim rondzie i pomaszerował ulicą w stronę domu.

Całe dzieciństwo spędził w Camnipolu, za dnia uczestnicząc wraz z

ojcem w rytuałach władzy, a nocami pijąc, śpiewając i hulając wraz z innymi wysoko urodzonymi chłopcami. Nawet teraz, całe dziesięciolecia później, pokryty śniegiem bruk przywoływał wspomnienia. Minął wąską uliczkę, którą Eliayzer Breiniako biegał nago w ramach przegranego zakładu, gdy obaj ukończyli czternaście wiosen. A potem szeroki zakręt prowadzący do ulic, przy których swoje domostwa mieli Timzinejczycy oraz Jasurowie: dzielnicy robactwa i biedoty. Przeszedł pod Łukiem Morade'a, gdzie ostatni, szalony Smoczy Cesarz zginął w szponach swych współbraci; łuk ze smoczego jadeitu wznosił się niemal na wysokość samego Kingspire, tak kruchy i delikatny, że wydawało się, iż wiatr może przewrócić go w każdej chwili. Przeszedł obok Prezbiterium Sorrial, z jego poczerniałą od sadzy południową ścianą. A potem minął burdel, gdzie ojciec zabrał go w dziesiąte urodziny, by spędził pierwszą noc z kobietą.

Jednocie białe niebo rzucało na miasto blask rozganiający cienie. Z wózka piekarza wracającego z placu targowego spadła skrzynka migdałów. Znikąd w jednej chwili pojawił się tuzin dzieci, które porwały kilka pestek zanim woźnica zdążył je powstrzymać. Znalazłszy się przy zachodnim murze, Dawson mógł spojrzeć w dół, na wielkie równiny Antei, niczym Bóg spoglądający z góry na świat. Wiatr na ulicy kęsał usta i policzki. To było idealne miasto. Wszystko wydarzyło się właśnie tutaj, począwszy od upadku smoków, przez wyniesienie Białego Proroka, a kończąc na powstaniu niewolników, które sprowokowało ród Antei do założenia cesarstwa Pierworodnych w mieście zbudowanym przez smoki.

Stojące tu kamienie były świadkami całych stuleci, epok.

Teraz zaś, być może po raz pierwszy w życiu, Dawson zajmował należne mu miejsce w ukochanym przez siebie mieście. Zapoczątkował dzieło, za które Camnipol miał go zapamiętać na zawsze. Dawson Kalliam, baron na wzgórzach Osterling, który oczyścił dwór i utrzymał cesarstwo na właściwym kursie. Kalliam, który zebrał wokół siebie obrońców słusznej sprawy. Który zniszczył agentów chaosu i zmian.

Nieskończone Miasto zachęcało go do upajania się wspomnieniami oraz wizjami przyszłości ukształtowanej podług jego woli – przyszłości, w której to Curtin Issandrian i Feldin Maas musieli przedzierać się przez paskudny śnieg w zimowych interesach, zamiast niego – i Dawson uległ tej pokusie. Jeśli przed atakiem pojawiły się jakieś znaki ostrzegawcze, zupełnie je przegapił.

Ulica zakręcała, biegnąc po krawędzi wzniesienia. W trójkątnym parku, gdzie dwie szerokie ulice przechodziły w jedną, stało trzech mężczyzn w ciemnych wełnianych płaszczach i rajtuzach, pogrążonych w głębokiej rozmowie. Ich oddechy przypominały białe pióropusze, białe jak niebo. Dawson nie zwolnił kroku, myśląc, że ustąpią przed szlachetnie urodzonym. Odpowiedziały mu harde spojrzenia. Mężczyźni ani drgnęli.

Dawsona ogarnęła irytacja, a chwilę później przyszła mu do głowy myśl, że mogli nie rozpoznać jego rangi i pozycji. Najbliższy z mężczyzn sięgnął pod płaszcz, wyciągając szeroki, zakrzywiony nóż. Dwaj pozostali zaszli go od boków. Dawson parsknął śmiechem pełnym pogardy i niedowierzania. Nożownik ruszył w jego stronę. Szlachcic zrobił kilka pełnych gracji kroków w tył, próbując dobyć własnego miecza. Jeszcze zanim ostrze całkowicie wyszło z pochwy, zbior po jego lewej grzmotnął go w łokieć obciążoną pałką. Ramię Dawsona zdrętwiało, a broń bezgłośnie upadła na zmrożoną ziemię. Nożownik zamachnął się. Ostrze przecięło skórzany płaszcz i raniło Kalliana w pierś. Baron jęknął, odskakując.

Była to najdalsza rzecz od pojedynku, jaką potrafił sobie wyobrazić. W ruchach zbiorów nie było żadnego piękna ani formy, nie wspominając o honorze. Brakowało im nawet gracji ludzi wyszkolonych w zabijaniu. Nożownik trzymał swoje ostrze jak rzeźnik, a jego dwaj towarzysze z pałkami krążyli wokół, jakby Dawson miał obrócić się na pięcie i uciec, kwicząc niczym przerażona maciora. Dawson wyprostował plecy, przyciskając dłoń do rozerwanego płaszcza. Skryte w rękawicy palce splamiła krew.

– Właśnie popełniłeś swój ostatni błąd – powiedział. – Nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia.

Nożownik posłał mu uśmiech.

– Wprost przeciwnie, milordzie – rzekł, uderzając ponownie. Ostrze rozplątałoby Dawsonowi brzuch, gdyby lata treningu nie zmusiły go do ustąpienia pola i przepuszczenia przeciwnika bokiem. Pałkarz po jego lewej zrobił potężny zamach, trafiając go ramię. Opadając na kolana, baronowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że wcale nie miał do czynienia ze zwykłymi rzezimieszkami mającymi nadzieję na łatwy zarobek. To była pułapka zastawiona specjalnie na niego.

Pałkarz po jego prawej skakał w tył i w przód na palcach, trzymając broń uniesioną w gotowości do zadania uderzenia, które mogłoby rozłupać

czaszkę. Dawson uniósł ramię i nagle napastnik zniknął ze stęknieniem. Pozostali zabójcy odwrócili głowy. Nowy mężczyzna w szarym płaszczu myśliwego przetoczył się po bruku, szczepiony w śmiertelnym uścisku z pałkarzem. Gdy się rozdzielili, nowoprzybyły skoczył na równe nogi. Jego strój płamila czerwień, podobnie jak trzymany w dłoni miecz. Zbir nie podniósł się z ziemi.

– Lordzie Kalliamie – krzyknął nieznajomy, rzucając baronowi swoją broń. Dawson obserwował jak stal zatoczyła w powietrzu łuk, ciągnąc za sobą smugę krwi. Czas zwolnił swoje tempo. Rękojeść owinięto ciemną skórą, mocno już wysłużoną. Samo ostrze posiadało zboczę biegnące przez całą długość klingi. Dawson wyciągnął dłoń, chwytając miecz w powietrzu. Pozostały pałkarz zamierzył się na niego, ale Dawson sparował atak, nie wstając z klęczek.

Powalony napastnik jęknął, uniósł się na jednej ręce, po czym opadł z powrotem w rosnącą kałużę krwi.

Dawson wstał. Pozostali dwaj zabójcy wymienili trwożliwe spojrzenia. Co prawda był ranny, a człowiek, który przyszedł mu z odsieczą pozostał bez broni. Na dodatek siły ledwie się wyrównały. A mimo to utrata przewagi trzech do jednego na rzecz niemal równej walki wyraźnie zachwiała ich pewność siebie. Pałkarz zrobił krok w tył, obracając ciało, jakby zaraz miał rzucić się do ucieczki. Dawson poczuł, że odruchowo odsłania zęby. Miał przed sobą zwykłych tchórzy.

Ciął pożyczonym mieczem szybko, nisko i mocno. Mężczyzna cofnął się, parując niezdarnie. Po prawej, nożownik rzucił się z wrzaskiem na nieuzbrojonego sojusznika barona. Ból w ranie zelżał, a chłód bijący od krwi zamarzającej mu na piersi sprawił, że na ustach zatańczył mu szaleńczy uśmiezek. Pałkarz wykonał kolejny krok do tyłu, ale Dawson nie odpuszczał, trzymając kolana ugięte, ciężar ciała nisko, a ciało gotowe do działania. Gdy okuta pałka zatoczyła kolejny łuk, Dawson skrócił dystans, przyjmując cios na żebra i pchnął ostrze przed siebie. Powietrze uciekło z płuc napastnika białym pióropuszem. Mężczyzna miał pod płaszczem zbroję. Nie otrzymał śmiertelnego ciosu, ale stracił równowagę. Dawson zrobił półobrót, nadepnął piętą na podbicie przeciwnika i grzotnął mężczyznę szybkim uderzeniem głowicy w twarz. Niemożliwy do pomylenia odgłos pękającej kości przeniósł się drzeniem na nadgarstek barona.

Zabójca zgiał się w pół i zaszarżował, chcąc obalić przeciwnika samym

swoim impetem. Dawson cofnął się niepewnie. Podeszwy butów nie znajdowały odpowiedniego oparcia na śliskiej ulicy. Zbir ważył więcej od niego i najwyraźniej liczył na to, że da mu to przewagę w zwarciu. Jednak źle ocenił charakter Dawsona.

Kalliam upuścił miecz, lewą ręką chwytając przeciwnika za ciemne włosy, nie po to, by odciągnąć mu głowę, ale by ją unieruchomić. Chwilę później wraził swój kciuk głęboko w oczodół mężczyzny, zginając palec w stawie. Wydarzyło się coś miękkiego i straszliwego. Zbir zawył z bólu i przerażenia. Dawson odepchnął go. Pałkarz padł na kolana, przyciskając dłoń do uszkodzonego oka i strzaskanego nosa.

Nożownik i nieznajomy krążyli wokół siebie. Wybawca Dawsona szeroko rozpostarł ramiona, zupełnie bezbronny. Rana na lewym przedramieniu broczyła, zostawiając krwawe krople na białym lodzie i czarnym bruku. Na ulicy gromadził się tłum. Mężczyźni, kobiety i dzieci z szeroko otwartymi oczami, głodni przemocy, której nie śmieli przerywać. Dawson powalił kopniędem jęczącego pałkarza na chodnik i zerwał mu z nadgarstka pasek podtrzymujący pałkę. Spojrzenie nożownika świadczyło o narastającej panice. Kalliam zatoczył w powietrzu kilka młynków okutą pałką, sprawdzając jej wyważenie i ciężar.

Mężczyzna z nożem rzucił się do ucieczki. Ciemne buty wyrzucały płaty śniegu w powietrze za nim. Tłum rozstał się przed zbirem, pozwalając mu uciec. Nikt nie miał zamiaru ryzykować otrzymania ciosu krótkim ostrzem. Chłopi, parobkowie i słudzy ustąpili drogi jednemu ze swoich. Dawson chciał wyładować złość na zwykłych obywatelach Camnipolu za to, że pozwolili mężczyźnie uciec, ale nie potrafił. Tchórzostwo i dbanie o bezpieczeństwo stada leżało w naturze nisko urodzonych. Równie dobrze mógłby winić owce za to, że beczą.

Pierwszy poległy zbir leżał w bezruchu w parującej kałuży krwi. Drugi pałkarz również uciszył się, najwyraźniej doznając szoku. Wybawca Dawsona przysiadł na piętach, oglądając ranne przedramię. Był młody. Miał szerokie ramiona i bary, a do tego włosy krzywo obcięte nożem. Jego twarz była w jakiś sposób znajoma.

– Wygląda na to, że jestem ci winien podziękowania – powiedział Dawson. Ku swojemu zaskoczeniu, dostał małej zadyszki.

Nieznajomy pokręcił głową.

– Powinienem być przyjsć ci z pomocą szybciej, mój panie – rzekł

młodzieniec. – Zostałem zbyt daleko w tyle.

– W tyle? – zdziwił się baron. – Śledziłeś mnie?

Mężczyzna pokiwał głową, ale nie spojrzał Kalliamowi w oczy.

– Dlaczego? – dociekał Dawson.

– Twoja milady małżonka, mój panie. Przyjęła mnie do swojej służby, gdy mnie oddaliłeś. Kazała mi pilnować cię, sir. Obawiam się, że nie wywiązałem się z zadania.

Oczywiście. Myśliwy z kuchni, który zwrócił mu ułamany kawałek poroża umazany w psiej jusze. Vincen Coe – brzmiało jego imię. Nigdy nie spytał Clary, co zrobiła z chłopakiem, chociaż oczywiście nie mogła po prostu pozwolić mu zostać, wbrew wyraźnemu rozkazowi męża. Bez wątplenia poniżej jego godności byłoby przyznać, że był dla chłopaka zbyt ostry.

– Mylisz się – powiedział Kalliam.

– Panie?

– Nigdy wcześniej cię nie widziałem i na pewno nie wyrzuciłbym ze swojej służby kogoś o tak wielkiej odwadze i umiejętnościach.

– Tak... to jest, nie, mój panie.

– Więc sprawa załatwiona. Chodź ze mną. Każę opatrzyć nasze zadrapania.

Coe wstał.

– Mój miecz, panie?

– Racja. Możemy go potrzebować – przytaknął Dawson, pokazując miejsce gdzie leżała broń pokryta krwią, śniegiem i sadzą. – Wygląda na to, że boją się mnie wszyscy właściwi ludzie.

Marcus

Ogień i krew. Merian krzyknęła jednocześnie z bólu, strachu i oburzenia w sposób, w jaki potrafiło uczynić to tylko dziecko. Utkwiła w nim swoje spojrzenie, wyciągając do niego ręce. Marcus walczył z paralizem, siłą woli zmusił ramiona do poruszenia, a czyniąc to, obudził się.

Wrzaski umarłych rozbrzmiewały w chłodnym powietrzu, gdy usiadł gwałtownie, wciąż spodziewając się zobaczyć w północy pola pszenicy i wysokie, majestatyczne wiatraki Ellis. Zamiast tego ujrzał rozpostarty nad głową łuk upstrzonego gwiazdami nieba Birancour. Za jego plecami, na wschodzie, firmament przesłaniały ponure masywy gór, nie zapowiadając nawet nadejścia przedświt. Smród spaleniźny ze wspomnienia ustąpił słodkiemu, kojącemu zapachowi śnieżnych lilii oraz odległej woni soli, sugerującej bliskość morza.

Opadł na posłanie i czekał aż sen zatrze się w jego pamięci. Z przyzwyczajenia zaczął skupiać myśli na swoim ciele. Najpierw ustąpiła dusząca gula w przełyku, potem w klatce piersiowej. Bolesny ścisk w żołądku zelżał powoli i zniknął. Wkrótce poczuł, że pod żebrami nie ma już nic poza trwałą pustką. Wiedział, że może już wstać.

To były jego blizny. Niektórzy żołnierze tracili rękę lub nogę. Inni tracili wzrok. Marcus stracił rodzinę. I tak, jak starzy weterani wiedzieli kiedy idzie deszcz, rozpoznając to po bólu w zrośniętych kościach, tak on cierpiał teraz. Oczywiście, nic to nie znaczyło. To była jedynie jego prywatna niepogoda i podobnie jak każda niepogoda, miała wkrótce minąć. Sny pogarszały ten stan tylko chwilowo.

Był środek nocy. Karawana spała, tak woźnice, jak i zwierzęta. Ognisko czujek migotało na zboczu wzgórze, nie jaśniej niż gwiazdy, tyle że na pomarańczowo miast na błękitno. Marcus ruszył w jego kierunku. Suche trawy milkły pod jego butami, a polne myszy uciekały mu z drogi. Yarem Hane siedział obrócony plecami do niewielkiego ogniska, by światło nie oślepiło go w ciemnościach, otoczony blaskiem płomieni. Obok niego przycupnęła mniej znajoma sylwetka. Marcus podszedł bliżej, by móc usłyszeć o czym rozmawiają.

– *Kształt duszy?* – spytał mistrz Kit. – Chyba nie rozumiem, co masz na myśli.

– Po prostu. Dusza posiada kształt – rzekł Yardem. Jego szerokie dłonie poruszyły się w powietrzu przed nim. – Nasz los jest przez nią formowany. Za każdym razem, gdy świat stawia cię przed wyborem, kształt twojej duszy determinuje, co z tym zrobisz, a podjęte działania wpływają na twoje przeznaczenie.

Marcus celowo zaszurał stopą, dostatecznie głośno, by oznajmić o swoim nadejściu.

– Dzień dobry, kapitanie – rzucił Yardem, nie odwracając głowy.

– Czyżbyś wypełniał głowę naszego wiedzącego swoim zabobonnym bełkotem?

– Tak, sir.

– Miej się na baczności, Kit – powiedział Marcus, wchodząc w krąg słabego światła. – Musisz wiedzieć, że Yardem był kiedyś kapłanem.

Mistrz Kit uniósł brwi i powiódł pytającym wzrokiem od Marcusa do Yardema. Tralgur wymownie wzruszył ramionami.

– Nie najlepiej się to skończyło – powiedział.

– Nie jest to wiara, o której wcześniej słyszałem – rzekł aktor. – Muszę powiedzieć, że fascynują mnie te idee. Jaki kształt ma twoja dusza?

– Nigdy jej nie widziałem – powiedział Yardem.

Marcus usiadł. Ciepło bijące od ogniska dotknęło jego pleców. Wysoko ponad ich głowami spadająca gwiazda przecięła niebo ze wschodu na zachód, znikając niemal jeszcze zanim Marcus ją zobaczył. Milczenie nagle stało się bardzo niezręczne.

– Nie krępuj się – odezwał się Marcus. – Możesz mu powiedzieć.

– Powiedzieć mi o czym? – spytał mistrz Kit.

– Widziałem duszę kapitana. To było pod Wodford, w dniu bitwy. Kapitan przejechał obok mnie, licząc żołnierzy i... zobaczyłem ją.

– I jaki miała kształt? – spytał aktor.

– Okrąg stojący na krawędzi – powiedział Yardem.

– Jak sądzisz, co to znaczy?

– Że wznosi się na wyżyny, gdy sprowadzi się go w dół i spada, jeśli umieścić go wysoko.

– Potrzebował magicznych wizji, żeby to zobaczyć – wtrącił Marcus. – Dla większości ludzi było to oczywiste.

– Ale zawsze jest taka sama? – zdziwił się mistrz Kit. – Jestem pewien, że gdyby Bóg chciał zmienić kształt ludzkiej duszy...

– Nigdy nie widziałem Boga – powiedział Yarem.

– Ale wierzysz w niego.

– Wolę się wstrzymać z ferowaniem takich wyroków – rzekł Tralgur. Stary aktor zamyślił się.

– A co z panem, kapitanie? – spytał. – Ludzie mówią, że był pan kiedyś bardzo religijnym człowiekiem.

– Postanowiłem porzucić wiarę w jakiegokolwiek boga z dobroci serca – rzekł Marcus.

– Względem kogo?

– Względem bogów. Nieprzyzwoicie jest myśleć, że nie byli w stanie uczynić tego świata lepszym – wyjaśnił. – Zostało nam jakieś jedzenie?

Świt zakradł się bezgłośnie. Zarys gór na wschodzie stał się wyraźniejszy na tle gwiazd, a niedługo później pierwsze, strzępiaste chmury zaczęły bić różowym, a potem złotawym blaskiem. Światło wydawało się dochodzić znikąd, zupełnie jakby z ziemi unosiła się świetlista mgła. Wozy zmieniły się z ledwo widocznych kolosów w konstrukcje z drewna i żelaza. W całym obozowisku rozbrzmiał szcęk metalowego kociołka, gdy żona przewodnika karawany zaczęła gotować poranną papkę ze zbóż oraz marynowanej w miodzie wieprzowiny. Krajobraz przeobraził się z bezkresnej, bezkształtnej ciemności we wzgórze, drzewa, krzewy i strumień. Yarem zabrał strażników na poranne ćwiczenia, podczas gdy Marcus zrobił obchód, udając, że żaden wóz z karawany nie interesuje go bardziej niż inne.

Dziewczyna, Cithrin, robiła dokładnie to samo co pozostali. Oporządzała muły, jadła posiłek i zdrapywała błoto z osiek. Gdy potrzebowała pomocy, prosiła o nią Opal albo mistrza Kita. Nigdy przewodnika karawany. Nigdy samego Marcusa. Ale też nie prosiła o to Sandra, a chłopak unikał jej, jakby zależało od tego jego życie, co chyba wyszło wszystkim na dobre. Marcus obserwował ją ukradkiem. Polepszyło jej się od kiedy opuścili Vanai. W zasadzie od momentu, gdy wyjechali z Bellin. Jednak spod oczu nie znikwały sińce, a w jej ruchach dało się dostrzec pewną niezdarność wynikającą ze zmęczenia.

Marcus odnalazł przewodnika kucającego obok wiodącego wozu. Mężczyzna rozłożył na ziemi przed sobą spory pergamin pokryty znaczkami – mapę południowego Birancour, zapewne nieaktualną od kilku stuleci, z której mimo wszystko dało się odczytać, którędy biegły smocze trakty. Jego żona, skończywszy pracę przy śniadaniu, zaprzęgała zwierzęta do wozu.

– Jeszcze dzień – powiedział Timzinejczyk – a w najgorszym wypadku półtora dnia i znów wjedziemy na porządną drogę.

– To dobrze.

– Kolejne trzy i znajdziemy się w Porte Oliva. Był pan tam kiedyś?

– Raz czy dwa – odparł Marcus. – To dobry port zimowy. Nigdy nie jest tam za zimno. A namiestnik królowej nie ma zbyt ciężkiej ręki do podatków.

– W takim razie zatrzymamy się tam.

– Wczesną wiosną powinniśmy móc wyruszyć w dalszą drogę do Carse.

– Beze mnie – oznajmił przewodnik, składając mapę. – Dojedziemy do Porte Oliva i to koniec. To będzie ostatni przystanek karawany.

Marcus zmarszczył brwi, zakładając ramiona.

– Wiąże się z tym kilka problemów – powiedział. – Moim zadaniem jest doprowadzić was do Carse.

– Pana zadaniem jest chronić karawanę – odparł Timzinejczyk. – Ode mnie zależy, gdzie ona pojedzie i kiedy się zatrzyma. Porte Oliva posiada duży rynek zbytu. Drogą lądową można dotrzeć do Cabral i Herez, nie wspominając o pozostałych miastach Birancour. Okręty kupieckie pływają do Lyoneii, a nawet prowadzą dalekomorski handel z Dalekim Syramem. Towar, na którego przewiezienie mnie zakontraktowano z łatwością sprzedamy właśnie tam.

– Towar, na który cię zakontraktowano – powtórzył Marcus, obracając słowa na języku, jakby miały nieprzyjemny posmak.

– Coś jeszcze powinno mnie interesować? – Przewodnik karawany wysunął szczękę do przodu. – Obawiasz się, że mogę sprawić tym kłopot tej twojej szmuglerce?

– Z tego, co słyszałem, bank medejski nie prowadzi interesów w Birancour – rzekł Marcus. – Każesz tej dziewczynie siedzieć na górze złota wysokiej jak drzewo, bez żadnej ochrony. Równie dobrze możesz jej powiesić na szyi tabliczkę.

Przewodnik rzucił złożoną mapę na kozioł, po czym zaczął wdrapywać się na wóz. Jego żona mrugnęła do Marcusa w ramach milczących przeprosin i odwróciła spojrzenie.

– *Ta dziewczyna z całym tym swoim piciem, szmuglowaniem i grzeszeniem z twoimi strażnikami, może sama o siebie zadbać* – parsknął Timzinejczyk. – Mieliliśmy dużo szczęścia z tym cesarczykiem. Nie mam powodów, by przypuszczać, że następnym razem będzie podobnie.

A będzie następny raz, tego nie dopowiedział. Nie musiał.

– Jeśli posłuchasz mojej rady – ciągnął przewodnik – weźmiesz swoją zapłatę, zawrócisz konia i uciekniesz od tej dziewczki jak najdalej, póki nie stanie się jedynie złym wspomnieniem. Ludzie jej pokroju oznaczają same kłopoty.

Marcus najeżył się.

– Jakich ludzi masz na myśli?

– Bankierów – odparł Timzinejczyk i splunął.

Porte Oliva przycupnęło na półwyspie wznającym się w szeroką, płytką zatokę. Nawet podczas odpływu morze chroniło miasteczko z trzech stron. Rify i mielizny sprawiały, że dopływ od strony oceanu był na tyle niebezpieczny, by miejscowi żeglarze mogli zarabiać na życie, pilotując statki bezpiecznie do portu i z powrotem, na otwarte wody. W ciągu tysiąca lat swojego istnienia, miasto nigdy nie zostało zdobyte siłą, choć dwukrotnie przeciągnięto je na swoją stronę. Prowadził do niego smoczy trakt. Zielony gościniec wił się wokół wzgórz, które dawno zostały wymyte przez wodę, przez co obecnie wozy zmuszone były do jazdy wzdłuż łagodnych łuków drogi zawieszanej ponad ziemią.

Gdy zbliżyli się do miasta, na trakcie zaczęło być tłoczno. Podczas gdy w Vanai mieszkali dziesiątki Timzinejczyków o czarnej, chitynowej skórze, tutaj o wiele częściej zauważali blade, eteryczne twarze Cinnejczyków oraz oleiste, krótkie, ozdobione koralikami futra Kurtadamów, częściej nawet niż zwykłych Pierworodnych. Ścisk wozów i ludzi narastał. Marcus zaczął dostrzegać żołnierzy w miedzianych torques oraz zielono-żółtych barwach Birancour. Ludzie królowej. Byli to strażnicy portu, choć sama królowa preferowała większe miasta jak Sara-su-mar czy Porte Silena na północy. Marcus widział, jak przewodnik karawany podjeżdża do jednego ze starszych gwardzistów, pochylając się w siodle, jakby chciał przekrzyczeć harmider. Kilka monet zmieniło właściciela i wkrótce, bez żadnej oczywistej przyczyny, ich wozy zaczęły poruszać się szybciej niż wcześniej, wymijając pieszych i ręczne wózki straganiarskie. Marcus poczuł, że dotarli do samego Porte Oliva, gdy oblegli ich żebracy.

Błagam panie, mam dziecko. Mój mąż jest żeglarzem. Jego statek spóźnia się już trzy miesiące, a ja nie mam pieniędzy na jedzenie. Bóg nakazuje nam być szczodrymi.

Marcus szedł obok wozów, ignorując nawoływania i wyciągnięte ręce, a

także uważając na złodziei oraz rzezimieszków, którzy żyli z takich tłumów. Pozostali strażnicy poszli za jego przykładem. Wszyscy oni prawdopodobnie wiedzieli o szalbierstwie więcej niż on sam. Wydało mu się dziwne jak dobrze aktorzy przygotowani byli do osłaniania karawany, może jedynie poza samymi obowiązkami strażniczymi. Dotarł na koniec kawalkady i zawrócił. Trzy wozy dalej mistrz Kit pochylił się w koźle, wciskając monetę w dłoń starego mężczyzny.

– Nie rozzuchwalaj ich! – zawołał Marcus. – To sami łgarze.

– Nie wszyscy, kapitanie! – odkrzyknął Kit z uśmiechem. – Tylko większość.

Minął wóz z wełną, z którego młoda szmuglerka, wciąż odziana w zgrzebny strój woźnicy, powoziła zaprzęgiem. W zestawieniu z pełnej krwi Cinnejczykami krążącymi po ulicy, łatwiej było ujrzeć w niej coś więcej niż tylko kruchą, pierworodną dziewczynę. Jej włosy nie były równie lśniące, rysy twarzy nie tak delikatne, a skóra nie dość blada, ale podobieństwo istniało. Dziewczyna zauważyła, że Marcus przygląda się jej i posłała mu niepewny uśmiech. Mężczyzna zignorował ją z tą samą wystudiowaną ostentacją co w przypadku żebraków. I też z podobnych powodów. W drodze, w trzewiach narastało mu uczucie nerwowego oczekiwania i lęku. Wiedział, że moment rozmowy nadejdzie i to nadejdzie dzisiaj, a najmądrzejszą rzeczą, jaką mógł zrobić – najwłaściwszą rzeczą, która pozwoliłaby mu znów zapomnieć o koszmarach – było odmówić dziewczynie. Siedzący na prowadzącym wozie Yardem obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem.

Niegdyś, przed wiekami, miasto kończyło się wielkimi, kamiennymi murami. Teraz górujące nad nim białe ściany wznosiły się w samym środku ruchliwego targowiska. Po północnej stronie tunelu prowadzącego do śródmieścia handlarze wykrzykiwali nazwy złowionych ryb. Po południowej stronie te same słowa powtarzali niemożliwi do odróżnienia mężczyźni i kobiety. Wojenna architektura sennie układała się pomiędzy budynkami mieszkalnymi niczym drapieżny kot po udanym polowaniu. W tym miejscu smoczy trakt rozszerzał się, urywając tuż przed olbrzymim, otwartym placem.

Panował tu równie duży ścisk jak na drodze. Ze wschodniego krańca spoglądała na nich ogromna świątynia z marmuru, wysoka na pięciu dorosłych mężczyzn. Od zachodniej strony górował nad placem pałac

namiestnika z czerwonej cegły i barwionego szkła. Głos Boga i ramię sprawiedliwości, bliźniacze potęgi władzy. A pomiędzy nimi, rozrzucone po całym placu, stały drewniane podwyższenia, na których przestępcy odbywali swoje kary. Kurtadam o kaprawych oczkach i poucinanych dłoniach trzymał pomiędzy kikutami tabliczkę z napisem „złodziej”. Pierworodna kobieta wysmarowana gównem i odpadkami siedziała pod wyrytym w drewnie symbolem stręczycielstwa. Trzej Cinnejczycy wisieli na szubienicach z oczami pociemniałymi od much próbujących dobrać się do miękkich tkanek w oczodołach – kolejno morderca, gwałciciel i pedofil. Wszystkie podwyższenia służyły jako krótki, acz skuteczny wstęp do katalogu miejscowych praw.

Przewodnik karawany opuścił ich niemal na godzinę, znikając w pałacu namiestnika, po czym wrócił z niewielkimi, kamiennymi figurkami na skórzanych rzemieniach, które przywiązywano do wozów jako dowód opłacenia podatku drogowego. Na komendę poprowadził karawanę boczną uliczką z twardej, bladej cegły na zamknięty dziedziniec.

Koniec podróży. Marcus podszedł do pierwszego wozu. Przewodnik karawany miał już przygotowany dla niego jutowy worek, który zabrzęczał, gdy ten mu go podawał.

– Możesz przeliczyć – powiedział Timzinejczyk.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Marcus.

Przewodnik uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Ale nie przychodź do mnie później z zażaleniami.

– Nie będę.

– Twoja wola.

Marcus skinął głową i odszedł. Odliczył swoją działkę, potem Yardema, a następnie – mimo tego co powiedział wcześniej – przeliczył resztę. Wszystko się zgadzało.

Aktorzy kręcili się przy swoim wozie, wciąż w zbrojach i pod bronią. Przebyta droga na równi zmieniła ich i tego nie zrobiła. Z jednej strony stali się twardsi. Każde z nich potrafiło teraz władać bronią jak zwykły żołnierz. Z drugiej strony, śmiali się i żartowali równie często jak w vanajskiej tawernie. Sandr i Smit urządzili sobie zawody w stawaniu na rękach. Cary, Opal i Mikel wymieniali dowcipne uwagi oraz przytyki, pracując przy mułach. Mistrz Kit siedział na koźle, obserwując wszystkich niczym łaskawy święty ze starych opowieści. Marcus podszedł do niego.

– Wygląda na to, że się nam udało – powiedział stary aktor. – Nie spodziewałem się tylko, że droga będzie obfitować w wydarzenia.

– Zróbcie z tego dobrą komedię – zaproponował Marcus.

– Myślę, że świat bardzo często jest właśnie taki.

– Jaki?

– Zabawny, ale tylko jeśli spogląda się nań z pewnego dystansu.

– To możliwe – powiedział Marcus, wręczając mężczyźnie worek z pieniędzmi. – Co zamierzacie uczynić teraz?

– Podejrzewam, że Porte Oliva stanowi równie dobre miejsce do zarobku jak każde inne. Myślę, że spróbujemy tu naszych sił w swoim pierwotnym fachu. Może po jakimś niedługim odpoczynku. To miasto posiada bardzo bogatą tradycję lalkarską, więc może uda się nam zrekrutować jednego lub dwóch aktorów z tymi umiejętnościami.

– Miło było z wami pracować. Wszystko poszło dużo bardziej gładko niż się spodziewałem. Zakładam, że spotkamy się jeszcze. Zamierzamy tu zostać aż do roztopów.

– Dziękuję za niewykastrowanie Sandra. Mam nadzieję, że któregoś dnia zrobimy z niego porządnego aktora.

– Powodzenia – powiedział Marcus.

– Proszę na siebie uważać, kapitanie. Doprawdy, jest pan fascynującym człowiekiem.

I to było na tyle. Przewodnik karawany podchodził kolejno do każdego wozu, zbierając podpisy i listy ładunkowe. U boku Marcusa zjawił się Yarden.

– Będziemy potrzebować ludzi – oznajmił.

– I wiedzącego. Tu nikt nie toczy wojen. Kogoś znajdziemy.

Tralgur zastrzygł pobrzękującym uchem.

– Pozwoli pan dziewczynie nas zatrudnić, sir?

Marcus wziął głęboki wdech. Miasto cuchnęło końskim łajnem, rybami i słoną wodą. Mgiełka znad morza sprawiała, że niebo wyglądało na bardziej białe niż błękitne. Powoli wypuścił powietrze.

– Nie – powiedział.

I nawet nie drgnął. Przewodnik doszedł do wozu Cithrin. Dziewczyna stała przy nim jak oskarżony przed sędzią, z wyprostowanymi plecami i spojrzeniem skierowanym na wprost. Sama w mieście, którego nie znała, bez żadnego opiekuna ani planu działania.

– Możemy już odejść – mruknął Yardem.

Marcus pokręcił głową.

– Zasługuje, żeby to od nas usłyszeć.

Gdy Timzinejczyk poszedł dalej, Marcus spojrział na Tralgura, potem na dziewczynę, splunął i ruszył w jej kierunku. *Zrób to*, powtarzał sobie, *a najgorsze zostawisz za sobą i będziesz mógł odejść*. Dziewczyna podniosła wzrok, gdy do niej podszedł. Jej oczy były rozkojarzone i szkliste ze zmęczenia, a skóra bledsza niż zazwyczaj. A mimo to głowę trzymała wysoko.

– Kapitanie – przywitała go.

– Cóż – powiedział Marcus – Yardem i ja... Nie możemy dla ciebie pracować.

– W porządku – odparła dziewczyna. Jej reakcja była taka, jakby właśnie powiedział jej, że słońce wschodzi o poranku.

– Moja rada: zabierz tyle ile zdołasz unieść, zostaw resztę i wsiądź na statek do Lyoneii albo do Dalekiego Syramu. Zacznij nowe życie.

Przewodnik karawany zagwizdał. Pierwszy wóz odjechał. Karawana oficjalnie została rozwiązana. Wozy wokół zaczęły poruszać się, skrzypiąc. Każdy zmierzał w innym kierunku, na swój targ, do swojej dzielnicy. Nawet trupa aktorów zaczęła się zbierać. Sandr i Smit prowadzili muły, chcąc umożliwić innym przejazd. Cithrin bel Sarcour, sierota i podopieczna medejskiego banku, początkująca szmuglerka, dorastająca kobieta, obrzuciła kapitana spojrzeniem zmęczonych oczu.

– Powodzenia – powiedział i odszedł.

Dzielnica solna Porte Oliva, zgodnie z tym co mówił mistrz Kit, pełna była lalkarzy. Uliczni artyści zdawali się okupować każdy róg, skryci za skrzyniami lub w ich wnętrzach, przemawiając do przechodniów ustami swoich kukiełek. Niektóre przedstawienia wykorzystywały klasyczny humor rasowy, jak na przykład PennyPenny brutalny Jasur i sprytne Timzinejskie Karaluchy. Inne miały wydźwięk polityczny, jak w przypadku głupawego Króla Ardelhumblemuba w przydużej koronie. Jeszcze inne, jak Stannin Aftellin, wiecznie napalony Pierworodny w tradycyjnym trójkącie miłosnym z flegmatyczną Dartinejką oraz manipulującą innymi Cinnejką, łączyły w sobie podteksty sprośne, rasowe i polityczne.

Wiele z nich posiadało charakter lokalny. Marcus przystanął na chwilę przy przedstawieniu o obrzydliwym rzeźniku, który wędził swoje wędliny w

palonym gównie i miał larwy do kiełbas, gdy jakaś cinnejska kobieta z tłumu zaczęła krzyżeć, że lalkarz wziął łapówkę od konkurencyjnego masarza. Przy innej scenie, czterech gwardzistów królowej w torques i pod bronią przyglądało się historyjce o śliwkach i baśniowej księżniczce. Ich nietęgie miny sugerowały jakąś alegorię, która mogła wpędzić artystę w kłopoty z prawem.

Zajazd, w którym się zatrzymali, posiadał dziedziniec wychodzący na nabrzeże. Słońce chyliło się ku horyzontowi po zachodniej stronie nieba, przydając biało otynkowanym murom złotawej barwy. Woda w zatoce miała odcień bladego błękitu, ale im dalej w morze, tym stawała się ciemniejsza, aż do granicy czerni. Zapachy słonej wody i pieczonego kurczaka mieszały się z wonią dymu z kadzidła wędrownego kapłana. Marynarze należący do kilku ras, wszyscy bez wyjątku barczyści i głośni, siedzieli za szerokimi stołami pod jasnymi, wyszywanymi markizami. Koksownicy płonęły przy każdym stoliku, niosąc wspomnienie lata na mroźnym powietrzu. Marcus usiadł, zwracając na siebie uwagę dziewczki służebnej. Ta skinęła głową, dając mu do zrozumienia, że go dostrzegła.

- Będziemy potrzebować pracy.
- Tak, sir – rzekł Yardem.
- I będziemy potrzebować oddziału. Tym razem prawdziwego.
- Tak, sir.
- Znajdziemy coś w składach. Na wiosnę karawany ruszą w głąb lądu.
- Zgadza się, sir.
- Jakies propozycje?

Dziewka służebna – Kurtadamka o miękkim, bladym futrze nastolatki, przyozdobionym po bokach srebrnymi i złotymi koralikami – przyniosła im dwa kubki gorącego cydru i oddaliła się zanim Marcus zdążył jej zapłacić. Yardem uniósł jedno naczynie. W jego dłoniach wyglądało na bardzo małe. Powoli upił z niego odrobinę trunku, marszcząc brwi i kładąc uszy po sobie. Słońce za jego plecami świeciło na tyle jasno, by ranić oczy.

- O co chodzi? – spytał Marcus.
- O szmuglerkę, sir. Cithrin.

Marcus wybuchnął śmiechem, jednak podszytym gniewem. Ze zmiany postawy Yardema, wywnioskował, że Tralgur również to zauważył.

– Sądzisz, że rozsądnie będzie pakować się między nią a ludzi, którzy będą jej szukać?

– Nie – odparł Yardem.

– Więc o czym tu rozmawiać? Robota wykonana. Czas ruszać dalej.

– Tak, sir – mruknął Tralgur, biorąc kolejny łyk. Marcus czekał aż jego towarzysz coś powie. Ale ten milczał. Jeden z marynarzy – Pierworodny z krótko obciętych, czarnymi włosami i bełkotliwym akcentem z Lyoneii – zaczął śpiewać sprośną piosenkę o zwyczajach łóżkowych Południowców. Duże, ciemne oczy tej rasy nazywano czasami *czarnymi dziurami*, co z kolei rodziło pewne skojarzenia. Marcus poczuł, że zaciska zęby. Pochylił się w krześle, chcąc znaleźć się w polu widzenia Yardema.

– Masz coś do powiedzenia?

Tralgur westchnął.

– Gdyby nie przypominała panu Meriam, zostalibyśmy – powiedział.

Sprośna piosenka przeszła do kolejnych zwrotek, spekulując na temat pożycia Dartinejczyków i Cinnejczyków. Czy też świetlików i glizd, jak twierdziły kolejne wersy. Marcus posłał śpiewającemu poirytowane spojrzenie. Napięcie ze szczęki spłynęło na szyję i pomiędzy łopatki. Yardem odstawił kubek z cydrem.

– Gdyby to mężczyzna powoził tym zaprzęgiem – zaczął Tralgur – albo podstarzała kobieta, ktoś, kto nie przypominałby Alys ani nie był w wieku, w jakim byłaby teraz Meriam, przyjąłby pan to zlecenie.

Marcus wydał z siebie krótki, chrapliwy śmiech. Śpiewający marynarz nabrał powietrza, szykując się do kolejnej zwrotki. Wester wstał.

– Ty! Dość już tego. Dorośli ludzie próbują zebrać myśli.

Śpiewak nachmurzył się.

– A kim ty, kurwa, jesteś?

– Człowiekiem, który mówi ci, żebyś się zamknął – warknął kapitan.

Marynarz uśmiechnął się szyderczo, po czym zamrugał kilkakrotnie, zauważając coś w wyrazie twarzy najemnika, następnie zrobił się czerwony jak burak, aż w końcu usiadł plecami do Marcusa i Yardema. Wester zwrócił się do swojego zastępcy.

– Ten wóz będzie przyciągał do siebie ostrza i krew, i obaj dobrze o tym wiemy – powiedział cicho Marcus. – Taka ilość bogactw w jednym miejscu to wręcz nakłanianie do zabójstwa. A ty mówisz mi, że rozsądnym będzie pchanie się w to wszystko?

– Nie, sir. Będzie to potworną głupotą, sir – odparł Yardem. – Tyle tylko, że pan już to robił.

Marcus pokręcił głową. W jego głowie pojawił się obraz Meriam wyciągającej ku niemu ręce z płomieni. Chwycił jej konające ciało w swoje ramiona. Czuł zapach spalonych włosów, przypieczonej skóry. Pamiętał jak zawisła bezwładnie w jego objęciach, jak pomyślał, że została ocalona i była bezpieczna. Dopiero po chwili dotarło do niego, co tak naprawdę oznaczała ta wiotkość. Nie wiedział już, czy były to jego prawdziwe wspomnienia tamtych wydarzeń czy tylko jego sny.

Cithrin bel Sarcour. Wyobraził ją sobie siedzącą na koźle. Potem wyobraził sobie zamiast niej Pierworodnego w średnim wieku, który wioził rudę cyny. Albo przewodnika karawany i jego żonę. Albo mistrza Kita i Opal. Kogokolwiek, poza nią samą.

Zaczął trzeć powieki, dopóki przed oczami nie stanęły mu różnobarwne plamy. Morze szumiało. Ostry, jabłkowy zapach cydru przedarł się przez mroźne powietrze. Gniew uszedł z jego piersi, krusząc niczym papierowa zbroja. Mężczyzna mruknął coś obelżywego.

– Powinienem jej poszukać, sir? – spytał Yarem.

– Lepiej się pospieszmy – powiedział Marcus, rzucając na stół monety za napitek – zanim zrobi coś niebezpiecznego.

Geder

Geder miałby większe trudności ze skrywaniem swojego podstępu, gdyby jego porażki nie zakładano od samego początku. Zamiast tego on i jego na wpół lojalni żołnierze wrócili do miasta, złożyli niezbyt obszerne raporty i zostali odprawieni. Geder wrócił do nudnego ciągu obowiązków: wymuszania podatków, aresztowania lojalistów i ogólnego pomiatania mieszkańcami Vanai w imieniu Alana Klina.

– Nie zapłacę – powiedział stary Timzinejczyk, spoglądając znad nakazu zapłaty podatku. – Przed wojną ksiązę kazał nam płacić dwukrotnie, a teraz wy żądacie tyle samo co on.

– To nie zależy ode mnie – powiedział Geder.

– Nikogo innego tutaj nie widzę.

Zakład mieścił się w ciemnej uliczce. Tu i tam leżały skrawki tkanin. Mosiężny manekin krawiecki, obleczone w miękką, czarną skórę, która wciąż pachniała garbarskimi specyfikami, stał obok przesłoniętego ceratą okna. Tak cienka skóra nie sprawdziłaby się jako zbroja. Prawdopodobnie była niewiele lepsza od zwykłego ubrania i gorsza niż pikowana kurta. Z drugiej strony jako strój dworski mogłaby wyglądać całkiem imponująco.

– Chcesz ją? – spytał Timzinejczyk.

– Przepraszam, co?

– Pelerynę. Zamówił ją Mistrz Kanałów, po czym zniknął w noc poprzedzającą – męczyzna uniósł pokrytą czarnymi łuskami dłoń z nakazem zapłaty – nasze *wyzwolenie* przez szlachetne cesarstwo. Jeszcze jej nie skończyłem, a zostało mi trochę skóry w tym samym kolorze. Mógłbym ją dla ciebie przerobić.

Geder obliznął usta. Nie mógł tego uczynić. Ktoś zacznie pytać, skąd wzięł pelerynę i będzie się musiał tłumaczyć. Albo kłamać. Ale może gdyby powiedział, że kupił ją tanio, gdy podróżowali po południowych rubieżach albo od którejś z niewielkich karawan...

– Naprawdę mógłbyś ją przerobić?

Uśmiech Timzinejczyka stanowił szczyt cynizmu.

– A czy to mogłoby się gdzieś zapodziać? – spytał, ruchem głowy wskazując dokument.

Przez chwilę Geder poczuł echo przyjemności, z jaką opuszczał

przemytniczą karawanę, trzymając pod koszulą ukryte klejnoty i kamienie szlachetne. Jeden zagubiony nakaz zapłaty podatku. W najgorszym wypadku odrobinę uszczupliłoby to zawartość szkatuły Klina, a jego raport do Cannipolu wyglądałby odrobinę mniej okazale. Ale pozwoliłoby to krawcowi na przetrwanie kolejnej zimy. Gdyby mężczyzna go o to poprosił, Geder prawdopodobnie „zgubiłby” dokument nawet bez obietnicy przygotowania stroju.

Poza tym, w porównaniu z tym, co już zrobił, dwadzieścia straconych sztuk srebra było niczym kropla w morzu.

– Wyrugowanie z pracy uczciwego człowieka nikomu nie wyjdzie na dobre – powiedział w końcu. – Myślę, że się dogadamy.

– W takim razie proszę stanąć na zydlu – rzekł Timzinejczyk. – Chcę się upewnić, że krój będzie idealny do twojej postury, panie.

Zima oznaczała suszę w Vanai. Znaczniki poziomu wysokiej wody znajdowały się dobrą stopę ponad cienką warstwą lodu i wolno płynącej, ciemnej brei. Opadłe liście zalegały pod ścianami. W ogrodach i altanach stały nagie, martwe drzewa. Sople zwisające z drewnianych okapów domostw z każdym dniem stawały się coraz cieńsze. Od dawna nie padał świeży śnieg. Noce były mroźne, ale dnizaledwie chłodne. Całe miasto czekało na pierwsze roztopy, na odwilż, na napływ świeżej wody i życia, które pojawiało się wraz z nadejściem wiosny wciąż jeszcze oddalonej o kilka miesięcy. Wszystko obumarało lub zasnęło. Geder przemierzał ulice sprężystym krokiem. Żołnierze trzymali się niedaleko za nim.

Pierwszego dnia po powrocie Geder zamknął się w domu, wyciągnął sakwę zakupioną w Gilei i rozsypał klejnoty oraz kamienie szlachetne na łóżku. Migoczące w słabym świetle kosztowności stanowiły problem. Wzbogacił się dostatecznie, by poprawić jakość swojego codziennego życia w Vanai, ale niestety nie były to monety. Rzecz jasna, mógł wszystko sprzedać, ale zanosząc precjoza miejscowym handlarzom ryzykował, że ktoś rozpozna któryś kamień lub wyrób jubilerski. Poza tym gdyby Klin lub jeden z jego faworytów zauważyli, że Geder dysponuje majątkiem, którym nie powinien, mógłby mieć z tego tytułu nieprzyjemności.

Problem rozwiązał, wysyłając swojego giermka, by sprzedał jedynie najbardziej niewinnie wyglądające kamienie – trzy okrągłe granaty oraz diament w srebrnej oprawie. Sakwa z zapłatą zawierała trochę srebra, brązu i miedzi, a także dwie sztuki złota tak cienkie, że był w stanie wygiąć je

palcami. Wziąwszy pod uwagę jego styl życia, była to prawdziwa fortuna. Część pieniędzy niósł teraz przy sobie w sakwie wraz z księgą, gotowy do wykonania ostatniego zadania wyznaczonego mu na ten dzień.

Akademia wychodziła na wąski plac. W lepszych czasach stanowiła ośrodek dla dzieci podupadłej szlachty albo majątnych kupców, gdzie można było zatrudnić guwernera albo wygłosić przemówienie. Na rzeźbionym w dębie łuku prowadzącym do głównej sali wyryto imiona uczonych i kapłanów, którzy dawali tu wykłady na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat jej istnienia. Wnętrze pachniało woskiem oraz drewnem sandałowym. Promienie słońca wpadały przez wysokie, poziome oka, wyłapując unoszące się w powietrzu drobiny kurzu. Gdzieś w pobliżu jakiś mężczyzna recytował wiersz głębokim, rezonującym głosem. Geder wciągnął głęboko do płuc zapach tego miejsca.

Za jego plecami rozbrzmiały czyjeś kroki. Sekretarz był chudym Południowcem, w którego twarzy dominowały ogromne, ciemne oczy. Jego postawa świadczyła o szacunku, ale i o strachu.

– Mogę ci w czymś pomóc, mój panie? Jest jakiś problem?

– Szukam badacza – powiedział Geder. – Mój giermek dowiedział się, że powinienem udać się właśnie tu.

Południowiec zamrugał ogromnymi, czarnymi oczami.

– Ja... To jest, mój panie... – Sekretarz potrząsnął głową. – *Naprawdę?*

– Tak.

– Nie przybyłeś nikogo aresztować, panie? Ani egzekwować kar?

– Nie.

– Cóż, jedną chwilę, mój panie – rzekł Południowiec. – Pozwól, że znajdę kogoś użytecznego. Proszę za mną.

W jednej z bocznych komnat Geder usiadł na drewnianej ławie wytartej od wielokrotnego używania. Recytacja wierszy trwała w najlepsze, tyle że głos mężczyzny ścichł nieco, a słowa stały się niezrozumiałe. Geder poluzował pas, zmieniając pozycję. Posiadał niemalże mięśniową pamięć oczekiwania na swoich własnych nauczycieli i próbował odepchnąć od siebie irracjonalny niepokój związany z obawami, że nie będzie znał odpowiedzi na wszystkie pytania uczonego. Ktoś otworzył drzwi i do pomieszczenia wśliznął się pierworodny mężczyzna. Geder wstał.

– Dzień dobry. Mam na imię Geder Palliako.

– Jest pan znany w całym mieście, lordzie Palliako – odparł mężczyzna. –

Tamask przekazał mi, że potrzebujesz badacza?

– Tak. – Geder wyjął księgę spod ramienia i przytrzymał ją przed sobą. – Od niedawna tłumaczę ten tekst, ale nie jest on najwyższej próby. Chciałbym, żeby ktoś znalazł dla mnie coś podobnego, ale nieco innego.

Badacz ostrożnie wyjął mu książkę z rąk, jakby ta była barwnym, ale nieznanym owadem i zaczął przeglądać kolejne strony. Geder zaczął się wiercić.

– Traktuje o upadku Smoczego Cesarstwa – powiedział. – Autor twierdzi, że to tekst historyczny, ale mnie bardziej interesują eseje spekulatywne.

Odgłos przekładanych stron konkurował z odległym głosem recytatora i szumem wiatru za oknem. Uczony pochylił się nad księgą, marszcząc brwi.

– Co proponujesz, lordzie Palliako?

– Zapłacę za każdą książkę opisującą tamten okres. Jeśli będzie ona do kupienia od ręki, wypłacę dodatkową nagrodę. Jeśli będzie należało ją przepisać, opłacę skrybę, ale badacz otrzyma mniejsze honorarium. W szczególności szukam czegoś na temat przyczyn upadku smoków, a zwłaszcza opisu czegoś, co nazwano w tamtym tekście Prawym Sługą. Chciałbym wiedzieć więcej na ten temat.

– Mogę spytać dlaczego, panie?

Geder otworzył usta i zamknął je ponownie. Nigdy nie miał okazji porozmawiać z kimś na te tematy i nie musiał się przed nikim tłumaczyć.

– Chodzi o... prawdę. I fałsz. Poza tym wydało mi się to interesujące – rzekł pewnie.

– Czy byłbyś zainteresowany również tekstami retorycznymi w tym zakresie? Asinia Secundus napisała doskonałą analizę natury prawdy w czasach Drugiej Okupacji Alfińskiej.

– To filozofia? Mogę się temu przyjrzeć, ale wolałbym eseje.

– Już o tym wspominałeś, panie. Eseje spekulatywne – powiedział uczony z prawie niezauważalnym westchnieniem.

– Czy to jakiś problem?

– Bynajmniej, panie – odparł badacz z wymuszonym uśmiechem. – Będziemy zaszczytzeni mogąc ci pomóc.

„Moje zdanie jest następujące: wzięwszy pod uwagę brak podstawowych dokumentów z tamtego okresu, najwłaściwszą praktyką byłoby prześledzenie losów tych, którzy w późniejszym czasie przejęli schedę po Smoczym Cesarstwie i poprzez ich działania wysnuć wniosków dotyczących wzorów,

które naśladowali. Najlepszym przykładem będzie tu tajemnicze oblężenie Aastapal. Bezpośrednie oględziny ruin nie przynoszą jednoznacznej odpowiedzi, czy zniszczenie miasta było wynikiem szturmów sił wielkiego smoka Morade, czy też – co nieco bardziej kontrowersyjne – samych wojsk okupacyjnych pod dowództwem jego brata z miotu, Inysa.

Z powodu braku solidnych dowodów, możemy zwrócić się w stronę lepiej znanych historii. Po upływie tysiąca lat od wspomnianych wydarzeń, mamy wielkiego jasurskiego generała Marrasa Tocę podczas czwartej kampanii Świętego Oczyszczenia. A także Antypatosa z Rynnic, Hararsina piątego tego imienia, z bitwy pod Ashen Dan. Oraz królową Errathiánpados z oblężenia Kázhamor. W każdym z tych przypadków, dowódcy wojskowi chlubiący się swoim pokrewieństwem z ostatnim ze Smoczycch Cesarzy postanowili zniszczyć miasto, uniemożliwiając tym samym odbicie go przez wroga. Jeśli, co próbujemy tutaj udowodnić, było to świadomym naśladownictwem wielkiej wojny smoków, oznaczałoby to, że Aastapal zawdzięcza swoje zniszczenie Inysowi, który chciał uniemożliwić bratu zdobycie miasta, w przeciwieństwie do powszechnie akceptowanego scenariusza.”

Geder przechylił głowę. Argument był bardzo słaby. Przed wszystkim nigdy wcześniej nie słyszał o dwóch z trzech przytoczonych przykładów. Na dodatek ze wszystkich bitew, wojen i oblężeń, które miały miejsce od czasu upadku smoków, dałoby się wyłonić przykłady na wszystkie strategie i decyzje, jakie tylko można sobie wyobrazić. Równie dobrze mógł poprowadzić argumentację w zupełnie przeciwnym kierunku, wybierając innych przywódców i inne bitwy. I, na Boga, co trzeci tyran twierdził, że pochodzi w bezpośredniej linii od smoków.

Ale nawet mimo to, bez wdawania się w szczegóły, była to naprawdę fascynująca idea. Gdy coś jest nieznanne, a informacje na ten temat przepadły na zawsze, należało wyciągać wnioski z wydarzeń, które następowały później, naśladowały historię, tworząc prawdziwy obraz przeszłości. To było jak obserwowanie zmarszczek na stawie, by dowiedzieć się, gdzie wpadł kamień. Geder rozejrzał się po swoim niewielkim pokoju, podekscytowany. Jego kałamarz wciąż jeszcze zawierał odrobinę atramentu, ale gdzieś zapodział pióro do pisania. Zostawił księgę otwartą, pospieszył do stosu drewna opałowego leżącego obok paleniska, skąd wziął odłupaną drzazgę i szybko wrócił do stołu. Umoczywszy drewniany rysik w kałamarzu, Geder

ostrożnie oznaczył margines książki. *Obserwowanie zmarszczek na stawie, by dowiedzieć się, gdzie wpadł kamień.*

Mężczyzna opadł na oparcie krzesła z zadowoleniem. Teraz gdyby tylko udało mu się znaleźć cokolwiek na temat Prawego Sługi...

– Lordzie Palliako. – Jego giermek stał w drzwiach. – Bankiet u lorda Klina?

Geder westchnął, pokiwał głową i wrzucił umazany atramentem rysik do ognia. Tusz zaplaścił mu kciuk oraz palec wskazujący. Umył dłonie w misce, poświęcając temu zajęciu zaledwie ułamek uwagi. Giermek pomógł mu przywdziać formalny strój oraz nową, czarną pelerynę ze skóry i niemal doprowadził go do drzwi prowadzących na ulicę.

W Cannipolu jedynym wielkim wydarzeniem każdej zimy była rocznica wstąpienia na tron króla Simeona. Wskazana przez władcę rodzina potrafiła wydać połowę swojego rocznego dochodu na ucztę, na którą cały dwór zlatywał się niczym kruki na pobojuwisko. Geder dwukrotnie uczestniczył w tych biesiadach i za każdym razem ilość jedzenia oraz napitków sprawiała, że musiał je potem odchorować.

Sir Alan Klin postanowił zadośćuczynić tradycji w Vanai, wydając wielki bankiet i wymuszając publiczne obchody święta.

Wzdłuż wąskich ulic pozawieszano odświętne latarnie, które rzucały dziwne cienie. Muzycy przygrywali na fletach i wystukiwali rytm na bębnach, przy wtórze piskliwych głosów Timzinejczyków, na zmianę to wznoszących się, to znów opadających. Pulchna kobieta toczyła po ulicy beczułkę, która głośno terkotała na kamiennym bruku.

Geder minął grupkę miejscowych mężczyzn i kobiet ubranych w swoje najlepsze stroje, wszystkich z przyklejonymi do twarzy uśmiechami. Mroźne powietrze sprawiało, że policzki Pierworodnych oblały rumieńce, a z nosów im ciekło. Wzdłuż całej ulicy wszystkie drzwi otworzono na oścież, a płonący wewnątrz ogień miał zapraszać przechodniów do wejścia do środka. Brakowało jedynie antejskich flag i pokazów ogni. Zeszłej zimy żaden z tutejszych mieszkańców nie znał daty wstąpienia króla Simeona na tron, ale też niespecjalnie ich to interesowało. Gdyby cesarscy żołnierze postanowili wrócić do domów, o święcie tym zapomnieliby równie szybko i z takim samym cynizmem, z jakim przystąpiono do jego obchodów. Całe to przedsięwzięcie jawiło się Gederowi niczym fasada prawdziwej uroczystości. Cyna próbująca uchodzić za srebro.

W pałacu byłego księcia Klin przygotował długą salę audiencyjną dla antejskiej szlachty. Ciepłe powietrze od razu próbowało wedrzeć się do nozdrzy i ust. Stoły zastawiono tradycyjnymi, antejskimi daniami – sarniną w mięcie, pastą z pstrąga na podwójnie opiekanych tostach i pętami kielbasy gotowanymi w winie. Kakofonia głosów przypominała pomruk burzy. Głośne rozmowy odbijały się echem od pokrytych brązem łuków ponad głowami zebranych. Rywalizujący między sobą bardowie krążyli pomiędzy stołami wyłudając datki od cesarskich hulaków. Stary sługa z przepaską na ramieniu w czerwono-szarych barwach Klinów poprowadził Gедера do jednego z najmniejszych stolików, z dala od ogromnego paleniska, na którym trzaskające płomienie trawiły połowę drzewa. Geder postanowił nie ściągać peleryny. Z dala od ognia było dość zimno.

Pozwolił niewolnicy przynieść sobie talerz z jedzeniem i szeroką szklanicę z rżniętego kryształu wypełnioną ciemnym piwem o wyraźnym zapachu drożdży. W samym środku hulanki jadł samotnie, obracając w głowie kwestie prawdy i fałszu, wojny oraz historii. Główny stół, przy którym zasiadł Alan Klin, Gospey Allintot i pół tuzina faworytów Klina, stanowił jedynie okręt na horyzoncie. Geder zauważył, że do jego stolika przyprowadzono Daveda Broota dopiero, gdy chłopak opadł na ławę obok niego.

- Palliako – rzekł młodszy z Brootów ze skinięciem głowy.
- Witaj – odparł Geder.
- Ładna peleryna. Nowa?
- W miarę.
- Pasuje ci.

Uznając rozmowę za skończoną, Broot wziął talerz i rozpoczął kampanię polegającą na planowym zjedzeniu takiej ilości jedzenia, jaką był w stanie w siebie wepchnąć. Wydawał się nie czerpać z tego żadnej przyjemności, ale Geder czuł podziw dla determinacji chłopaka. Kilka minut później, gdy Jorey Kalliam i sir Afend Tilliakin – kolejni dwaj niezbyt lubiani przez Klina rycerze – przysiedli się do stolika, Broot prosił już o drugi talerz jedzenia.

– Jak twój ojciec ocenia sytuację? – spytał Tilliakin, gdy dwaj mężczyźni spoczęli na ławach.

Jorey Kalliam pokręcił głową.

– Nie sądzę, byśmy mogli wyciągać jakiegokolwiek wnioski – powiedział, wyjmując talerz z jagnięciną i dzban wina z rąk oczekującego służącego. –

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Mimo wszystko wygląda na to, że ten mały bankier Imaniel szybko nie wyjdzie na wolność. Lord Klin musi zżymać się, że nie był w stanie odnaleźć tej karawany, co?

Wszystkie myśli Gедера o smokach, zmarszczkach i przepastnych żołądkach natychmiast zeszły na dalszy plan. Pociągnął długi łyk piwa, kryjąc twarz w szklance i próbując wymyślić, jak mógłby podpytać bez zbytnej ostentacji, o czym rozmawiają jego towarzysze. Zanim cokolwiek przyszło mu do głowy, odezwał się Broot.

– Rozmawiacie o liście od Ternigana?

– Ojciec Jorey’a Kalliam wie o wszystkim, chociaż siedzi w domu, a ja nawet siłą nie mogę wydobyć od nikogo żadnych szczegółów.

Geder odchrząknął.

– Ternigan napisał list? – powiedział głosem o wiele bardziej piskliwym i spiętym niż zamierzał. Tilliakin roześmiał się.

– Połowę książki z tego co słyszałem – odparł. – Niektórzy twierdzą, że skrzynie z łupami słane przez Klina do stolicy są trochę zbyt lekkie. Ternigan chce wiedzieć, dlaczego tak jest. Z tego co słyszałem, zamierza przysłać tu jednego ze swoich ludzi, który ma przejrzeć księgi rachunkowe Klina i sprawdzić, czy ten nie zachowuje zbyt wiele dla siebie.

– Tak nie jest – powiedział Jorey. – A przynajmniej jeszcze tak nie jest.

Broot uniósł brwi.

– Więc *jednak* coś słyszałeś – rzekł Tilliakin. – Wiedziałem, że czegoś mi nie mówisz.

Kalliam uśmiechnął się smutno.

– To nic pewnego. Ojciec twierdzi, że na dworze krążą plotki, że kampania vanajska nie idzie tak dobrze, jak się spodziewano. Na razie to jednak tylko dworskie zrządzenie. Król nie powiedział niczego, co godziłoby w pozycję Klina.

– Ale nie powiedział też niczego, co przemawiałoby *za* nim, prawda? – spytał Tilliakin.

– Nie – odparł Kalliam. – Niczego takiego nie powiedział.

– Ternigan go nie odwoła – rzekł Broot z ustami pełnymi kielbasy. – Obaj kiepsko by na tym wyszli.

– Ale jeśli ma to uczynić, zrobi to wkrótce. Ciekawe, kogo posadzi na jego miejscu, hmm? – powiedział Tilliakin, znacząco spoglądając na Jorey’a.

Geder wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Myśli gnały mu po głowie niczym pies spuszczone z łańcucha. Ciągłe zwiększanie przez Klina obciążeń podatkowych nagle nabrało nowego znaczenia. Być może wcale nie chodziło o to, by uprzykrzać kolejne dni Gедера nieprzyjemnymi zadaniami. Pieniądze mogły trafiać do Camnipolu w zamian za bogactwa utracone w związku ze zniknięciem karawany. Klin próbował wkupić się z powrotem w łaski dworu.

Ta myśl była zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Bo jeśli była prawdziwa, to właśnie *on* sprawił, że sir Alan Klin stracił przychyłość króla...

– Myślę, że Jorey byłby doskonałym księciem Vanai – powiedział na głos.

– Na Boga, Palliako! – warknął Broot. – Nie mów takich rzeczy, gdy inni mogą cię usłyszeć!

– Przepraszam – mruknął Geder. – Chciałem jedynie...

Od strony głównego stołu doszedł ich ryk. Pół tuzina żonglerów ubranych w stroje trefnisiów rzucało między sobą nożami. Ostrza migotały w świetle płomieni. Zasiadający przy głównym stole przesunęli się, by zrobić miejsce na pokaz i Geder miał teraz doskonały widok na Alana Klina. Pomiędzy latającymi sztyletami wydało mu się, że w postawie mężczyzny dostrzegł niepokój. Fałszywą radość w uśmiechach i wesołości. Udrękę w spojrzeniu jasnych oczu. A jeśli to wszystko była prawda, to właśnie *on* – Geder Palliako – się do tego przyczynił. A co ważniejsze, Klin miał nigdy się o tym nie dowiedzieć. Bo nigdy nie śledził zmarszczek na stawie.

Geder parsknął śmiechem i zaczął klaskać, udając, że cieszy go przedstawienie.

Cithrin

Po pamiętnym wieczorze spędzonym na zamarzniętym stawie przy młynie i pełnym napięcia dniu, który przyszedł tuż po nim, jej noce zaczęły przybierać pewien schemat. Najpierw, niewyobrażalne zmęczenie. Potem, niedługo po tym jak zwinęła się w kłębek na belach wełny, upragniona godzina odpoczynku zanim ponownie budziła się z głową pełną skołowanych myśli i ściśniętym sercem. Czasami widywała w snach pulchnego, cesarskiego szlachcica, który znajdował ukryte skrzynie, tyle że tym razem wzywał do siebie żołnierzy. Umysł podsuwał jej obrazy tego, co mogło się wydarzyć. Martwego Sandra. Zamordowaną Opal. Mistrza Kita najeżonego strzałami, leżącego na śniegu w kałuży jasnej krwi. Marcusa Westera, który oddawał ją w ręce cesarskich w zamian za bezpieczny przejazd karawany. Na koniec wyobrażała sobie, co mogli zrobić jej żołnierze. Fakt, że do tego wszystkiego nie doszło, przydawał jej obawom niemal duchowego wymiaru, zupełnie jakby prawdziwe wydarzenia oznaczały zaciągnięcie niemożliwego do spłacenia długu.

Uczucie to starała się zwalczać myślami o magistrze Imanielu, banku, równowadze między handlem a ubezpieczeniami, intrygach i subtelnościach, które przypominały jej o domu. Nie dawało jej to wytchnienia, ale przynajmniej sprawiało, że chłodne, ciemne i bezsenne godziny stawały się znośne, pozwalając jej łudzić się, że świat przestrzega pewnych zasad i możliwe jest jego okiełznanie. Niedługo później niebo na wschodzie jaśniało, a wycieńczenie otulało ją niczym żelazny płaszcz. Zmuszała się wtedy do wstania, zejścia z wozu i przetrwania kolejnego, niemożliwego dnia. Nim dotarli do Porte Oliva, niemal bez przerwy trwała w otępiającym półśnie. Na granicy jej pola widzenia tańczyły małe, czerwone zwierzęta, a najbardziej niedorzeczne pomysły – że dla bezpieczeństwa musiała połknąć wszystkie księgi rachunkowe, że mistrz Kit posiadał skrzydła, ale nie chciał, aby ktokolwiek o tym wiedział, że Cary w tajemnicy planowała zamordowanie jej w szale zazdrości o Sandra – zyskiwały prawdopodobny wydźwięk, na który wcale nie zasługiwały.

Wszystko co wiedziała o Porte Oliva, usłyszała od kogoś. Wiedziała, że port leżał na południowym krańcu Birancour i żył głównie z handlarzy ze wschodu, którzy za ostateczny cel swojej podróży nie obierali Wolnych

Miast oraz okrętów kupieckich z zachodu, lecz nakładali drogi w obawie przed piratami nękającymi Cabral. Najwięcej miasto zarabiało jednak na służeńiu jako port pośredniczący w handlu pomiędzy Lyoneią i Narinisle. Magister Imaniel twierdził, że dla większości osób port nie był pierwszym wyborem, ale to również miało swoje plusy. Cithrin wolała myśleć o nim jako o mieście nieco surowym, pełnym lokalnej dumy.

Samo dotarcie na miejsce wyglądało osobliwie. Pamiętała, że prowadziła zaprzęg po pagórkowatej, przysypanej śniegiem drodze, a już chwilę później biegł przy niej kurtadamski chłopiec, o sierści lśniącej jak u wydry, który wyciągał do niej dłoń, prosząc o pieniądze. Wokół niej wyrósł las budynków. Porte Oliva było pierwszym prawdziwym miastem, które widziała poza Vanai, tyle że tutaj budowle wznoszono z kamienia, nie z drewna, a słodką wodę zastąpiła słońca. Na pierwsze wrażenie złożył się niewyraźny widok wąskich uliczek o wysokich, białych łukach, smród gówna i słonej wody, a także dźwięk rozmów pełnej krwi Cinnejczyków, szczebioczących między sobą niczym łuszczeniaki. Wydawało jej się, że przejechali przez tunel w wielkim murze, zupełnie jak w starych legendach, gdzie martwi przechodzili z jednego życia do drugiego, ale równie dobrze mogło jej się to przyśnić.

Nie pamiętała, kiedy zatrudniła Marcusa Westera i jego przybocznego jako osobistą straż. Nie wiedziała nawet, skąd przyszła jej do głowy myśl, że to dobry pomysł.

Kapitan stąpał cicho po kamiennej posadzce. Z łóżka pod ścianą dobiegało chrapanie Yardema Hane'a. Cithrin pozwoliła uciec senności i po raz setny powiodła wzrokiem po wilgotnym pokoiku. Niewielki ogień trzaskał w palenisku, rzucając czerwono-pomarańczowe cienie na przeciwległą ścianę i wypluwając w powietrze sosnowy dym. Okno przysłonięto starym pergaminem, który brudził wpuszczane do środka promienie słońca. Skrzynie – cała zawartość jej wozu wyprowadzonego ukradkiem z Vanai – stały w stertach pod ścianami, jak w każdym tanim magazynie. Jedynie najbardziej wartościowe przedmioty zostały umieszczone w żelaznej kasie pancерnej, wewnątrz której zmieściła się zaledwie jedna dziesiąta tego, co wiozła. Cithrin usiadła. Ciało miała obolałe, ale w głowie jej się przejaśniło.

– Dzień dobry – powiedział Marcus Wester, uprzejmie kiwając do niej głową.

– Jak długo spałam?

– Połowę poranka. Jeszcze nie ma południa.
– Jest jakieś jedzenie?
– Trochę kiełbasy z zeszłego wieczora – rzekł mężczyzna, ruchem głowy wskazując niewielkie drzwi z wypaczonego drewna, które prowadziły do jedyne oddzielnego pokoju.

Cithrin wstała. Przez całe lata przespanie za ledwie połowy poranka z trudem pozwoliłoby jej dotrzeć do wieczora. Teraz jawiło się to niczym luksus. Pokoik na tyłach nie posiadał żadnych drzwi wyjściowych na zewnątrz ani okien, więc Cithrin zapaliła niewielką świeczkę, którą zabrała ze sobą. Księgi rachunkowe – dusza i pamięć vanajskiego banku -spoczywały na drewnianej palecie. Na stoliku z surowego drewna znajdowała się karafka z wodą i pęto poszarzałej kiełbasy. Z cynowego nocnika w rogu dochodził straszliwy smród.

Cithrin ulżyła trzewiom, zasypując wszystko dwiema garściami popiołu, zanim na nowo zamknęła wieko. Następnie odcięła kawał kiełbasy i przysiadła na stoliku, przeżuwając ją. Mięso przyprawiono jabłkami i czosnkiem. Nie smakowało nawet w połowie tak źle jak początkowo sądziła.

Jej życie wyglądało tak już niemal od dwóch tygodni. Marcus pilnował jej za dnia, a Yardem w nocy. Na zewnątrz wychodzili tak rzadko jak to możliwe. Jeśli szukała prywatności, miała niewielki pokoik. Jedyne światło dawało przyćmione okno, palenisko i kilka świeczek. Zapasy kupowali za pieniądze kapitana. To, co zarobił, sprzedając wełnę, wóz i muły, leżało w niewielkiej, skórzanej sakiewce obok drzwi wychodzących na ulicę. Za zwierzęta wzięli mniej pieniędzy niż mogli, ale Cithrin stwierdziła, że pierworodna kobieta, która ostatecznie została ich nową właścicielką, najlepiej się nimi zaopiekuje.

Tęskniła za swoimi mułami.

Jej włosy stały się cienkie i tłuste w dotyku. Jedyne ubranie, które miała, stanowił strój dany jej, gdy została woźnicą Tagiem. Dokończyła kiełbasę i wyszła.

– Potrzebuję ubrań – oznajmiła. – Nie będę chodzić w tym aż do wiosny.
– W porządku – rzekł kapitan. – Tylko nie oddalaj się za bardzo dopóki nie poznasz rozkładu ulic. I nie zwracaj na siebie uwagi. Im mniej osób będzie wiedzieć, że tu jesteśmy, tym lepiej.

Za każdym razem mówił to samo, zupełnie jakby miała zapomnieć o tym od poprzedniego dnia. Tralgur przewrócił się na drugi bok we śnie i

westchnął. Dziewczyna zabrała sakiewkę, wcisnęła ją w kieszeń i otworzyła drzwi. Promienie słońca zalały wnętrze.

– Cithrin!

Odwróciła głowę. Kapitan klęczał przy palenisku, rozgarniając popiół ostrzem miecza, ale jego pełne troski oczy skierowane były na nią.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Wiem o jaką stawkę toczy się gra – odparła, wychodząc na ulicę. Dzielnica solna przypominała labirynt. Dwupiętrowe budynki górowały ponad uliczkami tak wąskimi, że ludzie nie mogli minąć się bez dotykania. Wygląd okolicy kształtował falisty krajobraz, sprawiając, że widok we wszystkich kierunkach był dość ograniczony. Skrzyżowania, które pozornie prowadziły do szerszych ulic, najczęściej kończyły się ślepo. Powietrze wypełniały głosy mężczyzn i kobiet, Kurtadamów, Cinnejczyków oraz Pierworodnych. Jeśli mąż krzyczał na swoją żonę w tej dzielnicy, echo niesło dalej melodię jego gniewu, odzierając ją jednak ze słów.

Dzieci czyhały w oknach i drzwiach niczym dzikie koty. Kilka dni cieplejszej pogody roztopiło brudny śnieg, zostawiając w zagłębieniach ciemne kałuże pokryte cieniutką warstwą lodu. Prawdopodobnie istniały tu tysiące tras, ale Cithrin знаła tylko jedną i tej się trzymała. Po kilkuminutowym spacerze dotarła do skrzyżowania pięciu ulic, z których jedna prowadziła na północny wschód. Ponad nią jaśniał nieco większy skrawek zasnutego na biało nieba. Cithrin skręciła w kierunku targowiska, doków i przepływu gotówki, dzięki któremu Porte Oliva żyło.

Wielki Targ nie stanowił otwartej przestrzeni, ale serię połączonych ze sobą, krytych chodników. Nierówny bruk ulic ustępował tutaj jasnym płytom. Krzywizny ścian pięły się w górę niczym złożone do modlitwy dłonie, a olbrzymie okna wpuszczały promienie słoneczne pomiędzy kamiennymi i żelaznymi palcami. Mężczyźni i kobiety śpiewali, grając na fletach. Lalkarze odgrywali historyjki, wplatając w nie miejscowych kupców albo figury polityczne. Słudzy z bogatych domów i pałaców przepychali się przez ciżbę, niosąc na głowach ogromne kosze z wikliny, w poszukiwaniu najlepszych towarów dla możnych. Mali, niezależni lichwiarze – zwykłe płotki w porównaniu z lewiatanem, jakim był bank medejski – ustawiali swoje zielone, pilśniowe kramy z niedużymi wagami. Podróżnicy i marynarze przybywali z doków, by podziwiać cały ten rozgardiasz. Kupcy zachwalali swoje towary: chleb, ryby i mięso, tkaniny, przyprawy i wsparcie

duchowe. Targowisko nigdy nie wyglądało tak samo dwa dni z rzędu.

Codziennie o poranku, jeszcze przed nastaniem świtu, kupcy ustawiali się w kolejkę przed wielkimi pawilonami, czekając na przybycie gwardzistów królowej, eskortujących bogato zdobioną, żelazną skrzynię z pałacu namiestnika. Każdy kupiec wnosił niewielką opłatę i losował bilet stwierdzający, która z tysiąca wnęk i skrzyżowań będzie danego dnia należeć do niego. Żaden lichwiarz, rzeźnik, piekarz ani rolnik nie mógł polegać na zbiciu majątku poprzez okupowanie jednej i tej samej przestrzeni. Czy też byłoby tak, gdyby losowanie nie było ustawione. Cithrin tylko dwa razy odwiedziła to targowisko, ale szczerze wątpiła, aby coś tak drobiazgowo obmyślonego i dającego ułudę uczciwości, nie było podatne na korupcję.

Kupiła sobie woreczek podpiekanych na ogniu rodzynek i miodowych orzechów, szykując się do poszukiwań, ale już wkrótce natrafiła na krawca, którego chciała znaleźć i to zaledwie pięć stanowisk dalej od miejsca, gdzie widziała go po raz ostatni. Właściciel kramu był pełnej krwi Cinnejczykiem, chudym, wysokim i bladym. Mężczyzna na każdym palcu nosił pierścień, a jego zęby wyglądały, jakby wypiłowano je na ostro. Posiadał pięć stolików ustawionych w półokrąg i szósty w samym środku, na którym wykładał swoje najlepsze towary. Cithrin przystanęła, od niechcienia przyglądając się trzem sukienkom. Cinnejczyk stał z boku, krzycząc na pierworodną kobietę, której skrzyżowane ramiona i mina przydawały wyrazu niemal boskiego gniewu. Pomiędzy nimi stała skrzynia, wyraźnie pociemniała od wilgoci.

– Spójrz! Spójrz, co woda zrobiła z kolorami! – wrzeszczał kupiec.

– To nie ja wyładowywałam je z okrętu – odparła kobieta.

– Ja też nie.

– Podpisałeś dokument na dziesięć sukienek. Oto dziesięć sukienek.

– Podpisałem zamówienie na dziesięć sukienek, które będę mógł sprzedać!

Cithrin podeszła bliżej. Z tego co zobaczyła, sukienki miały prosty krój. Słona woda zmieniła barwę ubrań, z żółtej na niebieską, a z niebieskiej na bladoróżową. Na dodatek upstrzyła tkaniny białymi plamami, na podobieństwo rozsypanego piasku. Kupiec posłał jej spojrzenie, mrużąc oczy z irytacją.

– Szukasz czegoś?

– Sukienki – powiedziała Cithrin z ustami pełnymi rodzynek. Mężczyzna obrzucił ją pełnym powątpiewania wzrokiem. Dziewczyna

wyciągnęła z kieszeni sakiewkę i rozsypała ją. Promienie słoneczne zatańczyły na srebrnych monetach. Kupiec wzruszył ramionami.

– Chodź, pokażę ci co mam – powiedział, odwracając się plecami do wciąż wściekłej kobiety. Ze środkowego stolika wziął pierwszą sukienkę. Biało-niebieską z haftowanymi rękawami, skropioną kilkoma kroplami ekstraktu z płatków lawendy. Kupiec wygładził materiał.

– To mój najlepszy wyrób – powiedział. – Kosztowny, to prawda, ale warty swojej ceny. Za sto dwadzieścia sztuk srebra nie znajdziesz lepszej sukienki na całym targowisku. Oczywiście, w cenę wliczone jest dopasowanie jej do twoich wymiarów.

Cithrin pokręciła głową.

– Nie tę chcesz mi sprzedać – powiedziała.

Kupiec, który przekładał właśnie sukienki na blacie, zastygł w bezruchu, zupełnie jakby poraziły go te słowa.

– Nie tę chcesz mi sprzedać – powtórzyła Cithrin. – Zapewne i tak nie jest przeznaczona na sprzedaż. Służy wyłącznie temu, by cena następnej wydawała się rozsądna. Którą zaoferujesz mi następną, tę różaną? Jeśli pierwszą wyceniłeś na sto dwadzieścia srebrników to ta będzie kosztować... Ile? Osiemdziesiąt?

– Osiemdziesiąt pięć – odrzekł kwaśno krawiec.

– A to za dużo – skwitowała Cithrin. – Ja dam czterdzieści pięć. To powinno pokryć twoje koszty i jeszcze dać ci zarobić.

– Czterdzieści pięć?

– To uczciwa cena – powiedziała Cithrin, wkładając do ust kolejną garść rodzyneków.

Kupiec lekko otworzył usta. Pierworodna kobieta stojąca obok skrzyni zachichotała. Cithrin poczuła jak po brzuchu rozlewa jej się ciepło, przypominając pierwszy łyk mocnego wina. Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od wielu dni przyszło jej to z łatwością.

– Jeśli sprzedasz mi ją za czterdzieści – ciągnęła Cithrin, wskazując przy tym na zniszczone sukienki – pomogę ci zarobić również na tamtych.

Mężczyzna wyprostował plecy, zakładając ręce na piersi. Cithrin przestraszyła się, że przeszarżowała, dopóki mężczyzna nie przemówił.

– I jak niby chcesz to zrobić? – spytał. W jego słowach pobrzmiwało rozbawienie.

– Czterdzieści – powtórzyła.

– Przekonaj mnie.

Cithrin podeszła do skrzyni i zaczęła przeglądać sukienki. Wszystkie wyglądały podobnie. Tanie tkaniny, cynowe haftki obszyte zwykłą nicią, lekko wyszywane kołnierzyki i rękawy.

– Skąd przychodzi do was najmniej towarów? – spytała. – Z Hallskar?

– Niewiele stamtąd dostajemy – przyznał kupiec.

– Więc zamień te haftki na srebrne – powiedziała dziewczyna. – I przyszyj kilka szklanych koralików przy kołnierzykach. Trzy lub cztery, ale błyszczące. Coś zwracającego uwagę.

– Dlaczego miałbym marnować dobre srebro i koraliki na takie gałgany?

– Nie zrobiłbyś tego – wyjaśniła Cithrin. – W tym rzecz. Skoro ktoś wykorzystał przy ich wyrobie srebro i szkło, to znaczy, że nie są to żadne gałgany. Nazwij je... sama nie wiem. Hallskarskimi farbami solnymi. Nowy sposób barwienia, niezwykle rzadki. Na całym Wielkim Targu nie znajdziecie niczego podobnego. Zaczniij od dwustu sztuk srebra, a potem spuść cenę do stu trzydziestu.

– Dlaczego ktokolwiek miałby za nie tyle zapłacić?

– Dlaczego nie? Skoro to nowość, nikt nie wie, ile kosztuje naprawdę. A skoro nikt tego nie wie, możesz zrobić z tym wszystko.

Krawiec pokręcił głową, ale nie była to odmowa. Pierworodna kobieta uniosła brwi tak wysoko, że niemal dotarły do linii włosów. Cithrin wygrzebała z woreczka miódowy orzech. Gwar wokół nich i echa głosów nie miały znaczenia. Dziewczyna odczekała cztery oddechy, podczas których kupiec obracał pomysł w głowie.

– Jeśli uwierzy ci choćby jedna osoba na całym Wielkim Targu – dodała – pokryjesz koszt wszystkich dziesięciu sukienek, haftek, koralików i przeróbek. Jeśli natomiast pójda na to *dwie* osoby...

Kupiec milczał jeszcze przez dwa oddechy.

– Wiesz o sukienkach stanowczo za dużo – powiedział w końcu.

Nie wiem nic na temat sukienek, pomyślała dziewczyna. Mężczyzna parsknął śmiechem. Chwycił różaną sukienkę i rzucił ją Cithrin z udawanym zniesmaczeniem.

– Czterdzieści – rzucił oschle, po czym zwrócił się do pierworodnej kobiety. – Widzisz? Spójrz na tę twarz. To naprawdę niebezpieczna dziewczyna.

– Wierzę – mruknęła kobieta, gdy Cithrin z uśmiechem odliczyła należną sumę.

Godzinę później, Cithrin kroczyła na wpeł otwartymi chodnikami Wielkiego Targu. Różaną sukienkę trzymała pod pachą, zwiniętą w tobołek. Świat wokół niej wydawał się miłym i pogodnym miejscem. Sukienka potrzebowała kilku przeróbek, by na nią pasować, ale była to jedynie drobna niedogodność. Bardziej niż sam zakup cieszył ją tytuł *naprawdę niebezpiecznej dziewczki*.

Słońce dopiero rozpoczęło swoją wędrówkę ku horyzontowi. Cithrin skierowała kroki w stronę publicznej łaźni, rozważając spędzenie godziny w gorącej wodzie, pośród pary. Myślała też nad wydaniem kilku monet na balsam, który pozwoliłby jej pozbyć się wszy, które złapała w podróży i mieszkając w swoim obskurnym pokoiku. Łaźnie znajdowały się na północnym krańcu obszernego placu. Kolumny wysokie jak drzewa wyraźnie górowały nad nim, choć dach, który kiedyś podpierały znikł tak dawno, że woda zdążyła wyżłobić kanaliki w kamieniu. Nieduże połączenie zbrązowiełej, zmrożonej trawy ścieliły otwarte przestrzenie niczym dywany. Pałkowate krzewy chwytaly martwe liście i kawałki tkanin. Cithrin minęła wózek, z którego sprzedawano gorącą zupę i chudego Kurtadama z dwiema marionetkami tańczącymi mu u stóp, tuż obok żebraczej miski z kilkoma brązowymi monetami. Po drugiej stronie placu trupa aktorów zamieniła swój wóz w scenę, przeganiając dwóch niezadowolonych lalkarzy. Nad głowami krążyły gołębie. Obok Cithrin przeszła grupka cinnejskich kobiet, bladych, szczupłych i pięknych. Ich suknie falowały wokół ciał niczym wodorosty w trakcie przyływu. Głosy o wyraźnych akcentach brzmiały niezwykle melodyjnie. Cithrin miała ochotę niepostrzeżenie je poobserwować. Nie widywała zbyt często pełnej krwi Cinnejczyków.

Nawet pomimo tego, że jej matka przynależała do tej rasy i w takim miejscu z pewnością stanowiłaby część takiej właśnie grupki.

Kobiety skrzyły na szerokie schody prowadzące do łaźni. Cithrin ruszyła za nimi, ale przystanęła w pół kroku, słysząc znajomy głos.

– Zatrzymajcie się!

Odwróciła głowę.

– Przerwijcie swe zajęcia i zbliżcie się! Wysłuchajcie opowieści o Alerenie Zabójcy i Mieczu Smoków! Lecz jeśli jesteście słabego serca, idźcie dalej.

Starszy mężczyzna przemierzał deski sceny teatralnej, a jego głos rozbrzmiewał na całym placu. Brodę miał sterczącą, a jego włosy zostały

zaczesał wysoko. Na sobie miał krzykliwy strój aktora, a jego słowa zdawały się wic pomiędzy olbrzymimi kolumnami. Cithrin nie miała wątpliwości, że widzi przed sobą mistrza Kita, wiedzącego. Podeszła do sceny, zastanawiając się czy śni. Kilku innych mieszkańców Porte Oliva zatrzymało się, zwabionych gadaniną, a niewielki tłumek przyciągnął większy tłum. Opal wyszła na scenę w stroju, który sprawiał, że wyglądała na dziesięć lat młodszą. Chwilę później dołączył do niej Smit w prostej czapce robotnika. Mówił z silnym akcentem ludzi z Północnego Wybrzeża. Następnie pojawił się Hornet w pozłacanej zbroi, a za nim Sandr, który wkroczył na deski, jakby cały świat należał do niego. Cithrin zaśmiała się radośnie, a inni widzowie zawtórowali jej w klaskaniu. Stojący w tłumie Mikel i Cary posłali jej krótkie pozdrowienia. Napotkawszy spojrzenie kobiety, Cithrin udała, że wyciąga miecz, a potem wskazała na scenę. *Myślałam, że jesteście żołnierzami, a wy robicie to?* Cary przechyliła głowę z fałszywą skromnością i dygnęła wdzięcznie, po czym wróciła do dopingowania Alerena Zabójcy i wygwizdywania Króla Demonów, Orcusa.

Na zimowym placu było za zimno. Pod koniec pierwszego aktu Cithrin piekły uszy i ciekło jej z nosa. Otuliła się ramionami, ciasniej okrywając ubraniem, ale od sceny musiano by odciągać ją siłą. Historia rozwijała się niczym kwitnący kwiat. Strażnicy karawany, którzy towarzyszyli jej od miesięcy na jej oczach przeobrażali się w aktorów, aktorzy zaś stawali się odgrywanymi postaciami. Gdy Aleren Zabójca pchnął zatrutym mieczem Orcusa, Sandr i mistrz Kit wydawali się być zaledwie cieniami ludzi, których kiedyś znała. Oklaski widzów były słabe, ale szczerze. Cithrin wysupłała z sakiewki kilka monet, dorzucając je do deszczu pieniędzy upadających na scenę.

Gdy trupa zaczęła składać scenę, Opal, Mikel i Smit wyszli do niej z uśmiechami, by wymienić historie. Tak, od samego początku byli aktorami. Jedynie udawali strażników. Cary wyrecytowała otwierającą kwestię komedii przygotowywanej na upamiętnienie tej przygody. Cithrin powiedziała im – cicho, by nikt ich nie podsłuchał – o pomieszczeniach, które dzieliła z Marcusem i Yardemem. Opal poczyniła na ten temat kilka sprośnych uwag, od których Smit dostał rumieńców na twarzy. Pod koniec wszyscy śmiali się do rozpuku.

Sandr stał niedaleko wozu, gniewnie marszcząc brwi i najwyraźniej celowo nie patrząc w ich kierunku. Cithrin przeprosiła pozostałych i podeszła

do niego, myśląc, że mógł poczuć się urażony, że rozmawiała ze wszystkimi, ale nie z nim.

– Kto by pomyślał – rzuciła. – Nigdy mi nie powiedziałeś.

– Na to wygląda – odparł. Nawet na nią nie spojrział.

– Nie wiedziałam. Byłeś świetny.

– Dziękuję.

Mistrz Kit zawołał z drugiej strony wozu i Sandr zaczął ciągnąć za grubą linę, unosząc scenę, by ta oparła się o wręgę wozu. Następnie przywiązał linę, posłał Cithrin krótkie spojrzenie i pokiwał głową.

– Mam jeszcze pracę. Muszę iść.

Cithrin postąpiła krok w tył. Radość w jej sercu zastąpiła zimna pustka.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam...

– Nie szkodzi – przerwał jej Sandr. – Ja tylko...

Potrząsnąwszy głową, oddalił się, przechodząc pod drzewcami, które Smit niósł do zapakowania. Cithrin wróciła na plac. Niebo w barwie mleka nagle wydało jej się o wiele mniej przyjazne. Nie wiedziała czy może raz jeszcze zaczepić aktorów, czy też powinna sobie pójść. Nie miała pojęcia czy im nie przeszkadza. Niespodziewanie przypomniała sobie o swoim podartym ubraniu i przyklepanych włosach.

– To nie twoja wina – rzekł kobiecy głos. Cary przemknęła za jej plecami. Cary, która żądała od Yardema wskazania broni dającej kobiecie przewagę. Cary, która z łukiem przewieszonym przez ramię wyglądała jak weteranka wielu wojen. Cary, której Cithrin w zasadzie nie znała.

– Co nie jest moją winą?

– To, co robi Sandr – odparła kobieta, ruchem głowy wskazując miejsce na placu. – Od niedawna jest nowym odtwórcą głównej roli. Przez pierwszych kilka lat tacy jak on zachowują się jak straszne świnie.

Sandr stał tam z uśmiechem na twarzy. Otaczały go trzy dziewczyny w prostych strojach. Jedna z nich dotykała jego ramienia. Jej palce drgały niczym skrzydła motyla, niepewnego, czy może wylądować. Cithrin patrzyła jak chłopak posyła dziewczce uśmiech, pozerając spojrzeniem jej piersi.

– Twierdzą jedynie, że to nie ma żadnego związku z tobą – wyjaśniła Cary.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Cithrin. – To nie tak, że mi na nim zależało. Po prostu nie wiedziałam... To znaczy, myślałam...

– Wszystkie myślimy tak za pierwszymi kilkoma razami. Jeśli to coś

zmienia, to przykro mi. Obiecuję, że nasypię mu piasku do piwa w twoim imieniu.

Cithrim parsknęła wymuszonym śmiechem. Nie zauważyła, kiedy węzeł na nowo ścisnął jej żołądek, ale teraz niewątpliwie tam był.

– Nie trzeba – stwierdziła. – Po prostu taki już jest.

– Święte słowa, siostró – pochwaliła ją Cary. – Może chcesz zabrać się z nami? O zmierzchu planujemy dać jeszcze jedno przedstawienie przed pałacem namiestnika.

– Nie – odparła Cithrin, nieco za ostro. Spróbowała raz jeszcze: – Nie. Zamierzam tylko odwiedzić łaźnie i wracam do siebie. Zanim kapitan zacznie się denerwować.

– Powodzenia. Ten człowiek chyba urodził się zdenerwowany. W najlepszym wypadku czujny – dodała Cary. – Dobrze było znów cię spotkać.

Cithrin obróciła się na pięcie i ruszyła szerokimi schodami. Z wnętrza łaźni buchała para. Doszły ją odgłosy kłótni i śpiewu. Skręciła, zostawiając je za plecami. Rozbolała ją szczęka, więc zmusiła mięśnie do rozluźnienia. Jakaś część jej chciała zawrócić, zobaczyć z kim rozmawiał Sandr i sprawdzić, czy w ogóle zwróciłby na nią uwagę. Może gdyby...

Zimne powietrze sprawiło, że oczy jej zawilgotniały. Otarła łzy wierzchem dłoni. W drodze powrotnej zatrzymała się w tawernie, gdzie wypila kubek takiego samego mocnego wina jak to, które Sandr przyniósł jej tamtego wieczora przy młynie.

Nie smakowało nawet w połowie tak dobrze.

– Wszystko w porządku? – wypalił kapitan Wester, gdy tylko przekroczyła próg. – Długo cię nie było.

– Tak – odparła krótko. – Nic mi nie jest.

Dawson

Dawson Kalliam uważał Kavinpol za brzydki. Miasto przysiadło po obu stronach rzeki Uder. Jego budynki pokryto czerwono-szarym tynkiem. Miejscowe potrawy przyrządzano na bazie cebuli i ryb wyławianych z tej samej wody, do której spuszczano ścieki. Przeplatające się ze sobą mrozy i roztopy sprawiały, że ulice pokrywała sieć kałuż na wpół zamrożonego błota, na którym nieuważny koń mógł z łatwością złamać nogę. A na samym środku miasta znajdowała się rezydencja lorda Ternigana wraz z terenami łowieckimi, odgradzona od reszty świata niczym ogromny trawnik. Każdego innego roku Dawson wolałby zostać w swojej posiadłości z Clarą, a także z synami, którzy akurat postanowili zimować w domu, zamiast podążać za Królewskim Gonem.

Jednak w tym roku gon nabrał zupełnie innego znaczenia. To nie oswojone jelenie i odchowane przepiórki Ternigana miał na oku Dawson. Prywatne audiencje u króla było dużo łatwiej zaaranżować, kiedy żądał ich sam monarcha.

– Na *Boga*, Kalliam. Próbuję zachować pokój, a ty zabijasz ludzi na ulicy?

Sklepienie królewskiej komnaty ginęło w pociemniałym od sadzy półmroku ponad mężczyznami. Ogromne okna wyglądały na miasto, niczym przechwałki ze szkła i żelaza. Przesadzona, jarmarczna architektura świadczyła o bogactwie i potędze, mówiąc: *Możesz mieć to albo wygodę, ale nigdy obie te rzeczy naraz.*

Dawson spojrział na swojego przyjaciela z dzieciństwa. Zimowe miesiące odcisnęły swoje piętno w kącikach jego ust, a siwizna na skroniach przypominała pierwszy szron. Możliwe też, że oznaki starzenia i słabości były tam od dawna, ale Dawson nie chciał zauważać ich aż do teraz. Ozdobiona klejnotami szata, którą miał na sobie Simeon, a nawet sama korona, nie przywodziły na myśl symbolu władzy i wielkości równie mocno jak jeszcze przed kilkoma miesiącami. Stanowiły raczej jedynie pustą formę, niczym wyschnięty dzban czekający na napełnienie. Dawson wiedział, jakiego rodzaju odpowiedzi wymagała etykieta i czego oczekiwał Simeon. *Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie.*

– Szlachetniejsza krew zostaje przelana w Camnipolu za każdym razem,

gdy ktoś zarzyna świnie – oznajmił. – To były zbiry nasłane przez Issandriana.

– Masz na to jakiś dowód?

– Oczywiście, że nie mogę tego udowodnić, ale obaj wiemy, że to prawda. Przez niego albo przez Maasa, żadna różnica. A ty nie skracałbyś mojej smyczy, gdybyś sam wierzył, że były to zwykłe oprychy.

Cisza zwisała w powietrzu. Simeon wstał. Jego buty zachręściły na kamiennej posadzce. Wiszące na ścianach gobeliny zakołysały się. Królewska straż pełniła swoją milczącą służbę. Dawson pragnął znaleźć się z królem sam na sam. Gwardziści byli sługami, ale byli również ludźmi.

– Wasza wysokość – zaczął Dawson. – Sądzę, że nie dostrzegasz okazywanej ci lojalności. W tym mojej. Ostatnie kilka miesięcy spędziłem na prowadzeniu prywatnych rozmów z najlepiej urodzonymi Antejczykami, którzy deklarują swoje poparcie dla ciebie, przeciwko Issandrianowi i jego bandzie.

– Issandrian i jego banda to również moi poddani – powiedział Simeon. – Śmiem twierdzić, że sianie niepokoju samo w sobie jest działaniem przeciwko mnie.

– Działamy *dla* ciebie, Simeonie. Ludzie, z którymi rozmawiałem, jednoczą się w *twoim* imieniu. Żałuję jedynie, że nie jesteś z nami.

– Jeśli zacznę wypowiadać wojnę szlachebnym rodom tylko dlatego, że akurat w danym momencie zyskują władzę...

– Czy właśnie to usłyszałeś z moich ust? Simeonie, spędziłem kilka miesięcy karmiąc pochlebstwami i urabiając wszystkich, którzy mają jakiś wpływ na Ternigana. Jest już gotowy odwołać Klina z Vanai. Potrzebuje jedynie znaku od ciebie.

– Jeśli opowiem się po którejś ze stron, skończy się to rozlewem krwi.

– A jeśli tego nie uczynisz, królestwo będzie trwać w wiecznym pokoju i dobrobycie? Dobrze wiesz, że tak nie będzie.

– Smoki...

– Upadek smoków nie miał nic wspólnego z wojną. Do wojny doszło, ponieważ brakowało przywództwa. Rodzina potrzebuje ojca, a królestwo potrzebuje króla. Twoim obowiązkiem jest przewodzić, a jeśli tego nie uczynisz, nadejdzie dzień, w którym ludzie pójdą za kimś innym. *Wtedy* dopiero wkroczymy na smoczą drogę.

Simeon pokręcił głową. W oczach zatańczył mu blask płomieni. Na

zewnątrz zawył wiatr, niosąc ze sobą zapach zimy. Śnieg niczym popiół wzbił się w powietrze tuż za oknem.

– Rodzina potrzebuje ojca – powiedział król, jakby słowa te smakowały słodko i gorzko zarazem. – Gdy Eleora umarła, obiecałem jej, że zadbam o naszego syna. Nie o księcia, ale o naszego syna.

– Aster *jest* księciem – rzekł Dawson.

– Gdyby tak nie było, wciąż byłby moim synem. Sam masz dzieci. Wiesz jak to jest.

– Mam trzech synów i córkę. Barriath dowodzi statkiem pod lordem Skestininem, Vicarian pobiera nauki w zakonie, a Jorey jest w Vanai. Elisia wyszła za najstarszego syna lorda Annerina trzy lata temu i od tamtego czasu ledwie ja widuję. Ale żadne z moich dzieci, Simeonie, nie sprawiło, że stałem się *płochliwy* – warknął Dawson. A potem, nieco ciszej, dodał: – Co się z tobą stało?

Simeon wybuchnął śmiechem.

– Zostałem królem. Wszystko było dobrze, dopóki bawiliśmy się w rządzenie na podwórku albo spędzaliśmy czas na polach bitew, ale potem ojciec zmarł. I zabawa się skończyła. Koteria Issandriana nie jest moim jedynym problemem. Hallskar znów udziela schronienia piratom. Na Północnym Wybrzeżu szykują się do kolejnej wojny o sukcesję, a Asterilhold wspiera obie strony. Wpływy z podatków z Estinford nie są tak wysokie jak być powinny, więc albo ktoś kradnie pieniądze albo gospodarstwa zaczynają przynosić mniejsze dochody. A za kilka lat Aster będzie musiał wstąpić na tron i rządzić tym bałaganem.

– Nie wkrótce – powiedział Dawson. – Nie jesteśmy już młodzi, ale wciąż mamy w sobie trochę życia. Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, jak rozwiązać ten problem. Znajdź ludzi, którym ufasz i im zaufaj.

– Masz na myśli siebie i swoją koterię zamiast Issandriana i jego ludzi? – rzucił oschle król.

– Tak. Właśnie to mam na myśli.

– Wolałbym, żebyś odstąpił od swojego pomysłu i pozwolił, żeby ruch Issandriana zapadł się pod własnym ciężarem.

– Nie dojdzie do tego.

Król Simeon podniósł głowę. W jego oczach mógł błyszczeć gniew, rozbawienie albo desperacja. Ale Dawson celowo przykląkł na jedno kolano, jak człowiek okazujący poddaństwo swojemu suwerenowi. Jednak ułożenie

jego podbródka oraz ramion uczyniło z tego gestu wyzwanie. *Oto moja lojalność. Zasłuż na nią.*

– Powinieneś już iść, stary przyjacielu – powiedział król. – Muszę odpocząć przed ucztą. Muszę pomyśleć.

Dawson wstał, ukłonił się bez słowa i wyszedł. Rezydencja lorda Ternigana przypominała bezładne skupisko. Kolejne jej części dobudowywano na przestrzeni wieków pod okiem niezliczonych architektów, z których każdy najwyraźniej posiadał swoją własną wizję. W rezultacie powstał labirynt. Na każdy dziedziniec i plac można było dotrzeć jakąś niespodziewaną drogą. Korytarze wiły się i zakręcały, by ominąć przeszkody, które już dawno zburzono. Kalliam nie potrafił wyobrazić sobie lepszego zaproszenia do pchnięcia kogoś nożem w plecy.

Mężczyzna poczekał, aż królewski sługa założy mu płaszcz, udrapuje na ramionach czarną, wełnianą pelerynę i skłoni się przed nim, i dopiero wtedy wyszedł na białe zimno. Vincen Coe kroczył tuż za nim. Dawson nie odezwał się do niego słowem, ale wyglądało na to, że myśliwy również nie ma nic do powiedzenia. Przy wtórze skrzypiącej skóry i tłumionych przez śnieg kroków, minęli dziedziniec, przeszli przez szereg zawieszonych w powietrzu przejść, a następnie minęli płaski most, gdzie wiatr groził zdmuchnięciem ich jak wróbli podczas sztormu. Istniały inne drogi, ale były gęściej zaludnione, a przez to niebezpieczne. Jeśli Issandrian i Maas chcieli pozbyć się Dawsona, musieli na to zapracować.

Gościnność, którą Ternigan okazał rodowi Kalliamów obejmowała oddanie im w użytkowanie prywatnego domu, należącego kiedyś do ulubionej konkubiny króla. Kamienny budynek utrzymany był w bardzo złym guście. Otaczający go ogród – z pewnością niezwykle żywy w okresie wiosennym – stanowił obecnie zaledwie płataninę gałęzi i obumarłych krzaków. Dawson doceniał jednak jego walory obronne. Przy wejściu zostawił swój płaszcz oraz ochroniarza, po czym wkroczył do ciepłych, skąpanych w półmroku pokoi, które wypełniał zapach miętowej herbaty oraz odgłosy kobiecego szlochu.

Przez krótką chwilę myślał, że to Clara, ale przez te wszystkie lata nauczył się odróżniać jej głos od innych, a to pochlipywanie brzmiało inaczej. Bezgłośnie wytropił miejsce, z którego dochodziły dźwięki. Gdy znalazł ich źródło, jego uszu doszedł również kojący głos żony, siedzącej w komnacie, gdzie dawno zmarła konkubina zwykła się odprężyć. Clara

siedziała na niskiej sofie, a jej kuzynka Phelia – baronowa Ebbinbaugh i żona znienawidzonego Feldina Maasa – przycupnęła na podłodze obok niej, trzymając głowę na kolanach przyjaciółki. Dawson napotkał wzrok Clary, która pokręciła głową, nie przerywając cichej litanii pocieszeń. Kalliam wycofał się. Zamiast tego skierował swe kroki do pracowni, gdzie zapalił fajkę, nalał sobie whisky i wrócił do prac nad wierszem, który zaczął pisać. Clara przyszła do niego godzinę później i bezceremonialnie usiadła mu na kolanach.

– Biedna Phelia – westchnęła.

– Kłopoty w domu? – spytał Dawson, głaszcząc żonę po włosach. Kobieta wyjęła mu fajkę z ust i sama głęboko zaciągnęła się dymem.

– Wygląda na to, że mój mąż unieszczęśliwia jej męża.

– Jej mąż próbuje zabić twojego.

– Wiem, ale nie wydało mi się zbyt grzeczne, żeby wytknąć jej to, kiedy siedziała przede mną taka załamana. Poza tym, wygrywacie, prawda? Szczerze wątpię, by przyszła prosić mnie o łaskę, gdyby wiał przychylny wiatr dla Ebbinbaugh.

– Prosiła o łaskę?

– Nie w tak wielu słowach – powiedziała Clara, wstając z kolan Dawsona, ale nie oddając mu fajki. – Ale nie uczyniłaby tego, nie sądzisz? To strasznie niegrzeczne, a jestem prawie pewna, że Feldin nie wiedział nic o jej wizycie, więc proszę cię, byś nie wciągał jej w swoje wyliczenia i intrygi. Czasami wystraszona kobieta to jedynie wystraszona kobieta.

– Mimo wszystko, powinnaś wiedzieć, że raczej nie będzie jej łatwiej – powiedział Dawson. Clara wzruszyła ramionami, odwracając spojrzenie. Gdy mężczyzna przemówił ponownie, w tonie jego głosu nie brzmiała żadna wesołość: – Przykro mi. Szkoda mi zarówno ciebie, jak i jej. Jeśli to cokolwiek zmienia.

Przez długą chwilę Clara milczała, sącząc dym z fajki. Z półmroku wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości.

– Nasze światy coraz bardziej się od siebie oddalają, mężu – powiedziała w końcu. – Twój i mój. Twoje wojenki, moje pokoje. Wojna zaczyna wygrywać.

– Żyjemy w niespokojnych czasach – odparł Dawson.

– To prawda – przyznała. – Chyba... masz rację. Mimo wszystko, pamiętaj, że każda wojna ma swój koniec. Spróbuj upewnić się, że na końcu

tej wojny znajduje się coś naprawdę wartościowego. Nie wszyscy twoi wrogowie naprawdę nimi są.

– To absurd, moja droga.

– Niekoniecznie. Po prostu postrzegasz świat w zupełnie inny sposób. Phelia nie jest częścią nienawiści łączącej ciebie i Feldina. Nie bardziej niż ja. A mimo to jest narażona w równym stopniu jak ja i nasze dzieci. Phelia jest twoim wrogiem, ponieważ musi nim być, a nie dlatego, że tak wybrała. A kiedy ta wojna dobiegnie końca, pamiętaj, że mnóstwo ludzi po przeciwnej stronie straciło wiele, choć wcale nie chcieli brać udziału w walce.

– Chcesz, bym przestał? – spytał.

Clara zaśmiała się, głębokim, miłym dla ucha śmiechem. Dym uniósł się z jej ust, tworząc wzory na tle blasku świec.

– A może jeszcze powinnam poprosić słońce, by przestało zachodzić?

– Zrobiłbym to dla ciebie – zapewnił.

– Nie wątpię, że mógłbyś spróbować, ale w międzyczasie zakatowałbyś się – powiedziała. – Rób, co uważasz za konieczne. Ale pomyśl o tym, jak chciałbyś, żeby Feldin mnie potraktował, gdyby to on wygrał.

Dawson pochylił głowę. Wokół niego drewniane dźwigary i kamienne ściany próbowały dopasować się do zimowego chłodu, trzaskając i mamrocząc coś między sobą. Gdy z powrotem uniósł głowę, napotkał spojrzenie żony.

– Spróbuję – zapewnił. – A jeśli zapomnę...?

– Przypomnę ci, ukochany – powiedziała kobieta. – Po to tu jestem.

Uczta tego wieczora rozpoczęła się godzinę przed zachodem słońca i miała potrwać do chwili, gdy zgaśnie ostatnia świeca. Lord Ternigan zasiadł za głównym stołem wraz z małżonką i bratem. Simeona posadzono po drugiej stronie. Towarzyszący mu Aster, odziany w szkarłat i złotogłów, wyglądał na speszzonego za każdym razem, gdy lady Ternigan próbowała z nim rozmawiać. Jeździec dostępujący najwyższego zaszczytu – pół krwi Jasur ze szlchetnego rodu z Sarakał, który podróżował po całej Antei z Bóg jeden wie jakiego powodu – dołączył do nich, przytakując wszystkiemu i nie wnosząc absolutnie nic do rozmowy.

Na ścianach zawieszono najlepsze gobeliny Ternigana, świeczki z pszczelego wosku płonęły w uchwytych z rzeźbionego kryształu, a krążące wokół stołów psy okryto kropierzami w barwach cesarskich rodów, jako wyraz beztroski mającej nieco ożywić nastrój. Dawson siedział przy drugim

stole – dostatecznie blisko, by słyszeć, o czym rozmawiano – na którego przeciwnym końcu, zaledwie pięciu biesiadników dalej, posadzono Feldina Maasa. Ternigan raz jeszcze dowiódł, że jego lojalność była równie wątpliwa co cnota dziwki. Siedząca u boku męża Phelia Maas posyłała Dawsonowi łązawe spojrzenia. Kalliam jadł zupę. Potrawa była za słona, dodano za mało cytryny, a w rybie wciąż tkwiły ości.

– Pyszna zupa – powiedziała Clara. – Pamiętam, że moja ciotka – ale nie twoja matka, Phelio, kochanie, a ciotka Estrir, która wyszła za tego obrzydliwego fircyka z Birancour – powiadała, że nic lepiej nie podkreśla smaku rzecznych ryb niż skórka cytryny.

– Pamiętam ją – rzekła Phelia, rozpaczliwie chwytając się potencjalnej nici porozumienia. – Była na moim ślubie. Mówiła z tym okropnym akcentem.

Clara roześmiała się. Wyglądało na to, że na chwilę napięcie opadło.

Za plecami Dawsona, król Simeon odchrząknął. Kalliam nie był pewien, co takiego było w tym dźwięku, że zwróciło jego uwagę, ale włoski na karku stanęły mu dęba. Po zaciśniętych, pobladłych wargach i kielichu wina, który zastygł w pół drogi ze stołu do ust, można było poznać, że Feldin Maas również to usłyszał.

– Wszystko to stanowi daninę od twojego człowieka z Vanai? – spytał Simeon z wymuszoną beztróską.

– Nie, Wasza Wysokość. Większość tych rzeczy należy do mojej rodziny od pokoleń.

– Ach, to dobrze. To bardziej licuje mi z tym, co słyszałem o Klinie i jego podatkach. Przez chwilę myślałem, że coś przede mną ukrywasz.

Twarz Maasa pobladła. Mężczyzna odstawił kielich na stół. Dawson wziął do ust kęs ryby i stwierdził, że Clara mogła mieć rację. Cytryna rzeczywiście nadawała potrawie specyficznego smaku. Król Simeon zażartował właśnie, że podarki słane przez Klina z podbitego miasta nie wystarczyłyby nawet do udekorowania sali biesiadnej. Odpowiedziały mu same śmiechy. Sir Alan Klin miał zostać odwołany jeszcze przed roztopami.

– Mam nadzieję, że mi wybaczycie – powiedział Dawson. – Zew natury.

– Rozumiemy – rzekł Feldin Maas, cedząc słowa. – Z wiekiem pęcherz jest coraz słabszy.

Dawson rozłożył dłonie w geście, który można było odczytać jako uznanie dla dowcipu lub jako prowokację. *Poużywaj sobie, mały człowieczku.*

Używaj sobie póki możesz.

Nim Dawson dotarł na skraj sali biesiadnej, u jego boku bezszelestnie pojawił się Coe. Znalazłszy się w szerokim, kamiennym korytarzu prowadzącym do prywatnych pokoi gościnnych, Kalliam przystanął, a Coe wraz z nim. Nie minęło wiele czasu zanim dołączył do nich Canl Daskellin, baron Watermarch, zaledwie sylwetka na tle świateł bijących od sali biesiadnej.

– Świetnie – mruknął Daskellin.

– Zgadza się – odparł Dawson.

– Chodź ze mną. – Obaj mężczyźni udali się do jednego z pokoi. Coe ruszył za nimi, ale zostawił lepszym od siebie więcej przestrzeni. Dawson zachodził w głowę, co zrobiłby młodzieniec, gdyby kazał mu odejść. Z jednej strony myśliwy nie mógłby odmówić. Z drugiej zaś, Coe odpowiadał przed Clarą. Z pewnością znalazłby się w niewygodnej sytuacji. Psotna natura Dawsona podpowiadała mu, by to sprawdzić, ale w tym samym momencie odezwał się Daskellin, skupiając jego uwagę na ważniejszych kwestiach.

– Udało mi się porozmawiać z Terniganem. Jest po naszej stronie.

– Dopóki nie zmieni zdania – powiedział Dawson.

– Tak, dlatego właśnie musimy działać szybko. Myślę, że możemy wskazać odpowiedniego kandydata na zastępstwo dla Klina, ale...

– Wiem.

– Rozmawiałem z moimi przyjaciółmi w Camnipolu. Hrabia Hiren stanowiłby dobry wybór, gdyby żył.

– Kuzyn Issandriana? Co takiego przemawiało na jego korzyść?

– Skłócony kuzyn – poprawił go Daskellin. – Ale niestety martwy kuzyn. Jego największą zaletą było to, że nie darzył Issandriana miłością, a na dodatek nie był w żaden oczywisty sposób powiązany z nami.

Dawson splunął.

– Jak to możliwe, że tak szybko doszliśmy do punktu, w którym nie chcemy obsadzić na stanowisku jednego z naszych wrogów *ani* jednego z naszych.

– Takie są niebezpieczeństwa spiskowania – skwitował Daskellin. – Zawsze rodzi to pewną nieufność.

Dawson skrzyżował ramiona na piersi. W głębi serca chciał, żeby to jego syn Jorey zasiadł na tronie księcia. Na swoim potomku mógł polegać w sposób, jakiego nie zapewniłaby mu zwykła polityka. Rzecz jasna, właśnie

dlatego przysięgał, że tego nie uczyni. Vanai należało odebrać Issandrianowi. Nie mogli oddać go jednak w ręce żadnego z członków niedawno ogłoszonego sojuszu Dawsona, nie ryzykując przy tym rozłamu. Kalliam przewidział to już wcześniej. Miał gotową kontrpropozycję.

– Posłuchaj, Canl. Vanai zawsze stanowiło jedynie niewielki wycinek całości – powiedział ostrożnie.

– To prawda.

– Gdy Klin zostanie odwołany, Issandrian straci dostęp do pieniędzy, ale miasto wciąż pozostanie jego przedsięwzięciem. Maas nakłaniał do tego, by je przejąć. Klin walczył o jego zdobycie i miał je pod swoją kontrolą. Jeśli osadzimy na jego miejscu kogoś, kto nie jest kojarzony z nami, w opinii wielu ludzi miasto wciąż będzie znajdowało się w rękach Issandriana.

– Ale kogo z naszych możemy tam wysłać?

– Nikogo, w tym rzecz. Nie mamy jak odebrać go Issandrianowi w oczach dworu. Ale możemy teraz wpłynąć na to, co o nim będą mówić. Co jeśli rządy w mieście okażą się kompletną katastrofą? Miasto ucierpi na nieudolności swojego zarządcy, a wraz z nim ucierpi reputacja Issandriana.

Daskellin zatrzymał się. W słabym blasku świec bijącym od sali biesiadnej Dawson nie był w stanie odczytać wyrazu twarzy swego rozmówcy. Ruszyli dalej.

– Mój najmłodszy syn jest na miejscu – wyjaśnił Kalliam. – Regularnie śle do mnie listy. W Vanai stacjonuje z nim syn Lerera Palliako. Ma na imię Geder. Klin wykorzystywał go do wykonywania brudnej roboty. Nikt go nie lubi ani go nie szanuje.

– Dlaczego? To jakiś półgłówek?

– Gorzej. To jeden z tych ludzi, którzy wiedzą *wyłącznie* to, co wyczytali w książkach. Jeden z tych, którzy po przeczytaniu relacji z morskiej wyprawy, myślą, że zostali kapitanami okrętu.

– Więc chcesz, żeby Ternigan osadził tego Gedera Palliako w miejsce Klina?

– Jeśli połowa z tego, co o nim słyszałem jest prawdą – rzekł Dawson z uśmiechem – to nie ma lepszego kandydata do stracenia Vanai.

Marcus

Noc w dzielnicy solnej Porte Oliva nigdy nie była cicha. Nawet głęboką nocą, gdy światło księżyca nie oświetlało ulic, słychać było dźwięki. Głosy uniesione w śpiewie lub gniewie, marcowanie i pomiaukiwania dzikich kotów. A w pomieszczeniach wynajętych przez Westera i Yardema powolny, spokojny oddech dziewczyny, która w końcu spała. Marcus zaczął zauważać różnicę między sposobem, w jaki oddychała śpiąc, a tym, gdy jedynie próbowała zasnąć. Była to pewna zażyłość, o której nigdy nie wspominał.

Yardem przycupnął na podłodze przed migoczącymi węglami paleniska. Uszy skierowane w przód, oczy wpatrzone w pustkę. Marcus wielokrotnie był świadkiem jak Tralgur spędzał tak całe noce – w bezruchu, oczekujący, czujny bez konieczności angażowania świadomości. Yardem nigdy nie zasypiał na warcie i nigdy nie miał problemów z zaśnięciem po służbie. Owinięty kocem, cierpiący bezsenną noc Marcus zazdrościł mu tego.

Zima wciąż trzymała miasto w swoich kleszczach, choć wyglądało na to, że morskie szlaki miały zostać otwarte na przestrzeni najbliższych tygodni. Okręt z Porte Oliva do Carse był znacznie szybszym rozwiązaniem niż podróż drogą lądową przez Birancour. A dopóki będą w stanie utrzymać w tajemnicy przed kapitanem i załogą, co właściwie wiozą...

Nagle rozległ się cichy odgłos szurania, który jednak niemal natychmiast umilkł. Skórzana podeszwa na kamieniu. Yardem nieznacznie wyprostował plecy. Spojrzał na Marcusa, po czym wskazał raz w kierunku nieprzejrzystego okna, a potem na drzwi. Wester skinął głową i powoli zszedł z łóżka, uważając, by płótno nie zaskrzypiało pod jego ciężarem. Zrobił ostrożny krok w stronę okna, podczas gdy Yardem stanął obok drzwi. Dobywając sztyletu, Marcus przytrzymał palec na ostrzu, by wyciągana z pochwy stal nie zaśpiewała. Cithrin chrapnęła za jego plecami.

Kimkolwiek byli, robili to już wcześniej. Drzwi otworzyły się gwałtownie w tej samej chwili, w której mężczyzna wskoczył przez przesłonięte pergaminem okno. Marcus kopnął nisko, trafiając przeciwnika w kolano. Gdy napastnik próbował odzyskać równowagę, Wester poderzwał mu gardło. Tuż za nim do pomieszczenia wpadło kolejnych dwóch ludzi. Mieli sztylety. Miecze byłyby zbyt nieporęczne na tak niewielkiej przestrzeni. Marcus miał nadzieję, że będą mieli miecze.

Yardem stęknął, jak zwykł czynić, gdy podnosił coś ciężkiego i wkrótce potem ktoś nieznamy krzyknął z bólu. Nożownik po lewej stronie Marcusa wykonał serię krótkich cięć, mających na celu ściągnięcie jego uwagi i zepchnięcie go do obrony, podczas gdy drugi napastnik próbował zająć go od boku. Mężczyźni byli dobrze zbudowani, ale nie masywni. Czyli Pierworodni lub Jasurowie, a nie Yemmurowie czy Haavirkinowie. Marcus zignorował udawany atak, zamiast tego wykonując fintę, by uniemożliwić mężczyźnie po prawej oflankowanie go. Pierwszy napastnik zobaczył dziurę w jego zasłonie i pchnął tam swoim ostrzem. Marcus poczuł wybuch bólu na wysokości żeber, ale postanowił go zlekceważyć. Za jego plecami chrupnęła kość. Nikt nie krzyknął.

– Poddajemy się – powiedział Marcus, robiąc wypad. Swoją stopę postawił tuż za nogą napastnika po prawej. Gdy wyciągnął przed siebie nóż, mężczyzna odruchowo cofnął się, potykając. Marcus wbił ostrze w krocze przeciwnika, ale ten manewr sprawił, że znów zostawił lukę w obronie. Pierwszy zbir, posmakowawszy już krwi, rzucił się na niego. Marcus wykręcił ciało. Wrogie ostrze jedynie drasnęło go w ramię. Wester upuścił broń i chwycił łokieć napastnika, ale ten napał na niego, wyginając Marcusa w tył samym swoim ciężarem. Jego gorący oddech cuchnął piwem i rybami. Blask rozżarzonych węgli połyskiwał na łuskowatej skórze i groźnie wyglądających, ostrych zębach. Czyli Jasurowie. Marcus poczuł, że sztych wrogiego ostrza naciska na jego podbrzusze. Jedno pchnięcie i mężczyzna wypatroszy go jak pstrąga.

– Yardem? – stęknął Marcus.

– Sir? – odezwał się Tralgur. – Ach, przepraszam.

Ostrze sztyletu wyszło lewym oczodołem Jasura. Kapiąca z rany krew wydawała się niemal czarna w bezbarwnym półmroku. Napastnik pchnął nożem ostatkiem sił, ale Marcus poczuł, że z mężczyzny uszło życie i pozwolił, aby jego ciało osunęło się na ziemię.

Trzej napastnicy leżeli obok rozdartego okna, martwi lub umierający. Kolejny spoczywał bez ruchu na podłodze. Jedna z jego dłoni wylądowała w palenisku i zaczynała skwierczeć. Ostatni siedział oparty o ścianę u stóp Yardema, z głową wykręconą pod niemożliwym kątem. Pięciu mężczyzn. Silnych i doświadczonych. *To, pomyślał Marcus, bardzo, ale to bardzo niedobre.*

– O co chodzi? – spytała półprzytomna Cithrin. – Coś się stało?

– Na zewnątrz – powiedział Yarem. Marcus również to usłyszał. Pośpiesznie oddalające się kroki.

– Zostań tutaj – rzucił Wester, wyskakując przez okno.

Skąpane w ciemności ulice pozbawiły go wzroku, ale mimo to sadył długie susy, wkładając w każdy krok maksimum wysiłku i mając nadzieję, że jego stopa nie natrafi na zmrożoną kałużę albo niespodziewaną przeszkodę. Przed sobą słyszał odgłos stóp uderzających o bruk. Coś dużego i zwierzęcego syknęło, gdy Marcus przebiegał obok. W płucach go paliło. Czuł chłód bijący od rany na ramieniu i boku. Uciekinier pośliznął się, stracił równowagę i skręcił w lewo. Wester był coraz bliżej.

Ulica wychodziła na szerszy plac. Tam, w świetle gwiazd, Marcus ujrzał umykającą postać. Była mała, okutana ciemnym płaszczem z kapturem przykrywającym głowę i włosy. Przebranie nie miało większego sensu. Już po dwóch krokach rozpoznał kobietę z równą łatwością, jakby spojrzął jej prosto w twarz.

– Opal! – krzyknął. – Lepiej będzie, jeśli się zatrzymasz.

Aktorka zawahała się, po czym ruszyła dalej, udając, że nie została rozpoznana. Marcus zaklął, zacisnął zęby i biegł dalej. Spowite mrokiem miasto nie zwracało na niego uwagi. Opal mknęła uliczkami i alejkami, rozpaczliwie próbując zmylić go albo zmęczyć. Marcus ignorował ból i nie dawał za wygraną, uporczywie stawiając nogę za nogą, dopóki Opal nie zatrzymała się przy szerokim zbiorniku na wodę, nie padła na kolana i nie skryła twarzy w dłoniach. Jej płuca pracowały jak miechy. Marcus dopadł do niej chwiejnym krokiem i przysiadł na ziemi. Oboje dyszeli jak starzy ludzie. Światło gwiazd zaśniło na jej jasnych włosach.

– To... – powiedziała Opal pomiędzy wdechami. – To nie tak jak myślisz. Musisz mi uwierzyć.

– Nie – odparł Marcus. – Wcale nie muszę.

– Nie wiedziałem – powiedział mistrz Kit. – Powinienem być, ale nie wiedziałem.

Były wiedzący Marcusa wciąż miał na sobie pasiastą koszulę nocną z wełny i przylegającą do głowy szlafmycę.

To, jak również fakt, że mężczyzna spał jak zabity na tyłach wozu trupy aktorów, gdy dotarł do niego Marcus, przemawiało za jego niewinnością. Mistrz Kitap rol Keshmet nie wyglądał na człowieka, który lada moment miałby uciekać ze skradzionym złotem. Marcus na to właśnie liczył.

Pomieszczenia, w których siedzieli, zostały wynajęte od browarnika. Przez większość roku składowano tu owies i sód przeznaczone do warzenia trunku, dlatego powietrze przesycone było ich zapachem. Stół zbity został z zaledwie trzech desek leżących na stercie starych cegieł, natomiast zydle zajmowane przez Marcusa, Kita i skompromitowaną Opal przypominały coś, czego chłopci mogliby używać w stajniach. W migotliwym świetle samotnej świeczki mistrza Kita oczy Opal tonęły w kałużach ciemności. Jej argument jakoby wszystko to było zaledwie nieporozumieniem i że znalazła się tam, by chronić Cithrin, rozpląnął się niczym poranna rosa, gdy tylko stary aktor wszedł do pomieszczenia. Została jedynie posępna cisza.

– Twierdzisz więc, że sama to wszystko obmyśliła i że nikt inny niczego nie podejrzewał – powiedział Marcus.

Mistrz Kit westchnął.

– Podróżuję z Opal dokładnie tyle, co... cóż, co z kimkolwiek innym. Myślę, że zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, jak mnie oszukać. Kapitanie, gdyby choćby skłamała mi na ten temat, wiedziałbym o tym.

– Zostaw go w spokoju, Wester – odezwała się kobieta. – To nie jego sprawka, tylko moja.

Po raz pierwszy otwarcie przyznawała się do wszystkiego. Marcus nie czerpał z tego żadnej przyjemności.

– Nie rozumiem jedynie dlaczego – powiedział Kit. Nie zwracał się już do Westera. – Myślałem, że Cithrin to twoja ulubienica.

– Ile lat mi jeszcze zostało? – spytała Opal. Jej głos był ostry jak dojrzały ser. – Już teraz myślisz nad obsadzeniem Cary w roli lady Kaunitar. Za pięć lat zostaną mi tylko role wiedzmy i babci, a potem przyjdzie dzień, kiedy ty i cała reszta odjedziecie z jakiejś śmierdzącej gównem wioski, a ja nie.

– Opal... – zaczął stary aktor, ale kobieta uniosła dłoń.

– Wiem, jak jest. Zaczęłam być aktorką, kiedy byłam młodsza niż Sandr teraz. Widziałam, co mnie czeka. Nawet się z tym pogodziłam. Ale kiedy ta dziewczynka z banku pojawiła się dosłownie znikąd i... – Kobieta wzruszyła ramionami. W tym ruchu zawarte było całe jej znużenie i rezygnacja.

Znużenie i rezygnacja, pomyślał Marcus, ale nie żal.

– W porządku – wtrącił Wester. – Mamy inny problem.

Mistrz Kit znów przeniósł na niego spojrzenie. W oczach mężczyzny stały łzy, ale poza tym jego mina nie wyrażała niczego.

– Mam pięć trupów – wyjaśnił Marcus. – I niecałe trzy godziny do

wschodu słońca. Jeśli pójdę z tym do ludzi królowej, będę musiał wyjaśnić, co zaszło i co takiego trzymamy w skrzyniach, że warto za to zabić. Jakakolwiek nadzieję na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy szlag trafi. Do tego dodajmy, że musimy przenieść wszystkie dobra na wypadek, gdyby przyjaciele Opal mieli swoich przyjaciół. Sprzedaliśmy nasz wóz. Wy wciąż macie swój.

Rana na ramieniu nieprzyjemnie zdrętwiała, ale draśnięcie na żebrach otwierało się za każdym razem, gdy brał głębszy oddech. Marcus podejrzewał, że kwestia przenosin była jedną z tych rzeczy, przed którą Kit mógłby się wzdragać. A miał nadzieję na uniknięcie długich negocjacji. Spoglądał w ciemne oczy mistrza Kita, podczas gdy aktor ważył nieprzyjemne opcje.

– Wygląda na to, że nasza kompania jest panu coś winna, kapitanie Wester – powiedział w końcu. – Co mogę dla pana uczynić?

Godzinę później znaleźli się z powrotem w niewielkich pokojach w dzielnicy solnej. Trup został zdjęty z paleniska i rozniecono nowy ogień. Hornet i Smit z ponurą determinacją łatali dziurę w pergaminie przy użyciu kawałków tkaniny, a Cary, Sandr i Mikel przyglądali się zwłokom ułożonym pod ścianą jak sągi drewna. Mistrz Kit siedział z ponurą miną na przewróconym wózku ręcznym. Cithrin przycupnęła na skraju łóżka z podkulonymi nogami i pustym wyrazem twarzy. Ani razu nie spojrzała na Opal, a kobieta odwdzięczała się jej dokładnie tym samym. Pomieszczenie, które już wcześniej wydawało się ciasne, teraz groziło przeludnieniem.

– We wschodnim wale istnieje wyrwa, niedaleko ulicy piekarzy – rzekł w zamyśleniu mistrz Kit. – Nie pamiętam, żeby była w jakiś sposób osłonięta, ani dlaczego w ogóle tam byłem, ale myślę, że mógłbym was tam zaprowadzić.

– Nawet po ciemku? – spytał Marcus.

– Tak. Poza tym, jeśli my nie mamy powodów, żeby tam przebywać, to wątpię, by ktokolwiek inny miał tam jakiś interes.

– Wyglądają tak spokojnie – powiedział Mikel. – Nie sądziłem, że będą tak wyglądać.

– Wszyscy ludzie po śmierci zaznają spokoju – rzekł Marcus. – To właśnie czyni ich martwymi. Ale teraz musimy pozbyć się tych pięciu sukinsynów. I nie mamy za wiele czasu. Jak daleko jest to miejsce?

– Zobaczą nas – powiedziała Cithrin. – Znajdą nas. Dziesięć osób

niosących pięć ciał? Jakim sposobem to...?

Dziewczyna potrząsnęła głową i spuściła wzrok. Jej twarz była jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Pozostali milczeli. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, w pokoju spoczywałyby jedynie trzy ciała, w tym jej. Marcus widział, że świadomość ta gryzie dziewczynę, ale nie miał teraz czasu tego naprawiać, ani pomysłu, jak mógłby to zrobić.

– Mistrzu Kicie? – odezwała się zamyślona Cary. – A co ze sceną festiwalową z Szaleństw Andricore’a?

– Chyba nie mówisz poważnie – odparł mężczyzna.

– A jednak – powiedziała kobieta. Następnie zwróciła się do Yardema: – Będziesz w stanie sam unieść jednego z nich na ramieniu?

Tralgur skrzyżował ramiona na piersi, marszcząc brwi, ale skinął głową. Twarz mistrza Kita wciąż była blada, ale aktor wstał, postawił wózek z powrotem na kołach, rozważając tę propozycję. Dla kontrastu, policzki Cary zupełnie spąsowiały.

– Yardem weźmie jednego – wyjaśniła. – A Smit i Hornet tamtego mniejszego. Sandr i Cithrin powinni udźwignąć tego nieszczęśnika z brodą. Dwóch położymy na wózku. Mikel będzie ich podtrzymywać, a ty i kapitan będziecie pchać. Ja i Opal zabierzemy pochodnie i...

– Nie Opal – zaprotestował Kit. – Ona zostanie ze mną.

– W takim razie zabiorę Cithrin – powiedziała Cary bez chwili namysłu. – Opal pomoże Sandrowi.

– Gdzie masz zamiar zabrać Cithrin? – spytał cicho Marcus.

– Tam, gdzie będziemy mogły dopilnować, że nikt nie zwróci uwagi na was – oznajmiła Cary, podchodząc do łóżka i usiadła obok wątlej dziewczyny. Ciemnowłosa aktorka objęła ramieniem Cithrin, posyłając jej pogodny uśmiech. – Chodź, siostrze. Jesteś gotowa wykazać się odwagą?

Cithrin zamrużyła powiekami, żeby pozbyć się łez.

– Kit? – powiedział Marcus.

– Szaleństwa Andricore’a. To komedia napisana przez poetę z Cabral – wyjaśnił aktor. – Księżę miasta umiera w burdelu, a jej bohaterowie zmuszeni są dostarczyć ciało do łóżka jego żony, zanim ta się obudzi.

– I jak im się to udaje?

– To komedia – odparł mistrz Kit, wzruszając ramionami. – Pomóż mi z tym wózkiem, dobrze?

Nie dysponowali pochodniami, ale wystarczyły im dwie cynowe latarenki

znalezione w mniejszym pomieszczeniu. Pod kierownictwem Cary i przy użyciu kilku szpilek, sukienki obu kobiet zostały skrócone u dołu, zaś u góry odsłoniły ich szyje oraz plecy. Ich włosy opadały łagodnymi falami, sprawiając wrażenie jakby miały zaraz się rozsypać, niczym ruina jakiegoś bardziej wymyślnego uczesania. Cary podmalowała usta i policzki Cithrin, jak również krągłości jej piersi. W półmroku obie wyglądały jak wyrzeźbione ze światła i obietnicy seksu.

– Policz do trzystu – rzekł mistrz Kit do Cary. – Potem idźcie naszym śladem. Jeśli dam znak...

– Zaczniemy śpiewać – dokończyła za niego Cary, po czym spojrzała na Cithrin. – Ściągnij łopatki, siostró. Jesteśmy tu po to, by nas podziwiano.

– Yarem? – mruknął Marcus, gdy Tralgur podniósł jedne zwłoki.

– Sir?

– Dzień, w którym wrzucisz mnie do rowu i przejmiesz dowodzenie nad kompanią?

– To ja jestem kompanią, sir.

– Słuszna uwaga.

Pozwolili, aby spowił ich mrok. Zimno było dotkliwie. Każdy oddech Marcusa pojawiał się przed nim w postaci obłoku pary. Bruk sprawiał wrażenie zrobionego z lodu. Od wózka ciągnął smród śmierci, duszny i żelazisty, znany mu równie dobrze jak jego własne imię. Ciągący wózek mistrz Kit oddychał szybko, jakby dostawał zadyszki. Żywi prowadzili martwych po ciemnych ulicach, kierowani jedynie blaskiem gwiazd i pamięcią. Wysychająca krew pokryła bok Marcusa, szarpiąc za krawędzie rany przy każdym ruchu. Mężczyzna zmuszał się do parcia przed siebie. Wszystko to wydawało się trwać całą wieczność. Ból w palcach ustąpił odrętwieniu, by wkrótce wybuchnąć z nową siłą. Za plecami usłyszał nagle głos Cary rozbrzmiewający słowami sprośnej piosenki, a chwilę później, niczym trzcina wtórująca trąbce, dołączyła do niej Cithrin. Spojrzał przez ramię. Zaledwie jedną przecznicę za nimi, dwie skąpo odziane kobiety trzymające nad głowami swoje latarenki, musiały stawić czoła patrolowi gwardzistów królowej. Marcus stanął w miejscu. Wózek zwolnił, gdy przestał go pchać.

– Kapitanie – syknął ponaglająco Kit.

– To głupota – powiedział Marcus. – To nie jest wasza komedia, a ulica to nie scena. Tamci ludzie mają miecze i władzę. Stawianie przed nimi kobiet

w nadziei, że wszystko będzie dobrze jest...

– Tym, na co się zdecydowaliśmy, kapitanie – przerwał mu aktor. – A przyczyna, dla której to zrobiliśmy, leży tu, na wózku. Teraz niech pan zacznie go ciągnąć.

Cary ze śmiechem zrobiła obrót w świetle latarni. Jeden z gwardzistów okrył ramiona Cithrin peleryną. Marcus zdał sobie sprawę, że odruchowo dobył sztyletu. *Nie można im ufać*, pomyślał Wester, obserwując strażników spokoju w zielono-żółtych płaszczach. *Nie możecie im ufać*.

– Kapitanie? – spytał Yardem.

– Idź. Nie zatrzymuj się – odparł Marcus i sam zmusił się do odwrócenia.

Wyłom w wale znajdował się na wschodnim krańcu miasta. Kamienny chodnik, biały od śniegu i ptasich odchodów, ale poczerniały w miejscach skutych lodem, wychodził na niewidoczny ocean. Mewy gnieździły się w spółkaniach na murze wokół nich, a także w ścianie urwiska poniżej. A oto i samotny wyłom, nie szerszy niż drzwi, w miejscu, gdzie kiedyś zbudowano maszynę obłęzniczą, dawno już przeżartą rdzą, mającą chronić port przed wrogami równie martwymi, co niesione przez nich ciała.

Poruszali się szybko i bezgłośnie. Yardem podszedł do wyrwy i zrzucił trupa z ramienia, wprost w objęcia mleczej, porannej mgły. Potem Smit i Hornet, którzy wyglądali, jakby pomagali pijanemu towarzyszowi przekroczyć próg domu. Następnie, opróżnili nad przepaścią wózek z ludzkim ładunkiem. Na końcu do krawędzi zbliżyli się Sandr i Opal. Kobieta wyraźnie utykała pod ciężarem zwłok. Ostatni z nożowników zniknął za murem. Nie usłyszeli żadnego plusku. Jedynie wycie wiatru, wrzaski ptaków i odległy pomruk fal.

– Yardem – powiedział Marcus – wracaj do naszego schronienia. Ja znajdę Cithrin.

– Tak jest, sir – rzekł Tralgur służbiście i rozplynął się w mroku.

– Będziemy potrzebować pieniędzy na zapłacenie kar – zauważył Smit. – Stać nas na to?

– To dziwne, że karzą ludzi za publiczne obnażanie się – stwierdził Sandr. – W większości miejsc za takie widoki trzeba zapłacić.

– Zrobimy, co musimy zrobić – uciął rozmowę mistrz Kit. – Wracajcie do wozu. Wydaje mi się, że mamy z kapitanem sprawę do załatwienia. Opal, zostań z nami.

Aktorzy stali przez chwilę w milczeniu, po czym niespiesznie oddalili się.

Marcus nasłuchiwał cichnących kroków. Sandr powiedział coś, na co Smit odpowiedział ponurym głosem. Wester nie wyłapał słów. Mistrz Kit i Opal trwali na swoich miejscach, przypominając cienie na tle półmroku. Marcus chciał spojrzeć im w twarze, ale jednocześnie cieszyło go to, że nie mógł tego zrobić.

– Nie mogę oddać jej w ręce gwardzistów – powiedział.

– Wiem – rzekł mistrz Kit.

– Nie powiedziałam nikomu innemu – broniła się kobieta. – Jedyni pozostali przy życiu ludzie, którzy wiedzą o fortunie tej dziewczyny, wiedzieli o niej już wcześniej.

– Chyba, że jeden z twoich przyjaciół pływających tam na dole sprzedał tę informację dalej – zauważył Marcus.

– Chyba że – przyznała Opal.

– Wygląda na to, że mamy dwa wyjścia, kapitanie. Nie chce pan zwracać się do wymiaru sprawiedliwości. Więc albo Opal odejdzie stąd wolno, albo nie.

– To prawda – przytaknął Wester.

– Bardzo chciałbym, żeby puścił ją pan wolno – powiedział Kit. – Straciła już miejsce u mojego boku, a właśnie pomogliśmy wam uporać się z problemem. Został pan ranny, ale Yardem Hane jest cały i zdrow. Podobnie jak Cithrin. Nie mogę powiedzieć, że nic się nie stało, ale mam nadzieję, że jest tu jakieś miejsce na litość.

– Dziękuję, Kit – szepnęła Opal.

Marcus spojrzał w górę. Niebo na wschodzie zaczęło promienić blaskiem przedświt. Gwiazdy na firmamencie wciąż migotały, ale najbledsze już zniknęły. Kolejne miały zgasnąć w ciągu najbliższych minut. Powiedziano mu kiedyś, że gwiazdy tak naprawdę świeciły zawsze, tyle że za dnia nie sposób było ich dostrzec. To samo słyszał na temat dusz zmarłych. Nie wierzył w żadną z tych rzeczy.

– Musiałbym wiedzieć, że nigdy więcej się do nas nie zbliżysz – powiedział w końcu.

– Przysięgam – obiecała Opal, kurczowo uczepiając się wypowiedzianych przez niego słów. – Przysięgam na wszystkich bogów, że więcej nie będę tego próbować.

Mistrz Kit niespodziewanie wydał z siebie jęk bólu, jakby ktoś go uderzył. Marcus zrobił krok w jego stronę, ale wtedy stary aktor przemówił.

Jego głos był czysty i silny, ale niewysłowienie smutny.

– Och, moja biedna, kochana Opal.

– Kit – szepnęła kobieta. W sposobie, w jaki wypowiedziała to słowo, pobrzmiwała poufałość, która nakazała Marcusowi ponownie przemyśleć wszystko, co wiedział na temat tej dwójki oraz tego, co łączyło ich w przeszłości.

– Ona kłamie, kapitanie – powiedział stary aktor. – Chciałbym, żeby było inaczej, ale ma pan moje słowo, że tak właśnie jest. Jeśli stąd odejdzie, to tylko z intencją powrotu.

– Cóż – mruknął Marcus – w takim razie mamy problem.

Cień będący Opal rzucił się do ucieczki, ale Marcus zastąpił mu drogę. Kobieta skoczyła mu z paznokciami do oczu i spróbowała nieudolnie kopnąć go w krocze.

– Proszę. On nie ma racji. Kit nie ma racji. *Błagam*, puśćcie mnie.

Rozpacz w jej głosie, *strach*, sprawiał, że miał ochotę zejść jej z drogi. Był żołnierzem i najemnikiem, a nie zbirzem, który zabijał kobiety dla zabawy. Zrobił pół kroku do tyłu, ale potem przypomniał sobie Cithrin siedzącą z podkulonymi nogami na łóżku, a potem stawiającą czoła nocnemu patrolowi z głupią piosenką na ustach. Obiecał ją chronić, jeśli to możliwe. Nie tylko wtedy, gdy było to przyjemne.

Wiedział, co należało zrobić.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział.

Geder

Geder wiedział oczywiście, że faworyci Klina otrzymali lepsze kwatery, a ludzie tacy jak on musieli zadowolić się resztkami. Jednak skala tej zniewagi była dla niego do tej pory dość niejasna. Mężczyzna siedział na niskiej kanapie obłożonej jedwabiami. Wysokie okna rozświetlały posadzki światłem promieni słonecznych, które przypominały mleko wylewające się z dzbana trzymanego przez Boga. Kadzidła przesycaly powietrze zapachem wanilii i paczuli. Złote zdobienia i klejnoty połyskujące nad paleniskiem nie zostały rozkradzione. Jeszcze zanim cesarscy żołnierze zajęli ulice, dano im do zrozumienia, że dom księcia jest nietykalny. Nie dlatego jednak, że należał do księcia, a dlatego, że miał wpaść w ręce Ternigana. A potem Klina. A potem, co było zupełnie nie do pomyślenia, Gедера.

– Lordzie protektorze?

Geder zerwał się na równe nogi, jakby ktoś przyłapał go na dotykaniu czegoś, czego nie powinien. Majordomus był starym timzinejskim niewolnikiem. Jego ciemne łuski poszarzały i spękały. Nosił teraz szaroniebieską liberię rodu Palliaków, a przynajmniej coś, co mogłoby ją przypominać.

– Pana sekretarze czekają, sir – oznajmił Timzinejczyk.

– Tak – powiedział Geder, skubiąc czarną, skórzaną pelerynę, którą zabrał ze swoich starych kwater. – Tak, oczywiście. Zaprowadź mnie tam.

Rozkazy przysły trzy dni temu. Lord marszałek odwołał Alana Klina do Camnipolu, ku rozpaczy jednych, uciesze innych i niczyjemu zaskoczeniu. Zadziwiającym rozwojem wydarzeń było natomiast to, kogo Ternigan powołał w zastępstwie za niego, do czasu aż król Simeon wskaże trwałego namiestnika. Geder przeczytał rozkaz przynajmniej dziesięć razy, sprawdził pieczęć i podpis, a potem przeczytał list jeszcze raz. Sir Geder Palliako, syn wicehrabiego Rivenhalm Lerera Palliako, był teraz protektorem Vanai. Rozkaz stale nosił przy sobie, schowany w sakwie przy pasie, niczym mistyczną relikwię – tajemniczą, niesamowitą i nie do końca bezpieczną.

Jego pierwszą myślą, po tym jak minęła fala niedowierzania, było, że Klin odkrył jego zdradę i w taki sposób chciał wyrzucić swoją zemstę. Gdy wszedł do sali obrad, wypełnionej osobami mianowanymi przez Klina, za wyjątkiem krzesła umieszczonego na podwyższeniu, znów naszły go

wątpliwości. W żołądku mu się przewracało, a dłonie zaczęły drżeć. Krew w żyłach zdawała się być słaba jak woda, gdy wszedł na podium i opadł z zakłopotaniem na swoje oficjalne miejsce. Kiedyś pomieszczenie służyło za kaplicę. Geder otaczały ikony bogów, w których nigdy nie wierzył. Ludzie posyłali mu nieprzychylnie spojrzenia, w najlepszym wypadku obojętne, w najgorszym – otwarcie pogardliwe. Kilka krzeseł pozostało pustych. Wcześniej zajmowali je ludzie lojalni Klinowi, którzy postanowili zrezygnować z mandatów i wrócić z nim do Antei. Geder żałował, że nie mógł pojechać z nimi.

– Lordowie – zaczął Geder. Brzmiał, jakby ktoś go dusił. Odkasznął, odchrząknął i spróbował raz jeszcze. – Moi lordowie, jestem pewien, że znacie już rozkazy lorda marszałka Ternigana. Ja, oczywiście, jestem na równi zaszczycony, jak i zaskoczony, podejrzewam zresztą, że podobnie jak wy wszyscy.

Zachichotał. Nikt inny nie odezwał się słowem. Geder przełknął ślinę.

– To ważne, by miasto nie ucierpiało na niepokojach związanych z tą zmianą. Chciałbym, byście wszyscy kontynuowali wcielanie w życie wskazówek i rozkazów wydanych przez lorda Klina, aby ta... eee... zmiana, którą...

– Masz na myśli politykę, która doprowadziła do odwołania go przez Ternigana, panie? – Pytającym był Alberith Maas, najstarszy syn Estriana Maasa i bratanek jednego z najbliższych sojuszników Klina, Feldina.

– Słucham?

– Rozkazy – powtórzył młodzieniec. – Te same, przez które lord Klin wypadł z łask króla, a ty chcesz, byśmy wypełniali je dalej?

– Na razie – powiedział Geder – tak.

– To odważne posunięcie, lordzie protektorze.

Ktoś zachichotał. Geder poczuł wstyd, a chwilę później gniew. Zacisnął zęby.

– Gdy nakazę coś zmienić, upewnię się, że wieść o tym dotrze do ciebie, lordzie Maas – oznajmił. – Wszyscy będziemy musieli pracować, by zapanować nad bałaganem panującym w Vanai.

Więc nie denerwujcie mnie albo każę wam zeszkrobywać glony z kanałów, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Młody człowiek przewrócił oczami i zamilkł. Geder wziął głęboki wdech, powoli wypuszczając powietrze nosem. Jego wrogowie siedzieli przed nim, spoglądając w górę.

Ludzie o większym doświadczeniu, lepszych koneksjach, którym jednak nie dano władzy, jakiej udzielono Gederowi. Przez większość czasu będą uprzejmi. Będą mówić odpowiednie rzeczy, czasami tylko nieodpowiednim tonem. Ale w zaciszu swoich kwater będą kręcić głowami i podśmiewać się z niego.

Upokorzenie podsycało jego gniew.

– Alan Klin okazał się nieudacznikiem. – Nie było to coś, co zamierzał mówić, ale słowa zaczęły płynąć z jego ust niczym kolejne policzki. – Lord marszałek oddał mu Vanai, a Klin zmarnował swoją szansę. A każdy z was był tego częścią. Dobrze wiem, że gdy tylko stąd wyjdziecie, zaczniecie wymieniać między sobą dowcipy i przewracać oczami, wmawiając sobie, że to wszystko jedno, wielkie nieporozumienie.

Teraz pochylił się w krześle. Palenie w policzkach dodawało mu odwagi.

– Ale, moi dobrzy lordowie, pozwólcie, że wyrażę się jasno. To *mnie* wskazał lord Ternigan. *Mnie* wybrał na osobę, która zamieni to pośmiewisko w klejnot w koronie króla Simeona. I to właśnie zamierzam uczynić. Jeśli wolicie naigrywać się ze mnie i z obowiązków, które nam przydzielono, powiedzcie to teraz, spakujcie swoje rzeczy, a potem wracajcie do Camnipolu na kolanach. Ale nie wchodźcie mi w drogę!

Teraz już krzyczał. Cały strach wyparował, a wraz z nim upokorzenie. Nie pamiętał, kiedy poderwał się na równe nogi, ale stał teraz, oskarżycielko wskazując ich palcem. Obserwowali go szeroko otwartymi oczami, z wysoko uniesionymi brwiami. Widział niepewność w ułożeniu ich ramion, w sposobie, w jaki trzymali dłonie.

Dobrze, pomyślał. Niech zaczną zastanawiać się, kim lub czym jest Geder Palliako.

– Jeśli lord Klin zostawił jakieś sprawy niezakończony, wysłucham ich teraz. W przeciwnym wypadku od każdego z was chcę jutro otrzymać raport na temat sytuacji w mieście, waszej w tym roli, a także propozycji na jej poprawę.

Na czas czterech długich uderzeń serca zapadła cisza. Geder pozwolił sobie na krótką chwilę triumfu.

– Lordzie Palliako? – powiedział mężczyzna siedzący z tyłu. – Jest kwestia podatków za zboże.

– Co z nimi?

– Lord Klin rozważał propozycję ich zmiany, sir. Ale przed wyjazdem nie

podjął żadnej decyzji. Chodzi o to, że świeże zboże pochodzące z upraw obłożone jest podatkiem w wysokości dwóch srebrników od buszla, ale podatek od zboża sprzedawanego z magazynów wynosi dwie i pół sztuki srebra. Miejscowe spichlerze wyszły z propozycją zmiany.

– Ustalcie podatek na poziomie dwóch i pół sztuk srebra dla wszystkich – powiedział Geder.

– Tak, lordzie protektorze – odparł mężczyzna.

– Coś jeszcze?

Nie podniesiono żadnej innej kwestii. Geder szybko opuścił salę obrad, zanim gniew zupełnie go opuścił. Gdy emocje opadły, opadły całkowicie. Nim wrócił do swojego salonu – *swojego* salonu – trząsł się cały od stóp do głów. Usiadł przy oknie wychodzącym na główny plac miasta i spróbował wydedukować, czy znajduje się na skraju śmiechu czy łez. Poniżej tańczyły suche liście. U stóp budynku przebiegał wyschnięty kanał, z którego niewolnicy kilku różnych ras wygarniali naręcza glonów i brudu. Grupa pierworodnych dziewczynek przebiegła przez plac, krzycząc radośnie. Powtarzał sobie, że to wszystko należy teraz do niego. Niewolnicy, dziewczynki, liście. Wszystko. Przerazało go to.

– Geder Palliako, lord protektor Vanai – powiedział w przestrzeń, mając nadzieję, że dzięki temu stanie się to bardziej wiarygodne. Nie pomogło. Próbował sobie wyobrazić, jaki cel miał Ternigan w wyznaczaniu go na to stanowisko. Nie miało to sensu. Ponownie wyjął list, rozwinął go i przeczytał każde słowo, każde zdanie, szukając czegoś, co dodałoby mu otuchy. Niczego takiego nie znalazł.

– Mój lordzie protektorze – rzekł stary Timzinejczyk. Tym razem Geder podskoczył nieco niżej. – Przybył lord Kalliam, tak jak prosiłeś.

– Wprowadź go – powiedział szlachcic. Stary sługa zawahał się, jakby miał zamiar wytknąć mu jakieś naruszenie etykiety, ale w końcu odwrócił się z ukłonem. Geder zastanawiał się, czy podejmowanie gościa w salonie zarezerwowane było na specjalne okazje. Musiał znaleźć jakąś książkę o vanajskiej etykiecie dworskiej. Przy okazji następnej rozmowy z wynajętymi badaczami wspomni im o tym.

Do pokoju wszedł Jorey Kalliam. Miał na sobie swój najlepszy mundur. Wykonał przed Gederem formalny ukłon. Albo Jorey był wycieńczony i pełen obaw, albo Geder wszędzie widział odbicie własnych uczuć. Timzinejczyk wprowadził za nim wózek, na którym stały półmiski z

pistacjami i kandyzowanymi gruszkami. Napełniwszy dwie kryształowe szklanice chłodną wodą, wyszedł. Ciche szczęknięcie zamka oznajmiło o tym, że zostali sami.

– Chciałeś mnie widzieć, lordzie protektorze? – powiedział młody Kalliam.

Geder posłał mu niepewny uśmiech.

– Kto by pomyślał, co? Ja lordem protektorem Vanai.

– Myślę, że wszystkim wydawało się to mało prawdopodobne – przyznał Jorey.

– Tak. Właśnie dlatego chciałem porozmawiać właśnie z tobą – wyjaśnił Geder. – Twój ojciec aktywnie działa na dworze, prawda? A ty pisujesz do niego listy. Mówiłeś, że do niego pisujesz, nieprawdaż?

– Istotnie, mój lordzie – przytaknął Jorey. Stał wyprostowany jak struna, ze spojrzeniem skierowanym przed siebie.

– To dobrze. Zastanawiałem się czy... to znaczy, eee, wiesz może dlaczego?

– Dlaczego co, mój lordzie?

– Dlaczego ja? – powiedział Geder. W jego głosie zabrzmiała jękliwa nuta, podszyta zaniepokojeniem.

Jorey Kalliam, syn Dawsona Kalliamy, otworzył usta, zamknął je i zmarszczył brwi. Zmarszczki wokół ust i na czole sprawiały, że wyglądał na starszego. Geder chwycił garść pistacji z półmiska i rozłupując łupiny, zaczął wyjadać miękkie, słone orzechy ze środka, bardziej z chęci zrobienia czegoś z dłońmi niż z głodu.

– Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji, mój lordzie.

– Geder. Proszę, mów mi po imieniu. A ja będę mówić ci Jorey. O ile ci to nie przeszkadza. Wydaje mi się, że ze wszystkich ludzi w mieście, ciebie najprędzej mógłbym nazwać przyjacielem.

Jorey wziął głęboki wdech i z sykiem wypuścił powietrze przez zęby. Jego oczy nabrały łagodniejszego wyrazu.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – powiedział. – Chyba tak właśnie jest.

– Więc czy możesz zdradzić mi, co takiego dzieje się na dworze, że Ternigan postanowił osadzić *mnie* na tym stanowisku? Nie posiadam żadnych koneksji w otoczeniu króla. To moja pierwsza kampania. Po prostu tego nie rozumiem. Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz.

Jorey wskazał krzesło. Geder dopiero po chwili zrozumiał, że prosi w ten sposób o pozwolenie na spoczęcie. Palliako machnął przyzwalająco ręką i sam zajął miejsce naprzeciwko, wciskając złożone dłonie pomiędzy kolana. Oczy Jorey'a poruszały się, jakby ten próbował wyczytać coś z powietrza. Geder zjadł kolejnego orzeszka.

– Rzecz jasna, nie wiem, co Ternigan miał na myśli – powiedział młody szlachcic. – Ale wiem, że w stolicy jest niespokojnie. Klin jest sprzymierzony z Curtinem Issandrianem, a Issandrian próbował przeforsować kilka zmian, które nie wyszły mu na dobre. Narobił sobie wrogów.

– To dlatego Ternigan go odwołał?

– Po części na pewno, ale jeśli władza Issandriana na dworze zaczyna słabnąć, Ternigan mógł chcieć znaleźć kogoś z nim niezwiązanego. Sam wspomniałeś, że nie posiadasz żadnych koneksji. Być może dlatego właśnie wybrał ciebie. Ponieważ ród Palliaków nie stanął po żadnej ze stron.

Geder czytał o szeregu takich sytuacji. Podczas Wojny Białego Prochu, Cabral przyjmowało uchodźców zarówno z Birancour, jak i z Herezu. Koor Ncachi, czwarty Regos Borji, miał podobno tak skorumpowany dwór, że wyznaczył na swojego regenta przypadkowego chłopca. Wziąwszy to pod uwagę, Geder był w stanie znaleźć wyjaśnienie dla takiego obrotu spraw. Ale mimo to...

– Cóż – powiedział z zakłopotanym uśmiechem – chyba powinienem być wdzięczny ojcu, że nie bywa na dworze. Przykro mi, że twój bywa tam tak często. Naprawdę myślałem, że Ternigan przekaże miasto tobie.

Jorey Kalliam odwrócił głowę w stronę okna. Czoło miał zmarszczone. Ogień w kominku szeptał sam do siebie, a z placu poderwało się tysiąc gołębi, zupełnie jakby były częścią jednego ciała, wirującego na białym, zimowym niebie.

– Nie wyświadczyliby mi tym przysługi – powiedział w końcu Jorey. – Dworskie gierki nie są uczciwe, Palliako. Oni nie oceniają ludzi na podstawie ich wartości i tego, co jest słuszne. Żli ludzie potrafią utrzymać władzę przez całe życie, a potem opłakuje się ich po śmierci. Dobrymi szafuje się jak walutą, ponieważ to wygodne. Nie musisz załazić nikomu za skórę, żeby cię zrujnowano. Jeśli twój upadek im się do czego przyda, zniszczą cię. To... to wszystko? To nie twoja wina.

– Rozumiem – rzekł Geder.

– Szczerze wątpię.

– Wiem, że na to nie zasłużyłem – oznajmił Geder. – Ślepy los dał mi tę szansę, a teraz muszę zrobić wszystko, by spłacić ten dług. Nigdy nie sądziłem, że lord Ternigan wybrał mnie na protektora przez wzgląd na szacunek. Jestem użyteczny. Niech będzie. Teraz zapracuję sobie na jego szacunek. Pokieruję Vanai. *Sprawię, że to się uda.*

– Tak myślisz? – spytał Jorey.

– Mogę przynajmniej spróbować. Jestem pewien, że mój ojciec chwali się teraz komu popadnie. Palliakowie nie otrzymali żadnego nowego tytułu odkąd mój dziadek został Strażnikiem Jezior. Wiem, że mój ojciec tego chciał, a skoro już tu jestem...

– To niesprawiedliwe – przerwał mu Kalliam.

– To prawda – przyznał Geder. – Ale przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci to wynagrodzić.

– *Mi to wynagrodzić?* – powtórzył za nim Jorey, jakby Geder niespodziewanie zmienił temat rozmowy.

Palliako wstał, wziął dwie szklance z tacy i wcisnął jedną z nich w dłoń Jorey'a. Z pełną powagą uniósł swoje naczynie.

– Vanai należy do mnie – oznajmił i tym razem brzmiało to niemal jak prawda. – Ale jeśli tylko istnieje coś, co mógłbym zrobić, by oddać ci należny honor, uczynię to. Miasto powinno rafić w twoje ręce i obaj to wiemy. Ale ponieważ to mnie przypadło w udziale, przysięgam tu i teraz, między nami dwoma, że nie zapomnę, iż była to jedynie kwestia przypadku.

Wyraz twarzy Jorey'a Kalliamą można by odczytać jako litość, strach lub niedowierzenie.

– Potrzebuję cię – powiedział Geder. – Potrzebuję sojuszników. Dlatego w imieniu Vanai oraz rodu Palliaków, byłbym zaszczycony, gdybyś stał się jednym z nich. Jesteś odważnym człowiekiem, Jorey'u Kalliamie, człowiekiem, którego osądowi ufam. Czy staniesz u mojego boku?

Cisza, która zapadła po jego przemowie sprawiła, że Gedera naszły obawy. Pełen determinacji trzymał szklanicę wysoko w górze, po cichu modląc się, że Jorey odwzajemni ten gest.

– Ćwiczyłeś to? – spytał w końcu Jorey.

– Trochę tak – powiedział Geder.

Jorey wstał, unosząc swoją szklankę. Woda chlusnęła mu na dłoń i spłynęła pomiędzy knykciami.

– Gederze, zrobię co w mojej mocy – rzekł. – Być może to niewiele, a Bóg mi świadkiem, że nie wiem, jak to się dla nas skończy, ale zrobię co w mojej mocy, by ci pomóc.

– To mi wystarczy – odparł Geder i wychylił wodę z uśmiechem.

Reszta dnia stanowiła zarówno test wytrzymałości jak i paradę honorową. Popołudnie zaczęło się od uczty gratulacyjnej, przygotowanej przez przedstawicieli największych gildii w Vanai – dwóch tuzinów mężczyzn i kobiet nieustannie zabiegających o jego uwagę. Potem Geder przyjął wysłannika z Newport, które przymierzało się do zmiany opłat za morską żeglugę, ale przez długą, swarliwą godzinę mężczyzna nie potrafił jasno powiedzieć, jakiego rodzaju będą to zmiany. Następnie, na prośbę Gедера, naczelny audytor podatkowy przejrzał wszystkie raporty Klina wysłane do lorda Ternigana i korony. Geder miał nadzieję, że spotkanie będzie jedynie podsumowaniem tego, jak wiele złota były lord protektor wysłał na północ, ale skończyło się na dwa razy dłuższym posiedzeniu, podczas którego omawiano różnice pomiędzy niskimi a wysokimi cłami, a także pomiędzy „wpłatą na poczet” a „zaliczką”, co pozostawiło go z uczuciem, jakby przeczytał coś w języku, którego jeszcze nie opanował.

Pod koniec dnia udał się na spoczynek do komnaty należącej niegdyś do księcia Vanai. W jej wnętrzu zmieściłaby się wcześniejsza kwatery Gедера, zostawiając jeszcze miejsce dla dwóch kolejnych pokoi tej wielkości. Okna wychodziły na ogród pełen nagich dębów i przykrytych śniegiem kwietników. Na wiosnę musiał przypominać prywatny las. Nowe łóżko Gедера ogrzewała skomplikowana sieć rurek wchodzących i wychodzących z wielkiego paleniska, z pompą napędzaną unoszącym się powietrzem. Ustrojstwo regularnie bulgotało do siebie, czasami dokładnie pod Gederem, jakby puchowy materac zjadł coś, co niezbyt mu posłużyło. Geder leżał w skąpanym w półmroku, oświetlonym blaskiem z paleniska pokoju jeszcze przez niemal godzinę po tym, jak odprawił ostatniego sługę. Choć był wycieńczony, sen nie nadchodził. Gdy wstał, ogarnęło go cudowne uczucie robienia czegoś, czego nie powinien, kiedy nikt nie miał prawa go na tym przyłapać.

Odpalił trzy świece od ognia, nieco osmalając przy tym wosk i ustawił je obok łóżka. Następnie, z niewielkiego kuferka przyniesionego mu przez giermka, wygrzebał skrzypiącą obwolutę niedawno kupionej księgi. Zdążył ją już przeczytać, ale zaznaczył sobie fragment tekstu, który interesował go

najbardziej, by mógł z łatwością znaleźć go w przyszłości.

Legends o Prawym Słudze, zwanym również Sinir Kushku w języku starożytnych Pûtów, opisują go jako ostateczną i najpotężniejszą broń Morade'a, choć pytanie, czy nie jest to jedynie wymysł, biorąc pod uwagę liczną siatkę szpiegów smoka oraz jego narastające szaleństwo, pozostaje bez odpowiedzi.

Geder przesunął palcem po literach, próbując przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o językach wschodu.

Sinir Kushku.

Kres Wszelkich Wątpliwości.

Cithrin

– Twierdzą jedynie, że istnieje na tym świecie zło – powiedział mistrz Kit, opierając sobie skrzynię na biodrze – a *zwątpienie* stanowi broń, która przed nim chroni.

Yardem wziął skrzynię z rąk starego aktora i ułożył ją na szczycie sterty.

– Ale jeśli zwątpi się we wszystko – powiedział Tralgur – to w jaki sposób można cokolwiek uzasadnić?

– Wstępnie. Poddając przedmiot późniejszej analizie. Wydaje mi się, że lepszym pytaniem byłoby, czy istnieje sens w poddawaniu się ciągłej i niesprawdzonej pewności. Moim zdaniem – nie.

Kapitan Wester wydał z siebie gardłowy odgłos, jak pies szykujący się do ataku. Cithrin poczuła, że się kuli, ale nie posłuchała instynktu.

– A moim zdaniem – powiedział kapitan – marnowanie dobrego powietrza na tego typu pytania nie sprawi, że robota zrobi się sama.

– Przepraszam, sir – rzekł Tralgur.

Mistrz Kit skinął głową w ramach przeprosin i zszedł wąskimi, drewnianymi schodkami na ulicę. Sandr i Hornet, niosący we dwóch skrzynię pełną klejnotów, przyłgnęli do ściany, by go przepuścić. Cithrin przesunęła się, robiąc im dostatecznie dużo miejsca, by mogli przekazać kufer Yardemowi. Yardem z kolei musiał znaleźć go na tyle, by zmieścić wszystko w nowych pokojach. Przez okno, oprócz promieni słonecznych, wpadł do środka zimny i wilgotny podmuch wiatru, niosąc ze sobą zapach świeżego, końskiego łajna. Cithrin pomyślała, że idzie wiosna.

– Czyżby w dzieciństwie był kapłanem? – spytał Marcus, wskazując ruchem podbródka na schody. – Kiedy zaczyna mówić o wierze, zwątpieniu i naturze prawdy, to czuję się, jakbyśmy znów podróżowali z karawaną i słuchali kazań przy każdym posiłku.

– To co mówi ma sens – powiedział Yardem.

– Dla ciebie – odparował Marcus.

– Wydaje mi się, że mógł być kiedyś kapłanem. W końcu to mistrz Kit – powiedział Hornet ze wzruszeniem ramion. – Gdyby twierdził, że wdrapał się kiedyś na górę, by wypić piwo z księżycem, prawdopodobnie bym mu uwierzył. Mamy jeszcze dwie skrzynie tej wielkości, a do tego szereg woskowych bloków.

– Woskowych? – zdziwił się Marcus.

– Księgi – zaczęła Cithrin, ale jej głos zabrzmiał chrapliwie. Odkaszlnęła i spróbowała jeszcze raz. – To księgi rachunkowe. Zostały zabezpieczone przed wilgocią.

Co było słusznym posunięciem, pomyślała, wzięwszy pod uwagę, że utopiliśmy je w stawie. Umysł natychmiast podsunął jej obraz pęknięcia w pieczęci. Kolejne stronice rozmokłego tuszu i gnijącego papieru skryte pod warstwą ochronną. Co jeśli księgi zostały uszkodzone? Co miała powiedzieć wtedy magistrowi Imanielowi? Co miała powiedzieć bankierom w Carse?

– Cóż, zacznijcie je przynosić – powiedział Marcus. – Znajdziemy dla nich miejsce.

Hornet pokiwał głową, ale Sandr był już w połowie schodów. Nawet na nią nie spojrzął. Dziewczyna powtarzała sobie, że w ogóle jej to nie obchodzi.

Cithrin zdawała sobie sprawę, że nowe pokoje nie spełniały wszystkich wymagań kapitana Westera. W przeciwieństwie do kwater w dzielnicy solnej, pomieszczenia znajdowały się na piętrze. Drewniane podłogi językiem skrzypnięć i trzasków oznajmiały mieszkańcom parteru o każdym ich ruchu. Na parterze mieścił się kram hazardowy, co oznaczało, że każdego dnia mogła przewinąć się tędy dowolna liczba ludzi nieznaney proveniencji. Z drugiej strony zamek u podstawy schodów wyglądał na solidny, okoliczne uliczki wydawały się mniej podatne na pijaków i zagubionych, a okna nie posiadały balkonów i były trudno dostępne z zewnątrz. Dodatkowo, przez wychodzące na boczną alejkę okno mogli wyrzucać nieczystości z nocnika, a dzięki zmianie lokalizacji wylądowali zaledwie kilka drzwi od szynku, gdzie mogli kupować jedzenie i piwo.

W następnej kolejności pojawili się Cary i Mikel. Kobieta szczyrzyła zęby w uśmiechu.

– Chłopiec z ulicy pytał, co niesiemy – powiedziała.

Cithrin zobaczyła napięcie na twarzy kapitana Westera. Mężczyzna podszedł do okna i wyjrzał przez nie na zewnątrz.

– Co mu powiedzieliście?

– Sztuczne klejnoty na obchody Pierwszych Roztopów – powiedziała Cary. – Nawet otworzyliśmy dla niego jedną ze skrzyń. Powinniście byli zobaczyć jego minę. Był taki *zawiedziony*.

Cary roześmiała się, nie zauważając gniewu odmalowanego na twarzy

kapitana. A może po prostu zupełnie nie przywiązuje do tego wagi. Przez kilka dni, gdy szukali nowych pokoi i przygotowywali się do przeniesienia szmuglowanych dóbr z Vanai w inne miejsce, Opal została wspomniana tylko raz, gdy Smit zażartował, że kobieta potrafiłaby znaleźć sposób na wymiganie się od pracy. Nikt się nie śmiał.

Cithrin wciąż musiała walczyć ze sobą, by uwierzyć, że naprawdę do tego doszło. Trudno było jej przyjąć do wiadomości, że Opal zamierzała zabić ją i zabrać wszystkie pieniądze. Jeszcze gorsza była myśl, że kapitan odebrał jej za to życie. Oczywiście, że pozostali odczuwali gniew. Oczywiście, że nienawidzili teraz Westera. I Yardema. I jej. Musiało tak być. A mimo to byli tu, nosząc skrzynie i opowiadając dowcipy. Cithrin stwierdziła, że im ufa – wszystkim bez wyjątku – ale nie dlatego, że zasłużyli sobie na jej zaufanie, ale dlatego, że sama chciała, aby tak było.

Popełniła już ten błąd z Opal i teraz popełniała go po raz kolejny. Sama ta świadomość wstrząsnęła nią na tyle, że nie spała ani nie jadła za wiele od czasu, gdy obudziła się w nocy z pięcioma martwymi ciałami dookoła.

Mistrz Kit wszedł po schodach, trzymając przed sobą naręcze owiniętych książek. Za nim Sandr i Hornet wnieśli ostatnie skrzynie. Po przyniesieniu wszystkich rzeczy z wozu, nie zostało dla nich zbyt dużo miejsca. Sandr nie miał innego wyjścia jak stanąć obok niej. Gdy zauważył, że Cithrin na niego spogląda, zarumienił się i szybko skinął jej głową w sposób, w jaki mógłby pozdrowić osobę spotkaną na ulicy.

– Wygląda na to, że to już wszystko – oznajmił mistrz Kit, gdy Yardem odebrał od niego księgi.

– Dziękuję wam za to – powiedziała Cithrin. – Wam wszystkim.

– Przynajmniej tyle mogliśmy dla was zrobić – odezwał się Smit. – Przykro nam, że tak się stało.

– Tak, cóż – zająknęła się dziewczyna. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– Może już pójdziecie – zaproponował Kit. – Dogonię was za jakiś czas.

Pozostali aktorzy zgodzili się i wyszli. Cithrin słyszała ich głosy przez okno, gdy ich wóz zaterkotał na bruku. Kapitan Wester krążył po pomieszczeniu, jakby ta nerwowość i zniecierpliwienie miały sprawić, że podłoga zacznie skrzypieć ciszej, a do tego bardziej przewidywalnie. Yardem rozłożył łóżko polowe pomiędzy stertami skrzyń i przyknał oczy, chcąc odpocząć przed nocną wartą. Mistrz Kit wstał, wyciągając dłoń.

– Cithrin, pomyślałem sobie, że moglibyśmy się przejść.

Spojrzała na rękę starego aktora, potem na kapitana Westera i z powrotem.

– Gdzie? – spytała.

– Nie miałem na myśli żadnego konkretnego miejsca. Myślałem, że krótki spacer wystarczy.

– W porządku – powiedziała, pozwalając mężczyźnie pomóc sobie wstać.

Ruch na ulicy płynął niczym woda – szerokim, spokojnym strumieniem na wschodnim placu, ale znacznie szybciej w wąskich kanałach ulic. Jakiś Cinnejczyk stał przed kramem hazardowym, zachęcając mężczyzn i kobiety do wejścia. Wielka fortuna mogła stać się ich udziałem. Szczęście sprzyjało odważnym. Mogli zmniejszyć swoje straty, stawiając przeciwko sobie. Za uczciwą opłatą, przyjmowano wszystkie zakłady. Wyglądał na znudzonego.

Konne zaprzęgi z trudem przeciskały się przez ciżbę. Tuż za nimi kroczyły grupy Timzinejczyków z płaskimi szpadlami, którzy zbierali zwierzęce odchody. Pół tuzina dzieci ganiało się z wrzaskiem, taplając w błocie, brudzie albo w czymś jeszcze gorszym. Obok nich przetoczył się wózek pralni, ciągnięty przez pierworodną dziewczynę nie starszą niż Cithrin, na twarzy której zdołały odcisnąć się zmarszczkami trudy codziennego życia. Mistrz Kit szedł przed siebie. Cithrin pozwalała mu się prowadzić, niepewna czy idzie za nim czy obok niego.

Ulica wyszła na plac, którego Cithrin nigdy wcześniej nie widziała. Po wschodniej stronie górował nad nim ogromny kościół. Głosy złączone w pieśni niosły się w mroźnym powietrzu, wielbiąc Boga i harmonijnie splatały z dźwiękami flażoletu, jakby stanowiły jedną melodię. Mistrz Kit przystanął, gdy ona to uczyniła i oboje zaczęli nasłuchiwać. Uśmiech na jego twarzy nieco zrzędł, jak gdyby podszyty smutkiem.

– Piękny, nieprawdaż? – spytał.

– Co jest piękne?

Mężczyzna oparł się plecami o kamienną ścianę i powiódł ręką dookoła. Plac, pieśń, niebo nad ich głowami.

– Chyba miałem na myśli świat. Pomimo całej jego tragiczności i bólu, wciąż uważam go za piękny.

Cithrin zacisnęła usta. Chciała przeprosić go za to, co przydarzyło się Opal, ale w ten sposób postawiłaby go w pozycji, gdy on z kolei musiałby przeproszać ją ponownie, a tego nie chciała. Słowa i myśli kotłowały się w jej głowie, ale żadne z nich nie przystawało do obecnej sytuacji.

– Co teraz zrobicie? – spytała.

Kit wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze zanim obrócił się plecami do melodii.

– Myślę, że zostaniemy tu przez jakiś czas. Nie wydaje mi się, by Cary była gotowa przejąć na siebie cały ciężar ról Opal, ale przed końcem lata, przy odrobinie wytężonej pracy i prób, będzie gotowa. Przez vanajską armię, a teraz Opal, nasza trupa jest odrobinę mniej liczna niż bym chciał. Mam nadzieję, że pozyskamy kilku dobrych ludzi. Z doświadczenia wiem, że w miastach portowych często można spotkać wędrownych aktorów.

Cithrin pokiwała głową. Kit czekał aż coś powie, ale gdy wciąż milczała, ciągnął dalej.

– Poza tym, wciąż fascynuje mnie ten twój kapitan Wester.

– To nie jest *mój* kapitan Wester – zachnęła się Cithrin. – Dostatecznie jasno dał do zrozumienia, że jest swoim własnym kapitanem Westerem.

– Doprawdy? Nie wiedziałem – rzekł mistrz Kit. Kościelna pieśń narastała. W tej chwili mogło brać w niej udział nawet sto wznoszących się i opadających głosów, splatając się ze sobą tak, że istniało niebezpieczeństwo, że zaraz przemówi przez nie jeszcze inny głos. Szept Boga. Wyglądało na to, że na chwilę zaprzątnęło to uwagę mistrza Kita, ale gdy stary aktor ponownie się odezwał, kontynuował wcześniejszy wątek. – Wierzę, że smoki zostawiły po sobie spuściznę, która będzie dla tego świata... destrukcyjna. Niszczycielska z natury i skazana na zadawanie bólu. Nieujarzmiona, pożre cały ten świat. Wester jest jednym z niewielu ludzi, których poznałem, mogących się jej przeciwstawić.

– Ze względu na swoją upartość? – spytała Cithrin, próbując obrócić to w żart.

– Tak, między innymi – odparł mistrz Kit. – I chyba przez kształt jego duszy.

– Dawno temu był generałem Północnego Wybrzeża – powiedziała Cithrin. – Zdaje się, że coś stało się jego żonie.

– Dowodził armią księcia Springmere'a w wojnie o sukcesję. Stoczył bitwy przeciwko armiom lady Tracian, które powinien był przegrać, a wygrał je.

– Wodford i Gradis – przypomniała sobie Cithrin. – Ale ludzie gadają też o... Ellis?

– Tak. Pola Ellis. Mówią, że była to najkrwawsza bitwa w czasie tej

wojny. Nikt jej nie chciał, ale nikt nie mógł się wycofać. Powiadają, że książę tak bardzo obawiał się, iż któryś z pretendentów spróbuje kupić lojalność jego generała, przekonać go do zmiany stron, że kazał zabić jego rodzinę i próbował zrzucić winę na swojego rywala. Żona i córka kapitana zginęły na jego oczach i to w bardzo nieprzyjemny sposób.

– Och – mruknęła Cithrin. – A co stało się z księciem? Wiem, że przegrał wojnę, ale...

– Nasz przyjaciel Marcus dowiedział się, co naprawdę zaszło, wywarł swoją zemstę, a potem zniknął. Większość ludzi uważała, że zginął. Z doświadczenia wiem, że najgorsze, co może spotkać człowieka w takim położeniu, to życie dostatecznie długo, by zobaczyć jak niewiele zostaje, gdy już się zemści. Wątpię, by ten człowiek miał jeszcze jakieś złudzenia, dlatego właśnie jest... – Mistrz Kit wzdrygnął się. – Przepraszam. Nie miałem zamiaru tak odpływać. Chyba się starzeję. Chciałem raz jeszcze zapewnić cię o tym, jak bardzo jest mi przykro w związku z tym, co się stało i jestem głęboko przekonany, że więcej do tego nie dojdzie.

– Dziękuję.

– Chciałbym również zaoferować ci pomoc w bezpiecznym dotarciu do Carse. Czuję, że jesteśmy ci winni więcej niż jeden dzień wytężonej pracy. To dziwne, przyznaję, ale wydaje mi się, że udawanie żołnierzy przez tak długi okres czasu sprawiło, że na swój sposób polubiliśmy to.

Cithrin pokiwała głową. Poczuała, że marszczy brwi jeszcze zanim zrozumiała dlaczego. Kościelna pieśń zakończyła się ostatnią kadencją, a cisza spłynęła na świat na podobieństwo fali. Żółtodziobe mewy szybowały wysoko po niebie, nie poruszając rozpostartymi skrzydłami.

– Dlaczego przepraszasz za wszystko, co mówisz? – spytała.

Mistrz Kit spojrzał na nią, unosząc krzaczaste brwi.

– Nie wiedziałem, że to robię – powiedział.

– I znów to zrobiłeś – zauważyła Cithrin. – Nigdy nie mówisz niczego wprost. Zawsze jest *wydaje mi się* albo *słyszałem*. Nigdy nie mówisz: *słońce wschodzi o poranku*. Zamiast tego jest *Myślę, że słońce wschodzi o poranku*. Zupełnie, jakbyś nie chciał niczego obiecywać.

Mistrz Kit otrzeźwiał. Zaczął mierzyć ją spojrzeniem ciemnych oczu. Cithrin poczuła, że wzdłuż kręgosłupa przebiegł jej dreszcz, ale nie był to strach. Raczej świadomość, że jest się na skraju odkrycia czegoś, o istnieniu czego wiedziała tylko ona. Mężczyzna potarł dłonią podbródek.

Towarzyszący temu cichy szmer brzmiał zupełnie zwyczajnie.

– Jestem zaskoczony, że to zauważyłaś – powiedział, po czym posłał jej uśmiech, zauważając, że znów to zrobił. – Posiadam zdolność bycia wiarygodnym, co bywa dość problematyczne. Wygląda na to, że wyrobiłem sobie zwyczaj ujmowania rzeczy w ten sposób, by nie twierdzić czegoś, czego nie jestem pewien. Absolutnie pewien. Czasami sam jestem zaskoczony tym, jak niewiele rzeczy jestem absolutnie pewien.

– To dziwny wybór.

– Zachęca mnie do tego, bym traktował siebie z pewną pobłażliwością – wyjaśnił mistrz Kit. – A w tym z kolei znajduję pewną wartość.

– Chciałabym tak umieć – powiedziała. Rozpacz w jej głosie zaskoczyła nawet ją samą, a po chwili dziewczyna zaczęła szlochać.

Aktor zamrugał powiekami, nie wiedząc, co ma zrobić. Cithrin stała na środku ulicy, speszona tym wybuchem płaczu, ale nie potrafiła przestać. Mistrz Kit objął ją ramieniem i poprowadził do schodów kościoła. Jego pelerynę wykonano z taniej wełny, szorstkiej i wciąż pachnącej lanoliną. Okrył jej ramiona. Dziewczyna pochyliła się, opierając czoło na kolanach. Wciąż czuła strach i smutek, ale jakby z pewnego oddalenia. Jednak, gdy już się zaczęło, nie mogła zrobić nic poza uwolnieniem emocji. Mistrz Kit położył jej dłoń na plecach, pomiędzy łopatkami i zaczął ją pocieszać jak mężczyzna uspokajający małe dziecko. Po jakimś czasie jej szloch stał się mniej gwałtowny. Łzy wyschły. Cithrin w końcu odzyskała głos.

– Nie dam rady – powiedziała. Ile tysięcy razy powtarzała to sobie od dnia, w którym zginął Besel? Zawsze bezgłośnie. Po raz pierwszy wypowiedziała te słowa na głos. Smakowały gorzko. – Nie dam rady.

Mistrz Kit zabrał dłoń, ale zostawił jej swoje szorstkie, tanie okrycie. Kilku przechodniów rzuciło im przelotne spojrzenie, ale większość po prostu ich ignorowała. Skóra starego aktora pachniała jak sklep z przyprawami. Cithrin miała ochotę ułożyć się na zimnych stopniach, usnąć i nigdy nie obudzić.

– Podołasz temu – powiedział.

– Nie, ja...

– Cithrin, przestań. Posłuchaj mnie – rzekł z naciskiem.

Dziewczyna obróciła głowę. Mistrz Kit wyglądał na starszego niż zwykle. Chwilę zabrało jej zdanie sobie sprawy, że to dlatego, iż się nie uśmiechał, chociażby oczami. Zamiast tego miał pod nimi sińce. Policzki

miał obwisłe, a szczecina pokrywająca podbródek wydawała się bardziej siwa niż czarna. Cithrin czekała.

– Podołasz temu – powtórzył. – Tylko mnie posłuchaj. Dasz sobie radę.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że wydaje ci się, że dam sobie radę – odparła. – Albo podejrzewasz, że tak będzie.

– Nie. Miałem na myśli to, co powiedziałem. *Podołasz temu wszystkiemu.*

Coś drgnęło w umyśle Cithrin. Coś w jej krwi odmieniło się, jak powierzchnia stawu, kiedy ryba przepłynie zbyt blisko niej. Wszechogarniający smutek wciąż tam był. Strach, że nie podoła zadaniu. Wrażenie bycia zdanej na łaskę dzikiego i gwałtownego świata. Wszystko to nie odeszło. Pojawiło się jednak coś jeszcze. Migocząc niczym światełko w ciemności umysłu, przyszła jej do głowy nowa myśl: *Może jednak.*

Cithrin potarła oczy dłońmi i potrząsnęła głową. Słońce dotarło dalej, poruszając się szybciej niż sądziła. Nie wiedziała, ile czasu spędzili poza jej nowymi pokojami.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Czułem, że jestem ci to winny – odparł mistrz Kit. Wydawał się zmęczony.

– Chyba powinniśmy wracać?

– Chyba tak, jeśli jesteś gotowa.

Wieczór przyszedł później niż Cithrin się spodziewała. Kolejny znak, że zima traciła władzę nad światem. Yardem Hane siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, zjadając ryż i rybę z talerza. Kapitan Wester krążył po pokoju.

– Jeśli wybierzemy nieodpowiedni statek – oznajmił – zabiją nas, rzuca nasze ciała rekinom, a sami spędzą resztę swoich dni, żyjąc dostatnio w Dalekim Syramie lub Lyoneii. Z drugiej strony, musielibyśmy przebrnąć jedynie przez odprawę celną tutaj i w Carse. Na trakcie musielibyśmy przetrwać kontrole pół tuzina poborców podatkowych.

Cithrin obrzuciła spojrzeniem własny talerz z rybą. Jej żołądek był zbyt ściśnięty, by mogła cokolwiek zjeść. Kolejne słowa wypowiedane przez Westera jedynie pogarszały sytuację.

– Możemy zawrócić po własnych śladach – powiedział Yardem. – Z powrotem do Wolnych Miast, a stamtąd na północ. Albo do Vanai.

– Bez karawany, która by nas ukryła?

Tralgur wzruszył ramionami, uznając wyższość tego argumentu. U stóp

nieustannie poruszających się nóg kapitana, zalakowane woskiem księgi vanajskiego banku połyskiwały w świetle świec. Cithrin znów wróciła myślami do obrazów splekanych pieczęci i gnijących, skórzanych obwolot, które krążyły po jej głowie niczym nieprzemijające koszmary.

– Moglibyśmy kupić łódź rybacką – zaproponował Yardem. – Sami nią pozeglujemy, trzymając się wybrzeża.

– A piratów przepędzimy siłą naszych osobowości, tak? – sarknął Wester.
– Cabral pełne jest wolnych okrętów, które łupią co się da, a król Sephan nie zamierza nic z tym robić.

– Nie mamy dobrych opcji – powiedział Tralgur.

– Niestety. A minie jeszcze kilka tygodni zanim będziemy mogli zdecydować się na jedną ze złych.

Cithrin odstawiła talerz i wyminęła kapitana Westera. Wzięła książkę ze szczytu sterty, rozejrzała się po rozświetlonym złotym blaskiem pomieszczeniu i znalazła krótkie ostrze, którego Yardem używał do krojenia sera. Nóż został wyczyszczony na błysk.

– Co robisz? – spytał Marcus.

– Nie mogę wybrać odpowiedniego statku ani trasy, ani karawany, w której moglibyśmy się schować – powiedziała. – Ale mogę upewnić się, że księgi nie zamokły i to właśnie zamierzam uczynić.

– Będziemy musieli ponownie je zapieczętować – powiedział Marcus. Cithrin zignorowała go. Warstwa wosku była gruba jak jej kciuk. Dawała się jedynie odłupywać sporymi kawałkami. Tkaniny pod spodem skrywały kolejną woskową pokrywą, pod którą umieszczono pergaminowe opakowanie. Skryta wewnątrz książka wyglądała, jakby jeszcze przed chwilą leżała na biurku magistra Imaniela. Cithrin otworzyła ją. Stronice zaszeleściły o siebie. Znajome pismo jej mentora było niczym wspomnienie z dzieciństwa. Widząc je, zebrało jej się na płacz. Opuszki jej palców prześledziły sumy, adnotacje, salda, transakcje, szczegóły kontraktów i stopy zwrotów. Podpis magistra Imaniela oraz brązowy, splekany odcisk jego kciuka we krwi. Pozwoliła, aby ogarnęły ją te uczucia, znajome i obce jednocześnie. Tu dokonano wpisu na temat lokaty założonej przez gildię piekarzy, a tam niebieskim atramentem spisano rekompensaty wypłacane miesiąc po miesiącu przez te wszystkie lata, gdy przetrzymywali ich pieniądze. Przewróciła stronę. Znalazła protokół strat z ubezpieczeń żeglugowych z roku, gdy burze z Lyoneii dotarły do nich później niż

kiedykolwiek. Zapisane tam kwoty zszokowały ją. Nie miała pojęcia, że poniesione przez nich straty były tak dotkliwe. Zamknęła księgę, chwyciła ostrze i znalazła następny zabezpieczony pakunek. Marcus i Yardem wciąż rozmawiali, ale równie dobrze mogli przybywać teraz w innym mieście.

Kolejna księga była starsza. Mogła dzięki niej prześledzić historię banku, od momentu podpisania listów założycielskich, przez lata transakcji, niemal do momentu, w którym wyjechała. Cała historia Vanai spisana w cyfrach i zaszyfrowanych notatkach. A tu, na czerwono, krótka nota, że Cithrin bel Sarcour została przyjęta na podopieczną banku medejskiego do czasu osiągnięcia dorosłości, kiedy to będzie mogła przejąć oszczędności swoich rodziców pomniejszone o koszt jej utrzymania. Całość opisano podobną liczbą słów co transport zboża czy inwestycję w browar. Śmierć jej rodziców i początek jedyne go życia, które znała, streszczona w jednej linijce.

Znalazła inną księgę.

Marcus skończył rozmawiać, zjadł kolację i zwinął się na łożku połowym. Wszedł sierp półksiężyc. Cithrin śledziła historię banku, jakby czytała stare listy wysłane z domu. Wosk, kawałki tkanin i pergaminu gromadziły się wokół niej niczym papier pakowy. W jej głowie, niemal zupełnie przytłoczone fascynacją starym atramentem i zakurzonymi stronicami, narodziło się poczucie czekających na nią możliwości. Nie przekonanie – jeszcze nie – ale jego prekursor.

Dopiero, gdy Yardem obudził ją, wyjmując jej księgę z rąk, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od czasu sprawy z Opal, przespała całą noc bez żadnych snów.

Dawson

Siermiężne, drewniane drabiny i improwizowane schody znaczyły ściany Szczeliny, trzymając się starożytnych ruin niczym porosty głazów. Wysoko ponad nimi ogromne mosty łączyły oba brzegi rozpadliny kamieniem, stałą i smoczym jadem: Srebrny Most, Jesienny Most, Kamienny Most, a także niemal niknący we mgle Most Więźniów, obwieszony klatkami i łańcuchami. Niżej, w miejscach, gdzie ściany zbliżały się do siebie, gniły zawieszane w powietrzu liny. Pomiędzy nimi można było odczytać historię miasta. Każda kolejna warstwa znaczyła epokę i cesarstwo, na ruinach których wzniesiono to obecne.

Owinięty w prostą, brązową pelerynę Dawson mógł uchodzić za śmieciarza ze slumsów na dnie Szczeliny albo za przemytnika próbującego dostać się do jednego z ukrytych, podziemnych korytarzy przecinających fundamenty Camnipolu. Vincen Coe mógł być jego współnikiem albo synem. Poranna gołoledź sprawiała, że stąpali ostrożnie. Zapach w powietrzu przyprawiał ich o mdłości – ścieki, końskie łajno, gnijące jedzenie, ciała zwierząt i ludzi niewiele lepszych od zwierząt.

Dawson znalazł łukowato sklepione przejście. Starożytny, sypiący się kamień ukształtowany w klasyczny sposób i okraszony inskrypcją niemożliwą do przeczytania przez erozję, ale jeszcze nie kompletnie niewidoczną. Wnętrze skrywała całkowita ciemność.

– Nie podoba mi się to, mój lordzie – powiedział myśliwy.

– Nie musi – odparł Dawson, dostojnym krokiem wchodząc w mroczny korytarz.

Zima wciąż trzymała Camnipol w uścisku, ale traciła siły. Podziemia wypełniały ciche odgłosy: bzyczenie pierwszych owadów oznajmiających rychłe nadejście wiosny, ostry szum roztopowych potoków, a także cichy oddech samej ziemi, która szykowała się do przebudzenia wśród zieloności. Jeszcze kilka tygodni i pogoda zmieni się z dnia na dzień. Stojąc w obszernej, zwieńczonej kafelkami opuszczonej łaźni, Dawson zdał sobie sprawę, jak wiele rzeczy kierowało się tym samym schematem. Pozornie niemający końca zastój, zmącony przez kilka małych znaków, a potem nagła, katastroficzna zmiana. Mężczyzna wyciągnął list z kieszeni i nachylił się do Coe, by raz jeszcze przeczytać go w świetle pochodni. Canl Daskellin

napisał, że jedne z drzwi zostaną oznaczone kwadratem. Dawson zmrużył oczy, chcąc przebić spojrzeniem mrok. Być może Daskellin posiadał oczy młodszego od siebie mężczyzny...

– Tutaj, mój lordzie – powiedział Coe. Dawson odchrząknął. Teraz, gdy wskazano mu odpowiednie miejsce, znak wydawał się wyraźny. Baron wszedł w krótki, pochyły korytarz prowadzący do klatki schodowej.

– Żadnych strażników – powiedział Dawson.

– Bynajmniej, sir – odparł Coe. – Minęliśmy już trzech. Dwóch łuczników i mężczyznę obsadzającego pułapkę.

– Cóż, w takim razie byli dobrze ukryci.

– Istotnie, mój panie.

– Nie brzmisz, jakby cię to uspakajało.

Myśliwy nie odpowiedział. Korytarz kończył się przed ogromnym głazem, którego powierzchnię wypolerowano tak gładko, że wydawało się, że niosą teraz dwie pochodnie. Dawson podążył za swoim cieniem wzdłuż niewielkiej krzywizny, dopóki nie zobaczył przed sobą światła sygnałowego. Niski sufit podtrzymywały niezniszczalne kolumny ze smoczego jadeitu. Zakurzone powietrze wypełniał miękki blask kilkunastu świec. Baron ujrzał siedzącego w wykutej niszy Canla Daskellina wraz ze swoim starym znajomym, Odderdem Faskellanem, po lewej stronie i bladym, pierworodnym mężczyzną, którego nie poznawał, po prawicy.

– Dawson! – powiedział Canl. – Zaczynałem się martwić.

– Nie było takiej potrzeby – rzekł Kalliam, gestem odprawiając Vincena Coe. – Dobrze, że byłem akurat w mieście. Miałem nadzieję spędzić część roku na wzgórzach Osterling.

– Może za rok – odezwał się Odderd. – Bóg da, że w przyszłym roku wszystko wróci do normy. Chociaż wzięwszy pod uwagę ostatnie wieści...

– Czy to znaczy, że doszły was jakieś słuchy? – spytał Dawson.

Canl Daskellin wskazał mu siedzenie naprzeciwko. Kalliam opadł na nie. Błady mężczyzna posłał mu uprzejmy uśmiech.

– Chyba nas sobie nie przedstawiono – rzekł Dawson z uśmiechem.

– Dawson Kalliam, baron Osterling Fells – oznajmił Daskellin, samemu szczerząc zęby. – Pozwoli pan, że przedstawię rozwiązanie naszych problemów. Oto Paerin Clark.

– Cała przyjemność po mojej stronie, baronie Osterling – rzekł blady mężczyzna. Słowa wymawiał z nieco bełkotliwym akcentem Północnego

Wybrzeża. Dawson poczuł, że włoski na ramieniu stają mu dęba. Mężczyzna nie posiadał żadnego tytułu. Nie był nawet Antejczykiem. A mimo to zaproszono go na spotkanie.

– Jakie wieści? – spytał Kalliam. – I jak nasz nowy przyjaciel ma się do sytuacji?

– Jest mężem najmłodszej córki Komme Medejszyka – powiedział Odderd. – Mieszkają na Północnym Wybrzeżu. W Carse.

– Nie wiedziałem, że prowadzimy interesy z bankiem medejskim – rzekł Dawson.

– Issandrian wie o naszych posunięciach – odezwał się Daskellin. – Nie tylko o Vanai, ale też o ludziach, których wysłaliśmy, by siali ferment w szeregach chłopstwa i o tym, że zamierzamy pozbawić Feldina Maasa jego południowych posiadłości. O wszystkim.

Dawson machnął lekceważąco ręką, jakby odganiał komary. Bardziej interesowało go, skąd o tym wszystkim wiedział siedzący z nimi bankier. Issandrian prędzej czy później odkryłby ich machinacje.

– Złożył u króla Simeona petycję o sponsorowanie igrzysk – powiedział Odderd. – Issandrian, Klin, Maas i pół tuzina innych ludzi. Wykładają na wszystko pieniądze. Kazali uprzątnąć stadion. Zatrudniają wojowników i jeźdźców do pokazów. Borjańskich łuczników. Wiedzących. Twierdzą, że będzie to feta na część księcia Astera.

– Gromadzą siły do walki w obrębie murów Camnipolu – oznajmił Canl Daskellin.

– Ten blef przejrzałoby nawet dziecko – zauważył Dawson. – Gdyby doszło do powstania, Issandrian nie miałby szans na wygraną. Nie ma dość ludzi ani pieniędzy, by rozpętać wojnę.

– *Ach* – mruknął bankier.

Dawson uniósł podbródek jak zwierzę, które zwęszyło dym. Canl Daskellin wziął plik poskładanych dokumentów z siedzenia obok i podał je Kalliamowi. Papier był tani, a pismo proste. To oznaczało kopie jakiejś istotnej korespondencji. Dawson zmrużył oczy. W słabym świetle litery pływały mu przed oczami, ale przy odrobinie skupienia był w stanie poskładać je w jedną całość. *Ślę najlepsze życzenia tobie i twojej rodzinie i tak dalej. Nasza wspólna stryjeczna babka, Karina Sakillin, baronowa szlachetnych ziem Sirinae...*

– Sirinae – powiedział Dawson. – To w Asterilhold.

– Nasz przyjaciel Feldin Maas posiada rodzinę na tamtejszym dworze – wyjaśnił Odderd. – Jednym z warunków zawarcia pokoju po Traktacie Astersańskim było zawarcie strategicznych mariaży. To było trzy pokolenia temu, ale wciąż istnieją między nimi powiązania. Maas wysłał listy do kilkunastu swoich kuzynów, o których wiemy. Możliwe jednak, że części z nich nie przechwyciliśmy.

– Poszaleli – powiedział Dawson. – Myślą, że mogą podburzyć Asterilhold przeciwko królowi Simeonowi...

– Nie w tym rzecz – przerwał mu bankier. Jego głos był chłodny i suchy jak świeży pergamin. Kalliam instynktownie poczuł do niego niechęć. – Maas rozpowszechnia plotkę o spisku skostniałych staruszków na dworze, którzy naciskają na króla Simeona. Twierdzi, że ludzie ci nie cofną się przed zawarciem sojuszu z wrogami Antei, jeśli tylko przyniesie im to korzyści polityczne.

– Idiotyzm.

– Maas sugeruje – ciągnął bankier – że Maccia mogła zostać wciągnięta w obronę Vanai przez kogoś przeciwnego Alanowi Klinowi. I brzmi w tym bardzo przekonująco. Dlatego właśnie, w obliczu, gdy inni szukają pomocy obcych sił, by wpłynąć na koronę, Maas nie ma innego wyjścia jak zwrócić się o wsparcie Asterilhold, w nadziei na ochronę honoru i prawowitej władzy króla Simeona, a także bezpieczeństwa i zdrowia księcia Astera.

– Ale przecież to my bronimy Simeona! – krzyknął Dawson.

– To wasze zdanie – powiedział bankier.

Canl Daskellin pochylił się na siedzeniu. Oczy mu błyszczały.

– Koła zostały wprowadzone w ruch, Dawsonie. Jeśli koteria Issandriana zdobyła poparcie Asterilhold i wprowadzi do Camnipolu siły zbrojne – a, na Boga, na to się właśnie zanoszą – to ich celem nie będzie Simeon. Będą mierzyć w nas.

– Już raz próbowali cię zabić – zauważył Odderd. – Ci ludzie nie mają pojęcia honoru. Nie możemy pozwolić sobie na traktowanie ich jak dżentelmenów. Musimy uderzyć pierwsi.

Dawson uniósł dłoń, nakazując ciszę. Gniew i nieufność wypełniły jego głowę niczym pszczoły. Wskazał palcem bankiera.

– Jaki w tym interes ma Północne Wybrzeże? – spytał, mając na myśli: *Dlaczego tu jesteś?* Daskellin zmarszczył brwi, słysząc ton jego głosu, ale bankier wydawał się tym nie przejmować.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Lord Daskellin jest specjalnym wysłannikiem na Północne Wybrzeże. Jestem pewien, że znajduje się na lepszej pozycji, by wygłaszać znaczące opinie.

– Ale twój bank ma swoją siedzibę w Carse – rzucił Dawson. Zabrzmiało to niemal oskarżycielsko.

– Siedziba holdingu, a także jego filia – odparł Clark. – Jednak wszystkie nasze filie działają niezależnie.

– Co to niby miało znaczyć? – spytał Dawson.

– Nasze przedsiębiorstwo nie jest związane wyłącznie z interesami Północnego Wybrzeża – wyjaśnił bankier. – Posiadamy bliskie relacje z ludźmi z wielu dworów, nawet Antei, teraz, gdy Vanai znalazło się pod waszą opieką, a także interes w utrzymaniu pokoju w północnych królestwach. Niestety, prowadzimy bardzo surową politykę w kwestii udzielania pożyczek w takich okolicznościach...

– Nie wziąłbym waszych pieniędzy, nawet gdybyście zostawili je w skarpecie na moim progu.

– Kalliam! – warknął Canl Daskellin, ale bankier kontynuował wywód, jak gdyby nigdy nic.

– ...lecz w przypadku, gdy chodzi o pokój i stabilność, z przyjemnością podejmiemy się roli pośredników, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jako bezinteresowna trzecia strona, możemy nawiązać kontakt z ludźmi, z którymi wy, szlachetni panowie, wolelibyście się nie bratać.

– Nie potrzebujemy pomocy.

– Rozumiem. – Bankier skinął głową.

– Nie bądź durniem – skarcił go Daskellin. – Bank medejski posiada filie w Narinisle i Herez. W Ellassae. Jeśli dojdzie do rozlewu krwi na ulicach, będziemy zmuszeni...

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać – powiedział Dawson. – Mamy gości.

Bankier uśmiechnął się i skinął mu głową. Kalliam żałował, że etykieta nie pozwalała wyzwać na pojedynek mężczyzny bez odpowiedniego statusu. Clark był jedynie zwykłym kupcem w przebraniu. Nie powinien robić na Dawsonie żadnego wrażenia, ale coś w jego wystudiowanej łagodności zasługiwało na upuszczenie mu krwi. Brwi Canla Daskellina stanowiły teraz niemal jeden kłębek, a Odderd przenosił spojrzenie to na jednego, to na drugiego, niczym mysz podczas walki dwóch kocurów.

– Znam Paerina Clarka i jego rodzinę od lat – oznajmił Daskellin spokojnym, stonowanym głosem. – Mam absolutną pewność, co do jego dyskrecji.

– To urocze – odparł Dawson. – Ja poznałem go dopiero dzisiaj.

– Proszę, moi lordowie – przemówił bankier. – Przybyłem tu, by przedstawić swoją propozycję. Tak też uczyniłem. Jeśli lord Kalliam zmieni zdanie, oferta banku medejskiego wciąż jest aktualna. Jeśli nie, na pewno nie stanie się nic wielkiego.

– Dokończymy to innym razem – powiedział Dawson, wstając.

– O tak. Nie ma co do tego wątpliwości – rzekł Daskellin. Odderd nic powiedział, ale bankier wstał i ukłonił się Dawsonowi, gdy ten wychodził. Vincen Coe ruszył za baronem bez słowa. Kalliam sztywnym krokiem przemierzał kręte ścieżki biegnące pod fundamentami miasta.

Gdy w końcu dotarł na ulicę, bolały go nogi, a gniew przeminął. Coe zgasił pochodnię w śnieżnej zaspie. Smoła zostawiła paskudną plamę na białym puchu. Dawson wolał przemieszczać się pieszo zamiast brać powóz, chcąc pokazać najemnym zbirom Issandriana, że nie boi się ich. Z drugiej strony mógł w ten sposób liczyć na większą dyskrecję. Pozostawienie zaprzęgu na skraju Szczeliny, w oczekiwaniu na jego wyjście równałoby się z wywieszeniem drogowskazu. Nie żeby jego towarzysze mieli na uwadze dyskrecję. Co ten Daskellin sobie myślał?

Dotarłszy do własnej rezydencji z twarzą skostniałą z zimna, był tak zaaferowany, że nie zauważył cudzego powozu, który czekał przy stajniach. Stary, tralgurski odźwierny nerwowo zastrzygł uchem, gdy Dawson podszedł bliżej.

– Witaj w domu, mój lordzie – powiedział niewolnik. Jego łańcuch zadzwonił, gdy mężczyzna wykonał ukłon. – Godzinę temu przybył do ciebie gość, mój panie.

– Kto? – spytał Dawson.

– Curtin Issandrian, mój lordzie.

Dawson poczuł ucisk w dołku. Krew niespodziewanie zaśpiewała mu w żyłach. Chłód dnia i frustracja po odbytym spotkaniu przestały mieć znaczenie. Mężczyzna spojrzął na Vincena Coe, którego twarz odbijała jego własne zaskoczenie.

– Wpuściłeś go *do środka*?

Tralgurski niewolnik pochylił głowę na wyraz strachu i pokory.

– Pani domu nalegała, mój lordzie.

Dawson dobył miecza i wbiegł na schody, każdym susem pokonując trzy stopnie. Jeśli Issandrian choćby tknął Clare, to będzie najkrótsza i najkrwawsza rewolucja w historii świata. Dawson spaliłby szczątki Issandriana na placu, a potem naszczał do ognia. Gdy dotarł do atrium, u jego boku pojawił się Coe.

– Znajdź Clare – rozkazał baron. – Zabierz ją do jej pokoi i zabij każdego, kto spróbuje wejść, a nie będzie jednym z domowników.

Coe skinął głową i zniknął za zakrętem korytarza, szybki i bezgłośnie niczym podmuch wiatru. Dawson szedł ostrożnie przez swój własny dom, ściskając w dłoni rękojeść miecza. Wyszedł zza rogu ku przerażeniu służki, która zrobiła wielkie oczy na widok swojego pana z bronią w ręku. Psy odnalazły go, gdy wszedł do oranżerii. Wszystkie ruszyły za nim, powarkując albo skomląc.

Issandriana znalazł w zachodnim salonie, wpatzonego w ogień w kominku. Niemodne, długie włosy mężczyzny spływały mu na ramiona niczym lwia grzywa. Rudozłote kosmyki miały barwę płomieni. Issandrian zauważył miecz i uniósł brew, ale poza tym ani drgnął.

– Gdzie moja żona? – spytał Dawson. Psy za jego plecami warknęły.

– Trudno mi powiedzieć – odparł Issandrian. – Nie widziałem jej odkąd przyprowadziła mnie tu, bym w spokoju mógł poczekać na twój powrót.

Dawson zmrużył oczy, szukając jakichkolwiek oznak kłamstwa. Issandrian spojrzął na psy szczerzące swoje kły, a potem na gospodarza. W jego oczach nie było strachu.

– Mogę jeszcze poczekać, jeśli wolisz najpierw z nią porozmawiać.

– Czego tutaj szukasz?

– Dobra królestwa – powiedział Issandrian. – Jesteśmy światowymi ludźmi, lordzie Kalliamie. Obaj wiemy, dokąd prowadzi droga, na którą wkroczyliśmy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wszyscy o tym gadają. Koteria Issandriana przeciwko koterii Kalliamia. A król Simeon miota się pomiędzy nimi obiema, w zależności od tego, z której strony zawieje wiatr.

– Nikt nie będzie mówił tak o jego wysokości w mojej obecności.

– Mogę wstać, lordzie Kalliamie? Czy też honor nakazuje ci szczuć psami nieuzbrojonego człowieka?

Znużenie w głosie Issandriana ostudziło nieco zapędy Dawsona. Schował miecz i wykonał gest nad głowami psów. Zwierzęta skuliły się, milknąc. Issandrian wstał. Był wyższy niż Dawson zapamiętał. Pewny siebie, rozluźniony i bardziej królewski niż Simeon. Niech Bóg ma ich wszystkich w swojej opiece.

– Możemy przynajmniej porozmawiać o rozejmie? – spytał.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to – powiedział Dawson.

– Niech będzie. Świat się zmienia, lordzie Kalliamie. Nie tylko tutaj. Hallskar jest na granicy obalenia swojego króla i wybrania nowego. Sarakal i Ellassae poczyniły ustępstwa względem kupców i chłopstwa. Władza szlachty wynikająca z samego urodzenia przemija. Jeśli Antea chce być częścią nowej przyszłości, ona również musi się zmienić.

– Już słyszałem tę śpiewkę. I wcale mi się nie spodobała.

– Nie ma znaczenia czy podoba ci się to, czy nie. Zmiany zachodzą. A my możemy podążać wraz z nurtem lub odgrodzić się od jego biegu.

– A więc twoje wspieranie pomysłu powstania rady chłopskiej było jedynie bezinteresownym działaniem na rzecz korony, tak? Chęć dodania sobie splendoru nie miała z tym nic wspólnego? Zacznij ciągnąć za inne sznurki, chłopcze. Do tych przywiązano dzwonki.

– Mogę oddać ją w twoje ręce – powiedział Issandrian. – Jeśli przekażę ci patronat nad radą chłopską, zaakceptujesz ją?

Dawson pokręcił głową.

– Dlaczego? – spytał Issandrian.

Kalliam wskazał palcem psy siedzące niespokojnie za jego plecami.

– Spójrz na nie, Issandrian. To dobre zwierzęta, prawda? Doskonałe w tym co robią. Każdym z nich opiekuję się od szczeniaka. Karmię je. Daje schronienie. Czasami pozwalam im leżeć na kanapie i ogrzewać mi stopy. Twierdzisz, że powinienem zacząć ubierać je w moje stroje i dać im miejsce przy stole?

– Ludzie to nie zwierzęta – odparł Issandrian, krzyżując ręce na piersi.

– Mylisz się. Trzy lata temu człowiek pracujący na mojej ziemi zakradł się do domu swojego sąsiada, zabił go, zgwałcił jego żonę i pobił dzieci. Uważasz, że powinienem zrobić dla niego miejsce na ławie sędziego? Dać mu głos przy ogłaszaniu wyroku? Czy jednak powinienem przybić jego dłonie i kutasa do pniaka, a potem wrzucić go do rzeki?

– To nie to samo.

– A jednak. Mężczyźni, kobiety, psy i królowie. Wszyscy mamy swoje miejsce. Moje miejsce jest na dworze, gdzie mogę podążać za głosem i prawem króla. Miejsce chłopca jest na polu. Jeśli powiesz świniopasowi, że zasługuje na miejsce w sądzie, postawisz pod znakiem zapytania całą strukturę społeczną, wliczając w to moje prawo do osądzania jego czynów. A gdy utracimy to, lordzie Issandrianie, utracimy wszystko.

– Myślę, że się mylisz.

– Próbowaleś zabić mnie na oczach ludzi – powiedział Dawson. – Niewiele obchodzi mnie, co myślisz.

Issandrian przycisnął dłoń do oczu i pokiwał głową. Wyglądał na zboląłego.

– To był Maas. Nie wiem czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie, ale o wszystkim dowiedziałem się po fakcie.

– Nie interesuje mnie to.

Obaj mężczyźni zamilkli. Ogień trzaskał w palenisku. Psy zmieniały pozycje, podenerwowane, ale jednocześnie niepewne, co mają robić.

– Czy możemy zbudować jakiś pomost między naszymi stanowiskami? – spytał Issandrian, ale ostry ton jego głosu sugerował, że znał odpowiedź.

– Porzuć swoje plany i intencje. Rozwiąż swoją koterię. Przynieś mi głowę Feldina Maasa na srebrnej tacy, a jego ziemie oddaj moim synom.

– Czyli nie – skwitował jego gość z uśmiechem.

– Nie.

– Czy twój honor pozwoli mi na bezpieczne opuszczenie twojego domostwa?

– Mój honor tego wymaga – powiedział Dawson. – Chyba że skrzywdziłeś moją żonę.

– Przyszedłem porozmawiać. Nie miałem zamiaru jej krzywdzić.

Dawson stanął pod przeciwległą ścianą pomieszczenia i pstryknął palcami, przywołując do siebie psy, które zeszły z drogi jego wrogowi. Issandrian zatrzymał się w przejściu.

– Możesz wierzyć w co chcesz, ale jestem w pełni lojalny królowi.

– A mimo to szukasz przyjaciół w Asterilhold.

– A wy prowadzicie rozmowy z ludźmi z Północnego Wybrzeża – odparował, po czym zniknął.

Dawson usiadł. Przywódca jego watahy podszedł do niego, skomląc i wciskając mu łeb w dłonie. Mężczyzna z roztargnieniem podrapał psa za

uszami. Gdy miał pewność, że dał gościowi dość czasu na opuszczenie rezydencji, wstał i skierował swe kroki do prywatnych pokoi Clary. Kobieta siedziała na krawędzi kozetki, trzymając splecione dłonie na udach. Oczy miała wystraszone, a twarz bladą. Wszystko w jej wyglądzie wyraźnie świadczyło o strachu i spięciu.

– Gdzie Coe? – spytał. – Wysłałem go...

Clara uniosła dłoń, wskazując za jego plecy. Myśliwy stał w cieniu otwartych drzwi. W jednej dłoni trzymał obnażony miecz, w drugiej zaś – niebezpiecznie zakrzywiony sztylet. Gdyby Dawson był napastnikiem, nawet nie wiedziałby, co go zabiło.

– Dobra robota – powiedział. W półmroku trudno było orzec, czy Coe się zarumienił. Dawson ruchem głowy wskazał drzwi, po czym zamknął je, gdy myśliwy wyszedł.

– Bardzo mi przykro, ukochany – zaczęła Clara. – Lokaj przyniósł mi wiadomość, że przybył lord Issandrian i nie pomyślałam. Kazałam jedynie zaprowadzić go w miejsce, gdzie będzie mógł wygodnie poczekać. Nie wyobrażałam sobie, bym miała kazać mu czekać na progu, jak jakiemuś chłopcu na posyłki, a stwierdziłam, że jeśli chce z tobą rozmawiać, to najlepiej będzie mu na to pozwolić. Nigdy nie sądziłam, że będzie próbował...

– Niczego nie próbował – przerwał jej Dawson. – Nie tym razem. Jednak gdyby wrócił, nie wpuszczaj go. Ani żadnego z ludzi Maasa.

– Muszę zobaczyć się z Phelią, jeśli nas odwiedzi. Nie mogę zwyczajnie udawać, że przestała istnieć.

– Jej też nie, ukochana. Dopiero, gdy będzie po wszystkim. Nie wcześniej.

Clara otarła oczy wierzchem dłoni. Był to gest niegodny damy i niezaplanowany, a tym samym odrobinę łamiący Dawsonowi serce. Mężczyzna położył jej dłoń na kolanie, pragnąc dodać jej otuchy.

– Czyżby sprawy miały się gorzej? – spytała.

– Issandrian gromadzi żołnierzy. Wiedzących. Może dojść do rozlewu krwi.

Clara wzięła długi wdech, powoli wypuszczając powietrze nosem.

– Niech będzie.

– Wszyscy twierdzą, że działają w najlepiej pojętym interesie Simeona, ale niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli pojawi się ktoś, kto będzie miał

śmiałość objąć przywództwo. Asterilhold i Północne Wybrzeże już czekają, żeby podkupić którąś ze stron, a jedni i drudzy z chęcią zobaczyliby swoją marionetkę na Rozdartym Tronie – powiedział Dawson. Odkaslnął. – Musimy wygrać, póki wciąż jeszcze jest to nasza wojna.

Geder

– Zamieszki? – powiedział Geder, czując, że serce podchodzi mu do gardła. – Dlaczego doszło do zamieszek?

– Ludzie zaczynają głodować, lordzie protektorze – odparł sir Gospey Allintot. – Chłopi sprzedają całe swoje zboże w Newport.

Geder oparł podbródek na dłoni, żeby sir Allintot nie widział jak bardzo drżą mu ręce. Oczywiście, wspomiano mu coś o chłopach i dostawach zboża, ale pośród tysięcy spraw, które wymagały jego uwagi, ta wydawała się niezbyt ważna. Teraz rozwścieczone głosy przekrzykiwały się nawzajem i wyglądało na to, że pod jego oknami rozpalono wielki ogień. Ktoś spiskował przeciwko Vanai, jakiś skryty wśród cieni wróg mający na celu osłabienie miasta. Maccia, być może przygotowująca się do odbicia go, zanim Antea umocni swoją pozycję. Albo wygnany książę, gromadzący sojuszników w całym kraju. Myśli Gедера gnały na oślep, wirując mu w głowie niczym suche liście targane wiatrem.

– Kto za tym stoi? – spytał, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie.

Sir Allintot odchrząknął.

– Sądzę, że to reakcja na twoją decyzję o podniesieniu podatku importowego na zboże, mój lordzie – powiedział. – Chłopi zarabiają tam na zbożu więcej, nawet jeśli oznacza to przebycie dłuższej drogi, ponieważ w Newport podatki są niższe.

– Wolą zarobić więcej pieniędzy, nawet kosztem ludzi głodujących w Vanai? – spytał Geder. – Tak nie może być. Poślemy naszych ludzi. Przechwycimy transporty zboża i sprowadzimy je tutaj.

Sir Allintot ponownie odchrząknął. Albo mężczyzna zaczynał chorować, albo próbował ukryć rozbawienie.

– Z całym szacunkiem, mój lordzie – powiedział – Nawet jeśli odłożymy wszystkie inne sprawy na bok, to problem niepokoju społecznych rzadko kiedy rozwiązuje się, wyprowadzając wojsko z miasta. Być może rozważysz, mój panie, obniżenie podatków do poprzednich poziomów. Albo, wzięwszy pod uwagę nasze zapasy, jeszcze niżej.

– Zmniejszając tym samym daninę na rzecz korony? – oburzył się Geder.

– Raz jeszcze, z całym szacunkiem, mój lordzie, ale dopóki zboże nie zacznie trafiać do Vanai, wpływy z podatków również będą niższe. Już teraz

nasze wpłaty są mniejsze od określonych przez ciebie poziomów.

Krzyki z placu przybrały na sile. Geder wyskoczył ze swojego siedziska i podszedł do okna.

– Na Boga. Czy oni nie mogą się zamknąć?

Ludzie wylegli na schody prowadzące do pałacu. Dwieście lub trzysta osób wymachujących pięściami, kamieniami i kijami. Dostępu do budynku broniły dwa tuziny żołnierzy w antejskich zbrojach, z mieczami przed sobą i łukami trzymanymi w pogotowiu. Geder ujrzał Jorey'a Kalliamą krążącego pomiędzy gwardzistami. Tłuszcza posuwała się naprzód kilka stopni, po czym znów musiała ustąpić.

– Porozmawiam z nimi – oznajmił Geder.

– Mój lordzie?

– Powiedz im, że wychodzę. Wyjaśnię im, w czym problem i obiecuję, że to załatwię.

– Jak rozkażesz, mój lordzie – powiedział sir Allintot, po czym ukłonił się i wyszedł.

Geder kazał służącemu przynieść czarną pelerynę, którą przyjął w zamian za umorzenie podatku. Skrzywienie i zapach skóry dodawały mu pewności siebie, a krój okrycia był naprawdę dobry. Schodząc po szerokich, wypolerowanych schodach wyłożonych drewnem, a potem krocząc długim korytarzem, zdał sobie sprawę z tego, że pelerynę przywdziewał tak, jak ktoś inny mógłby nosić maskę. Ponieważ wyglądała naprawdę imponująco, krył się pod nią, mając nadzieję, że ludzie będą ją podziwiać, zamiast patrzeć na niego.

Na jego sygnał dwie podenerwowane timzinejskie niewolnice otworzyły przed nim drzwi. Geder wyszedł na zewnątrz. Żołnierze strzegący pałacu wydawali się teraz bardziej odsłonięci, gdy stał tuż za ich plecami i nie patrzył na wszystko z góry. Tłum wyglądał na większy. Ludzie zobaczyli go, zamilkli na chwilę, po czym zaczęli wrzeszczeć. W górę poszły kije i zaciśnięte pięści. Setki oczu spoglądały na niego, obnażając zęby osadzone w kwadratowych szczękach. Geder przełknął ślinę i postąpił kilka kroków naprzód.

– Co ty wyczyniasz? – syknął Jorey Kalliam.

– Nic mi nie będzie – odparł Palliako, unosząc dłonie w geście nakazującym ciszę. – Posłuchajcie! Posłuchajcie mnie!

Pierwszy rzucony kamień przypominał sztuczkę wiedzącego. Ciemna

plama na niebie, mniejsza niż ptak, urosła gdzieś ponad głowami tłuszczy, pozornie wisząc w powietrzu, w bezruchu. Dopiero pod sam koniec iluzja znikła, a otoczek pomknął z ogromną prędkością w kierunku twarzy Gедера. Siła uderzenia pchnęła go w tył. Świat umilkł, przez chwilę obserwowany jakby z oddalenia. Promienie słońca pociemniały na krawędzi jego pola widzenia. W następnej chwili powietrze rozdarł ryk, a tłum ruszył do przodu. Głos wzbijający się ponad ogólną wrzawę należał do Jorey'a Kalliamy.

– Szykować łuki! Trzymać pozycje!

Wystrzelona z placu strzała przeleciała nad Gederem, świszcząc lotkami. Drzewce pękły po uderzeniu w ścianę pałacu. Ktoś chwycił go za łokieć i pociągnął w górę schodów. Lewa strona jego twarzy mrowiała. W ustach czuł smak krwi.

– Wejdz do środka i zostań tam! – krzyknął Jorey. – Nie zbliżaj się do okien.

– Dobrze – odparł Geder. Koło niego świsnął kolejny kamień. Mężczyzna zgarbił plecy i pędem skrył się w bezpiecznych czterech ścianach. Gdy tylko przekroczył próg, niewolnicy zawarli za nim drzwi i opuścili drewnianą belkę na wewnętrzne uchwyty. Geder siedział na schodach, obejmując ramionami kolana, podczas gdy krzyki z zewnątrz przerodziły się we wrzaski. Wydarzyło się coś hałaśliwego, po czym kobiecy głos zaczął piszczeć. Mężczyzna uświadomił sobie, że kołysze się w przód i w tył, więc przestał. Giermek wyrósł u jego boku z mokrą szmatką w rękach, by zmyć krew z twarzy Gедера.

Po czasie jawiącym się niczym całe godziny, choć zapewne były to jedynie minuty, odgłosy przemocy ucichły. Gdy cisza utrzymała się dostatecznie długo, Geder skinął na niewolników. Drzwi odryglowano i Palliako wyjrzał na zewnątrz. Na placu zostali wyłącznie antejscy żołnierze. U podstawy pałacowych schodów leżało pięć ciał. W promieniach południowego słońca ich krew wyglądała na osobliwie jasną. Łucznicy trwali na swoich pozycjach, ze strzałami nałożonymi na spuszczone cięciwy. Jorey Kalliam stał na środku placu w otoczeniu pół tuzina żołnierzy. Geder słyszał wypowiedane przez niego ostre, rytmiczne sylaby, ale nie rozumiał poszczególnych słów. Obrócił się na pięcie i ruszył do swoich prywatnych komnat. Ktoś zdołał rzucić kamień dostatecznie wysoko, by wybić jedną z szyb. Szklane odłamki połyskiwały w promieniach słońca.

Nie tak miało być. Dano mu szansę na wykazanie się, ale jej nie

wykorzystywał. Nie rozumiał nawet, dlaczego zawodzi. Wiedział jedynie, że jego decyzje rodziły nowe problemy, które za każdym razem okazywały się dwa razy bardziej brzemiennie w skutkach. Wiedział, że żołnierze nie darzą go szacunkiem, a mieszkańcy miasta nienawidzą. Wiedział zbyt mało, aby kierować miastem wielkości Vanai w pojedynkę, a nie posiadał żadnych sojuszników, którzy by mu w tym pomogli. Chciał, żeby Ternigan odwołał go, tak jak uczynił to z Klinem. Wezwanie go przed oblicze władcy – nawet gdyby oznaczało to dla niego potępienie – było lepsze niż pozostanie tutaj.

Poza tym, rzecz jasna, że już potrafił wyobrazić sobie zawód na twarzy ojca. W uszach rozbrzmiały mu słowa fałszywego pocieszenia. *Zrobiłeś co w twojej mocy, mój chłopcze. Jestem z ciebie dumny.* W jego wyobrazeniach, ojciec próbował bronić go przed wstydem porażki. Wszystko byłoby lepsze niż to. Nawet śmierć z rąk rozwścieczonego tłumu. Upokorzenie bolało Gедера, ale był w stanie je przełknąć. Patrzenie jednak, jak poniżają jego ojca – tego byłoby za wiele. Musiała istnieć jakaś inna droga. Po prostu *musiała*.

Pojawiła się służąca ze szczotką i szufelką, i pozamiatała potłuczone szkło. Geder nawet na nią nie spojrział. Powietrze wpadające przez uszkodzone okno było chłodne, ale nie wezwał nikogo, kto mógłby naprawić szkodę. Wciąż miał na sobie skórzaną pelerynę. Było mu dostatecznie ciepło. A nawet gdyby było inaczej, nie miało to większego znaczenia.

Światło pełzało po przeciwległej ścianie, nabierając czerwonej barwy, gdy słońce kończyło swoją wędrówkę po niebie. W jego komnacie pojawił się pierworodny mężczyzna, który po chwili wahania na nowo rozpałił ogień w kominku. Geder odczuwał ból w nogach, ale się nie poruszył. Ten sam człowiek wrócił niedługo później, niosąc płachtę skóry, którą przesłonił strzaskaną szybę. W pomieszczeniu pociemniało.

To niesprawiedliwe, że Ternigan nie musiał płacić ceny za to wszystko. To on dał Gederowi władzę, bez żadnych wskazówek ani lojalnych ludzi, którzy by mu pomogli. Jeśli ktokolwiek powinien czuć się winny za obecny stan rzeczy w Vanai, to był to właśnie lord marszałek. Tyle że nigdy do tego nie dojdzie. Jeśli to Ternigan był winien pokładania wiary w Gederze, to król Simeon winien był obsadzenia dowódczego stanowiska Terniganem. Nie, cała odpowiedzialność miała spaść na barki Gедера i nikogo innego.

Mimo to nie potrafił zrozumieć, co kierowało arcymarszałkiem. Wszystkich wprowadziła w osłupienie ta nominacja. Nawet Geder potrzebował wyjaśnień Jorey'a Kalliamy, żeby znaleźć wiarygodne wytłumaczenie dla

awansu. Nikt nie uważał tego wyboru za rozsądny. Jedynymi ludźmi, którzy w ogóle pokładali wiarę w tej zmianie, był Geder oraz lord Ternigan. Tylko dwie osoby, które twierdziły, że to może się udać, a mimo to...

A może nie. Co jeśli *nikt* nie wierzył w powodzenie tej zmiany? Nawet od samego początku.

– Ach – mruknął Geder do pustego pokoju.

Gdy zmienił pozycję, ugięły się pod nim kolana. Zbyt długo stał nieruchomo. Pokuśtykał do kanapy stojącej najbliżej ognia, mimowolnie obracając problem w głowie. Ile razy słyszał, jak mówiono, że Vanai było jedynie pionkiem w grze? Do tej pory tego nie rozumiał.

Po pierwsze: choć bolało go to, musiał przyznać, że nie był odpowiednio przygotowany do zarządzania miastem.

Po drugie: to Ternigan dał mu kontrolę nad miastem.

Po trzecie: Ternigan nie był głupcem.

A to oznaczało, że lord marszałek – niezależnie od powodów czy konfliktów interesów, które nim kierowały – *chciał*, żeby w Vanai zapanował chaos. Geder był jedynie akceptowalną ofiarą.

Gdy się uśmiechnął, rana na wardze znów pękła. Gdy wybuchnął śmiechem, zaczęła krwawić.

Wasza Wysokość, zaczynał się list, jako protektor Vanai, doszedłem do wniosku, że środowisko polityczne na dworze czyni długoterminowe utrzymanie miasta niemożliwym.

Geder przebiegł wzrokiem tekst. W ciągu nocy napisał już tuzin jego wersji. Niektóre przypominały gniewne elaboraty, inne zaś służalcze przeprosiny. Ostatecznie postanowił wykorzystać formę, w jakiej Marras Toca napisał list do króla Hallskar kilka wieków temu. Cały tekst przepisano do jednej z ksiąg, a jego retoryka była jednocześnie prosta i bardzo poruszająca. Geder pozmieniał dostatecznie dużo, by nikt nie mógł posądzić go o plagiat, pozostawiając właściwy rdzeń. Mężczyzna poskładał list, opisał zewnętrzną stronę i zalakował go purpurowym woskiem, odciskając w nim swoją pieczęć. Esej zawierający list Marrasa Toci leżał na stole. Geder ponownie go przekartkował, czując ulgę, jakiej nie zaznał od wielu tygodni. Odszukał interesujący go ustęp i podkreślił najważniejsze zdanie.

...Aastapal zawdzięcza swoje zniszczenie Inysowi, który chciał uniemożliwić Morade'owi zdobycie miasta...

Jego uwagę zwróciła notatką, którą własnoręcznie zostawił wcześniej.

Obserwowanie zmarszczek na stawie, by dowiedzieć się, gdzie wpadł kamień.

O tak. Gdy już wróci do Camnipolu będzie miał na to mnóstwo czasu. Alan Klin mógł nie wiedzieć, że stracił swoją pozycję przez zdradę. Geder, z drugiej strony, był tego w pełni świadom, dlatego żywił urazę. Ostatecznie miał zrozumieć decyzję Ternigana oraz to, co za nią stało. Jednak to przyjdzie później.

Ta noc stanowiła próbę. Długie, ponure godziny wypełniało bębnienie jego umysłu, obracającego w głowie sposób, w który został wykorzystany. Jak został skazany na porażkę i jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić. Szlochał i wściekał się. Przeczytał kilka książek, raporty swoich ludzi i historię Vanai. Na krótko przymknął nawet powieki.

– Mój panie – rzekł jego giermek. – Posłałeś po mnie?

– Tak – powiedział Geder, wstając. – Mam trzy sprawy. Po pierwsze, weź ten list i odszukaj najlepszego jeźdźca, jakiego mamy. Chcę, żeby ta wiadomość dotarła do Camnipolu najszybciej jak to możliwe.

– Tak, mój lordzie.

– Po drugie, weź tę sakiewkę. Pamiętasz uczonego, z którym pracuję? Kup od niego wszystkie książki, które posiada. Potem przynieś je tutaj i zapakuj je razem z moimi rzeczami. Wkrótce opuścimy Vanai i chcę je mieć przy sobie.

– Wyjeżdżamy, mój lordzie?

– Po trzecie, zwołaj moich sekretarzy. Spotkam się z nimi za godzinę. Każdego kto się spóźni, każę wychłostać. Przekaż im to. Wychłostać, a potem posypać jego rany solą.

– T... tak, mój lordzie.

Geder uśmiechnął się i tym razem nie bolało to już tak bardzo. Jego giermek wykonał szybki ukłon i wybiegł. Ziewając i przeciągając się, Geder po raz ostatni opuścił swoje pokoje w pałacu księcia Vanai. Krok miał prężny, a humor nie najgorszy, pomimo nieprzespanej nocy. Powietrze pachniało subtelną obietnicą wiosny, a słabe światło poranka padało na plac, gdzie poprzedniego dnia zebrali się wichrycyiele. Po przeciwległej stronie skweru jakiś odważny tubylec powiesił podobiznę Gedera. Manekin miał ogromny brzuch i czarną pelerynę, a wyraz twarzy na głowie z wysuszonej tytkwy stanowił uosobienie głupoty. Na tabliczce zawieszanej na szyi kukły napisano: NAKARM NAS LUB UWOLNIJ NAS. Geder skinął głową do swojego drugiego ja, krótko i niezbyt życzliwie.

Jego ludzie siedzieli na tych samych miejscach co wtedy, gdy przemawiał do nich po raz pierwszy. Wielu wyglądało na wyrwanych ze snu. Jorey Kalliam był pośród nich, marszcząc czoło. Gospey Allintot stał nieco z tyłu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i podniesioną głową. Zapewne sądził, że zostanie obarczony winą za zamieszki poprzedniego dnia. Geder stanął u szczytu dawnej kaplicy. Nie usiadł.

– Moi lordowie – zaczął ostro. – Przepraszam za tak wczesną godzinę, ale dziękuję wam za przybycie. Jako lord protektor, moim obowiązkiem i zaszczytem będzie dowodzić wami podczas ostatniego dnia naszego pobytu w Vanai.

Zamilkł na chwilę, pozwalając, by te słowa do nich dotarły. Niektórym zaświeciły się oczy. Niepewność zmiękczyła wyrazy ich twarzy i rozluźniła spięte szyje. Geder pokiwał głową.

– Przed zmrokiem wszyscy wasi ludzie mają znaleźć się za murami miasta, gotowi do powrotu do Camnipolu – powiedział Geder. – Rozumiem, że zapasy żywności są dość ograniczone, więc upewnijcie się, że zostaną zapakowane, zanim komuś przyjdzie do głowy ich szabrowanie. Nie chodzi mi o plądrowanie miasta.

– Tylko o co? – spytał Alberith Maas.

– Nie przerywaj mi, Maas. To ja tutaj dowodzę. Sir Allintocie, czy byłbyś łaskaw dopilnować, by wszystkie kanały zostały zamknięte? Wydaje mi się, że musimy je osuszyć. Trzeba również zawrzeć bramy uliczne.

– Które bramy uliczne?

– Żelazne kratownice przy wylotach ulic – wyjaśnił Geder.

– Tak, sir. Wiem o czym mowa. Chodziło mi o to, które bramy mamy zamknąć.

– Wszystkie. Lordzie Kalliamie, staniesz na straży bram miasta. Nikt nie ma prawa wejść i nikt, poza nami, nie może go opuścić. To bardzo ważne, by nikt nie uciekł.

– Porzucamy miasto? – zdziwił się Maas.

– Doszedłem do wniosku, że środowisko polityczne na dworze czyni długoterminowe utrzymanie miasta niemożliwym – oznajmił Geder. – Wszyscy widzieliśmy, jak bardzo starał się sir Klin i do czego to doprowadziło. Poczytałem nieco o historii Vanai. Wiecie, ile razy miasto przechodziło w antejskie dłonie? Siedem. Najdłużej pozostało pod cesarską kontrolą przez dziesięć lat za czasów panowania królowej Estei III. Najkrócej

przez trzy dni w czasie bezkrólewia. Za każdym razem miasto oddawano na mocy traktatu lub w jakimś innym celu. Co oznacza, że za każdym razem był to ruch polityczny. Obecna sytuacja w Cannipolu sprawia, że jesteśmy na dobrej drodze, by to powtórzyć.

– A co *on* wie na temat sytuacji w Cannipolu? – szepnął ktoś dostatecznie głośno, by Geder usłyszał, ale nie na tyle, by nie mógł puścić komentarza mimo uszu.

– Jako protektor Vanai nie tyle służę miastu, co Antei. Gdybym sądził, że nasza dalsza obecność tutaj przyniosłaby jakąś korzyść koronie, zostałbym na miejscu, podobnie jak i wy. Jednak jeśli książki historyczne pokazują cokolwiek, to jedynie fakt, że to miasto kosztowało dobrych, szlachetnych ludzi życie, nie dając nic w zamian Rozdartermu Tronowi, niezależnie od tego, kto zasiadał w danym okresie na miejscu namiestnika. Sprawując władzę nadaną mi przez lorda Ternigana w imieniu króla Simeona, doszedłem do wniosku, że utrzymanie Vanai nie przyniesie nam żadnego pożytku. Napisałem już do króla Simeona. Kurier z wiadomością usprawiedliwiającą mój rozkaz mknie właśnie po smoczym trakcie w stronę Cannipolu.

– Więc po prostu wrócimy do domu? – spytał Maas. W jego głosie przebrzmiewało oburzenie. – Oddamy miasto w ręce wroga, który akurat się napatoczy?

– Oczywiście, że nie – odparł Geder. – Spalimy je.

Vanai umarło o zachodzie słońca.

Gdyby ludzie wiedzieli, gdyby rozumieli zagrożenie, niewielkie rozruchy na placu pałacowym poprzedniego dnia byłyby niczym. Jednak pomimo osuszenia kanałów, rozsypania drewna i węgla oraz rozlania oleju na ulicach i skwerach, a także zawarcia bram, nie sądzili, że mają do czynienia z czymś więcej niż odwetem za kamień rzucony w głowę Gедера. Podejrzewano, że kilku wichrzycieli zostanie schwytanych i spalonych. Nie byłaby to pierwsza publiczna egzekucja, którą przeprowadzono w Vanai. Dopiero, gdy Antejczycy opuścili miasto, ludzie zrozumieli co się dzieje, a wtedy było już za późno.

Historia obróciła się przeciwko Vanai. Było to miasto pełne wąskich uliczek, drewnianych budynków impregnowanych olejem i bram u wylotu każdej z ulic. Miasto zadowolone z siebie i pewne, że nie stanie mu się krzywda, ponieważ nigdy wcześniej nie przydarzyło mu się nic złego. Było

zaledwie pionkiem w grze.

Geder siedział na niewielkim podwyższeniu pozostawionym przez sir Alana Klina. Wykonane ze skóry siedzisko było trochę za wąskie dla Gedera, ale o wiele wygodniejsze niż jego rozkładane krzesło. Najwyżsi rangą oficerowie zebrali się wokół niego.

Wielokrotnie obracał w głowie ten moment. Gdy będą mieli to już za sobą, wstanie, ogłosi, że Vanai nie potrzebuje już protektora i da rozkaz do wymarszu. Będzie to przypominać scenę ze starych eposów. Zebrani oficerowie wiercili się, spoglądając na niego, jakby nie byli pewni, czy naprawdę chce to zrobić.

Sto jardów dalej zamykane bramy Vanai zaśniły złoto w świetle zachodzącego słońca. Geder wstał.

– Zablokować bramy – powiedział.

Polecenie przekazano dalej, niczym narastające echo przekazywane z ust jednego nawoływacza do drugiego. Rozkaz miał wkrótce dotrzeć również do południowych wrót. Inżynierowie tylko czekali na sygnał i natychmiast zabrali się do pracy. W niecałą minutę bramy zostały unieruchomione. Sforsowanie ich nie zajęłoby wiele czasu, ale wciąż więcej niż zostało go miastu.

– Wypuścić ogniste strzały – rzekł Geder, niemal swobodnym tonem.

Wydano rozkaz. Dwudziestu łuczników odpaliło strzały i uniosło łuki. Smugi ognia przypominały świetliki na tle jaśniejszego blasku. Proces powtórzono jeszcze trzykrotnie. Rozstawieni wokół miasta łucznicy mieli uczynić to samo, gdy tylko dotrze do nich rozkaz. Geder usiadł. W jego wyobraźni wszystko wydarzyło się natychmiast, ale gdy słońce skryło się za horyzontem, a skąpany w złocie świat poszarzał, nie dostrzegł żadnych szczególnych oznak pożaru. Zaczął zastanawiać się, czy powinien rozkazać łucznikom wypuścić następną salwę, ale wtedy ujrzał na niebie pierwszą smugę dymu. Na jego oczach ciemny kłęb rozprzestrzenił się, ale bardzo powoli. Wszystko miało potrwać dłużej niż myślał.

Dym zgęstniał, a gdy wiatr powiał w ich stronę wydawał się duszny i oleisty. W odpowiedzi w południowej części miasta wystrzelił w górę kolejny słup. Czarny kłęb wzbił się tak wysoko, że uchwycił ostatnie promienie słońca, na chwilę nabierając czerwonawej barwy, po czym ponownie ściemniał. Geder zmienił pozycję. Zaczynało robić się zimno, ale nie miał zamiaru prosić o swoje okrycie. Poprzedniej nocy nie spał i zaczynał

odczuwać zmęczenie. Zmusił się do wyprostowania pleców.

Przez długi czas nic się nie działo. Trochę dymu.

Jakieś odległe głosy. Geder nie sądził, aby raz rozpalony ogień było łatwo ugasić, ale mógł się mylić. Dym rozprzestrzeniał się, ogarniając kolejne fragmenty nocnego Vanai. Aż w końcu, jak gdyby dochodząc do siebie, płomienie ogarnęły całe miasto.

Rozległy się krzyki, wrzaski i nawoływania. Oczywiście spodziewał się coś usłyszeć, ale sądził, że będą to odgłosy przypominające wcześniejsze zamieszki – na Boga, naprawdę minął od tego czasu tylko jeden dzień? Te odgłosy brzmiały inaczej. Nie było w nich gniewu, jedynie setki głosów splecionych w dzikiej, zwierzęcej panice. Geder zobaczył, że jego żołnierze ruszyli z miejsca. Ktoś musiał wydostać się z miasta, a antejska piechota, wierna rozkazom, dopadała wszystkich uciekinierów. Geder dotknął ust, urażając rozcięcie na wardze. Przypomniał sobie o podobiznie wiszącej na placu. Oni zaczęli. To nie jego wina, że musieli teraz zginąć.

Z ulic unosił się teraz podświetlony od dołu dym, przesłaniając księżyc. Płomienie liznęły budynki najbliżej muru, po czy wystrzeliły w górę, opuszczając miasto i buchając w otwarte powietrze. Kolejny dźwięk, niski i rytmiczny jak odgłos maszerującej armii, dobiegł jego uszu. Geder poczuł, że ziemia drży. Powiódł dookoła wzrokiem, spodziewając się lawiny albo ataku. Przez chwilę myślał, że przebudzili jakiegoś ostatniego smoka, ukrytego pod Vanai. Był to jedynie ryk ognia.

Bramy zadrżały, wypaczając się pod wpływem żaru.

Grupa ludzi pojawiła się na szczycie murów, mężczyźni i kobiety próbujący uciec. W chwili krótkiej i niespodziewanej jak uderzenie błyskawicy, jedna postać w szczególności odznaczyła się na tle płomieni. Geder był w stanie stwierdzić, że była to kobieta, ale nie rozpoznał rasy. Machała rękami, próbując coś przekazać. Ogarnęła go przemożna chęć posłania po nią kogoś, uratowania jej, ale kobieta zdążyła zniknąć. Język ognia liznął niemal opustoszałe spichlerze, a unoszący się w nich pył zbożowy wybuchł z siłą grzmotu. Kłęb dymu wystrzelił w górę niczym wir ciemności przyćmiewającej miasto. Wiatr, któremu udało się przepchnąć obok, podsycał płomienie. Ich ryk stał się zbyt głośny, by można było go przekrzyczeć.

Geder siedział z szeroko otwartymi oczami, podczas gdy płatki popiołów opadały wszędzie wokół niego. Żar umierającego miasta ogrzewał mu twarz

niczym pustynne słońce. Wyobrażał sobie, że będzie siedział tam do samego końca. Nie zrozumiał jedynie, że Vanai będzie płonąć kilka dni.

Nie rozumiał absolutnie *niczego*.

– Chodźmy już – powiedział. Nikt go nie usłyszał. – Dość tego! W drogę!

Przekazano rozkazy. Antejska armia zaczęła oddalać się od ogromnego stosu. Geder porzucił myśl o wygłoszeniu retorycznej mowy. Nic, co mógł powiedzieć, nie mogło równać się z pożogą. Wrócił do swojego namiotu, zastanawiając się, czy nie rozbili obozowiska za blisko. Co jeśli ogień wydostanie się za mury miasta? Co jeśli przyjdzie po niego?

Odprawił swojego giermka i zwinął się na łóżku polowym. Był zbyt zmęczony, by się poruszyć, a koszmarnie zawrodozenie płomieni nie miało końca. Wbił spojrzenie w sufit swojego namiotu, widząc tam niewielką postać, która machała do niego rękami i umierała. Geder wcisnął dłoń w usta, przygryzając skórę do krwi, pragnąc zagłuszyć ten dźwięk.

W niebo wzbiła się kolumna dymu z dziesięciu tysięcy płonących ludzi.

Cithrin

Wieść o zniszczeniu Vanai dotarła do Porte Oliva. Na Wielkim Targu i w porcie, w szynkach i w zajazdach, a nawet na schodach prowadzących do labiryntu z cegieł i szkła, którym był pałac namiestnika, szczegóły mnożyły się w miarę jak do miasta docierały kolejne raporty – morzem, konno albo drogą zwykłych spekulacji. Miasto płonęło trzy dni. Antejskie siły zabarykadowały bramy i mordowały każdego, kto próbował ucieczki. Kanały zostały osuszone, by utrudnić dostęp do wody mogącej spowolnić pożar. Nim opuścili miasto, Antejczycy wylali beczułki oleju lampowego na ulice. Żar pokruszył kamienie. Smród spalenizny dotarł z dymem aż do Maccii, barwiąc zachody słońca na czerwono. Spalone zwłoki wciąż zatykały jazy w Newport.

Cithrin wyglądała nowych wieści niczym wszechobecni żebracy upuszczonych monet. Z początku nie wierzyła. Miasta nie umierały z dnia na dzień. Ulice i kanały, które znała przez całe życie nie mogły ot tak obrócić się w ruinę tylko dlatego, że ktoś tak powiedział, nawet jeśli tym kimś był antejski generał. To było niedorzeczne. Jednak z każdą kolejną usłyszaną historią, każdym nowym głosem powtarzającym dokładnie to samo, jej niedowierzanie malało. Nawet jeśli wszyscy jedynie powtarzali po sobie jak echo, ciężar ich połączonej wiary w to wydarzenie pociągnął na dno również ją.

Vanai umarło.

– Wszystko w porządku? – spytał Sandr.

Cithrin pochyliła się. Jej nogi zwisały z krawędzi wozu aktorów jak u dziecka siedzącego na zbyt wysokim stołku. Obok nich przetaczał się popołudniowy tłum. Dziewczyna obserwowała chudego jak tyczka cinnejskiego chłopca, który przeciskał się przez ciżbę, śledząc pozbawioną koloru strzechę na jego głowie. Zapach słonej wody sprawiał, że powietrze wydawało się chłodniejsze niż było w rzeczywistości. Nie wiedziała jak odpowiedzieć na pytanie, ale spróbowała.

– Nie wiem. Chyba tak. Trudno jest żyć pośród tego wszystkiego – powiedziała, wskazując na ścisk wokół nich – a przy tym naprawdę odczuć te wszystkie śmierci. To znaczy, wiem, że magister Imaniel nie żyje. Cam zapewne też. Wszystkie dzieci, które bawiły się na ulicach również zginęły i

czasami napawa mnie to smutkiem. Ale kiedy zaczynam myśleć, że *wszystko* przepadło – targ warzywny, pałace, płaskodenne barki, wszystko – to wydaje mi się to... sama nie wiem. Abstrakcyjne?

– To chyba dobre określenie – powiedział Sandr, kiwając głową, jakby ją rozumiał.

– Nikt mnie teraz nie zna. Przeżyłam całe życie w Vanai. Czułam, że wszyscy wiedzą, kim jestem. *Czym* jestem. A teraz to wszystko zniknęło i nic mnie już nie wiąże z tamtym miejscem. Kapitan Wester, Yarem Hane, ty i trupa mistrza Kita. Teraz to wy, ze wszystkich ludzi na świecie, znacie mnie najlepiej.

– Trudna sprawa – rzekł Sandr, ujmując jej dłoń.

Nie, to właśnie dobrze, pomyślała. *Kiedy nikt nie wie, czym jesteś, możesz być czym tylko chcesz.*

– Sandr! – zawołał mistrz Kit. – Już czas.

– Dobrze, sir – odpowiedział Sandr, podrywając się na nogi. Spojrzał na Cithrin z góry i uśmiechnął się łagodnie, podobnie jak wtedy, gdy wychodził na deski sceny. – Będziesz tu, gdy skończymy?

Cithrin pokiwała głową. To nie tak, że miała jakieś inne sprawy na głowie. Poza tym, ciekawiła ją nagła zmiana w postawie Sandra. Zakładała, że jakaś ładniejsza dziewczyna odrzuciła jego zaloty, więc chłopak postanowił poflirtować trochę z nią, by odbudować swoje poczucie wartości. Zapewne sądził, po tych kilku chwilach spędzonych nad stawem przy młynie, że stanowiła łatwą zdobycz. Cithrin zastanawiała się, jak było w rzeczywistości. Jeszcze częściej rozmyślała nad tym, jaka chciałaby być. W końcu zeskoczyła z wozu i wmieszała się w tłum.

Mikel już tam był, mało entuzjastycznie próbując udawać miejscowego. Pochwyił spojrzenie dziewczyny i posłał jej uśmiech. Ta skinęła mu głową, po czym zwróciła wzrok w stronę Smita i Horneta, którzy wspólnie opuszczali scenę. Gdy łańcuchy się napięły, pojawił się na niej mistrz Kit. Nie miał już na sobie stroju Orcusa, Króla Demonów. Bez Opal w trupie, historia Alerena Zabójcy i Miecza Smoków została odstawiona na bok. Zamiast tego na ramionach mężczyzny powiewała połyskująca, niebieska peleryna, pasująca kolorem do jego tuniki. Jaskrawożółta kokarda podtrzymywała zielone pantalony, a na jego stopach tkwiły najbardziej niedorzeczne buty, jakie widziały ludzkie oczy.

– Witajcie! – zawył mistrz Kit komicznym falsetem. – Hej, ty tam,

powiedziałem witaj! Tak, ty, w tym pięknym kapeluszu. Zatrzymaj się na chwilę. Bóg jeden wie, że nie masz nic lepszego do roboty. A ty, tam z tyłu. Podejdź bliżej, a być może zobaczysz coś, co ci się spodoba. Co? A właśnie, że tak. A...

Mistrz Kit zawiesił głos, robiąc zszokowaną minę. Cithrin poczuła ukłucie strachu, lekko odwracając głowę, by podążyć za jego spojrzeniem.

– Och, ty nie, kochanie – ciągnął aktor tym samym głosem, machając dłońmi jak wróbel. – Ty się nie zatrzymuj.

Ludzie parsknęli śmiechem. Cithrin i Mikel mieli ich przyciągnąć, ale kilka osób przystało już, żeby obejrzeć sztukę. Klątwa Panny Młodej była komedią erotyczną, która zakładała kilka zmian strojów, a do jej odegrania wystarczała jedna kobieta. Mistrz Kit zmienił nieco dialogi, by lepiej pasowały do kolorytu Porte Oliva: rymy łączące się ze słowem król zostały zmienione na królową, a odgrywający rolę złego właściciela ziemskiego Smit nie wystąpił w przebraniu Yemmura ze sztucznymi barami i kłami, lecz wyskoczył na scenę w owczej skórze z ponawlekanymi paciorkami, udając najmniej przekonującego Kurtadama na świecie. Cithrin śmiała się i klaskała, nie tyle przewodząc tłumowi, co mu wtórując.

Pod koniec, gdy aktorzy ukłonili się widowni pośród skromnego deszczu monet, dziewczyna niemal z zaskoczeniem przyjęła powrót do szarej rzeczywistości. Do ukrywania się w Porte Oliva, w oczekiwaniu na następny atak złodziei pod osłoną nocy.

I wiedzy, że Vanai umarło.

Sandr wyszedł z wozu, wycierając farbę z twarzy za pomocą wilgotnej szmatki. Plamy wokół oczu i ust sprawiały, że wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości. Czy też raczej zaczął wyglądać na swój wiek, podczas gdy sam na co dzień chciał uchodzić za starego wygę.

– Nieźle poszło – powiedział z uśmiechem.

– To prawda – przyznała Cithrin.

– Możemy teraz pójść coś zjeść, jeśli chcesz. – Ponad jego ramieniem dziewczyna zobaczyła Cary, która przyglądała im się ze zmarszczonymi brwiami z wysokości wozu. Zastanowiło ją, co takiego kobieta mogła widzieć. Sandra, odtwórcę głównych ról i Cithrin, naiwną zastępczynię kogoś lepszego od siebie. A może Sandra, członka trupy i Cithrin, powód zniknięcia Opal. Zaciśnięte usta i zmarszczone czoło mogło oznaczać dezaprobatę względem niej lub Sandra. Nie miała pojęcia, która z tych opcji była bardziej

prawdopodobna.

Dowiedz się tego, podpowiedział magister Imaniel w jej wspomnieniach lub zza grobu.

Cithrin uniosła dłoń zaledwie na wysokość pasa, w lakonicznym pozdrowieniu. Cary odwzajemniła gest, po czym wskazała Sandra i przechyliła głowę. *Naprawdę?* Gdyby miała jej za złe sprawę z Opal, w najlepszym wypadku uśmiechnęłaby się i pomachała. Zaskoczona odczuwaną ulgą, Cithrin wzruszyła ramionami. Cary przewróciła oczami i wróciła do środka.

– O co chodzi? – spytał Sandr, spoglądając przez ramię. – Coś przegapiłem?

– To tylko Cary – odparła Cithrin. – Mówiłeś coś o jedzeniu?

W szynku położonym najbliżej jej kwater podawano potrawkę z kurczaka i marynowanej marchwi, która rzekomo doskonale pasowała do ciemnego piwa. Sandr zapłacił pięć dodatkowych monet za luksus jakim był prywatny stolik z pojedynczą ławą, oddzielony od wspólnej sali kawałkiem tkaniny odrobinę zbyt skromnym, by można było nazwać go zasłoną. Młody aktor opadł na siedzenie obok niej z kuflem czarnego piwa w dłoni i dużym kubkiem mocnego wina dla niej. Jego noga zetknęła się z jej, zupełnie jakby dotyk był całkowicie naturalny. Cithrin rozważała przesunięcie się, by zostawić między nimi kilka cali przestrzeni. Zamiast tego pociągnęła duży łyk wina, rozkoszując się jego smakiem. Sandr posłał jej uśmiech, po czym skosztował swojego piwa.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że brała udział w negocjacjach. Chłopak chciał przejść do rzeczy, które jeszcze niedawno udawał w sztuce erotycznej, w zamian oferując jedzenie, napitek, uwagę i pocieszenie. A także, chyba dość nieświadomie, doświadczenie. Magister Imaniel kilka razy wspominał o nieświadomej wymianie dóbr, zawsze z pewną rezerwą. O wiele bardziej wolał precyzyjną wymianę monetarną. Jednak w obecnej sytuacji, siedząc w ciepłym szynku, kiedy smak solonego mięsa i wzmocnionego wina rozgrzewał jej krew, Cithrin nie była pewna, czy przyznałaby mu rację. Jednak nie miała wątpliwości, że w ich relacjach zachodziła pewna nierówność.

– Przykro mi z powodu Vanai – powiedział Sandr, próbując tego samego triku co wcześniej.

Jaki był cel mówienia tego? Zakładała, że chciał przypomnieć jej jak bardzo potrzebowała pocieszenia i czyjegoś wsparcia. Chciał sprawić, by

oferowane przez niego rzeczy posiadały wartość. Tyle, że już to słyszała. Powtarzanie tego stwierdzenia było błędem. Może gdyby przeplótł to z jakimś innym stwierdzeniem, mógłby zdewaluować jej stronę wymiany. Gdyby, dla przykładu, skrytykował jej ubiór albo fryzurę, dając do zrozumienia, że pójscie z nią do łóżka nie było warte tak wiele. Istniało jednak ryzyko, że poczułaby się urazona i zakończyła negocjacje. Albo udawałaby urazę, by podbił cenę.

– Cithrin? – drgnęła na dźwięk jego głosu.

– Przepraszam – powiedziała. – Błądziłam myślami gdzie indziej.

– Dobre piwo. Byłaś tu już wcześniej?

– Miałam zamiar – odparła. – Ale zawsze coś wypadło.

– Chcesz trochę?

– Chcę.

Spodziewała się, że poda jej swój kufel, ale on zamiast tego uniósł rękę, przywołując służbę i kupił jej świeży trunek. Płyn miał złożoną i gęstą konsystencję. Alkohol czaił się gdzieś wśród menażerii różnych smaków. Nie posiadał jednak szczypiącej czystości wzmocnionego wina. Jak kapitan Wester to ujął? *Upijał ją, żeby rozłożyła przed nim nogi.* Coś w tym stylu.

Naraz zdała sobie sprawę, że Sandr nie był zbyt wytrawnym graczem.

– Nie pamiętam swoich rodziców – powiedziała. – Wychowali mnie ludzie z banku, zapewnili mi ubrania i nauczycieli.

– Musiałaś ich kochać – rzekł Sandr, odgrywając rolę pocieszyciela i z odrobinę większym animuszem przyciskając do niej swoje udo. Cithrin zaczęła rozważać tę kwestię.

Czy kochała magistra Imaniela? Chyba tak. Na pewno kochała Cam i pożałowała Besela. Płakała za nimi, gdy dotarły do nich pierwsze wieści, ale minęło już trochę czasu. Wciąż odczuwała żal, lecz pojawiło się coś jeszcze – przerażająca świadomość konsekwencji.

– Chyba tak – powiedziała.

Chłopak ujął jej dłoń w wyrazie współczucia. Zmarszczył brwi, nachylając się do niej.

– Strasznie mi przykro, Cithrin – próbował ją pocieszać. Ku jej zaskoczeniu, do oczu napłynęły jej łzy. Było to dziwne uczucie.

Sandr pochylił się, muskając jej oczy rąbkiem rękawa i ocierając łzy, które sam wywołał. Ukłucie niechęci wobec tej małej hipokryzji udzieliło jej odpowiedzi na wiele pytań.

– Kapitan Wester! – wykrztusiła. Sandr puścił jej dłoń, jakby ta go ugryzła. Wyrzwał zza prowizorycznej zasłonki.

– Gdzie? – spytał.

– Właśnie przeszedł do drugiego pomieszczenia – powiedziała Cithrin. – Idź już. Zanim cię zobaczy!

Sandr przełknął ślinę, skinął głową i wysliznął się zza stołu, kierując w stronę bocznych drzwi. Cithrin odprowadziła go wzrokiem do wyjścia, po czym przysunęła do siebie również jego kufel. Sącząc trunek, rozmyślała. Nie była zła na Sandra, ale nie potrafiła zmusić się do tego, by go szanować. Innego wieczora mogłaby pociągnąć to dalej, wyłącznie żeby zobaczyć, gdzie by ich to zaprowadziło. Jednak wyglądało na to, że mistrz Kit zamierzał pozostać z aktorami w Porte Oliva jeszcze przez jakiś czas. Wziąwszy pod uwagę, że nie wiedziała kiedy i jak opuści miasto, wchodzenie w jakiegokolwiek związek byłoby niepotrzebnym komplikowaniem spraw. A co jeśli zaszłaby w ciążę?

Wtedy wszystkie plany wzięłyby w łeb. Lepiej było się nie mieszać, niż później musieć wszystko odkręcać. Mimo to jednak nie potrafiła przestać zastanawiać się, jak by mogło być. Wróciła myślami do stawu przy młynie, śniegu na jej skórze i ciężaru spoczywającego na niej chłopaka.

Dokończyła drugie piwo i wróciła do wina. Alkohol miał w założeniu zmiękczyć jej umysł, ale wcale tego nie poczuła. A przynajmniej nie w żaden świadomy sposób. Bez wątpienia nieco się zrelaksowała. Wiecznie obecny węzeł w jej żołądku poluzował się, a ona sama czuła się lepiej we własnej skórze. Jej umysł był jednak jasny jak zawsze. Może nawet jaśniejszy. Miała wrażenie, że tuż poza granicą jej świadomości przemykają wiekopomne idee, a jej mózg pracuje z taką szybkością i gracją, że jej samej trudno było za nim nadążyć. Zjadła trochę marynowanych marchwi, dokończyła wino i zamówiła jeszcze jeden kufel piwa.

Gdy wyszła na zewnątrz, słońce już zachodziło. Porte Oliva skąpał szary zmierzch. Trochę światła dawały migoczące latarnie. Mężczyźni i kobiety spieszyli ulicami, chcąc jak najszybciej wrócić do domów, zanim zgasną ostatnie promienie słońca. Powietrze ciągnęło chłodem, ale nie mrozem. Wieczór był nie tyle zimowy, co wczesnowiosenny. Cithrin pozwoliła, aby poniosł ją prąd ulicy, chwytając się różnych myśli, obracając je w głowie, a potem znów je porzucając. O tym, jak dorosły wydawał się Sandr na scenie i jak młodniał po jej opuszczeniu. O pustce w sercu, która pozostała po śmierci

magistra Imaniela i Cam, a także przyprawiającej o zawrót głowy potrzebie jej wypełnienia i niemal zupełnej obojętności względem bólu, jaki jej to sprawiało. O czekającej ją podróży do Carse, z przemycanym bogactwem, którego nie ukradła. O księgach rachunkowych banku, sumach i szyfrach opisujących historię Vanai od czasów podpisania dokumentów aż do ostatniego odpływu uciekającej arystokracji. O zdradzie Opal i lojalności kapitana Westera. Przypomniała sobie, że mistrz Kit wspominał coś o kształcie duszy kapitana. Zaczęła zastanawiać się, jaką formę mogła przybrać jej własna dusza.

Minęła ją cinnejska kobieta o twarzy bladej jak księżyc, której szata owinięta została różowo-pomarańczową gazą. Pies zaszczekał w skąpanej w mroku bocznej uliczce. Trzech Kurtadamów przeszło obok niej, postukując koralikami wplecionymi w futra. Jeden z nich powiedział coś czego nie zrozumiała i wszyscy trzech parsknęli śmiechem. Zignorowała ich. Przed sobą zobaczyła blask bijący z jej okien. Gdyby teraz ktoś ją zaatakował, wystarczyłoby, żeby krzyknęła, a kapitan Wester i Yarden Hane przybyliby jej na ratunek. Ta miła myśl wystarczyła, aby poczuła się bezpieczniej, niezależnie od tego, jak było naprawdę.

Wdrapała się na schody przy dźwiękach rytmicznego skrzypienia podłogi, powodowanych przez krążącego po pokoju kapitana Westera. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła jego nachmurzoną twarz.

– Długo cię nie było – powiedział.

Cithrin wzruszyła ramionami.

– Ile wypłaś?

Dziewczyna podeszła do łóżka i usiadła obok Tralgura. Yarden pachniał otwartą przestrzenią i mokrym psem. Dziewczyna stłumiła w sobie chęć podrapania go po szerokich plecach. Kapitan Wester wciąż na nią patrzył, oczekując odpowiedzi.

– Nie pamiętam dokładnie – powiedziała. – Przez większość czasu to nie ja płaciłam.

Wester uniósł brew.

– Niedługo rozpoczną się roztopy. Musimy podjąć jakąś decyzję – dodała po chwili, rzeczowo i wyraźnie.

– To prawda – przyznał kapitan, krzyżując ramiona na piersi. Ostatnie promienie światła wpadające przez okno łagodziły zmarszczki na jego czole i siwiznę przyprószającą skronie. Wyglądał młodo. Cithrin przypomniała

sobie, że Opal uważała go za atrakcyjnego mężczyznę i teraz zaczęła zastanawiać się, jakie było jej własne zdanie. Mieszkała z nim od kilku tygodni. Miesiący, jeśli liczyć czas spędzony na trakcie. Przez chwilę zastanawiała się, czy jego usta smakowałyby podobnie jak wargi Sandra, po czym wróciła myślami do chwili terażniejszej, nieco zbity z tropu swoimi rozważaniami.

– Niezależnie od tego, jaką obierzemy drogę do Carse – powiedziała – istnieje ryzyko, że ktoś zechce nas zabić i zabrać pieniądze.

– Nic nowego – skwitował jej słowa Wester.

– Dlatego właśnie sami musimy wziąć te pieniądze – ciągnęła dalej, zdając sobie sprawę z tego, że całą noc obracała w głowie ten pomysł. – Musimy je wykorzystać.

– To najprawdopodobniej najrozsądniejsza rzecz, jaką możemy zrobić – przyznał Wester. – Zabrać ile tylko zdołamy i zniknąć.

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna. – Miałam na myśli wszystko.

Siedzący obok niej Tralgur zastrzygł uchem, podzwaniając kolczykami. Kapitan Wester oblizwał usta i spuścił wzrok.

– Jeśli weźmiemy wszystko, będziemy w tej samej sytuacji co teraz. Wciąż będziemy musieli ukrywać pieniądze i chronić je. Z tą różnicą, że będziemy mieć na karku twoich przyjaciół z Carse. To nie jest wyjście. Porozmawiamy o tym, gdy wytrzeźwiejesz – dokończył.

– Nie, posłuchajcie mnie. Zachowujemy się jak przemytnicy. A nie jesteśmy nimi. Zawsze powtarzał pan, że nie zdołamy utrzymać takiej fortuny w tajemnicy i jej chronić. Opal to udowodniła. Dlatego właśnie nie powinniśmy jej dłużej ukrywać.

Wester i Yardem wymienili spojrzenia. Kapitan westchnął. Cithrin wstała i podeszła do odpieczętowanych ksiąg. Na nogach stała pewnie. Jej dłonie nie drżały, gdy sięgnęła po okładki z czarnej skóry. Otworzyła książkę na pierwszych stronach i podała ją kapitanowi.

– To dokumenty założycielskie – powiedziała. – Możemy spisać własne, ale dla Porte Oliva zamiast Vanai. Posiadamy setki dokumentów z podpisem i odciskiem kciuka magistra Imaniela. Wybierzemy jeden mało znaczący kontrakt i użyjemy go, by sfałszować listy założycielskie. Złożymy dokumenty w pałacu namiestnika, wniesiemy wszystkie opłaty i opłacimy łapówki, a resztę zainwestuję.

– Zainwestujesz – powtórzył za nią Wester, jakby dziewczyna

powiedziała właśnie *a resztę zjem*.

– Na jedwab, tytoń i przyprawy podpiszemy umowy konsygnacyjne. Nawet jeśli ktoś ukradnie je kupcom, bank i tak otrzyma za nie zapłatę. To samo możemy zrobić z biżuterią albo sprzedać ją, by zyskać aktywa i zacząć udzielać pożyczek. Albo kupimy udziały w lokalnych interesach. Część musimy zachować dla siebie. Jakąś piątą część, powiedzmy? Mając za sobą całą władzę banku medejskiego, mogłabym zamienić dziewięć dziesiątych tego, co mamy w tym pokoju, w dokumenty nieposiadające absolutnie żadnej wartości dla kogoś poza nami i to jeszcze zanim z Narinisle przypłyną pierwsze okręty. To, co zostanie, nie będzie na tyle kuszące, by tego strzec.

– Jesteś bardzo, bardzo pijana – powiedział Wester. – Kradzież polega na tym, że bierzesz coś i znikasz.

– Nie chcę niczego kraść. Chcę to zabezpieczyć – wyjaśniła Cithrin. – Tak właśnie działają banki. Nigdy nie należy trzymać wszystkich pieniędzy w jednym miejscu, na wypadek, gdyby komuś udało włamać się do twojej kasy pancерnej. Zamiast tego pieniądze idą w świat. W takiej sytuacji, jeśli zanotujesz stratę albo ktoś okradnie cię z aktywów, wciąż będziesz posiadać swoje przychody i umowy. Możesz się odbić od dna. A jeśli coś pójdzie nie tak, to co może się z nami stać? Trafimy do więzienia?

– W więzieniu nie ma łatwo – mruknął Yardem.

– Ale to wciąż lepiej niż dać się zabić i wylądować na dnie oceanu – powiedziała Cithrin. – Jeśli zrobicie co powiem, szanse na zachowanie pieniędzy wzrosną, a konsekwencje ewentualnej porażki zmaleją.

– Masz zamiar – zaczął kapitan Wester ze ściśniętym gardłem – wziąć całe mnóstwo nieswoich pieniędzy i założyć filię banku, którego pieniądze kradniesz? Będą chcieli je odzyskać.

– Oczywiście, że będą chcieli je odzyskać – przyznała mu rację. – A kiedy to zrobią, oddam im wszystko co do nich należy i jeszcze mi zostanie. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli.

Cithrin zobaczyła na jego twarzy niedowierzanie balansujące na granicy rozbawienia i gniewu. Tupnęła nogą.

– Posłuchajcie mnie – powiedziała. – Niech mnie pan wysłucha, kapitanie. *Wiem, że mi się uda*.

Marcus

– Uważaj – powiedział Marcus.

– Uważam, sir.

– Cóż, więc uważaj bardziej.

Resztki siedmiu poprzednich prób leżały na ziemi pomiędzy nimi: kontrakty i umowy zawarte przez martwych ludzi opiewające na spalone dobra, które nie miały teraz żadnego znaczenia. Jednak, tak jak mówiła Cithrin, każdy dokument posiadał podpis oraz krwawy odcisk kciuka magistra Imaniela z Vanai. Trik polegał na tym, by umoczyć pergamin w wosku tak, aby ten przykrył jedynie imię oraz pieczęć, ale nic poza tym. Następnie papier należało wymoczyć w roztworze soli i oleju, co rozpuszczało tusz. Po całodniowej kąpeli mogli usunąć atrament przy pomocy kamienia skrybów, a na koniec wywabić resztki tuszu roztworem z moczu. Ostatecznie otrzymywali czysty pergamin, gotowy do naniesienia nań słów uważnie podyktowanych przez Cithrin, ale podpisany i opieczętowany przez byłą głowę banku. Człowieka, który – jak wieść niosła – przewidział nadciągającą zagładę miasta z antejskich rąk i obmyślił spisek mający na celu odbudowanie filii banku w Porte Oliva pod czujnym okiem Cithrin.

Jednak tylko przy założeniu, że uda im się nanieść wosk w odpowiednie miejsca. Marcus pochylił się, sięgając palcami boku dokumentów.

– Jeśli tylko...

– Sir?

– Yarden?

Tralgur położył uszy po sobie tak mocno, że kolczyki spoczęły na jego czaszce.

– Niech pan tam idzie, sir.

– Ale ja...

– Teraz.

Marcus zatrzymał dłoń tuż przed pergaminem, burknął coś i odszedł. Skrzynie w niewielkim pokoiku nad kramem hazardowym zostały poprzesuwane tak, by z jednego małego pokoju utworzyć dwa maleńkie. Za oknem szumiał wiosenny wiatr, trzaskając okiennicami i sprawiając, że świat ogólnie wydawał się niespokojny. Minęło sporo czasu od kiedy Marcus spędzał pierwsze roztopy w jednym z południowych portów. Bogaty,

słonawy smród zatoki przypominał mu rybę z poprzedniego dnia. Cithrin siedziała na zydlu, ubrana w strój woźnicy. Tuż za nią stała Cary. Mistrz Kit obserwował wszystko z odległości kilku kroków, trzymając ramiona skrzyżowane na piersi.

– Lepiej, ale wydaje mi się, że teraz nieco przesadzasz w drugą stronę – powiedział aktor. Nie masz wyglądać, jakbyś dźwigała ciężar. Zamiast myśleć o tym, zastanów się, jak wyglądałabyś mając na sobie ciężki, wełniany płaszcz.

Cary przyłożyła dłoń do pleców dziewczyny.

– Za bardzo spinasz to miejsce – powiedziała. – Rozluźnij je nieco i przenieś całe napięcie *tutaj*.

Cithrin zmarszczyła brwi, a w kącikach jej ust pojawiły się półokrągłe zmarszczki.

– Jakby twoje piersi były za ciężkie – wyjaśniła Cary.

– Och – mruknęła Cithrin, weselejąc. – Już rozumiem.

Dziewczyna wstała z siedziska, zrobiła krok w stronę mistrza Kita, zawróciła i ponownie opadła na stołek. Marcus nie był w stanie powiedzieć, jaka zmiana zaszła w sposobie, w którym się poruszała, oprócz tego, że wyglądała inaczej. Starzej. Mistrz Kit i Cary wymienili uśmiechy.

– Postęp – oznajmił Kit. – Niewątpliwy postęp.

– Myślę, że jesteśmy gotowe, by przejść na plac – powiedziała Cary.

– Z moim błogosławieństwem – rzekł mistrz Kit i zrobił krok w tył, niemal wpadając na Marcusa. Dwie kobiety przemierzyły wąski odcinek trasy do szczytu schodów, ramię w ramię.

– Niżej w biodrach – rzekł mistrz Kit. – Przysiadź na nich. Nie pracuj kostkami.

Skrzypienie desek oddalało się, aż w końcu parka wyszła na ulicę i zniknęła. Wiatr wdarł się na klatkę schodową, zamykając z trzaskiem drzwi wejściowe. Marcus wypuścił powietrze z płuc, po czym zajął miejsce na zwolnionym stołku.

– Myślę, że jest całkiem niezła – powiedział mistrz Kit. – Nie posiada wrodzonej świadomości własnego ciała, ale nie boi się z nim pracować, a z doświadczenia wiem, że to połowa sukcesu.

– To dobrze – rzekł Marcus.

– Nacięcia na kciukach ładnie się zablizniają. Gdy już się zagoją, będzie miała ładne modzele. Zupełnie jakby od lat pieczętowała kontrakty.

Polaliście rany ługiem?

– Miodem i popiołem – odparł Wester. – Działa równie dobrze, a rzadziej wdaje się zakażenie.

– Słuszna uwaga. Sugerowanie, że jest w trzech czwartych Cinnejką to dobry zabieg. Jeśli ludzie będą sądzić, że bliżej jej do czystości krwi, stwierdzą, że pierwotne naleciałości wynikają z wieku, a nie z pochodzenia.

– I tak zawsze sądziłem, że Cinnejczycy wyglądają na dwanaście lat – powiedział Marcus. – Beznadziejni wojownicy. Nie potrafią włożyć żadnej siły w swoje ciosy.

Mistrz Kit oparł się ramieniem o ścianę. Jego ciemne oczy otaksowały Marcusa, jakby czytał książkę.

– A pan jak się czuje, kapitanie?

– Nienawidzę tego – odparł Wester. – Nienawidzę tego planu. Nie podoba mi się, że fałszujemy dokumenty. Ani to, że Cithrin wciągnęła w to ciebie i twoich ludzi. Nie ma w tym pomysłu nic, czego nie nienawidziłbym z całego serca.

– A mimo to przystał pan na jego warunki.

– Nie mam lepszego pomysłu. Poza napełnieniem własnych kieszeni i zniknięciem. To wciąż całkiem kusząca opcja.

– Więc dlaczego pan tak nie zrobi? Wszystkie skrzynie są tutaj. Powiedziałbym, że w pełni zasłużył pan sobie na zapłatę.

Marcus parsknął wymuszonym śmiechem i pochylił się na krześle, opierając łokcie na kolanach. Siedzący po przeciwległej stronie pomieszczenia Yardem wydał z siebie pomruk zadowolenia. Najwyraźniej woskowa kąpiel tym razem zadziałała.

– To wszystko będzie miało swoje konsekwencje – rzekł Marcus. – Dziewczyna nie może po prostu powiedzieć, że to wszystko należy teraz do niej i tak ma być. To jak udać się do Cabral i jak gdyby nigdy nic stwierdzić, że jest się nowym burmistrzem Upurt Marion, a wszystkie podatki portowe mają trafiać teraz do twojej szkatuły. A jakie będą tego skutki? Tego nie wiemy. Przed końcem zimy każdy dom kupiecki i każdy dwór królewski będzie posiadać swoją własną teorię odnośnie tego, co dokładnie Komme Medejczyk chce zasygnalizować innym, inwestując w Porte Oliva. Na pewno wpłynie to w jakiś sposób na stosunki pomiędzy Birancour i Cabral, a także na to, gdzie wylądują transporty z Qart-hadath. Poza tym, dlaczego jeszcze

nie założono tu filii banku? Może nie pozwoliła na to królowa? Równie dobrze możemy naruszać tuzin porozumień i umów, nawet o tym nie wiedząc.

– W pełni się z panem zgadzam – powiedział mistrz Kit. – Ryzyko niewątpliwie istnieje.

– Za chwilę wykonamy śmiały, nieoczekiwany ruch w imieniu banku dysponującego ogromną ilością pieniędzy i wpływów, a nawet nie zastanawiamy się, czy tym ludziom spodoba się, że pchamy ręce do steru.

– Dlatego nie odpowiada panu ten plan?

– Tak.

Stary aktor spuścił wzrok. Wiatr przycichł, po czym znów przybrał na sile, wciskając się do niewielkich pokojów i wywołując poruszenie powietrza.

– Dlaczego naprawdę nienawidzi pan tego pomysłu, kapitanie? – spytał Kit.

Mężczyzna poczuł ukłucie irytacji, a chwilę później w głowie zaświtała mu chłodna, niemal chorobliwa chęć odpowiedzi na to pytanie. Podrapał się po nodze, czując pod palcami fakturę tkaniny. Jego dłonie wydawały się starsze niż być powinny. Gdy o nich myślał, wciąż wyglądały jak podczas jego pierwszej kampanii. Silne, gładkie, zręczne. Teraz znaczył je szereg blizn. Na prawym kciuku ktoś odrąbał mu kiedyś pół paznokcia, który nie odrósł właściwie. Jego knykcie wyglądały na bardziej opuchnięte niż zwykle. Zgrubienia na dłoniach pożółkły. Obróciwszy rękę, przyjrzał się wnętrzu dłoni. Z bliska był w stanie dostrzec białe plamy w miejscu, gdzie ugryzł go pies, całe wieki temu.

– Ona wie, jakie podejmujemy ryzyko, ale wydaje się go nie rozumieć – powiedział. – Nawet jeśli powiem jej wszystko to co mówię tobie teraz, ona już będzie miała gotową odpowiedź. Ripostę na ripostę. Stwierdzi, że odzyskany kapitał usprawiedliwia tę decyzję. Że holding nie jest za nią odpowiedzialny, podobnie jak pozostałe filie, więc wszystko co zarobi będzie krokiem w przód w stosunku do sytuacji, w której pieniądze po prostu by przepadły.

– A mimo to... – zawiesił głos Kit.

– Wiem jak chronić ją przed zbirami i bandytami Wiem jak walczyć z piratami. Nie wiem jak ochronić ją przed nią samą, a Bóg mi świadkiem, ta dziewczyna jest najgorszym, co może ją spotkać.

– To bywa trudne, prawda? Mówię o utracie kontroli – wyjaśnił mistrz Kit.

– Nie kontroluję jej.

– Myślę, że jest odwrotnie, ale mogę się mylić. Niech pan wymieni trzy samodzielne decyzje, które podjęła wcześniej. Po tym jak się poznaliście.

Yardem Hane wyrósł za plecami aktora, wycierając olej z palców o kawałek szarej szmaty. Przez chwilę Marcus miał nadzieję, że jego zastępca zaproponuje zmianę tematu, ale bierny wyraz twarzy Tralgura podpowiadał, że ten przyszedł, aby wysłuchać rozmowy, a nie ją zakończyć.

– Kupiła sobie sukienkę – powiedział Wester. – I postanowiła obejrzeć wasze przedstawienie.

– Tylko dwie?

– Wybrała rybę na kolację – dokończył Marcus.

– A jak ma się to do pańskich wcześniejszych kontraktów? – spytał aktor.

– Sądzę, że nie myśli pan o Cithrin jako o swojej pracodawczyni, ale jak o małej dziewczynce, która wypłynęła za daleko w morze w czasie odpływu. Zapłaciła wam?

– Nie – wymruczał Tralgur.

– Nie mieszaj się w to – zrugął go Wester. – Nie mogła. Nie posiadała własnych pieniędzy. Wszystko to należy do kogoś innego.

– Teraz wygląda na to, że będzie mogła zapłacić złotem – powiedział mistrz Kit. – I podejmować decyzje o większym znaczeniu niż to czy na kolację będzie ryba, czy drób. Albo jaką kupić sukienkę. Jeśli ten plan wypali, będzie mogła zdecydować o tym, gdzie chce mieszkać, jak i czy w ogóle potrzebuje ochrony, a także o tysiącu innych rzeczy związanych z jej profesją. Podejrzewam też, że pan będzie trwał u jej boku, chroniąc ją. Ale tylko jako najemny kapitan.

– A czy nie to właśnie robię przez cały ten czas?

– Otóż nie – rzekł Kit. – Gdyby tak było, przed zabiciem Opal zapytałby pan o zdanie Cithrin.

– Powiedziałyby, żebym tego nie robił.

– I zapewne dlatego właśnie pan nie zapytał. Ponieważ drży pan na myśl o chwili, gdy będzie musiał pan o coś zapytać, a potem zdać się na jej osąd, nawet jeśli w pana mniemaniu będzie on błędny.

– To wciąż jedynie dziewczynka – rzekł Marcus.

– Wszystkie kobiety były kiedyś dziewczynkami – oznajmił Kit. –

Cithrin. Cary. Królowa Birancour. Nawet Opal.

Marcus zaklął pod nosem. Z ulicy dobiegł ich głos nawołującego hazardzisty. Wielka fortuna do wygrania. Za uczciwą opłatą, przyjmowano wszystkie zakłady.

– Przykro mi z powodu Opal – powiedział.

– Wiem – odparł stary aktor. – Mnie też. Znałem ją bardzo długo i przez większość tego czasu cieszyłem się jej towarzystwem. Ale była kim była. Dokonała własnych wyborów.

– Byliście kochankami, prawda?

– Od jakiegoś czasu już nie.

– Ale była częścią waszej trupy. Podróżowała z wami. Była jedną z was.

– To prawda.

– A mimo to pozwoliłeś mi ją zabić.

– Pozwoliłem – przytaknął Kit. – Wierzę w stawianie czoła konsekwencjom własnych wyborów, kapitanie. Myślę, że kryje się w tym prawda, a staram się pielęgnować głęboki szacunek do prawdy.

– Mówiąc w skrócie, powinienem pozwolić Cithrin popełniać błędy.

– Jeśli to właśnie usłyszał pan z moich ust.

Yardem zastrzygł uchem, a jego kolczyki zadzwoniły o siebie. Marcus wiedział, co Talgur teraz myśli. *To nie jest twoja córka*. Wester oparł nogę o ścianę skrzyń. Bogactwo nieistniejącego już miasta. Klejnoty i błyskotki, jedwab i przyprawy przehandlowane, by grupka szczęśliwców mogła uciec płomieniom. Wszystkie te pieniądze nie były w stanie odkupić choćby jednej martwej duszy. Nawet na jeden dzień.

Więc jaki był w tym sens?

– Jej plan nie jest zły – powiedział Marcus. – Ale mam wszelkie prawo, by go nienawidzić.

– To jestem w stanie zrozumieć – rzekł Kit z szerokim uśmiechem. – A teraz może przygotujemy kąpiel olejową dla przyszłych dokumentów założycielskich banku medejskiego w Porte Oliva zanim dziewczęta wrócą?

Marcus westchnął i wstał.

Gdy nadszedł świt, Marcus siedł obok niej. Poranki wciąż były chłodne, ale nie na tyle, by dało się ujrzyć własny oddech. Mężczyźni i kobiety z trzech dominujących ras w tym mieście mijali się, zupełnie jakby różnice w wyglądzie ich oczu, w budowie ciała i futrze nie były ich zmartwieniem. Poranna mgła sunęła po wielkim placu, poszarzając chodnik ze smoczego

jadeitu. Skazańcy drżeli na chłodzie tam, gdzie wszyscy mogli ich ujrzyć. Dwóch pierwotnych mężczyzn powieszono za morderstwa. Cinnejska kobieta siedziała na pieńku drzewa z kajdanami obejmującymi jej kostki, świadczącymi o tym, że wpędziła się w długi. Kurtadamski mężczyzna powieszony za kolana, z trudem chwytający powietrze. Szmugler. Marcus zauważył zawahanie Cithrin. Zaczął zastanawiać się, jaka kara spotka ich, gdy wyjdzie na jaw, co zamierzają zrobić. Wydawało się mało prawdopodobne, by sędziowie dysponowali jakąś precedensową sprawą.

Szerokie drzwi z dębu okutego miedzią, prowadzące do pałacu namiestnika, były już otwarte. Strumień ludzi wchodził i wychodził z siedziby miejscowej władzy. Cithrin uniosła podbródek. Smit pomalował jej twarz przed wyjściem. Cienkie, szarawe linie wokół oczu. Różano-szary rumieniec na policzkach. Miała na sobie czarną sukienkę, która podkreślała zarys jej bioder, ale w sposób, na jakim mogłoby zależeć matronie. Nie dziewczynce, która dopiero co wyrwała się z ojczyzostego domu. Mogła mieć trzydzieści lat. Ale równie dobrze mogła mieć ich piętnaście. Nie sposób było tego stwierdzić.

– Za mną – powiedziała.

– Za mocno pracujesz kostkami – odparł. Dziewczyna zwolniła, pokonując kolejne schodki pojedynczo.

Światło słoneczne wpadało do wnętrza pałacu przez olbrzymie okna z barwionego szkła. Czerwień, zieleń i złoto zalewały posadzki oraz podwójne schody, malując na twarzach przechodniów plamiste wzory. Marcus miał wrażenie, że znalazł się w zakłętej grocie z dziecięcej rymowanki, tyle że ryby zostały zastąpione przez pomniejszych urzędników. Cithrin wzięła długi, chrapliwy wdech. Przez chwilę myślał, że dziewczyna wyjdzie. Obróci się na pięcie, ucieknie i porzuci ten szalony pomysł. Ale ona zamiast tego zrobiła krok naprzód i położyła dłoń na ramieniu przechodzącej kurtadamskiej kobiety.

– Proszę o wybaczenie – zaczęła Cithrin. – Gdzie znajdę Prefekta Handlu?

– Na górze, pani – odpowiedziała Kurtadamka ze słabym, południowym akcentem. – To Cinnejczyk, jak ty, pani. Zasiada za stolikiem obitym zielonym filcem.

– Dziękuję – powiedziała Cithrin, kierując się w stronę schodów. Kurtadamka utkwiała spojrzenie w twarzy Marcusa, który skinął jej głową.

Jako ochroniarz, czuł się nie na miejscu. Co prawda zauważył w tłumie kilku gwardzistów królowej, ale nikomu innemu nie towarzyszyła osobista straż. Zaczął się zastanawiać, czy prawdziwy przedstawiciel banku medejskiego zabrałby go ze sobą, czy też kazał mu czekać na zewnątrz.

Cithrin przystanęła na szczycie schodów, podobnie jak on. Prefektury porozrzucano po całym pomieszczeniu, zupełnie jakby duże dziecko chwyciło wszystkie stoliki i cisnęło je do środka. Nie istniały żadne przejścia ani rzędy. Każdy stolik stał pod pewnym kątem w stosunku do pozostałych i nawet jeśli w tym chaosie była jakaś reguła, to Marcus jej nie dostrzegał. Cithrin pokiwała do siebie głową, pokazała mu gestem, by trzymał się blisko, po czym rzuciła się w chaotyczny wir. W jednej trzeciej drogi przez pomieszczenie natrafili na stolik obity zielonym filcem, za którym zasiadał Cinnejczyk w brązowej tunice, kartkujący stosy dokumentów. Obok stała niewielka waga, za którą ustawiono szereg odważników przypominających stojących na baczność żołnierzy.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał mężczyzna.

– Chcę złożyć listy założycielskie – powiedziała Cithrin. Marcus poczuł, że serce bije mu szybciej, jak chwilę przed bitwą. Skrzyżował ręce na piersi i zmarszczył brwi.

– Jakiego rodzaju, pani?

– Bankowe – wyjaśniła Cithrin, jakby robiła coś zupełnie normalnego. Prefekt Handlu spojrział na nią, jak gdyby dopiero teraz ją dostrzegł.

– Jeśli ma pani na myśli dom gier...

– Nie – przerwała mu Cithrin. – Chodzi mi o filię. Siedziba holdingu znajduje się w Carse. Posiadam odpowiednie dokumenty, jeśli zechce je pan przejrzeć.

Przytrzymała papiery przed sobą. Marcus był pewien, że pochwycił zapaszek starego moczu, a część pokryta ochronnym woskiem wydała mu się trzy odcienie ciemniejsza od reszty strony. Prefekt wybuchnie śmiechem, zawoła gwardzistów i skończy tę gierkę, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

Cinnejczyk ujął pergamin w dłonie, jakby miał do czynienia z przedzą szklaną. Zmarszczył czoło, przeskakując wzrokiem od słowa do słowa. W końcu opuścił dokument i spojrział na Cithrin. Błądą twarz oblał rumieniec.

– B... bank *medejski*? – powiedział. Marcus zauważył, że rozmowy wokół nich ucichły. Kolejne spojrzenia zwróciły się w ich stronę. Prefekt przełknął ślinę. – Chodzi o licencję ograniczoną czy wolną?

– Zdaje się, że w dokumentach mowa jest o wolnej licencji – zauważyła Cithrin.

– W istocie. W istocie. Pełna i niezależna filia banku medejskiego.

– Czy to jakiś problem?

– Nie – powiedział mężczyzna, nerwowo szukając na pergaminie jej nazwiska. – Nie, pani bel Sarcour, po prostu nie spodziewałem się tego. Gdyby namiestnik o tym wiedział, zapewne pojawiłby się osobiście.

– Niepotrzebnie – oznajmiła dziewczyna. – Opłaty mam wnieść u pana?

– Tak – odparł prefekt. – Tak, można je wnieść u mnie. Proszę mi tylko...

Przez okres czasu, który wydawał się dłużyć w nieskończoność, choć zapewne nie trwał dłużej niż pół godziny, Cithrin musiała użerać się z biurokratą. Pieniądze przywieziono z banku, przeliczono, przyjęto i wystawiono nań pokwitowanie. Mężczyzna naskrobał coś na arkuszu różowego peluru, odcisnął na nim swój sygnet, podpisał i poprosił, aby Cithrin umieściła swój podpis pod nim. Następnie wręczył jej niewielkie, srebrne ostrze. Zupełnie jakby robiła to wielokrotnie wcześniej, dziewczyna nacięła kciuk i przyłożyła go do papieru. Prefekt uczynił to samo.

I to było wszystko. Cithrin zabrała pelur, poskładała go i wcisnęła do sakiewki zawieszanej przy pasie. Marcus podążył za nią schodami i z powrotem na plac. Słońce zdążyło przegonić mgłę, a odgłosy ludzkiej aktywności znów brzmiały jak niski pomruk, do którego byli przyzwyczajeni.

– Teraz jesteście bankiem – powiedziała Cithrin.

Marcus pokiwał głową. Czułby się lepiej, gdyby miał z kim walczyć. Albo przynajmniej kogoś, kto by im groził. Niepewność wynikająca z tego, co właśnie zrobili, szukała w nim ujścia. Cithrin wyjęła z sakiewki garść monet i podała mu je.

– Proszę – rzekła. – To na zatrudnienie straży. Teraz, gdy pieniądze należą do mnie, równie dobrze możemy zacząć je wydawać. Myślałam o tuzinie mężczyzn, ale zdam się w tej kwestii na pana. Będziemy potrzebować straży dziennej i nocnej, a do tego kilku ludzi do ochrony transportów. Nie po to wiozłam tu te wszystkie jedwabie z Wolnych Miast, żeby teraz ukradł mi je jakiś podrzędny rzezimieszek. Mam na oku kilka miejsc, gdzie siedziba banku będzie wyglądać lepiej niż w tej klitce nad kramem hazardowym.

Marcus spojrział na monety. Były to pierwsze pieniądze, jakie mu wręczyła, a wszystko co przed chwilą powiedziała stanowiło jej pierwszy, prawdziwy rozkaz. Ciepło, które rozlało mu się po piersi było na równi

niespodziewane, co silne.

Niezależnie od tego, jak sprawy miały się dalej potoczyć, niezależnie od konsekwencji, ta dziewczyna zrobiła coś, na co bardzo niewiele miałyby odwagę. Nie najgorzej, biorąc pod uwagę, że gdy poznał ją w Vanai zeszłej jesieni, udawała przygłupiego chłopca powożącego zaprzęgiem.

Był z niej dumny.

– Jakiś problem? – spytała Cithrin z prawdziwą troską w głosie.

– Nie, proszę pani – odparł Marcus.

Dawson

Parada Issandriana rozpoczęła się na skraju miasta, przeszła przez dolny targ, skręciła na północ szeroką drogą królewską, minęła bramy Kingspire, a następnie zoczyła na wschód w kierunku stadionu. Aleje pełne były poddanych króla Simeona, ludzi lojalnych wobec Rozdartego Tronu, którzy stawali na palcach, by pochwycić widok ras niewolniczych przybyłych tu, aby uczynić z Antei marionetkę Asterilhold. Ryk ich połączonych głosów przypominał fale przyboju, a zapach ich ciał groził kompletnym stłumieniem delikatnych woni wiosny. Jakiś zausznik koterii Issandriana zapłacił hałastrze, by niosła sztandary i znaki sławiące igrzyska oraz księcia Astera. Ze swojego miejsca Dawson widział jedną z chorągwi – piękną, ufarbowaną na niebiesko tkaninę z imieniem księcia wyszytym srebrną nicią – którą trzymano w górze, ale do góry nogami. Oto była rewolucja Issandriana w pigułce: słowa szlachty niesione na sztandarach przez ludzi, którzy nawet nie umieli ich odczytać.

Platformy widokowe szlchetnych rodów zostały ułożone w porządku i kolejności zgodnie ze statusem krwi każdej z rodzin. Miejsca zajmowane przez wszystkich również świadczyły o lojalności. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby ocenić układ sił na dworze i nie był to przyjemny widok. Nad głowami króla i księcia powiewał tuzin różnobarwnych chorągwi, ale większość z nich należała do koterii Issandriana. Nawet szarość i zieleń Feldina Maasa. Król Simeon siedział najwyżej ze wszystkich, odziany w aksamit i czarne futro z norek, uśmiechając się pomimo rozgrywających się przed nim scen.

Przez ulicę przemaszerował oddział jasurskich łuczników. Ich brązowe łuski zostały naoliwione i połyskiwały w słońcu niczym metal. Nad ich głowami powiewały borjańskie chorągwie ze zwierzęcych skór. Dawson z grubszą przeliczył żołnierzy. Przynajmniej dwa tuziny. Odnotował to sobie w pamięci, gdy łucznicy stanęli przed królewskim podwyższeniem i oddali cześć królowi Simeonowi oraz jego synowi. Księżę Aster odwzajemnił gest z tym samym szerokim uśmiechem, który posłał wszystkim poprzednim kompaniom i który miał zamiar posłać następnym.

– Issandrian to kawał sukinsyna – powiedział Dawson. – Skoro już ma zamiar skrać miejsce chłopca, to mógłby mieć na tyle godności, by nie

ozdabiać go wstążkami.

– Na miłość boską, Kalliam, nie mów takich rzeczy w miejscu, gdzie inni mogą cię usłyszeć – zrugął go Odderd Faskellan. Siedzący za ich plecami Canl Daskellin zachichotał.

Ulicą kroczyło pięciu Yemmurów. Ich kły pomalowano na nienaturalne kolory – zielen i błękit. Wszyscy wyraźnie górowali nad obserwującym ich tłumem Pierworodnych. Wydawali się nie mieć żadnych pancerzy ani broni, nie licząc ogromnych rozmiarów charakterystycznych dla ich rasy. Cała piątka zatrzymała się przed królem i oddała mu hołd. Książę Aster pozdrowił ich, na co jeden z Yemmurów podniósł głos w dzikim, barbarzyńskim okrzyku. Pozostali dołączyli do niego. Ich głosy splatały się ze sobą aż zaczęły przypominać warkocz dźwięków. Peleryna Dawsona załopotała na lekkim wietrze, a drzewa obsadzające ulicę ugięły się i zadrżały. Powietrze odpowiedziało im ze wszystkich stron. Głosy nabrały głębszego brzemienia, a Yemmur pośrodku grupy uniósł w górę wielką, mięsistą pięść. Wtedy otoczyła ich niewielka trąba powietrzna.

Wiedzący. Dawson odnotował to w głowie.

– Sądziś, że pierwsze uderzenie nastąpi jeszcze przed rozpoczęciem igrzysk? – spytał Daskellin, zupełnie jakby głośno zastanawiał się, czy nie zacznie padać.

– Nic takiego nie musi się stać, nie sądziś? – skomentował to Odderd.

– Raczej w trakcie – powiedział Dawson. – Chociaż wszystko jest możliwe.

– Przemysł ofertę Paerina Clarka – prosił Daskellin.

– Nie zrobię tego – rzekł Kalliam.

– Musimy. A może nie widzisz tego samego co ja? Jeśli mamy się temu sprzeciwić, potrzebujemy wsparcia. I złota. Wiesz jak je zdobyć? Tak się składa, że ja wiem.

Obok nich przemaszerował oddział piechurów. Cała pięćdziesiątka, zakuta w wypolerowane, elassejskie pancerze, po równi złożona z czarnołuskich Timzinejczyków i wielkookich Południowców. Karaluchy i ćmy. Rasy stworzone w niewoli, by służyć swoim smoczym władcom, paradowały przez samo serce potęgi Pierworodnych.

– Jeśli nie możemy zwyciężyć jako Antejczycy, zasługujemy na przegraną – powiedział Dawson.

Zszokowane milczenie jakie zapadło za jego plecami oznaczało, że

posunął się za daleko. Odnotował w głowie oddział piechoty.

– Zacząłem to, ponieważ wierzyłem, że masz rację, stary przyjacielu – powiedział Daskellin. – Nie twierdziłem, że wpełznę do twojego grobu.

– Coś... – zaczął Odderd, ale Dawson mu przerwał.

– Jeśli wygramy tę wojnę, wystawiając się na sprzedaż, nie będziemy lepsi niż Maas, Issandrian czy Klin. Więc tak, Canl, zamierzam oddać życie za Anteę. Pozostając wierny jednemu władcy. Nie setkom pretendentów do tronu czy kupcom i bankierom, siedzącym przy zielonym stoliku na Północnym Wybrzeżu.

Rysy Daskellina stężały.

– Przemawia przez ciebie strach – powiedział – dlatego wybaczę ci...

– Zamknijcie się obaj! – warknął Odderd. – Coś się dzieje.

Dawson podążył za spojrzeniem mężczyzny. Na królewskim podwyższeniu jakaś kobieta w barwach Kingspire klęczała przed królem Simeonem. Stojący u jej boku młodzieniec miał na sobie skórzaną zbroję, wyraźnie zakurzoną po długiej drodze. Książę Aster spoglądał na swojego ojca, zapominając o paradzie. Król Simeon poruszał ustami i nawet z tej odległości Dawson dostrzegł zaskoczenie na jego twarzy.

– Kim jest ten chłopak? – powiedział Canl Daskellin, niemal do siebie. – Kto przyniósł wieści?

Na drewnianych schodach za nimi rozległ się odgłos kroków. Po chwili pojawił się na nich Vincen Coe. Myśliwy uklonił się dwóm pozostałym mężczyznom, ale jego spojrzenie spoczywało na Dawsonie.

– Twoja lady małżonka mnie przysyła, lordzie. Jesteś potrzebny w domu.

– Co się stało? – spytał Kalliam.

– Wrócił twój syn – rzekł Coe. – Przywiózł wieści z Vanai.

– Co zrobił? – spytał Dawson.

– Spalił je – powtórzył Jorey, opierając się o ławę i drapiąc psa za uchem.

– Wylał olej na ulice, zamknął bramy i spalił wszystko do gołej ziemi.

Cztery pory roku, które minęły od kiedy Dawson po raz ostatni widział syna, odmieniły chłopaka. Siedzący na oszklonej werandzie Jorey wyglądał jakby przybył mu więcej niż rok. Jego kości policzkowe wyraźniej odznaczały się pod skórą, co było typowe dla kampanii wojennych, a wiecznie błędzący po jego twarzy uśmiešek zniknął. Chłopak garbił się z wycieńczenia, a na dodatek śmierdział końskim potem i niemytym żołnierzem. Zupełnie niespodziewanie Dawsona uderzyło, że Jorey i Coe

mogliby uchodzić za kuzynów. Baron wstał, a podłoga dziwnie ugięła się pod jego ciężarem. Podeszedł do okna i wyjrzał na ogród. Śnieg wciąż zalegał w cieniu, ale pierwsze oznaki zieloności znaczyły kory drzew. Rosnące z tyłu wiśnie zaczynały kwitnąć na biało i różowo.

Geder Palliako spalił Vanai.

– Nawet nie pozwolił nam go splądrować – powiedział Jorey. – Nie było na to czasu. Dzień wcześniej wysłał gońca. Zajeździłem kilka koni próbując dotrzeć przed nim.

– Niemal ci się udało – usłyszał Dawson z własnych ust.

– Czy on wie, że to ty kazałeś posadzić Gedera na tym stanowisku?

Chwilę zajęło Dawsonowi zrozumienie tego pytania, ale do tego czasu w jego głowie pojawiła się inna kwestia.

– Dlaczego Palliako to uczynił? – spytał głośno starszy Kalliam. – Chciał podkopać moją pozycję?

Jorey milczał przez dłuższą chwilę, spoglądając w niemądre, jasne oczy psa siedzącego przed nim, jakby sami pogrążeni byli w prywatnej rozmowie. Gdy w końcu przemówił, jego słowa były dość ostrożne.

– Nie sądzę – rzekł młody Kalliam. – Sprawy miały się nie najlepiej. Podjął kilka błędnych decyzji i zaczęło to przynosić rezultaty. Wiedział, że nikt nie brał go na poważnie.

– Spalił jedno z Wolnych Miast, bo czuł się zażenowany?

– Poniżany – poprawił ojca Jorey. – Ponieważ czuł się poniżany. Szczególnie, że nikt nie robił tego wprost.

Jeden z psów wydał z siebie długi, niski pomruk. Drozd wylądował na gałęzi, spojrzął na obu mężczyzn i odleciał. Dawson przyłożył palce do chłodnej szyby, zostawiając na szkle mgliste odciski. Jego umysł miotał się na wszystkie strony. Strumień pokazowych wojowników i najemników spływający do Camnipolu, wszyscy opłaceni przez pieniądze Issandriana pożyczone z Asterilhold. Puste, niezmiennie oblicze Paerina Clarka, bankiera z Północnego wybrzeża. Gniewny wyraz twarzy Canla Daskellina. A teraz jeszcze spalone miasto.

Zbyt wiele rzeczy poruszało się jednocześnie, ale w zupełnie innych kierunkach.

– To wszystko zmienia – powiedział.

– Stał się inny po tym wszystkim – powiedział Jorey, jakby jego ojciec w ogóle się nie odezwał. – Zawsze trzymał się na uboczu, ale wcześniej

uważano go za bufona. Wszyscy się z niego podśmiewali. Czasami prosto w twarz, a on przez większość czasu nawet tego nie zauważał. Ale potem nikt już się nie śmiał. Nawet on.

Chłopak spoglądał w kierunku okna, ale widział coś innego. Coś odległego, ale o wiele prawdziwszego niż pokój, szkło i przedwiosenne drzewa w ogrodzie. Był w tej pustce ból, który Dawson rozpoznał. Mężczyzna postanowił odłożyć na bok sprawy państwowe. Syn go potrzebował. Świat mógł jeszcze poczekać, niezależnie od tego jak głośno teraz wył.

Dawson usiadł. Jorey spojrział na niego, po czym odwrócił wzrok.

– Mów – zachęcił go ojciec.

Młody Kalliam uśmiechnął się, ale wciąż patrzył w dal. Pokręcił głową.

– Byłem na wojnie – rzekł baron. – Widziałem jak umierają ludzie. To co teraz w sobie nosisz, ja nosiłem dawno temu i wiem, że będzie cię to prześladować, dopóki komuś nie powiesz. Mów zatem.

– Nie masz pojęcia, co uczyniliśmy, ojcze.

– Zabijałem już ludzi.

– A my zabijaliśmy *dzieci* – powiedział Jorey. – Zabijaliśmy kobiety. Starców, którzy nie mieli z tą kampanią nic wspólnego, poza tym, że żyli w Vanai. I zabiliśmy ich. Spuściliśmy wodę i podłożyliśmy pod nich ogień. A gdy próbowali uciec, zamordowaliśmy ich.

Jego głos trząsł się, a w oczach czało się przerażenie, ale nie łzy.

– Uczyniliśmy coś bardzo złego, ojcze.

– A myślałeś, że czym jest wojna? – spytał Dawson. – Jesteśmy mężczyznami, Jorey. Nie chłopcami, którzy machają przed sobą kijkami, oznajmiając o pokonaniu złego czarnoksiężnika. Robimy to, czego wymaga od nas honor i powinność, a często prowadzi to do straszliwych wydarzeń. W czasie oblężenia Anninfort byłem niewiele starszy od ciebie. Wzięliśmy ich głodem. Nie był to ogień, lecz powolna, bolesna śmierć dla tysięcy. Słabi umierają w pierwszej kolejności. Dzieci. Starcy. Zaraza w mieście? Sami ją rozpętaliśmy. Lord Ergillian posłał jeźdźców, którzy mieli odszukać chorych z całej krainy, a gdy ich znaleźliśmy, wysyłaliśmy do miasta jako emisariuszy. Zabijano ich, ale choroby się rozprzestrzeniały. Każdego dnia kobiety przychodziły pod bramy z dziećmi na rękach, błagając byśmy je zabrali. Zazwyczaj je ignorowaliśmy. Czasami jednak zabieraliśmy niemowlęta i zabijaliśmy je na miejscu, na oczach ich matek.

Twarz Jorey'a pobiadła. Dawson pochylił się, kładąc rękę na kolanie syna jak zwykł czynić od kiedy Jorey był na tyle duży, by siedzieć. Dawson poczuł ukłucie żalu, że tamten chudy chłopiec zniknął bezpowrotnie, a ten moment – ta rozmowa, którą on sam przeprowadził kiedyś ze swoim ojcem – był częścią rytuału wyjścia z dziecięcego świata. Dziecko musiało zniknąć, ustępując miejsca mężczyźnie. To nadawało tej przemianie znaczenia i sprawiało, że stawała się ona znośna. Tylko tyle Dawson mógł zaoferować.

– Anninfort wystąpił przeciwko koronie, dlatego musiał paść – kontynuował. – A żeby upaść, ludzie musieli poznać co to rozpacz. Dzieci, które przynosiły te kobiety znajdowały się na skraju śmierci. Nie miały szans na przeżycie. Jeśli dzieci, które zabiłśmy – które *ja* zabiłem – skróciły czas oblężenia chociażby o tydzień, to zrobiłem słusznie. Chociaż cierpiałem wtedy tak samo jak ty cierpisz teraz.

– Nie wiedziałem tego – powiedział Jorey.

– Nigdy ci o tym nie mówiłem. Dorośli nie obarczają dzieci swoimi zgryzotami. Nie powiedziałem też twojej matce. To nie jest jej brzemień. Rozumiesz co mam na myśli?

– Vanai to co innego. Nie było takiej potrzeby.

Dawson otworzył usta, by coś powiedzieć – najlepiej coś mądrego i pocieszającego – ale poczuł, że jego myśli zaskakują z niemal słyszalnym kliknięciem. Vanai. Issandrian. Uzbrojeni najemnicy pojawiający się w Cannipolu pod pretekstem uhonorowania księcia Astera. Siły okupacyjne wracające z południa, a na ich czele Geder Palliako.

– Ach – mruknął Dawson.

– Ojczy?

– Gdzie jest Palliako? Tutaj?

– Nie. Z pozostałymi. Jakiś tydzień za mną.

– Za daleko. Potrzebujemy go tutaj wcześniej.

Dawson znów był na nogach. Otworzył drzwi, wołając Coe'a. Myśliwi prawdopodobnie na to czekał. Pierwszy rozkaz był prosty: odszukaj pozostałych. Nie tylko Canla Daskellina, ale wszystkich, którzy wraz z nim rzucili na szalę swój los. Czasu było niewiele, a zwycięstwo wydawało się niepewne. Coe nie zadawał pytań, jedynie zasalutował i zniknął. Gdy się obrócił, napotkał zdumione spojrzenie syna.

Dawson uniósł dłoń, ucinając wszelkie pytania, zanim chłopak zdążył je zadać.

– Zanim odpoczniesz, muszę cię prosić o ostatnią przysługę, mój chłopcze. Przykro mi, że muszę to zrobić, ale sądzę, że od tego zależy los królestwa.

– Co rozkażesz.

– Sprowadź do mnie Geder Palliako. I to szybko.

– Dobrze.

– Wiesz Jorey... Możliwe, że śmierć Vanai uratuje nam życie.

Nie minęła godzina zanim zjawili się goście Dawsona. Oprócz Odderda i Daskellina, przybyli earl Rivermarch oraz baron Nurring. Pozostałych nie było w domu, więc Coe wyruszył na ich poszukiwania. To jednak wystarczyło. Pięciu mężczyzn, z których wszyscy pochodzili z najznamienitszych rodów i kontrolowali strategiczne ziemie, siedziało bądź stało lub – jak w przypadku Canla Daskellina – niespokojnie krążyło po pomieszczeniu. Wciąż mieli na sobie brokatowe stroje i wyszywane kapelusze, które założyli na paradę Issandriana. Clara przyprowadziła dwie służki niosące tace z wodą aromatyzowaną ogórkami oraz gomółki podwójnie wędzonego sera, które wciąż stały nietknięte pod ścianą.

Od momentu przybycia gońca do Simeona do chwili obecnej po mieście rozeszło się wiele plotek. Dawson widział niepewność na twarzach swoich towarzyszy i wyczuwał ją też w podmuchach wiatru. Własne zniecierpliwienie odczuwał jako dreszcz pełznący mu po plecach. Jeśli mieli coś zrobić, należało zrobić to szybko, zanim dwór zdecyduje, co oznaczają te wieści. Zanim Simeon będzie miał czas.

Dawson uniósł dłonie jak kapłan przed zgromadzeniem wiernych.

– Rzeź... – zaczął, ale przerwał. – *Poświęcenie Vanai* jest niczym światło pochodni w naszej najczarniejszej godzinie. Ocalenie dla Rozdartego Tronu leży w zasięgu ręki.

Zapadła głęboka cisza.

– Postradałeś zmysły – powiedział Daskellin.

– Pozwól mu mówić – rzekł earl Rivermarch. Dawson podziękował mu skinieniem głowy.

– Pomyślcie. Geder Palliako znany jest z tego, że miał na pieńku z sir Alanem Klinem, jednym z najbliższych współpracowników Issandriana, niemal od samego początku. Udało mu się zająć miejsce Klina jako protektora Vanai...

– *Jemu się udało?* – wtrącił Daskellin.

– ...lecz zamiast wykorzystywać swoją władzę do zdobycia bogactwa i pozycji na dworze, podjął decyzję. Odważną i pryncypialną decyzję.

– Geder Palliako – powiedział Daskellin, przeczesując włosy palcami – to bufon wyniesiony na stanowisko protektora, by ośmieszyć Issandriana, sprawiając, że okupacja Vanai zakończy się fiaskiem. To nieopierzony młodzian, którego doświadczenie militarne sprowadza się do oberwania bełtem w nogę i upadku z konia. Teraz wygląda na to, że drzemie w nim krwiożerczy tyran. Przed zmierzchem Issandrian będzie miał tuzin ludzi, którzy przysięgną, że wyznaczenie go na to stanowisko było naszą sprawką. I jestem niemal pewien, że jedną z tych osób będzie lord Ternigan. Nie będziemy mogli temu zaprzeczyć.

Dawson dostrzegł niepewność w oczach pozostałych, w tym jak trzymali barki, w ułożeniach ich głów. Gdyby odpowiedział gniewem na gniew, skończyłoby się na tym, że rzuciliby się sobie do gardeł jak dwa wściekłe psy, a wiara w koterię zostałaby poważnie zachwiana. Dawson uśmiechnął się, na co Daskellin splunął w popiół w kominku.

– Zaprzeczyć? – powiedział Kalliam. – Sam zasiądę u boku Palliako i będę z niego dumny. A może widziałeś dziś jakąś inną paradę? Nie przyszło nikomu innemu do głowy, że nawet teraz kilkuset żołnierzy lojalnych Antei maszeruje pod dowództwem Palliako do Camnipolu?

– Nie rozumiem – odezwał się Odderd.

– Oto co powiemy – kontynuował Kalliam. – Gdy Palliako odkrył, że Issandrian zamierzał sprowadzić zbrojne siły do stolicy, postanowił zebrać żołnierzy, by bronić króla. Zamiast zostawiać Vanai na pastwę naszych wrogów, podjął decyzję ukazującą siłę jego przekonań.

Nie pozbawił miasta ostatniej sztuki srebra. Nie sprzedał go za ulgi celne. Spalił je jak prawdziwy wojownik z dawnych czasów. Jak smoki. Czy w całej Antei istnieje inny tak niebezpieczny człowiek o równie czystych intencjach? Kto inny mógłby uczynić to co on?

– Ale król dał przyzwolenie na te igrzyska. A teraz armia maszeruje, by nas ocalić? Połowa tych ludzi należy do Issandriana, a pozostali w najlepszym wypadku mają Palliako w pogardzie – powiedział Daskellin. – To nie jest baśń.

– Nie gardzą nim, lecz *boją się go*. A jeśli zaczniemy powtarzać to dostatecznie często i głośno, Issandrian również zacznie się go obawiać – rzekł Dawson. – A ponieważ od tego zależą nasze życia, sugeruję zacząć

powtarzać to chórem.

– Czyli tak wygląda desperacja – stwierdził Daskellin. Kalliam go zignorował.

– Jeśli Issandrian ruszy przeciwko nam, potwierdzi tylko, że Palliako był usprawiedliwiony. Jeśli tego nie zrobi, stanie się tak, ponieważ Palliako go wystraszył. Tak czy inaczej, Issandrian straci część władzy nad królem. A my uczynimy to, nie sprzedając się Północnemu Wybrzeżu ani bankowi medejskiemu. To zrządzenie losu, moi lordowie. Będziemy durniami, jeśli zaprzepaścimy tę szansę. Ale musimy opowiedzieć naszą wersję wypadków. Dzisiaj. Gdy dwór będzie kładł się do łóżek, to naszą historijkę mają opowiadać sobie do poduszek. Jeśli zaczekamy aż opinia okrzepnie, będzie ją sto razy trudniej zmienić.

– A jeśli Issandrian obróci swój plan przeciwko chłopakowi Palliaków? – spytał baron Nurring.

– Wtedy ostrze wymierzone w twój brzuch dosięgnie jego – odparł Dawson. – No dalej. Powiedz, że ci się to nie podoba.

Geder

Uda Gedera były poobcierane i napuchnięte. Bolały go plecy. Wiosenny wiatr wiejący od strony wzgórz pachniał śniegiem i lodem. Wokół niego jechały bądź maszerowały resztki sił okupacyjnych Vanai. Nikt nie śpiewał piosenek, a przez ostatnich kilka dni mało kto w ogóle odzywał się do Gedera, chyba że w sprawie mającej związek z przemieszczaniem kilku setek żołnierzy, wozów i koni. Nawet w swoim niewielkim pokoiku w Vanai, mając do towarzystwa jedynie świetlistookiego giermka i zadania wyznaczone mu przez Alana Klina, Palliako nie czuł się aż tak wyizolowany od tłumu jak teraz.

Czuł na sobie ich spojrzenia, ich pogardę. Oczywiście, nikt nie mówił tego wprost. Żaden z nich nie wstał i otwarcie nie rzucił Gederowi w twarz, jakim jest potworem. Że to, co uczynił było gorsze od zbrodni. Nie było takiej potrzeby, ponieważ Geder dobrze o tym wiedział. Przez te wszystkie długie dni i noce po wyruszeniu na północ, w stronę domu, ryk płomieni nie umilkł. W jego snach wciąż pojawiali się mężczyźni i kobiety na tle ognia. Kazano mu chronić Vanai, a on zrobił coś zupełnie odwrotnego. Gdyby król Simeon kazał skrócić go o głowę na sali tronowej, sprawiedliwości jedynie stałoby się zadość.

Próbował odprężyć się przy książkach, ale nawet legendy o Prawym Słudze nie były w stanie odwrócić jego uwagi od nękającego go pytania: co uczyni z nim król? W najlepsze dni Geder wyobrażał sobie, że król Simeon schodzi z Rozdartego Tronu, by położyć swą królewską dłoń na zapłakanych oczach Gedera i ułaskawia go. W najgorszych koszmarach, król wysyłał go z powrotem do Vanai, gdzie miał zostać nabity na pal pośród zmarłych, by rozdziobały go te same wrony, które ucztowały na zwłokach spalonych.

Pomiędzy tymi dwoma skrajnościami, Geder znalazł miejsce dla nieskończonej liczby bladych obrazków. Gdy zaczął rozpoznawać okoliczne góry i doliny, a smoczy trakt zaczął wic się wśród pagórków mijanych już setki razy wcześniej, Palliako odkrył, że każdy nowy scenariusz śmierci i poniżenia dawał mu ponurą namiastkę nadziei. Może spalą go na stosie? To byłoby sprawiedliwe. A może osadzą go w publicznym więzieniu, pozwalając ludziom obrzucać go gównem i martwymi zwierzętami? Na to również sobie zasłużył. Wszystko – *wszystko* – było lepsze od tego

milczącego żalu.

Na horyzoncie zamajaczyło ogromne wzniesienie, na którym zbudowano Camnipol. Odległość sprawiała, że ciemne kamienie wydawały się szare. Samo Kingspire stanowiło zaledwie świetlisty okruch. Samotny jeździec był w stanie pokonać ten dystans w niecałe dwa dni. Cała kompania potrzebowała na to pięciu. Wiedzący króla zapewne już ich wypatrzyli. Geder co chwila spoglądał w kierunku miasta, rzucając mu tęskne i przestraszone spojrzenia. Z każdą przebytą milą przerażenie narastało w nim, a ruch na gościńcu wzmagął się.

Pola otaczające miasto należały do najlepszych na świecie. Ciemna gleba, nawadniana wodą z rzeki, wciąż była żyzna po bitwach stoczonych tu tysiąc lat temu. Nawet w okresie głodu po pierwszych roztopach ziemia pachniała roślinnością i obietnicą dobrego jedzenia. Pasterze kóz pędzili swoje stada smoczymi traktami z niższych, zimowych pastwisk w stronę gór na zachodzie. Chłopi prowadzili woły na pola gotowe do orki i zasiewu. Poborcy podatkowi podróżowali w towarzystwie niewielkich grup zbrojnych, zdzierając ile się da z niewielkich miasteczek przed wygaśnięciem ich kontraktów najmu. Widok samotnego mężczyzny na dobrym koniu był rzadkością, więc Geder, gdy tylko ujrzał szarego ogiera zamierzającego na południe, wiedział, że posłano właśnie po niego. Dopiero gdy wierzchowiec podjechał bliżej, a jeźdźcem okazał się być Jorey Kalliam, Palliako rozluźnił się i odetchnął z ulgą.

Sprowadził swojego wierzchowca ze smoczego jadeitu w przydrożne błoto, pozwalając, by kolumna posuwała się dalej bez niego. Jorey zbliżył się tak, że ich konie mogły smagnąć się ogonami po pyskach, a kolano Gedera niemal dotykało siodła młodego Kalliana. Twarz młodzieńca zbladła z wycieńczenia, ale jego spojrzenie wciąż było bystre i jasne niczym u drapieżnego ptaka.

– Jakież wieści? – spytał Geder.

– Musisz pojechać ze mną – odparł Jorey. – Szybko.

– Król?

Kalliam pokręcił głową.

– Mój ojciec – wyjaśnił. – Chce się spotkać z tobą tak szybko jak to możliwe.

Geder obliznął usta i spojrzał na powoli mijające ich wozy. Niektórzy woźnicy i żołnierze udawali, że nie widzą rozmawiającej dwójki, inni

otwarcie się gapili. Od kiedy zostawili za sobą truchło Vanai, Camnipol stanowiął ostateczny cel, koniec jego udręki. Jednak teraz, gdy przyszło co do czego, chciał odwlec tę chwilę jeszcze trochę.

– Nie sądzę, by było to rozsądne – powiedział. – Nie mam komu zostawić dowództwa, a jeśli...

– Przekaż dowodzenie Brootowi – rzekł Jorey. – Może nie jest zbyt bystry, ale wystarczy, by poprowadzić kolumnę wojska prostą drogą. Każ mu rozbić obóz przed wschodnią bramą, niech czeka na rozkazy. Tylko *nie pozwól* mu dać komendy do rozpuszczenia żołnierzy.

– Ja... Muszę myśleć o ich morale – upierał się Geder. – Nie chcę, by ludzie myśleli, że ich opuściłem.

Wyraz twarzy Jorey'a był dostatecznie wymowny. Geder spuścił głowę, a jego policzki oblał rumieniec.

– Odszukam Broota – powiedział.

– I zabierz swoje najlepsze odzienie – dokończył Jorey.

Przekazując Brootowi instrukcje dane mu przez Jorey'a, Geder zmienił wierzchowca na gniadego wałacha, który odpoczywał przez cały poranek. Zostawiając za plecami kolumnę wojska, jechał na młodym, rączym koniu z Jorey'em Kalliamem u boku. Miasto było stanowczo zbyt oddalone, by dotrzeć na miejsce galopem, ale Geder nie umiał się powstrzymać. Pozwolił, aby zwierzę przez kilka minut gnało niczym wiatr, napawając się iluzją wolności, jeśli nawet nie jej faktem.

Zatrzymali się na popas w ruderze z czarnym dachem, gdzie błotnista ścieżka łączyła się ze smoczym traktem. Obaj byli zbyt zmęczeni, by zrobić cokolwiek poza oporządzeniem własnych koni. Geder od razu zapadł w sen i obudził się o poranku, by zastać Jorey'a dopinającego popręg na jego gniadoszu. W dalszą drogę wyruszyli jeszcze zanim Geder zdążył otrzeźwieć.

Przed nimi wyrósł Camnipol.

Podjazd od południowej strony był najbardziej stromy. Zielona wstążka smoczego traktu pięła się po kamiennym zboczu niczym kawałek dziecięcej tasiemki rzuconej na ziemię. Czas i pogoda wyłłobiły kamienie, pozostawiając spore odcinki gościńca zawieszzone w powietrzu, gdzie nic, poza niezwykłą ostrożnością, nie mogło pomóc podróżnym w pozostaniu na szlaku. Kąśliwy, wiosenny wiatr nie dął z żadnej z czterech stron świata, lecz z góry, od strony miasta lub z położonych niżej równin. Jaskinie i budy uczone kamiennej stromizny często potrzebowały drewnianych mostków,

które łączyły je z traktem. Nieustający ból w udach nie pozwalał Gederowi zebrać myśli, a wielkie głązy i gęste zarośla przesłaniały mu widok, przez co niemal do ostatniej chwili nie zauważył jak Kingspire urosło w oczach, zaś miejskie mury nabrały masywnych rozmiarów. Zamiast tego wielkie, błyszczące łuki i strzeliste iglice zdawały się pojawić znikąd, niczym miasto zbudowane ze snów.

Południowa brama była wąska, przypominając zaledwie szparę w wysokim, szarym kamieniu, z wrotami z kutego brązu i smoczego jadeitu, które odsuwano na bok, pozwalając na przejazd. Tuż za nimi tuzin mężczyzn w emaliowanych zbrojach siedział na koniach okrytych kropierzami w identycznych barwach jak jeźdźcy.

Gdy Geder i Jorey podjechali bliżej, mężczyźni dobyli mieczy. Ostrza mignęły w popołudniowym słońcu. Serce Gедера miotało się w jego piersi niczym lis w potrzasku. Oto moment, na który czekał i którego się obawiał. Jorey skinął mu głową z uśmiechem, którego Geder nie był w stanie zinterpretować. Nie miało to znaczenia. Przełknął strach i ruszył drżąc o swoje pojmanie, żałując jedynie, że nie założył na tę okazję swojej najlepszej peleryny.

Z cienia w miejscu, w którym trakt przebiegał pod murami, wychynęła samotna postać. Chociaż nie siedział na koniu, mężczyzna wzbudzał szacunek wszystkich zebranych. Był Pierworodny, nieco starszy. Jego skronie przyprószyła siwizna, ale twarz miał bystrą i inteligentną.

Sposób, w jaki się nosił, sprawiał, że wyglądał na wyższego od jeźdźców. Geder trącił swojego gniadosza piętami. Z bliska trudno było nie poznać ojca Jorey'a. Ich oczy miały ten sam kształt, podobnie jak linia szczęk. Spojrzał z góry na Dawsona Kalliamą.

– Sir Palliako – rzekł starszy z Kalliamów.

Geder pokiwał głową.

– To zaszczyt móc przywitać cię w Nieskończonym Mieście – powiedział Dawson Kalliam, a po chwili: – Honory!

Jeźdźcy unieśli miecze w salucie. Geder zmrużył oczy. Nigdy nie był świadkiem stawiania szlachetnie urodzonej osoby przed sądem królewskim, ale nie spodziewał się czegoś takiego. Znikąd dobiegły go głosy uniesione w długich, wiwatujących okrzykach. A co najdziwniejsze, z czystego, błękitnego nieba zaczęły spadać płatki śniegu.

Nie. Nie płatki śniegu. Płatki kwiatów. Geder uniósł wzrok. Ze szczytów

murów spoglądały na niego setki ludzi. Niepewnie uniósł dłoń, na co zebrany tłum odpowiedział ogłuszającym rykiem.

– Coe zajmie się twoim wierzchowcem – oznajmił Dawson. – Lektyka już czeka.

Chwilę zajęło mu zrozumienie wszystkiego, ale w końcu zeskoczył na ziemię, pozwalając, by ojciec Jorey’a poprowadził go do świetlistej przerwy w murach miasta. Nie przyszło mu do głowy, żeby spytać, kim jest Coe.

Lektyka była ornamentowana, przyozdobiona herbem i barwami rodu Kalliamów, ale z zasłonkami po obu stronach w szaro-błękitnych kolorach Palliaków. Wewnątrz umieszczono dwa obite aksamitem fotele ustawione naprzeciw siebie, a przy tyczkach czekało ośmiu Tralgurów. Dawson zajął miejsce tyłem do kierunku jazdy. Geder odgarnął z oczu kosmyk przetłuszczonych włosów. Nogi ugiwały się pod nim po długiej podróży. Otwory strzeleckie w całym mieście spoglądały na niego uśmiechniętymi oczami.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Geder.

– Kilku moich znajomych i ja postanowiliśmy zapłacić za przyjęcie cię z honorami. Tradycją jest podjęcie w ten sposób dowódcy po zwycięstwie.

Geder obrócił się powoli. Coś ciężkiego zaległo mu w żołądku, wiszący nad jego głową kamień zadrżał nieco, niczym młode drzewo na silnym wietrze. Zaschło mu w ustach.

– Po zwycięstwie? – spytał.

– Poświęcenie Vanai – odparł Dawson. – Śmiałe i imponujące posunięcie. Była to jedna z najodważniejszych decyzji, jaką podjęto w tym królestwie od pokoleń, a my chcemy dopilnować, by ta siła na nowo zagościła w Antei.

W głowie Gедера kobieta wdrapała się na mury umierającego miasta. Płomienie strzelały w górę za pociemniałą sylwetką. We wspomnieniach kobieta upadła. Ryk płomieni na nowo wypełnił jego uszy, zupełnie jakby podążał za nim krok w krok. W oczach mu pociemniało.

To było zwycięstwo? Na jego ramię opadła szeroka dłoń Tralgura, który poprowadził go do jego siedziska. Geder bezmyślnie gapił się na Dawsona, gdy lektyka zakołysała się pod nimi.

Południowa brama wychodziła na wyboisty plac. Geder bywał tam już wcześniej i wiedział jak wygląda tamtejszy tłum żebraków, kupców, strażników, zaprzęgniętych wołów oraz zdziczałych psów. Jednak to było jak

podróż przez Cannipol wysniony przez chłopca, który jedynie słyszał o jego świetności. Przynajmniej trzy setki ludzi stały za kolejnym szpalerem gwardii honorowej, wymachując sztandarami rodu Palliako. Po prawej wzniesiono podwyższenia, na którym stali mężczyźni w wyszywanych płaszczach i złotych tunikach. Był tam baron Watermarch. A obok niego młodzieniec w barwach rodu Skestininów. Jeszcze nie lord, ale prawdopodobnie najstarszy z synów. A do tego pół tuzina innych, których Geder z trudem rozpoznał, zanim lektyka ich minęła. A potem, na samym końcu, trzymając głowę wysoko i pozwalając, by łzy płynęły mu po policzkach, stał ojciec Gедера. W jego spojrzeniu znać było dumę.

Tłum podążał za nimi, wiwatując i rozrzucając płatki róż oraz owinięte w papier cukierki. Ich połączone głosy uniemożliwiały jakąkolwiek rozmowę, dlatego Geder mógł jedynie obserwować w zdumieniu twarz lorda Kalliamy.

Na skrzyżowaniu pół tuzina ulic lektyka zwolniła. Bliżej Kingspire budynki miały po trzy albo cztery kondygnacje. Ludzie wyglądali ze wszystkich okien, obserwując pochód. Jakaś dziewczynka po jego lewej stronie wyrzuciła w powietrze garść kolorowych wstążek, które zatańczyły na wietrze, upadając. Geder pomachał do niej. Ogarnęło go przyjemne uczucie, przypominające o lekkich zawrotach głowy.

Pomimo tego, co zrobił, był bohaterem. A raczej właśnie *dlatego*, że to zrobił. Przyniosło mu to coś więcej niż ulgę – ułaskawienie, przebaczenie i rozgrzeszenie. Uniósł ramiona, spijając uwielbienie niczym spragniony człowiek. Jeśli to był sen, wolał umrzeć niż się z niego przebudzić.

– To była trudna decyzja – powiedział Geder podniesionym głosem, pochylając się nad stołem. – Spalenie takiego miasta to straszliwa rzecz. Niełatwo było mi wkroczyć na tę ścieżkę.

– To rozumiałe – powiedział drugi syn barona Nurringa, prawie bez akcentu. – Ale w tym rzecz, nieprawdaż? Czy męstwo idzie w parze z łatwymi decyzjami? Wątpię. Co innego stawienie czoła problemowi. Powzięcie odpowiednich kroków.

– Definitywnych kroków – dodał Geder.

– Dokładnie – przyznał mu rację chłopak. – Definitywnych kroków.

Tereny biesiadne przylegały do rezydencji Dawsona Kalliamy. Nie były tak wspaniałe jak sale balowe i ogrody w posiadłości barona, ale nie odbiegały od nich znacząco.

Posiadanie tak dużego skrawka ziemi w Nieskończonym Mieście warte

było trzy razy więcej niż w dowolnym miejscu poza nim. Świece płonęły u góry i u dołu wysoko sklepionych murów, a latarnie z dmuchanego szkła wisiały na niciach tak cienkich, że nie sposób było ich dostrzec w półmroku. Szerokie wrota wychodziły na świeże ogrody wciąż pachnące przekopaną ziemią oraz wczesnowiosennymi kwiatami. Uczta i tańce trwały w najlepsze. Kilku wysoko urodzonych szlachciców zajęło miejsce na podwyższeniu, gdzie zachwalali zalety działań Gедера w Wolnych Miastach.

W jego czynach nie znać było przejawów słabości, płochliwości i korupcji, które od dłuższego czasu toczyły szeregi antejskich generałów, mówili. Geder Palliako pokazał siłę swego charakteru nie tylko Wolnym Miastom, nie tylko światu, lecz pokazał ją przede wszystkim swoim krajanom. Swoimi czynami przypomniał im, co można osiągnąć czystością intencji. Nawet król wysłał gońca z pisemną wiadomością w dowód uznania powrotu Gедера do Camnipolu.

Aplauz działał jak narkotyk. Szacunek i uwielbienie ludzi, którzy wcześniej nawet nie zauważali go, gdy bywał na dworze. Potem tańce. Geder z reguły unikał tej konkretnej rozrywki, ale żona Dawsona Kalliamy, Clara, nalegała, aby choć raz towarzyszył jej w przejściu przez ogród, a do czasu, gdy zatoczyli pełne kółko, czuł się niemal pewnie. Następnie zrobił kilka rundek z młodszymi, nieznanymi kobietami, zanim uda i kostki zaczęły głośno protestować, zmuszając go do przerwania. Jorey przyniósł jego skórzaną pelerynę i, w miarę jak dzień przeradzał się w noc, a wino i piwo lały się coraz szerszym strumieniem, Geder był mu za to wdzięczny.

– Symbol prawdziwego przywódcy – zaczął Geder, po czym stracił wątek. – Symbol przywódcy...

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Geder, mój chłopcze? – rzekł jego ojciec.

Geder wstał. Jego kompan ukłonił się z szacunkiem, zanim odwrócił się i postąpił kilka w miarę pewnych kroków.

– Robi się późno dla takiego staruszka jak ja – powiedział Lerer Palliako – ale nie mogłem po prostu zniknąć, nie odszukawszy ciebie. Przerosłeś wszystkie moje najśmielsze wyobrażenia. Nie słyszałem, by ludzie mówili tak o naszym rodzie od... Cóż, chyba nigdy.

– Pozwól, że pójdę z tobą – zaproponował Geder.

– Nie, nie. To twój wieczór. Ciesz się nim.

– Wolałbym porozmawiać z tobą – powiedział młodszy Palliako. Oczy

jego ojca złagodniały.

– Jak uważasz.

Geder, wspólnie z ojcem, odnalazł lady Kalliam i złożył na jej ręce głębokie podziękowania. Jakimś cudem rozmowa zeszała na inny tor i już wkrótce to oni słuchali jej pełnych wdzięczności słów. Ucztę opuścili w przekonaniu, że ta noc była niczym innym jak spotkaniem ze starymi przyjaciółmi, których rzadko widywali. Pani domu nalegała, aby mężczyźni skorzystali z lektyki, którą Geder niesiony był wcześniej ulicami miasta. Spacer ciemnymi ulicami nie był bezpieczny, a nawet gdyby był, nie przystało to bohaterowi. Jorey pojawił się na chwilę przed tym jak opuścili teren biesiadny, oferując Gederowi pomoc. Palliako niemal zapłakał, przyjmując podaną mu dłoń.

Gdy tralgurscy niewolnicy nieśli ich przez okryte mrokiem ulice, Geder spoglądał w gwiazdy rozsiane po całym firmamencie. Z dala od rozweselonego tłumu, jego euforia nieco opadła. Z zaskoczeniem zauważył, że część jego obaw nie znikła. Może nie były już tak wyraźne i silne, ale wciąż tam były. Może nawet nie strach, ale stale obecny niepokój.

Jego ojciec odchrząknął.

– Wygląda na to, że wschodzi twoja gwiazda, chłopcze. Zyskujesz na znaczeniu.

– Nie jestem o tym przekonany – rzekł Geder.

– Och, nie. Słyszałem dzisiaj jak ci ludzie o tobie mówili. Zastałeś dwór w bardzo delikatnej sytuacji. Istnieje realne ryzyko, że staniesz się symbolem czegoś. – Ton głosu jego ojca był radosny, ale w postawie kryło się coś, co przypominało Gederowi człowieka kulącego się przed ciosem.

– Nie jestem dworskim ptakiem – powiedział Geder. – Wolę zaszyć się w domu i przeczytać kilka ksiąg, które przywiozłem. Rozpocząłem przekład eseju o ostatnich smokach, który rzekomo został napisany zaledwie kilkaset lat po upadku Morade’a. Spodobałby ci się.

– Nie wątpię – mruknął Lerer.

Prowadzący Tralgur chrząknął wymownie i lektyka z gracją pokonała ostry zakręt, bardzo nieznacznie przechylając się, by zrównoważyć ten manewr.

– Zauważyłem, że sir Klin nie pojawił się dzisiaj – zauważył Lerer.

– Nie podejrzewałem go o to – skwitował Geder. Przez chwilę znów był na zamrzniętym stawie, odkrywając fortunę mogącą uratować protektorat

Klina. – Podejrzewam, że po tym wszystkim może być trochę rozgoryczony. Vanai należało do niego, ale ktoś postanowił pociągnąć za smycz. Musi to być dla niego cios, że witają mnie z takimi honorami.

– Musi. Na pewno musi. Lord Ternigan również nie przybył.

– Możliwe, że wysłano go w inne miejsce – powiedział Geder.

– Zapewne. Jestem pewien, że tak właśnie było.

W ciemnej uliczce jakiś pies rozszczękał się i zaskomlił. Wiatr, zaledwie chłodny na zatłoczonej sali balowej i w ogrodach, teraz był zimny.

– Rzadko kiedy wszyscy pojawiają się na dworskich przyjęciach – rzekł Geder. – Mimo wszystko nie spodziewałem się aż tylu ludzi.

– To prawda. Nie lada wydarzenie, nieprawdaż?

– Tak.

Zamilkli obaj. Gедера bolały plecy. Wziąwszy pod uwagę podróż i tańce, podejrzewał, że z rana będzie na wpół kaleki.

– Geder?

Młody Palliako chrząknął.

– Uważaj na tych ludzi. Nie zawsze są tacy, jacy wydają się być. Nawet jeśli stoją po twojej stronie, dobrze jest mieć na nich oko.

– Dobrze – przytaknął Geder.

– I nie zapomnij, kim jesteś. Niezależnie od tego, kim chcesz być, nie zapominaj, kim jesteś naprawdę.

– Dobrze.

– Świetnie – powiedział Lerer Palliako. Mężczyzna przypominał cię na tle cienia, jeśli nie liczyć blasku gwiazd odbitego w jego oczach. – Zuch chłopak.

Marcus

Marcus pochylał się nisko, trzymając ręce przy bokach. Rękojeść jego akacyjowego miecza była śliska od potu. Pierworodny chłopiec, krążący po drugiej stronie areny z poważną miną, miał na sobie spodnie treningowe. Marcus czekał. Chłopak oblizał usta i uniósł miecz.

– Nie ma pośpiechu – rzekł mężczyzna.

Powietrze na sali treningowej było gorące, duszne i wilgotne. Postękiwania i krzyki pozostałych trenujących walczyły o prym z szumem wody dochodzącym z rur łaźni. Przynajmniej tuzin mężczyzn stał na skraju areny. Większość stanowili Kurtadamowie i Pierworodni, choć nieco na uboczu trzymała się również para Timzinejczyków. I Yardem Hane, zasapany i zlany potem. Nie zjawił się żaden Cinnejczyk.

Marcus zauważył, że chłopak przenosi ciężar ciała, składając się do ataku. Młodzian trzymał miecz z boku, we wschodnim stylu, co oznaczało, że przeszedł jakieś szkolenie. Wester sparował cios, który wzbił w powietrze pył kredowy, po czym zaszedł chłopaka od lewej. Gdy jego przeciwnik zrobił obrót, Marcus ciął na odlew. Chłopak odbił uderzenie tak agresywnie, że miecze aż odskoczyły od siebie. Kapitan przerzucił broń do lewej ręki i ciął raz jeszcze, tym razem nisko, obserwując postawę rywala.

Uniknięcie obu ciosów Marcusa dodało chłopakowi animuszu. Pewnie uchwycił broń, niezdarnie zamarkował uderzenie z prawej i skoczył w lewo. Wester bez trudu sparował uderzenie, po czym przeciągnął ostrzem po piersi młodzieńca. Jego przeciwnik zrobił kilka kroków w tył. Wysmarowany kredą miecz treningowy zostawił jasną linię od żeber chłopaka aż po obojczyk.

– Kto następny? – zawołał.

– To ostatni, sir – powiedział Yardem.

– Dziękuję, kapitanie Wester, sir – rzekł chłopak. W miejscu, gdzie uderzył Marcus, jego skóra zaczęła czerwienić i puchnąć. Kapitan poczuł, że mija jego rozczarowanie. Nie miał zamiaru go skrzywdzić.

– Dzięki, synu. Dobrze się sprawiłeś – powiedział, na co chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Marcus położył dłonie na krawędzi areny i wdrapał się na górę. Ciało miał obolałe od stóp do głów, ale był to przyjemny rodzaj bólu. Yardem rzucił mu kawałek zużytej tkaniny, którą Marcus otarł pot z twarzy i szyi. To

była trzecia grupa ludzi, którą sprawdzali w ramach naboru do kompanii. Podobnie jak wcześniej, wyniki były różne. Część zgłosiła się z desperacji, bo nie posiadała żadnych innych umiejętności poza zadawaniem bólu. Inni przyszli, aby później móc opowiadać, że stawili czoła samemu Marcusowi Westerowi. Kilku natomiast – zaledwie garstka – pojawili się, ponieważ taka była ich praca, której brakowało im akurat wtedy, gdy Marcus ogłosił nabór.

Jednym z tych ostatnich był postawny Kurtadam o szaro-złotym futrze i cabrałskim akcencie. Marcus napotkał spojrzenie Yardema, po czym wskazał ruchem głowy potencjalnego kandydata. Tralgur skinął głową.

– Ty – powiedział Marcus. – Jak mówiłeś, że masz na imię, przyjacielu?

– Ahariel – odparł Kurtadam. – Ahariel Akkabrian.

– Wiesz jak walczyć. Co sprowadza cię do Porte Oliva?

– Wstąpiłem do kompanii z Narinisle. Chodziło głównie o pracę garnizonową, ale komendant zaczął sypiać ze swoimi podkomendnymi. Musiałem stamtąd uciekać ze względu na plotki i urażone uczucia. Myślałem o Wolnych Miastach. Zakładałem, że będę miał robotę na lata po tym, co stało się z Vanai i tak dalej. Ale usłyszałem, że rekrutujecie.

– Tu nie chodzi o robotę w garnizonie – powiedział Marcus.

Kurtadam wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że pan może przebierać w robocie. Słyszałem o Wodford, Gradis i tak dalej. Skoro to zajęcie było na tyle dobre, żeby pana tu zatrzymać, to wystarczy dla takiego prostego żołnierza jak ja.

– Jesteś optymistą – skwitował Marcus. – Ale z przyjemnością cię przyjmujemy, jeśli pasują ci nasze warunki.

– Nie marnowałbym waszego czasu, gdyby było inaczej – odparł Ahariel.

– W takim razie staw się o poranku. Dodamy cię do harmonogramu dyżurów.

Ahariel zasalutował, obrócił się na pięcie i wyszedł.

– Podoba mi się – powiedział Marcus. – Nie miele ozorem na darmo.

– Szybko się wpasuje, sir – przyznał Yardem.

– Dobrze jest móc znów mieć pod sobą prawdziwą kompanię.

– Prawda.

Marcus rzucił szmatę na skraj areny.

– Już czas? – spytał.

– Wkrótce powinniśmy iść.

Wczesnoletnie ulice Porte Oliva były upalne i zatłoczone. Żebracy

okupowali rogi ulic, a ścisk ciał na drogach wydawał się wydzielać równie dużo ciepła, co złote, nadmorskie słońce. Powietrze pachniało oceanem, miodem, gorącym olejem i kminkiem. Ludzie zmienili ubrania. Żadnych płaszczy, żadnych peleryn. Cinniejscy mężczyźni i kobiety kroczyli ulicami miasta w przewiewnych szatach, które sprawiały, że ich ciała zdawały się poruszać i wyginać niczym cienie bądź duchy. Kurtadamowie przycinali futra tak, że z trudem nanizali na nie koraliki, a do tego nosili przepaski biodrowe i sukienki ledwie wystarczające, by zachować pozory skromności. Jednak to Pierworodni w szczególności zwracali uwagę Marcusa. Mężczyźni i kobiety, którzy wyrwali się z zimowych kokonów i przerzucili na jaskrawe kolory: zielenie, żółcie i róże. Tuniki porozcinano po bokach, by poprawić przepływ powietrza, pozwalając na ukradkowe spojrzenia na nagie ciała. Każdego dnia miał wrażenie, że zbliża się karnawał.

Marcusowi to nie odpowiadało.

Za bardzo przypominało mu to czasy, gdy był młody i nie potrafił odróżnić pożądania od miłości, a tamte wspomnienia zawsze prowadziły go do tego, co nastąpiło później. Do spotkania błękitnookiej Alys, a potem zawrócenia jej w głowie opowieściami o bohaterstwie i kwiatach. Do tęsknych nocy oraz tego bezksiężycowego wieczora pod koniec wiosny, wspólnego jabłka, pocałunku obok wodospadu i końca oczekiwania. Jego idealna kobieta. W sprawiedliwym świecie wciąż byłaby u jego boku.

Merian byłaby teraz dostatecznie dorosła, by cierpieć te same katusze pożądliwości ciała, a on byłby równie bezsilny w przemawianiu jej do rozsądku, jak wcześniej jego ojciec. Nie, teraz byłaby już na tyle duża, by nierozważnie i spontanicznie wyjść za mąż. Jeszcze kilka miesięcy i Marcus łaskotałby pod brodą wnuka. Między innymi za to nie lubił tego miasta – bo przypominało mu o tych wszystkich chwilach, których nie przeżył. Z drugiej strony, nie lubił za to właściwie całego świata. Dopóki miał pracę, która zaprzętała mu głowę, mógł odkładać wszystko inne na bok.

Kwestia, gdzie założyć stałą filię nowego banku, rozwiązała się sama, gdy Cithrin porozmawiała z córką hazardzisty, nad którego kramem mieszkali. Dziewczyna od lat próbowała przekonać ojca do porzucenia profesji i prawie jej się to udało. Niższe piętro było na tyle rozległe, aby pomieścić niewielkie baraki, natomiast w piwnicy umieszczono żelazną kasę pancerną wprawioną w kamień i wwierconą głęboko w ziemię. Teraz, w miejscu gdzie jeszcze niedawno znajdował się kram hazardowy, powstała

skromna filia banku medejskiego w Porte Oliva. Tego samego dnia, w którym stary hazardzista podpisał umowy, Cithrin oznajmiła o zmianach, nakazując przemaalować ściany na najjaśniejszy odcień bieli, jaki mogła znaleźć. Miejsce nawoływacza, wypływającego z siebie litanię zakładów i prawdopodobieństwa wygranej, zajęła szeroka, cynowa donica wypełniona ciemną ziemią, ponad którą wystawały cienkie zielone łodyżki oraz szerokie liście pół tuzina ledwie kwitnących tulipanów.

– Prosto do niej? – spytał Yardem, wskazując na schody prowadzące do pokoi stanowiących obecnie prywatne kwatery Cithrin. Marcus pokręcił głową.

– Dopiero, gdy będziemy gotowi – odparł.

Wcześniej grube, drewniane drzwi wychodziły na wspólny pokój z wysokim kontuarem umieszczonym pod przeciwległą ścianą. Lada znikła, a na tabliczkach nie wypisywano już kredą proponowanych zakładów, lecz nazwiska nowych podkomendnych Marcusa oraz służbową rotację. Cała czwórka siedziała teraz w miejscu, gdzie zwykli przebywać klienci hazardzisty, wyglądając przez wąskie, zakratowane okna i czyniąc ordynarne uwagi na temat ludzi na ulicy. Gdy Marcus wszedł, żarty natychmiast ucichły, a nowi strażnicy – dwaj Pierworodni, kurtadamska kobieta i timzinejski chłopak, którego Marcus przyjął wiedziony przecuciem – stanęli na baczność. Potrzebował kolejnych. Nad głowami zaskrzypiały im deski podłogi, po której krążyła Cithrin.

– Worek gotowy?

– Tak, kapitanie Wester, sir – powiedziała Kurtadamka.

Marcus skinął do niej głową, choć miał w niej nagle kłopotliwą pustkę. Kobieta miała szerokie barki i biodra, a do tego ramiona grube jak nogi. Jej czarne, błyszczące futro było ciemniejsze nawet niż łuski timzinejskiego chłopaka. A na imię miała... Edir? Edem?

– Enen – powiedział Yardem. – Ty weźmiesz pieniądze. Barth i Corisen Mout zajmą pozycje z przodu i z tyłu. Ja i kapitan będziemy osłaniać flanki.

– A ja? – spytał młody Timzinejczyk. Półprzezroczysta migotka mrugnęła w nerwowym odruchu. Jego było łatwo zapamiętać. Niezależnie od tego jak miał na imię, wszyscy wołali na niego Karaluch.

– Ty zostaniesz tutaj i obudzisz pozostałych, gdyby wydarzyło się coś ciekawego – rzekł Marcus. Karaluch spuścił wzrok, więc kapitan mógł kontynuować. – Jeśli ktoś postanowi dobrać się do kasy, zrobi to, gdy

większości z nas nie będzie na miejscu. Trzymaj drzwi zamknięte i nadstawiaj uszu. Będziesz w większym niebezpieczeństwie niż my.

Karaluch zasalutował słuźbiście. Nawet zdobył się na uśmiech. Dwaj Pierworodni podeszli do skrzyni z bronią i zaczęli układać najbardziej niebezpieczne narzędzia, na których noszenie zezwolili im gwardziści królowej. Marcus obrócił się i ruszył w stronę prywatnych schodów. Yardem szedł tuż za nim.

– Nigdy nie spamiętam ich imion – powiedział Wester.

– Zawsze pan tak mówi, sir.

– Naprawdę?

– Tak.

– Hmm. Dobrze wiedzieć.

Pokoje, które wydawały się tak ciasne, gdy mieszkał w nich on, Yardem oraz Cithrin na skrzyniach wypełnionych skarbami Vanai, zostały przemienione w bardzo przyzwoite kwatery nowej głowy banku medejskiego. Mieściło się tu niewiele więcej poza małą sypialnią na tyłach, gdzie stało łóżko i biurko dziewczyny, a także pokojem spotkań z niedużą garderobą przy wejściu. Jednak Cithrin wprowadziła setki drobnych zmian, które odmieniły to miejsce – ładne zasłony nad oknami, niewielka figurka religijna w rogu, niski, lakierowany stół w obecnej chwili przykryty starymi manifestami ładunkowymi i kopiami pokwitowań. Wszystko to razem dawało wrażenie, że kwatery zajmuje osoba przynajmniej dwukrotnie starsza. Była to część przebrania wymyślonego przez mistrza Kita i jego aktorów, które Cithrin nosiła z wprawą.

– Potrzebuję kogoś z rejestru portowego, kto ze mną porozmawia – powiedziała Cithrin zamiast przywitania. – Wkrótce przyplyną statki kupieckie z Narinisle, a ja muszę lepiej wiedzieć, jak to wszystko działa. Wygląda na to, że połowa handlu w tym mieście odbywa się, gdy te okręty zawijają do portu.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział Yardem.

– Dokąd dzisiaj? – spytał Marcus.

– Do browaru, tuż za murami – odparła Cithrin. – Spotkałam tę kobietę w szynku. Gildia wydała jej pozwolenie na wymianę kadzi, ale jej na to nie stać.

– Więc udzielimy jej pożyczki.

– Zasadniczo nie może brać oprocentowanych pożyczek – wyjaśniła

Cithrin, układając lekki szal z koralikami na ramionach, tak jak nauczył ją mistrz Kit. – Prawo gildii. Może jednak przyjmować pieniądze od partnerów biznesowych. Dlatego właśnie wykupimy część jej interesu.

– Ach – mruknął Wester.

– Jeśli powinie jej się noga, będziemy mogli przejąć zakład w całości. Jeśli uda mi się nawiązać współpracę z bednarzem i kilkoma szynkami, zorganizuję towarzystwo wzajemnej pomocy, która uszczęśliwi wszystkich na bardzo długo.

– Bardzo długo – powtórzył Marcus, smakując słowa.

– Poza tym, browar zawsze jest dobrą inwestycją – dodała Cithrin. – Magister Imaniel ciągle to powtarzał. Na piwo zawsze jest popyt.

Cithrin rozejrzała się po pokoju, wydeła usta i pokiwała głową, bardziej do siebie niż do nich. Zanim wspólnie zeszli schodami, Cithrin zabezpieczyła za sobą drzwi. Na ulicy pół tuzina dzieci bawiło się w zabawę polegającą na krzykach i kopaniu starego bukłaka. Cithrin odwróciła się w stronę wejścia, niemal wpadając na jakiegoś Kurtadama. Marcus odnotował w pamięci potrzebę zamontowania wewnętrznych drzwi. Konieczność wyjścia na zewnątrz, by przejść z jednych pomieszczeń do drugich, była przydatna, gdy się ukrywali. Teraz stanowiła jedynie niepotrzebne ryzyko.

Pierworodni mężczyźni, Corisen Mout i Barth, żartowali między sobą, ale natychmiast otrzeźwieli, gdy ich troje weszło do środka. Enen była gotowa. Mały, skórzany worek przewiesiła sobie przez ramię, dzięki czemu dłonie miała wolne. Przy pasku nosiła zakrzywiony sztylet i obciążoną pałkę. Znalazszy się na ulicy, cała szóstka zajęła swoje pozycje w luźnej formacji. Pomimo ciasnych, zatłoczonych ulic ich trasa zawsze była jasna, a mieszkańcy Porte Oliva schodzili im z drogi. Zazwyczaj odprowadzały ich ciekawskie spojrzenia, a tylko najbardziej zuchwali żebracy próbowali swoich sztuczek, zawsze zwracając się do Cithrin. Nikt nie zbliżał się do Enen i jej worka z pieniędzmi. Kierowali się na północ, w stronę wielkiego muru i położonych za nim budynków. Panował większy ścisk niż Marcus by sobie życzył. Smród kanałów i spoconych ciał był tu silniejszy. Lokalne ulice były jednocześnie szersze i bardziej zatłoczone niż za murami samego Porte Oliva.

Browar, gdy w końcu do niego dotarli, okazał się dwupiętrową budowlą wzniesioną wokół wąskiego dziedzińca z własną studnią. Szerokie drzwi wychodziły na plac składowy, gdzie kadzie i beczki stały w cuchnącym

drożdżami półmroku. Właścicielka przybytku, Cinnejka tak gruba na ciele i twarzy, że niemal mogłaby uchodzić za Pierworodną, wyszła im na spotkanie z szerokim uśmiechem, zupełnie jak do rodziny.

– Magistra Cithrin! Proszę, zapraszam do środka!

Marcus patrzył jak Cithrin i kobieta wymieniają pocałunki w policzek. Mężczyzna skinął głową do Enen, która zrzuciła z ramienia worek i wręczyła go dziewczynie, jakby ta naprawdę była tym za kogo się podawała. Żaden ze strażników nie podejrzewał, że bank jest w rzeczywistości czymś innym. Nie istniał żaden powód, dla którego mieliby to wiedzieć.

Cithrin wzięła pakunek i gestem nakazała Marcusowi oraz pozostałym zostać na zewnątrz. Kapitan pokiwał głową. Cithrin chwyciła piwowarkę pod rękę i obie zniknęły w ciemnym wnętrzu browaru, rozmawiając jak stare przyjaciółki. Wkrótce ze środka wyłonił się cinnejski chłopak w wieku Karalucha w cienkim, skórzanym fartuchu, niosący kilka kuflów świeżego piwa. Było słodsze niż Marcus lubił, ale posiadało niemal chlebowy posmak, do którego mógłby się przyzwyczaić. Wester pozwolił trzem nowym strażnikom usadowić się pod kamienną ścianą studni, po czym podchwycił spojrzenie Yardema i wskazał przeciwległą stronę placu. Tralgur dopił trunek, beknął i dołączył do Marcusa.

– Niezłe piwo – powiedział kapitan.

– Prawda.

– Co myślisz o jej planie?

Yardem położył uszy po sobie i znów je postawił, rozważając pytanie. Marcus wiedział, że sam fakt, iż zapytał, zmieni odpowiedź Tralgura. To, co Yardem naprawdę myślał o tym planie, było zupełnie odmienną kwestią.

– Wygląda na to, że działa – odparł Yardem. – Co prawda trzymamy w piwnicy więcej kosztowności niż bym chciał, ale mamy dość mieczy, by przepędzić zbłąkane noże. Nie znam się na tym, ale wygląda na to, że dziewczyna ma szansę odrobić wszystkie wydane pieniądze, a przynajmniej ich większość.

– Wtedy zjadą się tu wszyscy ważni panowie z Carse i zobaczą, że wszystko jest mniej więcej na swoim miejscu – dokończył za niego Marcus.

– Odda im co do nich należy, umyje ręce i wszyscy będą szczęśliwi.

– Taki jest plan – rzekł ostrożnie Yardem.

– Wierzysz, że ona odda im to wszystko?

Yardem przeciągnął długie, muskularne ramiona, spoglądając na otwarty

browar z udawanym znudzeniem. Marcus czekał w milczeniu, mając nadzieję, że Tralgur podważy jego obawy, jednocześnie jednak spodziewając się, że tego nie zrobi.

– Będzie próbowała wszystko zachować – powiedział Yardem.

– Ona nawet nie wie jeszcze, że o tym myśli, ale masz rację – przytaknął Wester. – Jest w tym dobra. Może nawet bardzo dobra. A nie wygląda mi na dziewczynę, która poddaje się, gdy coś bardzo jej się podoba.

Yardem powoli pokiwał głową.

– Jak zamierza to zrobić? – spytał.

Marcus pociągnął łyk piwa, przepłukując nim usta, po czym splunął na kamienny dziedziniec. Tuzin gołębi poderwał się z dachu i krążył po jasnoblękitnych przestworzach nad ich głowami.

– Nie rozumiem połowy rzeczy, które teraz robi – powiedział w końcu. – A ty?

– Nie.

– Nie mam pojęcia, co zamierza zrobić. Ona pewnie też nie. Ale jeśli już coś wpadło jej w oko, zechce po to sięgnąć. Niezależnie od tego, czy będzie to dobry pomysł, czy nie.

Geder

Dni, które nastąpiły po powrocie Gедера do Camnipolu, opływały go jak woda mogłaby czynić z tkwiącym pośrodku rzeki kamieniem. Czas od świtu do zmierzchu wypełniały mu spotkania w domach najznamienitszych rodów w Antei i uroczystości na cześć jego zwycięstwa w Vanai. Wieczory spędzał na przygotowaniach do obchodów rocznicy wyznaczenia na następcę tronu księcia Astera. Zaledwie dzień po niespodziewanym przyjęciu, pośród jaskrawo barwionych ubrań na dworze zaczął widywać czarne, skórzane peleryny podobne do jego własnej. Ludzie, którzy nigdy nie przywiązywali szczególnej wagi do rodu Palliaków, nagle zaczęli go odwiedzać. Jeśli jego ojciec czuł niechęć do tej nagłej uwagi, było to w pełni zrozumiałe. Niespodziewane zmiany zawsze posiadały nieco katastroficzny wydźwięk, nawet jeśli były zmianami na lepsze.

Jedynym, co mogłoby osłodzić dojrzewającą wiosnę, byłoby kilka wieczorów spędzonych w pokojach w obrębie murów miasta zamiast kolejnych nocy pod zamkniętymi bramami w wojskowym namiocie. To i koniec koszmarów.

– Nie rozumiem, dlaczego nie powinienem dać rozkazu do rozpuszczenia armii – powiedział Geder, rozsmarowując łyżkę jabłkowego masła na porannym chlebie. – Jeśli wkrótce tego nie zrobię, uczyni to za mnie lord Ternigan.

– Nie odważy się – rzekł Canl Daskellin, baron Watermarch. – Przynajmniej do czasu, gdy obca piechota i łucznicy nie opuszczą Camnipolu.

– To wstyd – oznajmił Marrisin Oesteroth, earl Magrifell, kiwając głową. – Uzbrojona hałastra na ulicach Camnipolu. Na dodatek zaledwie garstka z nich to Pierworodni. Nie wiem, co Curtin Issandrian myślał sobie, sprowadzając tu niewolnicze rasy. Jeszcze chwila, a każe oddawać cześć księciu Asterowi świniom i małpom.

Wokół nich niższe ogrody rezydencji Daskellinów jaśniały w porannym słońcu. Złote pąki żonkili kołysały się na wietrze. Na wschodzie majaczył odnowiony stadion, wysoki na kilka pięter i pomalowany na biało-czerwono. Igrzyska na cześć księcia miały rozpocząć się następnego dnia, ale wstępne przedstawienia wystawiano już od kilku dni – szczucie niedźwiedzi,

pokazowe walki, turnieje łucznicze. A wraz z nimi rosnące napięcie, które przypominało Gederowi nieruchome, ciężkie powietrze upalnego, letniego dnia przed całonocną burzą.

– Czuliście zapach tych yemmurskich wiedzących? – spytał z prychnięciem Odderd Faskellan, wicehrabia Escheric i Strażnik Białej Wieży. – Ich smród sprawił, że oczy zaczęły łzawić mi na podwyższeniu. A ci Południowcy...

Niczym niewyróżniający się mężczyzna u boku Gedera – Paerin Clark, brzmiało jego imię niepoprzedzone żadnymi tytułami – popijał ze swojego kubka, jakby chciał ukryć wyraz twarzy, ale pozostali obecni kiwali głowami i wyrażali swoją aprobatę lub dezaprobatę.

– Oni pieprzą własne siostry – powiedział Marrisin Oesteroth, po czym wziął długi łyk cydru. – Chociaż to nie ich wina. Smoki ich takimi stworzyły. Przez to ich linie krwi pozostają czyste, jak u psów myśliwskich.

– Naprawdę? – spytał Geder. – Czytałem esej, twierdzący, że to tylko mit wymyślony przez Bractwo Iddiki po drugim wygnaniu. Podobnie jak historie o Tralguarach zjadających własne dzieci i Dartinejczykach zatruwających studnie.

– Zakładasz więc, że Tralgurowie nie jedzą dzieci – skwitował jego słowa Marrisin Oesteroth ze śmiechem. Pozostali mu zawtórowali. Geder również.

Rozmowa zeszła na inne tematy dworskie: narastające niepokoje w Sarakal, ruch założycielski rady chłopskiej, kolejne pogłoski o drugiej wojnie o sukcesję na Północnym Wybrzeżu. Geder więcej nadstawiał uszu niż mówił, ale gdy otwierał usta, inni wydawali się go słuchać. Samo to było równie odurzające jak jabłecznik. Gdy słudzy zabrali ostatnie tace z jedzeniem, Geder postanowił podziękować za gościnę. Jutro czekało go kolejne takie zgromadzenie, a potem następne. A wieczorem nieformalny bal, przyjęcie zorganizowane jako konkurencja dla uczyty na cześć króla Simeona wydawanej przez Feldina Maasa. Geder wiedział, ponieważ Alberith Maas chcąc nie chcąc musiał spytać o pozwolenie na wzięcie udziału w biesiadzie. Geder pozwolił mu na to. Dwór mógł być podzielony, ale Palliako zakładał, że było tak od zawsze. Wziąwszy pod uwagę liczbę i urodzenie ludzi biorących udział w zgromadzeniach, na które od niedawna sam uczęszczał, był niemal pewien, że połowa, dzięki której zyskał sobie uznanie, była zarówno większa, jak i potężniejsza. Mógł pozwolić sobie na wielkoduszność.

Słońce świeciło na przedpołudniowym niebie. Peleryna Gedera nasiąkała ciepłem, pozostawiając ciało z uczuciem przyjemnej miękkości i komfortu. Kroczył ulicami wyłożonymi czarnym brukiem, czując niemal równie dużą pewność siebie, jak podczas pierwszych kilku dni w Vanai. Nisko urodzony mężczyzna z długą, brudną brodą zobaczył go i natychmiast zszedł mu z drogi. Młoda kobieta o pięknej karnacji w kolorze herbaty z mlekiem posłała mu uśmiech z ciągniętej przez niewolników dorożki. Geder odwzajemnił uśmiech i patrzył, jak kobieta odprowadza go wzrokiem, coraz bardziej się oddalając. W szczęście czuł przyjemny ból szerokiego uśmiechu.

Wschodnia brama miasta była o wiele szersza niż południowa. Umieszczono ją pod łukiem z ciosanych kamieni, który sięgał niemal równie wysoko, co samo Kingspire. Stukot końskich kopyt i kół dorożek mieszał się z głosami drobnych handlarzy. Powietrze śmierdziało łajnem. Zwierzęta brudziły ulice szybciej niż skazani za drobne przestępstwa byli w stanie je oczyszczać. Nawoływacze kroczyli w cieniu prostych, drewnianych tabliczek, powtarzając wieści, za które im zapłacono: jakiś rzeźnik moczył swoje mięso w wodzie, a potem sprzedawał na kilogramy, epidemia francy rozpoczęła się w jednym z burdeli przy alei garbarzy, ktoś wyznaczył nagrodę za odnalezienie zaginionego chłopca. Był to szum tła każdego większego miasta, dlatego Geder z przyjemnością chłonał dźwięki, nie zwracając zbytnio uwagi na znaczenie słów. Za każdą sylabę zapłacono, więc można było bezpiecznie założyć, że większość z nich stanowiły kłamstwa. Palliako przystanął przy straganie, gdzie Tralgur z pobliznioną twarzą i jedną nogą sprzedawał cukierki z kandyzowanej lawendy oraz miodowe kamyczki. Gdy Geder rzucił mu monetę, groźnie wyglądający Tralgur pochwycił ją w powietrzu.

Tuż za murami Camnipolu północne równiny ciągnęły się aż po horyzont, zielone i trawiaste, lecz pozbawione drzew. Wszystko, co nadawało się do spalenia, zostało wykarczowane już całe pokolenia temu. Pagórki wznosiły się łagodnymi falami niczym na spokojnym morzu. Obozowisko rozbito nieznacznie na wschód, w cieniu samego miasta. Zgodnie z sugestią Jorey'a Kalliamy, Geder rozkazał zachować wojskową dyscyplinę zamiast pozwolić na rozprężenie charakterystyczne dla powrotów do domu. Pomimo bliskości Camnipolu, obóz posiadał wyraźne granice, strażę, ogniska, na których gotowano strawę, oraz pełniącego obowiązki komendanta. Fallon Broot, baron na wzgórzach Suderling, ruszył w jego kierunku, gdy Geder ponownie

wszedł na teren obozowiska.

– Jakież wieści? – spytał Broot. – Ternigan wydał jakieś rozkazy?

– Jeszcze nie – odparł Palliako.

– Z całym szacunkiem dla tego człowieka, ale jeszcze trochę i na stadionie nie zostanie nawet jedno dobre miejsce.

– Możemy zwrócić się z tym do króla Simeona.

– Możesz też wydać rozkaz samodzielnie – powiedział Broot, poruszając sumiastymi wąsami.

– Nie liczyłbym na to.

Broot parsknął śmiechem, choć zabrzmiało to jak szczeknięcie.

– W takim razie obóz jest twój. Ja trochę odpocznę. Maas wydaje dzisiaj ucztę i teraz moja kolej, by się stąd wyrwać.

– Jest jeszcze nieformalny bal – zauważył Geder z całą nonszalancją, na którą zdołał się zebrać.

– Lepiej, żeby nikt nie oglądał jak tańczę – skwitował Broot. Gdy sobie poszedł, Geder zaczął zastanawiać się, na którym przyjęciu mógłby spotkać dziewczynę o karnacji herbaty z mlekiem.

W namiocie giermek zdążył uprzątnąć wszystkie ślady po przespanej nocy, ale książkę i narzędzia translatorskie zostawił na swoich miejscach. Geder usiadł przy biurku polowym, wziął w dłonie spękaną skórę obwoluty wielopostaciowego eseju, z którym się siłował, po czym zaczął kartkować kruche, starożytne stronicie w poszukiwaniu fragmentu, na którym skończył.

„Odkrycie tej broni w górach Sinir pozwoliło sprzymierzonym siłom Hallskar i Sarakal na ograniczenie wpływów Borji i ostateczne odzyskanie ziem przekazanych na mocy porozumienia pięć pokoleń wcześniej. Pomimo tego nie podjęto żadnych wspólnych wysiłków, zarówno ze strony hallskarskich królów, jak i tradycyjnych sarakalskich rodzin, by szukać kolejnych kryjówek. Najpopularniejszym wyjaśnieniem tak niewyobrażalnego niedopatrzenia był zabobonny strach przed czymś ukrytym w dolinie. Anonimowy skryba z opactwa Atian sugeruje, że mogło chodzić o kokony z uśpionymi smokami, umieszczone tam przez Drakisa Stormcrowa albo Prawego Sługę smoka Morade’a, choć bardziej prawdopodobne jest, że podobne przedsięwzięcia uniemożliwiła zaraza, która wybuchła wkrótce po zakończeniu borjańskiej ekspansji. Dodatkowo, górskie tereny uniemożliwiały wyprawy poza miesiącami letnimi i wymuszały pieszą formę wędrówki. Już to usprawiedliwia dłuższą i bardziej systematyczną analizę

obuwia starożytnych Hallskarów, której podejmę się w kolejnej części.” Góry Sinir. *Sinir*. To słowo brzmiało bardzo znajomo, choć nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widział je wcześniej. Na pewno było to niedawno. I na pewno miało związek z Prawym Sługą. O tym był przekonany.

Legenda, która początkowo stanowiła jedynie ciekawostkę, teraz urosła do rangi czegoś ważniejszego. Gdy sny budziły go o wczesnych godzinach porannych, Geder siadał ze swoimi księgami, zaznaczając fragmenty i dumając nad swoimi przekładami, dopóki ryk ognia w jego głowie nie ucichł, pozwalając mu ponownie zasnąć.

Wciąż nie w pełni rozumiał istotę tej broni, poza tym, że odegrała ona rolę w ostatniej wojnie smoków i wykorzystywała magię, oddzielając w sposób definitywny kłamstwo od prawdy. Tekst okraszono dwoma komentarzami na temat zepsucia i infekcji krwi, ale ich dokładne znaczenie było niejasne. Mogły odnosić się do rytuałów i czarów, które Morade odprawiał w celu stworzenia Prawego Sługi albo opisywać ich działanie. W ostateczności mogła to być bujda stworzona przez przeciwników wielkiego smoka, którzy przeżyli swojego wroga.

Miejscem łączonym z wykorzystaniem broni bez wątplenia były wschodnie góry oraz pustkowia graniczące z Hallskar, Borją, Keshet oraz Pût. To oznaczało ogromną połąć lądu, w większości niezbadaną. Jednak, datując źródła i porównując je z przesunięciami narodowych oraz plemiennych granic na przestrzeni lat, Geder był w stanie zawęzić teren poszukiwań. Przykładowo jedna z ksiąg umiejscawiała Prawego Sługę na wschód od Keshet, ale pod przestarzałą nazwą. Inne zapiski twierdziły, że było to na wschód od Borji, wykorzystując bardziej współczesne miano. Prześledziwszy jak zmieniała się granica pomiędzy tymi dwoma państwami na przestrzeni wieków, Geder mógł spekulować, że interesujący go obszar nie był większy niż cztery dni jazdy w płaszczyźnie północ-południe. Teraz, gdyby jeszcze udało mu się odnaleźć łańcuch górski o nazwie Indische, mógłby wskazać właściwe miejsce na mapie.

Po raz pierwszy w życiu zaczął przygotowywać szkic własnego eseju spekulatywnego na wybrany temat. Szczerze wątpił, aby część poświęcona obuwiu starożytnych Hallskarów była w jakiś sposób przydatna, ale nie mógł wiedzieć tego na pewno, więc z głębokim westchnięciem oparł ciężar ciała na łokciach i zaczął czytać. Tekst nie był szczególnie dobrze napisany, ale jego tematyka wciągnęła go mimo to. Zmiany zachodzące w noskach butów,

stanowiące przewodnik po rasowej charakterystyce królewskiego dworu, były fascynujące, wzięwszy pod uwagę, że przynajmniej sześć wieków historycznych zapisków systematycznie niszczone podczas rządów Thiriskii-adana. Sama sugestia, że w pewnym okresie czasu Hallskar rządzone było przez świetlistookich Dartinejczyków, a nie Haavirkinów, wystarczyła, żeby Geder zrobił wielkie oczy. Tekst wciągnął go tak bardzo, że nie zwrócił uwagi na krzyki, dopóki do namiotu nie wtargnął jego giermek.

– Mój lordzie – powiedział Dartinejczyk. – W mieście. Coś się dzieje.

Geder podniósł wzrok i jeszcze przez chwilę jego myśli biegły wczesniejszym torem, oceniając jak jego giermek mógłby wyglądać w królewskiej skórze i złocie Hallskar. Z powrotem na ziemię sprowadziła go wrzawa podniesionych głosów i brzęk metalu. Strach ściał mu krew w żyłach niczym zima. Geder wyskoczył zza biurka i wybiegł z namiotu. Wyobrażenia już podpowiadała mu, że dym unosi się z murów Camnipolu, a płomienie Vanai wykrzykują jego imię. Daven Broot, syn Fallona, biegł przez plac. Krew splamiła jego tunikę szkarłatem.

– Niech ktoś pomoże temu człowiekowi! – krzyknął Geder, wysokim i spiętym głosem. – Jest ranny! Niech ktoś mu pomoże!

Jednak ludzie już zmierzali w stronę chłopaka. Geder powiódł wzrokiem dokoła, wypatrując oznak walki. Brakowało dymu. Ognia. Jednak wciąż słyszał dochodzące z niedaleka krzyki. Sześciu mężczyzn dopadło do Davena Broota, splotło ramiona pod nim i zniosło go do obozu jak na noszach. Geder wybiegł im na spotkanie. Gdy ranny go ujrzał, wyciągnął rękę.

– Lordzie Palliako!

– Jestem tu – rzekł Geder. Niosący rannego mężczyźni przystanęli.

– Gladiatorzy. Próbuje zdobyć bramy miasta.

– Co?

– Gladiatorzy z areny. Są przy bramach. Próbuje je zamknąć.

To bunt, pomyślał Geder. Na ulicach Camnipolu wybuchły zamieszki.

A zaledwie chwilę później: Nie. To zamach stanu.

– Zabierzcie go do wiedzącego – rozkazał. – A potem chwytajcie za broń. Ogłosić alarm! Formować szyki!

Najpierw z dezorientacją, a potem z niedowierzaniem i strachem, w obozie zapanował porządek. Giermek Gедера przybiegł z mieczem i zbroją. Palliako chwycił ostrze, po czym oddał je i sięgnął po zbroję.

– Nie ma na to czasu – oznajmił Fallon Broot, pojawiając się u jego boku.

Twarz mężczyzny przypominała burzowe niebo. – Jeśli zamkną bramy, będziemy bezsilni. Liczy się szybkość reakcji, do diabła z bezpieczeństwem.

Geder przełknął ślinę. Kolana mu drżały. Usłyszał jak wydaje rozkaz do ataku, zupełnie jakby zrobił to ktoś za niego, po czym z bronią w ręku, z Brootem i tuzinem innych weteranów z Vanai u boku, rzucił się pędem przez trawiaste błonia w stronę wschodniej bramy. Czarna peleryna Gedera łopotała wokół niego niczym skrzydła nietoperza. Miecz mu ciążył, a gdy dotarli do bram, nawet płytki oddech sprawiał mu ból. Bramy, skryte w cieniu strzelistego, wschodniego łuku, zaczynały się zamykać.

– Do mnie! – krzyknął Geder, ruszając naprzód. – Obrońcy Vanai do mnie!

On i jego ludzie wdarli się w malejącą przestrzeń pomiędzy skrzydłami wrót niczym garść wysuszonego grochu rzuconego o ścianę – najpierw najszybsi, potem dwóch lub trzech razem, a na końcu cała reszta. Plac, który Geder przemierzał nie dalej jak dwie godziny temu, zmienił się nie do poznania. Ulice, gdzie jeszcze niedawno stały wozy i dorożki, ścieliły ciała. Za przewróconym stołem z miodowymi kamyczkami i kandyzowaną lawendą stał szereg jasurskich łuczników, których łuski połyskiwały złościście. Gdy wypuścili strzały, mężczyzna po lewej stronie Gedera padł na ziemię z wrzaskiem.

– Do ataku! – ryknął Palliako. – Zatrzymać ich! Do ataku!

Jego ludzie rzucili się do walki z bojowymi okrzykami, głowy trzymając nisko. Łucznicy zarządzili odwrót, ale z prawej strony zaszarżowała na nich grupa Yemmurów w skórzanych zbrojach nabijanych metalem i ogromnymi, dwuręcznymi mieczami. Z kłami pomalowanymi na kolor krwi przypominali twór prosto z koszmarów. Jeden z nich uniósł swoją szeroką głowę i zawył. W okrzyk wplecione były jakieś słowa. Geder spojrzał w stronę uciekających łuczników, potem na zwalistych piechurów i znów na strzelców.

Szerokie, ponad metrowe ostrze ruszyło mu z sykiem na spotkanie. Odskoczył. Yemmur był niemal o połowę wyższy niż przeciętny Pierworodny i szeroki w barach jak powóz. Geder zacisnął obie dłonie na swojej broni, na co przeciwnik odpowiedział paskudnym uśmiechem.

Yemmur ze stęknieniem zawinał mieczem w powietrzu, ponownie zmuszając Gedera do cofnięcia się. Po jego lewej stronie inne ostrze znalazło przerwę w pancerzu jednego z vanajskich weteranów. Gorąca krew siknęła na twarz i klatkę piersiową Palliako. Ktoś za nim zawył z bólu.

Jego przeciwnik uniósł miecz, chcąc uderzyć nim jak toporem katowskim. Geder przygotował własne ostrze, wiedząc, że nie ma szans sparować nadchodzącego ciosu. Ktoś przebiegł obok niego, wpadając na yemmurskiego żołnierza i wytrącając go z równowagi.

– Teraz, Geder! – krzyknął Jorey. – Uderz!

Geder skoczył naprzód, robiąc szeroki zamach. Cięcie nie było głębokie, ale przeszło przez skórzaną zbroję. Yemmur ryknął. Młody Kalliam odskoczył od niego. Palliako znów się zamachnął. Celował w podbrzusze przeciwnika, w miejsce gdzie jego zbroja była cieńsza, ale cios poszedł za nisko, opadając na udo potwora. Yemmur wyciągnął wielką, szarą dłoń, odpychając Gедера, ale w tym samym momencie ostrze Jorey’a Kalliamą opadło, upuszczając strumień krwi z nadgarstka wielkoluda. Yemmur zawył, upuszczając broń i chwytając się za ranę, by zatamować krwawienie. Palliako runął na niego, tnąc dwa, trzy, cztery razy w kolano przeciwnika, jakby próbował powalić małe drzewo.

Yemmur stracił równowagę i runął na ziemię, unosząc dłonie w geście poddaństwa. Geder odwrócił głowę.

Na wół otwartą bramę unieruchomiono. Przez wąskie przejście wlewali się do środka kolejni żołnierze z Vanai. Jasurscy łucznicy zniknęli. Czterech Yemmurów padło, a kolejny półtuzin walczył z wzbierającą falą antejskich mieczy. Jorey Kalliam zawiesił głowę, ciężko dysząc. Strużka krwi ciekła mu z ust i czerwieniła zęby, ale uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

– Chyba nie wiedzą, w co się pakują, zadzierając z nami – powiedział Jorey przez krwistą pianę ze śliny. Geder odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Cóż – mruknął Lerer Palliako oparty o parapet balkonu. – Proszę, proszę.

– Udało im się zdobyć południową bramę – rzekł Geder. – Zamknęli ją i zablokowali mechanizm. Wciąż nie możemy jej otworzyć.

Wzruszył ramionami. Zmierzch przygasał, a na niebie zaśniły gwiazdy. Uczty i bale zostały odwołane z rozkazu korony. Walki i krew na ulicach Camnipolu zmusiły króla do wysłania swoich gwardzistów na patrole. Sam król Simeon zebrał w Kingspire grupę wybranych szlachciców i ustanowił godzinę policyjną od zmierzchu do świtu, co oznaczało, że każda osoba przebywająca poza domem mogła zostać zabita bez zadawania pytań. Domy zabijano deskami i barykadowano, a na murach miasta wystawiono straż pożarniczą. Na stadionie przygotowanym do igrzysk na cześć księcia Astera

powieszono tuzin gladiatorów na prowizorycznych szubienicach. Dwa razy tyłu skuto w kajdany i zrzucano z mostów. Ich ciała gniły teraz na dnie Szczeliny.

Przerażenie i niedowierzanie mieszkańców wydawały unosić się w powietrzu. Wszystko jawiło się w ciemnych barwach, nieuchronnie zmierzając w stronę jakiejś wielkiej katastrofy. Geder wiedział, że on również powinien odczuwać strach, ale był w zbyt dobrym nastroju. W stolicy wybuchło zbrojne powstanie, a on je stłumił. Skoro świętowano spalenie przez niego Vanai, nie potrafił sobie wyobrazić, jakie zaszczyty spotkają go teraz. Wciąż był pijany tym pomysłem.

– Słyszałem też, że lord Ternigan rozwiązał waszą armię – powiedział jego ojciec.

– Ludzie byli zdesperowani, by bronić swoich domów i rodzin. Gdyby lord Ternigan tego nie zrobił, prawdopodobnie ja bym to uczynił.

Jego ojciec pokręcił głową i westchnął. Z okna widać było Kingspire na skraju miasta, górujące nad Camnipolem, a tym samym nad całym światem. Światła migotały w szybach niczym gwiazdy albo ogniska armii polowej. Lerer Palliako chrupnął stawami w palcach.

– Nastaly złe czasy – powiedział. – Bardzo złe czasy.

– To nie potrwa długo – rzekł Geder. – To w zasadzie koniec. Nie zostali już żadni gladiatorzy, a nawet jeśli, to wkrótce ich dopadną. Miasto zostało uratowane.

– Są jeszcze ci, którzy ich tu sprowadzili – przypomniał jego ojciec. – Ci, którzy zaplanowali ten atak. A nazwiska ludzi, których mógłbym umieścić na tej liście są zbyt potężne, by zawisnąć na stryczku. Gdy byłem młody, nigdy nie spędzałem czasu na dworze. Nigdy nie nawiązywałem znajomości i sojuszy. Ale może powinienem był. Teraz jest już chyba na to za późno.

– Ojczy – zaczął Geder, ale Lerer zakasłał i uniósł dłoń.

– Armia została rozwiązana, synu. Możesz teraz udać się dokąd tylko zechcesz. Robić to, co chcesz. Być może dobrym pomysłem będzie wyjechać na jakiś czas z Camnipolu. Dopóki sprawy nie przycichną.

Niepokój przyćmił euforię Gedera po raz pierwszy od momentu ustania walk. Powiódł spojrzeniem po okrytych mrokiem budynkach i ulicach. Był pewien, że jego ojciec podskakiwał jedynie na widok cieni. Nie było się czego obawiać. Wygrali. Zamach stanu się nie powiódł.

Ten zamach stanu. Tym razem.

- Chyba nie zaszkodzi wrócić teraz do domu – przyznał mu rację Geder.
- Mam w głowie esej, który na pewno cię zainteresuje. Prześledziłem odniesienia geograficzne w stosunku do czasu i porównałem je ze współczesnymi mapami, by...
 - Nie do Rivenhalm – wtrącił jego ojciec.
- Słowa Gedera ucichły.
 - Powinieneś wyjechać z Antei – ciągnął Lerer Palliako. – Stałeś się zbyt ważnym elementem polityki, której nie rozumiemy do końca. Najpierw Vanai, a teraz to? Przynajmniej na razie powinieneś pojechać gdzieś, gdzie będziesz poza ich zasięgiem. Zabierz ze sobą kilku ludzi. Dam ci pieniądze. Znajdziesz jakieś ciche miejsce, z dala od wścibskich spojrzeń. Być może przed nadejściem jesieni będziemy lepiej wiedzieć, na czym stoimy.
 - Dobrze – odparł Geder. Nagle poczuł się bardzo mały.
 - I... synu, nie mów nikomu, dokąd jedziesz.

Dawson

Simeon krążył przed nimi. Wyraz jego twarzy stanowił mieszankę wątpliwości i determinacji, którą Dawson widywał u psów gończych, niepewnych, jak zejść ze stromego zbocza, ale zdających sobie sprawę, że gdy już zaczną, nie będzie odwrotu. Niezależnie od tego, jakiej rady wysłuchał jego stary przyjaciel w nocy, nie usłyszał jej od niego. Z drugiej strony był pewien, że nie usłyszał jej też od Curtina Issandriana.

Sala audiencyjna, w której przebywali, nie wyglądała tak samo jak zwykle. Brakowało arrasów i miękkich, aksamitnych poduszek, a ściany stanowiły surowe cegły. Nie było też dywanów ani poduch do podłożenia pod zgięte kolana poddanych króla. Królewska gwardia stała pod ścianami w zbrojach i z mieczami, które trudno było nazwać paradnymi. Książę Aster siedział na srebrnym tronie za plecami ojca. Było jasne, że chłopiec płakał.

Curtin Issandrian klęczał po drugiej stronie od Dawsona. Jego twarz była wymizerowana i blada. U boku miał Alana Klina. Canl Daskellin i Feldin Maas zdołali uniknąć ściągnięcia na siebie uwagi. Odderd Faskellan zginął, gdy strzała przeszła mu gardło, a jego zabójca stanowił już ucztę dla much na szubienicy. Geder Palliako, ze wszech miar bohater, który zdołał utrzymać południową bramę, opuścił miasto. Dawson został sam.

Otoczające ich galeryjki pełne były ludzi. Wszyscy szlachcice siedzieli na niskich, niewygodnych zydlach tuż za rozciągniętą liną, mającą udawać, że oddziela ich od sali audiencyjnej. Kobiety stały na wyższej galerii, a wśród nich, gdzieś w tłumie, Clara. Najwyższa galeria zwyczajowo zarezerwowana była dla dostępujących tego zaszczytu nisko urodzonych poddanych króla oraz ambasadorów zza granicy. Dzisiaj stała pusta.

Król przestał krążyć po pomieszczeniu. Dawson nie unióś głowy.

– To ma się skończyć dzisiaj – rzekł Simeon, a jego głos rozbrzmiał nawet w najdalszych zakątkach sali. – Teraz.

– Tak, Wasza Wysokość – rzekł Dawson, odpowiednio skruszonym głosem. Chwilę później Issandrian i Klin powtórzyli te same słowa.

– Antea nie będzie podążać smoczą drogą dopóki ja zasiadam na Rozdartym Tronie – ciągnął Simeon. – Te małostkowe intrygi i polityczne gierki *nie* wywołają zamętu i sporów w cesarstwie w samym sercu świata.

Przysięgam na swoje życie i jako wasz suweren, oczekuję i żądam, byście

uczynili tak samo.

Tym razem, gdy Dawson powiedział *Tak, Wasza Wysokość*, koteria Issandriana zawtórowała mu od razu.

– Na ulicach Camnipolu przelano szlachetną krew, a obce miecze zostały dobyte na naszych oczach – kontynuował król. – Nie ma już znaczenia, czy stojące za tym przesłanki były szlachetne. Te działania muszą spotkać się z konsekwencjami.

Dawsonowi wydało się, że kątem oka dostrzega jak twarz Klina blednie jeszcze bardziej.

– Czy macie coś do powiedzenia, zanim wydam swój osąd? – spytał król.
– Lordzie Kalliamie?

– Nie, Wasza Wysokość – odparł Dawson. – Pozostaję lojalnym sługą króla i Rozdartego Tronu.

– Lordzie Issandrianie?

– Wasza Wysokość – zaczął Curtin Issandrian. Głos mu drżał. – Pragnę jedynie zwrócić twoją uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, błagam, byś nie traktował wczorajszego przejawu wrogości jako celowych działań kogokolwiek z tu obecnych. Jeśli jednak Wasza Wysokość koniecznie chce kogoś ukarać, proszę o litość dla mojego towarzysza. Igrzyska na cześć księcia Astera były moim pomysłem i tylko moim. Nie chcę, by niewinny człowiek cierpiał tylko ze względu na znajomość ze mną.

Piękna przemowa, pomyślał Dawson. Ale bardzo nierozsądna.

– Mój lordzie Issandrianie, zapominasz, że to nie pierwszy akt przemocy, do którego doprowadził twój spór z rodem Kalliamów. Jeśli chcesz uczynić z siebie kozła ofiarnego, przemyślę to, ale nie myśl sobie, że ktokolwiek może schować się za twoją spódnicą.

– Wasza Wysokość – rzekł Issandrian.

Dawson zamknął oczy w ciszy, która nastąpiła potem. Noga bolała go w miejscu, gdzie ciężar ciała napierał na kość i skórę, wgniatając je w kamienną posadzkę, ale nawet nie drgnął. Wiercenie się przy takiej okazji nie przystało komuś takiemu jak on.

– Dawsonie Kalliamie, baronie wzgórz Osterling – powiedział król. – Niniejszym podwajam twoje zobowiązania względem korony na okres następnych pięciu lat. Masz zniknąć z dworu i Camnipolu przynajmniej na okres pół roku. Odbieram ci również prawo do ogłaszania zaciągu i zatrudniania najemników bez wyraźnego pozwolenia króla.

Dawson nic nie powiedział, jedynie niżej pochylił głowę. Jego serce zaczęło bić szybciej, ale dokładał starań, by nie dać tego po sobie poznać.

– Curtinie Issandrianie, baronie Corsy – ciągnął król. – Odbieram ci ziemie na południe od rzeki Adriann, należące wcześniej do ciebie, a także usuwam cię ze stanowiska Strażnika Estinport oraz Protektora Wschodu. Niniejszym podwajam twoje zobowiązania względem korony na okres następnych pięciu lat. Masz zniknąć z dworu i Camnipolu przynajmniej na okres pół roku.

Odbieram ci również prawo do ogłaszania zaciągu i zatrudniania najemników bez wyraźnego pozwolenia króla.

Dawson zamknął oczy. Zmuszał się, by nie kręcić głową. Rozczarowanie ciążyło mu w żołądku, jakby połknął kamień. Kara dla Klina musiała być równoważna lub mniejsza. W rzeczy samej, król Simeon wysłał go na podobne wygnanie, zwiększył jego zobowiązania i pozbawił kilku pomniejszych tytułów. Feldin Maas, ukrywający się nie wiadomo gdzie, uniknął nawet i tego.

Gdy kazano im wstać, Dawson spojrzał na starego przyjaciela. Swojego króla. Twarz Simeona była purpurowa, oddech szybki, a brwi wciąż ściągnięte w gniewnym wyrazie twarzy. Siedzący za jego plecami książę Aster uniósł podbródek w geście wyższości. Przez chwilę Simeon spojrzał prosto w oczy Dawsona. Nawet jeśli we wściekłej postawie króla baron zauważył jakiś przebłysk, było to jedyne pocieszenie, na które Dawson mógł liczyć. Gwardia króla rozstąpiła się. Król Simeon opuścił salę, a tuż za nim książę Aster. Gdy znikli, na galeriach wybuchła ogromna wrzawa. Dawson spojrzał na Issandriana i Klina pograżonych we własnej rozmowie. Klin wyglądał na oniemiałego. Issandrian natomiast wydawał się smutny. Dawson zachodził w głowę, czy miał ku temu ten sam powód co on.

– Lordzie Kalliamie, sir?

Kapitan gwardii królewskiej był wysokim mężczyzną, szerokim w barach, o twarzy mopsa i wodnistych, przeprasających oczach. Dawson skinął do niego głową.

– Muszę cię prosić, byś przed zachodem słońca znalazł się poza murami miasta, mój lordzie – rzekł mężczyzna.

– Czy tyczy się to również moich domowników?

– Nie, mój lordzie. Mogą zostać, jeśli taka ich wola.

Dawson rozmasował obolałe kolano. Kapitan jeszcze przez chwilę stał

obok niego z milczącym szacunkiem, po czym poszedł przekazać to samo, jak Dawson zakładał, ostrzeżenie koterii Issandriana. Kalliam obrócił się na pięcie i wyszedł. Zewnętrzny korytarz wyłożono czarnym marmurem i kutym srebrem. Południowe słońce wpadało do środka przez wysokie, pozbawione okiennic okna. Clara już tam była, oczekując na niego z Vincenem Coe, który stał za nią niczym cień. Jorey pojawił się na końcu korytarza, zmierzając w ich kierunku pewnym krokiem. Jego buty podzwaniały na kamiennej posadzce.

– Poszło całkiem niezłe – powiedziała Clara.

Dawson potrząsnął głową.

– To była farsa, moja droga – odparł. – To koniec cesarstwa.

Karoca czekała na ulicy. Zaprzęgnięte doń konie parskały niecierpliwie, zupełnie jakby wyczuwały zmianę, która zaszła w samym mieście. Setka innych powozów tłoczyła się na wąskich alejkach, czekając aż zgromadzona szlachta Antei powoli wypłynie z Kingspire. Wszyscy robili przejazd dla karocy barona Kalliamy.

Szybki powrót do domu był jedną z tradycji, której przestrzegano przy wygnaniu.

Koła powozu podskakiwały na nierównym bruku. Nikt nie próbował rozmawiać. Dawson spoglądał przez boczne okno, dopóki Kingspire nie zniknęło za rogiem. Minęli ogromny plac, wyjeżdżając na ulice miasta. Gołębie podrywały się ogromnymi stadami, krążyły przez chwilę, po czym znów opadały na ziemię. Przejechali przez Srebrny Most, mijając przepastną otchłań Szczeliny. Dym unosił się z kuźni i pieców.

Zaledwie dzień wcześniej na tych ulicach przelano krew szlachetnie urodzonych. Dzisiaj wszystko wyglądało po staremu dla większości ludzi, za wyjątkiem tych kilku wybrańców, którzy wiedzieli, że jest inaczej.

W jego prywatnej rezydencji służdy przynieśli schodki, jak zwykli zawsze czynić. Dawson odmówił przyjęcia pomocy przy wysiadaniu. Stary odźwierny Tralgur przywitał go poważnie. Wewnątrz służba domowa sprzątała dom. Zdejmowano ze ścian arras, a meble okrywano, by się nie kurzyły. Jego psiarczyk załadował już zwierzęta do klatek. Piszczaniem dawały upust swojemu zmieszaniu i niepokojom. Dawson przyklęknął obok, przyciskając dłoń do krat, by psy poczuły jego zapach i mogły polizać go po palcach.

– Mogę zostać trochę dłużej – powiedział Jorey.

– Zrób tak – przytaknął Dawson. – Zanim wyjadę, nie będę miał czasu poukładać wszystkich spraw.

– Niektórzy słudzy muszą zostać, najdroższy – zauważyła Clara. – Ogrody nie przetrwają bez opieki ogrodników. Natomiast fontanna na różanym dziedzińcu wciąż wymaga naprawy.

Jeden z psów spojrzął z klatki na Dawsona. W wielkich, brązowych oczach czaił się strach. Mężczyzna precyzyjnie przecisnął palec przez kraty i poklepał zwierzę po nosie. Szczeka silna na tyle, by przetrącić lisowi kręgosłup jednym kłapięciem, przylgnęła do jego skóry.

– Rób to, co uważasz za słuszne, Claro – powiedział. – Wierzę w ciebie.

– Lordzie Kalliamie?

Vincen Coe zaszalutował po myśliwsku. Dawson skinął mu głową.

– Przybył lord Daskellin, mój panie – rzekł młodzieniec. – Czeka w zachodnim salonie.

Baron podźwignął się na nogi. Pies zaskomlił, gdy mężczyzna oddalił się. Nie było już nic, co mógłby uczynić. Nie mógł pocieszać go w nieskończoność. Canl Daskellin stał przy oknie w salonie, trzymając dłonie skrzyżowane za plecami, niczym generał obserwujący pole bitwy. Dym z jego fajki był słodki aż do przesady.

– Canl – zaczął Dawson – jeśli czegoś ode mnie potrzebujesz, lepiej się pospiesz. Zostało mi niewiele czasu.

– Przyszedłem złożyć ci moje wyrazy współczucia i gratulacje.

– Gratulacje? Za co?

– Wygraliśmy – odparł Daskellin, odwracając się od okna i wychodząc na środek pomieszczenia. – Doskonale to rozegrałeś. Podkusiłeś Issandriana do zadania ciosu, w który nie był w stanie włożyć dość siły, a potem rozbiłeś jego spisek. Teraz popadł w niełaskę. Jego wewnętrzny krąg został wygnany. Pozbawiony ziem i tytułów. Trudno powiedzieć, kto teraz weźmie księcia Astera na wychowanie, ale na pewno żaden z nich. Za naszego życia nie powstanie rada chłopska. Przykro mi, że musisz płacić za to cenę, ale przysięgam, że twoje imię będzie sławione podczas twojej nieobecności.

– Co nam po wygranej bitwie, kiedy przegrywamy wojnę? – powiedział Dawson. – Naprawdę przyjechałeś tu świętować, Daskellin? A może to twój sposób okazywania dumy?

– Dumy?

– Odderd Faskellan był tchórzliwym królikiem, ale w jego żyłach płynęła

szlachetna krew. A wczoraj *zginął*. W Camnipolu, z obcych rąk. Nic podobnego nie wydarzyło się od stuleci. A jak zareagował Simeon? Nałożył na nas podatki. I na krótko nas wygnał. Kilka nic nie znaczących ziem i tytułów zmieni właścicieli.

Daskellin oparł się o ścianę, krzyżując ramiona na piersi. Szary dym sączył się mu z ust i nozdry.

– A co powinien być zrobić twoim zdaniem?

– Osobiście ich wszystkich zaszlachtować. Związać, chwycić miecz i własnoręcznie skrócić ich o głowę – odparł Kalliam.

– Wygląda na to, że już tęsknisz za Palliako – rzekł oschle Daskellin. Dawson zignorował tę uwagę.

– Uzbrojona hałastra na ulicach? To wystąpienie przeciwko koronie, a nieukaranie czegoś podobnego śmiercią, to prawie przyznanie się do porażki. Simeon założył dziś maskę gniewu, ale jedyne co zrobił, to pokazał, jak bardzo się boi. Powinieneś być to zobaczyć. Simeon krążył po sali, wściekając się i wzywając do zakończenia waśni. To było jak patrzeć na pastuszka, który krzyczy na wilki, by się uspokoiły.

– Boi się? Kogo?

– Tych, którzy stoją za Issandrianem. Drży przed Asterilhold – oznajmił Dawson i oskarżycielsko wycelował palec we współtowarzysza. – I obawia się Północnego Wybrzeża.

Cień uśmiechu przebiegł przez twarz Daskellina, który wyjął fajkę z ust.

– Nie jestem Północnym Wybrzeżem, stary przyjacielu – powiedział. – A jeśli z obawy na reakcje innych dworów i królestw król Simeon zdobył się na większą łaskę, oznacza to jedynie, że postąpił mądrze.

– To sygnał dla wszystkich właścicieli ziemskich, że mogą zacząć szafować swoją lojalnością – rzekł Kalliam. – Dopóki odpowiadanie przed hrabiną z Asterilhold albo bankierem z Północnego Wybrzeża będzie sprawiać, że poczujemy się bezpieczniej niż trwając przy Antei, dopóty Simeon nie będzie posiadał własnego dworu. Tak bardzo chce utrzymać królestwo z dala od smoczjej drogi, że sam na nią wkroczył.

Daskellin przyklęknął obok kominka, wytrząsając zawartość fajki na osmalone cegły. Z główki posypał się deszcz popiołów.

– Nie zgadzam się, ale w każdym sojuszu jest miejsce na kilka różnic – powiedział. – Masz rację, mówiąc, że niebezpieczeństwo wcale nie przeminęło, pomimo zniweczenia wysiłków koterii Issandriana. Niezależnie

od tego czy mi wierzysz, chcę cię zapewnić, że będę stale pracował nad tą sprawą podczas twojej nieobecności.

– Sprzedając nas bankowi medejskiemu?

– Upewniając się, że król Simeon posiada wsparcie i lojalność, których potrzebuje.

– Dyplomatycznie powiedziane – skwitował Kalliam.

Daskellin najeżył się, ale już chwilę później Dawson zauważył, że mężczyzna powściąga gniew. Canl wcisnął fajkę za pasek i wstał. Zapach dymu wciąż przesycił powietrze.

– To dla ciebie ponury dzień, dlatego pozwolę sobie zignorować to, co miałeś na myśli, mówiąc to. Niezależnie od tego, co uważasz, nie przyjechałem tu, żeby chełpić się przed tobą.

Dwaj mężczyźni stali jeszcze przez chwilę, pozwalając ciszy trwać. W końcu Canl Daskellin zdobył się na ponury półuśmiech, po czym wyszedł, chwilę wcześniej kładąc dłoń na ramieniu Dawsona. Kalliam nasłuchiwał przez jakiś czas odgłosu cichnących kroków, tonących wśród dźwięków przewracanego do góry nogami domostwa. Przez dłuższy moment nie ruszał się z miejsca, wyglądając przez okno, ale zupełnie nie widząc wczesnoletnich drzew za szybą. Nie słysząc ptaków, sług ani skomlenia psów.

W końcu się odwrócił.

Dawson opuścił miasto w niekrytym powozie. Siedział z przodu, spoglądając przez ramię na malejące mury. Clara zajęła miejsce obok. Vincen Coe jechał na koźle wraz z woźnicą. Wozy z ich dobytkiem miały dotrzeć na miejsce później, ale miały dotrzeć mimo wszystko. Droga na wzgórze Osterling miała zająć im przynajmniej pół dnia. Na szczęście smoczy jadeit pod kołami powozu był o wiele gładszy od brukowanych ulic Camnipolu.

– Nie mamy szans na nich wpaść, prawda? – spytała Clara.

– Na kogo?

– Na jednego z nich. Lorda Issandriana albo lorda Klina. Albo lorda Maasa. Myślę, że byłoby dość niezręcznie. Nie wyobrażam sobie zaproszenia ich na wspólny posiłek, ale odmówienie im byłoby równie niegrzeczne. Myślisz, że możemy powiedzieć woźnicy, by trzymał dystans, jeśli zobaczy inny powóz? Jeśli będziemy udawać, że ich nie poznaliśmy, będziemy w stanie zachować formę. Chyba, że natrafimy na Maasa. Phelia musi być tym wszystkim zdruzgotana.

Pomimo okoliczności, Dawson pozwolił sobie na uśmiech. Ujął dłoń

swojej żony. Jej palce były grubsze niż kiedy się poznali. Jego wydawały się bardziej szorstkie. Czas zmienił ich oboje na swój sposób, ale z drugiej strony pewne rzeczy pozostały takie same. Od pierwszego dnia małżeństwa, a nawet już wcześniej, Dawson wiedział, że jego małżonka postrzega świat w zupełnie odmienny sposób. Między innymi to w niej tak bardzo kochał.

– Jestem pewien, że tak się nie stanie – powiedział. – Issandrian i Klin nie będą podróżować tą drogą, a Maas nie opuści dworu. Nie teraz.

Clara westchnęła i oparła głowę na jego barku.

– Mój ty biedaku – mruknęła.

Dawson wyciągnął szyję, całując jej włosy tuż nad uchem, po czym objął ją ramieniem.

– Nie będzie tak źle – powiedział, starając się, by brzmiało to wiarygodnie. – Brakowało mi zimy spędzonej w Osterling Fells. Nadrobimy stracony czas. Spędzimy lato w domu, potem odwiedzimy dwór w Cannipolu tuż przed jego zamknięciem i wrócimy do siebie na czas zimy.

– Naprawdę? – spytała Clara. – Jeśli wolisz, możemy zostać w stolicy na zimę. Nie musimy odbywać tej samej podróży dwa razy.

– Nie, ukochana – zaprzeczył. – Nie pojedziemy tam wyłącznie, żeby obejrzyć jesienną paradę. Będę chciał sprawdzić, jak sprawy się mają przed nadejściem chłodów. Wygląda jednak na to, że cię zanudzam. Doprawdy, czasami jestem samolubnym prostakiem.

Clara zachichotała. Kilka mil później zaczęła cicho pochrapywać. Zauważywszy to, Coe podał swojemu panu wełniany koc, którym Dawson okrył żonę, nie budząc jej. Słońce chyliło się ku linii horyzontu za ich plecami, nabierając czerwonej barwy. Cienie rozlały się po krainie, a nocne ptaki oznajmiły trelami o swoim przebudzeniu.

Dawson opuszczał pole bitwy, ale walki miały toczyć się dalej bez niego. Issandrian, Maas, Klin. Wszyscy wciąż żyli i nigdy nie działali w pojedynkę. Maas i jego sojusznicy na dworze uczynią wszystko, by ich rody wróciły do dawnych łask. Daskellin bez wątpienia miał objąć dowodzenie nad koterią Dawsona, a przynajmniej nad tą jej częścią, która była w stanie przełknąć obecność nijakiego bankiera z Północnego Wybrzeża w swoich szeregach. Simeon będzie tańczył pośród ostrzy, powtarzając sobie, że gdzieś na środku jest miejsce pozwalające zachować równowagę, a pokój można utrzymać, jeśli tylko nie opowie się po żadnej ze stron.

Słaby król może przetrwać na łasce lojalnego dworu, ale skazując

Dawsona na wygnanie, Simeon pozbył się jedyne go człowieka, który naprawdę go bronił. Nie mogło wyniknąć z tego nic dobrego. Cały dwór miał teraz tańczyć taniec idiotów pod przewodnictwem ludzi o niecznych zamiarach. Krótkowzrocznych, wyrachowanych durniów.

Potrzeba było cudu, by uratować teraz króla Simeona. Jedyna nadzieja królestwa w tym, że księżę Aster zostanie wysłany na wychowanie do rodziny, która pokaże mu, że żadna władza nie liczy się tak, jak władza królewska. Dawson na chwilę utonął w fantazjach o tym, jak bierze księcia pod swoje skrzydła i uczy go wszystkiego, czego nie potrafił nauczyć go Simeon. Clara powiedziała coś przez sen, ciśnień opatulając się kocem.

Słońce dotknęło widnokręgu. Mury i wieżyce Cannipolu przesłoniły się jego blasku. Przez moment Dawson wyobrażał sobie, że ta luna bije od ogromnego pożaru. Że to nie promienie zachodzącego słońca, lecz płonący Cannipol. Czuł, że jest w tym jakieś proroctwo.

Krótkowzroczni, wyrachowani durnie. Płonące miasto.

Niemal mimowolnie zaczął zachodzić w głowę, gdzie podział się Geder Palliako.

Cithrin

Kawiarnie od zawsze zajmowały poczesne miejsce w świecie biznesu. W zimnych portach Stollbourne i Rukkyupal, kupcy oraz kapitanowie pochylali się nad wyłożonymi płytkami stołami i ogrzewali okryte rękawiczkami dłonie przy parujących kubkach, obserwując zimowe słońce zachodzące wczesnym popołudniem. Obok obszernych, skąpanych w świetle księżyca wód Miwaji, nomadyczne plemiona Południowców popijały napar niewiele różniący się od błota i deklamowały wiersze, w przerwach pomiędzy handlem bogactwami w postaci srebra i przypraw. Na całym świecie porzuconym przez smoki, interesy i kawa zawsze szły w parze.

A przynajmniej tak zwykł powtarzać magister Imaniel. Cithrin nigdy wcześniej nie opuszczała Vanai, a tamtejszy bank stanowił zupełnie odrębny budynek. Mimo wszystko, gdy przyszedł czas, Cithrin wybrała niewielką kafejkę z prywatnym pokojem na tyłach i drewnianymi stolikami rozstawionymi przed wejściem. Znajdowała się po drugiej stronie placu, naprzeciw Wielkiego Targu, dzięki czemu dziewczyna zawsze przebywała w pobliżu surowego świata handlu, bez konieczności ubijania interesów w jednym z przenośnych kramów. Właściciel kawiarni – maestro Asanpur – był starym Cinnejczykiem o jednym mlecznym oku i z wyczuciem do parzenia świeżej kawy, które graniczyło z magią. Mężczyzna był bardzo szczęśliwy, dzieląc się częścią czynszu z Cithrin, w zamian za wyłączność do korzystania z pokoiku na tyłach. W pochmurne dni, przesiadywała na wspólnej sali, popijając kawę i słuchając plotek. Gdy wychodziło słońce, zajmowała jeden z pomalowanych na biało stolików przy ulicy i obserwowała ruch na Wielkim Targu.

W idealnej sytuacji kawiarnia maestra Asanpura miała zyskać sobie renomę jako centrum bankowe i biznesowe. Im bardziej była znana, tym więcej ludzi przyciągała, a wraz z nimi nowe wieści, plotki i spekulacje. Cithrin wiedziała, że jej obecność tam stanowi dobry początek, ale nie miała dość czasu, by pozwolić sprawom biec własnym torem. Raczej wcześniej niż później prawdziwy bank medejski wyśle kogoś, by sprawdzić doniesienia o nowej filii, a gdy do tego dojdzie, dziewczynie zależało, aby interes już kwitł.

Co w dużym skrócie oznaczało, że musiała uciec się do drobnego podstępu.

Cithrin ujrzała reakcję na przybycie Cary jeszcze zanim zobaczyła samą kobietę. Spojrzenia omiotły plac niczym wiatr głaszczący trawiastą łąkę, po czym odwróciły się, by znów zawisnąć na interesującym punkcie, ale tym razem bardziej skrycie. Cithrin popijała kawę, udając, że nie zauważa tajemniczej kobiety, idącej przez plac w kierunku wielkich pawilonów, gdzie urzędowali ludzie królowej nadzorujący prace Wielkiego Targu. Cary wybrała najdłuższe podejście z możliwych, co dało Cithrin czas na podziwianie jej stroju. Krój był elassejski, ale jedwabne wykończenie i ozdobiona koralikami woalka sugerowały lyonejskie pochodzenie. Klejnoty, które miała na sobie, pochodziły z osobistych zapasów Cithrin i wystarczyłyby, żeby dwukrotnie odkupić niewielką kawiarenkę od właściciela. Wszystko razem dawało złudzenie osoby robiącej interesy na Morzu Wewnętrznym, czemu mistrz Kit zaświadczył na podstawie własnych wojaży. Nie był to widok często spotykany w Birancour, a połączenie egzotyki i bogactwa przyciągało uwagę lepiej niż sprośna piosenka. Hornet i Smit szli tuż za nią w utwardzanych skórach, z manierą, której nabrali podczas podróży z karawaną. Nie sposób było ich odróżnić od prawdziwych wojowników.

Cary dotarła do pawilonu i zamieniła kilka słów z jednym z gwardzistów królowej. Odległość była zbyt duża, żeby podsłuchać rozmowę, ale postawa jej rozmówcy wydawała się dostatecznie jasna. Po chwili mężczyzna wskazał dłonią drugą stronę placu, prosto na kawiarnię i Cithrin. Cary skłoniła się w podziękowaniu i odeszła niespiesznie. Znalazłszy się w zasięgu głosu, Cithrin wstała.

– Wystarczy? – spytała Cary.

– Idealnie – odparła dziewczyna. – Chodź ze mną.

Poprowadziła aktorkę przez wspólną salę. Deski podłogi skrzypiały pod ich ciężarem. Wnętrze kawiarni stanowił szereg małych pomieszczeń, podzielonych łukowatymi przejściami. Okna posiadały drewniane okiennice, które przesycaly wiatr zapachem cedru. Młoda, kurtadamska dziewczyna siedziała na tyłach, cicho przygrywając na harfie. Łagodne nuty płynęły w powietrzu. W jednym z pomieszczeń stary, pierworodny mężczyzna, prowadzący ożywioną rozmowę z wielkookim Południowcem, przerwał na chwilę, by otwarcie gapić się na Cary i jej ochroniarzy. Cithrin pochwyciła spojrzenie maestra Asanpura i uniosła w górę dwa wyprostowane palce. Mężczyzna skinął głową i zaczął mielić ziarna do dwóch kubeczków. Cithrin

chciała, aby każdy, kto zwróci na nich uwagę, wiedział, że egzotycznie ubrana kobieta była kimś ważnym dla banku. Cała grupka przeszła do prywatnego pokoju na tyłach przybytku.

– I tyle? – spytał Smit, po tym jak zamknął za sobą drzwi, które zaskrzypiały na skórzanych zawiasach. – Myślałem, że będzie trzeba zrobić coś więcej.

Cithrin zajęła miejsce za niewielkim stolikiem. Dla pozostałych było dość miejsca, ale zamiast usiąść, Hornet podszedł do wąskiego okna, wyglądając przez niebiesko-złotą szybę na uliczkę za budynkiem. Gdy Cary zaczęła zdejmować pożyczoną biżuterię, Cithrin wyciągnęła spod krzesła żelazną kasetkę, przesuwając ją po małym, czerwonym dywanie, aby nie zostawiać śladów na podłodze.

– Tutaj nie trzeba zbyt wiele – wyjaśniła. – Księga rachunkowa, trochę pieniędzy. W końcu nie będę pożyczać codziennie dużych sum.

– Ale czy nie o to właśnie chodziło? – zauważyła Cary, podając jej bransoletę nabijaną szmaragdami i granatami. – Żeby pozbyć się tego wszystkiego?

– Ale nie rozdając pieniądze jak cukierki – odparła Cithrin. – W każdym mieście można zrobić jedynie kilka dobrych inwestycji. Sztuką jest dojść, na które warto wydać pieniądze. Dlatego właśnie rozmawiam z ludźmi. Negocjuję porozumienia, podpisuję umowy. Wszystko załatwiam na miejscu, ale nie chcę, żeby wszyscy strażnicy ciągle się tu kręcili i odstraszacli klientów.

– Dlaczego? – spytał Hornet. – Ja bym tak zrobił.

– Lepiej, żeby poczuli się pewnie – powiedziała Cary. Ktoś zapukał do drzwi. Smit otworzył je przez maestrem Asanpurem, który niósł tacę z dwoma kubkami w kolorze kości. Cithrin otworzyła żelazną kasetkę. Gdy mężczyzna wręczał Cary kawę, Cithrin zawinęła biżuterię w miękką szmatkę i włożyła ją do kasety obok księgi rachunkowej oprawionej w czerwoną skórę i sakiewkę z drobnymi pieniędzmi. Zamek był prosty, ale solidny, a ciężar klucza wiszącego na skórzanym naszyjniku działał krzepiąco. Cithrin schowała klucz pod ubranie. Cary pociągnęła łyk kawy i wydała z siebie cichy, pełen zachwyty dźwięk.

– To kolejna zaleta tego miejsca – zauważyła Cithrin.

– Nie możemy tu zostać – powiedział Hornet. – Mistrz Kit nalegał, aby Tragedia Czerech Wiatrów była gotowa do wystawienia jeszcze zanim

przyplyną okręty z Narinisle.

- Zamierzasz coś sfinansować? – spytała Cary.
- Okręt czy sztukę? – odpowiedziała oschle Cithrin.
- Jedno albo drugie.
- Nie.

W rzeczywistości myśl o przyplłynięciu statków z Narinisle nie dawała jej spokoju.

Największe bogactwa świata kryły się we wzorcach kierujących handlem. Keshet i Pût mogły posiadać drzewa oliwne i wino, które wystarczyłyby dla wszystkich miast na świecie, ale żadna kopalnia nie wydobywała tam złota, żelazo było złej próby, a do tego jego złoża występowały na trudno dostępnym, pozbawionym dróg terenie. Z Lyoneii pochodziły doskonałe drewno i przyprawy, ale brakowało tam zboża, by wykarmić wszystkich mieszkańców. Daleki Syram ze swoimi jedwabiami i barwnikami, magią i tytoniem, kusił rzadkimi towarami, ale dalekomorski handel był na tyle niepewny, że więcej ludzi traciło swoje fortuny niż zbijało je w ten sposób. Wszędzie istniał jakiś brak równowagi, a najpewniejszą drogą do zarobku było odnalezienie czegoś cennego i grupy ludzi, którzy to cenili.

Na lądzie oznaczało to kontrolowanie smoczycy traktów. Żaden kamień lub spoiwo, które wyszło spod ludzkiej ręki, nie mogło równać się z trwałością smoczego jadeitu. Wszystkie wielkie miasta zbudowano tam, gdzie stały teraz, ponieważ tak dyktowało ułożenie szlaków, kiedy ludzkość stanowiła jedną rasę, a jej panowie przemierzali świat na ogromnych, łuskowatych skrzydłach. Smoki rzadko kiedy zniżały się do podróżowania traktami. Te stanowiły jedynie schody dla służby upadłego cesarstwa i determinowały przepływ pieniędzy w handlu śródlądowym.

Jednakże morze, pozbawione szlaków, można było kształtować.

Każdej jesieni okręty z południa ładowano zbożem i olejami, winem, pieprzem i cukrem, a następnie płacono złotem ludziom na tyle śmiałym lub zdesperowanym, że byli skłonni odbyć podróż na północ. Północne Wybrzeże, Hallskar, Asterilhold, a nawet miasta z północy Antei kupowały dobra, często za mniej niż w przypadku towarów, które podróżowały drogą lądową. Okręty mogły zabrać trochę towarów z tych portów – solonego dorsza z Hallskar, żelazo i stal z Asterilhold i Północnego Wybrzeża – jednak większość ludzi wolała zabrać pieniądze i popłynąć do otwartych portów Narinisle, gdzie mogła poczekać na dalekomorskie okręty z Dalekiego

Syramu. To jednak wiązało się z wielkim ryzykiem.

Niebezpieczne wiatry i prądy sprawiały, że wyspowe państwo Narinisle stanowiło idealny port końcowy dla statków z Dalekiego Syramu, a jeśli jakiś kupiec był w stanie wymienić towary i pieniądze na dobra świeżo przywiezione z dalekich krain, inwestor mógł w krótkim czasie potroić swój zysk. W przeciwnym wypadku ryzykował powrót z tym, co udało się nabyć na miejscowych rynkach, a to zmniejszało rentowność przedsięwzięcia, chociaż nadal przy założeniu, że ceny były korzystne. Równie dobrze statek mógł paść łupem piratów albo zatonać, a cały ładunek przepadłby lub byłby do odkupienia za niebotyczne sumy od powolnych jak lodowce Utopionych.

A gdy okręty wracały do południowych portów i fortuny tych, którzy je opłacali rosły lub topniały, patronaty nad flotą ze złotem i przyprawami, która pływała razem bez żadnych sojuszy ani nawet nie pod jedną banderą, zmieniały się. Dom kupiecki, który wysłał w danym roku jeden statek i wyszedł na tym dobrze, mógł w kolejnych latach posłać ich pół tuzina. Ktoś, kogo okręt zaginął, mógł szukać pomocy w tej nowej, trudniejszej sytuacji. Jeśli osoba ta była na tyle rozsądna, by ubezpieczyć swoją inwestycję, mogła odzyskać dość pieniędzy, żeby spróbować raz jeszcze, zwracając się z prośbą do kogoś takiego jak Cithrin.

Statki opuściły już Narinisle. Wkrótce siedem okrętów, które wyruszyło z Porte Oliva rok wcześniej, wróci, a niedługo później ktoś przyjdzie do niej z propozycją ubezpieczenia sponsorowanego okrętu na następny sezon. Nie wiedząc, którzy kapitanowie byli najlepsi ani które rodziny były w najlepszej pozycji do kupienia wypływających towarów, musiałyby zdać się na instynkt. Podejmując wszystkich, którzy przyjdą do niej z podobną inicjatywą, wystawiałyby się na zbyt duże ryzyko. Jednak gdyby odrzuciła wszystkie propozycje, bank nie miałby szans na wzbogacenie się, a ona nie mogłaby nijak usprawiedliwić się przed wysłannikami holdingu. Całe jej życie zależało teraz od podjętego ryzyka.

Obstawianie walk psów wydawało się w tym momencie lepszym pomysłem.

– Może kilka umów ubezpieczeniowych – powiedziała, po trochu do siebie, a po trochu do Cary i pozostałych. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka lat wysuniemy propozycję częściowego sponsorowania jednej z wypraw.

– Ubezpieczenie. Sponsoring. Co za różnica? – spytał Smit.

Cithrin pokręciła głową. To jakby zapytał o różnicę między jabłkiem a rybą. Nie wiedziałyby od czego zacząć.

– Cithrin zapomina, że nie wszyscy wychowaliśmy się w biurze rachunkowym – powiedziała Cary, dopijając kawę. – Lepiej już pójdziemy.

– Dajcie mi znać, gdy sztuka będzie gotowa – rzekła Cithrin. – Chciałabym ją zobaczyć.

– Widzicie? – parsknął Smit. – Mówiłem, że będziemy mieć w niej mecenaskę.

Kawiarnię opuścili tylnym wyjściem. Tajemniczą kobietę i jej dwóch ochroniarzy zastąpiła trójka nadmorskich aktorów. Cithrin, przez swoje wąskie okienko, patrzyła jak odchodzą. Barwione szkło odrobinę zniekształciło ich sylwetki. Mecenaska. To prawda, że po tym wszystkim nie mogła po prostu wyjść do ludzi i przewodzić tłumowi razem z Cary i Mikelem.

Prawdopodobnie też nie mogłaby wyjść z Sandrem do baru. Cithrin bel Sarcour, głowa filii banku medejskiego w Porte Oliva, widziana w towarzystwie zwykłego aktora? To byłby cios dla reputacji banku i jej własnej.

Uczucie samotności, które ogarnęło ją na tę myśl, nie miało nic wspólnego z Sandrem.

Kiedy godzinę później przybył kapitan Wester, Cithrin siedziała przy tym samym stoliku na ulicy, gdzie znalazła ją Cary. Mężczyzna skinął jej głową na przywitanie i usiadł naprzeciwko. Promienie słońca wydobyły siwiznę z jego włosów, ale jednocześnie rozjaśniły oczy. Wester podał jej kawałek pergaminu. Dziewczyna omiotła spojrzeniem słowa i cyfry, kiwając do siebie głową. Pokwitowanie wyglądało dobrze.

– Jak poszło? – spytała.

– Żadnych problemów – powiedział. – Tytoń jest już na straganie sprzedawcy. Kłócił się o kilka liści, ale powiedziałem mu, że bierze wszystko albo nic.

– Nie powinien był tego robić – zauważyła Cithrin. – Powinien był negocjować ze mną.

– Możliwe, że wspomniałem coś o tym. Przyjął dostawę. Pieprz i kardamon zostaną dostarczone jutro. Yardem i dwójka nowych się tym zajmą.

– To jakiś początek.

– Jakieś wieści z Carse? – spytał Marcus. Pytanie brzmiało niemal zwyczajnie.

– Wysłałam im depezę – odparła Cithrin. – Skorzystałam ze starego szyfru magistra Imaniela i powolnego kuriera, ale podejrzewam, że wiadomość już do nich dotarła.

– I co konkretnie w niej napisałaś?

– Że filia złożyła dokumenty założycielskie i rozpoczęła działalność zgodnie z wytycznymi magistra Imaniela.

– Czyli nie zamierzasz mówić im prawdy.

– Listy czasami giną. Kurierzy biorą dodatkowe pieniądze za rozpieczętowanie i przepisanie ich. Nie sądzę, by ktokolwiek miał je przechwycić, ale gdyby się tak stało, wszystko będzie wyglądać tak jak powinno.

Marcus powoli pokiwał głową, mrużąc oczy przed słońcem.

– Jakiś powód, dla którego posłałaś *powolnego* kuriera?

– Chciałam mieć czas na poukładanie wszystkich rzeczy, zanim tu przyjadą – wyjaśniła.

– Rozumiem. Jest coś co powinniśmy...

Na stolik padł cień głębszy niż przelotny cień chmury. Pograżona w rozmowie Cithrin nie zauważyła nadejścia mężczyzny, który wydawał się wyrosnąć spod ziemi. Wyższy niż kapitan Wester, ale nie tak wysoki jak Yarden Hane, mężczyzna miał na sobie wełnianą tunikę i rajtuzy, kilkuwarstwową, niebieską pelerynę chroniącą przed wiosennymi chłodami oraz brązowy łańcuch świadczący o zajmowanym urzędzie. Jego rysy twarzy sugerowały Pierworodnego, ale były na tyle delikatne i regularne, że mógł posiadać wśród swoich dziadków jakiegoś Cinnejczyka.

– Proszę o wybaczenie – powiedział mężczyzna grzecznym tonem. – Czy rozmawiam z Cithrin bel Sarcour?

– To ja – przytaknęła Cithrin.

– Przyszyła mnie namiestnik Siden – rzekł nieznajomy.

Dziewczyna na chwilę zaniemówiła ze strachu. Odkryli fałszerstwo. Wysłali po nią straż. Odchrząknęła i uśmiechnęła się.

– Czy jest jakiś problem? – spytała.

– W żadnym wypadku – odparł posłaniec, wyciągając niewielki list na gładkim papierze, którego krawędzie równo poskładano, zaszyto, a następnie zapieczętowano. – Namiestnik sugerował jednak, bym zczekał na wypadek,

gdybyś postanowiła odpowiedzieć, pani.

Cithrin wzięła od niego papier, nie mając pewności, gdzie powinna patrzeć – na list, na mężczyznę czy na kapitana. Po chwili, która trwała stanowczo zbyt długo, otrząsnęła się.

– Proszę przekazać maestrowi Asanpurowi, że przybył pan do mnie w interesach, a na pewno zajmie się panem.

– To bardzo miłe z twojej strony, magistra.

Cithrin zaczęła, aż mężczyzna zniknie we wnętrzu kawiarni, zanim pociągnęła za nić. Sznureczek rozciął papier z cichym terkotem. Trzęsącymi rękami położyła otwarty list na stole. Pismo miało piękne kształty, znak profesjonalnego skryby. *Do magistry Cithrin bel Sarcour, głosu i wysłanniczki banku medejskiego w Porte Oliva, ze specjalnego polecenia Jej Królewskiej Mości i tak dalej, i tak dalej.* Jej palce prześledziły tekst. *Zwracam się z osobistą prośbą jako przedstawiciel interesów i obywatel Porte Oliva w pewnej sprawie o żywotnym znaczeniu dla zdrowia i dynamicznego rozwoju miasta i tak dalej, i tak dalej.* Aż w końcu, niemal u samego dołu strony, musiała się zatrzymać.

Zabiegam o przygotowanie wielostronnego porozumienia w kwestii bezpieczeństwa obywatelskiego, którego wymaga prowadzenie handlu żeglugowego w nadchodzącym roku...

– Dobry Boże – szepnęła.

– Coś się stało? – spytał kapitan Wester. Jego głos był niski i spokojny. Wydawał się gotowy na przyjęcie rozkazu nakazującego mu zabicie posłańca, a potem ucieczkę z miasta. Cithrin przełknęła ślinę, rozluźniając krtań.

– Jeśli dobrze rozumiem – zaczęła – namiestnik prosi nas o dołączenie do wspólnego przedsięwzięcia, mającego na celu eskortowanie okrętów kupieckich z Narinisle.

– Ach – mruknął Wester. A potem: – Masz świadomość, że nie zrozumiałem połowy tego, co właśnie powiedziałaś, prawda?

– Zamierza utworzyć flotę. Statki bojowe, które upewnią się, że wszystkie okręty kupieckie wrócą do portu. Szuka partnerów o odpowiednich funduszach do sfinansowania tej inwestycji.

– Masz na myśli nas?

– Nie – powiedziała, podczas gdy jej umysł z upiorną i chłodną precyzją kalkulował wszystkie implikacje takiej decyzji. – Będzie chciał, żeby różne

stronnictwa złożyły swoje propozycje, ale my również otrzymaliśmy zaproszenie do walki. Namiestnik prosi, by bank medejski złożył propozycję wsparcia miejskiej floty.

Kapitan mruknął jakby zrozumiał. Cithrin wyprzedzała go o kilka długości, a jej myśli wciąż gnały naprzód. Jeśli Porte Oliva stanie się bardziej atrakcyjne niż Wolne Miasta, zaczną przyplływać tu więcej statków. Stawki ubezpieczeniowe spadną, ponieważ handel tu będzie uważany za mniej ryzykowny. To zaboli wszystkich, którzy żyją z samych ubezpieczeń. Maccii na pewno się to nie spodoba. Jeśli kwestia eskorty zajdzie tak daleko, Cabral na pewno również na tym ucierpi. Ciekawiło ją, jakie były szanse na bezpośrednią odpowiedź na flotę eskortową.

– Czy jest to coś, co moglibyśmy zrobić? – spytał Wester z innej części świata.

– Jeśli przystaniemy na prowizję i wszystko pójdzie dobrze, zyskamy kontakty na całym południu i będziemy jedną nogą na Morzu Wewnętrznym. W ten sposób zyskamy coś o wiele cenniejszego dla holdingu niż wóz pełen złota – powiedziała Cithrin. – Nie będą mogli podważyć słuszności naszych działań.

– Mówiąc w skrócie – jest to coś, czego moglibyśmy się podjąć.

Węzeł w żołądku Cithrin był wciąż obecny, ale coś się zmieniło. Dziewczyna nie mogła powstrzymać uśmiechu. Bardzo szerokiego uśmiechu.

– Jeśli to nam się powiedzie – powiedziała, trzymając list w górze – to uda się nam *wszystko*.

Spotkanie w pałacu namiestnika nie wyglądało na nic szczególnego. Pół tuzina mężczyzn i kobiet siedziało na ogrodowym dziedzińcu. Słudzy rozlewali aromatyzowaną wodę i przyprawione wino. Namiestnik był niskim, łysiejącym człowiekiem o wydatnym brzuchu. Wszystkich gości traktował z równą życzliwością, przez co nie sposób było stwierdzić, kto ze zgromadzonych jest naprawdę ważny. Cithrin miała nadzieję wyciągnąć jakieś wnioski z jego zachowania, obserwując, z kim spędza najwięcej czasu. Zamiast tego została z niczym.

Pojawił się starszy Kurtadam, z futrem siwiejącym na twarzy, szyi i plecach, który reprezentował koncesjonowaną spółkę zrzeszającą gildię cieśli okrętowych oraz dwa domy kupieckie. Cinnejczyk z odrobinę zbyt dużą ilością różu na policzkach, który okazał się być właścicielem kompanii najemniczej, dostatecznie dużej, by służyć królom. Pod szerokimi liśćmi

palmy siedziała w samotności tralgurska kobieta, popijająca wodę i pogryzająca krewetki, która słuchała wszystkiego z uwagą działającą Cithrin na nerwy. Wszyscy ci ludzie posiadali własne cele i historie, zainteresowania i słabości. Magister Imaniel byłby w stanie omieść spojrzeniem pomieszczenie i wyciągnąć wnioski. Albo przynajmniej postawić hipotezy. Jednakże Cithrin wciąż była o rok za młoda, by przejąć swoje dziedzictwo. Wino było doskonałe. Rozmowa przyjacielska i wesoła. Czuła się, jakby pływała w ciepłym oceanie, czekając aż coś wyłoni się z głębin, chwyci ją za kostkę i pociągnie w zimne odmęty.

W rozluźnieniu węzła w żołądku nie pomagało to, że wszyscy wydawali się rzucać w jej kierunku ciekawskie spojrzenia. Głos i wysłanniczka banku medejskiego, która dopiero co pojawiła się w mieście, krzyżując innym plany. Żadne z nich, powtarzała sobie Cithrin, nie postrzegają jej jako gracza w tej rozgrywce. Wciąż pozostawała daleko w tyle, jeśli chodziło o zrozumienie polityki dworskiej, ze wszystkimi jej jaskrawo upierzonymi ptaszkami i nagrzanymi promieniami słońca marmurami, ale sama też miała w zanadrzu kilka tajemnic. Im dłużej pozostawała dla nich szyfrem, tym lepiej zaczynała rozumieć zasady gry. Wręczyła pustą szklanicę jednemu z ludzi królowej i wzięła kolejną. Wino pozwalało przewyciężyć strach.

– Magistra bel Sarcour – powiedział namiestnik, wyrastając u jej boku. – Byłaś w Vanai, prawda? Tuż przed atakiem Antejczyków.

– Na krótko przed tym wydarzeniem – przytaknęła Cithrin.

– Miałaś szczęście, że udało ci się wyjechać – rzekła Tralgurka. Jej głos był równie niski jak Yardema Hane’a, ale brakowało w nim podobnego ciepła.

– To prawda – przyznała dziewczyna, pilnując, by jej głos brzmiał naturalnie i życzliwie.

– Co sądzisz o losie, który spotkał miasto? – spytał namiestnik. Cithrin czekała na to pytanie i miała już gotową odpowiedź.

– Antea posiada długą historię wojskowych interwencji w Wolnych Miastach – powiedziała. – Magister Imaniel i ja spodziewaliśmy się okupacji wrogich sił trochę wcześniej niż to nastąpiło. To, że Antejczycy nie zamierzali utrzymywać miasta stało się jasne na kilka tygodni przed ich przybyciem.

– Sądzisz, że od początku mieli zamiar zniszczyć Vanai? – zdziwił się mężczyzna siedzący za namiestnikiem. Miał rysy twarzy Pierworodnego, ale

złotawą skórę, która w swojej chropowatości przypominała Jasurów. Jego oczy miały barwę jaskrawej zieleni. Na imię miał Qahuar Em i przemawiał po części w imieniu grupy stowarzyszonych kupców, a po części w imieniu nomadycznych plemion z północnej części Lyoneii. Wyglądał Cithrin na półkrwi Jasura, chociaż dziewczyna nie miała pojęcia, czy to w ogóle możliwe.

– Mieliśmy silne podejrzenia – odparła.

– Dlaczego Rozdarty Tron miałby uczynić coś podobnego? – spytał namiestnik.

– Ponieważ to gromada krwiożerczych dzikusów z północy – wtrąciła tralgurska kobieta. – Niewiele lepsza od małp.

– Z tego, co słyszałem, spalenie miasta było dość nieoczekiwane, nawet dla króla Simeona – powiedział cinnejski najemnik. – Miejscowy dowódca zachował się jak w jakiejś politycznej sztuce teatralnej.

– To nie wyklucza teorii małp z mieczami – skwitowała Tralgurka. Namiestnik zachichotał.

– Nie dziwi mnie, że powstała więcej niż jedna interpretacja – odezwała się Cithrin. – Mimo wszystko, mam nadzieję, że mi wybaczycie, że działaliśmy zgodnie z posiadanymi informacjami.

– Słyszałem, że Komme Medejszyk przenosi swoje interesy na północ, w szczególności do Antei – rzekł siwiejący Kurtadam. – To strasznie dziwne, że postanowił zająć równie agresywną pozycję na południu.

Cithrin poczuła ukłucie zaniepokojenia. Jeśli bank zamierzał związać się z północnymi państwami – Antea, Asterilhold, Północnym Wybrzeżem, Hallskar i Sarakal – możliwe, że nadepnęła komuś na odcisk, zakładając filię w tak odległym punkcie kontynentu. Nie było to coś, o czym była gotowa rozmawiać, dlatego chciała jak najszybciej odejść od tego tematu. Uśmiechnęła się w sposób, w który jej zdaniem mógłby uśmiechnąć się magister Imaniel.

– Czy naprawdę istnieje coś takiego jak północne interesy? – spytała. – Narinisle leży na północy, ale wygląda na to, że jest to zmartwienie nas wszystkich.

Powietrze na dziedzińcu zamarło. Cithrin wydobyła ukryte przesłanie wszystkich tych pogawędek i położyła

je na stole. Nie była pewna, czy nie zrobiła właśnie czegoś w złym tonie, więc jedynie uśmiechnęła się i pociągnęła łyk wina, jakby było to w pełni

zamierzone. Qahuar, pół krwi Jasur, posłał jej uśmiech, kiwając głową w dowód uznania.

– Narinisle może i leży na północy – powiedział siwiejący Kurtadam – ale wszystkie problemy skupiają się na południu, nieprawdaż? Król Sephan i jego nieoficjalna flota piratów.

– Zgadzam się – rzekł cinnejski kapitan najemników. – Jedynym sposobem na zabezpieczenie handlu jest uzyskanie zgody Cabral. A tego nie można osiągnąć jedynie drogą morską.

Tralgurska kobieta westchnęła i odłożyła jedzoną krewetkę.

– Chyba nie zamierzasz zaproponować stworzenia armii lądowej do ochrony okrętów, co? – spytała. – Jeśli Porte Oliva zacznie wojnę z Cabral, królowa podpali nas, w ramach przeprosin dla króla Sephana, szybciej niż Antea podłożyła ogień pod Vanai. Jesteśmy miastem, a nie królestwem.

– Przy odpowiednim jej wykorzystaniu, nie będzie konieczności korzystania z armii – powiedział Cinnejczyk, jeżąc się. – Nie chodzi o utworzenie sił inwazyjnych. Ale eskorta statków kupieckich musi być w stanie wyładować żołnierzy na ląd. Problem piratów nie zostanie rozwiązany, jeśli ci zaszyją się w jednej z zatok i uznają, że są bezpieczni.

Cithrin siedziała na wysokim krześle, przechylając głowę, i przypatrywała się jak fasada grzeczności pęka w szwach. Niczym artysta układający mozaikę kawałek po kawałku, zaczęła oceniać rozmiary podziałów i sporów w grupie otaczających ją ludzi.

Koncesjonowana spółka cieśli okrętowych i domów kupieckich nalegała na limitowaną eskortę, w odległości zaledwie kilku dni drogi od Porte Oliva. Ich argument brzmiał: chrońmy naszą okolicę, a okręty zaczną przyplływać do nas z własnej woli. Miało to kosztować mniej, dzięki czemu nałożone cła również byłyby mniejsze. Mając na uwadze wymianę zdań pomiędzy Cinnejczykiem a Tralgurką, Cithrin była niemal w pełni przekonana, że domy kupieckie, o których była mowa, handlowały ubezpieczeniami. Ograniczona eskorta pozostawiała ogromną połąć niebezpiecznych wód, gdzie szanse na atak piratów i straty wciąż były wysokie, w związku z czym stawki ubezpieczeniowe zmalałyby nieznacznie.

Cinnejczyk, z drugiej strony, prezentował podejście militarystyczne, ponieważ sam dysponował dużymi siłami wojskowymi. Gdyby udało mu się przekonać pozostałych, że jedynie duża armia – w szczególności złożona z najemnych oddziałów piechoty – była w stanie zażegnać niebezpieczeństwo

ze strony piratów, znalazłby się w najlepszej pozycji. Oczywiście, nikt inny się z nim nie zgadzał.

Argumenty tralgurskiej kobiety skupiały się wokół paktu pomiędzy Birancour i Herez, którego Cithrin nie znała. Potrzebowała znaleźć jego kopię, żeby zrozumieć jego zastosowanie, ale sama świadomość, że czegoś nie wiedziała, wystarczyła, żeby potraktować to jak małe zwycięstwo.

W miarę jak pozostali toczyli spory, Cithrin czuła, że jej uśmiechy są coraz mniej wymuszone. Jej umysł tańczył wokół pojedynczych zmian wypowiedzianych przez jej przeciwników, tworzył połączenia i spekulacje, które zamierzała sprawdzić, gdy to spotkanie dobiegnie końca. Namiestnik uprzejmie i delikatnie powstrzymywał rozmówców przed eskalacją agresji, ale nie zamierzał ich ze sobą godzić. Właśnie po to ich tu sprowadził. To był jego sposób działania. Cithrin zapamiętała tę informację.

Po trzeciej szklanicy wina, poczuła się dostatecznie pewnie, by dodać coś od siebie.

– Przepraszam – zaczęła – ale odnoszę wrażenie, że zaczęliśmy traktować piractwo jako jedyny problem. Są jeszcze inne rzeczy, które mogą przytrafić się okrętowi. Jeśli dobrze rozumiem, pięć lat temu trzy statki zatонуły podczas sztormu.

– Nie – warknęła Tralgurka.

– Te statki poszły na dno w okolicach Północnego Wybrzeża – wyjaśnił Kurtadam. – Nigdy nie dotarły do Narinisle.

– A mimo to zainwestowane w nie pieniądze przepadły – ciągnęła Cithrin. – Czy pytanie, na które chcemy znaleźć odpowiedź brzmi: jak zabezpieczyć handel morski? Czy też, jak sprawić, by piraci stanowili mniejsze zagrożenie niż sztormy? Wydaje mi się, że statki eskorty powinny móc zaradzić szeregowi różnych kryzysów.

– Nie możemy pozwolić sobie na eskortę, która będzie podążać za flotą wszędzie i pomagać im w każdej sytuacji – wtrącił Cinnejczyk.

– Początkowe koszty będą wysokie – przyznała Cithrin, jakby to właśnie sugerował mężczyzna. – Całe przedsięwzięcie będzie wymagać zaangażowania Porte Oliva dostatecznie długo, by stopa zwrotu była przyzwoita. Do tego będziemy potrzebować odrobiny zrozumienia ze strony portów na północy.

Wszystko to mówiła swobodnym tonem, jak podczas pogawędki starych przyjaciół. Lecz pozostali doskonale rozumieli, co miała na myśli.

Bank medejski oferował ochronę dla okrętów kupieckich z Porte Oliva, niezależnie od tego jak daleką drogę przebędą tam i z powrotem. Miała dość pieniędzy, żeby zainwestować w ten projekt, nie oczekując żadnych zysków przez najbliższych kilka lat. Natomiast sam bank, którego główna siedziba mieściła się w Carse, posiadał koneksje we wszystkich północnych krainach. Nawet jeśli było to coś więcej niż mogła od siebie zaoferować, to nie było w tym niczego złego. Inni mogli porównywać, ilu żołnierzy posiadali, jak tanio mogliby zrobić coś niewielkiego i jak paktory oraz umowy handlowe wpływały na ich sytuację. Cithrin mogła za to powiedzieć: *Jestem największą rybą w tym akwarium. Mogę coś, czego nie może nikt z was.*

Podobało jej się to uczucie.

Na moment na dziedzińcu zapadła cisza. Chwilę później, gdy Kurtadam wziął gniewny wdech, przemówił półkrwi Jasur o zielonych oczach.

– Ona ma rację.

Qahuar Em siedział u boku namiestnika. W świetle lejącym się z jasnoniebieskiego nieba, jego skóra przybrała brązowawy odcień, niczym u przywróconego do życia posągu. Gdy się uśmiechnął, Cithrin zauważyła, że jego zęby, białe jak u Pierworodnych, posiadały odrobinę ostrzejsze krawędzie, jak u Jasurów.

– Chyba żartujesz – powiedział Kurtadam bez przekonania.

– Możecie działać półśrodkami – rzekł mężczyzna, przenosząc na chwilę spojrzenie na Kurtadama, zanim ponownie spojrzął na Cithrin. – Co jednak powstrzyma Daun przed uczynieniem tego samego? Albo Upurt Marion? Newport lub Maccię? Możecie sprawić, że na kilka lat Porte Oliva stanie się odrobinę bezpieczniejszym i bardziej popularnym miejscem do handlowania, ale pozostałe miasta pójdą za waszym przykładem. Możecie też zadziałać zdecydowanie i zdominować handel w tym regionie, zdobywając ten szlak handlowy na całe pokolenia. Wydaje mi się, że wszystko to kwestia tego, jakie są wasze cele.

Cithrin zauważyła, że uśmiecha się do mężczyzny, chociaż ten odzywał się przez cały ten czas jeszcze rzadziej niż ona. Pomyślała, że będzie musiała go obserwować. Półkrwi Jasur posłał jej szeroki uśmiech, zupełnie jakby czytał jej w myślach.

Rozmowa trwała jeszcze przez godzinę, ale wiatr zmienił kierunek. Kurtadam ograniczał się do nadąsanych uwag, najemnik zaczął ujmować aspekt militarny jako część większej całości, a tralgurska kobieta milczała.

Targające nimi uczucia gniewu i podejrzliwości były niemal namacalne, ale namiestnik wydawał się całkiem zadowolony z takiego obrotu spraw. Gdy Cithrin wyszła, okrywając ramiona ozdobionym koralikami szalem, trudno było jej pamiętać o tym, by chodzić jak dwa razy starsza kobieta. Miała ochotę w pełni pracować kostkami.

Czekała na schodach prowadzących do wielkiej, marmurowej świątyni przy placu, udając pobożność, której zupełnie nie czuła. Słońce chyliło się ku horyzontowi na zachodzie, rzucając blask prosto na świątynię i sprawiając, że jej kamienie jaśniały. Księżyc, który zdążył już wzejść, wisiał na bezchmurnym niebie w kolorze indygo, w połowie biały, a w połowie ciemny. Pomiedzy pięknem miasta i nieba, a do tego prawdopodobnie przez zbyt dużą ilość wypitego wina, niemal przegapiła mężczyznę, na którego czekała.

– Przepraszam – zaczęła.

Półkrwi Jasur obrócił głowę, spoglądając ponad ramieniem, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

– To ciebie nazywają Qahuar? – spytała.

Mężczyzna uprzejmie poprawił jej wymowę. Stał o schodek niżej, dzięki czemu ich głowy znajdowały się na tym samym poziomie.

– Chciałam podziękować ci za poparcie mnie – powiedziała.

Mężczyzna odpowiedział szerokim uśmiechem. Jego twarz była szersza niż wydawało jej się na dziedzińcu. Skórę miał mniej chropowatą, a spojrzenie łagodniejsze. Dotarło do niej, że musiał mieć mniej więcej tyle lat na ile ona chciała wyglądać.

– To samo chciałem powiedzieć o tobie – odparł. – Myślę, że nasza dwójka wystarczy, by pozbyć się mniejszych graczy. Przyznaję, że nie spodziewałem się rywalizacji z bankiem medejskim.

– Ja nie spodziewałam się żadnej konkurencji – oznajmiła. – Mimo wszystko to miłe, że namiestnik o mnie pomyślał.

– Jedyne wykorzystuje cię, by wymusić na mnie lepsze warunki – powiedział Qahuar, po czym, widząc jej reakcję, dodał: – Nie przeszkadza mi to. Jeśli coś pójdzie nie po jego myśli, będzie próbował wykorzystać mnie, żeby zawrzeć korzystniejszą umowę z tobą. Takiej pozycji nie uzyskuje się dzięki sentymentom.

– Mimo wszystko – rzekła Cithrin.

– Mimo wszystko – przytaknął jej Qahuar.

Przez chwilę oboje milczeli. Jego wyraz twarzy zmienił się, jakby nagle jej nie poznawał. Jakby jej widok wprawiał go w zakłopotanie. Nie, nie w zakłopotanie. To była ciekawość. Mężczyzna skrzywił usta pod nieco innym kątem. Cithrin poczuła ciepło bijące ze swojej własnej postawy. Fakt, że właśnie ten człowiek był jej rywalem, sprawiał jej szczególną przyjemność.

– Właśnie sprawiłaś, że ta gra nabrała zupełnie nowego wymiaru, magistra. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

– Bardzo słusznie – odparła Cithrin.

Geder

Na falistych wzgórzach, gdzie Sarakal w sposób niewidoczny gołym okiem przechodziło w Keshet, miano *książę* nabierało innego znaczenia niż to, do którego przyzwyczajony był Geder. Człowiek mógł tytułować się księciem, jeśli kontrolował konkretny obszar ziemi, dowodził armią albo był synem lub bratankiem księcia. Nawet rasy miały przy tym pewne, choć niewielkie znaczenie. Książętami Keshet mogli być Yemmurowie, Tralgurowie bądź Jasurowie. Teoretycznie nie istniały żadne formalne przeszkody dla przedstawicieli innych ras, ale w praktyce nie spotkał książąt, którzy byliby rasy innej niż wymienione.

Pierworodni byli szczególnie rzadkim widokiem na rozległych, suchych równinach, a Geder szybko zauważył, że jego niewielki oddział – on sam, jego giermek i czterech mężczyzn na usługach jego ojca – stał się obiektem zainteresowania w miasteczkach i wioskach na wschód od Sarakal. Pierworodny książę, mówili o nim, lecz gdy Geder próbował ich poprawiać, następowały nieporozumienia. Wyjaśnienie swojej pozycji rodowitym mieszkańcom Keshet wydało mu się bezcelowe, a prawdopodobnie również niemożliwe, dlatego, gdy koczowniczy dwór księcia Kupe rol Behura przyjął Gедера w gościnę, Palliako stwierdził, że łatwiej będzie udawać, że jest mniej więcej równy złotołuskiemu lordowi Jasurów.

– Nie rozumiem, książę Gederze. Opuściłeś swój dom i lud, by szukać czegoś, choć nie wiesz, co to jest ani gdzie to znajdziesz. Nie masz prawa do tej rzeczy i nie masz pojęcia, czy ktokolwiek może sobie je rościć. Co zamierzasz dzięki temu osiągnąć?

– Cóż, nie jest to przedsięwzięcie nastawione na zysk – wyjaśnił Geder, sięgając po jeszcze jedną ciemną kielbaskę ze wspólnego talerza.

Gdy Geder ujrzał na horyzoncie tuman kurzu wzbijany przez koczowniczy dwór niczym słup dymu z ogromnego ogniska, spodziewał się czegoś podobnego do wojskowego obozu. Wyobrażał sobie, że namioty będą przypominać te, w których sypiał podczas kampanii vanajskiej i te zajmowane obecnie, w czasie swojego cichego wygnania. Przeliczył się. Nie wjechał do obozowiska – choćby wielkiego i luksusowego. Zamiast tego trafił do miasteczka z drewnianymi budynkami i świątynią poświęconą bliźniaczemu bogu, o którym Geder nigdy wcześniej nie słyszał, prosto na

uczcie wydaną przez księcia. Chwasty i krzaki na uliczkach sugerowały, że jeszcze wczoraj osady tu nie było. Geder zakładał, że do jutra zdąży zniknąć. Niczym w legendach, było to jedno z tych miasteczek, które istniały przez jedną noc i znikwały wraz z nadejściem porannej rosy. Pochodnie dymiły, a płomienie tańczyły na wietrze. Gwiazdy pstrzyły firmament. Letni żar unosił się z ziemi, promieniując w niebo.

Geder włożył kielbaskę do ust. Miała słonawy i wyrazisty smak z niemal magicznym aromatem cukru i dymu. Nigdy wcześniej nie próbował czegoś podobnego i nawet gdyby przygotowano je z oczu jaszczurek oraz ptasich nówek, to i tak by je zjadł. Smakowały tak dobrze. Ze wszystkich szesnastu wspólnych półmisków noszonych przez niewolników wokół stołu, ten był jego ulubionym. Choć serwowane w oleju zielone liście z czerwonymi plamkami ustępowały mu bardzo nieznacznie.

– Nie szukam – powiedział z pełnymi ustami – czegoś, co przyniosłoby mi bogactwo.

– Czyli szukasz sławy.

Geder uśmiechnął się smutno.

– Eseje spekulatywne nie przynoszą ludziom zbytnej sławy. Przynajmniej nie w moich stronach. Zmierzam tam, ponieważ słyszałem, że dawno temu istniało coś, o czym chciałbym dowiedzieć się więcej. Następnie spiszę wszystko, co wiem, a także przypuszczam, aby ktoś pewnego dnia mógł to przeczytać i pogłębić swoją wiedzę.

Poza tym, pomyślał, muszę trzymać się z dala od niepokojów w Camnipolu i znaleźć jakiś spokojny kąt na skraju świata, gdzie nie dopadną mnie żadne kłopoty.

– A potem?

Geder wzruszył ramionami.

– To wszystko – odparł. – Cóż jeszcze mógłbym chcieć?

Jasurski książę zmarszczył brwi i wychylił napój z kubka wykonanego na kształt czaszki, albo z prawdziwej czaszki zrobionego, po czym posłał Gederowi szeroki uśmiech, wymierzając w niego długi, srebrny szpon.

– Jesteś świętym człowiekiem – oznajmił.

– Nie, na Boga. Bynajmniej.

– W takim razie wiedzącym. Filozofem.

Geder miał zaprzeczyć również temu, ale zmitygował się.

– Może filozofem – powiedział.

– Człowiek, jego wierzchowiec i przestrzeń. Powinienem był to widzieć. To przedsięwzięcie ma charakter duchowy.

Książę uniósł masywną dłoń i szczerknął coś, co brzmiało jak rozkaz. Setka mężczyzn i kobiet przy długim stole – rycerzy albo zwykłych żołnierzy, Geder nie miał co do tego pewności – wzniesli okrzyk, śmiejąc się, uśmiechając do siebie szyderczo i popychając nawzajem. Kilka długich chwil później na skraju placu pojawiło się dwóch strażników, każdy z żelaznym łańcuchem w dłoni. Ogniwa łańcuchów ginęły w mroku i wydawały się zwisać na tyle luźno, że Geder odgadł, iż musiały być głównie ceremonialne.

Zakuta w łańcuchy kobieta, która weszła w krąg światła, wyglądała na bardzo starą. Szerokie czoło i wijące się, czarne symbole na skórze zasugerowały, że należy do rasy Haavirkinów, jeszcze zanim uniosła w pozdrowieniu długie, trójpalczaste dłonie. Geder miał już okazję oglądać przedstawicieli tej rasy, gdy nowo wybrany król Hallskar wysłał ambasadorów na dwór, ale nigdy nie widział nikogo równie starego ani roztaczającego wokół siebie aurę całkowitej powagi.

Strażnicy szli przed kobietą zmierzającą w stronę księcia. Geder nie potrafił ocenić, czy tumult wywoływany przez tłum był wyrazem niechęci czy celebracji dla jej obecności. Jej spojrzenie otaksowało Gedera od stóp do głów.

– To moja jasnowidząca – powiedział książę. Potem zwrócił się do kobiety: – A oto nasz gość. Przemierza Keshet w sprawach duchowych.

– Istotnie – przyznała kobieta.

Książę uśmiechnął się, jakby starucha właśnie sprawiła mu prezent. Położył dłoń na przedramieniu Gedera w dziwnie poufałym geście.

– Jest twoja na tę noc – oznajmił książę. Palliako zmarszczył brwi. Miał nadzieję, że gospodarzowi nie chodziło o nałożnicę, choć czytał o podobnych rzeczach w starych historiach o Keshet. Odchrząknął, szukając sposobu, by się wykręcić, ale jasnowidząca jedynie uniosła dłoń. Kolejny sługa przybył z drewnianym stołkiem i Haavirkincka usiadła na nim, patrząc Gederowi prosto w oczy.

– Witaj – powiedział Palliako niepewnym głosem.

– Znam cię – odparła kobieta, po czym obróciła głowę, by splunąć na ziemię. – Gdy byłam dzieckiem, śniłam o tobie.

– Uch – stęknął Geder. – Naprawdę?

– Jest bardzo dobra – rzekł książę. – Bardzo *mądra*.

– Mój wuj chorował – zaczęła jasnowidząca – lecz nie miał żadnych objawów. Żadnej gorączki, słabości, nic, więc nie mogliśmy go leczyć.

– Więc skąd mogłaś wiedzieć, że jest chory?

– Ujrzałam we śnie – odpowiedziała spokojnie jasnowidząca. – Zjadł gorzkie ziele, by się wyleczyć, a woda, którą je popił miała słodki smak. Lecz nie było w niej nic poza wodą. Słodkość była w nim, choć naprawdę nie była słodka. Po prostu nie była gorzka. Nie posiadała mocy uzdrawiania czegokolwiek.

Jasnowidząca ujęła jego dłoń, studiując stawy palców, jakby czegoś szukała. Następnie uniosła ją do nosa i powąchała. Geder poczuł, że przechodzą go ciarki. Próbował zabrać rękę.

– Ujrzysz ją trzykrotnie – powiedziała – lecz za każdym razem będziesz innym człowiekiem. Za każdym razem ona da ci to, czego chcesz. Raz już ją widziałeś.

Jasnowidząca uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: *Rozumiesz?*

To miało być o mnie?, pomyślał Geder.

– Dziękuję – powiedział. Kobieta skinęła głową, nie tyle do niego, co do siebie. Pełgające światło pochodni sprawiało, że czarne symbole na jej twarzy wydawały się żyć własnym życiem.

– To wszystko? – spytał jasurski książę.

– To wszystko, co mam mu do powiedzenia – powiedziała spokojnie jasnowidząca, po czym wstała, podzwaniając łańcuchami przypiętymi do szyi. – Ty i ja musimy porozmawiać, ale później.

Kobieta wykonała głęboki ukłon, odwróciła się i odeszła mijając krzewy, pył, drewniane stoły kesheckich wojowników i cienie. Trzymający łańcuchy podążali za nią, jakby to ona ich prowadziła. Ciszę przerywały jedynie odgłosy pobrząkujących ogniw i trzask płomieni pochodni. Gederowi wydawało się, że ujrzał zaskoczenie, a nawet zszokowanie, na twarzach rycerzy, ale nie rozumiał tego. Coś się właśnie wydarzyło, a on nie potrafił powiedzieć, co dokładnie.

Książę podrapał łuski wzdłuż linii szczęki i na szyi, w sposób, w jaki Pierworodny mógłby gładzić brodę. Następnie wyszczerzył się w uśmiechu, przypominającym mur z ostrych, ciemnych zębów.

– Jedzcie! Śpiewajcie! – zawołał, a głosy rycerzy i ogólna wrzawa rozgorzała na nowo, jak gdyby nigdy nic. Geder chwycił kolejną kielbaskę, zachodząc w głowę, co mu właśnie umknęło.

Uczta spowodowała u Gedera ból brzucha. Leżał w swoim namiocie, wsłuchując się w szum letniego wiatru na pustyni, i nie mógł zmusić się do zaśnięcia. Słyszał ciche pochrapywanie swojego giermka, czuł zapach kesheckiego pyłu, który wydawał się lepić do wszystkiego, a do tego miał w ustach smak przyprawionych mięs z uczty, choć przyjemność z ich jedzenia dawno przeminęła. Światło księżyca przenikało do środka namiotu, okalając mrok srebrną poświatą. Geder czuł jednocześnie pobudzenie i senność.

Słodkość była w nim, choć naprawdę nie była słodka. Po prostu nie była gorzka. Nie posiadała mocy uzdrawiania czegokolwiek.

Z całej paplaniny jasnowidzącej te słowa najbardziej zapadły mu w pamięć, nie dając mu spokoju, podobnie jak posmak przypraw. Teraz odnosił wrażenie, że haavirkińska kobieta mówiła o Vanai i Camnipolu. Gdy o tym myślał, wciąż czuł bliznę na nodze, w miejscu, gdzie trafił go bełt. Dokładnie w ten sam sposób jakaś niewielka część jego uwagi przypominała mu o czarnym węźle w piersi, który męczył go przez całą, długą drogę powrotną z Vanai. Nie był w stanie przypomnieć sobie kształtu twarzy swojej zmarłej matki, ale sylwetka kobiety na tle płomieni, górujących nad miastem, była równie wyraźna co otaczający go namiot. Nawet wyraźniejsza.

Przyjęcia i hulanki, którymi przywitano go w Camnipolu, powinny były zmyć to wszystko z niego i przez pewien czas tak właśnie było. To była ta słodycz – przynajmniej wtedy tak sądził – ale być może jednak wcale nią nie była. Bez wątpienia czuł się wtedy wspaniale. Zyskał pozycję na dworze. Ocalił miasto przed powstaniem najemników. A teraz znów był na wygnaniu, uciekając przed politycznymi gierkami, których nie rozumiał. Niezależnie jak nieprzyjemna była ciężkość w żołądku, wciąż wydawała się lepsza od koszmarów o pozodze.

W rzeczywistości to, co przytrafiło się Vanai nie było jego winą. Został wykorzystany. Bezsenne noce, nieustanne uczucie strachu, a nawet podejrzenie, że przez te wszystkie uczty i uroczystości Alan Klin i jego przyjaciele śmiali się z niego w rękaw – to były jego prawdziwe blizny.

Obrócił tę myśl w głowie. Dworskie gierki, wszechobecne w Kingspire i Camnipolu, nie były czymś, w co kiedykolwiek chciał się mieszać. Ulga, którą poczuł po powrocie z Vanai w blasku i chwale, nic teraz nie znaczyła, lecz jednocześnie znów chciał ją poczuć. Na jakiś czas pozwoliła mu zapomnieć o huku płomieni. Lecz tak jak wyśniła haavirkińska jasnowidząca,

słodycz wody nie była słodka, a jedynie dawała wytchnienie od goryczy. I niczego nie leczyła.

Gdyby tylko zrozumiał, co zaszło, gdyby mógł przejrzeć graczy i ich gierki, wiedziałby, kogo należy winić. A także kim naprawdę byli jego przyjaciele.

Przewrócił się na bok, naciągając na siebie koce. Pachniały pyłem i potem. Noc była zbyt ciepła, by musiał się okrywać, ale dotyk tkaniny przynosił ukojenie. Westchnął, a w brzuchu mu zaburczało. Haavirkińska jasnowidząca miała rację na swój sposób. Być może była tak mądra jak twierdził książę. Geder rozważał odszukanie jej o poranku i zadanie kolejnych pytań. Nawet jeśli były to jedynie przesady i bzdury, przynajmniej będzie miał o czym rozmyślać podczas długich, samotnych nocy na pustyni.

Nie zauważył, że zmógł go sen, dopóki się nie przebudził. Promienie słońca miały świeżą, żółtą barwę polnych kwiatów, a krótkotrwała rosa sprawiała, że powietrze pachniało bardziej rześko niż w rzeczywistości. Naciągnął rajtuzy i tunikę. Ubrania były gorszej jakości niż te, które miał na sobie zeszłego wieczora, ale teraz nie udawał się na książęcą ucztę. Koniec końców, to było Keshet. Standardy były zapewne trochę inne. Drewniane budynki wciąż stały. Geder ruszył w ich kierunku, obracając głowę i wyglądając strażników. Nie dostrzegł ich.

Nie dostrzegł nikogo.

Gdy dotarł do zabudowań, wielki, otwarty plac, na którym ucztowali jeszcze niedawno, był opuszczony. Gdy zawołał, nikt mu nie odpowiedział. Byłoby zupełnie jak w dziecięcej piosence, w której wszyscy byli duchami, gdyby nie to, że mógł podążyć za śladami stóp i zapachem końskich odchodów, a w palenisku wciąż żarzyły się biało-czerwone węgle. Konie zniknęły, podobnie jak mężczyźni i kobiety, ale wozy pozostały. Ciężkie wyciągarki używane przez niewolników księcia do wznoszenia tymczasowych budynków trwały na swoim miejscu. Znalazł nawet długie łańcuchy, które miała na sobie jasnowidząca, owinięte wokół szpuli z brązu i rzucone w pył.

Wrócił do swojego obozowiska, gdzie jego giermek przygotowywał śniadanie z gotowanego owsa i rozwodnionego cydru. Geder usiadł przy swoim stoliku polowym, spoglądając to w cynową miskę, to na opuszczone miasteczko.

– Wyjechali w środku nocy – powiedział Palliako. – Zabrali co tylko

mogli, bez robienia hałasu, po czym rozplynęli się w mroku.

– Być może księżę został okradziony i zamordowany – zasugerował giermek. – Takie rzeczy zdarzają się w Keshet.

– Mamy szczęście, że nie przytrafiło się to nam – rzekł Geder. Owsiankę osłodzono miodem. Jabłecznik miał trochę mocy, nawet pomimo wody. Jego giermek stał z boku, milcząc, podczas gdy Geder jadł, a pozostali słudzy zwijali obozowisko. Słońce znajdowało się zaledwie dwie dłonie nad horyzontem, gdy skończył posiłek. Chciał stąd odjechać, wrócić na szlak, zostawiając upiornie ciche obozowisko za sobą.

Jednak nie dawało mu spokoju, co jeszcze mogła zobaczyć haavirkińska jasnowidząca i co powiedziała swojemu księciu, gdy obcy gość opuścił ucztę.

Marcus

– Wolałbym przekazać je magistrze bel Sarcour do rąk własnych – powiedział mężczyzna. – Z całym szacunkiem, sir, ale moje umowy nie zostały przypieczętowane odciskiem twojego kciuka.

Był niskim człowieczkiem. Czubek jego głowy sięgał Marcusowi do ramienia, a strój pachniał jak jego sklep – drzewem sandałowym, pieprzem, kminkiem i koprem. Miał lisią twarz, a uśmiech wyglądał na wyuczony. Niższe pokoje banku medejskiego w Porte Oliva zajmował obecnie Marcus, Yardem, tęgi Kurtadam Ahariel oraz wszechobecny Karaluch. Same ich ostrza ważyły zapewne tyle samo co sprzedawca przypraw, a mimo to pogarda, którą darzył ich mężczyzna promieniowała od niego niczym żar od ognia.

– Ale ponieważ jej tu nie ma – rzekł Marcus – będzie się musiał pan porozumieć ze mną.

Sprzedawca przypraw uniósł brwi i zacisnął niewielkie usta. Yardem odchrząknął, a Marcus poczuł ukłucie rozgoryczenia. Tralgur miał rację.

– Jednakże – ciągnął kapitan – jeśli przyjmie pan naszą gošcinę na kilka minut, sir, uczynię wszystko co w mojej mocy, by ją odszukać.

– Tak lepiej – mruknął mężczyzna. – Może przyniesiecie mi kubek herbaty na czas oczekiwania?

Mógłbym cię zabić gołymi rękami, pomyślał Marcus i to wystarczyło, by przywołać na jego twarz uśmiech, którego wymagała od niego etykieta.

– Karaluchu? – rzekł Wester. – Zadbaj o wygodę naszego gošcia.

– Tak jest, kapitanie – odparł mały Timzinejczyk, zrywając się na równe nogi. – Jeśli pan pozwoli, sir?

Marcus wyszedł na ulicę. Yardem podążył za nim jak cień. Wieczorne słońce wciąż wisiało wysoko po zachodniej stronie. Tulipany w donicy przed bankiem były w pełnym rozkwicie. Płatki kwiatów, poprzecinane białymi żyłkami, miały jasnoczerwoną barwę.

– Pan uda się na Wielki Targ – powiedział Yardem. – Ja sprawdzę w szynku.

Marcus pokręcił głową i splunął na chodnik.

– Jeśli pan woli ją znaleźć, to ja pójdę na Wielki Targ – rzekł Tralgur.

– Zaczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Wester ruszył w dół ulicy. Pot ściekał mu pomiędzy łopatkami i wzdłuż kręgosłupa. Pies o żółtym pysku spojrział na niego z zacienionej alejki, ziewając. Było za gorąco, by chciało mu się szczekać. Ulice były bardziej opustoszałe niż po zachodzie słońca. Żar lejący się z nieba zmuszał ludzi do szukania schronienia skuteczniej niż ciemność. Nawet głosy żebraków i ulicznych sprzedawców brzmiały niemrawo.

Dla odmiany w szynku panował chłód. Świec nie zapalano, by nie dokładać choćby odrobiny ciepła, więc nawet pomimo światła wpadającego z ulicy, większość stolików skrywał półmrok. Marcus zmrużył oczy, zmuszając je do przywyknięcia. W środku przebywał tuzin ludzi różnych ras, ale nie było wśród nich Cithrin. Odgłos jej śmiechu dobiegał z tyłu. Marcus przeszedł przez wspólną salę, podążając za znajomym tonem głosu, przytłumionego tkaniną oddzielającą prywatne stoliki.

– ...miałoby efekt w postaci nagradzania najbardziej wiarygodnych pożyczkobiorców.

– Tyle tylko, że wkrótce straciliby swoją wiarygodność – rzekł mężczyzna nieco ciszej. – Twój system zachęca dłużników do tego, by przedłużali okres kredytowania, ale jeśli przeciągniesz go za bardzo, zamienisz niewielkie ryzyko w duże.

– Magistra – powiedział Marcus – mógłbym cię prosić na chwilę?

Cithrin odsunęła zasłonkę. Tak jak podejrzewał Marcus, był z nią ten półkrwi Jasur. Qahuar Em. Ich rywal. Talerz z serem i marynowanymi marchewkami stał na oddzielającym ich stole, podobnie jak niemal pusta butelka wina. Haftowana, płócienna sukienka Cithrin podkreślała jej figurę, natomiast włosy, zaczesane do tyłu, opadały na ramiona w nieładzie.

– Kapitanie?

Marcus wskazał ruchem głowy drzwi prowadzące na zewnątrz. Przez twarz Cithrin przemknął cień głębokiej irytacji.

– Mogę już pójść – zaoferował Qahuar Em.

– Nie. Zaraz wrócę – odparła Cithrin. Marcus wyszedł za nią. Boczna uliczka cuchnęła zepsutym jedzeniem i szczynami. Dziewczyna skrzyżowała ramiona na piersi.

– Sprzedawca przypraw przyniósł prowizje za zeszły tydzień – rzekł Wester. – Nie ma zamiaru dać ich nikomu poza tobą.

Zmarszczone brwi Cithrin sprawiły, że na czole i wokół ust pojawiły się głębokie bruzdy. Palcami niecierpliwie postukiwała o ramiona.

– Chce porozmawiać ze mną o czymś innym – oznajmiła.

– A nie z twoimi najemnikami – dokończył za nią Marcus. – Tak przynajmniej zakładam.

Dziewczyna pokiwała głową, tonąc w myślach.

W takich chwilach, gdy zupełnie się zapominała, stawała się kimś innym. Udawana dojrzałość, którą wpoił jej mistrz Kit i pozostali aktorzy była przekonująca, ale to nie była Cithrin. Roztrzepana młoda kobieta, która balansowała na granicy zbytnej pewności siebie i jej braku również nią nie była. Dopiero nie robiąc min, zatopiona we własnych myślach, zaczynała przypominać siebie samą. Kobietę, którą się stawała. Marcus odwrócił wzrok i spojrzał w głąb alejki, powtarzając sobie, że w ten sposób daje jej odrobinę prywatności.

– Powinam z nim porozmawiać – powiedziała Cithrin. – Jest w domu?

– Karaluch i Yarem zajęli się nim.

– W takim razie muszę się pospieszyć – rzuciła, z odrobiną wesołości w głosie.

– Mogę przekazać Qahuarowi twoje przeprosiny...

– Nie, powiedz mu, że zaraz wrócę. Nie chcę, żeby wychodził beze mnie.

Marcus zawahał się, ale pokiwał głową. Cithrin ruszyła ku wylotowi alejki, uważając, gdzie stawia kroki, skręciła w ulicę i zniknęła. Marcus jeszcze przez chwilę stał w śmierzącym półmroku, po czym wrócił do środka. Półkrwi Jasur wciąż siedział przy stole, w zamyśleniu pogryzając piklowaną marchewkę. Na pierwszy rzut oka był kilka lat młodszy od Marcusa, choć jasurska domieszka utrudniała dokładną ocenę. Przez szczątkowe łuski na skórze i pełne życia, zielone oczy przypominał Westerowi jaszczurkę.

– Magistra musiała opuścić nas na kilka minut. Niewielka sprawa do załatwienia – powiedział. – Powiedziała, że zaraz wróci.

– Oczywiście – odparł Qahuar Em, wskazując miejsce zajmowane wcześniej przez Cithrin. – Zechce pan ze mną zaczekać, kapitanie Wester?

Rozsądnie byłoby odmówić. Marcus skinął głową i usiadł.

– Jest pan tym Marcusem Westerem? – spytał mężczyzna, dając znak służącemu, by ten przyniósł gościowi kufel piwa.

– Ktoś musiał nim być – rzekł Marcus.

– Jestem zaszczycony. Mam nadzieję, że nie będzie nietaktem, jeśli stwierdzę, że jestem zaskoczony, widząc kogoś tej sławy, pracującego jako

strażnik, nawet jeśli jest to bank medejski.

– Moje nazwisko jest dobrze znane w pewnych kręgach – przyznał Marcus. – Jednak idąc ulicą, mogę być kimkolwiek.

– Mimo wszystko, po Wodford i Gradis, pomyślałbym, że mógłby pan żądać każdej ceny jako przywódca kompanii najemnej.

– Nie pracuję dla królów – rzekł Wester, gdy służący postawił kufel na stole przed nim. – To ogranicza mój wybór. A skoro już jesteśmy na dobrych warunkach...?

Qahuar pokiwał głową.

– Nie wiedziałem, że można mieszać krew Pierworodnych i Jasurów – powiedział Marcus. – Pierwszy raz widzę coś podobnego.

Mężczyzna rozłożył ręce. *Oto jestem.*

– W Lyoneii jesteśmy bardziej pospolici. Poza tym, pewne zadania lepiej przydzielać ludziom, którzy nie posiadają rodziny.

– Ach – mruknął kapitan. – Czyli jest pan bezpłodny? Żadnych dzieci.

– Moje błogosławieństwo i przekleństwo.

– Znałem takich ludzi na północy. Ta sama przypadłość dotyka potomstwo Cinnejczyków i Dartinejczyków. Znałem też kilku, którzy twierdzili, że są bezpłodni. Przez to cieszyli się większym zainteresowaniem płci przeciwnej. Tak było bezpieczniej.

– Istnieją pewne zalety – przyznał Qahuar z uśmiechem.

Marcus wyobraził sobie, że sięga ponad stołem i przetrąca mężczyźnie kark. Byłoby to trudne. Jasurowie to cholernie silne bestie, a do tego szybkie. Pociągnął długi łyk piwa. Smakowało jak trunek z browaru, który podkupiła Cithrin. Najwyraźniej weszła w układy z szynkarzem. Qahuar przechylił głowę, szczerząc do niego szereg ostro zakończonych zębów.

Ona ma o połowę mniej lat niż ty, pomyślał Marcus. *To wciąż tylko dziecko. Ale tego również nie mógł powiedzieć.*

– Jak odnajduje się pan w Porte Oliva? – spytał zamiast tego.

– Podoba mi się tutaj. Tęsknię za swoim klanem, ale jeśli uda mi się zapewnić im pracę... Cóż, będzie to warte swojej ceny.

– Musi to być imponujący klan, skoro staje w szranki z bankiem medejskim. Niewielu jest na to gotowych.

– Osobiście wolę myśleć, że to bank medejski staje w szranki z nami. To będzie ciekawa walka. Magistra Cithrin jest niezwykłą kobietą.

– Od zawsze tak uważałem – przyznał mu rację Marcus.

- Od dawna pan z nią pracuje?
- Poznaliśmy się w Vanai. Przyjechałem tu wraz z nią.
- To dobra pracodawczyni?
- Nie narzekam.

– Chodzą na wasz temat pogłoski, wie pan? Zwykła filia banku, nawet takiego holdingu jakim jest bank medejski, której strzeże sam Marcus Wester? Ludzie odczytali to jako znak, że magistra Cithrin faworyzuje szerszą, bardziej militarną strategię.

– A pan co myśli? – spytał Marcus, chcąc brzmieć naturalnie.

– Co ja myślę? – powtórzył Qahuar, opierając plecy o ścianę. Zmarszczył brwi, jakby po raz pierwszy obracał w głowie tę ideę. Uniósł palec. – Myślę, że wybrał pan tę pracę, ponieważ nie jest pan zainteresowany tworzeniem własnej armii. A to oznacza, że magistry Cithrin również to nie interesuje.

– Ciekawe spostrzeżenie.

– Jest pan cennym nabytkiem, kapitanie Wester. Wielu ludzi to wie.

Marcus parsknął śmiechem.

– Próbuje mnie pan przekupić? – spytał. – Trafiłem, prawda? Pyta pan, czy ktoś może kupić moją lojalność?

– A może? – odparował pytaniem Qahuar Em bez cienia wstydu w głosie.

– Nie ma na tym świecie dość złota – rzekł Marcus.

– Rozumiem i szanuję to. Rozumie pan jednak, że moje obowiązki względem klanu nakazują mi zapytać.

Marcus dopił resztę piwa jednym łykiem i wstał.

– Mamy coś jeszcze do omówienia, sir?

Qahuar pokręcił głową.

– Naprawdę, jestem zaszczycony, że mogłem pana spotkać, kapitanie Wester. Szanuję pana i pańską pracodawczynię.

– Dobrze wiedzieć – odparł Marcus, po czym wyszedł przez wspólną salę na ulicę, by poczekać na Cithrin, nie zważając na skwar. Gdy wracała, spieszenie idąc ulicą jak dziewczę w jej wieku, Wester już na nią czekał. Pot zrosił jej skórę, rozmywając farbki nałożone wokół oczu i ust.

– Załatwione – powiedziała. – Dobrze, że przyszedłeś z tym do mnie. Ten człowiek to pretensjonalny osioł, ale będzie przydatny.

– Twój zalotnik próbował mnie przekupić – oznajmił Marcus.

Cithrin przystanęła, a na ułamek sekundy w jej oczach zagościło rozczarowanie, po czym znów przywdziała wcześniejszą maskę. Nie była już

ani dziewczynką, ani kobietą, którą wkrótce miała się stać, lecz fałszywą, wyrachowaną damą, którą ulepił z niej mistrz Kit. Tę Cithrin Marcus lubił najmniej.

– Oczywiście, że próbował – powiedziała. – Niczego innego się nie spodziewałam. Kapitanie, możliwe, że nie wrócę na noc. Jeśli nie będę u siebie o poranku, proszę nie wszczynać alarmu. Wyślę kogoś z wiadomością.

Równie dobrze mogła zdzielić go w głowę cegłą. *To twój przeciwnik i Zabraniam ci sypiać z tym człowiekiem*, a także *Proszę, nie rób tego* walczyły o dominację w jego umyśle. Zdobył się jedynie na skinięcie głową. Cithrin musiała zobaczyć to w jego oczach, bo położyła mu rękę na ramieniu i ścisnęła delikatnie, zanim wróciła do środka.

Marcus ruszył ulicą w stronę domu, ale zatrzymał się, obrócił i zamiast tego skierował swoje kroki do portu. Słońce, leniwie sunące w stronę widnokręgu, muskało jego prawy policzek niczym dłoń. W okolicach doków ruch na ulicach wzmógł się. Ktoś zaczął wywieszać chorągiewki ze sznurków. Węzły zwisały z okien i drzew, a luźne końce powiewały na wietrze niczym macki meduzy. Uliczni lalkarze okupowali rogi budynków oraz publiczne place, siedząc na nich, nawet gdy nie wystawiali żadnej sztuki. Okręty z Narinisle miały przypłynąć dopiero za kilka tygodni, ale obchody z tej okazji przygotowywano już teraz.

Sam port pachniał słońną bryzą i wnętrznościami ryb. Marcus utorował sobie drogę przez ścisk marynarzy i robotników portowych, żebraków oraz ludzi królowej, na szeroki plac obok ostatniego nabrzeża. Dwa szynki i publiczne łaźnie walczyły o uwagę klientów na skraju placu, przyciągając spojrzenia jaskrawymi transparentami oraz skąpo odzianymi, ale znudzonymi kobietami. Na przeciwległym krańcu zahipnotyzowany tłum zebrał się wokół wozu teatralnego. Mistrz Kit miał na sobie powłóczystą szatę w odcieniach czerwieni i złota, a na głowę wciśnięto mu koronę z drutu. W ramionach trzymał nieruchome ciało Sandra. Cienka strużka czerwonej wody spływała po boku chłopaka.

– Jak? Jak mogłem na to pozwolić? Och Errison, Errison mój synu! Mój jedyny synu! – zawołał Kit delikatnie łamiącym się głosem, by wszystkie słowa wciąż były zrozumiałe, po czym gładko przeszedł do przemawiania wierszem. – Przysięgam, mój chłopcze, zapamiętaj, co mówię! Na krew smoków i kości Boga, ród Alysora zawiodę do *zguby!*

Kit zastygł, a chwilę później rozpętała się burza oklasków. Marcus

przecisnął się przez gawiedź, gdy Cary i Smit wyszli na scenę. Smit miał na sobie atrapę stalowej zbroi zrobioną z filcu i cyny, natomiast Cary ubrała obcisłą, czarną sukienkę, która pierwotnie wyraźnie została uszyta z myślą o Opal. Marcus obejrzał ostatni akt, w którym pradawna waśń szlachealnych rodów doprowadza najpierw do śmierci winnych, potem niewinnych, matki zabijają swoje córki, ojcowie giną od trucizn przeznaczonych dla ich synów, aż wreszcie cały świat chyli się ku upadkowi, a na scenie zostaje sam Kit, ze wszystkimi pozostałymi aktorami leżącymi u jego stóp, i płacze. Do czasu, gdy trupa powstała z martwych, by z uśmiechami pokłonić się widowni, a także pozbierać rzucane im monety, Marcus zdążył już z grubsza uspokoić myśli.

Gdy aktorzy zaczęli składać scenę, Wester poszedł za kulisy. Mistrz Kit przebrał się w bardziej codzienny strój i wycierał właśnie twarz miękką szmatką, oparty o wał nadbrzeżny. Widząc Marcusa, posłał mu szeroki uśmiech.

– Kapitanie! Dobrze pana widzieć. Co pan myśli o naszej nowej sztuce?

– Bardzo przekonująca – odparł Wester.

– Miło mi to słyszeć. Hornet! Uważaj na tę linę. Nie, tę na której stoisz!

Gdy młody aktor odskoczył na bok, mistrz Kit pokręcił głową.

– Czasami zadziwia mnie, że ten chłopak nie złamał jeszcze nogi, wstając z łóżka.

– Cary jest coraz lepsza.

– Myślę, że trochę przywykła. Przed końcem lata będzie potrafiła odegrać wszystkie poprzednie role Opal. Jednak wciąż mam nadzieję, że znajdę kogoś na zastępstwo dla Cary. Mogę ubrać Smita w wymyślne fatałaszkę i kazać mu mówić wysokim głosem, ale obawiam się, że nada to tragicznym scenom komicznego wydźwięku.

– Poszczyściło się wam?

– Można tak powiedzieć – przyznał Kit. – Rozmawiałem już z dwiema dziewczynami, które mogą się nadać. Jedna z nich ma więcej talentu, ale kłamie. Z doświadczenia wiem, że dobry kompan w drodze jest wart więcej niż dobry aktor na scenie. Myślę, że rzemiosła teatralnego mogę kogoś nauczyć. Ale to, jak być dobrym człowiekiem, jest czymś zupełnie odmiennym.

Marcus usiadł plecami do ściany. Zachodzące słońce skryło się za budynkami, ale chmury na niebie wciąż odbijały złotawo-pomarańczowy

blask. Kit wytarł tkaniną oczy i wcisnął szmatkę za pas.

– Zaraz po drugiej stronie muru jest tawerna – oznajmił. – Nocujemy tam za darmo, za każdym razem, gdy wystawimy jedną ze swoich komedii. Wkrótce będziemy tam wracać, jeśli zechciałby pan do nas dołączyć.

– Przemyślę to.

Stary aktor skrzyżował ręce na piersi. W jego oczach zagościła troska.

– Kapitanie? Z bankiem wszystko dobrze, jak mniemam? Wszystko, co słyszałem, sugeruje, że nasza dziewczynka radzi sobie całkiem nieźle.

– Ludzie przynoszą jej pieniądze – powiedział Marcus.

– Na to właśnie liczyliśmy, czyż nie?

– Tak.

– Ale?

Marcus spojrział w kierunku łaźni, mrużąc oczy. Dwóch Kurtadamów przekrzykiwało siebie nawzajem, gestykulując w stronę przybytku. Chuda, tralgurska dziewczyna powoli minęła ich, obserwując kłótnię.

– Chcę prosić o przysługę – powiedział.

– Co ma pan na myśli?

– Chcę, byś jeszcze raz wyjaśnił mi, dlaczego powinienem pozwolić jej podejmować wszystkie te błędne decyzje. I dlaczego nie powinienem montować poduszek na wszystkich ostrych krawędziach, o które mogłaby się skaleczyć.

– Ach – mruknął aktor.

– Gra idzie o większą stawkę niż jej się wydaje – ciągnął Marcus – a jej przeciwnikami są ludzie posiadający kilka dekad doświadczenia więcej niż ona. A do tego...

– A do tego?

– Zupełnie w to wsiąkła. Ona nie ma pojęcia, jak wiele z siebie wkłada w to przedsięwzięcie. Ale gdy już spadanie z konia... Chcę temu zapobiec. Zanim stanie się jej krzywda.

– Czyli mówi pan, że chce ją chronić.

– Nie – odparował Marcus. A potem: – Tak. Tyle że chronienie kobiet dość kiepsko mi wychodzi. Więc chcę, żebyś przypomniiał mi, dlaczego nie powinienem tego robić.

– Dlaczego nie pójdzie pan z tym do Yardema? Podejrzewam, że zna pana lepiej niż ja.

– Wiem, co powie. Wiem nawet jakim tonem to powie. Nie widzę sensu

w takim działaniu.

– Więc myśli pan, że ja pana przekonam?

– Masz dar przekonywania.

Mistrz Kit zachichotał i przysiadł obok niego. Cary krzyknęła, a w odpowiedzi aktorzy zaczęli wciągać scenę na zawiasach. Drewniane deski podłogi zamieniły się w bok wysokiego wozu. Sandr poszedł zaprząc muły. Słona bryza ucichła na chwilę, po czym znów zaszumiała, chłodząc policzek Marcusa. Chmury poszarzały, gubiąc ostatnie promienie słońca. Wkrótce wszystkie tawerny, burdele i publiczne łaźnie wystawią swoje barwne latarnie, próbując przywabić światłem klientów i ich sakiewki, tak jak robiły to z ćmami. Na ulice miasta wyjdą gwardziści królowej. A Cithrin... Marcus wolał nie myśleć o tym, co w tym czasie będzie robić Cithrin.

Powoli wyłożył wszystko aktorowi. Plan Cithrin, jej ambicje związane z bankiem i flotą eskortową i utrzymywanie stosunków z jej półkrwi jasurskim rywalem. Mistrz Kit słuchał uważnie, a gdy Marcus skończył, mężczyzna wydał usta, spoglądając na ciemniejące niebo.

– Powiem tak, kapitanie, bo wiem, że to prawda. Wierzę, że Cithrin posiada odpowiednie narzędzia oraz umiejętności, aby to wszystko zadziało. Jeśli będzie uważna i posłucha głosu rozsądku, to przy odrobinie szczęścia, może jej się udać.

– *Może to urocze słowo. Ale czy sądzisz, że uda się jej naprawdę?*

Mistrz Kit zamilkł na czas czterech długich oddechów. Gdy przemówił, w jego głosie pobrzmiwała melancholia.

– Prawdopodobnie nie.

Cithrin

Cithrin leżała w ciemności. Qahuar leżał obok niej, ale powolny, głęboki rytm jego oddechu zagłuszał chór świerszczy za oknem. Pościel pod nią i wokół niej była miękka niż skóra i wciąż wilgotna od potu.

Myślała, że pierwszy raz powinien boleć, ale tak nie było. Zastanawiała się, jak wiele innych rzeczy, które słyszała o seksie nie było prawdą. Gdyby wychowywała ją matka, miałyby przynajmniej kogo zapytać. Mimo wszystko, jak na kogoś, kto nie miał pojęcia, co robi, eksperyment zakończył się powodzeniem. Qahuar był dostatecznie pijany, by porzucić wszelkie pozory dyskrecji, więc ona zrobiła to samo. Kilka pocałunków, kilka pieszczot, po czym ściągnął z niej sukienkę, położył ją na łóżku i od tego momentu nie musiała robić zbyt wiele. Wszystkie te pchnięcia oraz postękiwania wydawały jej się dość absurdalne, ale po wszystkim i tak zaczęła myśleć o nim nieco przychylniej. Być może więc wynikająca z seksu rodziła się z mieszanki wspólnej przyjemności i upokorzenia.

Mimo to cieszyło ją, że mężczyzna zasnął. Zdążyła otrzeźwieć, ale pomiędzy ekscytacją z poprzedniego wieczora i obecną trzeźwością, nie miała złudzeń, że prędzej czy później ogarnie ją znużenie. Gdyby Qahuar nie spał, próbując podtrzymać rozmowę albo bawić się w gospodarza, zrobiłoby się bardzo niezręcznie. Lepiej, że pochrapywał cicho i tulił poduszkę, pozwalając jej spokojnie myśleć.

Jeśli wiosenna żegluga poszła szybko, jeśli dalekomorski handel rozpoczął się wcześniej, jeśli wydarzyła się setka rzeczy, o których ona ani nikt inny w mieście nie mógł wiedzieć, pierwsze okręty z Narinisle mogły przypłynąć nawet jutro. Z drugiej strony mogło minąć jeszcze kilka tygodni, nawet miesiąc, zanim kupcy dowiedzą się, czy sprzyjało im szczęście. Raporty kapitanów dostarczyłyby jej ostatnich istotnych informacji – na temat ruchów piratów, stanu północnych portów, możliwości wybuchu wojny domowej na Północnym Wybrzeżu albo kolejnej zbrojnej interwencji w Antei. Namiestnik będzie spodziewał się jej oferty niedługo później.

Wyobrażała sobie przybycie audytora. Może nawet samego Komme Medejczyka. Miała zamiar powitać go z uśmiechem i zaprosić do swoich kwater. A może podejmie go w kawiarni. Tak będzie lepiej. Mlecznooki maestro Asanpur poprowadzi go do prywatnego pokoiku, gdzie ona będzie

czekać, aby go przywitać. Księgi rachunkowe będą gotowe, a księgowość sprawdzona. Wyobrażała go sobie jako starego mężczyznę o groźnym spojrzeniu i dużych dłoniach.

Audytor przejrzy jej rachunki i umowy, a jego rysy złagodnieją. Zmieszanie i gniew ustąpią miejsca podziwowi. Naprawdę tak dobrze poradziła sobie z finansami banku? Naprawdę udało jej się ocalić wszystko i jeszcze więcej? Leżąc w ciemności, ćwiczyła bardzo nieznaczne uniesienie brwi.

– To nic takiego – powiedziała cicho, ale na głos.

Wtedy wyjmie spod krzesła kasetkę z rocznym zeznaniem oraz procentem dla holdingu. Mężczyzna przejrzy dokumenty, kiwając głową. A wtedy, dopiero gdy wszystko zostanie załatwione, dopiero wtedy wyciągnie umowę z namiestnikiem Porte Oliva i wręczy mu klucze do południowych szlaków handlowych. Wyobrażała sobie, że ręce będą mu drżały z niedowierzania dla jej błyskotliwości. Półkrwi, osierocona dziewczyna, a udało jej się dojść tak daleko. *Tylko pod warunkiem*, doda wtedy Cithrin, *że moja filia zostanie zaakceptowana*.

– Bank w Porte Oliva jest *mój* – powiedziała, a potem niższym, chrapliwym głosem audytora dodała: – Oczywiście, magistra.

Uśmiechnęła się szeroko. To była piękna myśl. Z drugiej strony, dlaczego by nie? To ona uchroniła całe bogactwo Vanai przed księciem i Antejczykami. Była to wyłącznie jej zasługa. Gdy udowodni już, że potrafi prowadzić bank, dlaczego holding miałby ją odwołać? Zasłużyła sobie na prowadzenie filii oraz życie, które się z tym wiązało. Audytor to zrozumie. Komme Medejczyk to zrozumie. Czowała, że sobie poradzi.

Jakiś niewielki, niewidoczny insekt usiadł jej na dłoni, więc strzepnęła go. Jej rywal i kochanek powiedział coś przez sen, zmieniając pozycję. Uśmiechnęła się do chropowatej powierzchni skóry jego pleców. Będzie jej niemal przykro, gdy wykoleguje go z interesu. Ale tylko niemal.

Zupełnie, jakby było to wspomnienie z poprzedniego życia, usłyszała w głowie głos Yardema Hane’a. *Nie istnieje coś takiego jak kobieta broń*. Wiedziała teraz, że nie miał racji.

Gdy wysliznęła się z łóżka, mężczyzna nawet nie drgnął. W ciemności trudno było jej znaleźć ubrania rozrzucone po ceglanej podłodze. Nie chciała ryzykować obudzenia go, więc gdy znalazła ciśniętą na bok koszulę, naciągnęła ją przez głowę. Sięgała jej do ud. Musiało wystarczyć. Potruchtała

w kąt pokoju, błędząc palcami po posadzce, dopóki nie znalazła tego, czego szukała: mosiężnego klucza na skórzanym rzemieniu, który Qahuar Em zawsze miał przy sobie.

Cóż. Prawie zawsze.

Cegły chłodziły jej podeszwy stóp, a odgłosy kroków były tak ciche, że niemal niesłyszalne. Kompleks budynków, w którym mieściły się ciasne pokoje, położony był blisko portu. Całość wzniesiono wokół niewielkiego ogrodu na dziedzińcu. Czterej słudzy Qahuara byli pełnej krwi Jasurami, ale nocą na miejscu pozostał jedynie odźwierny niewolnik. Mężczyzna może i był wysłannikiem wielkiego, lyonejskiego klanu, lecz przestrzeń w Porte Oliva kosztowała, dlatego posiadanie bardziej wystawnego domu niż lokalna szlachta nie przysłużyłoby się jego sprawie. Cithrin przeszła kilka kroków w zupełnej ciemności i doliczyła się trzecich drzwi po lewej. Wykonano je z dębu i obito żelazem. Odnalazła dziurkę od klucza i ostrożnie wsunęła w nią skradziony klucz. Gdy go przekręciła, trzask zapadek rozbrzmiał głośno niczym wrzask. Serce zabiło jej szybciej, ale nikt nie podniósł alarmu. Otworzyła drzwi i wśliznęła się do prywatnej pracowni Qahuara.

Okiennice zostały zatrzaśnięte i zabezpieczone, ale gdy je otworzyła, światło półksiężyca wystarczyło, aby wydobyć z mroku ogólny zarys przedmiotów. Znalazła biurko. Kasetę przytwierdzoną do podłogi. Siatkowy pojemnik zawierający zwoje i poskładane listy. Okrytą latarnię z pierścieniem z rzeźbionego krzemienia, na łańcuszku z kutego srebra. Cithrin wykrzesła iskry przy knocie, po czym szybko zamknęła i zabarykadowała okiennice. Wcześniejsze cienie i kształty ożyły w odcieniach oranżu i szarości. Pancerna kasetka była zamknięta, a ukradziony klucz nie pasował. Biurko było puste, jeśli nie liczyć fiolki wielkości kciuka wypełnionej zielonym atramentem oraz metalowego rylca. Przeszła do zwojów i listów, przeglądając je szybko i metodycznie, ale pamiętając przy tym, by ułożyć je w tej samej kolejności i odłożyć na swoje miejsce.

Czuła nieprzyjemne uczucie w żołądku i przyspieszone bicie serca, ale odepchnęła te rzeczy na bok. Na podobne odczucia pozwoli sobie później, jeśli będzie na to czas. List od namiestnika z podziękowaniami dla Qahuara za jego podarunek. Czekolada była wyborna, a żona namiestnika przesyłała swoje najszczerze dowody uznania. Cithrin odłożyła list. Następny rozwinięty zwój zwierzał imiona oraz stopnie pokrewieństwa kilku tuzinów ludzi, których nazwiska nic jej nie mówiły. Ten również odłożyła na miejsce.

Zza zamkniętego okna dobiegł ją trzask drozda. Cithrin przeczesła palcami włosy. Coś z tego musiało być przydatne. Gdzieś w tych dokumentach musiało być coś o tym, jaką ofertę Qahuar miał zamiar złożyć namiestnikowi. Sięgnęła po kolejny list, zahaczając o latarnię. Szklano-metalowa konstrukcja drgnęła, zakołysała się, ale dziewczyna chwyciła ją w ostatniej chwili. Jeszcze sekunda, a lampa spadłaby z blatu. Stłukłaby się. Cała pracownia stanęłaby w ogniu. Cithrin ostrożnie przesunęła ją na środek biurka, po czym wróciła do przeglądania dokumentów drżącymi dłońmi.

Wydawało jej się, że minęły godziny zanim znalazła coś wartego uwagi. Długi zwój z dobrej jakości bawełny. Kolejne linijki szyfru zostały umieszczone w pewnych odstępach tak, że Qahuar był w stanie zapisać wiadomość pomiędzy nimi. Cithrin prześledziła palcami słowa. List został napisany przez starszego klanu i był wszystkim, co miała nadzieję odkryć. Klan mógł zaoferować namiestnikowi piętnaście okrętów. Każdy obsadzony pełną załogą złożoną z dwóch tuzinów marynarzy. Czytała dalej, a jej palce cicho szurały o powierzchnię pergaminu. W zamian chcieli szesnaście setnych części od wszystkich transakcji w każdym porcie, jeśli statki otrzymają ochronną eskortę lub dziewiętnaście setnych, jeśli gwarantem bezpieczeństwa miał być sam klan. Starszy ocenił wstępne wydatki na dwa tysiące sztuk srebra i zakładany dochód na poziomie pięciuset sztuk srebra rocznie. Umowa miała zostać podpisana na całą dekadę.

Magister Imaniel często mówił o narzędziach pamięciowych. Atrament był niezastąpiony, ale spisywanie wszystkich liczb i próba wyniesienia ich z domu była ryzykiem, którego nie musiała podejmować. Piętnaście okrętów po dwa tuziny mężczyzn.

– W wieku lat piętnastu, miała mężczyzn dwa tuziny – powiedziała do siebie Cithrin.

Szesnaście setnych bez gwarancji i dziewiętnaście z gwarancjami. Gwarancja zatem warta była trzy.

– Szesnaście dla towarzystwa, a o trzech więcej ukochanych.

Dwa tysiące na początek z zakładanym dochodem na poziomie pięciuset sztuk złota rocznie przy dziesięcioletniej umowie.

– Dwa tysiące całusów rozdała, pięćset odbierając, ale dziesięć lat później była sama, umierając.

Na zwoju umieszczono więcej informacji – specyfikacje okrętów, nazwiska poszczególnych kapitanów oraz trasy, którymi mieli płynąć – więc

starła się przeczytać jak najwięcej, ale to czego potrzebowała już znalazła.

Odłożyła pergamin na miejsce, a następnie odstawiła latarnię i zdmuchnęła płomień. Zdążyła przyzwyczaić oczy do światła, dlatego teraz zapadła wokół niej ciemność absolutna. Zapach zgaszonego knota była drażniący i ostry. Zamknęła oczy, a potem, sunąc dłonią po ścianie, dotarła do drzwi. Wymknęła się na korytarz, przekręciła klucz w zamku, po czym, niemal w podskokach, wróciła do sypialni Qahuaara. Odłożyła klucz w kącie, gdzie go znalazła, zrzuciła z siebie koszulę i szybko wśliznęła się do łóżka.

Qahuar mruknął coś przez sen, po czym wyciągnął ramię, by objąć ją na wysokości brzucha.

– Jesteś zimna – powiedział półprzytomnie.

– Wkrótce będę ciepła – odparła, czując jego uśmiech, bardziej niż widząc go w rzeczywistości. Gdy przytulił się do niej, Cithrin spróbowała rozluźnić ciało. Zamknęła oczy i powtarzała sobie w głowie słowa.

W wieku lat piętnastu, miała mężczyzn dwa tuziny, szesnastu dla towarzystwa, a o trzech więcej ukochanych. Dwa tysiące całusów rozdała, pięćset odbierając, ale dziesięć lat później była sama, umierając.

– Wyglądasz na wykończoną – powiedział kapitan Wester, oparty o ścianę obok donicy z tulipanami, gdzie wcześniej zwykł stać nawoływacz hazardzisty. – Zacząłem myśleć, że będziemy musieli wysłać grupę szturmową, żeby cię odbiła.

– Mówiłam, że nie wrócę na noc – odparła Cithrin, mijając go w drodze do swoich prywatnych kwater. Mężczyzna ruszył za nią, jakby go zaprosiła.

– Miałaś spotkać się w południe z kobietą z gildii iglarzy. Podejrzewam, że jest już w drodze do kawiarni. O ile nie zamierzasz mieć na sobie tej samej sukienki...

– Nie mogę się z nią spotkać – rzuciła Cithrin, wchodząc na schody. Usłyszała, że mężczyzna przystanął, po czym podbiegł kilka stopni, by za nią nadążyć. Gdy przemówił, jego głos był ostrożny i uprzejmy. Brzmiał, jakby dochodził z odległości pół mili.

– Chcesz podać jej jakiś powód?

– Wyślij kogoś. Niech powie, że jestem chora.

– W porządku.

Cithrin usiadła na swojej sofie, rzucając mężczyźnie gniewne spojrzenia. Wester skrzyżował ręce na piersi, zaciskając usta. Nie był wiele starszy niż Qahuar Em. Cithrin ściągnęła jednego buta i zaczęła masować stopę. Jej

podeszwy były brudne. Sukienka wisiała na niej, jakby sama tkanina była spocona i wycieńczona.

– Nie zmrużyłam oka – powiedziała. – I tak jej w niczym nie pomogę.

– Skoro tak mówisz – rzucił Wester ze skinieniem głowy. Mężczyzna miał już wyjść, gdy ogarnęło ją nagłe uczucie rozpacz. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo nie chciała być teraz sama.

– Nic się nie działo, gdy mnie nie było? – spytała niepewnym głosem.

Marcus przystanął na szczycie schodów.

– Wszystko w porządku.

– Jest pan na mnie zły, kapitanie?

– Nie – powiedział. – Powiem tej iglarce, że jesteś zbyt chora, by ją przyjąć. Zakładam, że wyślesz jej wiadomość, gdy już ci się polepszy?

Cithrin ściągnęła drugiego buta i pokiwała głową. Wester zszedł na dół. Trzasnęły zamykane drzwi. Położyła się. Ta noc była spełnieniem wszystkich jej nadziei, ale blady świt zastał ją zupełnie wykończoną. Jej ciało było słabe i drżące, zupełnie jak po tych nocach w karawanie, gdy nie mogła spać. Przekonywała siebie, że tamte dni nie wrócą, ale myliła się. A teraz, choć nie chciał tego przyznać, Wester był na nią zły, a jej z trudem przychodziło pogodzenie się z tym, jak bardzo doskwierał jej brak jego aprobaty.

Rozważała zawołanie go na górę i wytłumaczenie, że dała się uwieść celowo. Że pójście do łóżka z Qahuarem Emem stanowiło jedynie wybieg. Im dłużej powtarzała sobie te słowa, tym gorzej brzmiały. Jej uszu dobiegły dźwięki z niższego piętra. To strażnicy zatrudnieni przez Westera. Po odgłosach stwierdziła, że grają w kości. Bolał ją kręgosłup. Ktoś na dole krzyknął z przerażeniem, czemu odpowiedziały pełne sympatii jęknięcia. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że powrót do własnych pokoi przyniesie jej spokój i odpoczynek. Zamiast tego jej myśli gnały na oślep, coraz szybciej i szybciej, niczym wielka kula staczająca się z nieskończonego wzgórza.

Piętnaście okrętów można było podzielić na trzy grupy po pięć statków albo pięć po trzy, więc prawdopodobnie klan Qahuara podejrzewał, że kupcy zechcą wysłać swoje siły do trzech głównych portów – najpewniej do Carse, Lasportu i Asinportu. Lecz co, jeśli myśleli, iż kupcy postanowią odpuścić Asterilhold i pożeglują do Antei albo Sarakał, albo Hallskar? Dwa tuziny mężczyzn na jednym statku to spora liczba, ale czy lyonejscy marynarze poradzą sobie równie dobrze na zimnych wodach północy? Czy mogła argumentować, że – wzięwszy pod uwagę jej powiązania z Carse – mogła

zaoferować statki obsadzone załogą lepiej zaznajomioną z tamtejszymi wodami? A nawet gdyby to uczyniła, to czy byłaby to prawda?

I dlaczego Opal ją zdradziła? I dlaczego Bóg pozwolił magistrowi Imanielowi umrzeć? A Cam? A jej rodzicom? A czy Sandr ciągle jej pożądał? Czy Cary wciąż będzie jej przyjaciółką? Czy mistrz Kit wciąż pochwalał to kim lub czym była? Co robili inni ludzie bez przyjaciół, których kochankowie byli jednocześnie rywalami? Musiał istnieć jakiś lepszy sposób działania.

Łzy wezbrały jej w kącikach oczu i pociekły po policzkach. Nie czuła smutku. W zasadzie nie czuła niczego poza zmęczeniem oraz irytacją swoją własną osobą. Miała chwilowy napad chandry, musiała jedynie poczekać aż przejdzie. Gra w kości trwała w najlepsze. Głosy dwóch mężczyzn zmieniały natężenie, łącząc się i dzieląc.

Cithrin zmusiła się, by usiąść. Potem by wstać. Potem zdjęła z siebie ubranie z zeszłego wieczora i założyła prostą spódnicę oraz bluzkę. Związała włosy z tyłu, ale zobaczyła niewielkie ugryzienie, które Qahuar zostawił jej na szyi, więc pozwoliła im ponownie opaść luźno. Napełniła niewielką miednicę obok łóżka, po czym obmyła w niej twarz. Farby zostawione jej przez Cary wciąż leżały obok. Cithrin rozważyła ponowne przywdzianie maski magistry Cithrin z banku medejskiego. Ostatecznie zrezygnowała – i tak nie miała na to siły – a następnie zeszła na dół.

Gdy otworzyła drzwi, kompania ucichła. Dwaj pierworodni mężczyźni wymienili spojrzenia i odwrócili wzrok. Bledszy z nich wyraźnie się zarumienił. Kurtadam skinął jej głową.

– Wybacz, magistra – powiedział. – Nie wiedzieliśmy, że jesteś u siebie.

Cithrin lekceważąco machnęła ręką.

– Yarem? – spytała.

– Na tyłach, magistra – rzekł Kurtadam.

Cithrin minęła strażników, by dostać się do tylnych pokoi i zniknęła w półmroku. Yarem Hane leżał na długim, niskim łóżku, z dłońmi splecionymi na brzuchu. Oczy miał zamknięte, a uszy stulone. Cithrin miała już wyjść, odkładając tę rozmowę na kiedy indziej, gdy mężczyzna przemówił.

– Mogę ci w czymś pomóc, pani?

– W zasadzie. Tak, Yarem – powiedziała. – Znasz kapitana lepiej niż ktokolwiek inny.

– To prawda – przyznał Tralgur. Oczy wciąż miał zamknięte, a jego głos pozostawał spokojny.

– Myślę, że mogłam go urazić.

– Nie byłabyś pierwszą osobą, która to zrobiła, pani. Jeśli zaczniesz to być problemem, kapitan powie ci o tym.

– W porządku.

– Coś jeszcze?

Tralgur nawet nie drgnął, jeśli nie liczyć wznoszącej się i opadającej piersi.

– Spałam z mężczyzną, którego teraz zamierzam zdradzić – oznajmiła, a jej głos brzmiał równie szaro i twardo co łupki. – Muszę to zrobić, żeby utrzymać bank, ale chyba czuję się w związku z tym winna.

Yardem otworzył jedno łagodne, czarne oko.

– Wybaczam ci – powiedział.

Cithrin pokiwała głową. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi i wyszła na ulicę, aby wrócić do swoich kwater. Głosy z dołu ucichły. Strażnicy byli teraz świadomi, że właścicielka banku może ich usłyszeć. Dziewczyna usiadła za biurkiem, wyjęła księgi i zaczęła tworzyć szkic propozycji, która pozwoli jej pokonać Qahuara Ema.

Geder

Geder nie był w stanie określić, kiedy dokładnie zjechali ze smoczego traktu. Z początku jedynie wiatr i niepogoda przysypywały drogę pyłem pustyni, nawet w miejscach, gdzie przebiegała ona przez karawanseraje, uchodzące w Keshet za miasta. Potem, gdy wszystkie te wielkie miejsca spotkań zostały za nim, jadeit drogi stał się rzadszym widokiem, zastąpionym przez brązową ziemię lub żółtoszarą trawę pustynną. Pod koniec gościniec widoczny był jedynie w miejscach, gdzie krzewy i chwasty były mniejsze, a ich korzenie zasłaniały widoczność jedynie kilka cali nad ziemią.

Ostatecznie trakt zniknął zupełnie, a Geder wjechał pomiędzy góry i doliny na wschodnim krańcu świata. Tutejsze drzewa były cienkie i powykręcane, o grubej, nieco kleistej korze, najwyraźniej mającej za zadanie imitowanie kamieni. Nocą, po ziemi i przez namioty, przemykały niewielkie jaszczurki o żółtych ogonach. Z rana znajdowali jedną albo kilka z nich martwych w workach z obrokiem. Woda stała się na tyle rzadka, że nawet przy błotnistych strumykach słudzy Gedera napełniali wszystko, co było w stanie utrzymać w sobie wilgoć, a nawet wtedy ich zapasy nierzadko kurczyły się więcej niż do połowy. Każdego wieczora słuchał opowieści swoich służących o bandytach i nieczystych duchach, które nawiedzały puste miejsca na świecie. Choć nie pojawiły się żadne nowe zagrożenia, spał wyjątkowo kiepsko.

Geder większość swojego życia spędził w granicach Antei. Podróżowanie oznaczało przemierzenie drogi z Rivenhalm do Camnipolu albo wzdłuż trasy Królewskiego Gonu do Kavinpolu, Sevenpolu i Estinportu. Raz, jako chłopiec, odwiedził Kaltfel, królewskie miasto Asterilhold, by być świadkiem ożenku swojego dalekiego kuzyna. Udał się również na kampanię wojenną do Vanai pod dowództwem lorda Ternigana, a potem sir Alana Klina. Nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie podróżował samotnie lub prawie samotnie przez tereny tak wymarłe i odcięte od świata, że miejscowi wieśniacy nigdy nie słyszeli o Antei czy Rozdartym Tronie. Gdy napotkał na swojej drodze zbitek ruder wzniesionych wokół wąskiego, groźnie wyglądającego jeziora, nieufni mężczyźni, którzy wyszli mu na spotkanie, jedynie pokręcili głowami i wzruszyli ramionami, gdy wspomniał o domu.

Równie dobrze mógłby powiedzieć im, że przybył z gwiazd albo spod

ziemi. To znaczyłoby dla nich tyle samo, a może nawet więcej. Mieszkańcy gór byli Pierworodnymi, ale ich jednakowa, oliwkowa skóra, ciemne oczy i grube, sztywne włosy sprawiały, że wyglądali jak członkowie jednej, wielkiej rodziny. Niektórzy z nich znali cywilizowane języki na tyle, by handlować z wysuniętymi placówkami, ale przez większość czasu mówili lokalną gwara, którą Geder niemal rozumiał dzięki kiedyś przeczytanym, starożytnym księgom. Miał wrażenie, że cofnął się do mglistej przeszłości.

– Sinir – powiedział Geder. – Czy to są góry Sinir?

Młody człowiek spojrzał przez ramię na tuzin mężczyzn, którzy przyszli ze wsi i oblizali usta.

– Nie tu – odparł. – Na wschodzie.

Z jednej strony wszyscy, których spotkał na tych wyludnionych, poszarpanych graniach, rozpoznawali to słowo, wiedząc o co pyta. Z drugiej zaś, góry Sinir leżały niedaleko na wschód już prawie od dwóch tygodni podróży, umykając mu niczym miraż. Wąskie, pyliste drogi wiły się przez doliny lub u podnóży stromych, skalistych stoków. Stanowiły niewiele więcej niż szlaki przetarte przez zwierzynę, przez co nieraz Geder zachodził w głowę, czy zostawił za sobą wszystkie ludzkie siedziby tylko po to, by za następnym zakrętem trafić do kolejnej małej, zdesperowanej wsi.

– Wskazesz mi drogę? – spytał Geder. – Czy któryś z twoich ludzi może mnie tam zabrać? Zapłacę miedzią.

Nie żeby miedź miała jakąkolwiek wartość dla tych ludzi. Monety warte były niewiele więcej od małych, błyszczących kamyczków. Jego czarna peleryna byłaby dla nich bardziej żyteczna, ale nie chciał się z nią rozstawać. Poza tym, od kiedy opuścił Keshet, wjeżdżając na te nieoznaczone tereny, nikt nie wykazywał żadnego zainteresowania oferowanymi przez niego dobrami. Pytał z czystego przyzwyczajenia, ponieważ robił to za każdym razem wcześniej. W rzeczywistości nie pokładał zbyt wielu nadziei w tym, że znajdzie kogoś, kto przystanie na jego propozycję.

– Dlaczego chcesz tam iść? – spytał młody mężczyzna.

– Szukam czegoś – odpowiedział Geder. – Starego miejsca. Bardzo starego. Mającego coś wspólnego ze smokami.

Młodzieniec oblizali usta, zawahał się, po czym pokiwał głową.

– Wiem, o jakim miejscu mówisz – powiedział. – Zostań na noc, a zabiorę cię tam z rana.

– Naprawdę?

– Szukasz starej świątyni, tak? Tej, w której żyją święci mężowie?

Geder odchylił się. Po raz pierwszy usłyszał coś na temat świątyni i kapłanów, więc jego serce zabiło mocniej. W kilku esejach o upadku Smoczego Cesarstwa istniały pewne odwołania, wspominające o kokonach uśpionych smoków, które ukryto w najdalszych zakątkach świata. Ten kokon mógł zawierać księgi i zwoje opisujące legendy oraz tradycje. Gdyby udało mu się przekonać miejscowych kapłanów, aby pozwolili mu przeczytać książki albo kupić ich kopie... Przez chwilę myślał, co mógłby zaoferować im w zamian.

– Książę?

– Co? – spytał Geder z rozkojarzeniem. – Ach, tak.

Tak, stara świątynia. Tam właśnie chciałbym się udać. Musimy czekać do poranka? Możemy wyruszyć teraz.

– Do poranka, sir – oznajmił młody mężczyzna. – Dziś zostaniesz z nami.

Wieś mogła pochwalić się dwoma tuzinami drewnianych, jesionowych ruder, zbitych ze sobą na podobieństwo jednej, większej budy. W brudzie i nędzy mieszkało tu około stu osób. Wysoko po niebie krążyły sokoły, wzbijając się coraz wyżej w stronę słońca. Geder kazał swojemu giermkowi rozbić namiot na brzegu jeziora, tuż poza granicami wsi, a czterem sługom rozkazał pełnić straż przez część nocy. Nie żeby pięciu ludzi było w stanie obronić go przed tubylcami, gdyby coś poszło nie tak, ale jeśli mógł chociażby liczyć na jakieś ostrzeżenie, to nie potrafił z tego zrezygnować.

O zmroku do jego obozowiska przyszła kobieta z miską rozgniecionych korzeni przemieszanych z gotowanym mięsem. Podziękował jej, wręczył kilka miedziaków, po czym zakopał jedzenie, nawet go nie próbując. Żar dnia promieniował z ziemi, a chłód wieczora nadciągnął od strony wody. Geder leżał na łóżku, rozbudzony i niespokojny. Dłużący się, straszliwy czas oczekiwania na sen stanowił najtrudniejszą część jego dnia. Kiepskie jedzenie, mordercza monotonia podróży i ciągła samotność doskwierały mu, to fakt, ale pomiędzy cichymi chwilami, kiedy leżał w ciemności a właściwym zapomnieniem, wszystkie te rzeczy, przed którymi uciekał, znów go dopadały.

Wyobrażał sobie, co jeszcze mogło wydarzyć się w Camnipolu. Spisek stojący za zamachem stanu został ujawniony, a jego uczestnicy powieszani na ulicach miasta. Taką przynajmniej miał nadzieję. Możliwe też, że do miasta sprowadzono nowe oddziały najemników, które wymordowały

połowę dworu. Ciekawiło go, czy ojciec Jorey'a Kalliana dał synowi taką samą radę, jaką przyjął Geder. W jakie strony udałaby się Jorey, gdyby chciał uniknąć politycznych wstrząsów?

Geder wyobrażał sobie powrót do odmienionego królestwa. Co jeśli Asterilhold zapłaciło najemnikom, by przeprowadzili pierwsze uderzenie szeroko zakrojonej inwazji? Gdy Geder wróci do domu, może nie być już Antei, Rozdartego Tronu i Rivenhalm. Jego ojciec może już teraz nie żyć.

Albo Klin i jego ludzie mogli wrócić do łask. Geder wyobraził sobie jak wjeżdża do miasta przez wschodnią bramę, po czym wpada na strażników, którzy aresztują go i wtrącają do publicznego więzienia. Stał na podwyższeniu, spoglądając na morze przypieczonych, zwęglonych twarzy – Vanai, zniszczone z jego rozkazu – i wtedy zdał sobie sprawę, że w końcu morzy go sen.

O poranku sny rozmyły się, a jego słudzy przynieśli mu dwie garście suszonych jabłek oraz cynowy kubek wody. Przy szlaku stało już pół tuzina mężczyzn. Obok nich przysiadł niski wóz, wyładowany koszami z suszoną fasolą i trzema świeżo zabitymi kozami. Najwyraźniej były to dary dla świątyni. Najstarszy mężczyzna zaklaskał w dłonie, szybko i głośno, a pozostali chwycili grube sznury i zaczęli ciągnąć pojazd po miałkim pyłe. Geder ruszył za nimi konno, jako jedyny wierzchem.

Szlak, którym podążali, wił się wśród pagórków, czasami prowadząc krawędziami rozpadlin i urwisk. Nawet kamienie przeszły przemianę, stały się bardziej postrzępione i ostre, zupełnie jakby setki lat erozji nie były w stanie złagodzić ich kształtów. Geder zaczął rozważać, jaki związek miało ukształtowanie terenu ze smoczymi traktami. Czy podobną wytrzymałość można było nadać tutejszej ziemi? Czy też może właśnie to odróżniało góry Sinir od pozostałych?

Kształty niektórych kamieni były zaskakująco organiczne. Posiadały łagodne, niemal eleganckie łuki, a w miejscach, w których pasowały do siebie, przypominały kości. Na jednej z mijanych polan, łukowate terasy okalał rząd jasnych, porowatych kamieni, niepasujących ani do suchego, pustynnego krajobrazu, do którego Geder zdążył się przyzwyczaić, ani do nowej, nieregularnej topografii. Zupełnie, jakby umarł tu jakiś olbrzym, a jego żebra zaległy w bezładnym stosie na ziemi. Geder spojrział w górę i ujrzał czaszkę.

Samo szerokie czoło było długości jego konia. On sam mógłby w całości

skryć się w pustym oczodole. Nozdrza ginęły pod powierzchnią ziemi, zupełnie jakby upadły smok pił z gruntu. Pięć długich jak ostrza zębów wciąż tkwiło w szczęce. Wieki ostrego słońca wybieliły kości, ale wiatr, piasek i deszcz nie były w stanie im zaszkodzić. Geder wstrzymał swojego wierzchowca i patrzył z otwartymi ustami. Wieśniacy dalej ciągnęli swój wóz, rozmawiając między sobą i wymieniając bukłak z wodą. Geder zeskoczył z siodła, a następnie podszedł do czaszki. Niepewnie wyciągnął dłoń, kładąc ją na nagrzaną kość smoka. Jego zwłoki leżały tu od tysięcy lat. Jeszcze zanim ludzkość rozpoczęła swoją historię.

– Książę? – zawołał młody mężczyzna z wioski. – Chodź! Chodź!

Drżąc na całym ciele, Geder wdrapał się z powrotem na siodło i popędził konia.

Słońce nie pokonało długiej drogi po niebie, gdy grupa minęła ostatni zakręt wokół pola porzucanych kamieni, z których każdy miał rozmiar żaglowca, a w oddali pojawiła się świątynia. Ciemne otwory wydrążonych w skale drzwi i okien wychodziły na krajobraz. Geder przez krótki czas miał wrażenie, że patrzy na niego pojedyncze, ogromne oko owada. Koniec szlaku znaczyła ściana wysoka jak mury obronne Camnipolu. Wielkie, wyniosłe posągi, które kiedyś przedstawiały ludzkie postaci, stały wzdłuż niej niczym strażnicy. Czas zmył rysy ich twarzy, zostawiając jedynie wypukłości i kikuty. Ponad nimi górował ogromny smok o rozpostartych skrzydłach. Wielkie sztandary powiewały na wietrze, po jednym dla każdego z trzynastu posągów. Każda chorągiew była innego koloru – niebieskiego, zielonego, żółtego, pomarańczowego, czerwonego, brązowego i czarnego, a także różnych odcieni pomiędzy nimi – z jasnym okręgiem na środku, przeciętym czterema liniami na osiem równych części.

A jego symbolem stała się róża wiatrów wskazująca osiem stron świata, tak by fałsz nie mógł skryć się w żadnym jego zakątku. Pieczęć Prawego Sługi. Łzy napłynęły Gederowi do oczu. Nagle poczuł coś na kształt ulgi. Triumfu, być może. Oto miejsce, którego szukał.

Ruszyli w stronę świątyni, a im dłużej to trwało, tym lepiej Geder rozumiał zapierający dech w piersiach majestat tego miejsca. Olbrzymia brama została wprawiona w mur, złowroga i nieprzystępna. Ponad nią, topornymi literami napisano *Khinir Kicgnam Bat*. Każda z liter była równie wysoka jak dorosły mężczyzna. Geder, wciąż pijany tym odkryciem, zmrużył oczy patrząc na nie, próbując wygrzebać z pamięci ich tłumaczenie.

Nagięte nie jest złamane.

Wieśniacy zatrzymali swój wóz około pięćdziesiąt jardów przed żelazną bramą. Geder zobaczył teraz, że część samych wrót posiadała skomplikowany zestaw ruchomych przekładni. Zachodzące na siebie zęby szcęknęły raz, zmieniły swoją pozycję, a jedna część żelaznej bramy odsunęła się niczym zasłona. Na spotkanie wyszło im sześciu mężczyzn. Mieli te same niecharakterystyczne rysy co wieśniacy, choć ich policzki wydawały się nieco bardziej okrągłe, a włosy przyglądali na olej. Nosili czarne togi przepasane łańcuchami, a ich nogi okrywały sandały. Mężczyźni z wioski uklękli. Geder pochylił głowę, ale nie zsiadł z wierzchowca. Koń niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

Kapłani wymienili spojrzenia, po czym zwrócili się do młodego mężczyzny, który przewodził grupie.

– Kto to? – spytał najstarszy z kapłanów.

– Nieznajomy – odparł młodzieniec. – Przybył, pytając o Sinir. Sprowadziliśmy go tu, tak jak kazał Klerom.

Geder zmusił konia do postąpienia kilku kroków. Majestat tego miejsca sprawiał, że zwierzę zachowywało się płochliwie, więc skrócił mu wodze. Najstarszy kapłan ruszył mu naprzeciw.

– Kim jesteś? – spytał mnich.

– Jestem Geder Palliako, syn wicehrabiego Palliako z Rivenhalm.

– Nie znam tego miejsca.

– Jestem poddanym króla Simeona z Antei – rzekł Geder. Widząc, że kapłan nie zamierza odpowiadać, ciągnął dalej: – Antea to bardzo ważne królestwo. W zasadzie to cesarstwo. To centrum kultury i potęgi Pierworodnych.

– Dlaczego tu przybyłeś?

– Cóż – mruknął Geder – to długa historia. Byłem w Vanai. To jedno z Wolnych Miast, czy też raczej kiedyś nim było. Już go nie ma. Znalazłem tam jednak kilka ksiąg, które mówiły o tym... Hmm... Nazywano to Prawym Sługą albo Sinir Kushku. Rzekomo został on stworzony przez smoka Morade przed upadkiem cesarstwa, dlatego pomyślałem, że jeśli będę mógł skorzystać z różnych opisów w zależności od tego, kiedy one powstały, uda mi się... go znaleźć.

Kapłan zmarszczył brwi.

– Słyszeliście kiedyś o Prawym Słudze? – spytał Geder. – Jakimś cudem?

Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli mężczyzna powie nie. Nie miał zamiaru zawracać. Nie po tym, co tutaj zobaczył.

– Jesteśmy sługami Sługi – oznajmił mężczyzna. Jego głos pełen był dumy i pewności.

– Doskonale. Właśnie na to liczyłem! Czy mogę... – Słowa Gедера uwięzły mu w gardle. Musiał odkasznąć i pozbierać myśli. – Miałem nadzieję, że posiadacie archiwa... Lub, że będę mógł z wami porozmawiać. Dowiedzieć się więcej.

– Zaczekasz tutaj – rzekł kapłan.

Geder skinął głową, ale mężczyzna zdążył odwrócić się do niego plecami. Pozostali kapłani wciągali wóz przez otwór w bramie, podczas gdy wieśniacy otrzymali od nich podobny, tylko pusty. Na oczach Gедера mnisi zniknęli wewnątrz świątyni, a pozostali mężczyźni ruszyli w drogę powrotną do domu, z uśmiechami machając mu na pożegnanie. Palliako stał w miejscu, rozdarty pomiędzy pragnieniem obejrzenia świątyni od środka a obawą przed niemożnością znalezienia drogi powrotnej przez góry. Koła zębate w bramie zamknęły się z trzaskiem. Ciągnięty na linach wóz zniknął za zakrętem. Geder siedział na koniu, starając się nie patrzeć na pięciu służących, których przywłókł na skraj znanego świata w tę pustkę. Gdzieś w oddali krzyknął jastrząb.

– Powinniśmy rozbić obóz, mój panie? – spytał jego giermek.

Zapadła noc. Geder siedział w namiocie, którego ściany szeptały do siebie na wietrze. Przy niewielkim biurku, w świetle samotnej świecy, po raz dziesiąty czytał te same książki, bezmyślnie przesuwając wzrokiem po kolejnych słowach.

Uczucia zawodu, odrzucenia i wściekłości wzbierały w jego brzuchu wraz z rosnącym przekonaniem, że kapłani nie wyjdą do niego. Zostawili go, by siedział na ich progu jak żebrak, dopóki nie zrozumie tego i nie wróci tam, skąd przybył. Z powrotem do Camnipolu, do Antei, do wszystkiego, co zostawił za sobą.

Był u kresu swojej wędrówki. Nie mógł już nawet udawać, że ma powód do dalszego parcia naprzód. Przemierzył dwie krainy, góry, pustynie, tylko po to, by na koniec spotkać się ze wzgardą. Przewrócił stronę, której w zasadzie nie przeczytał, ale niewiele go to obchodziło. Wyobrażał sobie, że wraca do domu i opowiada historię swojej wyprawy. Haavirkińska jasnowidząca, kości smoka, tajemnicza świątynia w górach. *A potem,*

powiedzą. *Co wtedy, lordzie Palliako?*

A wtedy skłamię. Opowie bajkę o zepsutych do cna kapłanach i ich żalonym, nic nieznaczącym kulcie. Napisze eseje opisujące najgorsze perwersje, które przyjdą mu do głowy i przypisze je wszystkim mieszkańcom świątyni. Gdyby nie on, gdyby nie Geder Palliako, to miejsce na zawsze zniknęłoby z kart historii. Skoro stwierdzili, że tak go potraktują, on mógł dopilnować, by zostali zapamiętani w sposób, który on uzna za stosowny.

Tyle że kapłani nie wiedzieliby o tym ani by ich to nie obeszło, więc jaki w tym sens? Nadejdzie poranek, zwinie obozowisko i ruszy w drogę powrotną. Być może uda mu się znaleźć jakiegoś kupca w jednym z miast Keshet, który przyjmie jego akredytywę, a za pozyskane pieniądze kupi porządne zapasy. Mógł też zatrzymać się we wsi i powiedzieć, że kapłani kazali oddać mu wszystkie kozy. Może nawet warto było to zrobić.

– Mój lordzie! Mój lordzie Palliako!

Geder wyszedł z namiotu niemal w tym samym momencie, w którym usłyszał krzyki. Jego giermek wskazywał na ciemną, żelazną bramę. Niewielkie, boczne drzwi pozostawały zamknięte, ale pomiędzy dwoma masywnymi skrzydłami wrót pojawiło się ciemniejsze pęknięcie.

Wyszedł do nich jakiś mężczyzna. Za nim kroczyło dwóch innych, z mieczami przewieszonymi przez plecy. Geder wykonał gest, na który słudzy natychmiast przybiegli z pochodniami. Prowadzący pochód mężczyzna był olbrzymi, szeroki w biodrach i barkach. Nie miał włosów, a gładka powierzchnia jego czaszki odbijała częściowo światło księżyca. W świetle pochodni jego szaty wyglądały na czarne, choć w istocie mogły mieć dowolny, ciemny kolor. Strażnicy za nim nosili takie same togi jak kapłani, których widzieli wcześniej, ale z lepszych tkanin, a także schowane miecze o rękojeściach i pochwach w barwie opalizującej zieleni.

– Jesteś księżę Palliako, który przybył tu, by zgłębić wiedzę Sinir Kushku? – spytał olbrzymi mężczyzna. Choć mówił cicho, jego głos miał w sobie moc grzmotu. Geder poczuł, że na jego dźwięk, krew zwawiej zaczęła krążyć mu w żyłach.

– Tak.

– Co masz do zaoferowania w zamian?

Nic, pomyślał Geder. Wóz, kilku służących. Większość srebra wydałem w drodze tutaj, z drugiej strony, co niby mieliby za nie kupować? To nie tak, że ktoś z was ma zamiar udać się na targowisko...

– Wieści? – odparł niepewnie. – Mogę opowiedzieć wam o świecie. Ponieważ żyjecie na takim... odludziu.

– Czy masz zamiar zaszkodzić bogini?

– Nie – odparł Geder, zaskoczony tym pytaniem. Żadna z ksiązek, które czytał nie wspominała nic o żadnej bogini.

Zwalisty mężczyzna zamilkł, na chwilę tonąc w myślach. W końcu pokiwał głową.

– W takim razie chodź ze mną, książę, porozmawiajmy o twoim świecie.

Dawson

Lato w Osterling Fells. Dawson wstawał wraz ze słońcem i spędzał całe dnie jeżdżąc po swoich włościach, zajmując się sprawami, które zimowe interesy oraz wiosenne intrygi pozostawiły niezafatwionymi. Kanały nawadniające południowe pola należało wykopać na nowo. Jedna ze wsi na zachodzie spłonęła późną wiosną i Dawson nadzorował teraz jej odbudowę. Dwaj mężczyźni zostali złapani w lesie na kłusownictwie, musiał więc być obecny przy ich wieszaniu. Gdzie nie pojechał, lojalni poddani oddawali mu swoją cześć, a on przyjmował ich uwielbienie jak coś mu należnego.

Wzdłuż dróg trawa rosła wyżej. Drzewa rozpościerały swoje szerokie liście, połyskując na zielono i srebrno na słońcu oraz wietrze. Dwa dni ze wschodu na zachód, cztery z północy na południe, ze szlakami górskimi, gdzie mógł polować, własnym łóżkiem, w którym mógł spać i idealnie niebieskim niebem nad głową. Dawson Kalliam nie potrafił wyobrazić sobie bardziej luksusowego więzienia, gdzie mógłby marnotrawić kolejne dni, podczas gdy całe królestwo popadało w ruinę.

W samej jego posiadłości było gwarno jak w ulu. Pracujący w niej mężczyźni i kobiety byli równie nieprzyzwyczajeni do jego obecności w czasie długich, letnich dni, jak do jego nieobecności w zimowe miesiące, za wyjątkiem udziału w Królewskim Gonie. Dawson czuł na sobie ciężar ich spojrzeń. Wszyscy wiedzieli, że został wygnany na cały sezon, a nie miał wątpliwości, że kwatery służących i stajnie pełne były historii, spekulacji oraz zwykłych plotek.

Żywienie względem tych ludzi urazy miało równie wiele sensu, co złość na śpiew świerszczy. To byli niscy, mali ludzie. Nie rozumieli nic z tego, co działo się wokół nich. Dawson nie miał powodu, by traktować ich opinie na temat świata jak coś ważniejszego niż kropla deszczu albo gałąź drzewa.

Po Canlu Daskellinie, z drugiej strony, spodziewał się czegoś innego.

– Kolejny list, kochany? – spytała Clara, patrząc jak jej mąż krąży po długiej galeryjce.

– Nic mi nie mówi. Posłuchaj tego – rzekł Dawson, potrząsając kartkami. Odnalazł ustęp, którego szukał. – *Jego wysokość podupadł na zdrowiu. Medycy podejrzewają, że odbiła się na nim sprawa zamieszek najemników, ale twierdzą, że poprawa nastąpi jeszcze przed nadejściem zimy. Albo to.*

Lord Maas bardzo agresywnie broni dobrego imienia lorda Issandriana i wykorzystuje fakt, że udało mu się umknąć sprawiedliwości. Wszystkie wypowiedzi są w takim tonie. Same prowokacje i aluzje.

Clara odłożyła igłę. Popołudniowy skwar zrosił potem jej skroń i górną wargę. Kosmyk włosów uwolnił się z upięcia. Sukienka wykonana z lekkiej, przewiewnej tkaniny nie skrywała kształtów jej ciała, nieco bardziej krągłego niż u młodszych kobiet, ale też swobodniejszego. W złotych promieniach słońca wpadających przez okna wyglądała pięknie.

– Czego się spodziewałeś, ukochany? – spytała. – Bezpośrednich raportów, składanych zeznań?

– Równie dobrze mógł nic nie pisać – rzekł Dawson.

– Wiesz, że to nieprawda, kochanie – powiedziała Clara. – Nawet jeśli Canl nie przekazuje ci wszystkich szczegółów z dworu, sam fakt, że śle ci korespondencję coś znaczy. Zawsze można ocenić człowieka na podstawie tego, do kogo pisze. Jakież wieści od Jorey’a?

Dawson siedział na sofie naprzeciwko niej. Jedna ze służek pojawiła się w drzwiach po przeciwległej stronie galeryjki, ale zobaczywszy w pomieszczeniu lorda i lady, natychmiast się wycofała.

– Dziesięć dni temu dostałem od niego list – oznajmił Dawson. – Mówi, że wszyscy na dworze chodzą na paluszkach i rozmawiają szeptem. Nikt nie sądzi, że to koniec. Simeon miał wskazać opiekuna dla księcia Astera w dniu jego patrona, ale już trzy razy to przekładał.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego wygnał *mnie* za zdradę Issandriana – odparł Dawson. – Jeśli stanie po naszej stronie, to musi liczyć się ze zbrojnym oporem z ich strony. Jeśli okaże przychylność im, my uczynimy podobnie. A ponieważ to Canl decyduje teraz o wszystkim, sądzę, że ma pełne prawo tak podejrzać.

– Mogłabym spotkać się z Phelią i ją o to zapytać – zaproponowała Clara. – Jej mąż jest mniej więcej w tej samej pozycji co Canl, prawda? Poza tym nie widziałyśmy się już całe wieki. Dobrze byłoby móc znów z nią porozmawiać.

– Wykluczone. Miałabyś sama jechać do Cannipolu? By odwiedzić Feldina Maasa? To niebezpieczne. Zabraniam ci.

– Nie będę sama. Jorey jest na miejscu, a wezmę ze sobą Vincena Coe dla bezpieczeństwa.

– Nie.

– Dawson, ukochany – zaczęła, a jej głos nabrał hardości, którą rzadko kiedy u niej słyszał. – Pozwoliłam ci się zatrzymać, gdy na ulicach grasowali obcy najemnicy, ale to już przeszłość. A jeśli ktoś nie wyciągnie ręki pierwszy, ta rana nigdy się nie zagoi. Simeon nie zrobi tego, biedak, ponieważ nie jest to coś, co można nakazać. Ty i Feldin nie uczynicie tego, bo jesteście mężczyznami, a przez to nie wiecie jak. Na razie wygląda to tak, że wy dobywacie swoich mieczy, a my rozmawiamy, kto miał najpiękniejszą suknię na balu, dopóki nie schowacie swojego żelastwa do pochew. Tylko dlatego, że nie czujesz się z tym komfortowo, nie znaczy, że jest to coś trudnego.

– Teraz jest już na to za późno – powiedział Dawson.

Clara uniosła brew. Milczenie zapadło na trzy uderzenia serca. Cztery.

– W takim wypadku musisz zebrać swoją armię, nieprawdaż?

– Nie mogę. To część mojej kary.

– Cóż, w takim razie – rzekła Clara, wracając do robótek ręcznych – napiszę do Phelii dziś wieczór i dam jej do zrozumienia, że jestem otwarta na propozycję spotkania.

– Claro...

– Masz rację. Nie mam zamiaru jechać nigdzie bez eskorty. Porozmawiasz z Vincenem Coe, czy ja mam to zrobić?

Gniew, który w nim wezbrał, zaskoczył nawet samego Dawsona. Wstał, rzucając list od Canla Daskellina na podłogę. Miał wielką ochotę chwycić jakąś książkę, kandelabr albo krzesło i cisnąć nim przez okno galerii na dziedziniec. Clara nie odrywała oczu od pracy. Połyskliwa linia igły przebijała tkaninę, po czym ciągnęła za sobą nić, przebijała i ciągnęła. Kobieta miała kamienny wyraz twarzy.

– Simeon jest również moim królem – oznajmiła. – Nie tylko ty w tym domu masz szlachetną krew w żyłach.

– Porozmawiam z nim – wymamrotał Dawson, zmuszając słowa, by przeszły mu przez ściśnięte gardło.

– Przepraszam, kochany. Co mówiłeś?

– Coe. Porozmawiam z Coe. Ale jeśli on nie pojedzie z tobą, to nigdzie się nie wybierasz.

Clara posłała mu uśmiech.

– Po drodze przyślij do mnie służkę, ukochany. Każ jej przynieść moje

pióro.

Kwatery myśliwych znajdowały się za wysokimi, granitowo-jadeitowymi murami posiadłości. Był to długi, niski budynek, którego strzechę umocowano linami z plecionej skóry, obciążonymi czaszkami i kośćmi schwytej zwierzyny. Dziedziniec porósł chwastami w miejscach, gdzie nie wydeptały ich buty, a o ścianę domu oparto słomiane tarcze strzeleckie. Powietrze cuchnęło psim gównem z przylegającej psiarni, natomiast jeden z boków budynku skryty był w cieniu ogromnego drzewa upstrzonego setkami kwitnących kwiatów.

Głosy zaprowadziły Dawsona na tyły budynku. Pięciu myśliwych stało lub siedziało wokół stolika ze starego pniaka, podjadając ser i świeży chleb prosto z drewnianego blatu. Upał zmusił młodzieńców do rozebrania się do samych rajtuzów. Dawson poczuł przyływ nostalgii. Kiedyś był taki jak oni. Silny, pewny swego ciała i gotowy, by zatracić się w przyjemnościach ciepłego dnia. Na dodatek wtedy miał u swojego boku Simeona. Minione lata okradły ich z tego wszystkiego.

Jeden z nich zobaczył swego pana i skoczył na baczność. Pozostali szybko poszli za jego przykładem. Vincen Coe trzymał się z tyłu. Jego lewe oko było podbite i napuchnięte. Dawson podszedł do nich, ignorując wszystkich poza rannym mężczyzną.

– Coe – powiedział. – Ze mną.

– Mój lordzie – rzekł myśliwy, zajmując miejsce u boku Dawsona. Baron szybkim krokiem ruszył szeroką ścieżką prowadzącą z posiadłości do stawu na północy. Cienie strzelistych wieżyc kładły się cieniem na ziemi.

– Co ci się stało? – spytał Dawson. – Wyglądasz jakbyś próbował złapać rzucony kamień powiekami.

– Nic takiego, panie.

– Mów.

– Zeszłej nocy trochę za dużo wypiliśmy, lordzie. Jeden z nowych chłopaków odrobinę przesadził i... poczynił uwagę, którą uznałem za obraźliwą. Gdy ją powtórzył, byłem zmuszony go naprostować.

– Nazwał cię katamitą?

– Nie, mój lordzie.

– To o co poszło?

Wiosną, przed rozpoczęciem sezonu dworskiego, staw był równie przejrzysty jak woda w strumieniu. Jesienią, po powrocie Dawsona ze

stolicy, bywał równie ciemny jak herbata. Rzadko kiedy widywał go w środku lata. Drzewa odbite w zielonkawej wodzie nadawały jej niemal szmaragdową barwę. Po powierzchni stawu pływało pół tuzina kaczek, zostawiając za sobą ślady na wodzie. Dawson stał na brzegu, gdzie trawa namokła wilgocią błota, na którym rosła. Niezręczne milczenie Vincena Coe było coraz bardziej interesujące z każdą upływającą minutą.

– Mogę spytać innych – rzekł Dawson. – Oni powiedzą mi, jeśli ty tego nie zrobisz.

Vincen spojrzał ponad wodą na odległe szczyty gór.

– Poddał w wątpliwość honor lady Kalliam, mój lordzie. I poczynił uwagi, które...

– Ach – mruknął Dawson. Cierpki gniew wezbrał mu w gardle. – Wciąż tu jest?

– Nie, mój lordzie. Bracia zanieśli go z powrotem do wsi zeszłej nocy.

– Zanieśli go?

– Po tym co mu zrobiłem, nie był w stanie chodzić, sir.

Dawson parsknął śmiechem. Nad wodą krążyły muchy.

– Ona zamierza wrócić do Camnipolu – powiedział. – Wydaje jej się, że może doprowadzić do pojednania z Maasem.

Młody myśliwy skinął głową, ale nic nie powiedział.

– Powiedz to – zachęcił go Dawson.

– Jeśli mogę, sir. To niezbyt rozsądne. Najtrudniej jest przelać krew po raz pierwszy, a do tego już doszło. Z czasem staje się to coraz łatwiejsze.

– Ja to wiem, ale ona jest zdeterminowana.

– Proszę wysłać mnie zamiast niej.

– Ciebie wysyłam jako dodatek – wyjaśnił Dawson. – Jorey wciąż jest w mieście. Powinien wtajemniczyć cię w to, jak sprawy stoją. Chroniłeś mnie, gdy wszystko to się zaczęło. Teraz chcę, żebyś chronił ją.

Stali obok siebie. Gdzieś z tyłu dobiegły ich głosy. Mistrz psiarczyków krzychał na swojego ucznia. Śmiechy myśliwych. Wszystko wydawało się docierać do nich jakby z innego świata. Świata z niedalekiej przeszłości, kiedy dla wszystkich było lepiej i bezpieczniej.

– Nikt jej nie skrzywdzi, mój lordzie – powiedział Vincen Coe. – Dopóki żyję.

Trzy dni po tym jak Clara wyjechała, podróżując wraz z Vincenem Coe tym samym otwartym powozem, który przywiózł ich do posiadłości, przybył

nieproszony gość.

Upał zmusił Dawsona do przeniesienia się z samej rezydencji do zimowego ogrodu. Ten poza sezonem wyglądał marnie. Kwiaty, które kwitłyby na złoto i cynobrowo wraz z końcem roku, teraz przypominały sztywne, zielone badyle. Trzy jego psy leżały, dysząc w cieniu, trzymając oczy zamknięte, a jęzory wywieszono. Szklarnię otworzono na oścież. W przeciwnym wypadku byłoby w niej goręcej niż w piecu. Ogród spał, czekając na swoją chwilę, a gdy już ona nadejdzie, zmieni się nie do poznania.

Do tego czasu Clara wróci. Rzecz jasna, zdarzało im się spędzać czas oddzielnie. On miał sprawy na dworze i polowania. Ona posiadała własny krąg znajomych oraz dom do utrzymania. A mimo to, kiedy to ona go opuszczała, z trudem znosił samotność. Budził się o świcie, zastanawiając, gdzie akurat jest. Wieczorami kładł się, mając nadzieję, że jego małżonka wejdzie do sypialni drzwiami przebieralni, gotowa przekazać mu świeże wieści, sugestie i plotki. Między jednym a drugim próbował nie myśleć o niej, ani o Feldinie Maasie, ani o tym, że ktoś mógłby wykorzystać ją przeciwko niemu.

– Lordzie Kalliamie.

Służącą była młoda Dartinejka, która pracowała u nich od niedawna. Jej oczy płonęły wewnętrznym blaskiem jak u innych przedstawicieli jej rasy.

– O co chodzi?

– Przybył mężczyzna z prośbą o udzielenie audiencji, mój lordzie. Paerin Clark, panie.

– Nie znam go – rzekł Dawson, ale pół oddechu później zmienił zdanie. Błady bankier, wysłannik Północnego Wybrzeża, któremu udało się omotać Canla Daskellina. Dawson wstał. Leżące u jego stóp psy usiadły, wodząc spojrzzeniami od służącej do swego pana i popiskując cicho. – Jest sam?

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy, nagle nieco zaniepokojona.

– Przybył ze świtą, mój lordzie. Woźnicą i żołnierzami. A także ze swoim przybocznym, jak sądzę.

– Gdzie jest teraz?

– W niższej sali, mój lordzie.

– Przekaż mu, że zaraz się z nim spotkam – rzekł Dawson. – W międzyczasie podaj mu piwo i chleb, a jego ludzi umieść w kwaterach służby. I sprowadź moją straż.

Blady mężczyzna uniósł wzrok, gdy drzwi niższej sali otworzyły się i wstał, gdy wszedł przez nie Dawson. To, że baron przyprował ze sobą czterech żołnierzy w myśliwskich skórach sprawiło jedynie, że mężczyzna uniósł nieznacznie brwi. Chleb na stojącym przed nim talerzu nosił ślad po jednym ugryzieniu, natomiast cynowy kufel piwa mógł równie dobrze być w ogóle nietknięty.

– Baronie Osterling – powiedział bankier z ukłonem. – Dziękuję, że zgodził się pan mnie podjąć. Przepraszam, że przybywam bez zapowiedzi.

– Załatwiasz sprawy Canla Daskellina za niego czy jest wprost odwrotnie?

– To ja załatwiam jego sprawy. Sytuacja na dworze jest bardzo delikatna. Chciał, abys wiedział, że nie ufa kurierom, a części rzeczy wolałyby w ogóle nie spisywać własną dłonią.

– Dlatego właśnie przysłał władcę marionetek z Północnego Wybrzeża?

Bankier milczał. Jego blada skóra spąsowiała zaledwie odrobinę, po czym mężczyzna przywdział zwyczajowy uśmiech.

– Mój lordzie, jeśli wybaczysz, musimy wyjaśnić jedną lub dwie kwestie. Jestem poddanym Północnego Wybrzeża, ale nie jestem wysłannikiem dworu i nie reprezentuję interesów mojego króla. Jestem przedstawicielem banku medejskiego i tylko banku medejskiego.

– Czyli jesteś szpiegiem bez królestwa. Tym gorzej.

– Przepraszam, mój lordzie – rzekł bankier. – Widzę, że nie jestem tu mile widziany. Wybacz mi to najście.

Paerin Clark wykonał głęboki ukłon i ruszył w kierunku drzwi, zabierając ze sobą cały dwór i namiastkę Camnipolu. *Tylko dlatego, że nie czujesz się z tym komfortowo, nie znaczy, że jest to coś trudnego*, przypomniał sobie słowa Clary.

– Zaczekaj – powiedział Dawson, biorąc głęboki wdech. – Kto założył najpiękniejszą sukienkę na ten przeklęty bal?

– Słucham?

– Przybyłeś tu w jakimś celu – ciągnął Dawson. – Nie bądź tchórzem, który ucieka, gdy tylko ktoś na niego warknie. Usiądź. Powiedz mi, co masz do powiedzenia.

Paerin Clark zawrócił i usiadł. Jego oczy pociemniały, a twarz nabrała wyrazu człowieka grającego w karty.

– Nie chodzi o ciebie – powiedział Dawson, siadając po drugiej stronie

stołu, po czym oderwał kawałek chleba. – Nie o człowieka. Chodzi o to, kim jesteś.

– Jestem człowiekiem, którego Komme Medejczyk wysyła, gdy są problemy – rzekł Paerin Clark. – Nic ponadto.

– Jesteś wysłannikiem chaosu – zripostował Dawson, uważając, by jego słowa nie brzmiały zbyt oskarżycielsko. – Jesteś człowiekiem, dzięki któremu biedni się bogacą, a bogaci biednieją. Hierarchia oraz ład nic nie znaczą dla takich jak ty, a znaczą bardzo wiele dla ludzi mojego pokroju. Nie tobą gardzę, lecz tym, co sobą reprezentujesz.

Bankier splótł palce na kolanie.

– Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia, mój lordzie? Mimo tego, kim sądzisz, że jestem?

– Wysłucham.

Przez większą część godziny, bankier mówił cicho, szczegółowo opisując powolną zapaść Camnipolu. Tak jak Dawson podejrzewał, niechęć Simeona do ogłoszenia rodu opiekuńczego dla swojego syna wynikała z obawy przed wywołaniem fal. Szacunek dla jego rządów malał z każdym dniem. Daskellin i jego pozostali sojusznicy oferowali wsparcie, ale nawet w szeregach lojalistów narastała niepewność. Issandrian i Klin wciąż byli na wygnaniu, ale Feldin Maas był wszędzie. Wyglądało, jakby ten człowiek nigdy nie sypiał, a gdziekolwiek się nie pojawił, opowiadał tę samą historyjkę: atak najemników został upozorowany, by przynieść hańbę Curtisowi Issandrianowi, uniemożliwiając mu tym samym przyjęcie do siebie księcia. Implikacja była taka, że niespodziewane pojawienie się żołnierzy z Vanai było w istocie częścią jednego, wielkiego przedstawienia.

– Zaażartowanego przeze mnie – skwitował Dawson.

– Nie tylko, ale tak.

– Kłamstwa, od początku do końca.

– Nie wszyscy w to wierzą. Jednak część tak.

Dawson potarł czoło dłonią. Na zewnątrz dzień miał się ku końcowi. Światło słońca czerwieniało. Było tak jak się spodziewał. A Clara zmierzała w sam środek tego zamieszania. Nadzieja, którą żywiła przed wyjazdem, jawiła mu się wtedy jako spore ryzyko. Teraz, wysłuchawszy tego raportu, wiedział, że była czystą naiwnością. Dałby sobie rękę uciąć, by bankier przywiózł mu te wieści tydzień wcześniej. Teraz było jednak za późno. Równie dobrze mógł sobie życzyć, by wyrzucony kamień wrócił mu z

powrotem do dłoni.

– A co z Simeonem? – spytał Kalliam. – Jest zdrów?

– To wszystko odbiło się na nim – odparł Paerin Clark. – A także, jak sądzę, na jego synu.

– Myślę, że to nie śmierć nas zabija. To strach. A co z Asterilhold?

– Moje źródła donoszą, że Maas pozostaje w zмовie z kilkoma wpływowymi ludźmi z tamtejszego dworu. Udzielono mu pożyczek w złocie i obiecano wsparcie.

– Szykuje armię.

– Zgadza się.

– A Canl?

– On też próbuje.

– Ile czasu minie zanim cała ta sprawa skończy się na polu bitwy?

– Nikt tego nie wie, mój lordzie. Jeśli będziesz działać ostrożnie, to przy odrobinie szczęścia może nigdy do tego nie dojść.

– Nie wierzę, by mogła to być prawda – rzekł Dawson. – Mamy Asterilhold z jednej i was z drugiej strony.

– Nie, mój lordzie – powiedział bankier – mylisz się. Obaj wiemy, że przybyłem tu, licząc na zyskanie punktu zaczepienia, ale antejska wojna domowa nie przyniesie nam żadnego zysku. Jeśli do niej dojdzie, nie staniemy po żadnej ze stron. Zrobiłem tutaj co w mojej mocy. Nie wracam już do Cannipolu.

Dawson wyprostował plecy. Bankier uśmiechał się teraz, ale dziwnie przypominało to litość.

– Opuszczasz Daskellina? *Teraz?*

– To tylko jedno z wielkich królestw – powiedział Paerin Clark – a mój pracodawca rozgrywa swoje partie na o wiele większych planszach niż ta. Życzę wam szczęścia, ale Antea to wasz problem. Nie mój. Ja udaję się na południe.

– Na południe? Czegóż ważniejszego niż to można szukać na południu?

– Zaistniała pewna nieprawidłowość, która wymaga mojej uwagi w Porte Oliva.

Cithrin

Cithrin stała na szczycie wału nabrzeżnego. Miasto rozciągało się za jej plecami, a bezkresny błękit morza i nieba przed nią. Na skraju zatoki, w miejscu gdzie płytko, blada woda przechodziła w głęboki turkus, kotwiczyło pięć statków. Zwinięte żagle pogrubiały drzewce. Małe, płytke łodzie floty rybackiej wpływały do portu albo schodziły z drogi tuzinowi łodzi przewodników, które ścigały się o to, kto pierwszy dotrze do okrętów i zyska przywilej doprowadzenia ich na nabrzeże.

Przybyły statki kupieckie z Narinisle. Pięć jednostek, płynących w jednej grupie pod banderą Birancour i Porte Oliva. W tamtą stronę wyruszyło ich siedem. Od pozostałych dwóch mógł oddzielić je sztorm, decyzja kapitanów albo atak piratów. Mogły przybić do portu jutro, za tydzień albo nigdy. W dokach stali już kupcy targani sprzecznymi uczuciami strachu i nadziei, wyczekując momentu, gdy okręty zbliżą się na tyle, aby można było je zidentyfikować. Kiedy statki znajdą się już w przystani, szczęśliwcy wejdą na pokłady, porównają umowy oraz rachunki i dowiedzą się, czy odnieśli zyski. Pechowcy zmuszeni będą do czekania w dokach lub portowych tawernach i wypytywania marynarzy o wieści.

Aż w końcu, gdy kapitanowie statków zdadzą już raporty swoim sponsorom, dokerzy rozpoczną żmudną pracę polegającą na przeniesieniu wszystkich dóbr z luków do magazynów, a szaleństwo wymiany towarów na pieniądze przejdzie przez Porte Oliva niczym tornado, wtedy zaczną się przygotowania do przyszłorocznej wyprawy. Stocznie dokonają napraw. Nowi sponsorzy zaoferują kontrakty i warunki kapitanom. A Idderrigo Bellind Siden, pierwszy namiestnik Porte Oliva, skonsultuje się z kapitanami oraz mistrzami gildii, by następnie łaskawie przyjąć propozycję, która na najbliższe pokolenie zamieni to miasto z jednego z wielu portów w ogromne centrum handlu.

W dłoni, skreślony zielonym atramentem na papierze gładkim jak krem, Cithrin ścisnęła list, który zabraniał jej brania w tym udziału. Otworzyła go teraz i przeczytała ponownie. Został zaszyfrowany, rzecz jasna, ale ona spędziła dostatecznie dużo czasu z magistrem Imanielem, by móc czytać go z równą łatwością, jakby było to normalne pismo.

Magistra Cithrin bel Sarcour, masz natychmiast przerwać wszystkie

negocjacje i działania w naszym imieniu. Paerin Clark, starszy audytor i przedstawiciel holdingu, spotka się z tobą najszybciej jak to możliwe. Do tego czasu nie podpisuj żadnych umów, depozytów, ani pożyczek. To żądanie bezwarunkowe.

List podpisał sam Komme Medejczyk. Pismo starca było chwiejne i nierówne od trapiącego go artretyzmu. Nikomu go nie pokazała. W ciągu ostatnich ośmiu dni siłowała się z myślą o tym rozkazie. Był to pierwszy sygnał otrzymany od holdingu, ale też dokładnie to, czego się spodziewała. Audytor odwiedzi ją tak, jak planowała od samego początku. Jego zadaniem będzie odzyskanie funduszy banku straconych w Vanai. Wszystkie jej marzenia o zachowaniu filii albo kierowaniu nią, tak jak w tej chwili czyniły to łodzie przewodników, wiodące okręty kupieckie do bezpiecznej przystani, dobiegną końca. Znów będzie sobą. Nie woźnicą Tagiem, przemytnikiem ukrytym pośród cieni, ani nie magistrą Cithrin. Tyle że bez Besela, Cam i magistra Imaniela. Bez Vanai.

Dlatego właśnie, z całym szacunkiem, nie miała zamiaru do tego dopuszczać.

Z cichym wydechem, zbyt słabym, aby można było nazwać go westchnieniem, przedarła list. Potem jeszcze raz i jeszcze. Gdy skrawki stały się zbyt małe, by można było odczytać poszczególne cyfry i symbole szyfru, wyrzuciła je za krawędź wału i patrzyła jak porywa je wiatr.

Na wodzie łodzie przewodników tłoczyły się wokół okrętów kupieckich. Wyobrażała sobie głosy mężczyzn nawołujących kapitanów i odkrzykujących im oficerów. Na jej oczach pierwszy z okrętów rozpoczął ostatni, najkrótszy etap swojej podróży. Odwróciła się i skierowała swoje kroki z powrotem do banku. Frontowe drzwi otwarto na przestrzal. Gdy weszła do środka, Karaluch zerwał się na równe nogi, jakby przyłapała go na gorącym uczynku. Za jego plecami Yardem przeciągnął się i ziewnął potężnie.

– Gdzie byłaś? – spytał kapitan Wester.

– Obserwowałam przybycie okrętów kupieckich, podobnie jak wszyscy w mieście – odparła. Czuła niewytłumaczalną lekkość. Niemal przyprawiającą o zawroty głowy.

– Cóż, twój kawiarz zdążył posłać po ciebie już trzech ludzi. Wszyscy mieli nadzieję znaleźć cię tutaj.

– Co im powiedziałaś?

– Że jesteś zajęta, ale spodziewam się, że wrócisz do kawiarni popołudniu – rzekł Wester. – Skłamałem?

– Pan? Nigdy – odparowała, po czym parsknęła śmiechem, widząc jego podejrzliwą minę.

Pomimo upału, na spotkanie w pałacu namiestnika Cithrin założyła ciemnoniebieską suknię z długimi rękawami oraz stójką. Jej włosy upchnięto pod miękkim czepkiem, a następnie upięto srebrną szpilą wysadzaną lazurytem, będącą jedną z ostatnich sztuk biżuterii przywiezionej z Vanai. Taki strój wydawał się odpowiedniejszy na chłodny, jesienny dzień i sprawiał, że po plecach ciekła jej strużka potu, ale myśl, że miałyby założyć coś bardziej odkrytego na spotkanie z Qahuarem Emem była dość krępująca. Oczywiście, niestosownym byłoby również założenie naszyjnika lub broszy, które jej podarował.

Gdy przywitał ją w korytarzu przed prywatnymi pokojami, jego ukłon był bardzo formalny. Jedynie uśmiech i błysk w ciemnych oczach stanowił aluzję do spędzonych razem nocy. Mężczyzna miał na sobie piaskową tunikę z emaliowanymi na czarno guzikami, zapiętymi pod samą szyję. Doskonale знаła sylwetkę skrytą pod ubraniem. Zastanawiała się, co stanie się z nimi teraz, gdy przestaną być rywalami. Służąca, jasnowłosa Cinnejka, zgięła plecy w ukłonie, gdy przekroczyli próg pokoju.

Przestrzeń w pomieszczeniu zdominował poznaczony ciemnymi plamami stół. Rząd okien za nim otwierał widok na szpaler drzew. Rozkołysane gałęzie przydawały komnacie wrażenia cienia i chłodu, na który nie zasługiwała. Cinnejki najemnik wstał, gdy Cithrin weszła do pokoju i usiadł dopiero, gdy zajęła swoje miejsce. Tralgurska kobieta oraz przedstawiciel lokalnych domów kupieckich nie przybyli na spotkanie.

– Dobry rok – powiedział Cinnejczyk. – Widziałaś statki w przystani, magistra?

– Nie miałam okazji – odparła Cithrin. – Mój harmonogram był niezwykle napięty.

– Powinnaś znaleźć chwilę. W tym roku przywieziono skrzynie z naprawdę niezwykłymi błyskotkami. Małe kuleczki z barwionego szkła, które wygrywają melodię, gdy się je potrze. Urocze. Kupiłem trzy dla mojej wnuczki.

– Mam nadzieję, że świat traktował pana łagodnie, sir – rzekł Qahuar Em. Jego głos brzmiał niemal ostro. *Dlaczego jest taki zły?*, pomyślała.

– Nie narzekam – odparł Cinnejczyk, ignorując jego ton. – Wprost przeciwnie, dziękuję.

Prywatne drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wszedł namiestnik. Jego okrągłą twarz zrosił pot, ale poza tym wyglądał pogodnie. Gdy zaczęli wstawać, mężczyzna machnął ręką, by pozostali na swoich miejscach.

– Oszczędźmy sobie ceremoniałów – powiedział, zasiadając na swoim krześle. – Mogę zaoferować wam coś do picia?

Qahuar Em pokręcił głową. Cinnejski najemnik uczynił to samo pół sekundy później, zupełnie jakby czekał na reakcję Qahuara. Cithrin poczuła ostrzegawczy ucisk w żołądku. Działo się coś, czego nie rozumiała.

– Dziękuję wam za przybycie – ciągnął gubernator. – Bardzo doceniam wszystko, co robicie dla naszego miasta, a także wasze oddanie Porte Oliva, mnie oraz królowej. Bardzo cieszy mnie, że tak światłe umysły pracują dla dobra miasta. To zawsze najtrudniejsza część, prawda? Podejmowanie decyzji?

Smutne westchnienie świadczyło o tym, że się dobrze bawi. Cithrin odpowiedziała sztywnym uśmiechem. Qahuar unikał jej spojrzenia.

– Bardzo uważnie przejrzałem wasze propozycje – powiedział namiestnik. – Moim zdaniem wszystkie stanowią krok w kierunku polepszenia koniunktury miasta. Sądzę jednak, że pięcioletni kontrakt zaoferowany przez tu obecnych dżentelmenów pozwoli miastu na większą elastyczność niż ośmioletnia umowa, o którą wystąpił bank medejski.

Cithrin poczuła, że zapiera jej dech w piersiach. Pomimo upału, w gardle i przełyku poczuła ukłucie chłodu. Qahuar Em nie oferował pięciu lat, lecz dziesięć.

– Osiem lat to bardzo długo – powiedział cinnejski najemnik, kiwając głową. Jego ponura mina stanowiła kiepską maskę dla ekscytacji.

– To i nieco wyższe procentowe stawki roczne – oznajmił namiestnik. – Bardzo mi przykro, że musiałem odrzucić twoją ofertę, magistra Cithrin.

– W pełni to rozumiem – odparła dziewczyna nie swoim głosem. – Skoro sprawa została załatwiona, mogę spytać, jakie stawki zaproponował mistrz Em?

– Och, to umowa partnerska – wtrącił Cinnejczyk. – Nie tylko jego klan bierze w tym udział. Postanowiliśmy współpracować ze sobą.

– Nie sądzą, by istniała potrzeba zagłębiania się w szczegóły – powiedział Qahuar Em, wciąż na nią nie patrząc. Jego próby oszczędzenia jej

upokorzenia były gorsze niż przechwałki najemnika.

– To nie tak, że szczegóły umowy będą trzymane w tajemnicy – rzekł namiestnik. – Przez uprzejmość i szacunek, magistra, zaproponowane stawki to dziesięć setnych bez gwarancji i czternaście setnych z nimi.

Niewłaściwe liczby. Liczby się nie zgadzały. Miało być szesnaście i dziewiętnaście, a nie dziesięć i czternaście. Oferta, którą znalazła w jego pracowni była pułapką, a ona w nią wpadła.

– Dziękuję, lordzie namiestniku – powiedziała ze skinieniem głowy. – Holding na pewno doceni pańską szczerłość.

– Mam nadzieję, że to nie doprowadzi do żadnej zajadłości. Bank medejski jest nowy w naszym mieście, ale cieszy się dużym respektem.

– Proszę się nie martwić – zapewniła Cithrin. Wziąwszy pod uwagę pustkę w jej klatce piersiowej, zdziwiło ją, że jej słowa nie pobrzmiwały echem. – Dziękuję za to spotkanie. Zakładam jednak, że musicie panowie omówić teraz szczegóły.

Wszyscy wstali, gdy poderwała się z miejsca. Namiestnik ujął jej dłoń w tłuste paluchy i przycisnął ją sobie do ust. Utrzymała na twarzy pełen rozbawienia uśmiech, nie zdradzając rozgoryczenia porażką i przywdziewając maskę osoby, którą chciała być. Ukłoniła się cinnejskiemu najemnikowi, a potem Qahuarowi Emowi. Pustka w jej piersi zniknęła, a w jej miejscu rozkwitło coś o wiele bardziej bolesnego.

Powoli opuściła pomieszczenie, zeszła schodami i przemierzyła korytarz wejściowy, by znaleźć się na placu. Niebo miało barwę opalizującej bieli. Wiatr muskający jej policzek był gorący jak oddech. Pot zmoczył jej pachy, plecy i nogi. Stała tak przez kilka minut, zdezorientowana i zszokowana. Nie powinno jej tu być. Musiała wrócić do środka. Należało dopracować szczegóły, a umowy podpisać albo im poświadczyć. Było to nie lada przedsięwzięcie. Nie powinna stać tutaj. Powinna być w środku.

Pierwszy szloch przypominał odruch wymiotny – nagły, niespodziewany i gwałtowny. *Nie tutaj*, pomyślała. *Na Boga, jeśli już musi do tego dojść, to chociaż niech dojdzie do tego w miejscu, gdzie nie będzie mogło oglądać cię całe przekłete miasto.* Długie, szybkie kroki. Uda napierające na tkaninę sukienki, by zdobyć każdy, cenny cal. Znalazła jakąś alejkę, podążyła za jej zakrętami i zakosami do skrytego w półmroku kąta, po czym przysiadła na brudnym chodniku. Nie potrafiła już powstrzymać szlochu, dlatego zakryła usta przedramieniem, by chociaż nieco go przytłumić.

Przegrała. Tyle oczekiwań, tyle planów i przegrała. Wręczyli jej kontrakt komuś innemu i zostawili – głupią, brzydką półkrwi dziwkę – by wypłakała się w śmierdzącej alejce takiej jak ta. Jakim cudem mogła być tak pewna wygranej? Dlaczego w ogóle w to wierzyła?

Gdy minęło najgorsze, wstała. Otarła łzy i smarki rękawem, otrzepała sukienkę z brudu, a następnie ruszyła w kierunku swoich kwater. Upokorzenie przysiadło jej na ramieniu, szepcząc do ucha. Jak wiele z tego wszystkiego Qahuar opowiedział swoim partnerom? Czy chełpił się tym, że rozłożyła przed nim nogi? Ten stary, cinnejski najemnik najpewniej znał opis każdej części jej ciała, jeszcze zanim weszła do tamtego pomieszczenia. Qahuar wiedział o jej zamierzeniach na długo zanim wprowadziła je w życie. Sam to zaplanował. Czy nakazał swoim sługom, by nie interweniowali w przypadku późnonocnego włamania do swojej pracowni? Czy obserwowali ją z cieni, naigrywając się z głupiotkiej dziewczyny, która miała siebie za sprytną?

Wróciwszy do banku usłyszała przez drzwi głosy strażników – Marcusa, Yardema i tej nowej, kurtadamskiej kobiety – ani gniewne, ani wesołe. Głównki tulipanów kołysały się na wietrze. Ich kwiaty przekwitały, a czerwień u podstawy zastępowała czerń. Cithrin chciała wejść do środka, lecz nie potrafiła położyć dłoni na klamce. Stała tam przez dłuższy czas, chcąc ponownie znaleźć się wśród ludzi, którzy przynajmniej stanowili namiastkę przyjaciół, rodziny i miłości. Jej pracowników. Miała nadzieję, że Yardem Hane wyjdzie i znajdzie ją tutaj. Że Cary przypadkowo będzie szła ulicą. Że Opal powstanie ze swojego morskiego grobu i udusi ją na miejscu.

Udała się na górę. Zrzuciła z siebie sukienkę i usiadła na łóżku w samej koszuli. Roszący ją pot nie chciał wyschnąć, ale też nie dawał ochłody.

Przegrała. Nawet teraz nie miało to sensu. Nie mogła w to uwierzyć. Przegrała. Łzy już ją opuściły. Podobnie jak ból, choć miała uczucie, że ten jedynie odpoczywał, niczym drapieżny kot po udanych łowach. Wróci. Jednak w tej chwili nie czuła nic. Była martwa.

Przegrała. A wkrótce miał przybyć audytor.

Słońce zatoczyło łuk wysoko na niebie. Cithrin wciąż siedziała. Odgłosy dobiegające z ulicy zmieniły się. Dręczony skwarem ruch za dnia powoli ustępował nieco żywszym odgłosom nadciągającego wieczora. Musiała się wysikać, ale to mogło poczekać. Niesamowite, że wciąż miała w sobie wilgoć po tym jak wylała morze potu i łez. A mimo to jej ciało działało tak

samo jak zwykle, niezależnie od tego, czy jej się to podobało. Gdy potrzeby nie sposób było dalej ignorować, znalazła swój nocnik i opróżniła pęcherz. Kiedy już znalazła się w ruchu, łatwiej przyszło jej zmuszenie się do innych zajęć. Ściągnęła z siebie koszulę, zostawiając ją na podłodze i znalazła lekką, haftowaną sukienkę, pierwszą lepszą, która wpadła jej w ręce. Narzuciła ją na siebie, po czym zeszła na dół schodami i wyszła na ulicę, nie dbając o to, by zamknąć za sobą drzwi.

Wszystkie okiennice w szynku otwarto na oścież, aby morską bryza bez trudu mogła przez nie wpadać. Nie zapalono żadnych świec ani latarni, unikając dodatkowych źródeł ciepła, dlatego stoliki skrywał półmrok, nawet pomimo świecącego na zewnątrz słońca. Cithrin natychmiast rozpoznała dziewczkę służebną, pulchną, z czarnymi jak noc włosami sięgającymi łopatek. Pod jej nogami nerwowo plątał się maleńki pies. Cithrin ruszyła w stronę stolika na tyłach, jej stolika. Ktoś już go zajął, częściowo przysłonięty przez prosty kawałek tkaniny.

Qahuar Em.

Cithrin zmusiła się, by iść dalej. Usiadła naprzeciwko niego. Luźna okiennica dwukrotnie stuknęła o framugę, po czym ucichła. Mężczyzna miał smutny wyraz twarzy.

Przed nim stał do połowy osuszony kufel piwa.

– Dobry wieczór.

Nie odpowiedziała. Mężczyzna cmoknął językiem o zęby.

– Miałem nadzieję, że będę mógł zaoferować ci wspólny posiłek, butelkę wina. I przeprosiny. Namiestnik postąpił niewłaściwie, traktując cię w ten sposób.

– Niczego od ciebie nie chcę – syknęła.

– Cithrin...

– Nie chcę cię widzieć ani słyszeć tak długo jak żyję – powiedziała, wypowiadając każde słowo tonem chłodnym i ostrym, z odpowiednim naciskiem. – A jeśli się do mnie zbliżysz, każę mojemu kapitanowi cię zabić. A on posłucha.

Rysy Qahuara stężały.

– Rozumiem. Nie ukrywam, że jestem rozczarowany, magistra. Miałem o tobie lepsze zdanie.

– Ty miałeś o *mnie* lepsze zdanie?

– Tak. Nie sądziłem, że jesteś osobą łatwo wpadającą we wściekłość.

Najwyraźniej się myliłem. Chciałbym ci przypomnieć, że to ty weszłaś do mojego łóżka. To ty nocą przemykałaś się po moich korytarzach. To podłe i niskie, że chcesz teraz obarczyć mnie winą za to, że przewidziałem taki obrót spraw.

Nie masz pojęcia, dlaczego to robiłam, pomyślała Cithrin. Nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczyło. Teraz odbiorę mi bank.

Qahuar wstał i położył trzy małe monety na blacie, płacąc za zamówienie. Światło padło na jego brązową, chropowatą skórę, sprawiając, że wyglądał na starszego. Tego lata Cithrin przeżyła swoje osiemnaste przesilenie. On widział je po raz trzydziesty piąty.

– Jesteśmy handlarzami, magistra – powiedział. – Przykro mi, że te wieści były dla ciebie bolesne, ale nie będę przeproszać za to, iż mogę przedstawić moim starszym podpisaną umowę. Mam nadzieję, że milej spędzisz resztę wieczoru.

Odsunął drewnianą ławę, która zaszurała na kamiennej podłodze i wyminął ją.

– Qahuar – rzuciła ostro.

Zatrzymał się. Cithrin zebrała się na odwagę. Słowa ciążyły jej jak ołów, niemal zbyt ciężkie, żeby przejść przez krtań.

– Przepraszam, że cię zdradziłam – powiedziała. – Że próbowałam cię zdradzić.

– Nie musisz – odparł. – Wszyscy gramy w tę samą grę.

Jakiś czas później przybyła dziewczka służebna, schowała monety i sprzątnęła po Qahuarze. Cithrin spojrzała na nią.

– To co zwykle?

Cithrin potrząsnęła głową. Jej ciało od szyi aż do brzucha było jak z kamienia. Uniosła dłoń, zaskoczona, że wciąż ma na głowie miękki czepek. Ściągnęła go, rozpuściła włosy i przytrzymała w górze srebrną szpilę wysadzaną lazurytem. W półmroku wydawała się niemal jaśnieć własnym blaskiem. Dziewka służebna zamrugła oczami.

– Jest bardzo piękna – powiedziała.

– Weź ją – rzekła Cithrin. – W zamian przynieś mi coś, co jest tego warte.

– Magistra?

– Wzmocnione wino. Chłopskie piwo. Nie obchodzi mnie to. Po prostu się pospiesz.

Geder

Arcykapłan – basrahip, a może nawet Basrahip, trudno było to stwierdzić – odchylił się na swoim krześle ze skóry i żelaza. Jego grube, potężne palce potarły czoło. Wokół migotały syczące świece. Ich dym wypełniał pomieszczenie zapachem topionego łożu. Geder oblizwał usta.

– Moim pierwszym nauczycielem był Tralgur – powiedział.

Basrahip wydał usta, zmierzył Gедера wzrokiem i pokręcił głową. *Nie*. Młody szlachcic przełknął ślinę z podniecenia i spróbował jeszcze raz.

– Pływać nauczyłem się w morzu.

Kapłan znów wykonał ten sam gest. *Nie*.

– W młodości miałem ulubionego psa. Ogara imieniem Mo.

Arcykapłan posłał mu błogi uśmiech. Jego zęby były aż nienaturalnie duże. Wskazał grubym palcem klatkę piersiową Gедера.

– Tak – powiedział.

Palliako klasnął w dłonie i wybuchnął śmiechem. Nie był to pierwszy raz, gdy jego rozmówca prezentował swoje umiejętności, ale za każdym razem efekt był zdumiewający. Niezależnie od tego, na jaki temat Geder kłamał, jakim tonem przemawiał, jak zmieniał ułożenie ciała lub modulował głos, zwalisty mężczyzna wiedział, co jest prawdą, a co kłamstwem. Nigdy się nie mylił.

– Naprawdę to bogini pozwala ci na tego typu rzeczy? – spytał Geder. – Pytam, ponieważ nigdy nie spotkałem się z podobnym stwierdzeniem. Prawy Sługa miał być czymś stworzonym przez smoka Morade’a, jak trzynaście ras albo smocze trakty.

– Nie. Byliśmy tu przed smokami. Gdy utkano wielką sieć i zawieszono na niej gwiazdy, bogini była przy tym obecna. Sinir Kushku jest jej darem dla wiernych. Gdy nadszedł czas wielkiego upadku, smoki obawiały się jej potęgi. Walczyły przeciwko sobie, chcąc zdobyć przyjaźń i protektorat Sinir Kushku dla siebie. Wielki Morade udawał sojusznika, ale bogini wiedziała, kiedy zdrada zawitała do jego serca. Sprowadziła nas tutaj, gdzie możemy bezpiecznie oczekiwać na czas powrotu, z dala od świata i jego problemów.

– Stoi to w sprzeczności do wszystkiego, co do tej pory przeczytałem – rzekł Geder.

– Wątpisz w moje słowa? – spytał Basrahip niskim, łagodnym głosem, w

których przebrzmiewało coś jakby pulsowanie, zmieniające wszystko, co mówił.

– Absolutnie nie – odparł Geder. – Jestem zdumiony! Cała epoka przed nastaniem smoków? To coś, o czym nikt nie pisał. A przynajmniej nie spotkałem się z czymś podobnym.

Na zewnątrz kamiennej komnaty gwiazdy migotały na niebie, a światło półksiężyca zalewało świątynię swoim blaskiem. W ciemności Geder niemal był sobie w stanie wyobrazić, że ogromny smok na murach porusza się, obracając łeb. Dziwne, zielone świerszcze, występujące na terenie świątyni w ogromnych ilościach, dawały swój głośny koncert. Geder z szerokim uśmiechem objął ramionami kolana.

– Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo cieszę się, że odnalazłem to miejsce – powiedział.

– Jesteś szanowanym członkiem wielkiej nacji – oznajmił arcykapłan. – Cieszy nas, że przebyłeś tak długą drogę, by odnaleźć naszą skromną świątynię.

Geder machnął ręką, speszony. Większą część dnia zajęło mu wyjaśnianie, że choć był szlachetnie urodzony, to słowo *książę* oznaczało szczególnie tytuł w jego stronach i nie należało go nadużywać. Przez większość czasu zwracano się do niego *lordzie* albo *mój lordzie* i chociaż zasadniczo znaczyło to dokładnie to samo, to określenie *szanowany członek wielkiej nacji* brzmiało dość zawstydzająco.

Basrahip wstał i przeciągnął się, gdy gdzieś z oddali doszedł ich głos wzywający na wieczorną modlitwę. Geder sądził, że Basrahip przeprosi go, a następnie opuści pospiesznie, by odprawić świątynne rytuały. Zamiast tego mężczyzna stanął w drzwiach. Blask świec rzucił cień na jego oczy.

– Powiedz mi, lordzie Gederze. Co miałeś nadzieję tutaj znaleźć?

– Cóż, chciałem sprawdzić, czy będę w stanie odnaleźć góry Sinir i dowiedzieć się czegoś na temat Prawego Sługi w ramach spekulatywnego eseju, którego szkic tworzę.

– Czy jest to coś, czego pragnąłeś *najbardziej*?

– Tak – odparł Geder. – Tak sądzę.

– A teraz, gdy już to odnalazłeś, czy to wystarczy?

– Oczywiście.

Ogromny mężczyzna utkwiał w nim spojrzenie. Geder poczuł, że czerwieni się na szyi i policzkach. Basrahip odczekał bardzo długą chwilę, po

czym pokręcił głową.

– Nie – powiedział łagodnie. – Jest coś jeszcze.

Dni, które upłynęły od czasu przybycia Gedera do świątyni, były zdumiewające, obfitujące w wydarzenia i niepokojące jak sny. Przez dwa pełne dni, od świtu do zmierzchu, stał na wielkim dziedzińcu pomiędzy samą świątynią a murami bramnymi. Tuzin długowłosych, brodatych kapłanów w jasnych togach siedział wokół niego, podczas gdy on kreślił mapy i próbował streścić kilka ostatnich wieków historii. Często, gdy zadawali pytania, musiał przyznawać się do ignorancji. Jak ustalono granice pomiędzy Asterilhold i Północnym Wybrzeżem? Kto kontrolował wyspy na południe od Birancour i na zachód od Lyoneii? Dlaczego Pierworodni gromadzili się w Antei, Cinnejczycy w księstwie C'Annaldé, a Timzinejczycy w Ellassae, podczas gdy Tralgurowie i Dartinejczycy nie posiadali własnych terenów? Dlaczego Timzinejczyków nazywano *robakami*, Kurtadamów *stukaczami*, a Jasurów *miedziakami*? Pod jakimi imionami znano Pierworodnych i kto ich nienawidził?

Wydawało się, że szczególnie interesowali ich Timzinejczycy. Geder szczyił się tym, jak wiele wiedział. Fakt, że ktoś obnażył jego słabości, był poniżający, ale głód jakichkolwiek skrawków wiedzy u tych ludzi o oliwkowej skórze sprawiał, że nie doskwierało mu to aż tak bardzo. Fascynowała ich każda historia i anegdota, którą umiał przytoczyć.

W końcu zaczął opowiadać o własnej przeszłości. O dzieciństwie w Rivenhalm. O ojcu i dworze w Camnipolu. O kampanii vanajskiej i jej zakończeniu, a także o ataku najemników na stolicę oraz podróży do Keshet.

Gdy lejący się z nieba żar stawał się nieznośny, kapłani przynosili ogromny półnamiot ze skóry i szerokich, drewnianych podpór, który skrywał Gedera w cieniu, wyrastając za jego plecami niczym olbrzymia dłoń. Wynosili też obszerne ceramiczne wazy wypełnione wilgotnym piaskiem, dzięki którym woda w zakopanych w nich tykwach pozostawała chłodna. Geder przeżuwał kawałki wysuszonego mięsa koziego, przyprawionego solą i cynamonem, opowiadając aż do utraty głosu. Kiedy słońce kryło się za szczytami, przerywali rozmowy, odpowiadając na ostre, szczekliwe zawołanie. Słudzy Gedera rozbili dla niego obóz, a sami spali na ziemi. W końcu, trzeciego dnia, gdy był już pewien, że wkrótce na dobre straci zdolność mowy, Basrahip przyszedł do niego i pokazał gestem, by Geder podążył za nim. Olbrzymi mężczyzna poprowadził go kamiennymi

schodami, wyślizganymi na przestrzeni wieków przez odziane w sandały stopy, przez szerokie przejście przypominające ni to wylot jaskini, ni to korytarz.

Spodziewał się ujrzeć ociosane kamienie, ale nie dostrzegł żadnych śladów sugerujących, że ściany tknął młotek i dłuto. Możliwe, że formacje te powstały naturalnie, zupełnie jakby góry wiedziały, że będą stanowić dom dla tych ludzi. W nawach stały lampiony z papieru i pergaminu, zalewając swoim światłem posadzki i łukowato sklepione sufity. Powietrze przesycone było bogatym aromatem czegoś trudnego do zidentyfikowania, po części nawozu, a po części przypraw. Na dodatek było duszne. Podążali krętą ścieżką, dopóki nie dotarli do szerszego przejścia, a arcykapłan nie ustąpił mu miejsca z przodu.

Ogromna komnata miała wysokość ponad dwudziestu mężczyzn stojących sobie na ramionach. Sklepienie ginęło w mroku głębszym niż bezksiężycowa noc. Nad nimi górował posąg olbrzymiego pająka, pokryty kutym złotem i oświetlony setką pochodni. U jego podstawy klęczało przynajmniej pięćdziesięciu mężczyzn. Wszyscy spoglądali na Gedera, trzymając skrzyżowane dłonie na ramionach. Geder stał z otwartymi ustami. Żaden król nie mógł pochwalić się uczestnictwem we wspanialszym spektaklu.

– Bogini – rzekł Basrahip, a jego głos wypełnił echem całą komnatę. – Pani prawdy i władczyni świata. Błogosławieni, którzy przebywają w jej obecności.

Geder prawie nie zauważył, że ogromny mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu i delikatnie, ale nieustępliwie pchnął go na kolana. Gdy uklęknął, wydało mu się, że była to jedyna właściwa rzecz, jaką mógł uczynić.

Niedługo później zaprowadzono go do jego nowych kwater za murami świątyni. Większość drzwi i okien, które widział wcześniej, była częścią pojedynczych pokoi, rzadziej dwóch ze sobą połączonych. Cele kapłanów wryto w ścianie góry. Giermek Gedera przyniósł mu balię do kąpieli, księgi oraz małe, podróżne biurko i zapaloną latarnię. Tego wieczora Palliako leżał w kompletnej ciemności, owinięty cienkim, wełnianym kocem, ale sen omijał go szerokim łukiem. Był zbyt podekscytowany, żeby usnąć. Martwiło go jedynie, że kapłani nie posiadali biblioteki.

Czwartego ranka Basrahip przybył ponownie i rozpoczęli rozmowę trwającą aż do teraz.

– Nie rozumiem, dlaczego wciąż się ukrywacie.

– Naprawdę? – spytał Basrahip.

Szli wąską, wyłożoną ceglami ścieżką, prowadzącą do świątynnej studni.

– Prawy Sługa – powiedział Geder – to coś, co posiadacie wszyscy. Podróżując po świecie, byłbyś w stanie stwierdzić, kiedy kupiec oszukuje na kosztach. Albo, w którym momencie wierny utracił wiarę. A na dworze! Na Boga, wolę nie myśleć, co można byłoby zdziałać tam.

– Dlatego właśnie pozostajemy w ukryciu – odparł Basrahip. – Kiedy mieszałyśmy się w sprawy świata, otrzymywaliśmy tylko jedną nagrodę. Ostrza i ogień. Ci, którzy nie zostali tknięci przez boginię, żyją w kłamstwie. Dla nich dźwięk naszego głosu oznacza śmierć takimi, jacy naprawdę są. Dlatego właśnie ma ona wielu bezwzględnych wrogów.

Geder kopnął kamyk, który wystrzelił przed nich. Promienie słońca ogrzewały im głowy i ramiona.

– Ale zamierzacie powrócić – zauważył Geder. – Sam mówiłeś, że czekacie tylko na właściwy moment.

– Tak – przyznał arcykapłan. Dotarli na skraj studni, wyłożonej kamieniami dziury w ziemi z liną przywiązaną do wbitego obok palika. – Gdy zostaniemy zapomniani.

– Do tego mogło dojść już w dowolnym momencie zeszłego wieku – wtrącił Geder, ale kapłan ciągnął dalej, jakby Palliako nawet nie otworzył ust.

– Gdy rany starej wojny zbliznią się i będziemy mogli podróżować po świecie bez strachu, wtedy Ona przyśle nam znak. Potem oddzieli czystych od nieczystych i zakończy erę kłamstwa.

Basrahip przykucnął, ujmując linę w dłoń, po czym zaczął wyciągać ją, dopóki nie wydobył ze studni wody. Wiadro wykonano z miedzi, która teraz zupełnie zaśniedziała. Basrahip przyłożył je do ust i pił, pozwalając, by stróżki płynu ciekły mu kącikami ust. Geder niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Arcykapłan odstawił wiaderko i wytarł twarz wierzchem dłoni.

– Coś cię trapi, lordzie?

– Ja... To nic takiego.

Mężczyzna obdarzył go chłodnym uśmiechem i uważnym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Posłuchaj mnie, lordzie Palliako. Posłuchaj mego głosu. Możesz mi zaufać.

– Ja tylko... Czy ja również mógłbym napić się tej wody?

Basrahip uniósł wiadro. Geder chwycił je obiema dłońmi, pijąc powoli. Woda była orzeźwiająca i posiadała kamiennie-metaliczny posmak. Gdy oddał kubek, Basrahip przytrzymał go nad ciemnym otworem, po czym pozwolił mu opaść. Lina pomknęła z powrotem w mrok. Plusk wody był o wiele głośniejszy niż Geder się spodziewał.

– Możesz mi zaufać – powtórzył kapłan.

– Wiem – odparł Geder.

– Możesz mi powiedzieć. Nie stanie się w związku z tym nic złego.

– Co mam powiedzieć? Nie jestem pewien, czy wiem, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz – rzekł mężczyzna, ruszając z powrotem w kierunku świątyni. Geder musiał truchtać, by za nim nadążyć. – Dlaczego zacząłeś poszukiwania Sinir Kushku? Co przywiodło cię tutaj?

– Masz na myśli...

– Przez wieki inni ludzie znajdowali naszą siedzibę. Przypadkowo. Ty przybyłeś do nas, *poszukując*. Co cię tu sprowadziło?

Minęli ich dwaj młodszy kapłani zmierzający w stronę studni. Geder chrupnął stawami palców i zmarszczył brwi. Próbował sobie przypomnieć, co zapoczątkowało jego poszukiwania. Kiedy po raz pierwszy usłyszał legendę? Być może samo to nie miało znaczenia.

– Gdzie nie spojrzę – powiedział bardzo powoli – widzę same kłamstwa. Nie wiem nawet, kto jest moim przyjacielem. Nie wiem, kto dał mi władzę nad Vanai. Ani kto w Cannipolu pragnie mojej śmierci. Wszystkie wydarzenia na dworze są niczym gra, a tylko ja nie znam jej zasad.

– Nie jesteś oszustem.

– Nie. Jestem. Byłem. Kłamałem i ukrywałem prawdę wielokrotnie. Wiem, jakie to łatwe.

Basrahip przystanął, opierając się o kamień. Jego szeroka twarz była nieprzenikniona. Niemal pogodna. Geder skrzyżował ramiona. Nagły gniew rozpałił mu ogień w piersi.

– Byłem pionkiem w grze innych – powiedział. – Przez całe życie byłem tym, którego podpuszczano, by usiadł na podpiłowanych deskach nad dołem gówna. Wszyscy się ze mnie śmiali. Spalili nawet moją książkę. Alan Klin spalił moją *książkę*.

– To cię tutaj sprowadziło?

– Tak. Nie. To znaczy, kiedy byłem chłopcem, opowiadałem sobie historie podobne do legend. Takie, w których prowadziłem armię na

przegraną bitwę i wygrywałem. Albo ratowałem królową. Albo odbywałem podróż w zaświaty, by przywrócić moją matkę do życia. Ale za każdym razem, gdy wyruszałem w świat, on zawodził mnie w jakiś sposób. Wiesz jak to jest?

– Wiem – przytaknął arcykapłan. – Nie przybyłeś tu pisać eseju, lordzie Gederze. Przybyłeś odszukać nas. Odszukać mnie.

Geder poczuł, że zaciska usta w ponurym grymasie.

– To prawda – powiedział. – Chciałem poznać prawdę. Dość mam już rozmyślań. Wszystkie te kłamstwa, oszustwa i gierki, które wszyscy rozgrywają moim kosztem? Chciałem być człowiekiem, który przerwie ten cykl i odnajdzie prawdę. Wtedy właśnie usłyszałem o kresie wszystkich wątpliwości.

– Tylko czy sama wiedza ci wystarczy? Czy przyniesie ci spokój ducha?

– Tak – rzekł Geder.

Basrahip zamilkł, słuchając. Mucha zabzyczała obok nich, usiadła wielkiemu mężczyźnie na dłoni, by spić jego pot, po czym odleciała.

– Nie – odparł kapłan, prostując plecy. – To nie tego pragniesz. Ale jesteś coraz bliżej, lordzie Gederze. O wiele bliżej.

– Podśluchałem ich rozmowę – szepnął jeden ze sług.

– Zamierzają zabić nas we śnie.

Geder siedział w ciemnej celi. Szepty miały być na tyle ciche, by nie mógł ich dosłyszeć. Tak by się stało, gdyby został w łóżku. Zamiast tego, wysliznął się z pośłania i na palcach przemierzył ciemną podłogę. Siedział teraz plecami przy drzwiach, zaledwie kilka stóp od swoich służących.

– Nie opowiadaj głupot – zrugął go giermek. – Tylko napędzasz sobie stracha.

– Wcale nie – odezwał się pierwszy głos, tym razem wyższy i bardziej spięty. – Myślisz, że chcą, by ludzie wiedzieli, że tu są? Sądzisz, że mieszkają na takim zadupiu, bo szukają towarzystwa?

Trzeci głos wtrącił coś, ale jego słowa były niezrozumiałe.

– Więc niech tak się stanie – rzekł pierwszy. – Z tego, co słyszałem, spalił Vanai, bo mógł, a potem się z tego śmiał.

– Mów tak dalej o jego lordowskiej mości, a to nie te małpy pustynne w kapłańskich szatach roztrzaskają ci łeb – rzucił ostrzegawczo giermek. – Wolę stanąć do walki z setką fałszywych bogów niż go zdradzić.

Geder mocniej przycisnął kolana do klatki piersiowej. Powinien był

poczuć się urażony, ale tak nie było. Nie czuł też gniewu. Po prostu wstał i zrobił kilka kroków, nawet nie starając się być cicho. Usłyszał milczenie, które zapadło za drzwiami wśród jego sług, ale nie dbał o to. Nie interesowało go, co myślą, kim są ani to, czy przeżyją. Odszukał tunikę oraz rajtuzy i naciągnął je w zupełnej ciemności. Nawet nie próbował zasznurować spodni. Podstawowe zasady skromności zostały zachowane i to musiało wystarczyć. Basrahipowi nie będzie to przeszkadzać.

Gdy wyszedł na dziedziniec oświetlony blaskiem gwiazd, jego słudzy udawali, że śpią. Przeszedł nad nimi i ruszył wąską ścieżką wzdłuż górskiej ściany. Pył chłodził mu stopy poranione drobnymi kamykami. W pierwszej napotkanej celi, obudził śpiącego w niej mężczyznę.

– Zaprowadź mnie do Basrahipa – rozkazał.

Arcykapłan spał głębiej w świątyni. Jego komnatę skrywał mrok. Siennik, na którym spoczywał, ledwo był w stanie pomieścić jego postawną sylwetkę. Mnich, który przyprowadził Gедера, postawił niesioną świecę, po czym wycofał się z głębokim ukłonem. Basrahip podkulił jedną nogę i usiadł. Wydawał się w pełni świadomy. Geder odchrząknął.

– Długo nad tym myślałem. O tym, co powiedziałaś. Chcę poznać tajniki dworu. Chcę, by ludzie, którzy mnie wykorzystali, cierpieli – powiedział. – Chcę, by błagali o przebaczenie. Chcę, aby zostali upokorzeni, żeby cały świat wytykał ich palcami, wyśmiewając ich żalostną egzystencję.

Arcykapłan nawet nie drgnął. Chwilę później, bardzo powoli, jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech. Uniósł masywny palec, wskazując Gедера.

– Tak. Tak, tego właśnie chcesz. Powiedz mi, przyjacielu, mój bracie – czy to wystarczy?

– Na początek.

Arcykapłan odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. W świetle świecy jego wyszczerzone zęby połyskiwały biało niczym kość słoniowa. Wstał, owijając się kocem. Geder poczuł, że udzieliła się mu wesołość mężczyzny. Wypowiadając te słowa, nadając im znaczenie, zrzucił z siebie ogromny ciężar.

– Miałem nadzieję, lordzie Gederze – powiedział Basrahip. – Od momentu, w którym cię zobaczyłem – ciebie, szanowanego członka wielkiej nacji – żywiłem *nadzieję*, że oto nastał czas. Że to ty będziesz znakiem zesłanym nam przez boginię i tym właśnie jesteś. Bracie Gederze, tym właśnie jesteś. Odnalazłeś swoją prawdę i jeśli tylko uhonorujesz ją, ja

również to uczynię.

– Uhonoruję?

– Camnipol. Twoje wspaniałe miasto w sercu wielkiego imperium. Wznies tam dla niej świątynię, pierwszą świątynię w nowej erze wolnej od kłamstw i wątpliwości. Wrócę tam razem z tobą, a poprzez mnie...

Olbrzymi mężczyzna wyciągnął ręce, dłońmi do góry. Przez stojącą na ziemi świecę, wyglądało jakby oferował Gederowi dwie garście cieni. Palliako nie potrafił ukryć uśmiechu. Czuł się lekki i żywy w sposób, w jaki nie czuł się ani razu od momentu, gdy podebrał kilka klejnotów z na wpół zamarzniętych skrzyń pół roku temu.

– A poprzez mnie – oznajmił arcykapłan – ona da ci to, czego pragniesz.

Clara Annalie Kalliam Baronowa Osterling Fells

– Moja pani – rzekł tralgurski odźwierny niewolnik, pochylając głowę.

– Dzień dobry, Andrash – powiedziała Clara, przeciągając plecy. – Nawet nie wiesz, jak dobrze jest wrócić do miasta. Na swój sposób kocham naszą posiadłość, ale nie została ona przygotowana z myślą o tak ostrym słońcu. Vincen będzie... Pamiętasz Vincena? Zajmie się wyładowaniem przywiezionych rzeczy, więc może znajdziesz mu kogoś do pomocy?

– Dobrze, milady. Twój synowie są, jak mniemam, w letnim ogrodzie.

– Synowie?

– Kapitan Barriath przybył kilka dni temu – odparł niewolnik.

– Jorey i Barriath pod tym samym dachem. Cóż, *to* musiało być nieprzyjemne przeżycie.

Odźwierny niewolnik posłał jej uśmiech.

– Dobrze cię znów widzieć, pani.

Clara poklepała starego sługę, wchodząc z upalnego dziedzińca do chłodnego wnętrza rezydencji. Od razu zauważyła szereg zaniedbań. Kwiaty w korytarzach przywiędły. Podłogę pokrywał pył naniesiony przez wiatr, którego nikt nie pozmywał. Powietrze było duszne i zastane, jak zwykle, kiedy okna zamykano na wiele dni z rzędu. Jorey chyba zbyt pobłażał służbie domowej. Albo zaczynał być równie nieświadomy otoczenia jak jego drogi ojciec. Tak czy inaczej, coś należało z tym zrobić.

Głosy chłopców usłyszała jeszcze zanim dotarła do ogrodu. Głos Jorey'a był wyższy, bardziej piskliwy, ale też wymagający. Barriath zwykł wypluwać swoje argumenty, jakby te miały zły smak. Od kiedy Jorey nauczył się mówić, tych dwóch było jak ogień i woda, choć jednocześnie byli sobie bardzo oddani. Clara miała podobne relacje ze swoją siostrą. *Nikt nie skrzywdzi jej poza mną i to ja przyniosę jej zgubę*. Miłość często tak właśnie wyglądała.

Przystanęła na schodach prowadzących do ogrodu.

– Ponieważ to *zbyt* uproszczenie, ot co – powiedział Jorey. – Dzieje się sto różnych rzeczy, które są ze sobą powiązane. Skoro jednoznacznie zakończono kwestię powstania rady chłopskiej, to czy czeka nas kolejny bunt zbożowy? Jeśli Północne Wybrzeże naprawdę jest na skraju następnej wojny

o sukcesję, to czy Asterilhold odwróci od nas swoje spojrzenie? Czy nowe okręty z Hallskar oznaczają, że wzrośnie piractwo w Estinporcie, a zmaleje w Tauendak? Nie możesz po prostu wziąć tych wszystkich rzeczy i upchnąć ich do jednego worka. Świat jest o wiele bardziej złożony.

– Masz o wiele mniej pola do manewru niż ci się zdaje, bracie – odparował Barriath. – Nie znajdziesz nikogo, kto sprzeciwiał się powstaniu rady chłopskiej i jednocześnie popierającego Asterilhold. Jedno jest powiązane z drugim. Żadna rodzina nie zabroni mariaży międzyrasowych albo handlu z Borją. Król nie jest rzeźbiarzem, który otrzymał nową bryłę z kamienia, mogąc wykuć w niej, co tylko zapragnie. Raczej jest jak mężczyzna wchodzący na dziedziniec rzeźbiarzy, który musi wybrać coś spośród dostępnych posągów.

– I myślisz, że ksiązę stanowi jedyny sposób na okazanie komuś swojej przychylności?

– Jedyny, który ma znaczenie – powiedział Barriath. – Gdyby jego wysokość oddał wszystkie honory i ziemie Daskellinowi, ale posłał Astera na wychowanie do Maasa, wciąż zdawałby sobie sprawę z tego, że w przyszłości królestwo kształtowane będzie podług wizji Maasa. Dlatego właśnie Issandrian...

– Ale jeśli król...

Ich głosy splotły się ze sobą. Żaden chłopak nie słuchał drugiego, a wszystkie wątki ich sprzeczki zamieniły się w jeden paskudny węzeł. Clara weszła do ogrodu i położyła dłonie na biodrach z udawanym oburzeniem.

– Jeśli tak witacie swoją biedną matkę, powinnam była chować was z wilkami – powiedziała.

Obaj chłopcy uśmiechnęli się i wstali, by ją uściskać. Byli już mężczyznami, silnymi i pachnącymi piżmem oraz olejem do włosów. Wydawało jej się, że minął zaledwie tydzień, od kiedy trzymała ich w ramionach. Chwilę później wrócili do swojej sprzeczki, przekrzykując się nawzajem, tylko że teraz ich potyczka słowna skupiła się na niej oraz jej obecności tutaj powiązanej z sytuacją na dworze. Clara obdarzyła ich obu uśmiechami i postąpiła kilka kroków w głąb soczyście zielonego ogrodu pełnego jasnych kwiatów. Przynajmniej fontanna była dobrze utrzymana, a woda wciąż spływała po klatce piersiowej refleksyjnej, pomimo że zupełnie nagiej Cinnejki z brązu. Kobieta usiadła na brzegu fontanny i zaczęła ściągać z siebie okrycie podróżne.

– Wasz ojciec, biedactwo, nie może już usiedzieć w domu, dlatego w ramach przysługi dla niego i siebie, przyjechałam tu, by zachować pozory normalności. Ta idiotyczna sprzeczka kosztowała mnie już lepszą część lata, a poza tym koniecznie muszę się spotkać z Phelią.

Jorey oparł się o porośniętą bluszczem ścianę. Ze skrzyżowanymi ramionami i zmarszczonym czołem stanowił kopię swojego ojca. Barriath usiadł obok niej, po czym parsknął śmiechem.

– Tęskniłem za tobą. Żadna inna kobieta nie nazwałaby pierwszego od pięciu pokoleń zbrojnego starcia na ulicach Cannipolu idiotyczną sprzeczką – powiedział.

– Jest mi równie przykro jak wszystkim w związku z tym co przydarzyło się biednemu lordowi Faskellanowi – rzuciła ostro Clara. – Ale zabraniam wam wyrażania się na temat całej tej sprawy w kategoriach innych niż kompletna głupota.

– Spokojnie matko, spokojnie – odparł Barriath. – Oczywiście, masz sporo racji. Tyle tylko, że nikt inny nie ująłby tego w takich słowach.

– Cóż, nie widzę powodu, dla którego nie mogłoby być inaczej.

– Czy ojciec wie, że zamierzasz odwiedzić Maasa? – spytał Jorey.

– Tak, a zanim cokolwiek powiesz, wiedz, że będę pod ochroną przez cały czas, więc daruj sobie historie o potwornym lodzie Maasie i rzeczach, które mi robi.

Chłopcy wymienili spojrzenia.

– Matko... – zaczął Jorey, ale kobieta przerwała mu, unosząc dłoń. Następnie odwróciła się do swego starszego syna.

– Zakładam, że na jakiś czas zostawiłeś flotę, kochanie. Więc powiedz mi, jak miewa się biedny lord Skestinin i ta jego wymalowana sekutnica, którą nierozważnie poślubił?

Ulice miasta były zatłoczone i gwarne. Koła powozów terkotały na bruku. Na targowiskach rzeźnicy sprzedawali mięso, a piekarze chleb. Drobn przestępcy zdrapywali gówno w alejkach lub z chodników, pilnowani przez żołnierzy w barwach króla, czasami noszących nawet jego liberie. Na drzewach wiśniowych, którymi obsadzono ulice, zieleniły się owoce, zaczynające powoli czerwienieć. Robotnicy wisieli nad Szczeliną, naprawiając te same mosty, do których zostali przywiązani. Clara nie spodziewała się, że możliwe jest, by miasto wyglądało tak dobrze, brzmiało tak dobrze i pachniało tak dobrze, wciąż gnąc się pod ciężarem strachu.

Mylili się.

Diabeł tkwił w szczegółach. Kupcy wybuchali śmiechem zbyt szybko. Ludzie sprzecjali się o prawo pierwszeństwa, a wszyscy przywdziewali kamienne wyrazy twarzy, gdy wydawało im się, że nikt nie widzi. Nawet konie wyczuwały coś, co sprawiało, że ich wielkie, wodniste oczy wydawały się odrobinę bardziej przestraszone, a ich chód nieco bardziej płochliwy.

Clara postanowiła wziąć otwartą po bokach lektykę z czterema tragarzami. Obok niej kroczył Vincen Coe. Coś przydarzyło się biednemu mężczyźnie zanim opuścili Osterling Fells, ale opuchlizna wokół oka zaczęła już żółknąć, spływając jasną zielenią na policzek. Mężczyzna miał na sobie utwardzaną skórę nabijaną stalowymi ćwiekami, a za pasem trzymał miecz oraz sztylet. Nie było to typowe uzbrojenie myśliwego, a zważywszy na podbite oko, przypominał zwykłego zbira.

Rezydencja Feldina Maasa posiadała wspólny dziedziniec z rodem Issandriana. Obie bramy z kutego żelaza miały równie jarmarczny wygląd, natomiast ich domy zostały pomalowane i ozdobione w sposób, który przywodził na myśl projekt szalonego cukiernika. Curtin Issandrian, rzecz jasna, został wygnany podobnie jak Dawson i zabrał ze sobą całą rodzinę oraz sługi. Jej wuj Mylus w młodości otrzymał cios w głowę, przez co połowa jego twarzy pozostała sparaliżowana i bez wyrazu.

Dziedziniec przypominał Clarze wuja, lewa strona pełna była życia, natomiast prawa wydawała się pusta niczym śmierć.

Phelia stała u szczytu frontowych schodów. Jej sukienkę uszyto z fioletowego aksamitu, haftowanego srebrną nicią przy rękawach i kołnierzyku. W tym stroju powinna wyglądać pięknie. Clara oddała swój szal tragarzowi, po czym ruszyła Phelii na spotkanie. Kuzynka ujęła jej dłonie i uśmiechnęła się sztywno.

– Och, Claro – powiedziała. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo za tobą tęskniłam. To był okropny rok. Proszę, wejdź do środka.

Clara skinęła do niewolnika przy drzwiach. Nie była to Dartinejka, do której widoku przywykła, ale groźnie wyglądający Jasur. Mężczyzna nie odwzajemnił ukłonu. Razem z kuzynką weszły do chłodniejszego przedsiionka rezydencji Maasa.

– Hej, ty! Stój!

Clara obróciła głowę, zaskoczona, że ktokolwiek mógłby zwracać się do niej tak nieuprzejmym tonem, ale zobaczyła, że słowa skierowane zostały do

Vincena Coe. Jasurski mężczyzna stał, kładąc dłoń na piersi jej ochroniarza. Młody myśliwy zastygł w bezruchu.

– On jest ze mną – oznajmiła.

– Nikt nie wejdzie do środka uzbrojony – warknął niewolnik.

– Możesz tu zaczekać, Vincenie.

– Z całym szacunkiem, milady – odparł młodzieniec, nie spuszczać wzroku z Jasura – ale nie mogę tego uczynić.

Clara uniosła dłoń do policzka. Phelia pobladła, a jej ręce zatrzępotały niespokojnie niczym dwa ptaki.

– W takim razie zostaw swoje ostrza – powiedziała baronowa. Następnie zwróciła się do kuzynki: – Zakładam, że mogę liczyć na uszanowanie zasad gościny.

– Ależ tak – zapewniła ją Phelia. – Oczywiście, że tak. Oczywiście, że możesz.

Vincen Coe przez chwilę stał w milczeniu. Clara musiała przyznać, że Phelia byłaby bardziej wiarygodna, gdyby nie powtórzyła tego trzykrotnie. Dłonie Vincena powędrowały do paska, rozpięły klamrę i wręczyły niewolnikowi miecz oraz sztylet skryte w pochwach. Jasur odebrał od niego broń, po czym skinął przyzwalająco.

– Wydaje mi się, że schudłaś nieco od ostatniego razu, gdy cię widziałam – powiedziała Clara, idąc u boku kuzynki. – Chorowałaś?

Posłany w odpowiedzi uśmiech był tak kruchy, że spękał po bokach.

– To trudny okres. Od kiedy król odesłał Curtina i Alana, i ciebie rzecz jasna, Feldin praktycznie nie sypia. Chciałabym, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

– Mężczyźni – mruknęła Clara, poklepując Phelię po ramieniu. Kobieta cofnęła się, ale po chwili, jakby zdając sobie sprawę, że nie powinna tego robić, przyzwoliła skinieniem głowy na dotyk. – Dawson też wychodzi z siebie. Doprawdy, można by pomyśleć, że świat się kończy, patrząc jak chłonie każdy skrawek plotek.

– Kocham króla i Bóg mi świadkiem, że jestem lojalna koronie – powiedziała Phelia – ale Simeon bardzo źle to wszystko rozegrał, nieprawdaż? Głupia bijatyka wyrwała się spod kontroli, a on posyła ludzi na wygnanie? Tym sposobem ludzie zaczynają czuć, że dzieje się coś niedobrego. A tak być nie musi.

Skręciła na szerokie schody o czarnych, wypolerowanych stopniach.

Clara podążyła za nią. Z końca korytarza, który opuszczali, Clara usłyszała podniesione głosy mężczyźni, jednak ich słowa pozostały niezrozumiałe. Jeden z głosów należał do Feldina Maasa. Drugi wydał jej się znajomy, ale nie była w stanie sprecyzować, do kogo należał. Pochwyciwszy spojrzenie Vincena Coe, ruchem głowy wskazała wylot korytarza.

Idź tam i zobacz, czego uda ci się dowiedzieć.

Mężczyźni pokręcił głową. *Nie.*

Clara uniosła brwi, ale do tego czasu dotarli już na podest. Phelia zaprosiła ich do obszernego salonu.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała Clara przed drzwiami.

– Jak sobie życzysz, milady – odparł Coe, stając plecami do ściany niczym strażnik na służbie. Nawet przez chwilę nie dał po sobie poznać, czy zamierza zejść na dół, by podsłuchać rozmowę. Wszystko to było dość irytujące.

Salon został przemalowany na czerwono i złoto od kiedy Clara widziała go po raz ostatni, ale przy oknie wciąż stała ta sama niska sofa, którą zawsze lubiła. Na dodatek, jak przystało na dobrą gospodynię domu, Phelia przygotowała już dla niej fajkę. Clara odetkała główkę wykonaną z kości oraz twardego drewna, po czym nabiła ją odrobiną tytoniu.

– Nie wiem już, co mam robić – powiedziała Phelia, siadając na sofie. Pochyliła się nieco, wciskając złożone dłonie pomiędzy kolana jak małe dziecko. – Powtarzam sobie, że sprawy nie mają się aż tak źle, ale wtedy budzę się w środku nocy i nie mogę usnąć. Feldina nigdy nie ma przy mnie. Idzie ze mną do łóżka, ale gdy tylko zamykam oczy, wraca do swoich listów i spotkań.

– Nastaly trudne czasy – rzekła Clara. Odpaliła fajkę od srebrnej świecy ustawionej tam celowo, po czym wciągnęła dym do płuc.

– Curtin miał przyjąć księcia na wychowanie, wiesz? Ale teraz, po tym wszystkim, doszło do strasznych przepychanek. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że ten zaszczyt może przypaść Feldinowi. Możliwe, że będę pomagać w wychowaniu księcia – westchnęła Phelia. – Wyobrażasz sobie mnie wychowującą księcia?

– Aster to zwykły chłopiec – zauważyła Clara. – Sama wychowałam trzech. Chłopców nie tyle się wychowuje, co trzyma się ich z dala od rzeczy, które mogliby uszkodzić.

– To tak samo jak z mężczyznami – prychnęła Phelia. – Nigdy nie myślą

o tym, że mogą coś zepsuć.

Clara zaciągnęła się dymem z fajki i wypuściła chmurę szarego dymu, zanim odpowiedziała.

– W tym rzecz, nieprawdaż? To my mamy problem, ale sposobów na jego rozwiązanie poszukuje się na dworach Północnego Wybrzeża i Asterilhold. Wkrótce zapewne zauważą go również w Sarakal i Hallskar.

– Wiem o tym.

– Więc, kochanie – powiedziała Clara przymilnym głosem – jak to załatwimy?

– Zupełnie nie rozumiem, skąd te wszystkie obawy. Asterilhold, Antea i Północne Wybrzeże przez całe wieki musiały odpowiadać przed Wysokimi Królami. Wszyscy wchodzili w koligacje ze wszystkimi. Praktycznie już teraz stanowimy jedno królestwo, jeśli się nad tym zastanowić.

– To szczerza prawda – przyznała jej rację Clara, siadając obok kuzynki. Phelia szarpała rękaw sukienki, skubiąc nieistniejące luźne nitki oraz kłaczki.

– Po prostu nie rozumiem, po co robić awanturę z użyciem mieczy, łuków i tym podobnych. Chyba nikt tego nie chce, prawda? Co można zyskać walką? Skoro praktycznie stanowimy już jedno królestwo.

– Tak, ale dopóki w Cannipolu jest jeden tron, a w Kaltfel drugi, dopóty mężczyźni będą grozić sobie mieczami – powiedziała Clara. – Tacy już są, nieprawdaż?

Phelia drgnęła. Zrobiła wielkie oczy i zacisnęła dłonie na kolanach z taką siłą, że cała krew odpłynęła jej z knykciów. *To* dopiero było interesujące. Clara odchrząknęła i mówiła dalej, udając, że niczego nie zauważyła.

– Problem polega na tym, że trudno jest znaleźć sposób pozwalający wszystkim na zachowanie twarzy, bez konieczności proszenia o zbyt wiele. Wiem, że Dawson nie posłucha głosu rozsądku, o ile nie znajdziemy ścieżki, która nie będzie zakładała pochylenia przed kimś karku. Zakładam, że twój Feldin jest dokładnie taki sam.

– Ale on wygrał. Feldin czuje, że wygrał, a jeśli księżę zamieszka z nami...

Clara milczała.

– Wiesz, że bardzo cenię Dawsona – ciągnęła Phelia. – Zawsze był niezwykle oddany. Nawet gdy był niegrzeczny względem Feldina, wynikało to z tego, że Dawson żyje, jakby świat naprawdę wyglądał tak, jak on go widzi. Nigdy nie posądziłabym go o działanie pod wpływem gniewu lub

złośliwości.

– Cóż, nie posuwałabym się do stwierdzenia, że mój ukochany mąż nie bywa złośliwy, ale rozumiem co masz na myśli.

Phelia zachichotała nerwowo. Jej ramiona zgarbione były tak, jakby w każdej chwili spodziewała się ciosu.

– Słyszałaś, że Rania Hiren jest w ciąży? – spytała. Clara zadumała się na jedno uderzenie serca, ale pozwoliła kuzynce zmienić temat.

– Znowu? Który to już raz?

– Ósmy, jeśli liczyć wszystkie żywe dzieci. Trzy razy poroniła.

– Zdziwiałam się jej wytrzymałości – powiedziała Clara. – Jej mąż musi być człowiekiem o niezwykłych przymiotach. Rania to najukochańsza osoba pod słońcem, ale po tych bliźniakach zaczęła odrobinie przypominać główkę miotły. Oczywiście, to nie jej wina. To kwestia skóry.

– Niestety, mam bardzo podobną cerę – zauważyła Phelia. – Boję się myśleć, jak będę wyglądać po urodzeniu pierwszego dziecka.

– Jesteś młoda, kochanie. Jestem pewna, że uda ci się odzyskać dawną figurę. Chyba niegrzecznie będzie pytać, jak mają się sprawy w tym departamencie?

Phelię oblał rumieniec, ale jednocześnie nieco się rozluźniła. Łózkowe pogaduszki i rozmowy o niuansach kobiecego ciała mogły być nieco grubiańskie, ale na pewno stanowiły bezpieczniejszy temat niż polityka i wojna. Przez godzinę Clara pozwalała, aby rozmowa biegła własnym torem, zawsze zostawiając Phelii możliwość powrotu do tematu ich mężów oraz niebezpieczeństwa wiszącego nad miastem niczym kłęb dymu nad ogniskiem. Jej kuzynka ani razu nie wykorzystała danej jej okazji. Już to samo w sobie mówiło wiele.

Gdy nadszedł czas pożegnania, Clara znalazła Vincena Coe tam gdzie go zostawiła, zapatrzonego w przestrzeń. Schodząc na dół, Phelia wzięła krewniaczkę pod rękę, opierając na niej część swojego ciężaru. Najwyraźniej ta wizyta rozluźniła ją równie mocno, co zaniepokoiła Clare. Przy drzwiach Vincen Coe odebrał swoją broń od Jasura, podczas gdy obie kobiety uściśniły się na pożegnanie. Lektyka już czekała, więc Clara wzięła swój szal od jednego z tragarzy. Dopiero po opuszczeniu prywatnego dziedzińca, gdy dopaliła się reszta tytoniu w główce, baronowa zdała sobie sprawę z tego, że nieumyślnie ukradła kuzynce fajkę. Wytrząsnęła jego resztki po stronie przeciwnej do Vincena, nie chcąc, by popiół spadł na młodzieńca.

– Zakładam, że podsłuchiwałaś? – powiedziała na tyle głośno, aby przekrzyczeć hałas ulicy.

– Nie, milady.

– Och, proszę cię, Vincenie – prychnęła. – Nie jestem głupia. Ile słyszałaś?

Chwilę później myśliwy wzruszył ramionami.

– Prawie wszystko, moja pani. Twoja kuzynka mówiła cicho, opowiadając o swoich problemach z płodnością, natomiast ty głośno śmiałaś się z komentarzy na temat kochanki lorda Sonnena.

– Czyli słyszałaś też pierwszą część. Tę o naszych mężach?

– Tak.

– Jak sądzisz, dlaczego tak bardzo przejmuje się wspólną historią Asterilhold i Antei? Twierdząc, że to „praktycznie jedno królestwo”?

– Jeśli miałbym zgadywać, moja pani, to dlatego, że podejrzewa, że wkrótce znów nim będą.

Wymienili spojrzenia, a jego wyraz twarzy – powściągliwy, spokojny, ponury – potwierdził jej przypuszczenia. Niezależnie od pokrewieństw i spowinowaceń, precedensów i polityki, Antea oraz Asterilhold nie mogły zostać zjednoczone za życia Simeona i Astera. Phelia zaś, choć nie mówiła tego wprost, sądziła, że to możliwe. A nawet prawdopodobne. Aster z kolei miał zamieszkać pod jej dachem.

W związku z czym sam nasuwał się wniosek, że Feldin Maas i jego zagraniczni sojusznicy zamierzali zabić księcia Astera.

– Cóż – westchnęła Clara – to by było na tyle, jeśli chodzi o pokój.

Cithrin

Wiatr trzasnął okiennicami, wyjąc za oknem. Poranne słońce było nieznośnie jaskrawe. Samym swoim istnieniem, świat wywoływał u Cithrin nudności. Przewróciła się na łóżku, przyciskając dłoń do gardła. Nie chciała wstawać, a już na pewno nie miała zamiaru iść na Wielki Targ. Sama próba by ją zabiła.

W jej umyśle zatrzepotała jakaś niejasna myśl, przyczyna, dla której pozostanie tutaj oznaczało kłopoty. Miała pojawić się w kawiarni, ponieważ...

Ponieważ...

Mruknęła coś obelżywego, po czym, nie otwierając oczu, powtórzyła to kilkakrotnie, przeciągając dźwięki. Była umówiona na spotkanie z przedstawicielem gildii garbarzy w celu omówienia szczegółów ubezpieczenia towarów przy okazji następnej wyprawy kupieckiej. A miało to nastąpić wkrótce. Zapewne na przestrzeni najbliższych dni. Wtedy te po trzykroć przeklęte statki wyruszą, płynąc wzdłuż wybrzeża póki pozwoli na to pogoda. Potem zawiną do północnych portów, sprzedadzą co tylko się da, by przezimować, czekając aż dalekomorskie okręty z Dalekiego Syramu dobiją do wielkiej wyspy Narinisle i cały cholerny cykl zacznie się od początku. I tak w nieskończoność aż po kres dni, niezależnie od tego czy Cithrin wstanie z łóżka, czy nie.

Usiadła. W pomieszczeniu panował rozgardiasz. Butelki i puste bukłaki walały się po podłodze. Kolejny podmuch naparł na okna. Dziewczyna poczuła wokół siebie poruszenie powietrza. Zrobiło jej się niedobrze. Wstała powoli i przeszła przez pokój, szukając sukienki, która nie cuchnęłaby potem. W nocy musiała najwyraźniej przewrócić nocnik, ponieważ kałuża zimnego moczu zdążyła już zabrudzić deski podłogi. Jedynymi ubraniami, które nie wyglądały na brudne były spodnie oraz zgrzebna koszula, które nosiła jako woźnica Tag. Do tego, co miała zamiar zrobić wystarczy. W sakiewce znalazła pół tuzina srebrnych monet, które wcisnęła do kieszeni.

Nim dotarła na dół, niemal czuła się jak człowiek. Na chwilę wyszła na ulicę, po czym wróciła do banku frontowymi drzwiami.

- Karaluch – powiedziała, na co mały Timzinejczyk skoczył na baczność.
- Magistra Cithrin – rzekł chłopak. – Kapitan Wester i Yardem poszli

odebrać płatność z browaru po północnej stronie murów, a potem od dwóch rzeźników z dzielnicy solnej. Barth i Corisen Mout poszli z nimi. Enen śpi na tyłach po nocnej warcie, a Ahariel miał kupić jakąś kiełbasę i zaraz wróci.

– Musisz coś dla mnie zrobić – rzekła Cithrin. – Biegnij do kawiarni i powiedz mężczyźnie z gildii garbarzy, że nie będzie mnie dzisiaj. Powiedz mu, że źle się czuję.

Chłopak nerwowo zamrugnął migotką.

– Kapitan Wester powiedział, żebym został na miejscu – powiedział Karaluch. – Enen śpi, a on chciał, żeby ktoś tu był na wypadek...

– Zostanę tutaj dopóki ktoś nie wróci – zapewniła Cithrin. – Może i czuję się, jakbym miała zaraz umrzeć, ale wciąż mogę krzyczeć, jeśli zajdzie potrzeba.

Karaluch wciąż wyglądał na nieprzekonanego. Cithrin poczuła ukłucie irytacji.

– Płacę Westerowi – powiedziała. – Tobie też, skoro już o tym mowa. Więc ruszaj.

– T... tak, magistra.

Chłopak wybiegł na ulicę. Cithrin przez chwilę stała w drzwiach, patrząc jak wyciąga ciemne nogi. W głębi ulicy wyminął wózek obładowany świeżo złowionymi rybami, po czym skręcił za róg i zniknął. Cithrin powoli policzyła do dwunastu, dając mu czas na ponowne pojawienie się. Gdy tak się nie stało, wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Wiatr dął jej prosto w twarz, podrywając drobiny kurzu i słomy, ale mrużąc powieki, udało jej się dotrzeć do szynku.

– Dzień dobry, magistra – rzekł gospodarz, gdy jej oczy przywykły do półmroku. – Już wróciłaś?

– Na to wygląda – odparła, wyławiając monety z kieszeni. – Wezmę tyle, ile to jest warte.

Gospodarz wziął pieniądze, ważąc je w dłoni.

– Twój chłopcy wiedzą jak pić wino – powiedział.

– To nie dla nich – odparła z uśmiechem. – To wszystko dla mnie.

Mężczyzna roześmiał się. Ten rodzaj kłamstwa był dla niej czymś nowym. Wystarczyło powiedzieć prawdę dostatecznie lekkim tonem, by inni wzięli to za dowcip. *To nie dla nich, to wszystko dla mnie. Nim nastanie zima puszczą mnie z torbami. Nic, co robię, nie ma znaczenia.*

Wrócił z dwoma ciemnymi butelkami wina oraz niewielką beczką piwa.

Cithrin wcisnęła beczułkę pod pachę, a potem chwyciła butelki w obie ręce. Następnie zaczekała aż szynkarz otworzy jej drzwi. Teraz wiatr wiał jej w plecy, pchając ją, zupełnie jakby chciał, aby jak najszybciej wróciła do domu. Niebo było błękitne z zaledwie kilkoma białymi chmurkami, ale powietrze pachniało deszczem. Jesienna pogoda w Porte Oliva miała nienajlepszą opinię, a lato powoli dobiegało końca. Małe oberwanie chmury raz na jakiś czas nie wydawało się jednak wystarczającym powodem do narzekań.

Nie wróciła do głównej sali, ale od razu udała się na górę. Manewrowanie na schodach było trudne, kiedy pod pachą ścisnęła się beczułką piwa. Na szczycie schodów uderzyła łokciem w róg. To wystarczyło, aby poczuła mrowienie w palcach, ale nie upuściła butelki.

Zupełnie zapomniała o rozlanych szczynach, lecz teraz już czuła się na tyle dobrze, by otworzyć okno i wylać zawartość nocnika w alejkę. Resztę wytarła brudną szmatą, którą również wyrzuciła na zewnątrz. Zeszłego wieczora zjadła pęto żylastej kiełbasy i piętę ciemnego chleba. Powinna być głodna, ale nie czuła ssania w żołądku. Ściągnęła buty woźnicy, odkorkowała pierwszą butelkę wina, po czym legła na łóżku, opierając głowę o wezgiel.

Wino było słodsze niż to, do którego się przyzwyczaiła, ale czuła jego moc. Jej żołądek protestował przez chwilę, wijąc się jak piskorz, ale uciszyła go kilkoma niewielkimi łykami. W głowie czuła łupanie, załazek silniejszego bólu. Wiatr umilkł, pozostawiając ją w kompletnej ciszy. Usłyszała dobiegające z dołu głosy dwójki kurtadamskich strażników.

Kobieta – Enen – śmiała się. Ciepło i spokój zagościły w żyłach Cithrin. Pociągnęła ostatni, długi łyk prosto z butelki, przekręciła się i postawiła wino na podłodze. Ciemność pod zamkniętymi powiekami była nieprzenikniona i kojąca. Narastający szum wiatru wydawał się teraz dochodzić z wielkiej odległości. W obecnym stanie, w jej umyśle pojawiały się przebłyski, tworzące połączenia pomiędzy nieprawdopodobnymi wydarzeniami.

Miała wrażenie, że magister Imaniel zostawił coś dla kapitana Westera. Wydawało jej się, że miało to coś wspólnego z kanałami wodnymi w Vanai, które przekopano aż do doków Porte Oliva, a także z ziołami oraz przyprawami zapakowanymi w śnieg. Nie kreśląc linii pomiędzy jawą a drzemką, drzemką a snem, Cithrin osunęła się w ciemność. Czas wstrzymał swój bieg. Wznowił go, gdy zaczęła być świadoma gniewnych głosów dochodzących z bardzo, bardzo daleka, po czym znów się zatrzymał.

– Wstawaj.

Cithrin zmusiła się od uniesienia powiek. Kapitan Wester stał w drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Światło przygasło. Miasto otulił pochmurny zmierzch.

– Wyłaż z łóżka – powiedział. – Natychmiast.

– Odejdź – mruknęła.

– Powiedziałem, żebyś wylazła z tego cholernego łóżka!

Cithrin wsparła się na łokciu. Pokój zawirował.

– I co niby mam robić? – spytała.

– Przegapiłaś pięć spotkań – wyrzucił z siebie Marcus. – Ludzie zaczną gadać, a gdy tak się stanie, koniec z tobą. Więc wstań i rób to, co musisz.

Cithrin wbiła w niego spojrzenie, otwierając usta z niedowierzaniem i narastającym gniewem.

– Nic już nie muszę – odparowała. – To koniec. Jestem skończona. Miałam swoją szansę i pokpiłam ją.

– Rozmawiałem z Qahuaem Emem. Nie warto zawracać sobie nim głowy. A teraz...

– Qahuar? Kogo obchodzi Qahuar? – warknęła Cithrin, siadając. Nie pamiętała kiedy załała koszulę winem, ale materiał ciągnął w miejscu, gdzie zaschnięty trunek lepił się do skóry. – Chodzi o kontrakt. Próbowалаm go zdobyć i przegrałam. Myślałam, że złapałam Boga za nogi i przegrałam. Zawiodłam.

– Zawiodłaś?

Cithrin rozpostarła ramiona, pokazując pokój, miasto, cały świat. Było to dla niej oczywiste. Wester zrobił kilka kroków w jej kierunku. W półmroku jego oczy błyszczały niczym kamienie w rzece. Jego usta były jak wykute z żelaza.

– Patrzyłaś jak twoja żona i córka płoną na twoich oczach? I to przez *ciebie*? – spytał. Gdy nie odpowiedziała, pokiwał głową. – Więc mogło być gorzej. Mogłaś już nie żyć. Jest robota do wykonania. Więc wstawaj i bierz się za nią.

– Nie mogę. Otrzymałam list od Komme Medejczyka, który zabronił mi działać w jego imieniu.

– Więc zamiast tego postanowiłaś w jego imieniu zwinąć się żałośnie w kłębek? Jestem przekonany, że to doceni. Wstawaj.

Cithrin opadła na łóżko, przytulając poduszkę. Strasznie cuchnęła, ale i tak jej nie odłożyła.

– Nie przyjmuję od pana rozkazów, *kapitanie* – powiedziała to tak, że ostatnie słowo zabrzmiało jak obelga. – To ja panu płacę, więc będzie pan robił co każe. A teraz proszę sobie iść.

– Nie pozwolę ci zaprzepaścić wszystkiego, na co pracowałaś.

– *Pracowałam*, żeby pieniądze banku były bezpieczne i to mi się udało. Masz rację. Wygrałam. A teraz odejdz.

– Chcesz je zachować.

– A kamienie chcą latać – parsknęła. – Ale nie mają skrzydeł.

– Znajdź inny sposób – powiedział, niemal łagodnie.

Tego było za wiele. Cithrin ryknęła ze wściekłością, usiadła i z całej siły rzuciła w niego poduszką. Nie chciała już płakać, ale oto właśnie łzy napłynęły jej z oczu.

– Mówiłam, żebyś się wynosił! – wrzasnęła. – Nikt cię tutaj nie chce! Anuluję twój kontrakt. Zabieraj swoje pieniądze i ludzi, i nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi.

Wester zrobił krok w tył. Cithrin poczuła pustkę w piersi. Miała ochotę połknąć te słowa. Mężczyzna schylił się, złapał poduszkę między palcem wskazującym i kciukiem, po czym odrzucił ją dziewczynie. Poszewka wylądowała obok niej z cichym plaśnięciem, przypominającym uderzenie w żołądek. Kapitan trącił pusty bukłak czubkiem buta i wziął długi, głęboki wdech.

– Pamiętaj, że próbowałem przemówić ci do rozsądku – powiedział.

Obrócił się. I wyszedł.

Spodziewała się bólu, była wręcz nań gotowa, więc to nie cierpienie wynikające z wiedzy, że mężczyzna odejdzie, ją zaskoczyło. Nie sądziła po prostu, że nawet pomimo tej wiedzy, nawet pomimo spodziewanych efektów, zaleje ją fala rozpacz. Czowała się, jakby coś umarło jej w połowie drogi między krtanią a sercem i zaległo tam, gnijąc. Słyszała jak kapitan schodzi na dół. Każdy kolejny krok był cichszy od poprzedniego. Cithrin zgarnęła brudną poduszkę i wrzasnęła prosto w nią. Czowała, jakby całe dni mijaly jej na krzyku, podczas gdy jej ciało drżało z głodu, wycieńczenia i trucizny zawartej w winie oraz piwie. Mięśnie w plecach i na brzuchu groziły skurczami, ale nie potrafiła przestać wrzeszczeć i płakać, tak jak nie mogła przestać oddychać.

Usłyszała głosy z dołu. Marcusa Westera i Yardema Hane'a. Usłyszała jak Tralgur mruczy coś, co brzmiało jak *Tak jest, sir*, choć same sylaby

stanowiły przytłumiony bełkot. Potem odezwał się młodszy, wyższy głos. Zapewne należący do Karalucha.

Wszyscy odejdą. Wszyscy.

Nie miało to znaczenia.

Nic nie miało znaczenia. Jej rodzice umarli tak dawno temu, że nawet ich nie pamiętała. Magister Imaniel i Cam, i Besel, wszyscy nie żyli. Miasto z jej dzieciństwa zostało spalone i legło w gruzach. A bank, jedyna rzecz, którą kiedykolwiek stworzyła z myślą o sobie, zostanie jej odebrany wkrótce po przybyciu audytora. Nie wyobrażała sobie, by odejście kilku strażników miało robić jakąś różnicę.

Ale robiło.

Powoli, bardzo powoli, jej wewnętrzny sztorm ucichł. Było już ciemno, a małe krople deszczu stuknęły o okiennice niczym palce. Sięgnęła po butelkę z winem, która – ku jej zaskoczeniu – była pusta. Wciąż jeszcze miała drugą. Oraz beczułkę piwa. Da sobie radę. Musiała tylko odzyskać trochę sił. Potrzebowała tylko kilku minut.

Nie przebudziła się w pełni, gdy na korytarzu rozbrzmiały odgłosy. Najpierw kilka ciężkich kroków u podstawy schodów, a potem, zanim dotarły na górę, głuchy odgłos czegoś ciężkiego uderzającego o ścianę domu. Yarem stęknął. Zachlupotała woda. Mogła to być deszczówka ściekająca z dachu, ale dźwięk wydawał się dochodzić z bliska. Błysnęło światło. Latarnia w dłoni Westera. A za nim Yarem Hane oraz dwójka kurtadamskich strażników dźwigająca miedzianą balię o długości przynajmniej czterech stóp.

– Powinniśmy byli najpierw wytaszczyć ją na górę, a potem napełnić – powiedziała Enen z wysiłkiem.

– Następnym razem będziemy wiedzieć – mruknął Marcus.

Przez otwór drzwiowy Cithrin zobaczyła jak troje strażników stawia balię na podłodze. Sięgała Marcusowi do kolana i wyraźnie pluskała w niej woda.

Ignorując jej obecność, Yarem wręczył kapitanowi okrągły, kamienny słój, po czym zaczął zapalać lampy i świece w całym pokoju. Pozostała dwójka zasalutowała, a chwilę później zeszła na dół. Cithrin usiadła, podpierając się na jednej ręce. Marcus ruszył w jej stronę i zanim zdążyła go powstrzymać, chwycił ją za włosy, po czym zwłókł z łóżka. Uderzyła kolanami o podłogę z głuchym tąpnięciem i ukłuciem bólu.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła.

– Próbowałem z tobą rozmawiać – powiedział Wester, wpychając ją do balii. Woda była ciepła. – Zdejmij z siebie te szmaty albo ja to zrobię.

– Nie mam zamiaru...

W jaśniejącym świetle świec wyraz jego twarzy był jednoznaczny.

– Widywałem już wcześniej dziewczęta. Niczym mnie nie zaskoczysz. Masz tutaj mydło – powiedział, wciskając jej kamienny słoik w dłonie. – Nie zapomnij umyć włosów. Są tak tłuste, że wkrótce same staną w ogniu.

Cithrin spojrzała na słoik z przylegającym wieczkiem. Był cięższy niż się spodziewała. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni zażyła kąpieli. Gdy mężczyzna przemówił ponownie, jego głos pozostawał nieustępliwy.

– Sama to zrobisz albo będę musiał ci pomóc.

– Nie patrzcie – powiedziała, niemal w tej samej chwili zdając sobie sprawę z tego, że przystała na umowę, której warunków nie poznała. Czuła jedynie ulgę związaną z tym, że nie zostawili jej samej sobie.

Marcus wydał z siebie poirytowane chrząknięcie, ale odwrócił głowę. Yarden dyskretnie odkaslnął, przechodząc do sypialni. Cithrin ściągnęła z siebie strój woźnicy, po czym uklękła w balii. Chłodne powietrze muskało jej skórę. Obok niej pływała rzeźbiona miska, której użyła, aby spłukać z siebie mydliny. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego jak bardzo była brudna.

Od strony schodów rozbrzmiał znajomy głos.

– Jest tam? – spytała Cary.

– Tak – odparł Marcus. – Po prostu rzuć to na górę.

Aktorka stęknęła, podczas gdy kapitan zrobił krok w stronę drzwi, łapiąc tobołek owinięty sznurkiem.

– Będziemy na dole – zawołała Cary. Drzwi prowadzące na ulicę otworzyły się i zamknęły. Marcus rozsupłał węzeł, po czym, nie odwracając się, podał jej do tyłu długi kawałek miękkiej flaneli. Cithrin wzięła od niego ręcznik.

– Mam tutaj również czystą sukienkę – oznajmił. – Powiedz, kiedy będziesz gotowa.

Cithrin wyszła z balii, drżąc na całym ciele, a następnie szybko się osuszyła. Woda w balii była brudna, a po jej powierzchni pływał osad z mydlin. Zakładając na siebie sukienkę, rozpoznała w niej jeden ze strojów Cary. Tkanina pachniała farbami do twarzy i kurzem.

– Już – powiedziała.

Yarden wyszedł z sypialni. Z koca zrobił worek, który wypełnił pustymi

bukłakami i butelkami po winie. Beczułkę, a także ostatnią, nienapoczętą flaszkę wrzucił do środka wraz z pozostałymi. Cithrin wyciągnęła rękę, gotowa powiedzieć, by je zostawił i że jeszcze z nimi nie skończyła. Tralgur jedynie zastrzygł uchem. Zadzwonily kolczyki. Pozwoliła mu przejść.

– Posłałem po jedzenie – powiedział Marcus. – Masz tutaj wszystkie dokumenty banku?

– W kawiarni została księga rachunkowa – odparła Cithrin. – I kilka kopii umów.

– Wyślę po nie kogoś. Przy schodach i pod oknem wystawię strażę. W twoje ręce nie ma prawa trafić żaden płyn mocniejszy od kawy. Zostaniesz tu dopóki nie wymyślisz, jak możemy uratować twój bank.

– Nic nie mogę zrobić – powiedziała. – Zabroniono mi prowadzenia jakichkolwiek negocjacji i rozmów handlowych.

– Bóg jeden wie, że nie mamy zamiaru łamać żadnych zasad – odparł Marcus. – Jeśli czegokolwiek potrzebujesz, tylko powiedz. Każdy ma czasami prawo do chwili słabości, ale dość już tego. Masz być trzeźwa i robić co do ciebie należy. Zrozumiano?

Cithrin zrobiła pół kroku naprzód i pocałowała go. Jego usta pozostały nieruchome i niepewne, a zarost wokół nich drapał jej twarz. Był trzecim mężczyzną, którego kiedykolwiek pocałowała. Sandr, Qahuar Em i kapitan Wester. Mężczyzna zrobił krok w tył.

– Moja córka była niewiele młodsza od ciebie.

– Z nią też by pan tak postąpił? – spytała, wskazując balię.

– Zrobiłbym dla niej wszystko – oznajmił mężczyzna. A potem: – Przyślę kogoś po balię, magistra. Chcesz, by przynieść ci nieco kawy, skoro już i tak muszę wysłać kogoś do kawiarni po księgi?

– Kawiarnia będzie już zamknięta. Jest noc.

– Zrobią dla nas wyjątek.

– Wobec tego – tak.

Kapitan skinął głową, po czym wyszedł. Cithrin usiadła za niewielkim biurkiem. Bębnienie deszczu uderzającego o dach mieszało się z głosami z dołu.

Oczywiście, nic nie mogła zrobić. Mimo najlepszych chęci i intencji, nie mogła zmienić choćby jednej cyferki w księgach rachunkowych. A mimo to szukała. Wkrótce pojawił się Yarden oraz dwójka Kurtadamów, którzy wynieśli balię. Karaluch przyniósł jej kremową zupę z ryby, smakującą

czarnym pieprzem i morzem. Idealnie pasowałyby do niej kufel piwa, ale miała na tyle rozsądku, by o niego nie prosić. Woda musiała na razie wystarczyć.

Czuła kruchość własnego umysłu, jego gotowość do rozprysnięcia się na tysiąc kawałków przy najmniejszym wstrząsie, ale próbowała wyobrazić sobie siebie w roli audytora z Carse. Co ujrzałby, patrząc na to wszystko? Przejrzała pierwsze wykazy towarów, które spisała wcześniej. Jedwab, tytoń, kamienie szlachetne, klejnoty, przyprawy, srebro i złoto. Brzuchaty Antejczyk ukradł trochę z tego przy młynie, ale stratę wliczyła w rachunek. Czarne cyferki stały w równych rzędkach na kremowym papierze. Więc takie były jej początki. Teraz miała przejść do tego, co zrobiła dalej.

Przewracając kolejne strony, ogarnęło ją uczucie nostalgii. Cichy szelest papieru i oto miała przed oczami kolejny relikw z minionej złotej ery. Umowa oraz rachunek zakupu pomieszczeń od hazardzisty. Pelurowy dokument oraz pieczęć zezwalające na otworenie banku. Przebiegła opuszkami palców po słowach. Nie minął jeszcze pełen sezon od kiedy zaczęła. Jednak wydawało jej się, że minęło więcej czasu. Jakby spędziła tu całe życie. Potem natrafiła na umowy konsygnacyjne ze sprzedawcą przypraw i handlarzem ubrań. Jej szacunki, ich wyliczenia, a na końcu ostateczny przychód ze sprzedaży. Bizuteria od początku stanowiła problem. Teraz zaczęła zastanawiać się, czy mogła pozbyć się jej w inny sposób niż ten, który wybrała. Może gdyby zaczekała na przyplnięcie okrętów z Narinisle. Albo oddała ją w ramach konsygnacji jednemu z domów kupieckich czerpiących zyski z eksportu. Wtedy nie przesyciłaby własnego rynku. Cóż, następnym razem.

Przez miarowe dudnienie deszczu przedarł się odległy ryk błyskawicy. Karaluch, przemoczony do suchej łuski, przyniósł jej żelazną kasetkę z kawiarni, razem z ogromnym ceramicznym kubkiem z kawą oraz krótką notką od maestra Asanpura, który życzył jej szybkiego powrotu do zdrowia, twierdząc, że bez niej kawiarnia nie jest już tym samym miejscem. Niemal wystarczyło to, żeby znów zalała się łzami, ale timzinejski chłopak zapewne by tego nie zrozumiał, dlatego zachowała zimną krew.

Najlepszą umową, którą podpisała, był częściowy monopol pomiędzy browarem, bednarzem a szynkami. Wszystkie podmioty zaangażowane w proces produkcyjny posiadały kontrakty z bankiem, dzięki czemu, gdy tylko zboże i woda docierały do browaru, każda kolejna transakcja przynosiła jej zysk i pozwalała zagwarantować odpowiednią pozycję pozostałym. Gdyby

udało jej się namówić kilku chłopów na wyspecjalizowaną produkcję zbóż pod kątem browarnictwa, mogłaby stworzyć samonapędzający się mechanizm do produkcji złota.

To jednak mogła zostawić swojemu następcy, kimkolwiek będzie. Na razie sączyła kawę, nie mogąc jednak odmówić racji stwierdzeniu, że pomysł był dobry, a całość właściwie przygotowana. Za rok, gdy trafią w jej ręce resztki pieniędzy jej rodziców, będzie musiała zobaczyć, czy jest w stanie wcielić w życie mniejszą wersję tego samego planu. Pomyślała, że bolesnym przeżyciem będzie powrót z pozycji magistry Cithrin bel Sarcour do podopiecznej banku na cały rok. Jednak gdy tylko osiągnie pełnoletność, będzie mogła zająć się własnymi interesami...

Po ręce przebiegł jej dreszcz, a małe włoski stanęły dęba. Skóra na szyi zaswędziała. Zimny ogień zapłonął wzdłuż kręgosłupa. Zamknęła księgi, które osobiście spisywała, odepchnęła je na bok, po czym wydobyła starsze, spisane rękami nieżyjących. Zapiski z Vanai. Krótka, nakreślona czerwonym atramentem notka, świadcząca o jej przybyciu do banku. Zamknęła książkę trzęsącymi dłońmi.

Kapitan Wester miał rację.

Istniał inny sposób.

Dawson

– Nie mam zamiaru tego słuchać – powiedział król Simeon. Ostatnie miesiące nie były dla niego łaskawe. Jego skóra poszarzała, a usta nabrały niezdrowej, sinej barwy. Pot rosił jego czoło, choć w pomieszczeniu nie było przesadnie ciepło. – Na Boga, Dawsonie. Posłuchaj tego, co mówisz. Wróciłeś z wygnania zaledwie jeden dzień temu – *jeden* – a już zaczynasz na nowo.

– Jeśli Clara ma rację, a Maas planuje zamach na życie księcia Astera...

Simeon grzmotnął otwartą dłonią o blat stołu. Sala spotkań rozbrzmiała echem uderzenia, a ciszę, która zapadła potem, przerywał jedynie trel drozdów oraz szmer fontanny za oknem. Strażnicy stojący pod przeciwległymi ścianami pozostali niewzruszeni jak zawsze. Ich zbroje połyskiwały czernią i złotem barw miasta, a miecze spoczywały przy biodrach. Dawson zastanawiał się, jakie wyraziliby zdanie, gdyby ktoś ich o nie zapytał. Ktoś musiał przemówić Simeonowi do rozsądku, choć najwyraźniej rola ta nie miała przypaść w udziale jemu.

– Gdybym posłuchał twojej rady – powiedział król – Issandrian stałby teraz na czele rewolty przeciwko mnie. Zamiast tego pojawił się tutaj wczoraj, ugiął przede mną kolana, błagając o przebaczenie i przysięgając na swoje życie, że to nie on stał za atakiem najemników.

– Jednak to musiała być czyjaś sprawka.

– Jestem twoim królem, baronie Osterling. Jestem też w pełni zdolny do prowadzenia tego królestwa po wzburzonych wodach.

– Simeonie, jesteś moim przyjacielem – rzekł Dawson cicho. – Wiem, jakim tonem mówisz, gdy jesteś przerażony. Możesz przełożyć to na następny rok?

– Co przełożyć?

– Oddanie syna na wychowanie. Nadanie tytułu jego protektora. Za trzy tygodnie wszyscy dworzanie wrócą do swych włości. Wystarczy, że powiesz, iż wydarzenia w tym roku uniemożliwiły ci podjęcie decyzji. Nie spiesz się.

Simeon wstał. Poruszał się jak starzec. Liście za oknem wciąż były zielone, ale barwa straciła nieco ze swej soczystości. Lato miało się ku końcowi. Wkrótce zieleń zbladnie, a jej miejsce zajmą żółcienie i czerwień. Piękne kolory, ale mimo wszystko oznaczające śmierć.

– Maas nie ma powodów, by szkodzić Asterowi – oznajmił Simeon.

– Jest w stałym kontakcie z Asterilhold. Współpracuje z nimi...

– Tak jak ty współpracowałeś z Maccią, by wzmocnić garnizon Vanai.

Lord Daskellin flirtował z Północnym Wybrzeżem. Lord Tremontair spotykał się z ambasadorem z Borji, a lord Arminnin, na przestrzeni ostatniego roku, spędził więcej czasu w Hallskar niż w Antei. Czy powinienem skrócić o głowę każdego szlachcica, który posiada koneksje poza naszym królestwem? Sam byś tego nie przeżył. – Oddech Simeona był szybki i płytki. Oparł się o framugę okna, by pomóc sobie ustać. – Mój ojciec zmarł, gdy był o rok młodszy niż ja teraz.

– Pamiętam.

– Maas posiada sprzymierzeńców. Wszyscy, którzy kochali Issandriana i Klina zwrócili się do niego, gdy tamci wyjechali.

– Moi stanęli po stronie Daskellina.

– Ty nie masz sprzymierzeńców, Dawsonie. Masz tylko wrogów i wielbicieli. Nie byłeś nawet w stanie utrzymać przy sobie tego chłopaka Palliaków, gdy wyrósł na bohatera. Lerer wolał posłać go na kraniec świata niż pozwolić mu na kolejne hulanki w twoim towarzystwie. Wrogów i wielbicieli.

– A ty, do której z tych grup należysz, Wasza Wysokość?

– Do obu po trochu. Od kiedy podebrałeś mi tę cinnejską dziewczkę podczas turnieju, gdy mieliśmy po dwanaście lat.

Dawson zachichotał. Król posłał mu speszony uśmiech, ale chwilę później również wybuchnął śmiechem. Ostatecznie znów opadł ciężko na swoje siedzisko.

– Wiem, że tego nie pochwalasz – powiedział. – Ale zaufaj mi, że robię wszystko, co w mojej mocy. Istnieje tak wiele rzeczy, o które trzeba zadbać, że to ponad moje siły. Jestem nieznośnie wycieńczony.

– Przynajmniej nie oddawaj Astera w ręce Maasa. Nie obchodzi mnie, czy jest w obecnej chwili najbardziej wpływowym człowiekiem na dworze. Znajdź kogoś innego.

– Dziękuję za radę, stary przyjacielu.

– Simeonie...

– Nie. Dziękuję, to wszystko.

W przedśionku słudzy oddali Dawsonowi miecz i sztylet. Mężczyzna miał wrażenie, że minęły całe lata odkąd Simeon po raz ostatni nalegał, aby

dopełnił formalności i przybył na prywatną audiencję bez broni. To świadczyło o tym, jak nisko upadli. Wychodząc na zewnątrz, Dawson wciąż jeszcze dopinał sprzączkę. Powietrze było ciepłe, a słońce wisało wysoko na niebie, lecz wiatr sprawiał wrażenie bardziej kąśliwego. Upalne, letnie dni przeszły do historii. Nadciągała kolejna zmiana pór roku. Dawson odmówił przyjęcia pomocy służącego i samodzielnie wsiadł do powozu.

– Mój lordzie? – spytał stangret.

– Do Wielkiego Niedźwiedzia – rozkazał Dawson.

Trzasnął bat. Powóz ruszył naprzód, zostawiając za sobą ciężkie wieżycy oraz obronne bramy Kingspire. Baron pozwolił sobie opaść plecami na oparcie. Każdy mocniejszy wstrząs pojazdu wywoływał nieprzyjemne ukłucia bólu w kręgosłupie. Najpierw podróż ze wzgórz Osterling, a potem większa część dnia spędzona na oczekiwaniu na królewską audiencję zmęczyły go o wiele bardziej niż kiedyś.

Jako młodzieniec podróżował z Osterling Fells do Cannipolu, robiąc postoje jedynie po to, by wymienić konie, docierał na miejsce tuż przed rozpoczęciem królewskiego balu i spędzał cały wieczór aż do białego rana na tańcach. Głównie z Clarą. Jawiło mu się to niczym historia, którą usłyszał o kimś innym, tyle że wciąż miał w pamięci jej sukienkę oraz zapach perfum na szyi. Odsunął to wspomnienie na bok, zanim reminiscencja młodszej żony nadmiernie go pobudziła. Po dotarciu na miejsce chciał wyglądać dostojnie i chociaż był coraz starszy, wciąż jeszcze dychał.

Wkrótce z naprzeciwka wyrosła siedziba Bractwa Wielkiego Niedźwiedzia. Jej fasadę zdobiły czarne kamienie oraz złote liście Nieśmiertelnego Miasta. Powozy i dorożki tłoczyły się na ulicy. Stangreci robili wszystko, by ich panowie mieli do przejścia jak najkrótszy dystans ze swoich pojazdów do drzwi. Powietrze śmierdziało świeżym, końskim łajnem, które wdeptywały w ulice setki kopyt. Dawson rozważał zatrzymanie się w tym miejscu i przespacerowanie reszty trasy, ale byłoby to poniżej jego godności, musiał więc zadowolić się kilkoma obelgami rzuconymi do woźnicy za jego powolność i niekompetencję. Do czasu, gdy służdy z klubu podbiegli do jego powozu ze schodkami, niemal poczuł się lepiej.

Wnętrze klubu przypominało tkaninę utkaną z dymu fajkowego, gorąca oraz muzyki puszczanej mimo uszu na rzecz prowadzonych rozmów. Dawson oddał płaszcz dziewczce służebnej, która ukloniła się i zniknęła. Gdy wszedł do głównej sali, pół tuzina mężczyzn skierowało na niego swoje

spojrzenia, bijąc mu brawo z równymi domieszkami radości oraz sarkazmu. Wrogowie i wielbiciele. Dawson wykonał ukłon, który można było odczytać jako uznanie albo zniewagę, w zależności od tego, do kogo był skierowany, chwycił kryształowy kieliszek wzmocnionego wina, po czym skierował swoje kroki do mniejszych sal po lewej stronie.

Szeroki, okrągły stół zajmował centralną przestrzeń jednego z pomieszczeń. Wokół niego zasiadał tuzin mężczyzn. Wielu z nich mówiło jednocześnie. W tłumie dostrzegł długie włosy Issandriana oraz prostoduszną twarz sir Klina. Issandrian pochwycił jego spojrzenie i wstał. Skinął Dawsonowi głową, ale nic poza tym. Kalliamowi mogło się jedynie wydawać, ale jego oponent wyglądał na mniejszego. Zupełnie, jakby wygnanie nauczyło go pokory. Pozostali zasiadający przy stoliku przycichli, świadomi tego, że coś dzieje się wokół nich, nawet jeśli byli zbyt głupi, by wiedzieć, co dokładnie. Dawson dobył sztyletu w pojedynkowym pozdrowieniu, na co Issandrian odpowiedział uśmiechem pełnym aprobaty.

Na tyłach sali znajdowały się prywatne pokoje spotkań. Najmniejsze z nich nie przekraczały rozmiarami wnętrza karocy. Ciemne, skórzane kanapy niemal całkowicie pochłaniały niewielką ilość światła dawaną przez świece. Daskellin siedział w narożniku, skąd mógł obserwować wszystkich wchodzących. Plecy oparł o ścianę, a schowany w pochwie miecz trzymał stale w zasięgu ręki.

– Cóż – rzekł Dawson, opadając na siedzenie naprzeciwko – widzę, że podczas mojej nieobecności roztrwoiłeś wszystko, czym dysponowaliśmy.

– Ciebie też miło znowu widzieć – odparł Canl Daskellin.

– Jakim cudem zmieniliśmy się z obrońców Camnipolu w ludzi oglądających plecy Feldina Maasa? Potrafisz odpowiedzieć mi na to pytanie?

– Wolisz krótszą czy dłuższą wersję?

– Czy dłuższa wersja będzie mniej irytująca?

Daskellin pochylił się.

– Maas posiada poparcie, którego nam brakuje. Miałem je. Czy też wydawało mi się, że je mam. Po czym zmienił się bilans czy coś takiego, a Clark wyjechał do Birancour.

– Zasłużyłeś sobie na to współpracą z bankierami.

– To się nie powtórzy – rzekł ponuro Daskellin.

Było to najbliższe przeprosinom wyznanie, na które Dawson mógł liczyć. Pozwolił, aby sprawa poszła w zapomnienie. Osuszył swój kieliszek,

wychylił się w kierunku drzwi, a następnie zapukał w nie kilkakrotnie dopóki dziewczka służebna nie przyszła z nową porcją wina.

– Jak rysuje się nasza sytuacja? – spytał, gdy służka zniknęła.

Daskellin pokręcił głową, wypuszczając powietrze między zaciśniętymi zębami.

– Jeśli dojdzie do walk, damy sobie radę. Wciąż jest dostatecznie wielu posiadaczy ziemskich, którzy nienawidzą Asterilhold, a to wystarczy, żeby zebrać ich pod jednym sztandarem.

– A jeśli Aster zginie zanim obejmie tron?

– Wtedy będziemy zmuszeni gorliwie modlić się o to, by królewskie berło jego wysokości okazało się wciąż sprawne, ponieważ nowy męski potomek to nasza jedyna szansa. Kazałem mojemu genealogowi przejrzeć linie krwi i wygląda na to, że Simeon posiada kuzyna w Asterilhold, który mógłby rościć sobie prawo do tronu.

– Zasadnie? – spytał Dawson, pochylając się.

– Obawiam się, że tak. Poza tym, nie zgadniesz. Ten człowiek jest zwolennikiem pomysłu utworzenia rady chłopskiej. Jeśli zacznie działać, stracimy jedną czwartą poparcia, czyli ludzi, którzy mają więcej rozsądku niż jaj. Pozostali zgromadzą się wokół Opera Verennina albo Umansina Tora, którzy również roszczą sobie pretensje do tronu. Asterilhold wesprze swojego człowieka z pomocą grupy Maasa i Issandriana, dojdzie do wojny domowej i przegramy.

Daskellin klasnął w dłonie. Świeca nad jego głową zamigotała. W jednej z sal klubu krzyknęła dziewczka służebna i zawtórował jej męski śmiech. Wino Dawsona wydało mu się nagle bardziej gorzkie niż w momencie, gdy je zaczął, dlatego odstawił kielich.

– Czy to możliwe, że taki był plan od samego początku? – spytał Dawson. – Czy to możliwe, że Maas wykorzystywał Issandriana i Klina, i wszystkie te bzdury o radzie chłopskiej, chcąc doprowadzić właśnie do tego? Niewykluczone, że przez cały ten czas celowaliśmy w niewłaściwą osobę.

– Niewykluczone – odparł Daskellin. – Możliwe też, że Maas zwyczajnie dostrzegł swoją szansę i postanowił ją wykorzystać. Musielibyśmy go o to zapytać, ale wątpię, by powiedział nam prawdę.

Dawson postukał palcem w krawędź kieliszka. Kryszał zaśpiewał cicho.

– Nie możemy dopuścić do śmierci Astera – oznajmił.

– Wszystko umiera. Ludzie, miasta, imperia. Wszystko – rzekł Daskellin.

– To jedynie kwestia czasu.

Dawson zasiadł do kolacji z rodziną w nieformalnej sali jadalnej. Pieczona wieprzowina z jabłkami, kabaczki w miodzie i świeży chleb z zapieczonymi w nim ząbkami czosnku. Kremowy, lniany obrus na stole. Ceramiczne talerze z Dalekiego Syramu i wypolerowane, srebrne sztucce. Równie dobrze mogli serwować popiół na blaszanej tacy.

– Geder Palliako wrócił – powiedział Jorey.

– Naprawdę? – zdziwiła się Clara. – Nie pamiętam, dokąd pojechał. Na pewno nie na południe. Zbyt wielu ludzi w tamtych stronach miało rodzinę i znajomych w Vanai. Nie możesz spodziewać się przyjaznego powitania, jeśli zabiłeś komuś kuzyna albo kogoś podobnego. To nierealne. Przebywał w Hallskar?

– W Keshet – oznajmił Jorey z ustami pełnymi jabłek. – Wrócił z jakimś wiedzącym.

– Jak miło – odparła Clara. Zadzwoiła na służącą, po czym dodała, marszcząc brwi: – Nie musimy chyba wydawać na jego cześć kolejnej uczy, prawda?

– Nie – odparł Dawson.

Oczywiście wiedział, co robili. Jorey zaczynał rozmowę na trywialne tematy. Clara natychmiast je podchwytowała, zamieniając wszystko w pytania, na które musiał odpowiadać. Od zawsze stosowali tę strategię, gdy w ponurych chwilach chcieli podnieść go na duchu. Lecz tym razem ciężar spoczywający na jego barkach był zbyt wielki.

Rozważał zabicie Maasa. Oczywiście, nie byłoby to łatwe. Frontalny atak odpadał. Po pierwsze, na pewno spodziewano się tego, więc rywal posiadałby należyłą ochronę. Po drugie, nieudany zamach oznaczałby wzrost poparcia dla Maasa. Do Dawsona przemawiała jednak idea wyzwania mężczyzny na pojedynek, a następnie doprowadzenie do nieszczęśliwego wypadku. On i Maas pojedynkowali się na tyle często, że nikt nie postrzegałby tego jako czegoś niezwykłego, a ludzie często robili sobie w takich sytuacjach krzywdę. Ostrza czasami cięły głębiej niż zaplanowano. Musiałby wprowadzić zignorować fakt, że Feldin był młodszy i silniejszy, a ich ostatni pojedynek przegrał wyłącznie dzięki sprytowi Dawsona. Ten pomysł pomimo to wciąż był mu bliski.

– Nie da się ukryć – rzekł Barriath, gdy przyszła dziewczka służebna – że ta łódź tonie, a my chcemy wybrać wodę sitem.

– Co masz na myśli? – spytał Jorey.

– Simeon jest moim królem i oddałbym za niego życie, tak samo jak każdy – wyjaśnił starszy z braci – ale ostatnimi czasy przestał być nawet panem samego siebie. Ojciec powstrzymał szaleństwo związane z edyktem z Edford, ale nagle musimy zmagać się ze spiskiem Asterilhold. Jeśli zażegnamy to niebezpieczeństwo, pojawi się następny kryzys, a potem jeszcze kolejny.

– Nie sądzę, by był to dobry temat do rozmów przy stole, kochanie – zauważyła Clara, przyjmując świeży kieliszek rozcieńczonego wina od sługi.

– Ach, pozwól mu mówić – rzekł Dawson. – Przecież i tak wszyscy o tym myślimy.

– Przynajmniej zaczekaj aż służba sobie pójdzie – zasugerowała jego żona. – W przeciwnym wypadku kto wie, co będą o nas mówić w kwaterach.

Dziewka służebna wyszła, rumieniąc się. Clara dopilnowała, aby zamknęła za sobą drzwi, po czym skinęła przyzwalająco głową.

– Antea potrzebuje króla – oznajmił Barriath. – Zamiast tego ma dobrotliwego wuja. Przykro mi, że to ja muszę być posłańcem złej nowiny, ale we flocie wszyscy o tym mówią. Gdyby lord Skestinin nie zachęcał kapitanów do wymierzania surowych kar i wyrzucania za burtę niepokornych marynarzy, mielibyśmy na głowie bunt. Przynajmniej jeden.

– Nie wierzę w to – powiedziała Clara. – Bunt to taka bezsensowna i krótkowzroczna rzecz. Jestem pewna, że nasi ludzie w królewskiej marynarce wojennej nie znizyliby się do czegoś równie podłego.

Barriath parsknął śmiechem.

– Matko, jeśli naprawdę chcesz podjąć niewłaściwy temat do rozmów przy stole, to pozwól, że opowiem ci, jak nisko potrafią upaść marynarze.

– Ale Simeon jest królem, a Aster to wciąż tylko chłopiec – rzekł Jorey. Dawson pomyślał, że była to śmiała próba uniemożliwienia ponownej zmiany tematu. – Nie możecie oczekiwać, że nagle staną się kimś innym.

– Zgadzam się z tobą, mój chłopcze – powiedział Dawson. – Choć chciałbym, żeby było inaczej.

– Najlepiej byłoby – odezwał się ponownie Barriath – gdyby Simeon znalazł dla Astera odpowiedniego protektora, a potem abdykował. Regencja potrwałaby osiem lub dziesięć lat, a zanim Aster uzyskałby koronę, w królestwie znów zapanowałby porządek.

Jorey prychnął pogardliwie. Rysy Barriatha stężały.

– Oszczędź sobie – rzekł młodszy z braci. – Regent, który potrafiłby rozwiązać wszystkie bolączki królestwa w ciągu dekady prawdopodobnie nie oddałby władzy, lecz sam zostałby królem.

– Masz rację – przyznał Barriath. – A to byłoby straszne, nieprawdaż?

– Zaczynasz brzmieć jak ludzie, przeciwko którym działamy, bracie.

– Jeśli wy dwaj macie zamiar się kłócić, możecie odejść od stołu – wtrąciła Clara. Barriath i Jorey wbili spojrzenia w talerze, mrużąc pod nosem swoje wersje słów *Przepraszam, matko*. Kobieta pokiwała głową. – Tak lepiej. Poza tym nie ma sensu kłócić się o problemy, których nie mamy, kosztem tych rzeczywiście. Po prostu musimy przekonać Simeona, że biedny Feldin zbyt mocno zaprzyjaźnił się z tymi okropnymi ludźmi z Asterilhold.

– To nie takie proste – rzekł Dawson.

– Wprost przeciwnie – odparła Clara. – Na pewno posiada jakieś listy, nie sądzisz? Tak mówiła Phelia. Mówiła, że wciąż uczęszcza na różne spotkania i wymienia korespondencję.

– Nie sądzę, by opisywał swoim zagranicznym przyjaciołom, że zamierza dokonać zdrady stanu, matko – powiedział Barriath. – *Drogi lordzie taki-a-taki, rad jestem słyszeć, że pomożesz mi zaszlachtować naszego księcia.*

– Wcale nie musiałby tego pisać. Przynajmniej nie wprost – zauważył Jorey. – Gdybyśmy zdobyli dowód, że wymieniał listy z tym kuzynem, który rości sobie prawo do tronu, to mogłoby wystarczyć.

– Zawsze można ocenić człowieka na podstawie tego, do kogo pisze listy – oznajmiła Clara z satysfakcją. – Oczywiście, trudności może nastęczyć zdobycie samej korespondencji, ale ostatnim razem Phelia była tak zdesperowana, by się ze mną spotkać, że nie sądzę, aby problemem okazało się otrzymanie kolejnego zaproszenia. Oczywiście, nie mogłam być tego pewna, dlatego zaprosiłam mistrza krawieckiego, by pokazał nam kilka nowych ściegów. Haftowanie może wydawać się proste na pierwszy rzut oka, ale bardziej skomplikowane prace wymagają sporo wysiłku i zaangażowania. A właśnie, Dawson kochanie, jutro będę potrzebować dla siebie tylnej sali z dobrym światłem. Będzie nas pięć, ponieważ stwierdziłam, że zapraszanie samej Phelii byłoby odrobinę zbyt oczywiste. To chyba nie problem, prawda?

– Słucham? – spytał Dawson.

– Tylna sala z dobrym światłem – powtórzyła jego żona, obracając głowę i unosząc brwi, chociaż ani na chwilę nie przerwała krojenia mięsa. – Uwierz

mi, że nie sposób wyszywać w ciemnościach. To...

– Próbujesz urobić Phelię Maas?

– Mieszka pod jednym dachem z Feldinem – przypomniała mu Clara. – A wzięwszy pod uwagę, że sesja dworska wkrótce dobiegnie końca, nierozsądnym byłoby czekać, nieprawdaż?

Mężczyzna zobaczył błysk w jej oku i niebezpieczny uśmieszek w kąciku ust. Dawson był w pełni przekonany, że jego żona dobrze się bawiła. Zauważył, że jego myśli gnają przed siebie, by nadążyć za jej działaniami. Gdyby udało się namówić Phelię, by dała dostęp do swojego domostwa kilku osobom...

– Co ty wyprawiasz, matko? – spytał Barriath.

– Ratuje królestwo, kochanie – odparła. – Zjadaj kabaczki. Nie przesuwaj ich jedynie po talerzu, udając, że cokolwiek z nimi zrobiłeś. To nie działało nawet kiedy byłeś mały, dlatego nie rozumiem, czemu ciągle próbujesz.

– Nie uwierzy nam – powiedział Dawson. – Po tym wszystkim, co powiedziałem, Maas oskarży mnie o sfałszowanie listów. Z drugiej strony może uda się dzięki temu powstrzymać Simeona przed oddaniem mu Astera pod opiekę.

– Kolejna próba wpłynięcia na króla? – rzekł Barriath. – Naprawdę tego potrzebujemy? Zmusimy go do zdecydowanego działania albo się w to nie mieszajmy.

– Może zasugerujemy mu kogoś innego – zaproponował Jorey. – Kogoś, kto nie jest sprzymierzony z nami ani z Maasem.

– Może tego chłopaka Palliaków? – podsunęła Clara. – Wiem, że to dość niepoważna osoba, ale on i Jorey są w dobrych stosunkach, a przecież to nie tak, że należy do twojego wewnętrznego kręgu.

Dawson włożył do ust kawałek wieprzowiny, przeżuwając powoli, by dać sobie czas do namysłu. W rzeczywistości mięso nie było takie złe. Słone i słodkie zarazem, a do tego odpowiednio pieprzne. W zasadzie było nawet całkiem dobre. Poczul, że na twarzy wykwitł mu uśmiech, a po chwili zdał sobie sprawę, że nie uśmiechał się już od bardzo dawna.

– Nie jestem co do tego przekonany – oznajmił Jorey, ale Dawson zbył jego słowa machnięciem ręki.

– Palliako był użyteczny, kończąc kampanię vanajską. Do tego pojawił się w odpowiedniej chwili, by powstrzymać powstanie najemników. Okazał się użytecznym narzędziem – powiedział. – Nie widzę powodu, dla którego

teraz miałyby być inaczej.

Geder

Sztandar rozłożyli na stole. Cynobrowa tkanina spływała kaskadami aż na posadzkę. Ciemna, ośmioramienna pieczęć na jaśniejszym środku nieco się pozaginała, dlatego Geder pochylił się i wygładził materiał. Lerer potarł podbródek, podchodząc bliżej, potem cofając się, aż w końcu postąpił krok naprzód, stając u boku syna.

– Wśród mojego ludu ten sztandar stanowi symbol waszej rasy – oznajmił Basrahip. – Jego kolor odpowiada krwi, z której powstały wszystkie rasy ludzkie.

– A róża wiatrów na środku? – spytał Lerer.

– To symbol bogini – wyjaśnił kapłan.

Lerer chrząknął. Znów podszedł bliżej, musnął opuszkami palców tkaninę. Geder poczuł, że jego własne palce drgnęły, naśladując ruchy ojca. Basrahip opowiedział mu, jak kapłani zbierali jedwab pajaków i uczyli się go farbować. Ten sztandar reprezentował pracę dziesięciu pokoleń. Dotykanie go przypominało muskanie wiatru.

– Chciałeś powiesić go w... hmm... Rivenhalm?

– Nie – zaprzeczył Geder. – Myślałem raczej, by umieścić go w świątyni, tutaj w Camnipolu.

– Ach, tak – mruknął Lerer. – W świątyni.

Droga powrotna do domu z klasztoru ukrytego w górach Sinir była tysiąc razy przyjemniejsza od podróży w tamtą stronę. Pod koniec każdego dnia Basrahip zasiadał z nim przy ognisku, słuchając wszystkich anegdot i opowieści, które Geder był w stanie sobie przypomnieć, śmiejąc się z tych zabawnych i markotniejąc po wysłuchaniu tych tragicznych. Nawet jego słudzy, którzy z początku nie potrafili ukryć uczucia dyskomfortu w towarzystwie arcykapłana, uspokoili się jeszcze zanim dotarli do granicy dzielącej Keshet i Sarakal. Ku zaskoczeniu Gedera, Basrahip dobrze znał ich trasę. Kapłan wyjaśnił, że pomimo, iż ludzki świat przeszedł dziesiątki zmian, wielokrotnie upadał i odradzał się na nowo, od kiedy kapłani pajęczej bogini zniknęli z życia codziennego, ułożenie smoczycy traktów pozostało takie samo. Być może nie wiedział, w którym miejscu jedna kraina graniczyła z drugą albo nie znał biegu poszczególnych rzek, gdyż te rzeczy zmieniały się z czasem. Trakty jednak były wieczne.

Gdy zatrzymali się w Inentai, by dać odpocząć wierzchowcom i uzupełnić zapasy, Basrahip krążył po ulicach miasteczka jak dziecko, z otwartymi ustami podziwiając wszystkie nowe budynki. Wtedy to Geder zdał sobie sprawę, że jego samego i kapłana łączyło wiele podobieństw. Basrahip żył życiem pełnym opowieści o świecie, którego nigdy nie uświadczył. Życie Gedera wyglądało podobnie, tyle że on swoją prywatną świątynię zbudował z ksiąg i wykuł z obowiązków oraz postanowień. Niemniej, w porównaniu z kapłanem, był prawdziwym światowcem. Na własne oczy widział Kurtadamów i Timzinejczyków, Cinnejczyków i Tralgurów. Basrahip znał jedynie Pierworodnych, na dodatek głównie takich, którzy sami go przypominali, nie licząc może wieśniaków z pobliskiej wioski. Widok Pierworodnego o ciemnej karnacji albo jasnych włosach był dla niego czymś równie niezwykłym co nowa rasa.

Obserwując, jak mężczyzna stawia pierwsze, niepewne kroki, z czasem zyskując coraz większą pewność siebie, Geder zyskał mgliste pojęcie w kwestii tego, co jego ojciec miał na myśli, opowiadając o radości, jaką niesie ze sobą obserwowanie dziecka odkrywającego świat. Geder zaczął zauważać rzeczy, które wcześniej przegapił albo brał za oczywiste, tylko dlatego, że wprawiały one w osłupienie jego nowego towarzysza i sprzymierzeńca. Kiedy, u schyłku lata, ostatecznie dotarli do Camnipolu, Geder niemal żałował, że ich podróż dobiegła końca.

A na dodatek jego ojciec wyglądał na niepokieszonego poczynionymi przez niego odkryciami.

– Zakładam, że nie wybrałeś jeszcze miejsca dla tej nowej świątyni? Dla zaginionej bogini, znaczy się.

– Rozwahałem jakieś miejsce w pobliżu Kingspire – oznajmił Geder. – Jest tam stary budynek gildii tkackiej, który od lat stoi pusty. Jestem pewien, że z ulgą przyjąłby, gdyby ktoś go w końcu odkupił.

Lerer burknął coś wymijająco. Basrahip zaczął składać świątynny sztandar. Lerer skinął głową kapłanowi, a następnie położył dłoń na łokciu Gedera i delikatnie wyprowadził go na korytarz, jak gdyby nigdy nic. Młody Palliako nawet nie zauważył, że jego ojciec próbuje odseparować go od Basrahipa. Ciemne kamienie pochłaniały większość światła dziennego, a śludzy nagle zostali zmuszeni do poszukania sobie innego miejsca.

– Ten esej – zaczął jego ojciec. – Ciągłe nad nim pracujesz?

– Nie, już nie. Teraz stał się czymś więcej. Początkowo miał traktować o

poszukiwaniach miejsca, które z dużym prawdopodobieństwem można by łączyć z Morade'm oraz upadkiem Smoczego Cesarstwa. Jednak teraz poznałem boginię, historię świątyni i inne rzeczy. Dopiero zacząłem układać to sobie w głowie. Nie ma sensu pisać o czymś, czego sam nie rozumiem, prawda? A co u ciebie? Jakież wieści?

– Miałem nadzieję przeczytać ten esej – mruknął Lerer, po części do siebie. Gdy ponownie uniósł wzrok, jego twarz rozjaśniał wymuszony uśmiech. – Jestem pewien, że każdego dnia docierają do nas jakieś świeże nowiny, ale jak do tej pory udawało mi się ich unikać. Ci ludzie i ich dworskie gierki. Mógłbym dożyć powrotu smoków, a i tak nie wybaczyłbym im tego, co zrobili ci w Vanai.

Na dźwięk tego słowa żołądek Gедера zawiązał się w supeł. Zmarszczki w kącikach ust Lerera świadczyły o smutku, a skórę na czole ściągnął gniew. Geder poczuł surrealistyczną chęć wyciągnięcia dłoni i wygładzenia bruzd na twarzy ojca.

– Nic złego nie stało się w Vanai – powiedział. – To znaczy, owszem, miasto spłonęło. To nie było dobre. Ale mogło być gorzej. To jest, wszystko jest w porządku. Koniec końców.

Lerer zajrzał głęboko w oczy syna. Geder przełknął ślinę. Nie rozumiał, dlaczego jego serce nagle przyspieszyło.

– Koniec końców. Skoro tak mówisz – rzekł stary Palliako. Poklepał syna po ramieniu. – Cieszę się, że wróciłeś.

– Ja też się cieszę – odparł Geder, odrobinę za szybko.

W korytarzu pojawił się majordomus, który cichym kasznięciem oznajmił im o swojej obecności.

– Błagam o wybaczenie, moi lordowie, ale przybył Jorey Kalliam, prosząc o spotkanie z sir Gederem.

– Och! – zawołał Geder. – Jorey wciąż jeszcze nie poznał Basrahipa. Gdzie go zostawiłeś? Chyba nie kazałeś mu czekać na dziedzińcu, co?

Lerer zabrał dłoń z ramienia syna. Geder miał wrażenie, że właśnie powiedział coś niewłaściwego.

– Jego lordowska mość jest w salonie gościnnym – oznajmił majordomus.

Gdy weszli, Jorey wstał ze swojego krzesła przy oknie. Lato spędzone w mieście pozwoliło młodemu przyjacielowi odzyskać zdrowe kształty. Geder posłał mu uśmiech, po czym przez chwilę obaj stali w bezruchu, spoglądając na siebie. Palliako był w stanie odczytać własną niepewność – powinni

uściskać sobie dłonie? objąć się? przywitać bardziej formalnie? – w minie Jorey’a. Gdy parsknął śmiechem, Jorey zawtórował mu nieco speszony.

– Widzę, że wróciłeś z dalekich wojaży – rzekł Kalliam. – Podróże ci służą.

– Tak myślisz? A mnie się wydaje, że byłem już na granicy płaczu, tak bardzo chciałem spędzić choćby jedną noc w prawdziwym łóżku. Udział w kampanii może oznaczać ciąg niewygód i niegodnych warunków, ale przynajmniej nie musiałem martwić się, że padnę ofiarą bandytów.

– Są gorsze rzeczy niż dobry, uczciwy bandyta. Tęskniliśmy za tobą – odparł Jorey. – Słyszałeś, co się stało?

– Że wygnano połowę dworu? – rzucił Geder znużonym tonem. – Nie wiem, czy mógłbym jakoś pomóc. Nie brałem w tym wszystkim udziału, poza tym, że udało nam się nie dopuścić do zamknięcia bram.

– To była najlepsza rola w całym tym bałaganie – oznajmił Jorey.

– Możliwe.

– Cóż.

Zapadła niezręczna cisza. Jorey usiadł na swoim miejscu, a Geder przestąpił z nogi na nogę. Salon, podobnie jak wszystkie pokoje Palliaków w Cannipolu, był niewielki. Krzesła obito skórą, która zdążyła stwardnieć i popękać, a z pomieszczeń nie sposób było wywietrzyć zapachu kurzu. Z ulicy dobiegły ich odgłosy kopyt uderzających o bruk i rugających się nawzajem woźniców. Jorey przygryzł wargę.

– Jestem tu, by prosić cię o przysługę – powiedział. Brzmiało to niemal jak spowiedź.

– Razem zdobyliśmy Vanai. Razem je spaliliśmy. Wspólnie uratowaliśmy Cannipol – wyliczał Geder. – Nie musisz mnie prosić o przysługi. Po prostu powiedz, co mam zrobić.

– To powinno nieco ułatwić sprawę, nieprawdaż? W porządku. Mój ojciec jest przekonany, że odkrył spisek przeciwko księciu Asterowi.

Geder skrzyżował ramiona na piersi.

– Czy król o tym wie?

– Król stwierdził, że woli nie wiedzieć. Dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy. Sądzę, że możemy zdobyć dowody. Listy. Obawiam się jednak, że jeśli to ja wręczone królowi Simeonowi, pomyśli, że zostały sfałszowane. Potrzebuję do tego kogoś innego. Kogoś, komu mogę zaufać, a przynajmniej kogoś, kto nie jest moim wrogiem.

– Oczywiście – powiedział Geder. – Jak najbardziej. Kim jest zdrajca?
– To baron Ebbinbaugh – rzekł Jorey. – Feldin Maas.
– Sojusznik Alana Klina?
– Oraz Curtina Issandriana, tak. Żona Maasa jest kuzynką mojej matki, co – Bóg mi świadkiem – nie jest zbyt mocnym punktem zaczepienia, ale to wszystko co mamy. Ona – mam na myśli jego żonę, nie moją matkę – ona wydaje się wiedzieć więcej niż mówi. Nie ma wątpliwości, że jest przestraszona. Właśnie teraz, kiedy my tu rozmawiamy, moja matka organizuje spotkanie z mistrzem krawieckim, licząc na to, że uda jej się zdobyć zaufanie kuzynki.

– Ale wciąż niczego nie przyznała? Nie zdradziła nikomu, co dzieje się naprawdę?

– Nie, wciąż poruszamy się po nieznanym terenie. Brakuje nam dowodów. Ale...

Geder uniósł rękę, dłonią na zewnątrz.

– Myślę, że powinieneś kogoś poznać – powiedział.

Ostatnim razem, gdy Geder odwiedzał rezydencję Kalliamów, została ona przygotowana do uczyty na jego część. Bez tych wszystkich kwiatów, wstążek i krepy, w oczy zaczęła rzucać się majestatyczna prostota architektury. Ubrani w liberie słudzy stali na baczność niczym osobista gwardia. Szyby w oknach nie miały na sobie choćby pyłku kurzu. Dobiegające z tylnych pomieszczeń głosy kobiet brzmiały nobliwie i szacownie, nawet pomimo, że nie sposób było odróżnić poszczególnych słów. Basrahip siedział na stołku w rogu. Jego szerokie bary i nieco rozbawiona mina nadawały mu wyglądu dziecka, odwiedzającego plac zabaw, z którego wyrosło. Ascetyczny krój i szary materiał jego togi świadczyły o braku przynależności do dworskiej socjety.

Jorey siedział za swoim biurkiem, bawiąc się piórem i inkaustem, niczego w zasadzie nie pisząc. Geder krążył za długą, obitą adamaszkiem kanapą, żałując, że nie lubi palić fajki. Okazja wydawała się wprost wymarzona, by sączyć dym z ustnika.

Chór żeńskich głosów przybrał na sile. Zza drzwi dobiegło ich stukanie formalnego obuwia, najpierw głośniejsze, a potem cichnące w oddali. Nikt nie wszedł do środka. Geder ruszył w stronę drzwi, ale Jorey przywołał go machnięciem ręki.

– Matka odprowadzi je wszystkie do drzwi – oznajmił. – Zaraz wróci.

Geder pokiwał głową. Wkrótce, zgodnie z zapewnieniami młodego Kalliamy, dźwięk kroków rozbrzmiał na nowo, a wraz z nim zaledwie dwa głosy. Gdy kobiety weszły do pokoju, Jorey wstał. Basrahip uczynił to samo zaledwie chwilę później. Geder miał okazję tańczyć z baronową Osterling Fells podczas jednej z hulanek, ale ze względu na czas, jaki upłynął, ilość wypitego alkoholu i ogólny brak koncentracji w tamtym okresie, nie byłby w stanie jej teraz rozpoznać. Spostrzegł jednak, że łączyło ją z synem duże podobieństwo, szczególnie jeśli chodziło o oczy. Na twarzy baronowej pojawił się wyraz zaskoczenia, który zniknął po chwili nie dłuższej niż uderzenie skrzydeł ćmy. Stojąca za jej plecami mizernie wyglądająca kobieta o ściągniętej twarzy i ciemnych oczach musiała być Phelią Maas.

– Och, wybacz – powiedziała Clara Kalliam. – Nie chciałam wam przeszkadzać, kochanie.

– Nic się nie stało, matko. Mieliśmy nadzieję, że do nas dołączysz. Pamiętasz Gederę Palliako?

– Jak mogłabym zapomnieć człowieka, który obronił wschodnią bramę? Od dłuższego czasu nie widuję cię na dworze, sir, ale z tego, co mi wiadomo, trochę podróżowałaś. Czy to była jakaś ekspedycja? Pozwól, że przedstawię moją kuzynkę Phelię.

Ciemnooka kobieta weszła do pokoju i podała Gederowi dłoń. Pełen ulgi uśmiech świadczył o tym, że obawiała się czegoś, czego najwyraźniej udało jej się uniknąć. Palliako uklonił się i zobaczył, że lady Kalliam unosi brwi, widząc siedzącego w rogu kapłana.

– Panie – rzekł Jorey – oto Basrahip. Święty mąż, którego Geder przywiózł z Keshet.

– Naprawdę? – spytała lady Kalliam. – Nie wiedziałam, że zbiera pan kapłanów.

– Mnie też nieco to zaskoczyło – odparł młody Palliako. – Ale proszę, może usiądziecie drogie panie?

Zgodnie z planem, Geder posadził Phelię Maas na kanapie, plecami do Basrahipa, a następnie zajął miejsce naprzeciwko. Jorey usiadł z powrotem za biurkiem, zaś jego matka opadła na krzesło, dzięki czemu na szczęście nie przesłaniała Gederowi kapłana.

– Maas – mruknął Palliako, jakby próbował sobie coś przypomnieć. W rzeczywistości dokładnie zaplanował każde słowo. – W Vanai służył pode mną Alberith Maas.

Czyżby rodzina?

– Bratanek – powiedziała Phelia. – Bratanek mojego męża. Alberith wielokrotnie opowiadał o panu po powrocie do stolicy.

– To znaczy, że pani jest baronową Ebbinbaugh? – spytał Gder. – Sir Klin był moim dowódcą podczas kampanii vanajskiej. On i pani mąż są przyjaciółmi, czyż nie?

– To prawda – przytaknęła Phelia z uśmiechem. – Sir Klin jest oddanym i bardzo bliskim przyjacielem Feldina.

Siedzący za jej plecami Basrahip wbił spojrzenie w przestrzeń. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jakby mężczyzna wsłuchiwał się w dźwięki słyszane wyłącznie przez niego. W końcu pokręcił głową. *Nie.*

– A czy nie doszło między nimi do jakiejś różnicy zdań? Jestem przekonany, że coś podobnego obito mi się o uszy – powiedział Gder, udając, że była to wiedza powszechna. Twarz baronowej Ebbinbaugh zamarła. Tylko jej oczy wodziły od Gedera do lady Kalliam i z powrotem. W sposobie, w który trzymała dłonie, w jej uśmiechu, dało się wyczuć strach. Gder poczuł, jak przyjemne uczucie ciepła rozpływa się mu powoli po całej klatce piersiowej. To naprawdę działało. Siedząca obok matka Jorey'a mu przyglądała się z zainteresowaniem.

– Jestem pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie – oznajmiła Phelia. – Alan i Feldin doskonale się dogadują.

Nie.

– Zawsze lubiłem sir Klina – powiedział Gder dla czystej przyjemności wynikającej z faktu, że mógł kłamać w żywe oczy kobiecie, która nie mogła okłamać jego. – Czułem się okropnie, gdy usłyszałem, że obarczono go winą za zamieszki. Mam nadzieję, że pani mąż nie ucierpiał w związku z tymi wydarzeniami.

– Nie, dziękuję. Mieliśmy wiele szczęścia.

Tak.

– Sir Palliako – wtrąciła lady Kalliam – czemu zawdzięczamy pańską dzisiejszą wizytę?

Gder spojrzał na Jorey'a, potem na baronową Osterling Fells. Miał zamiar zadać kilka niewinnych pytań, zdobyć nieco informacji, odkryć wszystko, co było do odkrycia. Chciał ostrożnie wybadać teren. Jednak widok coraz bardziej spiętej rozmówczyni, jej kruchy uśmiech i zapach strachu bijący od niej niczym słodkawa woń od róż, przemawiał przeciwko

takiemu podejściu. Nie mógł nastraszyć jej tak, by uciekła, ale mógł napędzić jej solidnego stracha. Posłał uśmiech lady Kalliam.

– Cóż, tak naprawdę miałem nadzieję poznać tu obecną baronową Ebbinbaugh. Chciałbym zadać jej kilka pytań. Przez kilka ostatnich miesięcy nie tylko podróżowałem – powiedział przymilnie. – Badałem również sprawę zamieszek. Ich korzeni. A także następstw.

Krew zupełnie odpłynęła z twarzy Phelii Maas. Zaczęła oddychać szybko i płytko, niczym schwytyany w dłonie wróbel, który zaraz umrze z przerażenia.

– Nie wiedziałam, że jest co badać – powiedziała słabym i łamliwym głosem.

Geder odkrył, że łatwiej przychodziło mu przywołanie na twarz łagodnego uśmiechu, gdy tak naprawdę nie był szczery. Za oknem dzwonki wietrzne wygrywały melodię o przypadkowym, idiotycznym rytmie. Jorey i jego matka zamarli. Geder splótł dłonie na kolanie.

– Wiem wszystko, lady Maas – oznajmił. – O księciu. O zamieszkach. O kampanii vanajskiej. O kobiecie.

– Jakiej kobiecie? – wydusiła z siebie Phelia.

Geder nie miał pojęcia, o jakiej kobiecie mówił, choć nie miał wątpliwości, że w całą sprawę zamieszana była jakaś kobieta. Nie miało to znaczenia.

– Proszę powiedzieć cokolwiek – ciągnął Geder – wybrać dowolny szczegół. Nawet coś, o czym nie mógłby wiedzieć nikt inny, a ja powiem pani, czy to prawda.

– Feldin nie jest w to wszystko zamieszany – powiedziała kobieta. Palliako nawet nie musiał patrzeć na Basrahipa.

– To nieprawda, lady Maas. Wiem, że boi się pani, ale ja chcę pomóc pani rodzinie. Mogę to uczynić. Muszę jednak wiedzieć, że mogę pani zaufać. Czy to jasne? Proszę powiedzieć mi prawdę. Nie ma to aż takiego znaczenia, ponieważ wiem już wszystko. Ale proszę wyjaśnić, jak się to wszystko zaczęło. To wystarczy.

– To był ambasador z Asterilhold – powiedziała. – Rok temu przybył do Feldina z propozycją.

Nie.

– To kłamstwo, baronowo – rzekł Geder bardzo łagodnie. – Proszę spróbować raz jeszcze.

Phelia Maas zadrżała. Wyglądała, jakby była z waty cukrowej, niemal zbyt wiotkiej, by utrzymać własny ciężar. Otworzyła usta, zamknęła je i przełknęła ślinę.

– Przybył mężczyzna. Miał być częścią rady chłopskiej.

Tak.

– Tak. Wiem, kogo ma pani na myśli. Jak miał na imię?

– Ucter Anninbaugh.

Nie.

– To nie było jego imię. Proszę mi powiedzieć, jak miał na imię?

– Ellis Newport.

Nie.

– Mogę pani pomóc, baronowo. Możliwe, że jestem jedynym człowiekiem w całym Cannipolu, który jest do tego zdolny. Chcę poznać jego imię.

Jej martwe spojrzenie napotkało jego oczy.

– Torsen. Torsen Aestilmont.

Tak.

– No proszę – powiedział Geder. – Nie było to takie trudne, prawda? Pani, czy rozumiesz już, że ty i twój mąż nie macie przede mną żadnych tajemnic?

Kobieta skinęła głową. Jej podbródek zadrżał spazmatycznie, a policzki oblał rumieniec. Jedno uderzenie serca później szlochała już jak małe dziecko.

Matka Jorey'a natychmiast znalazła się przy niej, pocieszająco obejmując ją ramieniem. Geder siedział, obserwując. Serce biło mu szybko, choć ciało miał rozluźnione. Gdy pozbawił Alana Klina całego bogactwa Vanai, czuł ekscytację. Radość. Gdy podjął decyzję o spaleniu Vanai, odczuwał słuszny gniew. Może nawet odrobinę satysfakcji. Ale nie był pewien, czy kiedykolwiek wcześniej czuł spełnienie.

Wstał i podszedł do Jorey'a. Młody Kalliam miał oczy wielkie jak spodki. Przedstawienie ewidentnie wywarło na nim ogromne wrażenie. Geder rozłożył ręce. *Widzisz?*

– Jak to zrobiłeś? – wyszeptał Jorey. – Skąd wiedziałeś? – W jego głosie przebrzmiewała nuta niedowierzania.

Basrahip wciąż siedział w odległości kilku kroków. Ogromną głowę trzymał pochyloną. Masywne palce splótł ze sobą, dłonie trzymając razem.

Szloch Phelii Maas przypominał sztorm na morzu. Ciche słowa pociechy ze strony lady Kalliam prawie nie przynosiły jej ukojenia. Geder pochylił się tak, że jego usta niemal musnęły ucho olbrzymiego mężczyzny.

– Wzniosę tyle świątyń, ile zapragniesz, na zawsze.

Basrahip rozciągnął usta w uśmiechu.

Clara

Z jednej strony zupełnie nie zrozumieli kim lub czym był Geder Palliako. Z drugiej jednak, wydawał się być po ich stronie. Przynajmniej na razie.

Mimo wszystko Clarę bolało serce na myśl o Phelii.

Sypialnia tonęła w półmroku. Ciężkie zasłony odpychały światło słoneczne. Phelia leżała na plecach. Słone strużki zaschniętych łez znaczyły kąciki jej oczu. Clara siedziała obok, gładząc jej ramiona niczym medyk trwający przy osobie, która właśnie otrzymała cios w głowę lub usłyszała wyjątkowo szokujące wieści. Gdy Phelia otworzyła usta, w jej głosie nie było hysterii. Nie mogła już udawać, że wszystko zakończy się po jej myśli, lecz Clara zauważyła, że pozbawienie jej tej nadziei przyniosło kuzynce ulgę.

– Czy on naprawdę ochroni Feldina? – spytała Phelia. – Jeśli oddam mu te listy, to dopilnuje, by Simeon nie skazał go na śmierć?

– Bez wątpienia to właśnie powiedział – oznajmiła Clara.

– Ufasz mu?

– Dopiero go poznałam, kochanie.

Znów zapadło milczenie.

– A jeśli król o wszystkim już wie? – zauważyła Phelia. – Jeśli chce tylko upewnić się, którzy z dworzan z Asterilhold byli w to zamieszani... To jest, biorąc pod uwagę wszystko co wiedział Palliako, księżę Aster tak naprawdę nie był narażony na żadne realne niebezpieczeństwo. Tak myślę.

– Można tak powiedzieć.

W ciągu godziny Geder Palliako nakłonił Phelię do zdradzenia im wszystkich szczegółów. Opowiedziała im o współudziale Feldina w zamieszkach, jego powiązaniach z Asterilhold, a także o sojuszach wewnątrz grup walczących o powstanie rady chłopskiej. Już każda z tych rzeczy z osobna mogłaby uchodzić za zdradę stanu. Wszystkie razem, zdaniem Clary, nie zostawiały miejsca dla miłosierdzia. Jednak Phelia nie musiała na razie o tym wiedzieć.

– Jakim cudem to wszystko wymknęło się nam spod kontroli? – spytała baronowa Ebbinbaugh w przestrzeń. Westchnęła. Był to cichy, ale ostry dźwięk. – Przekaż mu, że zrobię to. Zabiorę go do prywatnej pracowni Feldina. Mam klucz, ale dostępu do pomieszczenia broni strażnik. Musi jednak przysiąc, że skończy się na wygnaniu.

– Dobrze.

Phelia chwyciła dłoń Clary, zupełnie jakby była to jedyna rzecz chroniąca ją przed upadkiem z wysokiego urwiska.

– Nie każesz mi tam iść samej, prawda? Pójdiesz ze mną?

Niczego innego Clara nie pragnęła mniej. Oczy Phelii zaślniły w półmroku.

– Oczywiście, kochanie – powiedziała. – Oczywiście, że z tobą pójdę.

Zebrani w palarni mężczyźni oczekiwali na wieści z równym zniecierpliwieniem, jakby Clara była akuszerką, która przysłała im dostarczyć nowiny o narodzinach dziecka. Gdy weszła, Dawson przestał niespokojnie krążyć po pokoju. Geder i Jorey unieśli spojrzenia znad kart, w które i tak grali bez zbytniego zaangażowania. Jedynie milczący kapłan wydawał się niezainteresowany, aczkolwiek kobieta podejrzewała, że niezwykle spokojny stanowił część wykonywanego przez niego zawodu. Towarzyszył im nawet Vincen Coe, kryjąc się w cieniu, jak zwykł czynić. Powietrze było duszne i gorące, jakby każdy jego haust został już przynajmniej raz wzięty do płuc.

– Zgodziła się oddać listy lordowi Palliako – powiedziała Clara – ale tylko pod warunkiem, że ten przysięgnie, iż Simeon nie skaże Feldina na śmierć i jeśli pójdę tam z nią.

– Wykluczone – rzekł Dawson.

– Sama nie da sobie rady, mężu. Wiesz jaka jest. Zabiorę ze sobą Vincena. Nic mi nie będzie. Nasza czwórka...

– Piątka – wtrącił Geder. – Basrahip idzie z nami.

– Ja również – odezwał się Jorey.

– Ty musisz zostać, kochanie – oznajmiła Clara. – Feldin wpuści mnie, ponieważ jestem kobietą i uważa mnie za nieudolną trzpiotkę. Vincen to sługa. Lord Palliako i...

– ...Basrahip – dokończył za nią kapłan.

– Tak, to właśnie chciałam powiedzieć. Phelia odwiedziła mnie, by spotkać się z mistrzem krawieckim i chciała mi również pokazać próbkę, więc udałam się z nią do domu. Po drodze wpadłyśmy na lorda Palliako i jego przyjaciela, zaś Phelia zaprosiła ich do siebie, chcąc usłyszeć opowieści z letnich podróży. Zupełnie niewinna historia.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mógłbym być jej częścią – powiedział Jorey. – Albo Barriath.

– Ponieważ obaj jesteście synami swojego ojca, a ja zaledwie jego żoną.

Musisz się jeszcze wiele nauczyć o pozycji kobiet w społeczeństwie. Teraz sugeruję, byśmy przeszli do rzeczy zanim nasza biedna Phelia zmieni zdanie.

Wsiadając do powozu, Clara była dumna z Phelii. Z tego jak sobie radziła. Z uprzejmego skinienia głową, które posłała Dawsonowi, gdy odjeżdżały. Jesienne słońce niemal dotykało już widnokręgu. Płomienie wydawały się tańczyć na dachach, w miarę jak woźnica lawirował po miejskich uliczkach. Miasto wydawało się bardziej przejrzyste niż zwykle, a dźwięki terkoczących kół oraz głosy ostrzejsze i wyraźniejsze. Budynki posiadały bogate tekstury kamiennych ścian. Minęli młodego Tralgura pchającego wózek wyładowany winogronami. Clara była przekonana, że byłaby w stanie policzyć owoce co do jednego. Czuła się tak, jakby została dwukrotnie wyrwana ze snu, choć ani razu nie usnęła. Zastanawiało ją, czy tak właśnie żołnierze przeżywali poranek przed bitwą. Miała wrażenie, że to bardzo prawdopodobne.

Geder Palliako był cały w uśmiechach. Wciąż myślała o nim w kategoriach bladego, grubawego chłopaka, który wyruszył na wojnę z jej synem. W rzeczywistości podczas swoich podróży schudł, a jego skóra nabrała ciemniejszej barwy. Największą zmianę przeszły jego oczy. Nawet po powrocie z miasta, które sam spalił, czaiła się w nich pewna nieśmiałość. Teraz już jej w nich nie dostrzegała, ale jednocześnie wydawało jej się, że mężczyzna stracił przez to nieco uroku. Zachodziła w głowę, co tak naprawdę mógł robić przez ten czas, który rzekomo spędził w Keshet. Gdy kapłan pochwycił jej wzrok, posłała mu uśmiech. Potem odwróciła spojrzenie.

Prywatny dziedziniec znów był pełen życia. W oknach rezydencji Curtina Issandriana płonęło równie wiele świec i latarni, co w domostwie Maasów. Powóz zatrzymał się z lekkim szarpnięciem i na spotkanie natychmiast wybiegł im służący ze schodkami. Najpierw wysiadła Phelia, potem ona sama. Następnie Geder Palliako, jedyny wysoko urodzony mężczyzna w towarzystwie. Vincen Coe oraz Basrahip na chwilę zamarli w niepewności, ale kapłan uśmiechnął się i przepuścił myśliwego przodem.

Odźwiernym niewolnikiem znów był inny mężczyzna, tym razem Pierworodny, ale tak muskularny, że mógłby uchodzić za bliźniaka kapłana. Vincen i Geder oddali swoje miecze oraz sztylety. Basrahip nie miał przy sobie broni.

– Baron chciał się z tobą widzieć, gdy wrócisz – oznajmił niewolnik. –

Jest w tylnej sali.

Żadnych zaszczytów, żadnego *moja pani*. Takim tonem mógłby zwracać się do każdego. Clare zastanowiło, jakich ludzi Maas zaczął przyjmować na służbę, ale niemal natychmiast przyszła jej do głowy odpowiedź na to pytanie. Najemników. Wojowników. Żołnierzy. Ludzi, którym płaci się za zabijanie. Na dodatek właśnie wkraczała na teren wroga. Przechodząc przez próg, zachwiała się. Phelia spojrzała na nią z zaniepokojoną miną. Clara pokręciła głową i ruszyła naprzód. Nie miała zamiaru przyjmować wsparcia ze strony kogoś, kto znalazł się w takim położeniu, jak jej kuzynka. To byłoby niestosowne.

Phelia poprowadziła ich w milczeniu szerokim korytarzem w stronę pokoju, gdzie ostatnim razem podejmowała Clare. Świeżo obcięte kwiaty i girlandy jesiennych pnączy wypełniały powietrze bogatą mieszanką aromatów. Blask świec wygładzał ostre krawędzie i przydawał ciepłych barw arrasom oraz podłogom okrytym chodnikami. Geder odkaszlnął nerwowo.

U podstawy schodów Phelia skręciła w prawo, a wszyscy podążyli za nią. Krótki korytarzyk zakręcający na końcu. Tutaj płonęło o wiele mniej świec. Cienie zgęstniały, otulając ich swoim całunem. Na końcu korytarza w górę pięły się schody dla służby, a obok nich znajdowały się zamknięte, dwuskrzydłowe drzwi. Tak daleko nie musieli iść.

– Kto idzie? – spytał męski głos.

Siedzący we wnęce mężczyzna w myśliwskiej skórze wstał. Strażnik.

– Mąż po mnie posłał – odparła Phelia. – Powiedziano mi, że znajdę go w jego pracowni.

– Nie ma go tutaj – rzekł mężczyzna. – A to kto?

– Ludzie, których kazał mi przyprowadzić – powiedziała cierpko Phelia. Clara słyszała w jej głosie strach, rozpacz. Nagle poczuła się dumna z odwagi okazywanej przez kuzynkę.

– Jest tutaj – odezwał się kapłan. W jego głosie przebrzmiewała dziwna, nieprzyjemna dla ucha nuta. – Mylisz się. Twój pan jest w pomieszczeniu za twoimi plecami.

– Mówię przecież, że nikogo tam nie ma.

– Posłuchaj. Posłuchaj mnie. Mylisz się – powtórzył Basrahip. – Twój pan jest u siebie. Zapukaj do drzwi, a ci odpowie.

Wnioskując po minie strażnika, Clara była przekonana, że każdy, wyłączając jedynie panią domu, zostałby już powalony na ziemię, a posiłki

byłyby w drodze. Zamiast tego mężczyzna obrócił się, by zapukać w dębowe drzwi. Niemal w tym samym momencie Vincen Coe znalazł się za jego plecami, po czym zacisnął mu ramię na krtani, jednocześnie go unosząc. Strażnik zaczął charczeć i kopać, a jego palce wpiły się w przedramię myśliwego. Clara zamknęła oczy, ale same dźwięki były jeszcze gorsze niż widok. Po stanowczo zbyt długiej chwili mężczyzna zwiotczał. Vincen opuścił jego ciało na podłogę, po czym stanął z jego nagim mieczem w dłoni. Phelia wyciągnęła klucz z rękawa, przekręciła go w zamku i już po chwili znaleźli się w prywatnej pracowni Feldina Maasa.

Vincen przyniósł świecę z korytarza, a w jej świetle odnaleźli i zapalili niewielkie lampki. Pomieszczenie bardzo powoli rozjaśnił blask, który można było porównać do ponurego świtu. Z ciemności wyłoniły się półki z ciemnego drewna, a potem wąskie biurko, na którym umieszczono mosiężny kałamarz oraz pierzaste pióro do pisania. Komnata była większa niż Clara się spodziewała. Brakowało okien, natomiast kratownica z ciemnego drewna pod jedną ze ścian sugerowała, że kiedyś używano jej do składowania butelek. Phelia podeszła do półek jak we śnie. Spośród stert zwojów i ksiąg wyciągnęła proste, drewniane pudełeczko ze skórzanymi zawiasami, zamknięte na haczyk. Wręczyła je Gederowi Palliako.

– Są zaszyfrowane – powiedziała. – Nie znam klucza.

Geder wziął od niej kasetkę, szczerząc zęby niczym mały chłopiec, który otrzymał niespodziewany prezent. Niemal w tym samym momencie Phelia skuliła się w sobie, jakby jej kości zwiotczały i zmaląły.

– Dziękuję ci, kochanie – odezwała się Clara. – Dobrze wiesz, że to jedyny sposób.

Przykro było patrzeć na jej wzruszenie ramion.

– Nie wiem, jakim sposobem sprawy zaszły tak daleko – powiedziała. – Naprawdę. Gdybym mogła...

Nagle rozległ się nieludzki ryk. Dźwięk podsycony gniewem, strachem i żądzą mordy. Clara krzyknęła jeszcze zanim zorientowała się, skąd dobiegał.

– *Co to u diabła ma znaczyć?*

Feldin Maas stał w drzwiach z obnażonym ostrzem w dłoni. Jego twarz przybrała z gniewu niemal fioletową barwę. Dwaj inni mężczyźni tłoczyli się za nim, nie mogąc wejść do środka. *Jeśli zamknie te drzwi, pomyślała Clara, znajdziemy się w potrzasku. A jeśli tak się stanie, umrzemy tu.*

– Nie, Feldinie – powiedziała Phelia, robiąc kilka kroków. – To najlepsze

wyjście. Musimy to uczynić. Lord Palliako obiecał miłosierdzie. Wiedział o wszystkim.

– Ty ich tu *sprowadziłaś*? *Zdradziłaś* mnie?

– Ja...

Ostrze Maasa cięło szybko i niespodziewanie niczym błyskawica. Stojąca za kuzynką Clara nie widziała, jak klinga dosięga celu, ale usłyszała to. Chwilę później ujrzała na twarzy Feldina straszliwą mieszankę uczuć: zaskoczenia, przerażenia, żalu, gniewu. Jeszcze zanim trysnęła krew, Clara wiedziała, że Phelia nie żyje.

Vincen Coe skoczył obok niej, wrzeszcząc i wymachując ukradzionym ostrzem niczym kosą na łące. Pod naporem jego szaleńczego ataku, Maas zmuszony był cofnąć się do korytarza. Przez moment droga ucieczki stała otworem. Geder Palliako z otwartymi ustami i bladą twarzą stał nad zabitą kobietą. Clara pchnęła go, kierując się w stronę wyjścia.

– Szybko! – krzyknęła. – Zanim nas tu zamkną!

Geder i kapłan wybiegli jeden za drugim. Odgłosy uderzających o siebie ostrzy niemal powstrzymały przed tym Clare. *Poddam się*, pomyślała. Nie skrzywdzą kobiety. To była głupia myśl. Odruch. Na przekór wszystkim instyktom, rzuciła się w kierunku odgłosów walki.

Gdyby korytarz był szerszy, Feldin i jego dwaj strażnicy otoczyliby Vincena, a potem zabili go z zimną krwią. Zamiast tego, myśliwy trzymał ich na dystans szerokimi, szybkimi cięciami. Pot spływał mu po twarzy. Zaczynał ciężko dyszeć. Feldin czekał z cierpliwością pojedyńkowicza, szukając okazji.

– Uciekajcie! – krzyknął Vincen. – Zdobędę dla was tyle czasu, ile tylko zdołam!

Geder Palliako nie potrzebował kolejnej zachęty. Obrócił się na pięcie i ruszył w głąb korytarza, w stronę schodów i podwójnych drzwi. Clara zobaczyła, że drewnianą kasetkę wciąż trzymał w dłoni. Zrobiła za nim cztery kroki, ale zawróciła. Kapłan był tuż za nią, trzymając się z dala od walki, ale nie wyglądało, aby miał zamiar uciekać. Ramiona Vincena pracowały nieustannie.

– Och – mruknęła pod nosem. – Och, tylko nie to. Tylko nie to.

Feldin uderzył wysoko i mocno, zbijając cios Vincena na bok. Strażnik po lewej stronie barona zrobił wypad, po którym myśliwy stęknął, robiąc krok w tył. Ostrze gwardzisty splamiła krew. Kilka kropel krwi Vincena

upadło na podłogę.

– Nie wygrasz – powiedział kapłan głośnym, chrobotliwym głosem. Clara spojrzała na niego zapłakanymi oczami, ale mężczyzna jedynie pokręcił głową z uśmiechem. – Lordzie Maas, posłuchaj mojego głosu. Posłuchaj mnie. Nie wygrasz.

– Wypruję wam flaki – wrzasnął Feldin.

– Nie uczynisz tego. Wszystko, co kochasz przepadło. Wszystko, z czym wiązałeś nadzieje straciło sens. Nie wygrasz. To koniec. Już i tak wszystko utraciłeś. Nie masz powodu, by dalej walczyć.

Feldin skoczył naprzód, ale nawet Clara zauważyła zmianę w jego postawie. Jego ciosy stały się bardziej niepewne, a ciężar ciała oparł na tylnej nodze, zupełnie jakby nie miał zamiaru wikłać się w potyczkę, którą przecież wygrywał. Vincen cofnął się, wyraźnie utykając. Okrywające go skóry były mokre od krwi. Baron nie podążył za nim.

– Widziałeś jej śmierć, lordzie Maas – ciągnął Basrahip. – Widziałeś, jak upadła. Nie żyje i nic tego nie zmieni. Posłuchaj mojego głosu. *Posłuchaj* mnie. Walka skończona. Nic, co robisz nie ma sensu. Czujesz to.

Rosnący ucisk w gardle. Czujesz to. Wiesz, co to oznacza. Nie wygrasz. Nie możesz wygrać. Nie masz szans.

Jeden ze strażników posuwał się naprzód, trzymając ostrze przed sobą, ale jego spojrzenie co chwilę wędrowało do Feldina. Lord Maas patrzył tępo w przestrzeń. Vincen chciał ruszyć do ataku, ale Clara doskoczyła do niego, kładąc mu dłoń na ramieniu i odciągając go.

– Czujesz narastającą w żołądku rozpacz, prawda? Czujesz ją – mówił kapłan. Jego głos był pełen smutku, jakby żałował każdego słowa. Każda sylaba pulsowała, odbijając się echem. – Czujesz to w sercu. Toniesz. To się nigdy nie skończy. Nie ma nadziei. Już nie. Już nigdy. Nie wygrasz, lordzie Maas. *Nie możesz* wygrać. Nic już dla ciebie nie zostało. Przegrałeś i dobrze o tym wiesz.

– Lordzie Maas? – rzekł jeden ze strażników.

Sztych broni Feldina skierował się ku podłodze, jakby mężczyzna rysował pionową linię w powietrzu. W blasku świec trudno było to dostrzec, ale Clarze wydało się, że zobaczyła łzy na jego twarzy przypominającej pustą maskę. Gwardziści wymienili spojrzenia, zbici z tropu i podenerwowani. Baron Ebbinbaugh upuścił miecz na podłogę, zawrócił i ruszył korytarzem. Clara zadrżała. Zwalisty kapłan położył jedną dłoń na jej ramieniu, drugą na

barku Vincena Coe.

– Chodźmy, zanim zmieni zdanie – powiedział.

Wycofali się korytarzem, zostawiając za sobą ślady krwi. Strażnicy postąpili ku nim kilka niepewnych kroków, po czym zawrócili w stronę swojego lorda. Przypominali Clarze zwykłe psy myśliwskie, którym wydano dwie sprzeczne komendy. Gdy dotarli do podwójnych drzwi, Vincen stracił równowagę. Kapłan pomógł mu wstać, po czym przerzucił go sobie przez ramię. Kilka minut zajęło im odnalezienie drzwi prowadzących na zewnątrz, ale dotarcie na skraj rezydencji Maasa przez ciemne ogrody wydawało się trwać całą wieczność. Granicę włości barona znaczył gruby żywopłot. Basrahip ukląkł przy nim, kładąc ciało Vincena Coe na ziemi. Noc rozbrzmiewała głosami. Krzykami i nawoływaniami. *Szukają nas*, pomyślała Clara.

– Tędy – rzekł mężczyzna. – Pilnuj go. Sprowadzę wóz.

Clara ukląkla, przeciskając się pomiędzy gałązkami i liśćmi. Pod żywopłotem było niewiele przestrzeni, ale tyle musiało im wystarczyć. Vincen Coe pełzył za nią, opierając łokcie na ściółce z martwych liści i starego pyłu. Jego twarz przybrała kolor popiołu, a ubranie od brzucha w dół było mokre i śliskie. W ciemności krew, zamiast czerwieni, miała barwę głębokiej czerni. Kobieta przyciągnęła go do siebie najbliżej jak mogła. Nagle do głowy przyszło jej wspomnienie z dzieciństwa, gdy miała trzynaście lat i ukrywała się w ogrodzie ojca przed wujem, który udawał, że nie może jej znaleźć. Potrząsnęła głową. To wspomnienie zupełnie nie licowało z powagą chwili.

Vincen z jękiem przekręcił się na plecy.

– Jak bardzo jest źle? – szepnęła.

– Nieprzyjemnie – odparł mężczyzna.

– Jeśli Maas spuści psy, równie dobrze możemy się ujawnić.

Vincen pokręcił głową. Liście pod nim zatrzeszczały cicho.

– Jestem pewien, że cała rezydencja śmierdzi teraz mną – powiedział. – Zajmie im trochę czasu zanim dojdą do tego, która krew jest najświeższa.

– Widzę, że wciąż masz dość sił, by żartować.

– Tak, milady.

Clara podźwignęła się nieporadnie, próbując dostrzec cokolwiek przez zasłonę z liści. Powietrze wypełniły kolejne krzyki. A także, o ile jej słuch nie mylił, odgłos uderzających o siebie mieczy. Była pewna, że do jej uszu

dobiegł władczy głos Jorey'a. W ciasnocie ich kryjówek bardziej czuła szybki, płytki oddech młodego myśliwego niż go słyszała.

– Bądź silny jeszcze przez chwilę – powiedziała. – Jeszcze przez chwilę.

Gdy wyciągnął rękę w jej kierunku, pomyślała, że może to być ostatni gest konającego mężczyzny, ale jego palce objęły jej szyję i stanowczo przyciągnęły jej głowę. Chwilę później ich usta spotkały się w pocałunku, niespodziewanym, intymnym i mocnym. Clara nie wierzyła w to, co właśnie zaszło, ale w głębi duszy jedynie wzruszyła ramionami. W ciągu kilku następnych minut ten młody mężczyzna mógł umrzeć, więc czy robiła tym komuś krzywdę?

Gdy jego uścisk zelżał, a głowa opadła z powrotem na ziemię, Clara wytarła usta wierzchem ubrudzonej dłoni. Czuła, że jej wargi są przyjemnie obolałe, a w głowie na zmianę górze brały zgorzienie, satysfakcja i wesołość.

– Zapominasz się – zrugła go.

– To prawda, milady – odparł myśliwy. – Przy tobie często się zapominam.

Jego powieki opadły. Oddech pozostawał szybki i bolesny. Clara leżała w zupełnej ciemności, siłą woli próbując sprawić, by pierś mężczyzny nie przestała się poruszać, dopóki nie usłyszała głosów, które należały do jej ludzi. Zaczęła wołać o pomoc.

Marcus

Qahuar Em podrapał podbródek, trzymając głowę przechyloną na bok. Marcus miał nieprzeniknioną minę. Stolik, przy którym obaj siedzieli, wykonano z polerowanego dębu, na którym wypalono pleciony wzór. Nie było zielonego przykrycia, którego zawsze używała Cithrin. Marcus podejrzewał, że tu go nie zabraknie, ale najwyraźniej w Lyoneii panowały inne zwyczaje. Malutkie pudełko leżące na blacie zrobiono z oksydowanego żelaza. Wieczko otwierało się do boku, zaś na przedzie umieszczono wizerunek smoka. Jeśli wybrany przez dziewczynę wzór miał jakieś znaczenie, to Marcus nic o tym nie wiedział.

– Przepraszam – powiedział Qahuar Em. – To wszystko strasznie zagmatwane.

– Nie ma w tym nic dziwnego – rzekł Marcus. – Powiedziano mi, że banki i kupcy nieustannie przechowują dla siebie wartościowe przedmioty.

– Jeśli blisko ze sobą współpracują, a jedna ze stron nie posiada przedstawiciela w danym mieście – odparł Qahuar. – Żadna z tych rzeczy się nie zgadza.

– To kwestia osobliwego zbiegu okoliczności.

– Którego nie zamierza mi pan wyjaśnić.

– Nie – przyznał Marcus.

Qahuar wyciągnął rękę i podniósł małe puzderko, które z łatwością mógł ukryć w dłoni. Wieko otworzyło się z cichym szcęknięciem, ukazując mosiężny klucz o długości palca. Marcus podrapał ucho, czekając aż mężczyzna coś powie.

– Dlaczego nie mogę pozbyć się wrażenia, że przedmiot ten ma jakiś związek z czymś przykrym albo upokarzającym? – spytał Qahuar, dając do zrozumienia, że odpowiedź na to pytanie byłaby mile widziana, ale się jej nie spodziewał.

– Otrzymałem upoważnienie do podpisania oświadczenia, że jest przechowywany tu na prośbę magistry bel Sarcour – powiedział Wester. – Proszę wykonać woskowy odcisk, a ja poświadczę swoim kciukiem, żeby nie było wątpliwości, że chodzi o jeden i ten sam przedmiot. Cokolwiek pan sobie zażyczy.

Mężczyzna zamknął pudełeczko. Poznaczone drobnymi łuskami palce

zastukały o dębowy blat, co zabrzmiało jak pierwsze krople nadciągającej nawałnicy.

– Jestem gotowy na przyjęcie odmowy – rzekł Marcus.

– Magistra i ja rozstaliśmy się w nie najlepszych stosunkach – oznajmił półkrwi Jasur, ostrożnie dobierając słowa. – Wysłała pana, zamiast pojawić się osobiście. Trudno mi sobie wyobrazić, że nagle zaczęła mi ufać.

– Czasami łatwiej jest zaufać wrogowi niż przyjacielowi. Wróg nigdy nie zawiedzie twojego zaufania.

– Myślę, że ona uważa, iż to ja zawiodłem jej zaufanie, a ja spierałbym się, że było odwrotnie.

– Co tylko potwierdza moje słowa. W końcu wtedy byliście przyjaciółmi – rzekł Marcus z nieszczerym uśmiechem.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju spotkań. Pełnej krwi jasurska kobieta w szaro-szkarłatnej todze skinęła głową obu mężczyznom.

– Przybyli ludzie ze stoczni, sir.

Qahuar skinął głową, na co kobieta wycofała się, zamykając za sobą drzwi z cichym szcęknięciem.

– Dobrze się wam układa współpraca? – spytał Marcus.

– Nie narzekam. Dopięcie wszystkiego na ostatni guzik zajmie nam przynajmniej rok, ale czas działa w obie strony. Pewne czyny mogą przynieść efekty jeszcze zanim wprowadzi się je w życie.

– Jak na przykład gniewne listy od króla Cabral?

– Czasami żałuję, że wygraliśmy ten przetarg – powiedział Qahuar. A potem: – Z więcej niż jednego powodu. Kapitanie, jesteśmy światowymi ludźmi. Myślę, że dobrze się rozumiemy. Byłby pan łaskaw odpowiedzieć na jedno pytanie?

– Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli skłamię?

– Bynajmniej. Pana nazwisko znane jest na całym zachodzie. Jako dowódca prywatnej armii mógłby pan zażądać każdej zapłaty, a mimo to pracuje pan jako kapitan straży w filii banku. Nie jest pan otwarty na oferty przekupstwa. A do tego – wybaczy pan szczerść – nie żywi pan względem mnie przyjaznych uczuć.

– To nie są pytania.

– Kocha ją pan?

– Kochałem wielu ludzi, ale słowo to rzadko kiedy oznaczało jedną i tę samą rzecz – odparł Marcus. – Moim zadaniem jest ją chronić i tym razem

zamierzam wykonać zadanie.

– Tym razem?

Marcus wzruszył ramionami, ale nic więcej nie powiedział. Ten sukinsyn już i tak wydusił z niego więcej niż zamierzał zdradzić. Musiał mu to przyznać: Qahuar był dobry w tym, co robił. Półkrwi Jasur wstał, wydymając usta. Powoli, z rozmysłem, umieścił pudełeczko w sakiewce przy pasku.

– Mam nadzieję, że tego nie pożałuję – powiedział.

– Podejrzewam, że z takiego lub innego powodu nie będzie miało to dla pana znaczenia – odparł Marcus. – Mimo wszystko, dziękuję, że zgodził się pan go przechować.

– Wiesz, że nie robię tego dla ciebie?

– Tak.

Qahuar Em wyciągnął szeroką dłoń. Wester wstał i ujął podaną rękę. Z trudem powstrzymał się przed tym, by nie ścisnąć jej odrobinę za mocno, chcąc udowodnić, że może. W zielonych oczach mieszańca tańczyło rozbawienie. A także odrobina czegoś smutniejszego.

– Ta kobieta ma wielkie szczęście – rzekł Qahuar.

Na Boga, miejmy nadzieję, pomyślał Marcus, ale nie powiedział tego na głos.

Jesień przybyła do Porte Oliva z dnia na dzień. Drzewa, które jeszcze niedawno były soczyste i bujne, teraz zrzucały wciąż zielonkawe liście. Wieczorny wiatr hulał, wyjąc, a woda w zatoce nabrała koloru herbaty i za dnia śmierdziała niczym góra kompostu. Gwardziści królowej patrolowali ulice po zmroku w wełnianych płaszczach i zielonych czapach, które zakrywały im uszy. Marcus szedł wąską uliczką wzdłuż portu, czując pierwsze ukąszenia chłodu. Wydało mu się, że mimo wszystko chyba polubił to miasto.

Mistrza Kita i pozostałych odnalazł na skąpanym w świetle pochodni dziedzińcu pomiędzy szynkiem a gospodą. Smit i Hornet wciąż dokonywali ostatnich poprawek przy podporach sceny, podczas gdy Kit wydawał krótkie instrukcje, nawet jeszcze nie założony stroju. Za ich plecami krążyła młoda kobieta. Miała jasne włosy i duże oczy, które przywodziły Marcusowi na myśl dziecko. Ubrana była w przylegającą sukienkę, podkreślającą jej figurę. Dłonie trzymała splecione na brzuchu, a jej kciuki siłowały się ze sobą niczym dwóch mocarzy podczas bójk.

Marcus podszedł do mistrza Kita. Zamiast przywitania, wskazał głową

kobietę.

– Nowa?

– Tak – odparł stary aktor. – Wiążę z nią spore nadzieje.

– Z poprzednią również wiązałeś.

– Słuszna uwaga. Względem tej żywię pewne oczekiwania – poprawił się Kit. – Nazywa się Charlit Soon. Na próbach była świetna. Dzisiaj zobaczymy, jak sobie radzi przed widownią. Jeśli zostanie do jutra, chyba znów będziemy mieć pełną trupeę.

– I niby ile ona ma lat? Dwanaście?

– Jacyś jej przodkowie byli Cinnejczykami – oznajmił Kit. – A przynajmniej tak twierdzi. Wydaje się w to wierzyć, więc możliwe, że to prawda.

– Ale ty jej nie wierzysz?

– Wolę wstrzymać się z wydawaniem osądów.

Zupełnie jakby ich słyszała, nowa aktorka spojrzała na nich, po czym odwróciła wzrok. Sandr zeskoczył z wozu i pomachał Marcusowi. Z czasem ulotnił się jego strach albo chłopak był niezłym aktorem. Wester odwzajemnił pozdrowienie. Mikel, chudy i patykowaty jak zawsze, wyszedł z szynku z wiaderkiem pełnym trocin. Tuż za nim szła Cary z miotłą.

– Słyszałem pogłoski, że opuszczacie Porte Oliva.

– To jedna z opcji – przyznał mistrz Kit. – Siedzieliśmy tu prawie cały sezon teatralny. Myślę, że ludzie mają już dość naszych sztuk. Jedno przedstawienie za dużo i zaczną nas lekceważyć. Nie chcę, by to co robimy zatraciło swoją magiczną otoczkę. Myślałem, o zabranii trupy na dwór królowej w Sara-su-mar.

– Przed zimą czy po?

– Więcej będę mógł powiedzieć, gdy Charlit spędzi kilka wieczorów na scenie – odparł stary aktor. – Ale najpewniej jeszcze przed. Gdy okręty wypłyną do Narinisle.

– Cóż, zrobicie co uznasz za słuszne, ale będzie mi przykro, gdy wyjedziecie.

– Rozumiem, że pan zostanie tu jeszcze przez jakiś czas? – spytał Kit. Mikel zaczął rozsypywać trociny po bruku dziedzińca, chcąc odrobinę osuszyć podłoże. Cary podążała za nim, zamiatając. Marcus nie widział zbytniego sensu w takim działaniu. Wkrótce plac miał na nowo zapełnić się błotem, szczykami i deszczówką.

– Na pewno przez najbliższych kilka dni – odparł Wester. – Może tygodni.

– Może pan wyruszyć z nami – zaproponował aktor. – Yardem i Cithrin również. Myślę, że wszyscy trochę tęsknimy za odgrywaniem strażników karawany. Nie była to rola, którą kiedykolwiek wcześniej odtwarzaliśmy i zakładam, że już więcej się nie powtórzy.

– Mistrzu Kicie? – zawołał Sandr zza wozu. – Jeden z mieczy gdzieś zginął.

– Poszukaj przy stroju bandyty Smita.

– Nie ma go tam.

Mistrz Kit westchnął. Marcus poklepał go po ramieniu, pozwalając mężczyźnie wrócić do pracy.

Płomienie lamp i ciepło bijące od obory sprawiało, że w szynku było o wiele przyjemniej niż na ulicy. Zapach pieczonej wieprzowiny oraz piwa walczył z mniej przyjemnym aromatem stłoczonych ludzi. Marcus trzymał jedną dłoń na sakiewce, przeciskając się przez tłum. Wziąwszy pod uwagę liczbę osób na tak małej przestrzeni, byłby zszokowany, gdyby wśród nich nie znalazł się choćby jeden rzezimieszek szukający szczęścia. W pierwszej kolejności zobaczył Yardema siedzącego przy stoliku na tyłach, a dopiero potem Enen, Karalucha, Cithrin i... Bartha. Tak miał na imię. Dwaj Pierworodni to Corisen Mout i Barth. Corisen Mout to ten ze złamanym zębem na przedzie. Czując rozpierającą go z niewiadomych przyczyn dumę, Marcus usiadł przy stoliku.

Cithrin uniosła pytająco brwi.

– Załatwione – powiedział Wester. – A ty? Wszystko poszło gładko u namiestnika?

– Tak – odparła dziewczyna. – Wniosłam opłatę, zostawiłam kasetkę.

– A rachunek?

– Spaliłam go – dodała. – Nie pozostał żaden ślad. O ile namiestnik z ciekawości nie otworzy kasetki siłą, to jesteśmy gotowi.

Natychmiast podszedł do nich służący, który postawił przed Marcusem kufel piwa. Chciał zabrać puste naczynie Cithrin, ale dziewczyna go powstrzymała. Mężczyzna uklonił się i odszedł.

– Jakie są szanse, że namiestnik ulegnie swoim pierwotnym instynktom? – spytał Marcus, zamiast *Ile już wypitaś?* Gdyby zaczęła się zapominać, Yardem z pewnością by ją powstrzymał. Możliwe, że już tak się stało.

– Życie to ryzyko – oznajmił siedzący obok niej Karaluch, pociągając piwo z własnego kufła.

– Yardem właśnie opowiadał nam o kształtach ludzkich dusz – powiedział Barth. – Wiedział pan, że pańska dusza ma kształt okręgu?

Marcus posłał Tralgurowi zbolące spojrzenie. Strzygnięcie uchem było jedyną formą przeprosin, na którą mógł liczyć.

– Nie słuchaj wszystkiego, co mówi, Barth. Jest bardzo religijny. Zaczyna robić się nerwowo, gdy sprawy idą zbyt gładko.

– Nie wiedziałem, że idą gładko, sir – rzekł oschle Yardem.

Przez następną godzinę Marcus wypił swój kufel piwa, zjadł talerz pieczonej wieprzowiny polanej ciemnym, ostrym sosem, od którego łzy napłynęły mu do oczu i słuchał rozmów przy stole. Barth nie dawał Yardemowi spokoju w kwestii dusz i przeznaczenia, ale Enen, Karaluch i Cithrin woleli bardziej praktyczne tematy: ile płatności spłynie bezpośrednio do banku, a ile trafi do niego przez kawiarnię, jak upewnić się, że nikt nie zaatakuje osoby niosącej pieniądze z kawiarni przez miasto oraz czy należy porozumieć się z ludźmi królowej, aby pomagali w egzekwowaniu prywatnych kontraktów. Wszystkie te rzeczy, które właściciel banku musiał omówić ze swoimi pracownikami. Cithrin przemawiała jak kobieta pewna swego losu i Marcus podziwiał ją za to.

Rozmowy przerwał im odgłos drewnianego kijka uderzającego w patelnię.

– Przedstawienie się zaczyna! – głos Mikela przebił się przez ogólny rozgardiasz. – Chodźcie obejrzeć przedstawienie! Zaraz się zacznie!

Marcus rzucił kilka monet na stół, wstał i – na wpół żartobliwie – podał Cithrin dłoń, oferując pomoc.

– Pozwoli pani? – spytał.

Dziewczyna przyjęła jego wsparcie z udawaną formalnością.

– Po to tu jesteśmy – odparła. Marcus poprowadził ją razem z resztą swojej nowej kompanii na przyjemny chłód dziedzińca, by obejrzeć występ starych towarzyszy. Zebrał się spory tłumek. Przynajmniej pięćdziesiąt osób, a istniała duża szansa, że ktoś jeszcze zatrzyma się, wchodząc lub wychodząc z lokalu. Gdy mistrz Kit wyszedł na deski, ze ściągniętymi z tyłu włosami i mieczem u boku, kilka osób zaklaskało, wliczając w to Westera. Chwilę później pojawił się Sandr, udając, że dłubie w zębach stępionym sztyletem.

– Ach, Pintinie, od lat jesteś moim zastępcą – powiedział Kit, unosząc

podbródek w parodii heroizmu. – Od czasów mej największej chwały aż po głębiny rozpacz, zawsze za mną podążałeś. Lecz ogary wojny znów zostały spuszczone z łańcuchów, a my musimy przed nimi pierzchać. Potworne armie Sarakał jutro spadną na miasto.

– No to lepiej zwiać jeszcze dzisiaj – powiedział Sandr. Tłumek zachichotał.

– Istotnie, nie będzie nam dane stoczyć tej przegranej bitwy. Miasto bez wątpienia padnie, lecz zanim do tego dojdzie, musimy uratować lady Daneillin, ostatnią ze swego rodu i najpiękniejszą z elassejskich dam. Oto nasze zadanie, Pintinie. Nasza kompania ucieknie dziś w nocy w towarzystwie milady.

– No, ale będzie z tym problem – powiedział Sandr głosem Pintina. – Nasi ludzie sikali z murów, żeby zobaczyć, czyje szczyry poniesie najdalej. Sędzia chyba myślał, że pada, więc teraz wszyscy siedzą w miejskiej ciupie.

Mistrz Kit zbaraniał. Poczucie własnej wyższości zupełnie zniknęło z jego twarzy.

– Co? – zawył komicznym falsetem. Tym razem rozbrzmiało więcej śmiechów. Sztuka wyraźnie coraz bardziej przypadała widowni do gustu.

Marcus nachylił się do Yardema.

– Ja wcale tak nie wyglądam – powiedział. – Cała ta dramatyczna gadanina i wciąganie brzucha. To nie ja.

– Oczywiście, że nie, sir – odparł Tralgur.

Dwa dni później Cithrin siedziała naprzeciwko niego w kawiarni. Za otwartymi drzwiami i oknami siąpił deszcz. Kamienie przy wejściu na Wielki Targ pociemniały, nabierając niemal czarnej barwy. Za ich plecami dwóch Kurtadamów wymieniało najnowsze wieści z Północnego Wybrzeża. Wyglądało na to, że kolejna wojna o sukcesję była nieunikniona. Marcus powtarzał sobie, że niezbyt go to obchodzi i po części było to prawdą. Świat pachniał kawą i kroplami dżdżu.

– Jeśli będziemy mieć wolne fundusze, w przyszłym roku chciałabym sponsorować jeden ze statków do Narinisle – powiedziała Cithrin.

Wester skinął głową.

– Na pewno pojawią się jakieś obawy w związku z nową flotą, przynajmniej z początku. Jeśli całe to przedsięwzięcie zakończy się sukcesem, choćby tylko przez pierwsze kilka lat, zwiększy to liczbę towarów przepływających przez Porte Oliva. To może oznaczać dla nas wiele

korzyści, o ile zachowamy swoją pozycję. Będziemy znani. Godni zaufania.

– To wszystko założenia – rzekł Marcus.

Cithrin przełknęła ślinę. W ciągu kilku ostatnich tygodni schudła, a jej cera, zawsze dość blada, nabrała ziemistego odcienia. Wydało mu się dziwne, że żadna z osób, które przychodziły do niej z prośbą o pożyczkę albo ofertą zdeponowania swoich bogactw w zamian za niewielki procent, wydawała się nie zauważać trawiącego ją niepokoju. Nie spała za wiele. Z drugiej strony przynajmniej nie piła do snu. Jego zdaniem świadczyło to o wewnętrznej sile.

– To wszystko założenia – przyznała. A potem: – Żałuje pan, że nie uciekliśmy? Że nie napełniliśmy kieszeni i po prostu... nie zniknęliśmy?

– Zadaż mi to pytanie po wyjeździe audytora – odparł Marcus.

Skinęła głową. Stary, na wpół ślepy Cinnejczyk wyszedł do nich z zaplecza. Deszczowa pogoda miała nie najlepszy wpływ na jego biodra. Cithrin uniosła pusty kubek. Maestro Asanpur pokiwał głową z pełnym zrozumienia uśmiechem, po czym zawrócił.

– Magister Imanuel zawsze powtarzał, że czekanie jest najgorsze – powiedziała. – Najłatwiej jest przegrać, okazując zniecierpliwienie. Robiąc coś dla samego działania, a nie dlatego, że jest to słuszne. Gdy to mówię, zawsze brzmiało mi to jak komunał. On i Cam to osoby, którym najbliższe było do moich rodziców. Wychowywali mnie niemal od chwili, gdy nauczyłam się chodzić. Magister wiedział wszystko o pieniądzach i ryzyku, i świetnie wiedział jak zachowywać pozory.

– Wygląda na to, że byłby dobrym generałem – zauważył Marcus.

– Nie – zaprzeczyła. – Sama nie wiem. Może. Nie lubił żołnierzy. Nienawidził wojny. Pamiętam, że mówił, iż są dwa sposoby na podbój świata. Wyruszasz z mieczem w ręku lub z pełną sakiewką.

– Naprawdę? A ja myślałem, że na wojnie da się nieźle zarobić.

– To prawda – przyznała Cithrin – ale tylko jeśli znajdziesz się we właściwym miejscu o właściwej porze. W ogólnym rozrachunku walki przynoszą więcej strat niż zysków. Ze sposobu, w jaki się wypowiadał, wynikało, że tylko my potrafimy sprawić, by miecze pozostały w pochwach. Wojna lub handel. Sztylet i moneta. Dwa rodzaje ludzi.

– Chyba za nim tęsknisz.

Cithrin pokiwała głową, wzruszyła ramionami i raz jeszcze przytaknęła.

– Tak, ale nie tak, jak myślałam. Sądziłam, że będę żałowała tych wszystkich pytań, których mu nie zadałam, ale przez większość czasu, gdy o

nim myślę, chciałabym po prostu móc znów posłuchać jego głosu. Poza tym nawet nie wspominam go tak często jak sądziłam, że będę.

– Zmieniłaś się od kiedy widziałas go po raz ostatni – powiedział Marcus.
– Jedną z niewielu sensownych rzeczy, które Yardem zwykł mi powtarzać, jest to, że żałoby nie należy traktować jak zadania do wykonania. Nie można po prostu pracować ciężiej, żeby skończyć szybciej. W najlepszym wypadku możesz zmienić swoje nastawienie, aż przyjdzie taka chwila, że nie będziesz już tą samą cierpiącą osobą.

– W pana przypadku to zadziałało?

– Jeszcze nie – odparł Wester.

Maestro Asanpur wrócił ze świeżym kubkiem w drżących dłoniach. Postawił go przed Cithrin z cichym stuknięciem ceramicznego naczynia. Dziewczyna dmuchnęła na powierzchnię płynu, rozganiając parę. Gdy pociągnęła łyk, twarz starego Cinnejczyka rozpromienił uśmiech.

– Dziękuję, maestro – powiedziała.

– To ja dziękuję *tobie*, magistra – odparł mężczyzna i pokuśtykał w stronę okiennic, by zamknąć je przed ciągnącym chłodem.

Z nieba zaczęły spadać większe krople deszczu, których rozpryski przypominały małe, białe wybuchy na tle szarości. Miała rację. Czekanie na walkę było najgorsze. O ile nie oberwało się sztyletem w brzuch podczas bitwy. Wtedy to było najgorsze. Albo gdy po bitwie widziało się wokół jedynie martwe ciała towarzyszy. Wówczas to.

Po drugiej stronie placu pojawił się Yardem, zaledwie ciemniejsza plama na tle świata stworzonego z cieni. Nie biegł. Nie wydawał się nawet spieszyć. Marcus patrzył jak Tralgur z mazołem przebija się przez ludzi królowej i tłum na targowisku. Z każdym krokiem stawał się bardziej rzeczywisty. Przekraczając próg, pochylił głowę.

– Sir.

– W porządku – powiedział Marcus, czując ucisk w gardle i piersi. – W porządku.

Cithrin wstała. Sprawiała wrażenie spokojnej. Dostrzeżenie strachu w jej oczach i w ułożeniu podbródka wymagało kilku miesięcy spędzonych w jej towarzystwie.

– Rozumiem, że przybył audytor? – spytała.

Yardem zastrzygł uchem i skinął głową.

– Istotnie, pani.

Cithrin

Paerin Clark.

Na przestrzeni lat spędzonych w Vanai zapewne słyszała to imię. Jego nazwisko miało znajome brzmienie, jak imię postaci z kart historii lub mitów. Drakis Stormcrow. Zmartwychwstała Gwardia. Aesa, księżniczka mieczy.

Paerin Clark.

Cithrin skubnęła rąbek spódnicy, wygładzając fałdy i zmarszczki. Jej serce łomotało w piersi niczym ptak w klatce. W żołądku czuła ucisk na granicy skurczów i mdłości. Miała ochotę napić się czegoś mocniejszego, co pozwoliłoby jej rozluźnić mięśnie, ukoić skołatane nerwy i dodać sobie odwagi. Zamiast tego trzymała się w sposób, którego nauczył ją mistrz Kit – ściągnięte ramiona nisko, kręgosłup luźny – mając nadzieję, że wygląda jak kobieta w pełni rozkwitu, a nie jak niedojrzała dziewczynka w maminych ubraniach.

Łagodnie wyglądający mężczyzna siedział za jej biurkiem w pracowni, trzymając skrzyżowane nogi i dłonie zaplecione na kolanie. Zaczynał łysieć, a w ramionach był niezbyt szeroki. Mógł być kimkolwiek. Mógł być nikim. Jego notatnik leżał otwarty na blacie, a stalowe pióro spoczywało tuż obok. Mimo to nie czynił żadnych notatek. Nawet zaszyfrowanych. Pytania zadawał uprzejmym tonem, z uśmiechem. Jego akcent z Północnego Wybrzeża sprawiał, że zaokrąglął końcówki. Podczas gdy w ustach innych mężczyzn niektóre słowa syczały, u niego jedynie szemrały.

– Więc magister Imaniel nie brał w tym udziału?

– Nie – odparła Cithrin. – Założenie było takie, by wywieźć większość pieniędzy z Vanai do Carse. Magister Imaniel nie miał pojęcia, że zaszła zmiana. Gdyby śnieg nie zasypał przełęczy przy Bellin wcześniej niż zwykle, trzymalibyśmy się planu.

– Kto podjął decyzję o udaniu się na południe?

– Kapitan Wester.

– Opowiedz mi o tym coś więcej.

Z dołu nie dobiegały żadne odgłosy. Kapitan Wester i pozostali strażnicy zostali odesłani przez Clarka. Ich miejsce zajął tuzin żołnierzy, którzy przybyli wraz z bankierem. Ta cisza działała jej na nerwy. Brzmiała upiornie. Krople deszczu stuknęły o okiennice niczym tysiące małych palców. W oddali

zagrzmiało złowieszczo. Cithrin odtwarzała wydarzenia wraz ze wszystkimi szczegółami. O tym jak wpadli w ręce antejskiego oddziału, o szmuglowaniu wozu przez Porte Oliva i ukrywaniu się w dzielnicy solnej.

– I od tamtego momentu jedynie kapitan Wester i jego Tralgur stanowili strażników?

– Nie nazwałabym Yardema „jego Tralgurem”.

– Byli jedynymi strażnikami?

– Tak.

– Dziękuję.

Opowiedziała mu o ataku Opal, o obawach Marcusa dotyczących opuszczenia miasta i tych związanych z pozostaniem na miejscu. Opisując proces podrabiania dokumentów uważała, aby jej ton pozostał spokojny i rzeczowy. Magister Imaniel zawsze twierdził, że stwarzanie pozorów winnego sugerowało, iż ma się coś na sumieniu. Gdy przyznała się do przedkładania fałszywych dokumentów namiestnikowi Porte Oliva, audytor nie odezwał się ani słowem, a z jego twarzy nie sposób było coś wyczytać. Gdy skończyła opowiadać historię założenia fałszywej filii banku i przeszła do inwestycji, pożyczek, umów konsygnacyjnych i procentów, poczuła, że się rozluźnia.

Mówiła przez większą część wieczoru. W końcu zaczęła chrypnąć, a plecy rozboleły ją od ciągłego siedzenia w jednej pozycji. Jeśli Paerin cierpiał równie mocno jak ona, nie dał tego po sobie poznać.

– Czy kapitan Wester często doradzał ci w kwestii strategii?

– Nie – odparła Cithrin. – Nawet nie próbował, a ja nie prosiłam go o porady.

– Dlaczego?

– Nie jest bankierem. Zagwarantowałam mu budżet w odpowiedniej wysokości, dzięki któremu mógł chronić zgromadzone przez nas pieniądze, a także transportować pokaźne sumy w obrębie miasta, ale to wszystko.

– Rozumiem. Cóż, dziękuję pani bel Sarcour. To była najbardziej interesująca historia, jakiej dane mi było wysłuchać od dłuższego czasu. Zakładam, że wszystkie księgi rachunkowe są na miejscu?

– Tak. Posiadam również niewielkie pomieszczenia w kawiarni przy Wielkim Targu, ale wszystkie księgi zostały sprowadzone tutaj.

– Doskonale.

– Chciałabym również poczynić pewną sugestię, jeśli mogę...

Paerin Clark uniósł brwi. Cithrin nabrała powietrza.

– Wziąwszy pod uwagę okoliczności – zaczęła – od pewnego czasu jestem identyfikowana z bankiem w tym mieście. Ponieważ filia powstała niedawno, wnioskuję, że w niczym interesie nie leży zmiana tego stanu rzeczy. Gdy zakończy pan już swój audyt, bardzo proszę o rozważenie pozostawienia mnie na czele tej instytucji.

Clark wziął do ręki pióro, zamykając czysty notatnik.

– Chyba nie rozumie pani powagi sytuacji – rzekł mężczyzna. – To... nazwijmy to nieporozumieniem... przyniosło wstyd całemu bankowi medejskiemu, a Komme Medejczykowi w szczególności. Zaszkoziło negocjacje z Herez i Północnym Wybrzeżem, a także odciągnęło pewne zasoby, w tym mnie, od niezwykle ważkich spraw. Z tego, co mi pani powiedziała, zakładam, że została pani przygarnięta przez kapitana najemników, choć wciąż jeszcze nie mam pojęcia, co kierowało tym człowiekiem. Proszę mi jednak wierzyć, że jestem bardzo, bardzo dobry w tym, co robię. Jeśli jest coś, czego mi pani nie powiedziała, dowiem się o tym. Poświęcę tyle czasu, ile to konieczne, by przejrzeć wszystkie zawarte przez panią transakcje. Już teraz wysłałem trzech ludzi, by podpytali w mieście o pani działania. Jeśli cokolwiek nie zostało ujęte w księgach, również to znajdę. Śmiem twierdzić, że osadzenie w publicznym więzieniu Porte Oliva to najłagodniejsza kara, na którą może pani liczyć.

– A teraz, zanim zacznę, mam ostatnie pytanie. Zadam je tylko raz. Jeśli powie mi pani prawdę, będę wnioskować o potraktowanie pani łagodnie. Jeśli pani skłamie, uczynię z pani życia piekło. Rozumiemy się?

Powinna była się bać. Przynajmniej na to liczył Clark. Zamiast tego ogarnął ją błogi spokój. Próbował ją zastraszyć. Zachowywał się względem niej protekcjonalnie. Nie doceniał jej. Dlatego właśnie ucichły w niej wszystkie obawy. Siedzący przed nią człowiek był durniem, w związku z czym zasługiwał sobie na wszystko, co miała zamiar zrobić.

– Rozumiem – odparła. Mężczyzna zawahał się, słysząc w jej głosie niespodziewaną nutę. Uśmiechnęła się. – O co chciał pan zapytać?

– Czego mi pani nie mówi? – spytał.

Że zamierzam cię pokonać, pomyślała. Że wygram.

– Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, panie Clark, jestem do pana dyspozycji – powiedziała na głos. – Ale liczby nie kłamia.

Przez następny tydzień żyła jak na wygnaniu, przesiadując w kawiarni

albo spacerując ulicami miasta za dnia, nocą zaś śpiąc w gospodzie niedaleko banku. Audytor codziennie wzywał ją do siebie, przedstawiając listę pytań i żądając wyjaśnień: Dlaczego w tej umowie określono wysokość odsetek, a w tej nie? Dlaczego udzielono jednej pożyczki, a odmówiono udzielenia innej, która najwyraźniej przyniosłaby większe zyski? Cithrin siedziała w swoich pokojach – *swoich*, do cholery – pozwalając, by mężczyzna prześwietlał jej finanse. Znała odpowiedź na każde pytanie. Po kilku dniach zaczęła traktować to jako zabawę, obserwując jak Clark próbuje złapać ją na niewiedzy. Był sprytny i wiedział co robi. Z czasem nabrała nawet do niego szacunku. Jakby nie patrzeć, zajmował się tym, od kiedy Cithrin była zaledwie dzieckiem.

Z drugiej strony – ona również.

Okręty wypłynęły do Narinisle. Na swoich pokładach wiozły olej, wino, bawełniane tkaniny, a także marzenia i nadzieje domów kupieckich Porte Oliva. Żaden z nich nie wiozł jednak umów z filią banku medejskiego w Porte Oliva, gdyż wciąż trwał audyt. Może za rok.

Cithrin stała na wale nabrzeżnym, obserwując wychodzące z portu statki, które holowano na linach dopóki nie opuściły niebezpiecznych wód zatoki. Potem rozwijano żagle, które rozkwitały niczym pąki kwiatów. Stała w milczeniu dopóki okrętów nie pochłonęła szarość morza i nieba, a potem jeszcze przez jakiś czas obserwowała unoszącą się nad wodą mgłę. Mewy wrzeszczały, zataczając szerokie kręgi na niebie, narzekając lub świętując. Stojący obok kapitan Wester skrzyżował ramiona na piersi.

– Kolejna osoba odwiedziła kawiarnię dziś rano – powiedział. – Właścicielka browaru z synem.

– Co im pan powiedział?

– Rozmawiał z nimi Yardem. Powiedział to samo, co wszystkim. Audyt to normalna rzecz dla każdej nowej filii, więc proszę robić to, co nakaze audytor. Nie spodobało jej się to. Chciała rozmawiać z tobą. Nie chciała słuchać, kiedy powiedział jej, że gdybyście ustaliły jedną wersję wydarzeń, audytor miałby utrudnione zadanie. Oskarżyła Yardema, że próbuje ją o coś oskarżyć.

– Przykro mi z tego powodu – powiedziała dziewczyna. – Nie dopuściłabym do tego, gdybym mogła.

– Wiem.

Cithrin ciaśniej owinęła się płaszczem i odwróciła plecami do

bezkresnego morza, twarzą do miasta. Jej miasta. Nie miała pojęcia, kiedy się nim stało.

– Przy odrobinie szczęścia, wkrótce wszystko wróci do normy.

Mężczyzna dołączył do niej. Cithrin nie była w stanie stwierdzić, czy to on dopasował długość kroku do niej, czy też wprost odwrotnie.

– Wciąż możesz zrezygnować – powiedział. – Mogę odzyskać twój klucz, a potem kasetkę z pałacu namiestnika. Może nie będzie tak źle. Carse to bardzo przyzwoite miasto. Będiesz tam bezpieczna, nawet jeśli dojdzie do wojny o sukcesję. Jeszcze nikt nie próbował oblegać Carse. Za rok odbierzesz swoje pieniądze i będziesz mogła robić, co tylko zechcesz.

– Ale nie mogłabym robić tego – odparła Cithrin.

– Słuszna uwaga.

Szli wzdłuż murów długimi, bielonymi schodami, w kierunku dzielnicy solnej. Gdzieś po drodze minęli miejsce, w którym zginęła Opal. Nie była go jednak w stanie rozpoznać, a wolała nie pytać. Mały, szorstkowłosy pies podbiegł do nich i zaczął szczekać, ale czmychnął, gdy tylko Marcus udał, że sięga po kamień.

– Zauważyłem, że już nie pijesz – oznajmił.

Utopiłabym niemowlę za butelkę wina, pomyślała Cithrin, ale muszę być trzeźwa, gdyż w razie czego nie będzie żadnego ostrzeżenia.

– Nie tęsknię za tym – powiedziała.

– Niewiele sypiasz.

– Za tym też nie tęsknię.

Gospoda, która stała się ich domem na czas okupacji banku, wznosiła się na skrzyżowaniu dwóch większych uliczek Porte Oliva. Bielone ściany i drewniany dach przywitały ich chłodno pod nisko zawieszonymi chmurami. Gdy podeszli bliżej, z wnętrza wyłonił się mężczyzna. Cithrin zauważyła, że Marcus spiął mięśnie, nie zmieniając tempa. Poczowała pieczenie w gardle.

Mężczyzna wyszedł im na spotkanie. Jeden ze strażników Paerina Clarka.

– Chce się ze mną widzieć? – spytała.

– Jak zwykle, panienko – rzekł gwardzista. – Wydaje mi się, że skończył. Cithrin wzięła głęboki wdech. Już czas.

– Czy kapitan może iść ze mną?

– Nie widzę ku temu przeciwwskazań.

Spacer z powrotem do banku nie trwał długo, lecz Cithrin odczuwała każdy krok. Zdała sobie sprawę z tego, że sukienka, którą miała na sobie,

była pierwszą rzeczą kupioną przez nią po przyjeździe do Porte Oliva. Tą samą, dla której wymyśliła hallskarskie farby solne w zamian za obniżenie ceny o pięć srebrników. Sukienką naprawdę niebezpiecznej dziewczki. Postanowiła wziąć to za dobrą monetę.

Minął ich kurtadamski chłopiec, sprzedający papierowe różki wypełnione miodowymi migdałami. Cithrin zatrzymała go, by kupić jedną porcję. Włożyła sobie dwa migdały do ust i poczęstowała jednym Marcusa. Strażnik Paerina cierpliwie czekał, więc jemu również zaoferowała łąkość. Mężczyzna wziął dwa orzechy z uśmiechem. Był gotowy przyjmować od niej drobne podarki. To oznaczało, że albo był zimnym draniem, albo też audytor miał dobre wieści. *Nie, pomyślała, to oznaczało, że strażnik wierzył, że jego przełożony miał dobre wieści.*

Od dwudziestu dni nie wpuszczano jej do własnych pokoi. Wchodząc na schody, gotowa była przełknąć gorycz nieprzyjemnego widoku, ale gdy dotarła na górę, wszystko leżało w dokładnie tych samych miejscach, gdzie to zostawiła. Paerin Clark mógł równie dobrze być duchem, wzięwszy pod uwagę ślady, które po sobie zostawił.

Mężczyzna siedział za jej biurkiem. Stalówką pióra kreślił na pergaminie niewyraźne symbole szyfru, najwyraźniej nie potrzebując do tego księgi kodów. Skinął głową Cithrin, następnie Marcusowi, dokończył linijkę i zwrócił się do nich.

– Pani bel Sarcour – powiedział – mam ostatnie pytanie. Mam nadzieję, że się pani nie obrazi.

Mężczyzna wyraźnie zmienił ton. Teraz słychać w nim było szacunek. Słusznie. Zasłużyła sobie na to.

– Oczywiście.

– Jestem niemal przekonany, że odgadłem odpowiedź, ale w najnowszej księdze rachunkowej zauważyłem pewną sumę – sześćset dwanaście sztuk srebra?

– To czwarta część zysków dla holdingu – powiedziała.

– Tak – mruknął audytor. – Tak właśnie myślałem. Proszę, usiądźcie.

Marcus podsunął jej stółek, ale sam postanowił stanąć za jej plecami.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Magister Imaniel bardzo dobrze cię wyszkolił. Oczywiście, nie obyło się bez pewnych strat, ale w ogólnym rozrachunku podpisane przez ciebie umowy wyglądają bardzo solidnie. Angażowanie się w projekt floty miejskiej było, moim zdaniem,

niezbyt rozsądne, ale ponieważ miasto odrzuciło twoją ofertę, to nie musimy się tym martwić.

Cithrin zastanawiało, która z kwestii odnośnie utworzenia wspólnej floty wydała się audytorowi problematyczna, ale mężczyzna mówił dalej.

– Właśnie piszę raport dla holdingu. Doszedłem do wniosku, że wszystko, co tutaj robiliście istotnie leżało w interesach banku jako całości. Niestety, zostaliśmy związani w Porte Oliva umowami, które nie do końca nam odpowiadają, ale rozumiem, że wasze intencje były jak najlepsze. I choć część waszych działań bez wątpienia przekroczyła granice prawa, to nie widzę powodu, by istniała konieczność dochodzenia naszych roszczeń na drodze prawnej.

– Czy on właśnie powiedział, że nam się upiekło? – spytał Marcus.

– Tak – powiedziała Cithrin.

– Dobrze wiedzieć.

Paerin postukał palcami o blat stołu. Jego wysokie czoło znaczyły głębokie zmarszczki.

– Nie chcę uprzedzać faktów, a także nie mogę, rzecz jasna, niczego gwarantować – powiedział – ale myślę, że w Carse może znaleźć się pozycja dla osoby obdarzonej twoimi talentami. Musiałbym przedyskutować tę kwestię z Komme Medejczykiem oraz innymi dyrektorami. Ale jeśli chcesz zrobić karierę w bankowości, możesz zacząć właśnie tam.

Wciąż możesz zrezygnować, powiedział jej Marcus zaledwie godzinę temu. Ciągle mogła. Przyszedł czas, by to zmienić.

– Wolę zacząć tutaj – odparła. – Rozważył pan moją propozycję?

Paerin Clark obrzucił ją beznamiętnym wzrokiem. Po chwili, wyraźnie zakłopotany, pokiwał głową.

– Tak, odnośnie tego... Nie. Na twoje miejsce przyślemy uznanego członka banku, który będzie nadzorował jego prace do czasu rozwiązania filii. Pozostawienie cię na obecnej pozycji nie jest możliwe.

Marcus zachichotał.

– Czy to, że miałem nadzieję na taką odpowiedź, sprawia, iż jestem złym człowiekiem? – spytał.

Cithrin zignorowała komentarz. Gdy otworzyła usta, siedziała prosto, patrząc audytorowi prosto w oczy.

– Przegapił pan coś, sir. Pośród dokumentów brakuje jednej księgi z zapiskami z Vanai. Bardzo starej księgi. Nie ma ona bezpośredniego związku

z pana audytem.

Paerin Clark zmienił pozycję na krześle. Skrzyżował ręce na piersi.

– Ta księga stanowi dowód na mój status podopiecznej banku – mówiła dalej. – Stwierdza ona mój wiek, a także datę, po której będę mogła legalnie podpisywać kontrakty. Czyli za rok.

– Nie rozumiem, jak to ma się do...

Cithrin ruchem ręki wskazała książki, stopy dokumentów i pergaminów, wszystkie części mechanizmu bankowego.

– Żadna z tych umów nie została zawarta legalnie – oznajmiła. – Nie posiadam zdolności do podpisywania czegokolwiek. Jestem na to o dziesięć miesięcy za młoda.

Paerin Clark uśmiechnął się w ten sam mdły sposób jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Możliwe, że tylko jej się wydawało, ale jego skóra zbladła o cały jeden odcień. Cithrin przełknęła ślinę, by pozbyć się guli z przełyku.

– Jeśli informacje zawarte w księdze wyjdą na jaw – kontynuowała – bank będzie musiał zwrócić się z bezpośrednią prośbą do namiestnika o uhonorowanie tych umów lub też o zwrócenie udzielonych pożyczek. Poznałam namiestnika osobiście i nie wyglądał mi on na człowieka, który będzie skłonny odbierać pieniądze swoim obywatelom, by zwrócić je bankowi, który ma zamiar rakiem umknąć z miasta.

– A wspomniana księga jest w...? – spytał Paerin Clark.

– W panczernej kasecie, będącej w posiadaniu namiestnika, zdeponowanej na moje prywatne nazwisko, niezależnie od banku. Z kolei klucz do niej posiada mężczyzna, który nie ma powodów, by wspierać naszą filię. Jeśli powiem mu, jakie tajemnice zawiera dokument będący w ich posiadaniu, wszystkie te dokumenty będzie mógł pan zabrać jako podpałkę.

– Błefujesz. Jeśli to się wyda, oskarżą cię o fałszerstwo, kradzież, wprowadzanie w błąd innych. Spędzisz w więzieniu resztę życia, a my stracimy jedynie trochę pieniędzy.

– Mogę ją stąd wydostać – rzekł Marcus. – Cała gwardia królowej będzie zajęta nabijaniem się z waszej nieudolności. Jeszcze przed zimą zdołam wywieźć ją z Birancour i umieścić w bezpiecznym miejscu.

– Reprezentuję bank medejski – oznajmił Paerin Clark. – Nie uciekniecie przed nami.

– A ja jestem Marcus Wester. Zabijałem królów i bardzo kiepsko bluffuję.

Więc jeśli jeszcze raz jej zagroźysz, to...

– Przestańcie, obydwaj – wtrąciła Cithrin. – Oto moja oferta. Filia zachowa swój obecny kształt, ale holding przyśle nam notariusza. Powiemy, że jest nam potrzebny ze względu na natłok pracy. Pozostanę twarzą i głosem banku, ale notariusz będzie nadzorować podpisywanie umów.

– A co jeśli odmówię?

Miała ochotę się napić. Pragnęła leżeć w ciepłym łóżku, w objęciach mężczyzny. Chciała wiedzieć, czy to co robi na pewno jest słuszne.

– Wtedy spalę tę filię do gołej ziemi – powiedziała.

Postawiła sprawę na ostrzu noża. Audytor zamknął oczy, opadł na krzesło. *Ach, cóż*, pomyślała Cithrin. *Życie uchodźcy nie było takie złe zeszłej zimy. Przynajmniej teraz będę mogła nosić własne ubrania.* Paerin Clark podniósł powieki.

– Nie będziesz niczego podpisywać – oznajmił. – Wszystkie umowy będą zawierane przez notariusza i tylko przez niego. Negocjacje zawsze będą odbywać się w obecności notariusza. Jeśli notariusz się z czymś nie zgodzi, musisz go posłuchać. Kontrola nad bankiem przejdzie w ręce holdingu. Staniesz się jedynie figurantką. Niczym więcej.

– Jakoś sobie z tym poradzę – powiedziała, w myślach dodając: *Poradzę z tym sobie, dopóki nie znajdę sposobu, by to zmienić.*

– Zaginioną księgę będącą dowodem w sprawie zwrócisz mi jeszcze zanim wyjadę z miasta.

– Nie – odezwał się Marcus. – Jeśli odda ci dokumenty, straci kartę przetargową. Mógłbyś wycofać się ze wszystkiego, a ona zostanie z niczym.

– Będzie musiała mi zaufać.

Cithrin przełknęła ślinę. Miała ochotę wymiotować. Miała ochotę śpiewać.

Pokiwała głową. Paerin Clark na chwilę zastygł w bezruchu, po czym wziął swój list i podarł go na drobne kawałeczki.

– Wygląda na to, że będę musiał napisać nowy raport – rzekł z oschłym uśmiechem. – Gratuluję nowego banku, magistra.

Geder

Uroczystości pogrzebowe Phelii Maas pozostały w cieniu egzekucji jej męża. Gdy dano mu wybór, Geder opowiedział się za wyrokiem śmierci, podobnie jak większość znaczących postaci na dworze. Tron króla Simeona stał na podwyższeniu. Aster siedział obok niego na mniejszym krześle o podobnym wyglądzie. Przed nimi rozciągała się ogromna komnata. Na jej środku klęczał Feldin Maas. Jego kostki i nadgarstki spętano. Nawet z wysokości galeryjki Geder widział siniaki na nogach mężczyzny i długie, krwawe pręgi na plecach. Dziesięciu katów stało w okręgu wokół więźnia. Ich stalowe maski wykuto na podobieństwo wyszczerzonych pysków zwierząt. Trzymane przez nich stępione ostrza nosiły ślady rdzy.

Rozbrzmiewało oschłe dudnienie samotnego bębna. Był to jedyny dźwięk na sali, nie licząc głosu jakiegoś idioty, szepczącego w tylnych rzędach. Geder próbował zignorować tłum i skupić się na przedstawieniu. Chociaż się spóźnił, szlachetnie urodzeni zrobili mu miejsce, dzięki czemu miał doskonały widok z samej krawędzi galerii. Obok niego stał Dawson Kalliam oraz jego dwóch synów. Geder miał na sobie czarną pelerynę z Vanai, która nie leżała już na nim tak dobrze jak kiedyś. Przez lato schudł, dlatego odzienie wisiało na nim smętnie. Żałował, że nie pomyślał wcześniej o jego przerobieniu. Każdy, kto nie patrzył na egzekucję Feldina Maasa, wydawał się spoglądać w jego stronę.

Król Simeon, niemal szary na twarzy i z zaciętą miną, uniósł dłoń. Bębnienie umilkło. Tłum ludzi na wszystkich trzech poziomach galerii wstrzymał oddech. Nawet dureń z tylnych rzędów przestał gadać.

– Masz możliwość ogłoszenia ostatnich słów, zdrajco – powiedział król. Feldin Maas powoli pokręcił głową. *Nie.*

Król opuścił rękę. Kaci zrobili krok do przodu, po czym każdy z nich zatopił sztych swego ostrza w ciele mężczyzny. Gederowi powiedziano, że przed egzekucją ostrza stępiano, natomiast siła, z którą uderzali oprawcy wydawała się potwierdzać tę teorię. Maas krzyknął, ale tylko raz. Gdy kaci odstąpili, mężczyzna leżał w rosnącej kałuży krwi, a jego ciało przebijało dziesięć mieczy. Zgromadzeni wokół ludzie wypuścili powietrze z płuc. Brzmiało to niemal jak wiatr muskający korony drzew.

Król Simeon wstał. Siedzący za nim Aster przypominał posąg samego

siebie wykonany z jasnego kamienia. Geder zastanawiał się, co myślał sobie chłopiec, który dopiero skończył dziewięć lat, wiedząc, że dorosły mężczyzna spiskował, aby go zabić, a teraz został brutalnie zamordowany na jego oczach.

– Oto słuszna i jedyna kara dla wszystkich, którzy fałszywie przysięgają lojalność wobec Rozdartego Tronu – powiedział Simeon. – Niech tu obecni głoszą wszem i wobec, że wszystkich zdrajców Antei spotka ten sam los i zasłużona śmierć.

Ze wszystkich stron posypały się oklaski i pełne uznania okrzyki. Geder przyłączył się do nich. Dawson Kalliam nachylił się do niego, próbując przekrzyczeć tłum:

– To również dla ciebie, Palliako.

Była to bardziej uprzejma forma powiedzenia tego, co wcześniej ujął słowami: *W końcu przyprawileś Simeonowi kręgosłup.*

Bęben rozbrzmiał na nowo. Król i księżę opuścili pomieszczenie pełnym powagi krokiem. Słudzy ubrani w czerwone stroje pojawili się, by uprzątnąć ciało. Maas miał zostać wystawiony na widok publiczny, razem z mieczami, na siedemnaście dni. Następnie jego zwłoki zostaną wrzucone w Szczelinę wraz z resztkami kuchennymi oraz ściekami, a każdy kto spróbuje wydobyć je, by zapewnić zdrajcy godny pochówek, zostanie powieszony. Gdzieś za Gederem otworzono drzwi, przesłonięte teraz przez tłum antejskich szlachciców. Po wyjściu króla i zakończeniu ceremonii, gwar rozmów urósł do ogłuszającego ryku. Geder nie słyszał nic poza ogólnym harmiderem, więc jedynie podążył za pozostałymi, kierując się w stronę wyjścia.

W ogromnych korytarzach Kingspire szlachta rozbiła się na sto mniejszych grup. W rozproszeniu, hałas przycichł znacząco i nawet stał się częściowo zrozumiały.

Geder zauważał ludzi, którzy udawali, że na niego nie patrzą i podejrzewał, co sobie myślą: *„Palliako twierdzi, że podróżował po Keshet, ale wrócił, wiedząc wszystko na temat spisku wymierzonego w księcia Astera.”* oraz *„Spalenie Vanai było częścią jego planu.”*, a także *„Mówiłem ci, że powrót lojalnych żołnierzy na krótko przed powstaniem najemników nie był przypadkiem.”* Geder powoli szedł korytarzem, pławiąc się we własnym blasku.

– Sir Palliako. Chcemy zamienić słówko.

Curtin Issandrian i Alan Klin podeszli do niego, przypominając podpórki

do książek w bibliotece dla potępionych. Geder uśmiechnął się. Curtin Issandrian wyciągnął dłoń.

– Przeszedłem ci podziękować, sir. Jestem twoim dłużnikiem.

– Naprawdę? – spytał Geder, ignorując podaną mu rękę.

– Gdyby nie pan, wciąż byłbym sprzymierzony ze zdrajcą korony – rzekł Issandrian. – Feldin Maas był moim przyjacielem, a ja pozwoliłem, by ta przyjaźń mnie zaślepiła. Dzisiejszy dzień był dla mnie straszliwym przeżyciem, ale nie dało się tego uniknąć. Dziękuję ci za to.

Geder żałował, że nie ma z nim Basrahipa, który potwierdziłby, czy słowa Issandriana były szczere. Innym razem. Będą mieli jeszcze całe miesiące i lata, podczas których on i jego Prawy Sługa odkryją wszystkie tajemnice dworu. Odrobina wielkoduszności jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Uścisnął dłoń Issandriana.

– Jest pan dobrym człowiekiem, Gederze Palliako – oznajmił Issandrian na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli. – Antea jest dumna, mając kogoś takiego.

– Dziękuję, lordzie Issandrianie – odparł Geder równie głośno. – Trzeba silnego charakteru, by przyznać się do własnych błędów. Tym samym zasługujesz sobie na szacunek.

Gdy puścili swoje dłonie, Alan Klin postąpił krok do przodu, samemu wyciągając rękę. Geder uścisnął ją z uśmiechem, przyciągając mężczyznę do siebie.

– Sir Klin! – rzucił wesoło. – Kopę lat.

– Istotnie, to prawda.

– Pamięta pan tę noc podczas marszu do Vanai, gdy wypilem trochę za dużo i spaliłem ten esej, który panu pokazałem?

– Tak. Tak, pamiętam – odparł Klin ze śmiechem, jakby połączyło ich nostalgiczne wspomnienie.

Geder również się roześmiał, po czym nagle spoważniał.

– Ja również.

Puścił dłoń Klina, obrócił się na pięcie i odszedł, czując, jakby sama ziemia ruszała jego stopom na spotkanie. Niebo na zewnątrz było błękitne, choć dał lodowaty wiatr. Jego ojciec stał w pobliżu schodów prowadzących w stronę powozów, obserwując płataninę koni, drewna i kół. W dłoni ścisnął niezapaloną fajkę.

– Czy to oznacza, że proces polityczny dobiegł logicznego końca? –

spytał Lerer.

– Nie oglądałeś?

– Jestem za stary na tak krwawy sport. Rozumiem, że czasami jest to konieczne, ale nie widzę powodu, by robić z tego przedstawienie.

– Ale król musi dać wszystkim przykład, nieprawdaż? Ostatecznie próbuje uchronić nas przed wpływami Asterilhold – powiedział Geder. Było mu przykro, że jego ojciec nie widział egzekucji Maasa. – Mieli zamiar *zabić* księcia Astera.

– Może i tak – mruknął Lerer. – Mimo wszystko. Z przyjemnością wrócę do domu i zmyję z siebie ten smród Camnipolu. Już zbyt wiele czasu spędziliśmy z dala od Rivenhalm.

„Jeśli mamy zrozumieć wolność rasy ludzkiej, musimy najpierw zrozumieć istotę jej zniewolenia. Wszystkie rasy – nawet Pierworodni – posiadają swe korzenie w czasach rządów smoków, których koniec z konieczności należy niejako uznać za początek historii rasy ludzkiej. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w chwili, gdy ostatni ze smoków umarł, rozpoczęła się nowa era ludzkości w całej swej różnorodności. Nasza wiedza na temat epoki Smoczego Cesarstwa pozostaje w najlepszym wypadku niepełna, ale pokuszę się o stwierdzenie, że odkrycie jaskiniowych pałaców w podziemiach Takynpal daje nam najlepszy wgląd w okres, który postanowiłem nazwać Erą Stworzenia.”

Geder przewrócił kilka stron, przeglądając fragmenty, które przetłumaczył już wcześniej. Papier był brązowy i kruchy ze starości. Nie lubił posługiwać się starymi księgami, w obawie, że za którymś razem stronicę popękają i rozsypią mu się w palcach, ale musiał dotrzeć jak najbliżej źródeł. Przyszło mu do głowy, że musiało istnieć coś – jakieś słowo lub fraza, które można było zrozumieć w inny sposób – co wspominałoby o istnieniu oraz historii bogini.

Drzwi salonu otworzyły się i do pomieszczenia wszedł Basrahip. Wciąż miał na sobie szaty ze świątyni w górach, ale zgodził się przyjąć parę podbitych skórą butów, które ułatwiały mu chodzenie po brukowanych ulicach Camnipolu. Pośród bogatych, czerwonych draperii i miękkich obitych tkaninami krzeseł w pokojach Gedera w Camnipolu, wydawał się być nie na miejscu. Jak pustynny chwast w otoczeniu róż. Mężczyzna uśmiechnął się do Gedera i uklonił.

– Czyżbyś znów spacerował? – spytał Geder.

– Słyszałem opowieści o wielkich miastach tego świata, ale nie wyobrażałem sobie czegoś tak ogromnego i tak zepsutego – oznajmił kapłan.
– Dziś próbowało mnie okłamać siedmioletnie dziecko. Bez żadnego powodu.

– Co powiedziało?

Ogromny kapłan podszedł do krzesła stojącego naprzeciwko Gedera i ciężko na nie opadł. Drewno zatrzeszczało pod jego ciężarem.

– Że za trzy sztuki miedzi może przepowiedzieć moją przyszłość. Dobrze wiedziało, że to kłamstwo. Zwykle dziecko.

– To mały żebrak – rzekł Geder. – Oczywiście, że próbował cię oszukać. Sądzę, że powinieneś uważać podczas swoich wypraw. W niektórych częściach miasta jest niebezpiecznie. Szczególnie po zmroku.

– Żyjesz w epoce ciemności, mój przyjacielu. Lecz to miasto stanie się nieskończenie piękne, gdy wyplenimy z niego zło.

– Odwiedziłeś świątynię?

– Tak – odpowiedział Basrahip. – To piękny budynek. Z niecierpliwością wyczekuję dnia, gdy będę mógł przejąć go na własność.

– Kwestie papierkowe nie powinny zająć dużo czasu. Na pewno uporamy się z tym jeszcze przed zamknięciem dworu, czyli w ciągu najbliższego tygodnia. W zimie Camnipol oferuje bardzo niewiele atrakcji.

– Będę miał dość pracy.

– Trochę czytałem – zmienił temat Geder – i jest coś, co mnie niepokoi.

– Tak?

– Bogini jest wieczna. Była tu jeszcze przed narodzinami smoków. Obserwowała powstanie Smoczego Cesarstwa, ale jedyne wzmianki na temat Prawego Sługi albo Sinir Kushku pojawiają się dopiero pod sam koniec, przy opisach ostatniej wojny. Na dodatek uczeni twierdzą, że stworzył go Morade, podobnie jak Asteril stworzył Timzinejczyków, a Vailoth Utopionych. Nie rozumiem, jak to możliwe.

– Być może więc nie jest to możliwe – odparł kapłan. – Nie powinieneś ufać we wszystkie spisane słowa, przyjacielu. To istne bastiony kłamstw. Spójrz. Pokażę ci. Przeczytaj dowolny fragment ze swojej księgi.

Geder przewrócił kilka stron, przesuwając opuszkami palców po słowach, dopóki nie znalazł łatwego do przekładu zdania.

– *Mijał czwarty wiek rządów smoka Vailotha, gdy zmieniono te zasady.*

– Czy to prawda? – spytał kapłan. – Czy nieprawda? Wierzysz w to, co

mówisz? Nie, stary przyjacielu. Ani jedno, ani drugie. Twój głos nie niesie ze sobą żadnej mocy. To tylko słowa, które powtarzasz. Zapisanie ich uśmierciło ich istotę. Prawdę można odkryć jedynie poprzez żywych. Moi bracia i ja słuchamy siebie nawzajem, przekazując w ten sposób głos bogini z pokolenia na pokolenie. Za każdym razem, gdy opowieść zaczynała się na nowo, wiedzieliśmy, że to, co usłyszeliśmy, jest prawdą. A co do twoich książek? To tylko atrament na papierze. Przedmioty pozbawione duszy. Lepiej będzie, jeśli przestaniesz pokładać w nich taką wiarę.

– Ach – mruknął Geder. – To... Nigdy nie spojrzałem na całą sprawę od tej strony. Czy to...?

– Gederze?

W drzwiach stał Lerer Palliako. Miał na sobie niebiesko-szarą tunikę rodu Palliaków, o formalnym kroju i srebrnych guzikach przy mankietach. Mężczyzna oparł dłonie o framugę, jakby musiał się czegoś przytrzymać.

– Co się stało, ojczy?

– Mamy gościa. Chodź ze mną.

Geder wstał, czując, że skóra mu cierpnie. Basrahip przeniósł spojrzenie z drzwi na Gadera i z powrotem.

– Zostań tu – powiedział Geder. – Wrócę tak szybko jak to możliwe.

Lerer szedł korytarzem w milczeniu. Słudzy, którzy zazwyczaj krzątali się po pokojach niczym pszczoły na łące, zniknęli. Mężczyzna zatrzymał się przed wejściem do prywatnej sali spotkań. Przez chwilę Geder myślał, że jego ojciec coś powie, ale ten jedynie pokręcił głową, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Prywatna komnata została urządzona z przepychem. Świece migotały w wypolerowanych, srebrnych świecznikach, dając tym samym dwa razy więcej światła i wypełniając pomieszczenie zapachem miodu. W kącie pomieszczenia stał wygaszony, poczerniały od sadzy komin. Przez zachodnie okna wlewał się do środka ciepły blask słońca. Fotele, obite jasnym jedwabiem, niemal jaśniały w jego promieniach. Z siedzenia spojrzał na niego poważny chłopiec w szarej tunice. Geder czuł, że powinien rozpoznać tę twarz. Na przeciwległej ścianie powieszono ogromny obraz wielkości dorosłego człowieka, na którym namalowano zielonołuskiego smoka górującego nad postaciami reprezentującymi trzynaście ludzkich ras. Zaś tuż obok, przyglądając się malowidłu, stał król Simeon.

Mężczyzna obrócił głowę.

Lerer zgiął plecy w ukłonie.

– Wasza Wysokość. – Geder skłonił się zaledwie chwilę później, trochę za szybko, jakby próbował nadgonić ojca. Chłopcem był młody książę. Książę Aster i król Simeon.

– Cieszę się, że w końcu mogę cię poznać, Gederze Palliako – rzekł monarcha. Geder uznał, że zwracając się do niego po imieniu, król dał mu przyzwolenie, by się wyprostował.

– Ja... Eee, dziękuję. Również się cieszę, Wasza Wysokość.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że tradycja nakazuje mi oddać księcia na wychowanie najszlachetniejszemu rodowi o nieposzlakowanej reputacji. Rodzina ta poprzysięgnie bronić młodego księcia, jeśli zaistnieje taka potrzeba.

– Ach – mruknął Geder. – Tak?

– Jestem tu, by prosić cię o przyjęcie tej roli.

– Chodzi ci o mojego ojca, Wasza Wysokość? Nasz ród?

– Król nie mnie o to prosi – wyjaśnił Lerer – lecz ciebie.

– Ja... Nie mam pojęcia, jak wychowywać chłopca. Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość. Zupełnie nie wiedziałbym, co robić.

– Trzymaj go z dala od kłopotów – rzekł król. Jego głos nie był władczy. Brakowało również formalnego tonu. Brzmiał raczej jak głos kogoś na skraju błagania lub modlitwy. – Po prostu nie pozwól, by ktoś go skrzywdził.

– W chwili obecnej wszyscy na dworze kochają cię lub boją się ciebie, mój chłopcze – oznajmił Lerer. – Połowa z nich twierdzi, że jesteś pierwszym bohaterem Antei od pokoleń, a druga połowa woli nie wymawiać twojego imienia w obawie, że ściągnie to na nich twoją uwagę. Nie jestem pewien, czy to dostateczny powód, by przyjmować tytuł protektora.

– Nie zrobię tego – powiedział Geder. – Nie jestem niczym protektorem. Lepiej, żebyś to był ty, ojcze. W końcu to ty jesteś wicehrabią Rivenhalm.

– Ale ty jesteś baronem Ebbinbaugh – odparł król Simeon.

– Ebbinbaugh?

– Ktoś musi przejąć ziemie Maasa. Padło na ciebie.

– Cóż... – mruknął Geder, czując, że szczerzy zęby w uśmiechu. – No cóż...

Książę Aster wstał i podszedł do Gedera. Nie był zbyt dużym dzieckiem. Gederowi zawsze wydawało się, że chłopiec jest wyższy. Miał szare oczy i poważną twarz nieżyjącej królowej, ale podbródek po ojcu.

– Zawdzięczam ci życie, lordzie Palliako – powiedział. Nacisk, który kładł na poszczególne słowa sprawiał, że zdanie zabrzmiało na wyuczone. – Z radością przyjąłbym cię na stanowisko swojego protektora i przysięgam, że jako twój podopieczny, stanę się dla ciebie powodem do dumy.

– Naprawdę tego chcesz? – spytał Geder. Cała powaga znikła z twarzy chłopca. W jego oczach zalśniły łzy.

– Powiedzieli, że nie mogę już zostać z tatą – powiedział.

Geder poczuł, że i jemu napływają do oczu łzy.

– Ja również straciłem mamę, gdy byłem mały. Może będę mógł być dla ciebie jak wuj? Albo starszy brat.

– Nie mam braci – odparł Aster.

– Widzisz? Ja też nie – ciągnął Geder. Aster próbował się uśmiechnąć. – Będziemy często odwiedzać twojego ojca. I mojego. Na Boga, czy to znaczy, że zyskam własne ziemie? Ojczce, będę miał własną posiadłość.

– To prawda – rzekł Lerer. – Wygląda na to, że Jego Królewska Mość nie chciał być jedyną osobą w tym towarzystwie, która straci syna.

Geder prawie go nie słuchał. Tego ranka stał się bohaterem. Nie minął dzień, a otrzymał własną baronię oraz miejsce na dworze, o które dorośli mężczyźni walczyli i zabijali się nawzajem. Sir Alan Klin zesra się pod siebie, gdy usłyszy, że zrobił sobie wroga w osobie książęcego protektora.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Przyjmuję ten obowiązek i zaszczyt. Aster będzie przy mnie bezpieczny. Przysięgam.

Król płakał. Łzy spływały mu po policzkach, ale jego głos nie drżał, gdy przemówił.

– Pokładam w tobie swoje zaufanie, lordzie Palliako. Ogłoszę... Ogłoszę tę wiadomość podczas ostatniej sesji dworu. Dopilnuję, byś otrzymał należne ci miejsce, stosowne dla twojej nowej funkcji. To wspaniały dzień dla naszego królestwa. I dziękuję ci za to.

Geder skłonił głowę. Chciał wybiec na ulicę w podskokach i śpiewać. Chciał pysznić się przed swoimi przyjaciółmi, zaczynając od Jorey'a Kalliama i...

– Mógłbym pożyczyć księcia? – spytał. – Tylko na kilka minut? Chcę, by kogoś poznał.

Czekający w salonie Basrahip przesiadł się na fotel Gedera. Jego ogromne dłonie powoli przewracały karty książki, a szeroką twarz wykrzywiała pogarda. Palliako odchrząknął. Kapłan uniósł wzrok,

przenosząc spojrzenie z Gедера na stojącego obok księcia.

– Basrahipie, arcykapłanie bogini, pozwól, że przedstawię ci mojego nowego wychowanka, księcia Astera. Książę, oto Basrahip.

Chłopiec postąpił kilka kroków, zatrzymał się w pewnej odległości od mężczyzny i skłonił małą głowę. Przypominał kocię witające byka.

– Miło mi pana poznać, sir – powiedział.

Kapłan uśmiechnął się.

– Nie – odparł łagodnie. – Wcale nie jest ci miło. Ale dajmy temu trochę czasu, młody książę. Dajmy trochę czasu.

Apostata

Apostata jęknął, przewracając się na cienkim materacu. Pierwsze promienie przedświt otoczyły drzwi stajni jaśniejszą poświatą. Pająki w jego krwi drżały i tańczyły, podekscytowane jak nigdy na przestrzeni ostatnich tygodni. W ciągu dwudziestu lat podróży po świecie, piętno w jego krwi nie dokuczało mu tak mocno, jak przez tych kilkadziesiąt ostatnich dni. Wszyscy pozostali spali wokół, a ich głębokie i rytmiczne oddechy wydawały się równie kojące co gruby, wełniany koc. W stajni było ciepło, a przynajmniej cieplej niż podczas nocy spędzonych na wozie. Gdyby chciał się napić, nie musiałby zgarniać cienkiej warstewki lodu z wody w wiadrze. Gdy usiadł, poczuł ból w krzyżu. Być może było to związane z nadciągającą zimą, może z latami, które miał na karku, a może z nieustępliwymi stworzeniami żyjącymi pod jego skórą.

Jeden z koni parsknął w boksie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Z ciemnego kąta jego uszu doszło ciche westchnienie. Zamarł w bezruchu, nadstawiając ucha.

– Nie skończę – wyszeptał znajomy głos. – Przysięgam, że nie skończę.

Apostata westchnął. To się nigdy nie zmieni. Na całym świecie, przez wszystkie wieki i epoki istnienia ludzi, pewne rzeczy po prostu się nie zmieniały. Przełknął ślinę, zwilżając gardło. Gdy przemówił, jego słowa poniosły się echem po całych stajniach i na podwórku.

– Sandr! Jeśli zapłodnisz tę dziewczkę, zacznę odczuwać niebezpieczną chęć przewiązania ci kutasa kawałkiem sznurka. Uwierz, że nie będziesz dzięki temu lepszy.

Głos, który wcześniej westchnął, zapiszczał trwożliwie, a już w następnej chwili w kręgu światła pojawił się Sandr, ciągnąc za rąbek koszuli, by ukryć goliznę.

– Nikogo tutaj nie ma, mistrzu Kicie – skłamał chłopak. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– W czym konkretnie miałyby nie być lepszy? – spytał Smit zaspanym głosem. – Wydaje mi się, że jeśli mowa o pracy aktorskiej, to mogłoby to być całkiem ciekawe ćwiczenie na koncentrację.

– Pomoże mu grać garbusów – zakpiła Cary, ziewając.

– Nikogo tu nie ma – powtórzył Sandr. – Wydaje się wam.

Skrzypienie podłogi na tyłach stajni oznajmiło o szybkiej ucieczce dziewczyny, kimkolwiek była. Apostata usiadł. Hornet zapalił latarnię, a ciepłe światło rozgoniło cienie. Kompania przebudziła się do życia przy wtórze pojękiwań i narzekań. Tak samo jak zawsze. Charlit Soon, ich nowa aktorka, spiorunowała spojrzeniem Sandra. Szykował się kolejny spór, który przyjdzie apostacie załagodzić. Zaczął się zastanawiać, nie po raz pierwszy zresztą, jakim cudem ktoś pozbawiony pajaków we krwi byłby w stanie utrzymać trupę aktorów w całości przez dłuższy okres czasu. Niewykluczone, że było to niemożliwe.

– Wstawać – powiedział. – Jestem pewien, że gdzieś już czeka na nas praca, która przyniesie nam więcej korzyści niż wasze wylegiwanie się tutaj. Wstawać moje szalone, wspaniałe bękarty. Raz jeszcze musimy podbić serca i marzenia mieszkańców Porte Oliva.

– Tak, mam – mruknęła Cary, przewróciła się na drugi bok i wróciła do spania.

Gdy po raz pierwszy poznał Marcusa Westera, apostata nadał mu przydomek – mężczyzna bez nadziei. W ciągu ostatniego roku jego rozpacz nieco zmalała, ale czasami Wester wciąż powtarzał swoje sztandarowe kwestie – *„Jestem zbyt uparty, by umrzeć”* albo *„Nie potrzebujesz miłości, gdy jest pranie do zrobienia”* – na które inni ludzie reagowali śmiechem. Jedynie apostata wiedział, że w głębi duszy mężczyzna naprawdę tak myślał.

Właśnie to czyniło kapitana najemników tak interesującym człowiekiem.

Szynk w pobliżu banku miał tę przewagę w czasie zimowych miesięcy, że można w nim było zjeść i ogrzać się przy ognisku. Czasami Cary i Charlit Soon siadały na wspólnej sali, śpiewając piosenki z komediowych oper, dzięki czemu same były w stanie zarobić na trzydniowe wyżywienie całej kompanii.

– Dobrze jest trzymać swoje zabójstwa polityczne w tajemnicy – powiedział Wester. – Cóż, w tym wypadku się myliłem. Ale to nie pierwszy raz, kiedy się myliłem.

– To jeden z kilku razy – rzekł Yarden Hane.

– Sądzisz, że Północne Wybrzeże powstrzyma się przed dalszymi przejawami agresji?

– Otruli człowieka tak, że zarzygał się na śmierć – oznajmił Marcus. – Samo to było przejawem agresji. Ale ponieważ nikt inny nie może już rościć sobie praw do tronu, podejrzewam, że nie dojdzie do konfliktu zbrojnego. To

dobrze dla handlu z Narinisle. Poza tym wygląda na to, że Antea oddaliła od siebie również widmo wojny domowej.

– Nie wiedziałem, że znaleźli się na smoczey drodze – powiedział apostata, pociągając łyk piwa. W czasie zimy beczułka z trunkiem trzymano na zewnątrz pod strażą, dzięki czemu piwo było przyjemnie schłodzone, podczas gdy wewnątrz panowało ciepło.

– Ja też nie. Ale ten nowy notariusz otrzymuje wieści z całego świata. To jedna z zalet bycia częścią banku, kiedy właściciele tego banku już o tobie wiedzą. Tak czy inaczej, wygląda na to, że jedyną rzeczą, która powstrzymała dwór w Camnipolu przed rzuceniem się sobie do gardeł jak zdziczałe psy, był jakiś fanatyk z Keshet.

– Doprawdy?

– Cóż – ciągnął Wester – tak naprawdę to antejski szlachcic, ale najwyraźniej spędził w Keshet sporo czasu i wrócił stamtąd z bardzo ciężkim przypadkiem wiary. Odkrył jakiegoś rodzaju spisek, przewrócił dwór do góry nogami, a potem, w ramach uświetnienia tego wydarzenia, wznosił w pobliżu Kingspire świątynię.

– Nie ma nic złego w budowaniu świątyń, sir – wtrącił Yardem. – Ludzie stale to robią.

– Ale nie w tym celu – odparł Wester. – Ludzie zwracają się do Boga, gdy są w potrzebie. Jeśli wszystko idzie po ich myśli, nie czują konieczności podlizywania się wszechmogącemu.

Yardem zastrzygł pobrzękującym uchem i nachylił się w stronę apostaty.

– Mówi to, żeby mnie zirytować.

– Zawsze działa.

– To prawda, sir – skłamał Tralgur.

– A ta ich Bogini Okrągłych Placków wydaje się szczególnie głupia.

– Okrągłych placków? – spytał apostata.

– Nowy kult posiada symbol. Wielki, czerwony sztandar z odrobiną białego na środku i czymś, co przypomina osiem posklejanych ze sobą kawałków ciasta.

– To osiem stron świata – powiedział Yardem.

Nie, pomyślał apostata, czując, że ogarnia go przerażenie. *Nie, to osiem nóg pająka.*

– Wszystko w porządku, Kit? – spytał Wester. – Strasznie pobladłeś.

– Tak – odparł apostata. – Nic mi nie jest.

Lecz w jego umyśle kołatała się tylko jedna myśl:
Zaczął się.